

PRZEGLĄD POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

~~~~~  
ROK DZIEWIĘTNASTY. — TOM LXXIII.  
~~~~~

STYCZEŃ, LUTY, MARZEC.

1902.

~~~~~  
KRAKÓW.  
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.  
1902.



## SPRAWA WRZESIŃSKA.

---

Dzieje nasze porozbiorowe obfitują w wypadki tak straszne i krwawe, że na samo ich wspomnienie krew dziś jeszcze w żyłach się ścina. Zajścia wrzesińskie z tamtymi, pod względem grozy, porównania nie wytrzymują; a jednak, jak długa i szeroka Polska, wszystkie poruszyły serca i boleśniej niż kiedykolwiek przypomniały ono srogie: *vae victis!* Na wieść o dzieciach bitych za to, że nie chciały mówić w obcym języku pacierza, i o matkach, co zbiegły się na ratunek tych dzieci i za to na nadmiernie surowe kary skazane zostały, ze wszystkich piersi tak w pańskich pałacach jak w chłopskich chatach wyrwał się jeden wielki jęk boleści i popłynęła rzewna modlitwa do Boga o zlitowanie i folgę w ucisku. Wspaniała odezwa Sienkiewicza uczuć tych nie wywołała, ale je już zastała i wskazała im tylko kierunek, wiodący do odpowiednich czynów.

Jeśli pytamy, co duszę narodu całego tak do głębi poruszyło, toć jasna jest odpowiedź, że nie co innego, jeno to, że dzieci bezbronne i do cierpień, przynajmniej

z wieku swego, jeszcze niedojrzałe, padły ofiarą przywiązania do rodzinnego języka i do starej wiary naszej. Dzieci te prawie bezwiednie wyrosły na bohaterów, którym, oby każdy z nas w tej świętej miłości Boga i ojczyzny starał się dorównać.

Dobre bez wątpienia są składki na te dzieci, pozabawione rodziców i opiekunów. Aleć to objaw z natury swej przemijający; skoro potrzeby tych dzieci będą dostatecznie zaopatrzone, składki też ustaną.

Już niedobrym, owszem bardzo nagannym i wręcz narodowi całemu szkodliwym skutkiem wypadków wrzesińskich były pewne demonstracye, a raczej wybryki, dzięki Bogu tylko sporadyczne, naszej młodzieży. Tani to patryotyzm, a nawet wcale nie patryotyzm popisywać się ulicznymi burdami i wybijaniem szyb, choćby pruskiemu czy niemieckiemu konsulowi. Sport to tylko lekkomyślny, a nie ta dzielność, którą od dzieciennych lat powinniśmy w sobie wyrabiać, jeżeli to jedno co nam jeszcze zostało, wiarę świętą i byt narodowy, mamy przyszyłym pokoleniom zachować.

Naganniejszemi od tych wybryków młodzieży, której, ze względu na brak doświadczenia i właściwą jej krewkość, wiele można przebaczyć, są namiętne nawoływania różnych fałszywych proroków, wyzyskujących sprawę wrzesińską do rozbudzenia szczepowej nienawiści wśród łatwo zapalnych słuchaczy lub czytelników i miotających niemądre ono »hańba« każdemu, co do ich tonu nie chce się dostosować. I to nie jest patryotyzm, lecz lichy tylko patryotnictwo, które bez ofiary, kilku szumnymi frazesami chce zdobyć bodaj chwilową popularność: tem gorsze, że nienawiścią zatruwa ducha na-



rodu. Takie uczucie wyziębia tylko serca, osłabia energię, a ostatecznie podcina i obraca w poniewierkę by też najświętszą i najszlachetniejszą sprawę.

A czegoż wobec tych przejść bolesnych życzyć ma narodowi swemu szczerze i głęboko kochający go kapłan?

Tego rodzaju przejścia dopuszcza Opatrzność Boża tak na jednostki, jak na narody, aby w cierpieniu, równie serdecznem jak szlachetnem, dojrzewały coraz więcej i wychodziły dzielniejsze i hartowniejsze z pod ciosów.

Przedewszystkiem uzbrojmy się w chrześcijańską miłość. Przekonani cudzym przykładem, do czego prowadzi ślepa nienawiść i zawziętość, leczmy się z wszelkiego szowinizmu, który bynajmniej nie jest miłością ojczyzny, lecz uczy tylko nad wszelką miarę ślepo przeceniać wszystko co swoje, a więcej jeszcze, nienawidzieć innoplemieńców. Miłość ojczyzny jest cnotą chrześcijańską; szowinistyczna pycha i nienawiść obcych jest na wskrós pogańską. Samo wyrachowanie egoistyczne mówić nam powinno, że nienawiść naszą przeciwnicy większą jeszcze nienawiścią nam odplacą, a ponieważ my jesteśmy stroną słabszą, więcej stąd sami szkody odniesiemy, niż przeciwnikom wyrządzić zdolamy. Ale po co nam się uciekać do zimnego tylko wyrachowania. Byliśmy zawsze, jesteśmy i, da Bóg, pozostaniemy aż do końca narodem chrześcijańskim — to jest chluba, to cała nadzieja nasza. A jedną z głównych zasad chrześcijańskich — miłować nieprzyjaciół swoje. Jesteśmy narodem pokutującym za grzechy ojców naszych i za nasze własne. Wieleśmy względem wielu,

a podobno najwięcej względem samych siebie zawinili; więc modlitwą naszą powinno być ono: »Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom«. Niemcy z dawnych lepszych swoich czasów mają po dziś dzień mądre i dobre przysłowie: *der Sache Feind, des Mannes Freund*. Brońmy choćby do upadłego praw naszych, zwłaszcza onego prawa na wskrós świętego do wiary katolickiej i swobody sumienia; brońmy przyrodzonego prawa do naszej narodowości i mowy ojczystej; ale umiemy oszczędzać przeciwników, — zwłaszcza że system prześladowczy, jaki bynajmniej nie u wszystkich Niemców, ale w pewnym tylko ich odłamie chwilowo wziął górę, rychło — miejmy w Bogu nadzieję — ustąpi godziwszym prądom. Tylko duchem chrześcijańskiej miłości bliźnich, nawet nieprzyjaciół, zahartujemy się do walki i staniemy się niezwyciężonymi.

A dalej z wypadków wrzesińskich bierzmy i tę naukę, że podobne zajścia, jakich w Poznańskim byliśmy świadkami, możliwe są jedynie w takich szkołach, które najniesprawiedliwiej z pod wpływów rodziny i Kościoła wyjęto, i na rzecz wszechwładnego państwa zmonopolizowano. Szkoła, o ile jest wyłącznie państwową, musi być tem samem instytucją polityczną i jako taka służyć koniecznie zmieniającym się ustawicznie rządóm i prądom politycznym. Nauczanie a więcej jeszcze wychowanie w takiej szkole państwowej raz po raz schodzi na drugi plan. Wiem bardzo dobrze, że i w państwowych szkołach niemało jest ludzi najlepszej woli i pełnych poświęcenia, którzy osobistymi przymiotami zgubne skutki złego systemu zmniejszają, ale to nie usuwa winy państwa, które pochwyliło szkołę w swe

kleszcze biurokratyczne i położywszy ciężką swą i niezgrabną rękę na całym szkolnictwie, chce, a przynajmniej doprowadza do tego, że nauczyciel niejednokrotnie nie tyle jest nauczycielem i wychowawcą, — a nawet kapłan nie tyle być może kapłanem i ojcem młodzieży, jak raczej krępowanym tysiącnymi przepisami regulaminu urzędnikiem. Jeżeli się zdarzy, że przy której szkole urzędują nauczyciele w rodzaju wrzesińskich, których Kościół i rodzina nie mogą, a państwo ze względu na swoje cele poskromić nie chce, to świeżo przekonaliśmy się do czego to prowadzi. Niechże to będzie jednym z owoców ostatniego naszego cierpienia, żebyśmy dla poratowania naszej młodzieży nie ustawiali w usiłowaniach, póki nie odzyskamy dla Kościoła i rodzin należnego im wpływu na szkołę i nie obalimy państwowego monopolu szkolnego.

Wrzesińskie zajścia donośnym głosem i to nam jeszcze mówią, jak niewzruszoną siłą narodu jest szczerze do wiary i mowy ojców przywiązany lud. O ten surowy i twardy fundament, jak długo się nie rozluźni i nie rozsypie, rozbić się muszą najgroźniejsze nawet ataki nieprzyjaciół.

A więc dbać nam jeszcze coraz więcej o tę najszerszą podstawę narodu, aby pozostała zdrową i silną; szerzyć wśród ludu coraz więcej prawdziwie chrześcijańską oświatę, wiarę jego szanować i nie osłabiać jej niczem, umacniać go wreszcie ekonomicznie, aby ten zagon ziemi, który tak gorąco ukochał, pozostał w jego ręku i dał mu tyle przynajmniej chleba, aby nie musiał przymierać z głodu i nowej szukać ojczyzny między

obcymi. To jest ta prawdziwa chrześcijańska demokracja, o której pisał niedawno Ojciec św. Leon XIII a którą nam wskazuje dobrze zrozumiana nauka Chrystusa i nawet nasz własny narodowy interes.

A na ostatek rozumiemy i tę najważniejszą naukę, jaką nam dają wypadki wrzesińskie, że sam jeden tylko Pan i Bóg nasz jest naszą obroną. Z wiary w Boga i z wierności dla Boga lud wrzesiński i wraz z nim nieletnie nawet dzieci zaczerpnęły tego hartu niezłomnego, który w nich podziwiamy i który im zdobył sympatyę świata. Sympatyę te ani im ani nam niewiele pomogą, jak nie pomogły Boerom. Nie ludźmy się, jak to nieraz z wielką szkodą naszą czyniliśmy, płonną nadzieją w obcą pomoc. Rozumiemy i tego się trzymajmy, że wiara w Boga i wierność dla Boga, połączona z usilną wewnętrzną pracą nad wyrobieniem i umocnieniem nas samych, jest jedyną, ale i niezłomną, naszą ostoją.

*Ks. Henryk Jackowski.*

---

## Z PAPIERÓW POŚMIERTNYCH KS. MORAWSKIEGO <sup>1</sup>.

### POJĘCIA O CZYŚCU POZA CHRYSZTYANIZMEM.

I poza chrystyanizmem — i poza Izraelem, którego wierzenia i pisma były tylko przygotowaniem chrystyanizmu — istniały w ludzkości jakieś wyobrażenia o czyścu. Czy to były resztki wypaczone pierwotnego podania czy może instynktowe wnioskowanie, że umarli mniejszemi obarczeni winami na drugim świecie mogą i muszą się cierpieniem oczyszczać — wniosek w zasadzie rozumny, ale niebawem wypaczony i w nadziwniejsze obleczonej formy i mity? To drugie zdaje się prawdopodobniejsze, ale i pierwszego się nie wyklucza. To kwestya związana z ogólnym poglądem na początek religii, której tu rozwiązywać nie potrzebujemy.

Tak zwany kult umarłych, który u wszystkich ludów się spotyka, jest jednym z powszechniejszych objawów religii ludów. Ale ten kult umarłych, gdy mu się z bliska przypatrzemy, objawia się w przeróżnych zawsze praktykach, a te praktyki są wyrazem wierzeń i pojęć o stanie zagrobowym. U wszystkich niemal ludów jest, jak wiadomo, jakieś pojęcie o wymiarze sprawiedliwości zagrobowej: życie szczęśliwe czeka dobrych, kary złych. Ale, co może mniej wiadomo, a raczej, co mniej naszą uwagę zwraca — kary te są dwojakie: dla najgorszych są wieczyste,

<sup>1</sup> Artykuł ten pozostał jako materyał do uzupełnienia I części Obcowania Świętych (do następnych niestety nic niema). Drukujemy bez zmian.

bez nadziei, dla innych są co do czasu ograniczone a przytem oczyścić zdolne tych umarłych i oczyszczające ich w końcu.

I owszem pojęcia ludów o tych ostatnich karach są powszechniejsze i wyrazistsze niż o pierwszych. Innemi słowy: czyściec jest jeszcze notoryczniejszy w religiach starożytności niż piekło — choć i piekło nie jest im tajemem.

Stary Egipt żył głównie, jak wiadomo, myślą o przyszłym życiu. Już Greków, szczególnie Herodota, uderzała wspaniałość jego doktryn o tem, ale dziś nie potrzebujemy wiadomości tych brać z drugiej ręki: mamy przed sobą, prócz mnóstwa innych zabytków, jedyną w swym rodzaju księgę, pisaną częścią od czasów pierwszych dynastji a zawierającą całą naukę o przyszłym życiu<sup>1</sup>. Dawniejsi egiptologowie nazywali ją „Rytuałem pogrzebowym“<sup>2</sup>. Dziś, spostrzegłszy, że treść jej ogromem swym rozsadzała tytuł, nazywają ją „Księgą umarłych“. Ale sami Egipcyanie zwali ją „Księgą zjawienia się, wyjścia na światło“. W niej nauka o drugim świecie roztacza się w szeregu dyalogów między umarłym a pojedynczemi bóstwami, które go z kolei pouczają o tem, co widzi: w dyalog wdają się też dusze, które już dawniej tam się dostały, a czasem też kapłan, sprawiający obrzęd pogrzebowy. Świat ten, w którym staje umarły, jest światem podziemnym, oświeconym jednak hojnie przez boga słońca w nocnym jego obiegu. Wędrowka po nim jest uciążliwa, pełna starć i niebezpieczeństw. Dusza człowieka umarłego złączona

<sup>1</sup> *Le livre des Morts des Anciens Égyptiens*. Traduction complète par Paul Pierret. Paris 1882.

Księga umarłych znana jest w całości uczonym od lat kilkudziesięciu. Ponieważ jednak w mnogich jej odpisach znajdowano pewne warianty i wiedziano, że za VIII dynastji zarządzono jej rewizyę i definitywne wydanie, stąd międzynarodowy kongres egiptologów powierzył Edwardowi Naville wykonanie umiejętnego wydania tekstu tej księgi. Wspaniałe to dzieło mamy przed sobą. Pierwszy tom *in folio* zawiera tekst hieroglificzny z wiernie oddanymi rysunkami i winietami, które jasno ilustrują ten tekst. Drugi tom zawiera same warianty; tomik dodatkowy mieści wstępne uwagi o źródłach użytych. Prócz tego tekstu hieroglificznego (dla mnie, przyznaję, nieprzystępnego) mam też przed oczyma dosłowne jego tłumaczenie.

<sup>2</sup> Tak ją jeszcze nazywa Fr. Lenormant.

jest w pierwszej dobie jeszcze z jakąś eteryczną, nawpół materialną powłoką, zachowującą formę ciała, ale i tę kiedyś porzuci, jeżeli kiedy do najwyższego dojdzie stanu. Ciało należy ile możliwości ochraniać od zepsucia, bo ono ma kiedyś (po tysiącleciu) zmartwychwstać, a rzecz prosta, że, według wyobrażeń tych ludzi, łatwiej i przystojniej dusza dźwignie swe ciało, gdy je w jakiej takiej znajdzie całości.

Środkiem do zwyciężenia tych przeszkód jest wiedza. Tę wiedzę bogowie wciąż zalecają — o tę wiedzę dusza wciąż prosi, teksty nazywają ją często nasyceniem, pokarmem duszy. W najpóźniejszych dopiero czasach wstawiają kapłani miasto wiedzy papiirusy zapisane, które, wklejane do trumien, mają tak samo kierować umarłego na drugim świecie jak wiedza.

Ale jeszcze ważniejszym, niż wiedza, środkiem i końcowo decydującym jest życie sprawiedliwe. Dusza, na końcu swej pielgrzymki podziemnej, staje przed trybunałem Oziirysa i tam zdaje sprawę ze swego życia, według formularza podanego w 124 rozdziale w Księdze umarłych, którego moralną wzniosłość wszyscy dziś podziwiają. Jeżeli umarły uznany jest za ciężko winnego, wówczas jeden z bogów złych, na rozkaz Oziirysa, ścina go: ścięcie oznacza, jak się zdaje, zgładzenie zupełne, anihilację. Jeżeli tak winnym nie jest, to jeszcze bogowie jacyś przeprowadzają go w postaci małp przez staw płomieni, „gładząc resztki płam, które jeszcze zachował i niszcząc jego winy“<sup>1</sup>. Po tem wszystkiem dopuszczonem bywa do zmartwychwstania. Dalsze losy zmarłego opisane w sposób coraz mglistszy, trudniejszy do zrozumienia. Zmartwychwstanie, jakie sobie wyobrażają, to nie jest zmartwychwstanie definitywne, do chrześcijańskiego podobne, ale jakiś powrót do tego samego ciała po lat tysiącu, by znowu rozpocząć życie w warunkach może szczęśliwszych. Czy może cykl takich powrotów do ciała będzie się powtarzał bez końca? Nie, rozumni Egipcjanie rozumieli, że takie wirowanie bez końca i celu jest dla duszy ludzkiej niemożliwem i oznaczali kres tych zmartwychwstań po trzech zmartwychwstaniach czyli

---

<sup>1</sup> Rozdział 126.

po trzech tysiącach lat. Wtedy duch ludzki, czysty, bez ciała i bez owej eterycznej powłoki, złączyć się ma z bóstwem światła, i nie wiadomo, czy to złączenie jest zlaniem się z bóstwem w jedno czy też duch ludzki zachowuje w pojęciach egipskich osobowość swą na wieki. — Teksty są w tych końcowych zagadnieniach tak ciemne, że nie podobna tego rozstrzygnąć.

Już wprawdzie od początku swej wędrówki pośmiertnej nieboszczyk identyfikuje się stopniowo, część po części, z Ozi-rysem; nazywają go nawet Ozi-rysem z dodatkiem jego imienia; że jednak to ubóstwienie, to zlanie się z Ozi-rysem nie jest zupełnem, tego najlepszym dowodem jest, że jeszcze potem nieboszczyk ten drży przed trybunałem istotnego Ozi-rysa i może być przez niego na zagładę skazany.

Widzimy więc, że Egipcyanie oprócz boskości absolutnej, tego co jest bóstwem z natury, pojmują jeszcze boskość względną, polegającą na jakimś większem lub mniejszem złączeniu się z bóstwem i uczestniczeniu w niem<sup>1</sup>. I inne też ludy przypisywały szczupłej garstce wybranych heroów lub królów to względne uczestniczenie w bóstwie; ale u Egipcyan wszyscy umarli w jakimś stopniu (nieskazani na zagładę) w boskości uczestniczą i konsekwentnie uczestniczą w nazwach boskich, nawet w najwyższym kulcie bóstwa. Każdego wolno wzywać i każdemu świątynie stawiać. Kult faraonów zmarłych odznaczał się wspa-niałością w budowaniu świątyń osobnych, na co prywatnych nie stać było; ale nie znać wcale — by ich many innym podlegały prawom na drugim świecie, niż reszta umarłych. W rezultacie Egipcyanie mają pojęcia jasne o życiu zagrobowem duszy bez ciała, o wymiarze sprawiedliwości boskiej, jaka ją czeka; daleko skąpsze i niewyraźne wyobrażenia mają o piekle i o potępieniu. Ale znowu dość jasno pojmują zagrobowe kary czasowe

---

<sup>1</sup> Egipcyanie prawie nigdy nie przedstawiają bogów w postaci pojedynczych zwierząt, ale często składają te postacie z głowy jednego zwierzęcia i ciała drugiego, albo z ciała ludzkiego z głową zwierzęcą i odwrotnie. Tym sposobem najlepiej uwydatniają charakter symboliczny tych przedstawień, podstawą zaś tego symbolizmu są pewne właściwości owych zwierząt.



i oczyszczające. Wszystkie znoje umarłego w jego wędrówce podziemnej mają poniekąd ten charakter, ale jeszcze wyraźniej ma go to przeprowadzenie przez basen ognisty, już zaraz po sądzie Ozirysa, przyczem, jak widzieliśmy, resztki grzechów się gładzą.

Jest to, niewątpliwie, bogaty zasób wiedzy o drugim świecie. Wobec tego mówić<sup>1</sup> — jak jeszcze różni filolodzy i antropologowie mówią —, że Grecy pierwsi wymyślili duszę odrębną od ciała, szukać początku kultu umarłych w jakichś ciemnych fragmentach orfickich..., kiedy się ma pod ręką pomniki egipskie, tak dawne i tak jasne: to doprawdy uśmiech politowania wzbudza.

Z drugiej strony to wszechubóstwianie umarłych tłumaczy nam dlaczego kontakt z tą religią tak był niebezpieczny dla mono-teizmu synów Izraela. Ono też pozwala się dorozumieć, że pod jego osłoną roić się musiało w Egipcie od najrozmaitszych praktyk zabobonnych, wywoływań umarłych i różnych sztuczek wróżbiarskich. Przypuszczam, że początkowo trudnili się tem pokatni wróżbiarze i szarlatani; z czasem jednak niewątpliwie przyszło do tego, że i stan kapłański takimi zabobonami i sztukami pomnażał swe (może upadające) dochody, a poziom swój umysłowy obniżał. Nawet święta Księga umarłych nie jest wolna od tej zakały.

Ale już dosyć o Egipcie. Zatrzymaliśmy się nad nim dłużej, bo jest to najstarsza na świecie cywilizacya, której wpływ był najrozleglejszy. Od dawna wiemy, jak ogromnie wpłynęła na Greków; sami Grecy to uznawali. Dziś raz po raz się do-

<sup>1</sup> Pan Jerzy Perrot w niby uczonym artykule *La religion de la mort et les rites funéraires en Grèce* (w *Revue des deux Mondes* 1895, 1 Nov.) twierdzi, że Grek właściwie wymyślił istnienie duszy odrębne od ciała a wymyślił w następujący sposób: grzebiąc swych umarłych wyobrażał sobie w pierwotnem dzieciństwie swoim, że oni jeszcze trochę żyją, dlatego nosił im jeszcze pokarmy, polewał ich groby i myślał, że nieboszczyk w ten sposób pielęgnowany zachowywać się musi. Ale gdy w końcu czy z ciekawości, czy przypadkiem, otworzył taki grób i przekonał się, że ciało zepsuło się zupełnie, wtedy, nie chcąc puścić pierwotnej swej zachcianki, zaczął myśleć, że chyba coś z tego umarłego wyszło, jakiś duch, jakaś para, *psiche* i że to coś przypuszczoną resztkę życia zachowywać powinno. I tak to wielkie dziecko wymyśliło dużo! (sic)

wiadujemy, że najdalsze ludy Wschodu były pod jej działaniem<sup>1</sup>. I świeżo odkopywany grób staro-kartagiński uwidocznia jej wpływy na oświatę punicką<sup>2</sup>.

Inne ludy, które posiadały też księgi święte, przechowujące ich pierwotne religie, dość wyraźne mają wyobrażenia o trzech stanach dusz na drugim świecie. Zend-Avesta Persów opisuje sąd moralny, jakiemu podlegają dusze na moście *Czinewad*, prowadzącym z tego świata na drugi. Potem z poezją opisuje z jednej strony wzlot dusz czystych, jak wonnych par, do mieszkania Ormuzda: „Kimże jesteście, pyta ich, dusze czyste, żeście tak doszły ze świata utrapień do tej siedziby, gdzie Ojciec (Aryman) żadnej już nie ma mocy“; z drugiej strącanie dusz grzesznych w ciemności *Duzak* i męczenie ich tam przez złych Dewsów. Los jednak dusz złych nie jest wcale równy: bo i winy ich równe nie były. Jedne oczyszczają się z nich przez te cierpienia i przez modlitwy i dobre uczynki krewnych. Raz do roku *Duzak* się otwiera i wypuszcza poczet dusz oczyszczonych. Drugie, których występki są tak ciężkie, że ani swemi mękami ani modlitwami swoich krewnych zgładzone być nie mogą, pozostają w tem piekle do końca<sup>3</sup>.

U Indusów, nie dzisiejszych rozumie się, ale dawnych czcicieli Brahmy, mimo gmatwaniny pojęć religijnych, można jednak wybrać kilka podstawowych pojęć o czyśc. Pojęcie ekspiacy zagrobowej jest u nich szczególnie wybitne. Szczegółowo opisane są w ich księgach męki, jakie ponoszą umarli za rozmaite winy. Siedmiu sferom wznoszącym się nad ziemią dla rozmieszczenia doskonałych odpowiada drugich siedm sfer pod ziemią, w których dusze grzeszne rozmaite przebywają kary i męki. Wszystkie jednak te cierpienia oczyszczają je i skończą się kiedyś, przynajmniej po wielkiej dobie 12000 lat. Ale niżej jeszcze od tych siedmiu sfer (albo ośmiu wliczając ziemię) udre-

<sup>1</sup> *L'art Indien*, par Maurice Maindon. (*Bibl. de l'enseign. des Beaux Arts*) 1898.

<sup>2</sup> *Les fouilles de Carthage*, par Philippe Berger. *Revue des deux Mondes*—1 Juin 1899.

<sup>3</sup> *Zend-Avesta*, Versidad 12, 19. Luken.

czeń jest *Onderah*, gdzie pogrążeni są zbrodniarze, potępieni nieodzownie. Ten był już przed początkiem świata i nie skończy się nigdy<sup>1</sup>.

Podobne wierzenia znajduje uczony Luken w religiach Chińczyków i innych ludów azjatyckich<sup>2</sup>; także u Germanów<sup>3</sup>. Grecy nie mieli nigdy ksiąg świętych, któreby uważali za nieetykalny wyraz swych wierzeń. Mimo to znać u dawniejszych i powszechnie uwielbianych poetów jak Homer, Hezyod, Pindar<sup>4</sup>, tudzież u naczelnych filozofów, jak Platon<sup>5</sup>, pewne wspólne

<sup>1</sup> Müller: *Glauben und Wissen der Hinden*. — Luken: *Die Tradition*, ks. III, rozdz. 3, § 92. n. 3.

<sup>2</sup> Tamże § 93.

<sup>3</sup> Tamże § 95.

<sup>4</sup> Olymp II, r. 58—75:

..... W państwie Jowisza  
(popelnione) występki pod ziemią ktoś rozważnie osądza, ze straszną  
rzekłbyś koniecznością.

Ciągle (przeciwnie) tak po nocach  
jak i we dnie ciesząc się światłem, nie tak znojne (jak ziemskie)  
sprawiedliwi prowadzą życie, nie orząc gleby  
ciężką dłonią,  
ani też nie (prując) fal morskich  
z ubóstwa. Ci, których czcić raczą  
bogowie, którzy słyną z dochowania przysięgi,  
wesołej używają  
wieczności; gdy (tymczasem) przewrotni niepojęte ponoszą męki.

Ci co zdołali po trzykroć  
po obu stronach (na ziemi i w Hadesie) przebywając, wolną od wszelkich  
duszę, ci kończą swą pielgrzymkę w Kronosa [zbrodni zachować  
grodzie; tam to niebo i  
ziemię oceanu  
duch owiewa, a kwiaty złotem jaśnieją;  
jedne z nich (widnieją) od brzegu na okazałych drzewach,  
a inne woda wychowuje;  
wieńcami tego (kwiecica szczęśliwi) ręce i skronie oplatają.  
(zasiadając) na sprawiedliwych sądowych wiecach Radamanta.

<sup>5</sup> „Kiedy więc umarli dochodzą do tego miejsca, gdzie każdego z nich doprowadza demon (duch podrzędny grający rolę anioła), wtedy naprzód odbywa się tam nad nimi sąd, wtedy naprzód rozsądza się, którzy z nich uczciwie i święcie, a którzy inaczej żyli. Ci tedy, którzy miernoty

podstawy religijnych wierzeń, tradycją ludu przechowanych. Między temi zaś tradycjami uwydatniają się jasno pojęcia o karach oczyszczających. Wergiliusz, który, obok talentu poety, miał zakrój archeologa, zbierał skrzętnie te podania i tłumaczył w swych wierszach. Opis Hadesu, jaki kładzie w usta Anchisesa, ukazującego się Eneaszowi, jest bardzo charakterystyczny: w niektórych wierszach kary oczyszczające uwydatniają się uderzająco jasno. Po długim pobycie w tem podziemnem królestwie Plutona, w przeróżnych przybytkach, gdzie więcej albo mniej albo wcale nie cierpią, wedle zasługi, dusze wreszcie oczyszczone przychodzą znowu na świat. Dusze doskonale oczyszczone nie wracają już do swych ciał, jak u Egipcyan, ale wchodzą w nowe ciała dzieciące, zapomniawszy o przeszłości. Pojęcia wieczności szczęśliwej nie znać u nich, zato nieco wyraźniejsze mają pojęcie wiecznego potępienia: od Hadesu odróżniają stale Tartar, gdzie najwięksi zbrodniarze i bluźniercy, oczyszczenia niezdolni, męczeni są wiekuiście.

Greckie pojęcia o zagrobowym stanie dusz mniej się nadają niż egipskie do wywoływania plagi zabobonnych praktyk; i u nich jednak pojawiają się one raz po raz. Już u Platona znajdujemy wzmiankę o szarlatanach, którzy sprzedawali tajemnicze sposobiki niesienia ulgi krewnym na drugim świecie. Później, gdy Grecy opanowali Azyę i Egipt, napęłnił się ten wschodnio-grecki świat nie tylko mieszaniną języków i religii, ale i surrogatów religii najpodlejszego gatunku i, rozumie się, niezliczonych wyzyskiwaczy, którzy, nadużywając łatwowierności ludu, udawali stosunki z bogami, z umarłymi, z czem kto chciał. Weiskali się na dwory greckie. To samo powtórzyło

---

się trzymali, przysłani są do Acherontu i, wszedłszy tam i wsiadłszy na czółenko, które dla każdego z nich są przygotowane, dostają się aż do błotnistego jeziora. Tam mieszkają i oczyszczają się w karach za swe nieprawości; kiedy się zaś w końcu oczyścili, uwolnieni są od kary i znowu wedle zasługi dobrych swych uczynków nagrodę otrzymują. Tych zaś, którzy dla wielkości swych zbrodni nieuleczalnymi się widzą, ci mianowicie, którzy świętokradztwa liczne lub mordy niegodziwe lub inne podobne czyny popełnili, tych wszystkich los odpowiedni pogrąża w Tartarze, skąd nie wychodzą nigdy... — Fedon, p. 113 d, e.

się na jeszcze większą skalę, albo raczej posunęło się dalej, gdy Rzymianie podbili Greków. Rzecz szczególna, że, ile razy Zachód mierzy się ze Wschodem, tyle razy zwycięża orężnie, ale zarazem zwyciężony bywa i opanowany duchowo i moralnie. I po każdym takim starciu spostrzegamy, że linia demarkacyjna, dzieląca te dwa światy, przesunęła się dalej na Zachód.

Kiedy chrystyanizm przyszedł, zastał już wszystkie owe religie starego świata przegniłe, rozłożone do szczytu, zostawały tylko na placu pokątne kulty jakichś bożyszczy, które się wstydzily światła i chmara czarnoksiężników, wróżbiarzy. To jednak czyniło jeszcze na tych zblazowanych i sceptycznych duszach jakieś wrażenie do religijnego podobne. Ale kiedy chrystyanizm zapanował nad światem pogańskim i podbił przekonania ludzkości, wtedy wszystkie te puszczyki pokryły się w niedostępnym kryjówek, ale istnieć nie przestają. Przez całe wieki średnie snuje się pod ziemią magia, odziedziczona po czarnoksiężnikach pogańskich; a jedną z głównych gałęzi tej magii jest zawsze nekromancya, sztuka wywoływania umarłych.

Kiedy wybucha rewolucya religii, reformacyą zwana, przy zamieszaniu powstało takie wzburzenie i zaniepokojenie umysłów, że rozpanoszyła się formalna demonomania i wszędzie widziano dyabła, palono czarownice, mordowano ludzi, w których zły duch miał się wcielić. Szał ten powstał i grasował najpotężniej w krajach protestanckich, Niemczech, Anglii; dopiero później i w słabszym stopniu zaraził kraje katolickie. Omówiliśmy to obszerniej, z poparciem powag na podstawie faktów i cyfr<sup>1</sup>. Ponieważ jednak cała ta epidemia czarnoksięstwa w XVI wieku zajęta była wyłącznie dyabłem a nie zajmowała się prawie duchami umarłych (zgodnie ze swym charakterem protestanckim), dlatego nie zwracamy tu na nią szczególnej uwagi. Dopiero w wieku XIX rozpanoszyła się nekromancya w całej pełni.

Pierwiastek rozkładu, który protestantyzm wpoił w wiarę chrześcijańskiego świata, rozkładał ją skrycie dalej. Przyłożyli

<sup>1</sup> W *Przeglądzie Powszechnym* z r. 1882, t. xx: „Co to jest hypnotyzm?“, str. 153 i n.

ostatnią rękę tu wolteryanie, tam filozofowie niemieccy i angielscy. I przyszło do tego, czego jeszcze nie było w świecie chrześcijańskim: całe rzesze poczęły czuć głód wiary i próżnię przekonań. W takim nastroju społeczeństwa bardzo podobnym do starorzymskiego krzewić się poczęły dziwnie prędko najdziwniejsze zabobony. Zaczęło się to najskromniej około r. 1873 od obracania stolików. Z chyżością cyklonu mania ta obiegła Europę; nie było prawie salonu, gdzieby się nie oddawano tej zabawie z jakąś niezdrową ciekawością i nie dawano choć trochę wiary odpowiedziom stołowych nóg. A najlepszy dowód, że pod zabawą kryły się jakieś wierzenia zabobonne, to fakt, że od stolików przeszło się niebawem do bliższych stosunków z duchami, które miały przez stoliki przemawiać. Znudzono się wypukiwaniem, zaczęto przywiązywać do nóg stolików ołówki, którymi duchy wypisywały odpowiedzi, wreszcie zachciało się same duchy widzieć — i zaczęto je wywoływać. Była to już formalna nekromancya, która tym razem nazwała się spirytyzmem. Spirytyzm rozszerzył się dziwnie prędko: już roku 1863 liczono 500000 jego adeptów. Hume był wówczas największą ciekawością Paryża, Alan Cardec wstrząsał Ameryką. Nawet Akademia nauk paryska czuła się spowodowaną wysłać ze swego grona Arago na kilka posiedzeń spirytystycznych.

Zarzucano od początku spirytystom (i poważniejsi z pomiędzy nich wcale temu nie przeczą), że odpowiedzi ich duchów są często widocznie kłamliwe, często sprzeczne między sobą, — skąd wynika, że przy najlepszej woli niczemu wierzyć nie można. Zarzucają im, co jeszcze gorsze, że cała treść tych odpowiedzi duchów, cały ich poziom naukowy i moralny nie przechodzi nigdy naukowego moralnego poziomu ludzi, biorących udział w tych doświadczeniach — co przy wielkiej liczbie tych doświadczeń dosyć dowodzi, że źródła ich treści nie trzeba szukać w jakichś wyższych duchach, ale w samem tem otoczeniu. Spirytyści szczerzy nie przeczą też..., ale stoją przy swoim: duchy nas najczęściej oszukują, ale przecież może kiedy prawdę mówią. Spirytyzm utrzymuje się, bo ma w naturze ludzkiej potężnego sojusznika, nie w rozumie, ale w namiętnej cieka-

wości do stosunków za światem. Bóg pouczył nas o drugim świecie, bo do niego dążymy, ale przysłonił go naszym oczom i wszelkim środkiem doświadczalnym: bo chce, żebyśmy czystą wiarą w Jego słowa do tego drugiego świata dążyli. Wiara wedle św. Pawła jest przekonaniem w rzeczach niewidomych<sup>1</sup>, nie podlegających doświadczeniu.

Otóż przeciwko temu prawu powstaje w głębi duszy człowieczej zdrożna i zabobonna chęć przekonania się, na swoją rękę, doświadczalnie o tamtym świecie, ruszenia tej nietykalnej zasłony i domacania się tego, co jest z drugiej strony. W ten sposób zabobonność ta, choć na pozór pokrewna wierze, bo także drugi świat uznaje, jest religijnością odwróconą i do innego celu niż Bóg prowadzi.

Zwolennicy spirytyzmu podnoszą często korzyści, jakie nam religia przynosi, przez to, że zmusza do wiary w istnienie duchów; opowiadając o nawróceniu z materyalizmu do pewnego spirytualizmu. Ale co mi to za przysługa: z jednego błędu przenieść się w drugi, mniej gruby może, ale z którego trudniej się wydostać, gdzie się trzeźwość myśli i równowagę traci, gdzie się uczucie religijne na to tylko rozbudza, żeby je wykołoić i przeciwko Bogu obrócić. Co za korzyść dla moralnego porządku wyniknąć może z rzeczy wręcz niemoralnej? A taką jest spirytyzm bezwarunkowo i w każdym przypadku; bo, czy są jakie duchy na jego usługach czy ich nie ma, w każdym razie on je wywoływać usiłuje i otwarcie się do tego przyznaje, jest więc po prostu nekromancyą, magią najgorszego gatunku: złą, jeżeli się sam ludzi, — gorszą jeszcze, jeżeli drugih oszukuje, — najgorszą, jeżeli prawdę mówi.

Powodziło się spirytyzmowi dobrze; brakowało mu jednak jeszcze czegoś do wypłynięcia na szerokie wody. Uczuł on naturalnie, że duchy, z którymi utrzymywał stosunki, są to po prostu dusze ludzi umarłych. Otóż katolicy i wogóle wierzący chrześcijaństwo zarzucali, że niedorzecznością jest przypuszczać,

---

<sup>1</sup> Żyd. xi.

żeby dusze, które są już u Boga, które Bóg już osądził ze spełnionego zadania życia, że by te dusze wałęsały się bez końca po ziemi i stawiały się na każde wezwanie ludzi bawiących się w spirytyzm. Z drugiej strony ludzie nie wierzący upatrywali w tej całej hipotezie zbyt jaskrawe resztki dogmatyzmu chrześcijańskiego; razi ich wogóle to, że jest to doktryna zbyt określona; otóż w ostatnich latach i z tego udało się spirytystom wypłynąć.

Korzystając z ułatwionych stosunków z krańcami świata i z bliskości pojęć, na jakich szeroka publiczność poprzestaje, spirytyzm podał rękę teozofii i neobuddyzmowi, okultyzm kultom bożyszcz wschodnich i zachodniego szatana. Złaz się z nimi w jedną nieokreśloną rzecz, a właściwie w jeden wir. Ludzie, którzy w tym wirze przewodzą, twierdzą śmiało, że mają tajemnicze konszachty z monasterami buddystów na Himalaju; za swoich uznają fakirów Indyi, nawet ciemnych szamanistów Syberyi, powołują się na nowo odkryte teksty klinowe i hieroglificzne, które mają zawierać esoteryczną umiejętność najstarszych dusz (szkoda, że tych tekstów nigdy nie cytują); głoszą (rzecz charakterystyczna, na zaraniu dwudziestego wieku), że klucz wiedzy był w posiadaniu najstarszej ludzkości, i o to tylko idzie, żeby go odgrzebać; usiłują (najniefortunniej) pogodzić naukowy pogląd na świat dzisiejszego Zachodu z mgławicznym panteizmem buddystów — słowem dążą do stworzenia, z jakimś ogólnie ludzkim podkładem, ogólnie światowej panmagii. Ruch ten, jak było do przewidzenia, rozszerza się jeszcze swobodniej, niż czysty spirytyzm, obejmuje wszystkie części świata; wszędzie zakłada swe kluby, związki, nawet świątynie; czasem tajna, zwykle jawna produkuje jego literacka, w pismach peryodycznych, gazetach i nawet grubych książkach, jest zdumiewającą. Przerzynając się przez te książki, doznaje się przykrego zawodu: nie znajduje się w nich nic — prócz jakiejś mglistej doktryny o wędrówce dusz z planety na planetę, bez wyraźnego moralnego zadania, — doktryny zaczerpniętej może sporo z wyobraźni buddyjskiej a przystosowanej prosto do dzisiejszych wiadomości astronomicznych.



Pogląd ten, przypuszczający wędrówki dusz ludzkich bez końca, różni się, jak każdy widzi, od starych wierzeń w Egipcie, Hindusów-bramiistów, Greków i wogóle pierwotnej ludzkości: oni wszyscy, choć przypuszczali długie wędrówki oczyszczania, uznawali przecież jakiś ich koniec po peryodzie zwykle trzech tysięcy lat. Umysł ludzki nie godził się z myślą pielgrzymowania bez końca i celu. Dziś wielu ludziom właśnie taki los się podoba. Poglądu naszego, mówią nieraz, nie możemy, co prawda, ściśle dowieść — ale zaprzeczyć się nie da, że jest piękny, swobodny... i ten urok nas ciągnie,

Poglądowi temu wieleby zarzucić można ze strony psychologii doświadczalnej, ze strony etyki i z innych stron. Ale zostawiając to wszystko na boku, jeden podnosimy wielki zarzut: arcynieracyonalnem jest w sprawie dla ludzkości tak niezmiernie ważnej gonić za mamiłkami wyobraźni, mniej lub więcej powabnej, ale bez cienia rozumności i dowodu, a nie nadstawiać uszu wielkiemu głosowi, który mówi z ponad świata: „Zaprawdę, co wielu mówi a cośmy widzieli, świadczymy... żaden nie wstąpił do nieba, jeno który z nieba zstąpił: Syn człowieczy, który jest w niebie“. — Otóż wiara i nauka chrześcijańska o zagrobowym losie dusz jest wręcz przeciwna owej teorii odmian bez końca. Zbawienie chrześcijan jest wieczne, — potępienie jest również wieczne i nieodmienne: „I pójda ci, mówi uroczyscie Chrystus, na mękę wieczną a sprawiedliwi do żywota wiecznego“. Żadnej może prawdy tak silnie nie głosił i nie wpajał jak tę. Peryodem zaś, w którym się ten los duszy decyduje, czasem jej kształcenia się, rośnięcia, zasługiwania jest, wedle Pisma, tylko czas ziemskiego życia. W tej myśli Pismo nas upomina, żebyśmy przed śmiercią zbierali zasługi: „Przed śmiercią twą czyn dobrze. Nie wstydz się (nie leń się) aż do śmierci się usprawiedliwiać, bo zapłata Boża trwa na wieki“. W temże znaczeniu Chrystus nazywa to życie „dniem“, do pracy przydatnym, a czas po śmierci „nocą, w której nikt pracować nie może“. Jeszcze zaś wyraźniej św. Paweł, mówiąc o trybunale Chrystusa, przed którym wszyscy stanąć mamy, określa, jakie to są sprawy, za które odniesiemy wtenczas nagrodę lub karę: są to

„sprawy w ciele uczynione“ — więc najwyraźniej: „czyny ziemskiego życia“.

Chrystyanizm, co więcej, zgodzić się nie może z myślą, żeby dusze zmarłych, które są u Boga, które zostały już przez niego osądzone, wałęsały się choćby po naszej planecie i były na każde zawołanie panów spirytystów. Protestanci prawowierni, którzy nic innego poza tem życiem, prócz nieba i piekła, nie uznają, jeszcze mniej przypuścić mogą, żeby dusze, czy z tego czy z owego miejsca, przychodziły wypukiwać w stolikach. Ci zaś, co wierzą w czyściec, wiedzą zarazem, że te dusze są święte, czyniąc zadość z doskonałą cierpliwością sprawiedliwości Bożej, odgradzone od naszego zjawiskowego świata, który swoim empirycznym prawom stale podlega. Mamy z temi duszami liczne stosunki, ale tylko mistycznej natury, przez modlitwę, wysługi, pokuty. Jeżeli coś od nich dochodzi do sfery doświadczenia naszego, dzieje się to za pośrednictwem aniołów<sup>1</sup>. Opowiadań, nawet między katolickim ludem wiarę znajdujące, o straszaniu i hukach po ementarzach i starych gmachach uważać trzeba ryczałtem za baśnie zupełnie bez podstawy i szkodliwe dla chrześcijańskich pojęć o stanie dusz na drugim świecie. Ale zwracają dziś coraz więcej uwagę na innego rodzaju fakta, które nie mają nic wspólnego z dziwactwami wyżej wspomnianymi, a jednak każą przypuścić pewien kontakt między duszami opuszczającemi świat a krewnymi lub przyjaciółmi w najdalszych zostającymi stronach; nawet ludzie nauki wyzuwają się w tych ostatnich czasach z dawnych uprzedzeń do wszystkiego co niezwykle, zwracają coraz więcej na te fakta uwagę, zbierają je pod bardzo szeroką nazwą telepatyi (pod którą już mnóstwo innych rzeczy, nic z tem wspólnego nie mających, się mieści) w osobnych peryodycznych pismach, jak angielskie *Proceedings of Society for Psychological Researches* i francuskie *Annales des sciences psychiques*. Największa część tych faktów dotyczy śmierci pewnych osób, o której krewni czy przyjaciele dowiadują się, przez rodzaj widzenia, prawie równocześnie. Znamiona wspólne, prawie

---

<sup>1</sup> Por. *Przegl. Powsz.* t. LXV, str. 404 sq.

we wszystkich tych faktach powracające, są: wielka odległość przy niemożliwości innych komunikacyi, równoczesność między śmiercią a wiadomością o niej, widzenie postaci albo słyszenie głosu, dające jakieś przybliżone wyobrażenie o tem, co się stało.

Wobec wielkiej liczby tych faktów i krytyki, jakiej ją poddają, nie chcemy ich z góry odrzucać, tem mniej kłaść ich ryczałtem na karb przypadku. Cóż więc o nich sądzimy? Niektóre z nich dają się doskonale tłumaczyć przez usługę aniołów stróżów. Nie jesteśmy jednak skłonni ogółem tych wypadków aniołom przypisywać; nie widzimy w tem niemożebności, żeby dusze ludzkie, naturalnym sposobem, zwłaszcza w chwili kiedy opuszczają ciało, mogły mieć kontakt z duszami sobie bliskimi mimo przestrzeni. Przestrzeń pojmujemy jako formę zjawiskową, od której jedynie ciała są zależne. Duchy nawet, według św. Tomasza, o tyle tylko są w przestrzeni, o ile w niej działają — to znaczy: dusze bytem swoim nie są od przestrzeni zależne. Kwestya, gdzie są (w empiryicznym pojęciu miejsca), nie ma dla nich sensu; dopiero, gdy działają na coś, co jest w przestrzeni, znajdują się w związku z pewną częścią przestrzeni. Dusza ludzka tę ma właściwość, że przez cały przebieg ludzkiego żywota żyje i czynną jest w swem ciele a przeto i związaną z miejscem, gdzie to ciało przebywa. W chwili zaś, gdy z ciała wychodzi, traci tę zależność; odległość przestrzenna, od której tak bardzo zależała, póki żyła w ciele, w tej chwili dla niej nie istnieje wcale. Ale ta sama dusza mogła mieć pewne związki duchowe z innymi duszami, które naturalnie kochała miłością macierzyńską, przyjacielską lub inną. Otóż, podobnie jak kamień lub inne ciało wysuwając się z miejsca, gdzie było w kontakcie z innymi otaczającymi je ciałami, wywołuje normalne pewne w tych ciałach wstrząśnienie, — podobnie, sądzę, dusza, wychodząc z ciała wśród boleści i konania, może naturalnie wywołać mimo odległości, choćby bezwiednie, w innych duszach, do których duchowo przylega i jest jakoby zrośniętą, przykre wrażenie. To wrażenie, odczute przez drugą osobę niewyraźnie a zarazem dziwnie przykro, pobudza natychmiast jej wyobraźnię wzrokową czy słuchową do utworzenia obrazu czy

głosu, któryby jakkolwiek, choć niezawsze szczęśliwie, uwyrażniał uczucie.

W ten sposób mielibyśmy jakiekolwiek wytłumaczenie głównych znamion owych zjawisk: przyczyną, która daje znać o śmierci mimo odległości, jest związek panprzestrzenny między duszami; warunkiem niezbędnym jest szczególny związek miłości między temi osobami; niedokładność i często cudaczność widzeń i głosów, przez które ta wieść dochodzi, pochodzi stąd, że sprawcą ich jest wyobrażnia tego, co wieść odbiera, pobudzona jednak w tym kierunku.

Gdyby się później wykazać miało — co dotąd nie jest do-  
wiedzione, bo fakta tego rodzaju zebrane nie są jeszcze liczne  
ani sprawdzone, — że dusza ludzka nie tylko w chwili wyjścia  
z ciała ma tę naturalną możność jakoby poruszania innych  
blizkich sobie dusz, ale że i w niektórych innych chwilach,  
nadzwyczajnych uczuć i cierpień, miewa moc coś podobnego  
zrobić; — byłoby to dowodem, nie że dusza ludzka przelatuje  
w paru chwilach od końca do końca kuli ziemskiej (bo to na-  
wet dobrego sensu niema i największa część dusz nie wie-  
działaby nawet, w którym kierunku lecieć), — lecz poprostu, że  
dusza, nawet w związku z ciałem zostająca, nie jest tak dalece  
od tego kawała materii i miejsca zależna, żeby nie mogła na-  
dzwyczajnym wysiłkiem i poza tym związkiem jakiegoś wpływu  
wywrzeć. Czytałem gdzieś u św. Tomasza, że dusza jest wpraw-  
dzie w tem życiu cała w ciele zanurzona, ale nie w całości,  
*tota sed non totaliter*.

Tyle przypuścić możemy o oddziaływaniu między jednym  
a drugim światem naturalnym. Już wielki czas, żebyśmy powró-  
cili do badań nadnaturalnych ich stosunków.

*Ks. Maryan Morawski.*

---

## OSTATNI UTWÓR HUYSMANS'A.

---

Pewien strach zawsze chwyta na widok rzeczy świętej w rękach przywykłych do wręcz odmiennych przedmiotów. Na próżno słyszy się o zmianie na lepsze, o długich rekolekcyach w klasztorze, o nawróceniu zupełnem: wierzy się w nawrócenie serca ale nie umysłu, na którego dnie — gdy chodzi o nowoczesnego autora — upatruje się zawsze resztki starego zakwasu. Wielu ludziom wyda się niepodobnem, by Huysmans, autor potwornego *Là-bas* i połowicznego *En route*, szczerze napisał żywot św. Lidwiny<sup>1</sup>, a jednak czytając niepodobna nie przyznać szczerości, nie uznać głębokiej wiary pomimo *extra* modernistycznej formy języka i stylu. Snać Huysmans, zmieniając się w chrześcijanina, pod względem literackim pozostał sam sobą: chwali Pana Boga mową dekadentyczną, nieco wyszukaną i dziwną, ale nie pozbawioną siły. Język francuski sływał dotąd z ubóstwa i przejrzystości, nazywano go *la fièvre gueuse*; obecnie pisarze usiłują go wzbogacić wydobywając ze starych pism i słowników mnóstwo nieużywanych wyrażen, w braku zapomnianych tworzą nowe, dowolne, byle oparte na romańskim pierwiastku. Usuwają w ten sposób zarzut ubóstwa, ale wraz z nim i zaletę jasności — przynajmniej dla nas, którzyśmy jeszcze z nimi się nie zżyli.

---

<sup>1</sup> J. K. Huysmans: *Sainte Lydwine de Schiedam*. Paris. P. V. Scott Éditeurs. 1901.

Nowość taka wydaje się podwójnie nową w literaturze pobożnej, w żywotach świętych, gdzie oko szuka napróżno pewnych uświęconych zwyczajem form hieratycznych. Tu zaś pole do innowacyi tem jest szersze, im życie św. Lidwiny samo z siebie więcej nadzwyczajności przedstawia. Huysmansowi zaś można przyznać, że z nich *con amore* skorzystał; złośliwy krytyk mógłby go posądzać o literacką pogoń za wrażeniem, o szukanie efektów w opowiadaniu pobożnych, nadprzyrodzonych zjawisk, jak inni szukają ich w opisie egzotycznych krain. Choroby św. Lidwiny były mu też obszernem polem do dogodzenia nowożytnej modzie obrabiania publicznie najmniej estetycznych a najprywatniejszych szczegółów. Rany, kalectwa, opuchnięcia, zgnilizna i rojące się w niej robactwo — dużo, zbyt wiele w książce miejsca zajmują. Co prawda, autor musiał je znaleźć w średniowiecznych źródłach, skąd czerpał swój wątek. Jest jednak różnica, iż to, co ówczesny pisarz wypowiadał z naiwności, z prostoty dziecinnej, dziś bywa wykładane umyślnie sztucznie, z chorobliwym lubowaniem się w przedmiotach drażniących nerwy lub wzbudzających grozę.

Ten właśnie sposób pisania psuje poniekąd podniosłą całość życiorysu św. Lidwiny i rzuca raz po raz przykrą nutę pomiędzy istotnie piękne ustępy; razi nas też parę cierpkich i nieogłędnych uwag autora o zwierzchności kościelnej, zachowującej się, zdaniem jego zbyt chłodno i ostrożnie wobec objawień, ekstaz i t. p.

Czy wogóle dobrze jest i roztropnie podobne cuda szczegółowo ludziom przedstawiać? Przed 20 laty możnaby stanowczo odpowiedzieć, że nie, bo racjonalizm tak był owładnął światem, iż nawet większość katolików przyjmowała — poza dogmatami wiary — tylko to, co się dało dotychczas dowieść lub wytłumaczyć przy lampce rozumu. Dziś prąd się zmienił: pycha wiedzy ludzkiej rozbiła się, jak się rozbić musiała, o tysiące nieprzeparty tajemnic w naturze i poza naturą. U wielu, żyjących bez wiary, wszczął się głód za światem nadprzyrodzonym, poczęli szamotać oponą dzielącą ziemię żyjącą od krainy duchów, utworzyły się gromady symbolików, pseudo-mystyków, spiryty-

stów. Strindberg pisze, iż w mieście uniwersyteckiem Lund, gdzie samych był znał ateuszów, zastał po dziesięciu latach grono adeptów sekt spirytystycznych, wywoływaczy szatanów i duchów. Dla takich, a jest ich więcej niż się na pozór zdaje, działanie mocy nadprzyrodzonej jest rzeczą prostą; chodzi tylko o to, by ich myśl od szatana odwrócić do Boga, od hallucynacyi do objawienia, od dziwu do endu. Jest więc cała kategoria ludzi, dla których nowe dzieło Huysmansa może być zbawienne.

Dla wierzących życie św. Lidwiny to dzieje nieskończonej miłości, czyniącej ze swych mąk Ukochanemu ofiarę za grzechy ludzkości. Przed nakreśleniem ich autor przestudyował dwadzieścia kilka dzieł hagiograficznych, aby lepiej zrozumieć, lepiej wejść w ducha świętej swej heroiny. W opowieści oparł się głównie na trzech współczesnych pisarzach: z tych jeden Jan Gerlac, zakrystyan klasztoru Augustyanów w Hindersem, był krewnym świętej i żył długo w jej domu. Drugi, Franciszkanin Jan Brugman, przetłumaczył jego pismo na język łaciński, wzbogacając je mnóstwem szczegółów, czerpanych z ust ostatniego jej spowiednika Jana Waltera. Trzecim jest Tomasz a Kempis. Wszyscy oni podają materiału sporo, ale chronologii żadnej; trzeba więc było pod tym względem kierować się własną logiką; i rzec można, iż autor wywinał się z tej trudności tak zrećnie, iż przeszłaby niepostrzeżona, gdyby sam nie ostrzegał. Zaczyna ogólnem tłem, straszliwie czarnem, nawet przeczernionym obrazem Europy na przełęczu dwóch wieków XIV i XV, w czasach schizmy kościelnej, opanowania Francyi przez Anglików i t. p. Obraz naciągnięty umyślnie, by przez odmalowanie oceanów zbrodni wykazać konieczność osobliwego zadosyćuczynienia. Oczywiście niema wzmianki o Polsce, gdzie świetlane rządy Kazimierza W., Jadwigi i Jagiełły, a zwłaszcza chrzest Litwy, byłyby mu mieszały szyki. Najprawdopodobniej jednak zgrzeszył przez nieświadomość, bo któżby dziś o naszych sprawach pamiętał? Zastrzegłszy się przed przesadą, nie można nie przyznać, iż wówczas w świecie było złego wiele, choćby wspomnieć tylko sekty hussytów i lollardów, świętokradztwa i mordy adeptów

czarnej magii, niesłuszne zabory i wojny. Ale obok nich było i świętych niemało; było komu modlić się i cierpieć za grzechy ogółu.

Lidwina urodziła się w Kwietnią niedzielę r. 1380 w miasteczku Schiedam, położonem w pobliżu Hagi, przy samem ujściu Mozy. Rodzice byli ubodzy; ojciec był miejskim pacholkiem, pełniącym służbę stróża nocnego, znanym w całej mieścinie z pobożności i cnoty; matka poczeiwą kobietą; — oboje wszakże ubodzy i liczną obarczeni rodziną musieli siedmioletnią córeczkę używać już do posług domowych. Matka pędziła do pracy, lecz nie gniewała się, gdy dziecko, spóźniwszy się z posyłką, wymawiało się wstąpieniem do kościoła, gdzie ją Najśw. Panna darzyła uśmiechem. Gorzej było, gdy Lidwina podrosła i gdy jej wdzięki ściągnęły konkurentów. Wtedy sam ojciec zaczął gwałtownie nalegać, by uczyniła wybór, a dziewczyna, chcąc się pozbyć nalegań, poczęła prosić Boga, aby jej odjął urodę. Wkrótce też Bóg ją wysłuchał i razem z krasą odjął jej zdrowie. Poczęła słabować, mogła jednak jeszcze chodzić i pracować, aż raz przez nieostrożność cudzą, przewrócona na lodzie, złamała sobie żebro w prawym boku. Złożono ją na łóżko, którego już nigdy nie miała opuścić. Wskutek złamania zrobiła się fistuła, a z niej rany, w których roilo się robactwo, przeciw czemu napróżno walczyła ówczesna sztuka lekarska. Z czasem wdały się inne choroby, o jakich tylko w średniowiecznych sprawozdaniach się czyta, aż wreszcie chora, okryta ranami, z jedną ręką bezwładną, z oczami krwawiącemi za lada promykiem światła, ujrzała się w niemożności nie tylko wszelkiego zajęcia, ale przyjmowania pożywienia i snu. Mogła przełykać tylko parę kropel płynu, a trwało to przez długie lata.

Męki te oczywiście powiększały, jak zwykle, lekarstwa, niewczesne rady, namowy i wyrzuty przyjaciół. Biedaczka, wijąc się rozpaczliwie na łożu boleści, długo nie rozumiała przyczyny swych cierpień: „Sza — mówi autor — zwykłą ludzką drogą, zanim na dziwne ścieżki Boże wstąpiła. Przez pierwsze cztery lata wszelka pociecha była jej odjętą. Zesławszy na nią tyle ciosów, Bóg odwrócił się, zdał się wcale jej nie znać. Położenie



jej wówczas równało się pewnie położeniu ogółu ludzi złożonych chorobą“.

Czy wszyscy chorzy przez te same walki moralne przechodzą — to stwierdzić trudno; pewnem jest atoli, że przez nie przechodzi niejeden człowiek zdrowy a nieszczęśliwy, niejeden też pozna zapewne własne uczucia i męki w przypisanych Li-dwinie pokusach. Słuchajmy:

„Po pierwszych dniach cierpienia pobudzającego do modłów, sprawiającego, że człowiek błaga z nadzieją, jeśli nie już rychłego wyzdrowienia to przynajmniej ulgi, przychodzi zniechęcenie. Wobec niespełnionych pragnień modlitwa słabnie, w miarę wzrastania bied skupienie ulata; własny smutny los pochłania wszystko, myśl staje się niezdolną sięgać poza siebie i czas cały przechodzi na opłakiwaniu własnego nieszczęścia. Modlitwy, odmawiane jeszcze przez przyzwyczajenie a może i przez ciche poduszczenie z nieba, owe modlitwy, o których sądzimy, że powinnyby tem lepiej być wysłuchane im są większą zasługą, tak bowiem trudno przychodzą! — zdają się wreszcie w chwilach zbytnej boleści powstawać przed Bogiem z gniewem i rozpaczą i wołać nań o spełnienie obietnic, jakie w Ewangeliach uczynił; powtarzamy z goryczą: „proście a otrzymacie“ i modlitwa kończy się w niesmaku i zniechęceniu. Straszne „na co się to przyda“ wżera się powoli w umysł, daremnymi wysiłkami znużony, a jeśli w chwili znikomego zapału, w chwili uciszenia boleści chcemy znów zacząć się modlić, zda się, żeśmy już zapomnieli. Inwokacye, zaledwie u brzegu serca poczęte, opadają i milkną, a Chrystus, zda nam się, nie raczy nawet się schylić, aby je podnieść; pokusa rozpaczy się wszeczyna a zły duch, podniecając zarzewie męczarni, staje się patetycznym, żalnym; przedkłada coraz silniej bezowocność modlitwy, przypomina odepchnięte westchnienia, aż chory wyczerpany upada bezsilnie“.

„Horyzont jest czarny, dal przed wzrokiem zamknięta. Bóg, którego wspomnienie mimo wszystkiego jeszcze góruje, wydaje się już tylko nieubłagany cudotwórcą, który jednym skinie-

niem mógłby wyleczyć a nie chce. Nie jest już obojętnym, jest wrogiem, na Jego miejscu miałoby się więcej litości!.. Czyżby się dało tak cierpieć ludziom, którymby tak łatwo można przyjść z pomocą? — Bóg zda się złym Samarytaninem, niepojętym sądzią. Napróżno w chwilowych błyskach rozsądku widzi się, że się zgrzeszyło, że trzeba odkupić winy, końcem końców dochodzi się do wniosku, że suma przestępstw nie jest dość wielką, by uzasadnić taką ilość bólu, i oskarża się Pana Jezusa o niesprawiedliwość, usiłuje się wykazać nierówność pomiędzy winą a karą; w takiej rozterce człowiek nie próbuje już innej znaleźć pociechy, jak rozczulania się nad samym sobą, jak wystawiania się za ofiarę niesłusznej srogości; im więcej wzdycha, tem bardziej się kocha, a dusza, otumaniona bałwochwalczem a żalościwem schlebianiem swojej istocie, zboczywszy z właściwej drogi błąka się samotnie, aż w końcu kładzie się znużona, odwrócona niemal tyłem do Boga, nie chcąc już mówić do Niego, nie chcąc nic, jeno, jak zwierz zraniony, schować się w kąt i cierpieć w spokoju“.

„Ten stan żalosny jednak niezawsze trwa równo. Biedna dusza czuje wnet, że w ten sposób nie zdoła się podnieść, a że nie może trwać nieruchoma, ta sama bezsilność obraca ją napowrót ku Panu. Wtedy wyrzuca sobie swoje zniechęcenie, swe skargi, błaga o przebaczenie i słodycz rodzi się w niej z tego zbliżenia; po trosze myśl poddania się woli Zbawiciela wyrasta i zapuszcza korzenie, chyba że czyhający szatan zdoła ci ją wydrzeć lub że odwiedziły czyjeś, spowodowane w dobroci serca nadzieją przyniesienia ci ulgi, nie chybią zupełnie celu odrzucając cię znowu w zamęt zazdrości i bólu. Jest to bowiem jedna z nędz właściwych biednym chorym: świat ich męczy, samotność im ciąży; jeśli nikt nie przyjdzie, czujesz się opuszczonym, zapomnianym przez najlepszych przyjaciół, a jeśli przyjdą, zastanawiasz się smutnie nad sobą i porównanie własnego stanu z ich zdrowiem powiększa twą żalność. Trzeba stać bardzo wysoko na drodze doskonałości, by w podobnych warunkach umieć zapomnieć o sobie. Lidwina, którą zmora niedoli

chyliła wciąż nad własną osobą, musiała zaznać tych mąk straszliwych, tej alternatywy światła i ciemności w krwawiącej duszy“.

„Co jest wiadomem to to, że wybuchała płaczem, gdy ją z ulicy dolatywał śmiech jej rówieśnic, i że z żalem pytała Boga, czemu ona jedna jest tak srogo dotknięta...“

Bóg jednak wiedział jak daleko sięgają jej siły, gdy zdawał się nie słyszeć jej płaczu.

Lidwina cierpiała tem, straszniej, iż jej w pierwszych latach pociechy wewnętrznej zabrakło. Bóg chciał ją całą, z duszą i ciałem przetopić w swym ogniu, kazał cierpieć w ciemności, w oschłości ducha, bez nadziei powrotu łaski. „Żadna istota ludzka — pisze Huysmans — nie byłaby mogła wytrzymać, gdyby nie nadzór Boży i gorąca podpora, tylko że Bóg przez ten czas oczyszczenia ukrył przed nią swą dobroć, odebrał jej swoje pociechy, odjął nawet pomoc dobrego księdza...“ Nawet jedyne lekarstwo dusz bolejących, Eucharystya, nieczęsto jej udzielaną bywała. Tomasz a Kempis pisze wyraźnie, iż gdy była zdrowa przystępowała do Sakramentów raz w rok na Wielkanoc; później, gdy się rozchorowała na dobre, otrzymała pozwolenie na dwukrotną rocznie Komunię; jeszcze później zaś komunikowała co dwa miesiące. Żaden ze świętych — pisze autor — tyle chyba nie cierpiał, bo tu, podzielone zazwyczaj męki duszy i ciała łączyły się w jedną, straszliwą całość. Ona sama już się niemal za straconą miała, gdy naraz Pan Bóg objawił jej cudem swą czujność: za jednym jej westchnieniem do nieba człowiek zagwany przez wrogów do jej mieszkania stał się niewidzialnym i uszedł pogoni. Zdumieli się obecni, zdumiała sama chora dziewczyna i odtąd poczęto w ubogiem domostwie otaczać ją większą czcią i uwagą. Matka, pocziwa choć gderająca, przestała łajać, ojciec stał się jeszcze czulszym, jeden z braci, Wilhelm, przylgął całem sercem do świętej siostrzyczki. Ona jednak płakała wciąż; ciało jej wśród gryzących boleści coraz szpetniejszą przybierało postać, członki, wychudłe do kości, nabrzmiewały miejscami potwornie, obok starych jęczących ran tworzyły się nowe. Cud podniósł ją na chwilę, zadziwił ale nie pocieszył;

po jasnej błyskawicy niebo zachmurzyło się znowu a ciemności wydały się tem czarniejsze, pustka tem większą. Proboszcz miejscowy dbał pono więcej o dobrą kuchnię, niż o dobro parafian, odmawiał nawet drobnej pomocy, o jaką prosiła, drobnostek dla ochłody ran.

Obok proboszcza jednak był drugi ksiądz — zapewne wikary schiedamski —, Jan Pot.

„On to — pisze autor — był wybranym przez Boga dla wskazania Lidwinie jej misyi, dla pokierowania nią w spełnieniu posłannictwa Bożego“.

„Pewnego dnia wyczerpawszy ogólne zdania, jakimi zazwyczaj pociesza się chorych, dodał poważnie:

— Dotąd, córko moja, nie rozmyślałaś o Męce Pańskiej. Spróbuj a zobaczysz jak ci jarzmo Boga, jarzmo miłosnej boleści, słodkiem się stanie. Idź z Nim na Górę Oliwną, idź do Pilata, towarzysz Mu na Golgotę.

Lidwina słuchała nie rozumiejąc dokładnie znaczenia słów. Podziękowała spowiednikowi za okazaną jej dobroć, a gdy odszedł usiłowała z rady jego skorzystać. Zaczęła myśleć, ale na próżno siliła się, by w wyobraźni wywołać sceny z Kalwaryi; umysł rozpraszał się, własne bóle zajmowały ją żywiej od cierpień Chrystusa. Próbowала więc krótkiej metody wskazanej przez księdza: zebrać myśli i rzucić je razem w ślad Zbawiciela; po chwili jednak wszystkie pędem wróciły i na niej samej spoczęły sprawiając tylko zamęt i znużenie... Słowem, owa medytacja na komendę wyczerpała ją i znudziła śmiertelnie. Za następną wizytą poskarżyła się spowiednikowi.

Jan Pot nie okazał zdziwienia. Pochwalił dobrą wolę Lidwiny i jął wykazywać cierpliwie, że sam ten stan oschłości, brak polotu i niesforność wyobraźni były już łaskami; zapewne też wyjaśnił jej, iż modlitwa przymuszona jest może najmiłszą Bogu, bo taka jedynie kosztuje i stanowi zasługę; powtórzył za św. Gertrudą, że ciągle pociechy, gdyby ich Bóg udzielał, rozmiękczyłyby duszę i umniejszyły jej dorobek na wieczność. Po takim wstępie zaś musiał już odchylić zasłonę przyszłości, ukazując jej rolę ofiary, jaką miała wypełnić na ziemi“.

— Droga twoja, Lidwino, jest jasną: masz się ofiarować za drugich, na odkupienie cudzych win; masz czynić miłosierdzie w formie najdoskonalszej, w formie istotnie Boskiej. Powiedz Jezusowi: Chcę dobrowolnie rozciągnąć się na Twoim krzyżu, chcę, abyś Ty sam wbił gwoździe. A Zbawiciel twój weźmie cię za słowo, przyjmie tę czynność kata i aniołowie posługiwać Mu będą; przyniosą Mu ciernie, bicz, powrozy, gąbkę, włócznię i żółć. Ale gdy cię raz ujrzy rozpiętą na drzewie, zawieszoną pomiędzy niebem a ziemią, tak jak On sam był na krzyżu, niezdolną jeszcze unieść się w błękity, lecz już nie dotykającą ziemskiego pyłu, — toż serce Jego rozplynie się litością i nie poczeka, aby cię spuścić z krzyża, aż sprawiedliwości Jego uczyni się zadość. Jak Jemu niegdyś Nikodem lub Józef z Arymatei, tak dziś On sam podtrzyma ci głowę a Najświętsza Panna położy cię na kolanach swoich, tylko że już nie będzie łez ani łkania, Marya uśmiechać się będzie a Magdalena uściska cię weselo jakoby młodszą siostrzyczkę...

Nie myśl przytem, by męka twoja była dłuższą, dotkliwszą od męki krzyżowej, pomimo iż ta była stosunkowo krótką i że wielu męczenników na pozór zniosło gorsze niż Chrystus Pan tortury, gdy ich łamano kołem, pieczono, rwano żelaznymi hakami, ubierano w rozpalone hełmy, prażono w oleju, piłowano w pół lub miażdżono powoli pod młyńskim kamieniem. Nie myśl tak, bo to nieprawda: żadna męczarnia nie dorówna męce Jezusa!

Wspomnij na wstępiej tej męki, na ogród w Gethsemani, na ową niezrównaną chwilę, gdzie, aby mózg bez przeszkody cierpieć w całej pełni na duszy i ciele, Chrystus jakoby zatrzymał czy zawiesił chwilowo swą boskość, gdzie wyzuł się całkowicie z właściwości swej nadludzkiej, niedostępnej cierpieniom istoty, by się tem lepiej zniżyć do poziomu swego stworzenia i jego cierpiącej natury. Słowem, na czas męki natura ludzka przeważyła u Boga-człowieka, a to — było okropnem. Gdy się nagle uczuł tak słabym i ujrzał straszne brzemień nieprawości, które Mu dźwigać przyszło, zadrżał i padł na twarz.

Czarna zasłona nocy rozwarła się, okalając olbrzymiemi

ramami cienia obrazy dziwnem oświetlone blaskiem. Na tle błyskawic przesuwały się wieki, tocząc przed sobą kłęb starych zbrodni spełnionych od upadku pierwszego człowieka, wszystkie bałwochwalstwa i kazirodztwa, świętokradztwa i mordy a pochodowi wtórował śmiech i okrzyki szatanów! Jezus, przejęty zgrozą, spuścił źrenice, a gdy je podniósł, mary ubiegłych pokoleń były znikły a w ich miejsce niegodziwości Judei, którą nauczał, roily się przed Nim. Ujrzał Judasza, Kaifasza, Pilata, ujrzał św. Piotra; ujrzał potwornych łotrów, którzy mieli niebawem plwać w Jego oblicze i skroń Jego wieńczyć kroplami krwi. Krzyż ponury i groźny wyrastał, czerniąc się na bezładnych niebiosach, a z głębi otchłani dobywał się jęk umarłych. Jezus powstał, lecz porwany zawrotem zachwiał się i wyciągnął dłoń: szukał innej, przyjaznej dłoni, szukał podpory. Był sam.

Wtedy powłókł się do uczniów, śpiących wśród cichej nocy i zbudził ich. Spojrzeli nań nawpół przytomni, strwożeni, pytający w duchu, czy ten człowiek o wejrzeniu tak niewymownej boleści, to ten sam Jezus, którego widzieli przemienionego na górze Tabor z promieniejącą twarzą i śnieżną szatą ognistą. Zbawiciel musiał uśmiechnąć się litośnie, zganił ich tylko, że nie umieli czuwać, zazchem po dwakroć jeszcze do nich powracał a potem poszedł znów konać sam jeden w biednym swoim kącie.

Ukląkł, aby się modlić. Obecnie wszakże chodziło nie o teraźniejszość lub przeszłość ale o przyszłość, która zbliżała się jeszcze od tamtych straszniejsza; wieki szły jeden za drugim, ukazując zmieniające się kraje i grody, morza nawet i lądy zmieniały kształt; jedynie ludzie pod różnem odzieniem pozostawali jednacy; mordowali i kradli i krzyżowali wciąż Zbawiciela dla nasycenia swych chuci, rozpusty swej i chciwości, a na tle przemijających wieków wznosił się złoty cielec nieknięty, niewzruszony i królował światu.

Wtedy upojon bólem Jezus jał pocić się krwią i wołać: „Ojcze! niechaj odejdzie ode mnie ten kielich!“ — ale wnet podany dodawał: „Wszakże nie jako ja chcę, ale jako ty...”

Widzisz więc, córko moja, że same te przedwstępne mę-

czarnie przewyższały wszystko, co wyobrażnia twoja nakreślić zdoła... A jednak najwyższy punkt cierpienia jeszcze osiągnięty nie był; miał być dopiero na krzyżu. Zapewne męka fizyczna była okropną, lecz jakże się bezbolesną wydaje przy tamtej! Tu bowiem na szubienicy uderzył nań szturmem zebrany kał wszelkich wieków, wszystkie hańby minione, obecne i przyszłe zbiły się niby w ohydną gryzącą ciecz i cuchnącą, zalały krzyż; drzewo jego ogarnął wyziew zarazy dusz, trupiej zgnilizny serc. O, ten kielich, który ofiarował się wypić — toż z niego wiała trucizna! Anieli pocieszający Pana w Ogrójcu obecnie zamilkli, wobec okropnej śmierci Boga przerażeni płakali; słońce uciekło, głązy pękając w posadach drżały...

Wówczas Jezus wydał rozdzierający krzyk: „Ojcie mój, czemuś mnie opuścił?...“

„Myśl o tem wszystkiem, Lidwino; przekonaj się, że cierpienia twoje lekkie są wobec tych boleści. Pomnij na wielkie dzieje Ogrojca, na dzieje Golgoty; patrz na twarz Oblubieńca sponiewieraną i zbitą, na głowę Jego najeżoną cierniami, kładź nogi twoje w ślady stóp Jego a w miarę jak dłużej za Nim iść będziesz, stacye staną się milszemi a droga mniej ciężką“.

Kapłan odszedł. Lidwina pozostała sama głęboko mową jego przejęta. Wkrótce posłuszna rzuciła duszę swą do stóp krzyża, złożyła z całej swojej istoty ofiarę za grzechy. Złożyła — ale na pozór daremnie. Serce jej pozostało oschłe, niebo zamknięte, myśl z wyżyn Kalwaryi odbiegła do ziemskich boleści. Bóg patrzył z góry i milczał. Wtedy na nowo polały się łzy a duszą wstrząsnęły pokusy rozpacz. „Aż nareszcie Wielkanoc zakwitła na cyklu liturgicznego roku; przyszedł Jan Pot przywodząc Pana Jezusa pod białą obsłoną Hostyi“.

„Dotąd — rzekł — tylko mówiłem ci o męczeństwie Chrystusa; dziś mogę zamilknąć, gdyż On sam ci do serca zapuka, On sam przemówi.“

„I podałem jej Przenajświętszy Sakrament.“

„W tejże chwili twarda powłoka, zamykająca jej duszę, rozwarła się nagle a miłość buchnęła z niej płomieniem, trysnęła snopem blasków, tworzących aureolę promienną około Najsw.“

Oblicza, które obecnie oglądać mogła w najgłębszych tajnikach swej duszy. Więc szalona bólem i szalona radością, nie wiedziała co się działo z nieszczęsem jej ciałem; jęki, jakie jej wydzieraa boleść tonęły zgubione w tryumfalnem Hosanna. Upojona boskością traciła przytomność, tyle tylko pamiętając o sobie, by z cierpień swoich złożyć wiązanekę i ofiarować ją niby pęk kwiatów niebiańskiemu swemu Gościowi. Następnie lży jej zaczęły płynąć i płynęły przez dwa tygodnie, aż ten deszcz miłosny rozwilżył ziemię zamarłą i suchą a Boski Ogrodnik rzucił nań swoje nasienie. Nasienie zeszło i niebawem kwiat Męki Pańskiej zakwitnął...“

Z ustępów tych — najpiękniejszych z całej literackiej działalności Huysmansa — nie można sądzić o całości książki, bogatszej w fakta, anegdoty, opisy, niż w myśli. Zbyt długie w proporeyi do tekstu a pochodzące, zda się, nie z średnio-wiecznych źródeł ale z duszy autora. wydają się wtrąconemi w żywot św. Lidwiny, czego chyba żaden nie pożałuje czytelnik.

Odtąd już Lidwina przestała płakać nad sobą, przestała myśleć o sobie. Zdało jej się, iż cierpiąc, łagodzi bóle Męki Chrystusowej, więc wołała o nowe cierpienia, wymawiała czule Oblubieńcowi, że tyle ich jeszcze dla siebie zachował. Wśród tych modłów i ćwiczeń czas płynął. Matka zachorzała i zmarła, a święta, pozbawiona jej czulej opieki, użyła nowej swobody, by swe posłanie zamienić na gołą słomę i pasem włósiennym otoczyć biedne swe ciało. Poczciwy ojciec starzał się i słabnął; Wilhelm zastępował go tak w miejskich czynnościach jak w domu rodzinnym. Na nieszczęście ożenił się i dom, dotąd spokojny i cichy, stał się gniazdem plotek, łajdań, wyrzekań i bezustannego gadania.

Dla Lidwiny było to nowem źródłem cierpienia, tem dotkliwszego, że było z obrazą Boską złączone. O swoją krzywdę święta mało dbała; znosiła cierpliwie nie tylko grubiaństwo bratowej ale gorsze jeszcze szyderstwa, obelgi lub natręctwo obcych odwiedzających ją przez ciekawość i mieniących ją to opętana, to komedyantką, to waryatką. Pewnej złośnicy, która odchodząc plunęła jej w twarz, Lidwina posłała prezencik, mówiąc,



iż jej się musi odwdzięczyć, bo jej do oczyszczenia duszy pomogła. Zazwyczaj nie słuchała pustego gadania, wołała błdzić po drodze krzyżowej lub duchem na twarz Ukrzyżowanego spoglądać. Po owym obojętnym proboszczu nastąpił był inny, który jej jako chorej w każde święto Najświętszy Sakrament przynosił, ten jednak wkrótce ustąpił. Jana Pota już niestety nie było, a nowy pasterz, Dom Andrzej, okazał się już nie obojętnym lecz wrogim. W oczach jego Lidwina była — mówiąc po dzisiejszemu — skończoną histeryczką, wpół obłąkana, wpół podpadła mocy szatańskiej. Odmawiał jej Komunii, a dusza jej napróżno łaknęła za swem pożywieniem Boskiem. Co gorzej, raz, chcąc ją wypróbować, udał że zmięknał, i w święto Narodzenia Najśw. Panny przyniósł jej bardzo uroczyste Hostyę — nie konsekrowaną. Tę Lidwina jednak natychmiast zrzuciła, a napomniana surowo, odrzekła, iż przecież łatwo odróżnić Ciało Chrystusa Pana od zwykłego opłatka — Hostyę prawdziwą byłaby połknęła z łatwością.

Głód jej wszakże jeszcze się powiększył; na głos dzwonka, głoszącego w kościele chwilę Podniesienia, widziano ją zrywającą się na pościeli, poczem znów opadała mdlejąca. Tęsknota straszna pożerała ją, pokusy rozpaczy wróciły. Bóg jednak czuwał. Pewnego dnia, gdy boleśniej niż kiedykolwiek płakała, ujrzała nagle anioła.

„Nie płacz już siostró — rzekł — niebawem będziesz pocieszoną. Ukochany twój jest blisko, ujrzysz Go własnymi oczami“.

Lidwina dała znać proboszczowi o dziwnym zdarzeniu, ale on poruszył tylko ramionami ze śmiechem. Niemniej przeto o zmroku izba jej napełniła się nagle tak wielką jasnością, iż krewni rozmawiający tuż obok myśleli, że się pali i wpadli z przestрахem.

„Uspokójcie się — rzekła im — nie ma żadnego ognia, żadnego niebezpieczeństwa. Zostawcie mnie samą i zamknijcie drzwi“.

Działo się to między 8-ą a 9-tą wieczorem. Chora skupiła myśli i serce, tęsknota jej minęła, cierpienia fizyczne ustały. Gdy otworzyła oczy nad łóżkiem błyszczała gwiazda, tuż przy

niej w jasnych ognistych szatach stał Anioł Stróż. Dotknął jej ręką i w tejże chwili rany na ciele jej znikły, poczuła się zdrową i młodą. Wtedy weszli inni aniołowie niosący narzędzia męki Pańskiej, stanęli po obu stronach odziani w tkaniny płomienne, brzegi ich szat były złote zdobne w ruchome blaski nieznanych ludziom klejnotów. Naraz skłonili głowy, pomiędzy nich z orszakiem świętych weszła Najśw. Panna cała w ognistej bieli z olśniewającymi ozdobami w warkoczach. Uśmiechała się, a obok niej weszło Dzieciątko Jezus i usiadło przy boku Lidwiny. Ledwie jednak serce jej rzuciło się ku Niemu już Jezus rozciągnął ręce i z Dzieciątka przemienił się w męża o bladym obliczu, o skroni uwieńczonej cierniami, o przebitych stopach i dłoniach: „Betleemska stajenka zmieniła się nagle w Kalwaryę“. I naraz z tych krwawych stóp i dłoni, z przebitego boku Chrystusa trysnęły żywe płomienie, godząc w ręce, nogi i serce Lidwiny. A ona śmiała się i płakała zarazem tonąc w miłości, aż gdy ujrzała na swych członkach stygmaty, wraz zadrżała na myśl, iż teraz ludzie więcej cenić ją będą, więc zawołała:

„Panie mój! Odejm te znaki, niech tylko Tobie i mnie będą wiadome, Twoja łaska mi starczy!“

„Wtedy o dziwy! — pisze Michał d'Esne biskup z Tournai — rany powlokły się cienką skórą, pozostał tylko ból i ciemny siniec barwy ołowiu...“

Następnie Najśw. Panna biorąc jedno po drugim narzędzie Męki, dała je do pocałowania Lidwinie a Chrystus stał się znów dzieckiem, ale do krzyża przybitym; gdy zaś ojciec Lidwiny, słysząc od czasu do czasu głos córki, zbliżył się do drzwi, by podpatrzyć, wnet chora przybrała zwykłą mizerną postać, Marya i aniołowie zniknęli a krzyż z Dzieciątkiem Jezus począł się wznosić do góry. Już postać Jego stawiała się mglistą, gdy Lidwina zawołała żałośnie:

„Panie jeżeli jesteś istotnie Tym kim Cię być mniemam, dowiedz mi nim odejdiesz, że mnie sen nie mami; nie opuść mnie nie zostawiając mi dowodu, że to Ty sam tu jesteś a nie inny!“

W tej chwili krzyż zniknął z jej oczu lecz w jego miejscu

ujrzała Hostyę spuszczaającą się zwolna na łożę. Równocześnie ojciec otwierał drzwi i chciał usiąść przy córce; ta jednak kazała mu klęknąć, mówiąc: „Czy nie widzisz, że tu jest Pan Jezus?“ Ukląkł więc i ujrzał na białym obrusie leżącą Hostyę o brzegach promiennych a na niej wyciśnięty obraz ukrzyżowanego dziecięcia z kropelką krwi w miejscu serca. Weszli inni i z podziwem patrzeli i znowu dali znać na probostwo...

Wolimy oszczędzić czytelnikom opisu przykrych scen zaszłych następnie wskutek sceptycyzmu proboszcza, mieniacego całą sprawę sztuką szatańską; wieść rozeszła się szybko i stała się przyczyną tumultu a w końcu oparła się o biskupa. Ksiądz jedynie dzięki dobroci świętej uniknął procesu, nie okazał jednak wdzięczności ani poprawy w innych ważnych zboczeniach. W pewien czas potem umarł na dżumę, nie pojednany z Bogiem, mimo ostrzeżeń Lidwiny.

Nie dziw, że po tych wypadkach sława świętości jej rozeszła się po kraju. Stygmaty, acz zasłonięte cudownie i przez nią samą starannie tajone, zdradzały się aromatyczną wonią, dobywającą się z nich silniej jeszcze niż z innych ran świętej. Bóg albowiem wśród tylu mąk dał jej łaskę, iż choroby jej nie budziły nigdy wstrętu u bliźnich, a był to ustawiczny cud, bo dziś sam opis jest przykry. Prócz dżumy — przebyła wszystkie znane wówczas słabości, wszelkie możliwe bóleści. Miałoby się ochotę biografów o przesadę pomówić, gdyby tu chodziło o sprawę zwykłą a nie o objawienie wszechmocy Bożej. Rozczulającym jest widzieć, jak w pośród cierpień fizycznych i ekstaz duchowych Lidwina znajdowała siły i czas dla drugich; co prawda i jej nie brakło nigdy serc kochających: rodzice, brat, jego dzieci i najbliższa przyjaciółka, wdowa Katarzyna Simon, nie licząc innych — nie domowych przyjaciół — pielęgnowali ją z kolei z poświęceniem nie małym, znosząc często jej jęki, a w późniejszych latach nieznośny tłum ciekawych lub pobożnych gości. Ze swojej strony Lidwina, choć przykuta do łóżka, stała się z czasem opiekunką dla ojca nieco zdzieciniałego na starość, nie mniej jak dla dwojga dzieci Wilhelma, które matka śnać odumarała za młodu, nie masz bowiem o niej wzmianki

przy końcu życia świętej. Była to owa gadatliwa jejmość, którą wzmiankowaliśmy wyżej, a jak czynnym bywał jej język, świadczy fakt, iż książę bawarski, przybyły dla odwiedzenia Lidwiny, zapłacił jej złotem parę godzinne milczenie. Ten książę rzucił był pastorał dla miecza i trapiiony w sumieniu pragnął, zasięgnąć rady ubogiej mieszczyki Schiedamu; Bóg, wymagając od niej ofiary dla dobra dusz, zesłał jej dar czytania w tych duszach. Niejeden przybywszy z sumieniem zagmatwanem, obarczonem zatajonymi grzechami, zdumiewał się gdy wzrok Lidwiny grzechy te natychmiast spostrzegał, ze zdumienia zaś przechodził w skruchę i prosto od niej biegł do konfesyonału. Niejednemu przepowiedziała śmierć lub ostrzeżeniem oszczędziła nieszczęścia; badana przez uczonych w kwestyach teologicznych, odpowiadała z pewnem rozumieniem i trafnością. A wielu pocieszyła, wspomogła modlitwą lub datkiem! Ona, która niemal żyła z jałmużny, znajdowała zawsze dar dla potrzebującego. Ale bo też działała na spółkę z Bogiem, który w ostatnich latach nie dał nigdy wyczerpać się groszom zawartym w sakiewce jałmużnianej. Nie dość na tem, na tle swych własnych czyścowych mąk szczepiła nowe męczarnie: brała na siebie choroby drugich, odrabiała pokutę za cudze grzechy, cierpiała za umarłych i żywych. Nie dziw więc, że się tłoczono do jej ciemnej izdebki; mieszkanie jej stało się jakoby ambulatoryum dusz. Przychodzili ubodzy i bogaci, rajcy miasta, kupcy i marynarze, biskupi i książęta, niektórzy z bardzo daleka. O cudotwórczości jej tak mało wątpiono, iż nieraz słyszała wyrzekanie, gdy jakiej biedzie zaradzić nie mogła.

Ten ustawiczny ruch ludzki męczył ją niewymownie, często przychodziło jej kość cudze boleści, gdy ledwie jąki własnego bólu tłumić zdołała. Miewała jednak chwile wypoczynku, bo objawienia powtarzały się a biały anioł stróż, widomie dla niej obecny, porywał jej duszę i wiodł do stóp ołtarzy, do Rzymu, do Palestyny i innych miejsc świętych, które następnie ze zdumiewającą dokładnością umiała opisać, lub w częściej jeszcze w krainy zagrobowe, w czeluście czyśca lub niebiańskie ogrody. To co widziała z nieba wydało jej się wspaniałą salą ucztową

a częściej jeszcze olbrzymim kwiecistym parkiem pełnym śpiewu zbawionych i kwilenia ptasząt. Czyściec również przedstawiał się w formie materyalnej z łańcuchami, kratami i studniami, na których dnie jęczą dusze cięższemi obciążone winami. Takie niebo i czyściec (piekła zwiedzić nie chciała) zgodne są z wyobrażeniami ogólnemi średnich wieków — i nie dziw. „Pan Bóg — mówi autor nie bez pozorów słuszności — zastosowuje prawie zawsze zewnętrzną stronę swoich objawień do sposobu, w jaki mogliby je sobie wyobrazić ludzie, którym je zsyła. Bierze w rachubę ich usposobienie, ich zwyczaje, ich umysłowy kierunek. Nie zmienia ich natury by ich uczynić zdolnymi do objęcia przedstawionych im widoków ale przeciwnie, widoki te stosuje do ich natury. Święci jednak uprzywilejowani oglądają te obrazy pod formą niedostępną dla zmysłów naszych, widzą je wyraźne i promienne w jakiejś atmosferze świetlanej, w gloryi, której mowa ziemską ogarnąć nie zdoła. Później zaś mimowoli zmniejszają je i nadają im kształt materyalny, usiłując opisać je ludzkim językiem i tak zdrobniałe stają się dopiero dostępnymi dla ogółu ludzkości. Tak było prawdopodobnie i z widzeniami Lidwiny“. Anioła widziała zawsze jako piękne pacholę — nie dziecko, jak św. Franciszka Rzymianka; widywała go często ale tylko gdy była samotna lub przynajmniej gdy nie potrzebowała rozmawiać, za wejściem innych ludzi anioł ulatał. Podobnie karał ją swą nieobecnością, gdy jej miał cokolwiek do zarzucenia; po śmierci brata, za którym gorzko i gwałtownie płakała, nie pokazywał się długo.

Po zgonie Wilhelma przyszło drugie nieszczęście, córka jego umarła również w okolicznościach tragicznych. W dzień wjazdu potężnego księcia Burgundyi, Filipa Dobrego, kilku żołdaków wpadło po pijanemu do mieszkania Lidwiny, bijąc i lżąc: scena tak była wstrętną, że i to lepiej czytelnikowi zasłonić. Petronika rzuciła się ku obronie ciotki, ale odepchnięta gwałtownie, upadła krzyżami na stopień i wskutek uderzenia skonała. Przy chorej został mały Baldwin, wdowa Simon i ksiądz Jan Walter spowiednik i wierny przyjaciel jej ostatnich lat. Trzebaby wejść w długie szczegóły żywota, aby dać poznać

jak ważną w nim rolę odegrał. Doprowadzony napomnieniami świętej do enotliwego życia, wznosił się wysoko w miłości Bożej i stał się powiernikiem i poniekąd współnikiem jej wizji nadziemskich, tak jemu bowiem jak i Katarzynie mogła raz po usilnych modłach pokazać swego anioła. Ani on przecież, ni ona nie byli obecnymi przy ostatnich chwilach Lidwiny.

Zgon poprzedziło ogromne wzmożenie się mąk. Czy szatan ostatnie przypuszczał szturmy, czy Bóg chciał kilka pereł więcej, kilka jeszcze dusz wyzwolonych i grzechów zmazanych dodać do jej niebiańskiego wieńca? Jak Jezus w Ogroju oglądał wszystkich wieków zgniliznę, tak jej okazywał w ponurym obrazie nieprawości współczesnej ludzkości. Czy to było istotne widzenie czy tylko oświecenie wewnętrzne trudno poznać z opowiadania Huysmans'a. Dość, że świadomość tylu spiętrzonych zbrodni rozpalala w Lidwinie coraz to większą żądzę cierpienia. „Wiedziała teraz, że jej koniec się zbliża i drżała na myśl, że niedokonała swego posłannictwa, że była zbyt szczęśliwą na ziemi, że była nieużyteczną sługą, przynoszącą drobną zbyt cząstkę zdobyczy do wielkiego ładu boleści. A jednak jakże się czuła znużoną, gdy z wyżyn ekstazy opadała na swe biedne łóżko!”

Dokoła niej wiedziano też że umiera i mówiono o tem otwarcie. Oczywiście niedorzecznych zapytań nie brakło jak np. „czy myśli, że się na jej grobie ukażą cuda?” „Wiem — odpowiedziała — że niektóre duszyczki wyobrażają sobie, iż memu zniknięciu towarzyszyć będą jakieś nadzwyczajne zjawiska — mylą się zupełnie. Co zaś po moim pogrzebie się stanie, Bóg jeden to wie a ja nie mam żadnej ochoty się dowiedzieć. Proszę was tylko byście mnie pochowali natychmiast i aby ciało moje które przez 33 lat nie dotknęło ziemi, nie dotknęło jej nawet w trumnie...” Potem ją przeproszała za przykrości, jakie komukolwiek zrządziła — obecni tonęli we łzach. Tej nocy Chrystus Pan odwiedził ją znów z aniołami i przyrzekł, że za dwa dni będzie śpiewała alleluja w raju. Gdy zrana wszedł do niej spowiednik zastał izbę pełną najcudniejszej woni — przez sen widział ją był, jaśniejącą szczęściem w pośrodku aniołów. Był to dzień Wielkanocy; przez całą niedzielę i przez poniedziałek

cierpienia wzmogły się w sposób straszliwy, we wtorek od rana pokój napełnił się ludźmi, jak bywa przy konających. Lidwina jednak prosiła, by ją zostawiono samą z małym Baldwinem; zaledwie wyszli zaczęło się konanie, niewymownie przykre. Około czwartej z południa szepnęła:

„O moje dziecko, gdyby pocziwy Walter wiedział jak cierpieć!“

Chłopiec pochylił się nad nią, lecz nie odpowiedziała, a gdy zwołani przezeń ksiądz i Katarzyna wbiegli do izby — nie żyła. Nazajutrz gdy podniesiono zasłonę kryjącą jej zwłoki zdumienie i radość napełniły ich serca: zamiast wychudłej, zeszpeconej chorobą piędziesięcioletniej niewiasty ujrzeli młodą, świeżą twarz pięknego dziewczęcia, twarz Lidwiny, jaką ją znano przed wymodloną utratą wdzięków.

Można różnie osądzić „Życiorys św. Lidwiny“ z pod pióra Huysmans'a, można mu tu i ówdzie zbyt śmiałe słówko lub zwrot nie ściśle teologiczny zarzucić, zwłaszcza przy opisie wędrówek duszy, można ostatecznie dziwić się temu autorowi XX w. opowiadającemu o widzeniach boskich i anielskich tak naturalnie, jakby to czynił mnich z XIII stulecia, gromiącemu wiernych i duchowieństwo za lenistwo w uznawaniu cudów — trzeba jednak przyznać, że całość książki wzbudza obrzydzenie do grzechu widokiem cierpień, jakie odkupienie zań od świętych wzmagą, wzbudza w drugim rzędzie sympatyę dla ojczyzny autora, Holandyi, którą z taką opisuje miłością a wreszcie i zwłaszcza, ciekawość do dwóch ukazać się mających dzieł tego samego pisarza: *De tout* i *L'Oblat*.

T. Wodzicka.

# NENCKI—VIRCHOW—VOIT.

## Studyum porównawcze.

---

Wierzę w zwycięstwo nauki.

*Nencki.*

Słusznie powtarzamy za poetą, że „w walce powszechnej o byt swobody — duch nauki czynnie mknie górą“, i że „wnet doznają wszystkie narody, iż mieczem ludów jest pióro“. Gdy moc bowiem władców świata uchyla czoła przed potęgą śmierci, śmierć sama nie ma dość siły, by rozprysnąć i połamać, co od spiżu trwalsze. Ponad ścielącym się gładko nad powierzchnią ziemi dymem, który jest jedynym śladem ludzkich kadzideł i znikomego światła światowych zaszczytów, wysoko wznosi się blask chwały tych mistrzów, co skromną, a natehnioną pracą zrobili z nazwiska swojej rodzinnej ziemi:

...pacierz co płacze i piorun co błyska.

Do pierwszego z wymienionych na czele naszego studyum mistrzów odnoszę to porównanie, a jeżeli jeden z mowców, który przemawiał nad jego grobem, słusznie powiedział o nauce polskiej zeszłego wieku, że przed stu laty Śniadecki budował jej fundamenta, a dziś Nencki, wśród śmiałego lotu zawieszał lampę jasną u jej stropu, to niech mi wolno będzie dodać do tych słów o białym orle naszej nauki piękne porównanie Ujejskiego:

Białość: to czystość ducha i prostota,

Orłowy lot: to w niebo i słońce!



A nie jedno nawet słońce celem jest tej myśli, zapuszczającej się w nieskończoność, bo setki słońc, uwitych przez Stwórcę w łańcuch przedziwny, nie potrafiły wstrzymać biegu natchnienia, które wyszło z łona odwiecznej prawdy i do prawdy dążyć musi. Duszą bowiem tych wszystkich niezwykłych objawów i dążeń ludzkiej myśli jest coś, co wylatuje nad granice przeciętnego materialnego życia i co wznosi się po jasnych szlakach, śmiało i promienne w górę, wracając do źródła światłości, która była jej źródłem.

Zdziwi się jednak może niejeden, dlaczego przy nazwisku tego, którego odżalować nie możemy, podaliśmy powyżej nazwiska uczonych współczesnych, żyjących i pracujących wśród innej narodowości i na innych polach? Jeżeli, wedle słów Krasńskiego, „w odmianach ziemi, muszla z odległych oceanów przypływa do skał Helweckich i z niemi się spaja“, daczegóż w nieskończonych duszy nieśmiertelnej biegach nie miałyby rozdzielone skupiać się myśli? Patrząc na zdobycze ducha przez inny pryzmat, musimy w nich widzieć związek ogólny, pewny, niezachwiany; ułomy granitów, wytworzone egoistyczną ręką ludzką, pozbawione namiętnych chęci i materialnych dążeń, przylgną z następstwem wieków do siebie, bo to wszystko odłamy prawdy najwyższej, wiecznej a jednej.

Gdy starożytni oplakiwali zgon swoich zmarłych, stroili przy stypię pogrzebowej puhary wina we wonne róże. Gdy świat rzuca współczesnym jubilatam nauki pod nogi zasłużone stosy tytułów i zaszczytów, daczegóż i my nie mamy równocześnie przystroić w róże urnę, która chowa drogie nam popioły? Wszak, nawet według nauk przyrodniczych, popioły roślin, co pod nami leżą, przejść mogą w wonne kwiaty. Daczegóż i my, żałując, że krótko żył ten, co nam przodował, nie mamy stać nad grobem z podniesioną głową, bo wśród jubileuszków świata i my mamy święto wielkie, smutne żałobą, lecz i wielkie chwalebą tego, którego krótki lecz pracowity żywot czezą obce narody całym szeregiem pochwał naukowych, a my najbliżsi jedną wielką dziękczynną łzą całego narodu, rzewną, ale i dumną.

Oto przyczyny, które nas skłoniły do tego, aby chcąc podać czytelnikom *Przeglądu* kilka dat dziejowych z najświeższych kronik jubileuszowych, rozpocząć od tych dziejów, które są nam najbliższe i z nimi porównywać naukową działalność jubilatów.

## I.

Widzę za sobą całą drogę badań,  
a przed sobą daleką drogę, idącą, zda  
się w nieskończoność...

Cytowanymi powyżej słowami charakteryzował ś. p. Nencki na ostatnim Zjeździe przyrodników w Krakowie swoją działalność naukową, swoją pracę skromną, a mimo to wielką i wszechstronną, nie ustającą, a mimo to ciągle wzdychającą do prawdy, zdaje się, nieuchwytną, która ucieka przed nami drogą idącą, według jego słów, „zdaje się w nieskończoność“. Słowami temi można scharakteryzować wogóle działalność badaczy, dążących do rozwiązania zagadnień życia. Ciągnie nas coś świadomie lub nieświadomie do rozwiązania tych zagadnień, a wrodzona każdemu ciekawość przyszłości u natur zdolnych i szlachetnych objawia się dążnością do uchylenia jej tajników, drogą sumiennych i daleko sięgających badań. Zapewne dzień każdy coś nowego przynosi z tej lub owej dziedziny, co nas pomału zbliża do skończonego ideału wiedzy, ale wśród licznych powołanych mało jest wybranych, mało „tytanów nauki“, obdarzonych iskrą Bożą, którym wolno na chwilę zajrzeć w światło prawdy odwiecznej i z tego światła rzucić na ziemię pęk promieni. Dziwnym zbiegiem okoliczności mamy w historii sztuki i nauki karty wypełnione odbłyskami genialnych myśli, które równocześnie z różnych stron olśniewają nas, a potem znów ciszę, i znów rozpamiętywanie. Zdaje się czasem, że, jak w pewnych epokach roku mnóstwo gwiazd spadających jawi się na niebie, tak i w dziejach ze światła prawdy równocześnie odrywa się od czasu do czasu szereg nadziemskim geniuszem jaśniejących odłamów, które światu chwilę zabłysną i znów polecą w inne

światy. Tak też i w ostatnich czasach w różnych krajach i w różnych dziedzinach nauki zajaśniały sławą trzy imiona, zapisane chlubnie na kartach dziejów. Jest to zapewne tylko zbieg okoliczności, ale w każdym razie dziwny, że w tym samym czasie, kiedy przed 54 laty rozpoczynał swoją działalność naukową Virchow, którego wykłady uniwersyteckie, zebrane później w jedną całość, miały się stać podstawą „nauki o komórkach“, że w tym samym roku, powtarzam, w małej wsi powiatu Sieradzkiego na świat przyszedł Nencki, który miał pójść głębiej jeszcze w swoich pracach i zbadać skład chemiczny „białka żywego“ tej komórki. Gdy też w roku 1897 świat naukowy święcił jubileusz 50-letniej profesury Virchowa i z podziwem patrzył na szeregi prac, poświęconych anatomii patologicznej komórki, dziennikarstwo fachowe, a przede wszystkim dziennikarstwo polskie, 50-letniemu jubilatowi Nenckiemu poświęcało całe łamy i szpalty, stawiając obok wielkiego niemieckiego dzieła „Patologii cellularnej“, nie mniejszymi wawrzynami ozdobioną młodszą siostrzycę, bo tom, złożony z 200 epokowych prac Nenckiego nad prawami chemii biologicznej; obok szeregu prac nad elementarną budową organizmów, szereg prac nad molekularną budową tych elementów.

Połowa dziewiętnastego wieku była tą epckową chwilą, w której gmach „patologii cellularnej“ stanął na miejscu dawnych błędnych teorii empirycznych, zbudowany na podstawach bystrych spostrzeżeń, trafnych obserwacji i głęboko idących wniosków. Odtąd uczeni szukają elementarnych zjawisk normalnego życia w normalnym elemencie ustroju, którym jest komórka, a zaburzeń choroby najbardziej skomplikowanej w patologicznych zmianach tejże komórki. „Przedmiotem badania patologicznego“ są, według słów samego Virchowa, przeważnie zaburzenia w akcie odżywiania; odżywianie zaś jest sprawą, zapewniającą żywym częściom organizmu dalsze istnienie. Wskutek tego musi każde badanie patologiczne zaczynać się od żywych tkanek, a właściwie od ich ostatnich pierwiastków elementarnych, takimi zaś są komórki. Każdy akt patologiczny, każdy proces normalny należy więc uważać przede wszystkim za zwią-

zany z komórką, która jest siedliskiem i nosicielką życia i choroby". Słowa samego Virchowa najlepiej nam określają treść i znaczenie jego badań, a chociaż ze stanowiska filozofii nie przyrodniczej zmienićby można w ostatniem określeniu ogólnikowe wyrażenie o „siedlisku życia“, to jednak niema dziś żadnego przedstawiciela żadnej szkoły, któryby nie uznawał w zasadzie, że wszystko, czem się objawia życie „materyalne“ organizmu, wszystko, co stanowi całokształt pewnych prawidłowych lub nieprawidłowych objawów „zewnątrznego“ rozwoju jestestw, od komórki się zaczyna, w komórce się odbywa i na komórce się kończy. To jest właśnie zasługą Virchowa. Prócz rozległej wiedzy i sumiennego badania trzeba było i bardzo wielkiej odwagi naukowej, aby trzeźwym krytycyzmem przyczynić się do zburzenia dawnych teoryj patologii humoralnej, dawnych przypuszczeń co do płynów i środowisk chorobotwórczych, dawnych, że się tak wyrażę, widm sił patologicznych. Powiadam wyraźnie „przyczynić się“, aby w pochwałach nie przesadzić i znaczenia Virchowa nie przedstawić jednostronnie. Jak zobaczymy bowiem poniżej, twórcą właściwym anatomii patologicznej był Morgagni, twórcą zaś teoryj o związku między zmianami anatomopatologicznymi, a objawami klinicznymi Bichot. Zasługą jednak Virchowa jest właśnie to, że do obalenia medycyny abstrakcyjnej przyczynił się przez usystematyzowanie rozrzuconych faktów i przez wynalezienie w tej systematyce nowego punktu wyjścia, opierając ją na jasnym całokształcie patologii komórkowej. Nie można więc, jak to czynili niektórzy biografowie, sławić, iż Virchow pierwszy do medycyny wprowadził metodę doświadczalną, lecz nie można również zaprzeczyć, że, wśród ogólnej reakcyi przeciwko naturalnej filozofii Schellinga i wśród coraz większego rozwoju badań mikroskopowych, patologia komórkowa Virchowa wybitny stanowi szczebel postępu. Z chwilą bowiem gdy Morgagni zbudował gmach anatomii patologicznej na ścisłej obserwacyi zmian pośmiertnych i odtwarzaniu z tych zmian obrazu normalnego, oraz od czasu, gdy Virchow skierował obserwacyę naszych zmysłów z terenu spekulacyjnych systematów na postać i życie komórki

uznajemy już wszyscy, że materyalnem podłożem normalnego życia nie są tkaniny o budowie nieznaney lub soki przeróżne, lecz ściśle uorganizowane komórki jako takie i pochodne tychże, i że naodwrot objawy anormalnego życia czyli choroby są zewnątrznem odbiciem sumarycznych zmian w tym samym materyalnym substracie komórki. Uznają też prawie wszyscy, że pojęcie choroby schodzi się z pojęciem sumarycznych zmian anatomicznych i chemicznych własności komórki, normujących jej działalność fizyologiczną czyli funkcyonalną, a tylko w niektórych jeszcze niezbadanych wypadkach uciekają się niektórzy do zmian czysto dynamicznych, bez podstaw fizycznych lub chemicznych. Uznają wreszcie wszyscy, że grupa pewnych własności morfologicznych i chemicznych komórki jest gatunkową cechą tego typu elementarnego organizmu, który nazywamy komórką i że naodwrot niema typu objawów życia normalnego lub anormalnego bez odpowiedniego, zasadniczego, przyczynowego typu objawów życia komórki, którą, jak nadmieniliśmy, Virchow nazwał „siedliskiem i przenośnikiem życia“.

Od siedliska życia do samego życia skok jest jednak daleki, tak jak od cech do istoty, a tą właśnie sprawą zajął się Nencki. Wspomnieliśmy powyżej, że w tym samym roku, w którym Virchow został powołany na katedrę uniwersytecką i rozpoczął pierwszą pracę z dziedziny patologii cellularnej, urodził się w małej wsi w Sieradzkim Nencki, który jeszcze dalej miał sięgnąć w głąb tajników przyrody. Podkreśliliśmy, że między temi dwiema datami niema żadnego związku istotnego, lecz tylko przypadkowy zbieg okoliczności, który jednakże posłużyć nam może za pamięciowy wątek do rozpatrzenia głębszej analogii rzeczowej. Jak bowiem logicznem następstwem zbadania morfologicznego elementów tkaninowych, zwanych komórkami, było określenie składu tychże i funkcyj biologicznych, tak też po Virchowie na kartach dziejów chronologicznie wysuwa się postać Nenckiego, a na kartach rozwoju nauki, po teoriach o budowie komórki, nauka o chemizmie białka komórkowego. Możeby wypadało raczej zamiast wyrazu „nastąpić“ użyć wyrazu „uzupełnić“, aby tem lepiej uwydatnić łączność i równo-

wartość obu kategorii badań, lecz usprawiedliwieni jesteśmy różnicą wieku badaczy i chronologicznym porządkiem prac, z których dawniejsze, bądź co bądź, wpływ pewien na nowsze wywierać muszą. Otóż, wracając do naszego porównania, jak Virchow zburzył teorię kraz i zapatrywanie wiedeńskiej szkoły humoralnej, a na to miejsce postawił gmach ściśle zbadanej morfologicznie budowy komórkowej, tak znowu Nencki zaprzeczył teoryom francuskim o udziale bakterij w procesach rozkładowych białka, a na to miejsce postawił całkiem nowe badania nad gniciem białka i anakrobiozą, których wyniki, zestawione w coraz to ściślejsze wnioski w miarę lat, doprowadziły do teoryj klasycznych o chemizmie białka komórkowego. Krótko mówiąc: z jednej strony morfologia komórki i teoria: *omnis cellula e cellula*, z drugiej strony chemizm białka komórkowego i teoria o różnicach między białkiem żywym a martwym. Ani jedna, ani druga praca nie były wynikiem przypadku lub szczęśliwego odkrycia; długi szereg powiązanych ze sobą logicznym węzłem badań mikroskopowych i anatomo-patologicznych doprowadził Virchowa do ześrodkowania własności chorobowych i normalnych w elemencie komórkowym; długi również szereg badań nad fermentacją, nad funkcjami organizmów jednokomórkowych i nad chemicznymi produktami białka doprowadził Nenckiego do ześrodkowania w jednym elemencie drobinowym białka ściśle preformowanych grup, a nawet do częściowego rozwiązania pytania, o ile ta budowa drobinowa się zmienia, gdy mamy do czynienia z białkiem nie martwym, lecz z białkiem komórki żywej. Chociaż drogi patologii i chemii wydają się odrębne, prowadziły jednak w tym wypadku do określenia wspólnymi siłami uzupełniających się wzajemnie, elementarnych praw życia i dlatego też zestawiliśmy porównawczo z anatomią cellularną Virchowa biochemię Nenckiego.

Chcąc tę ostatnią ocenić krytycznie, trzeba znowuż postąpić tak, jak to uczyniliśmy z patologią cellularną, tj. porównując dorobek dotychczasowy z wartością nowego kierunku nauki. Otóż wiadomo było dotąd, że komórka organizmu

jednokomórkowego, zarówno jak i wyspecjalizowana w pewnym zakresie podziału pracy komórka organizmu wielokomórkowego wykształca się, odżywia, rośnie, rozmnaża i w końcu umiera. Zarówno ameba jak ciało krwi lub komórka nerwowa mają te same cechy życia tj. *organisatio*, *nutritio*, *evolutio*, *reproductio et mors*. Ale dlaczego, pytał Nencki, taka komórka, gdy ją nieco ogrzejemy, straci wszystkie wymienione własności życiowe i co się stało z objawami materyalnego życia w tej co do składu niezminionej materii? Samo pytanie określa już wartość głęboko pomyślanego założenia. Wielki syntetyk i analityk zwrócił uwagę uczonych po części szeregiem własnych badań, po części krytyczną analizą badań cudzych na znaczenie budowy drobinowej. Przypominamy, że każde ciało składa się z drobin o wielkości niezmiernie małej, lecz ściśle określonej, co nas również uprawnia do przypuszczenia, że atomy, z których drobina się składa, mają wielkość ograniczoną. Dla objaśnienia powtórzymy przykład, cytowany przez samego Nenckiego, że jedna tysięczna część sześciennego centymetra wodoru zawiera 50 tysięcy milionów drobin wodoru o ściśle określonej wielkości przestrzennej.

Każda taka drobina porusza się wśród materii jako całość, według teorii Maxwella; nadto oprócz tego ogólnego ruchu względnie środkowego punktu masy, istnieje w każdej drobinie ruch jej konstituentów w trzech kierunkach przestrzeni. Od tego położenia atomów, od tejto konfiguracji wewnątrz drobin, której zmienność jest kolosalną, bo trzy razy większą niż sama liczba atomów, odpowiednio do trzech kierunków przestrzeni, zależą własności różne pewnych ciał o równym składzie chemicznym. Zależnie od konfiguracji tej samej ilości atomów węgla i tlenu z wodorem możemy mieć całkiem różne kwasy, alkohole, etery, a choć nazwy same przez się nic nie mówią, to przeróżne własności chemiczne, optyczne i techniczne tej samej drobinie wyjaśniają dostatecznie znaczenie budowy śródmolekularnej. Na takich zmianach konfiguracji polega zapewne także przejście układu ruszających się „labilnych” atomów żywego białka w układ „stabilny martwego białka”. Otóż Nencki właśnie rozszerzył pod tym względem szcze-

pły zakres dotychczasowych hipotez Pflügera i Loewa i pierwszy podkreślił wpływ wody, tlenu i nieznacznego podwyższenia ciepłoty na zmiany konfiguracyi w białku komórkowem. Szeregiem badań nad rozkładowymi produktami białka wyjaśnił łączność między pokrewnymi rodzajami zmian wśród drobin, oraz potencjalną siłą spójności między drobinami. Z drugiej strony, analizując krytycznie fakt, że wyciśnięty sok z białka komórkowego ma pewne własności życiowe, które dotychczas uważaliśmy za cechę wyłączną uorganizowanej komórki, jak rozkładanie drugich ciał lub przenoszenie tlenu, podkreślił zacierającą się w tem miejscu granicę między białkiem żywym a martwym. Objawy życiowe, obserwowane u ciał nieżyjących, stoją w takim samym związku z funkcyami elementu komórkowego, jak drganie struny, które przy małej amplitudzie, według słów Nenckiego, są tylko dla oka widzialne, a przy amplitudzie wyższej, podrażniają już ucho objawem pozornie całkiem innym. Również przejście życia utajonego (*vie latente*) nasion roślinnych i wymoczków w życie jawne (*vie manifestée*) zestawione przez słynnego Claude-Bernarda, schodzą się, według pojęć i badań Nenckiego, ze zmianami konfiguracyi w pewnych istotach białkowatych, które mogą być wysuszone i okazują po latach własności biologiczne, lub na odwrót, wśród pewnych warunków przystępu wody i powietrza, tracą typ budowy atomowej i obumierają. Podobnych głęboko obmyślanych analogii biologicznych jest dużo, ale trudzić niemi nie możemy czytelnika. Chodziło nam o podkreślenie głównych momentów dążności Nenckiego, który, czując jak daleką i niedostateczną jest sama zagadka ostateczna życia i ostrzegając trzeźwo przed przedwczesnemi uogólnieniami, rzucił jednak śmiało pomost dla następnych badaczy i ustawił w biochemii kilka słupów przydrożnych, wysoko sięgających ponad poziom dotychczasowej wiedzy, a mimo to głęboko zapuszczonych w najsubtelniejszą budowę drobinową. Nie jest też frazesem to, co powiedziano nad grobem Nenckiego, że zajął jedno z najwybitniejszych miejsc „u szczytu powikłanych rusztowań gmachu biologii w arcytrudnej pracy zespalandia rozległych i głębokich fundamentów“;



nie jest to frazesem, powtarzam, bo łączy właśnie w sobie te dwie cechy, które stanowią wartość prac Nenckiego, tj. rozległy horyzont celów naukowych i trzeźwą ścisłość fundamentów. Kończąc na tych słowach krytyczną analizę wartości głównych prac Nenckiego i Virchowa, któreśmy pod pewnym względem porównać ze sobą uważali za stosowne a nawet konieczne, streszczamy ją raz jeszcze w tych słowach, że Virchow usystemizował morfologiczne objawy życia „materyalnego“ w najpierwotniejszej części materii, zwanej komórką, a Nencki się pokusił o budowę śróddrobinową tej elementarnej części materii.

*Dr. J. Zanietowski.*

---

# VOTA I SOBIESKI.

(Ciąg dalszy).

---

Że O. Vota szczerze opierał się arcybiskupiej godności, nie wątpię; był dobrym zakonnikiem, i świadczą o tem listy jego. Pomimo bowiem odmowy papieskiej, król przez kardynała protektora Barberini molestował papieża o mitrę dla Voty, i kardynał wstawiał się istotnie do papieża, za co mu Vota, 20 grudnia 1690 r., czule dziękuje: „A nareszcie zawstydzony i zmieszany, dziękuję najuniżeniej WE. za jego tak dobrotliwe wstawianie się za mną do Ojca św. Dobroć WE. przewyższa wszelkie moje myśli, i czułbym się za nią wielce obowiązany, gdyby mi pobudką było cokolwiek innego, a nie samodzielna i stanowcza wola JKM., gdyby nie konieczność zadośćuczynienia wielu najważniejszym racjom sumienia, których tu, by nie nadużywać cennego czasu WE., nie mogę wyłuszczyć. Z mej strony nigdy nie miał ani cienia ambicji i żądzy wyniesienia, i już wiele lat temu odmówiłem przyjęcia w rzeczywistości tego, czego dziś przez wzgląd na kogo innego, a nie dla mnie, życzą dla mnie tytułu tylko. I mogę zapewnić WE., że gdybym mógł, obrałbym sobie na resztę życia celkę jedną u stóp naszego świętego patryarchy Ignacego, aby w skupieniu rozmyślać o wieczności. Wyrządzonoby mi wielką krzywdę i ujmę, gdyby kto przypuszczał, że zabiegi króla JM. są skutkiem grzesznej jakiejś chęci, z próżności choćby najmniejszej wynikającej. To, że doznaję objawów wdzięczności ze strony króla tak obficie, daleko

przyjemniejsze dla mnie, niżeli wszelkie inne względy dla mej osoby, niż ów tytuł (arcybiskupa), którego używa tu tylu greckich i łacińskich księży, którzy pragnęliby być na tem stanowisku, na którem ja jestem bez żadnych z mej strony zasług, a jedynie przez dobroć wielkiego króla, zaszczycającego mnie swem zaufaniem<sup>1</sup>.

Że opierał się generał zakonu, to także pewne, ale zdaje mi się, że przeszkadzała temu jakaś zakulisowa intryga, której dociec nie mogłem. Dosyć, że Vota nie został arcybiskupem i był rad z tego, a zamiast do Moskwy, wyruszył wraz z królem i królewiczami na wojnę wołoską.

Cesarz bowiem Leopold, lubo rozerwany wojną francuską, postanowił jednak powetować straty przeszłoroczne na Węgrzech, i wzmocnić ligę z królem polskim nie tylko związkiem familijnym, ale nowymi układami. W tym celu wyprawił w lutym 1691 r. nadzwyczajnego posła, hr. Thuna, na dwór polski, ofiarując królowi Wołoszę i Multany, byle je sobie król zdobył, i dla tego przyrzekał mu dać pomoc 5.000 wojska. Żądał za to, aby król wydalil z Polski francuskiego posła, margrabiego de Bèthune, który intrygą i pieniędzmi podsycił bunt malkontentów węgierskich. Więc król Jan gotował walną, decydującą na wiosnę wyprawę, a celem jej — wypędzenie Tatarów budziackich, bo krymskich osaczyła Moskwa z Zaporozcami, zajęcie Besarabii, i zdobycie Wołoszy i Multan. Odcięty od krain tureckich Kamieniec i ogłodzony, sam się podda. Królowi towarzyszyli starsi królewicze i O. Vota, królowa pozostała w Samborze.

Dla braku pieniędzy i zwykłej niepunktualności polskiej, zamiast na wiosnę, dopiero z końcem lata można było rozpocząć akcyę wojenną. Zbyt więc późno, bo dopiero 15 sierpnia, uchwalono na radzie wojennej w Złoczowie zdobyć Suczawę i Sorokę, dwa główne spichrze Kamieńca, zagrozić Jahorlikowi w Budziaku, a połączywszy się z korpusem austriackim, zdobyć nareszcie obydwa gospodarstwa. Wiadomość o stanowej

---

<sup>1</sup> *Archiv. Prov. Pol.* Wyciąg z aktów O. K. M. Voty, nr. 16.

wygranej cesarskich pod Selankemem na Węgrzech, 29 sierpnia, i śmierci wielkiego wezyra, dodawała animuszu. Jakoż wojska polskie wzięły szturmem Sorokę, klucz Besarabii, i zamek Niemcza, dominujący nad Wołoszą, a 12 października 1691 roku król odniósł świetne, nad Tatarami i 30.000 Turków, zwycięstwo na polach między Śniatynem a Suczawą.

Tymczasem posiłki austriackie, pomimo wielokrotnych nalegań króla, nie nadchodziły, nie pozwolono nawet sprowadzić żywności ludziom i koniom z blizkiego Siedmiogrodu. „Kłęski elementarne, jak donosi Vota kardynałowi protektorowi 14 listopada 1691 r. z Jaworowa, zniszczyły tak pomyślne rezultaty, bo deszcze, wylewy wód, błota, zimna i mrozy, połączone z brakiem żywności, furazem zmarzłym i śniegiem pokrytym — wszystko to razem było powodem oplakanej straty w koniach i piechocie, z niebezpieczeństwem do nieuwierzenia króla i królewiczów, o czym nikt nie może wydać pewniejszego świadectwa nade mnie, bom był ustawicznie przy królu w całej kampanii, w jednym powozie i namiocie“<sup>1</sup>.

Zamiast zdobycia Besarabii, gospodarstw i tryumfów, istny tłum żebraków i straszdeł dowlókl się w listopadzie do granic polskich, a temu tłumowi zalegał żołd od 16 i 18 kwartałów, bo lauda wojewódzkie obciążyły podatki, uchwalone na sejmie, a papież Aleksander VIII, lubo częstymi listami O. Voty do kardynała protektora Polski proszony, subsydyów nie posyłał, sprzymierzonych do podtrzymania ligi, jak to czynił Innocenty XI, nie zachęcał. Zatrudniała go ważna sprawa pogodzenia Ludwika XIV z cesarzem i ligą ausburską.

Wtenczas O. Vota podsunał królowi myśl, aby w interesie świętej ligi, ofiarował się papieżowi na pośrednika i rozjemcę. Zgodził się król na to, a Vota pisze z Jaworowa 13 września 1690 roku do kardynała protektora Barberini „z wyraźnego rozkazu króla“, że król, dzielając zamiary Ojca św. w przywróceniu pokoju między panami chrześcijańskimi, „aby sił swoich

---

<sup>1</sup> *Archiv. Prov. Pol.* Wyciąg z aktów O. Voty, nr. 25.

zaoszczędzili ku pokonaniu wspólnego nieprzyjaciela..., uważa za potrzebne nietylko dla pobożności, ale i sławy własnej, ręką i czynami przyczynić się i pomagać całą swoją możnością do tak świętej sprawy, o ile i kiedy Jego Świątobliwość go zawezwie". Przeto niech kardynał przedstawi Ojcu św., ale „nie w imieniu króla, lecz od siebie, o ile byłoby na czasie wdanie się królewskie, pod auspicjami i wspólnie z Ojcem św., u mocarstw wojujących, gdyż król JM. zostaje ze wszystkimi w dobrych stosunkach i przyjaźni?"

Odpowiedzią było *breve*, zapraszające do pośrednictwa króla Jana i O. Votę. „Zapewne otrzymał WE., pisze tenże Vota do kardynała protektora z Żółkwi 17 stycznia 1691 roku, list króla do Ojca św., z najpokorniejszem króla podziękowaniem w sprawie pokoju między mocarstwami chrześcijańskimi, o czem otrzymał pierwszą wiadomość od WE., a potem *breve* apostolskie, które od nuncjusza otrzymałem i przedłożyłem.

„Co do tej medyacyi, muszę powiedzieć najwyraźniej w imieniu króla, że jakkolwiek uważam sobie za najwyższą łaskę i zaszczyt, jakim mnie Ojciec św. obdarza, powołując mnie do udziału w tak świętem i chwalebnem dziele, w sprawie najdonioślejszej ze wszystkich teraźniejszych w chrześcijaństwie, niemniej król oczekiwać będzie ze wskazówek i rozkazów Jego Świątobliwości kierunku i sposobu przedsięwzięcia i prowadzenia dalej tego wielkiego dzieła. A chociaż widzi niepokonane prawie trudności, jak podtrzymywanie słusznej sprawy prawowitego króla Jakóba (w Anglii) i sprzymierzonych, a jednocześnie nie zrywania z królem Wilhelmem (księciem Oranii), również rozwikłania tylu i tak sprzecznych interesów sprzymierzeńców katolików i protestantów, chrześcijan i Turków, którzy wszyscy na naszą szkodę są połączeni zanadto silnymi węzłami, i ostateczne zagojenie tych wielkich ran we Włoszech, które tracą tyle krwi w najżywotniejszych i najdalszych częściach państwa — jednakże JKM. nie traci otuchy, zostając pod najmędrszym i najdoświadczeńszym w Kościele bożym papieżem, który zdoła swojemi najświętszemi radami, podtrzymywanemi przez dobroć bo-

ską, podać nie potrzebną do wyjścia z labiryntu, w jakim się znajduje biedne chrześcijaństwo<sup>1</sup>.

Na razie skończyło się na dobrych chęciach; 86-letni papież Aleksander VIII umarł 1 lutego 1691 r.

Do nowego papieża Innocentego XII udawał się raz po raz O. Vota przez kardynała protektora Barberini o subsydyja pieniężne, ostatni raz z początkiem lutego 1692 r.: „Król JM., nie szczędząc żadnych zachodów do wydobycia środków do dalszego prowadzenia nieuniknionej, według wszelkich widoków, przyszłej kampanii, rozkazuje mi przedstawić EW. prawdziwą potrzebę nowych subsydyjów od J. Świątobliwości i spodziewa się mądrego i dzielnego orędownictwa EW., aby się przyczynić do niejkiej ulgi temu tak strapionemu królestwu, dziś bardziej, niż kiedy, pomimo ostrej pory, cierpiącemu od zagonów tatarskich. Już miałem zaszczyt odpowiedzieć EW. z rozkazu króla, że w uniwersale królewskim<sup>2</sup> powiedziano o braku subsydyjów, że nie otrzymano nowych i nie ma nadziei na nie, a to niewiele, co przyszło podczas ostatniej kampanii, są to resztki tylko Innocentego XI, a co do trenu artylerji, nie było wzmianki o tem na ostatnią kampanię<sup>3</sup>.

Wkrótce potem Vota wyjechał do Wiednia i Rzymu, jako poseł króla JM.

Równocześnie ze staraniami o utrzymanie zachwianej kilkakrotnie św. ligi, pracował Vota nad ukojeniem rozlicznych utrapień króla i podniesieniem jego domowej pomyślności.

Najbogatszą dziedziczkę w Europie, Ludwikę Karolinę, córkę znanego nam już księcia Bogusława Radziwiłła, przeznaczał król Jan, r. 1680, synowi najstarszemu Jakóbowi w małżeństwo. Opiekun panny, wielki kurfirszt brandenburski Fryderyk Wilhelm, wydał ją spiesźnie (7 stycznia 1681 r.) za syna swego Ludwika. Małżeństwo było bezdzietne, Ludwika Karolina

<sup>1</sup> *Archiv. Prov. Pol.* Wyciąg z aktów O. Voty, nr. 19.

<sup>2</sup> Do senatu i rycerstwa 20 paźdz. 1691 r. — Theiner, *Mon. Reg. Pol.* III, 730.

<sup>3</sup> *Archiv. Prov. Pol.* Wyciąg z aktów O. Voty, nr. 27.

owdowiała 1687 r.; o rękę młodej wdowy starali się: królewicz Jakób i Karol Filip, książę nejburski, brat cesarzowej, żony Leopolda. Królewicz był już po słowie; we wrześniu 1688 r. odbyć się miały sute gody weselne, gdy 10 sierpnia młoda wdowa wzięła ślub potajemnie prawie z księciem nejburskim, pobłogosławiony przez kapelana poselstwa austriackiego.

Pojmiemy boleść króla z takiego afrontu; żalił się Innocentemu XI na niewdzięczność cesarza, zraził się do niego i do ligi, nosił się z myślą zawarcia pokoju z Turcyą, a sejm 1688—1689 zerwany głównie dla tej sprawy przez Sapiehów, kupionych za 60000 talarów od Brandenburczyka, przebrał miarę jego cierpień. Podzielał je szczerze O. Vota, dla dobra ligi a także dla ukojenia żalu króla wyrównać pragnął przepaść między nim a cesarzem, i po wielu bezowocnych próbach podsunął, przez nuncjusza zapewne Santa-Croce, we Wiedniu myśl, aby wyrażony królewskiemu domowi despekt, wynagrodzić małżeństwem królewicza Jakóba z rodzoną siostrą cesarzowej, piątą z rzędu córką Filipa Wilhelma palatyna Renu, urodziwą, a potulną Jadwigą Elżbietą. Projekt ten już w listopadzie 1689 r. został dobrze przyjęty i postanowiony jako „sprawa niewątpliwa“ w Wiedniu, Düsseldorfie i Warszawie dojrzał jednak dopiero w październiku, a zmienił się w czyn dokonany w lutym 1691 r.

Dusza tego projektu, O. Vota, donosił skwapliwie kardynałowi protektorowi o fazach, jakie projekt przebywał (w listach 16 listopada 1689, 25 marca i 14 czerwca 1690), gdzie między innemi czytamy: „Sprawę tę uważałem, jako bardzo korzystną dla chrześcijaństwa i zgodną z uczuciami ojcowskiemi papieża i dla tego przyczyniłem się do niej pilnie i skutecznie“. Wreszcie 5 października donosił z radością: „Przybył wczoraj do Ich królewskich Mościów kurjer z podpisanym traktatem małżeńskim, między królewiczem Jakóbem, a księżną Elżbietą nejburską“, a 22 listopada z Żółkwi przesłał „z czcią należną i uszanowaniem wiadomość o zawartem stanowczo małżeństwie. W przeszły czwartek król zawiadomił biskupów, hetmanów i senatorów królestwa i ogłosił całą umowę, którą pod-

pisali wszyscy bezzwłocznie podczas uczty danej tego dnia przez królewicza. Zostaje jeszcze wysłanie za kilka dni posła do księcia Nejburga, w osobie biskupa poznańskiego (Witwickiego). Najdostojniejsza księżna młoda ma przybyć podczas karnawału do Krakowa, albo do Warszawy... O tym szczęśliwym wypadku, który tyle się przyczynia do dobra chrześcijaństwa, kładąc koniec wszystkim rozterkom i wzmacniając ligę św., zawiadomi EW. król sam“.

Wskutek tej wiadomości Aleksander VIII przesłał 30 grudnia 1690 r. gratulacyjne listy do króla, królewicza i do dwuosłęba biskupa poznańskiego Witwickiego, spodziewając się z tego związku „wielkich dla sprawy publicznej przeciw wspólnemu wrogowi korzyści“<sup>1</sup>. W dalszych jeszcze listach z 14-go i 24-go stycznia donosi Vota, że ślub naznaczony został na 25 lutego 1691 r. w Warszawie, że elektor palatyn Renu, brat narzeczonej, nie chce jej wyprawić do Polski w zimie, obawiając się o jej zdrowie, że królestwo temu przeciwni, a gdyby nie przemogli oporu palatyna, to ślub odbędzie się w poście, bo król z pierwszą wiosną rusza na wojnę, niech więc kardynał na wszelki wypadek, zawczasu wystara się o dyspensę<sup>2</sup>. Nie była ona potrzebna, ślub odbył się w oznaczonym czasie, ale ta dokładność relacji O. Voty dowodzi, jak żywo go ta podwójnie ważna sprawa obchodziła.

Wnet po godach weselnych „rozpoczęły się w domu królewskim przykre niesnaski, królowa bowiem nie była zadowolona z Jakóba i synowej“, cichej, potulnej, do męża przywiązanej Niemki, Jakób zaś zazdrościł faworów większych, jakie król i królowa młodszemu bratu okazywali, usunął się więc od dworu i zamieszkał w Czersku. Król, wybierając się na wojnę wołoską, zaprosił go wraz z żoną (w czerwcu 1691 r.) przez biskupa Jędrzeja Załuskiego do przyjazdu na Ruś, bo tam „chwała obrała sobie miejsce, a nie pod Czerskiem, i to na wysokiej cierniami

<sup>1</sup> *Mon. Reg. Pol.* III, 327, 328.

<sup>2</sup> *Archiv. Prov. Pol.* Wypis z aktów O. Voty, nr. 5, 6, 7, 12, 15, 18, 20.

<sup>3</sup> Załuski, *Epist. hist. fam.* I, 1211—1215, 1263—1272.



porosłej górze". Odmówił szorstko Jakób, bo królowa źle się obchodzi z jego żoną, on zaś nie ma pieniędzy na drogę, pozabawiony dochodów. Zgniewała i zmartwiła ta odpowiedź króla, postanowił więc z samym tylko królewiczem Aleksandrem odbyć wyprawę. Jakób wpadł w furę, i naradziwszy się z rezydentem cesarskim Szymońskim, udał się do podskarbiego, oświadczając, że jeżeli Aleksander pojedzie z ojcem na wojnę, to on żegna ich, wyjedzie za granicę, wydawszy manifest do narodu, „jako król preferuje młodszego brata i chce go na tron wprowadzić". Wszelkie perswazyje przyjaciół, zwłaszcza kasztelana żarnowskiego, nie uspokoiły zazdrosnego Jakóba. Król, dowiedziawszy się o tem, zabolał srodze i pod nadmiarem żalu kazał wyrodnemu synowi powiedzieć: „niech jedzie dokąd chce, ja go nie wstrzymuję, ale niech wie, że go więcej na oczy widzieć nie chcę, a jeżeli z Polski wyjedzie, to przekleństwo ojcowskie będzie mu towarzyszyć". Zacięty w nienawiści bratniej, Jakób odpowiedział ojcu, że „do Warszawy nie przyjedzie, uda się do Belgii, gdzie król hiszpański ofiaruje mu gubernatorstwo tego kraju". Król nie posiadał się z gniewu i żalu, Jakóba odstąpili przyjaciele, nawet kasztelan żarnowski zabierał się do wyjazdu, oburzeni upornem zuchwalstwem syna dla ojca, aż tu w sierpniu przybywa na dwór czerski O. Vota, przywożąc z sobą rezydenta weneckiego Alberti, konfidenta królowej.

Bez wątpienia on sam ofiarował się na pośrednika, bo oddany całej osobie króla, patrzeć nie mógł dłużej na boleść jego, a niesławę dworu królewskiego. Zamknęli się Vota i Alberti z królewiczem Jakóbem w komnacie; co z sobą rozmawiali, nie wiadomo, ale wynik rozmowy był ten, że Jakób prosił króla, prosząc o to jedynie, aby młodszy Aleksander nie ujmował sobie hojnością wojska. Surowo upomniał go król, a okazując łaskę ojcowską, pozwolił, aby razem z nim na wojnę się wyprawił<sup>1</sup>.

Nieraz jeszcze wypadło O. Vocie pośredniczyć w rodzinnych waśniach królewskiego domu, które dopełniały miary cier-

---

<sup>1</sup> Załuski. *Epist. hist. fam.* I, 1121—23.

pień i goryczy starzejącego się króla, a które ledwo zażegnane, wywoływała coraz to nowe, nienawiść intryganckiej matki do Jakóba, awersya jej do synowej, a zazdrość Jakóba do młodszego brata Aleksandra.

Była jeszcze druga, mniej ważna, ale bardziej kłopotliwa sprawa. Przykro powiedzieć, bohater chrześcijaństwa, doznawał przykrości i upokorzeń nie tylko od cesarza, któremu uratował Wiedeń a przywrócił Węgry, ale nawet od Stolicy św., której był najlepszym synem. Stało się to nie z osobistej papieży niechęci, ale winą intryg cesarskiego dworu, kardynałów austriackich i niechętnych królowi polskich dygnitarzy. W kuryi rzymskiej dawano „zbawcy chrześcijaństwa“ raz po raz uczuć, że nie jest dziedzicznym, ale elekcyjnym królem, do czego przyczynić się mogły ustawiczne żebrania króla o subsydia pieniężne na wojnę; kwestyonowano królewskie prawo prezenty kardynałów, patronatu opactw, zwlekano z prekonizacyą arcybiskupów gnieźnieńskich Wydźgi i Wierzbowskiego, a potem opatów, mianowanych przez króla; słowem, uprzejmym iście synowskim prośbom króla odmawiano prawie zawsze. O wstąpieniu na Stolicę św. Aleksandra VIII uwiadomione zostały brewem papieskiem wszystkie dwory, tylko nie warszawski, aż upomnieć się o to musiał O. Vota. „Król JM. mocno jest zdziwiony, pisał do kardynała protektora z Żółkwi 16 listopada 1689, iż po tylu tygodniach, gdy już w całej Europie ogłoszony jest ten szczęśliwy wybór, jeszcze *breve* nie doszło do niego, tak jak do innych dworów i że nuncyusz już został wysłany przez Ojca św. na nuncyaturę nadzwyczajną pierwszej, nim król JM. został zawiadomiony przez samego papieża o jego wyborze; czego przyczyną mógł być jaki wypadek wydarzony kuryerowi wysłanemu w tej sprawie“<sup>1</sup>. Nie wypadek, ale postponowanie króla z wyboru, bez władzy i bez pieniędzy, pomimo że ten król uratował Wiedeń i chrześcijaństwo; *breve* nadeszło dopiero z początkiem 1690 r., widocznie wskutek listu Voty<sup>2</sup>.

---

<sup>1</sup> Wyciąg z listów Voty, nr. 5.

<sup>2</sup> Tamże, nr. 6.

Jednem z takich poniżeń była sprawa kardynałstwa biskupa z Beauvais (Bellovacum), Toussaint de Forbin-Janson<sup>1</sup>, zdolnego dyplomaty, którego Ludwik XIV przysłał po śmierci króla Michała do Polski, aby przeszkodził elekcji Karola Lotaryńskiego. On też przeszkodził, przeprowadzając z hetmanem Jabłonowskim elekcję króla Jana 19 maja 1674 r. i pozostał na dworze polskim jako poseł francuski, działając zręcznie i wytrwale przeciw polityce austriackiej, a tem samem przeciw lidze św. Tego to de Forbin-Janson wdzięczny król przedstawił Innocentemu XI do godności kardynalskiej. Wiadomo, że energiczny ten papież stawiał śmiało czoło uzurpacyom Ludwika XIV na polu kościelnem, że nie prekonizował 32 biskupów rządowych, potępił t. zw. cztery punkta kościoła gallikańskiego, wykłął francuskiego posła w Rzymie, a na kościół francuski św. Ludwika rzucił interdykt. Nie więc dziwnego, że stale odmawiał nadania kapelusza Francuzowi Forbinowi, zamianował za to r. 1685 aż dwóch kardynałów w Polsce, biskupa kujawskiego Michała Radziejowskiego i Jędrzeja Denhoffa, posła królewskiego w Rzymie, o których król nie prosił, ani ich sobie życzył, i wziął ten czyn papieża, jako ubliżający prerogatywom królewskim, bardzo do serca. Ale 84-letni Aleksander VIII pojednawczych był usposobień, u niego więc ponowił swe prośby król i otrzymał (3 maja r. 1690) przez kardynała protektora Barberini odpowiedź, że de Forbin-Janson zamianowany kardynałem.

Uradowany tem O. Vota, który i w tej sprawie główną grał rolę, pisze 14 czerwca do kardynała protektora: „Król JM. nieskończenie jest obowiązany Ojcu św. za to, że chciał zgodnie z jego pokorną prośbą, a swą łaskawością i sprawiedliwością, doprowadzić do skutku to, co się przez tyle czasu ku żalowi króla odwlekało, i że Ojciec św. w najwyższej swej mądrości, miał wzgląd nie tylko na prerogatywy wszystkich innych koron, którym już dawniej były udzielone, ale i na trudy poniesione, a przez niebo poparte w dziele oswobodzenia Wiednia, i na to,

<sup>1</sup> Ur. 1630 r. w Prowancyi z znakomitej rodziny, był kolejno biskupem w Digne, Marsylii i Beauvais, ceniony przez Ludwika XIV dla przymiotów dworskich i zdolności politycznych.

że król stale służył sprawie powszechnej, trwając niewzruszenie w lidze świętej i opierając się z własną szkodą a pożytkiem innych ciężarowi i nawałowi Tatarów i wszystkich ich sił zbrojnych<sup>4</sup>, więc też całe chrześcijaństwo czyn ten Ojca św. oceni i wdzięczne zań będzie. „Nareszcie wyraża król JM. z synowską czułością żywy żal, dowiadując się, że Ojciec św. może doznać z tego powodu jakiej nieprzyjemności<sup>1</sup>. Cóż to za nieprzyjemność?

De Forbin bawił w Paryżu. Zaraz po nominacyi na kardynałstwo, Ludwik XIV kazał mu udać się do Rzymu, aby tam był rzecznikiem interesów Francyi. To się nie podobало Leopoldowi i jego kardynałom. „Król JM., pisze Vota do kardynała protektora z Warszawy dnia 9 sierpnia 1690 r., kazał mi przeczytać sobie list WE., wyrażający przykrość Ojca św., iż kardynałowie austriacy nie chcieli się porozumieć z kardynałem Forbin, i życzenie WE., aby to porozumienie odbyło się w Wiedniu<sup>2</sup>. Trzy nieznane mi bliżej zarzuty, czynili czterej kardynałowie austriacy przeciw nominacyi de Forbin, podając przytem w wątpliwość prawo prezenty króla, jako wybranego tylko, a nie dziedzicznego, i żadnych z nim nie chcieli mieć stosunków, jako z intruzem. Mogli to sobie pozwolić, bo papież był stary i słaby, a za nimi stał cesarz Leopold.

Dotknięty tą podwójną, swoją i papieża zniewagą, król Jan polecił O. Vocie wystosować nader uprzejmy list do kardynała protektora, a stanowczy do bawiącego w Wiedniu (w sprawie małżeństwa Jakóba z Eleonorą) kardynała Michała Radziejowskiego, aby pierwszy w Rzymie pracował nad pogodzeniem austriackich kardynałów z Forbinem, a drugi, aby „przedstawił jak najdobitniej cesarzowi, jako naruszone zostały wszystkie obowiązki względem dobrej wiary i przyjaźni królewskiej i praw jego korony, przez zakłócenie spokoju najświętszej duszy Ojca św. za to, że dokonał aktu ojcowskiej dobroci i słuszności dla króla JM., udzielając kapelusza kardynałowi de Forbin, którego król nomi-

---

<sup>1</sup> Wyciąg z aktów O. Voty, nr. 7.

<sup>2</sup> Tamże, nr. 8.

nował, a poprzednik zwlekał, ku wielkiemu króla żalowi i z ujmą królewskich jego prerogatyw“. Król JM. był zawsze sprzymierzeńcem cesarza i tyle oddał mu usług, więc spodziewać się należało, że cesarz raczej cieszyć się z tej uprzejmości papieskiej dla króla i wdzięczny będzie, i wyda kardynałom swej dependencji polecenie, „aby zachowali się względem kardynała de Forbin ze zwykłą uprzejmością i braterską miłością“.

Nadzieja zawiodła, Radziejowski wrócił (w październiku 1690 r.) nic nie wskórawszy, więc znów za radą Voty król dał polecenie, a Vota „ustnie dodał dzielnego bodźca“ biskupowi poznańskiemu Witwickiemu, jadącemu w dziewosłęby po palatynównę Eleonorę, aby „traktowano najpoważniej, i nareszcie już skończono tę historję w Wiedniu, która żywo dotyczy bezpośrednio króla JM., a więcej rani serce Ojca św.“... i usunięty został „tak niezwyčajny skandal w świętem kolegium“. Nie dosyć tych poleceń i bodźców; pisali do Witwickiego, będącego już w drodze (w styczniu 1691 r.), raz król, drugi raz O. Vota, „jeszcze z większą siłą, przedstawiając aż do przesady wielkość boleści Ojca całego chrześcijaństwa, doniosłość niewidzianego dotąd skandalu między kardynałami, zaognienia ran u obu dworów“.

Na mało się przydały te przedstawienia „aż do przesady“, bo biskup Witwicki, ani jadąc tam, ani z powrotem, nie zatrzymał się w Wiedniu, a tu z Rzymu nalegają, aby tę nader przykrą dla papieża sprawę raz zakończyć. Co więc robić? „Ponowionym zostanie z całą możebną energią rozkaz kawalerowi maltańskiemu Proskiemu, nadzwyczajnemu posłowi króla przy dworze cesarskim, a ja (Vota) zredaguję list króla, w treści i wyrazach najodpowiedniejszych ważności sprawy“, a nie dufając snąc listom, dodaje: „W gorliwości mojej dla tak słusznej satysfakcyi Ojca św., Waszej Eminencyi, kardynała de Forbin, ofiarowania choćby jak najmizerniejszego narzędzia, krwi nawet mojej, gotów jestem udać się osobiście do Wiednia, gdyby król JM. chciał na to zezwolić, bo cesarz JM. raczy wspaniałomyślnie podobać mnie sobie i wierzy, że jestem szczerze oddany sprawie powszechnej i daje tego dowody, i ocenia

moje pisma (listy), więc mniemam, że nie jest to zuchwałością spodziewać się dobrych skutków z takiego kroku mojego<sup>1</sup>. Pisane to było w Żółkwi dnia 14 lutego. Aleksander VIII już nie żył.

Dwór austriacki przebaczyć nie mógł Forbinowi kilkuletnich wytrwałych a zręcznych jego zabiegów przeciw polityce cesarskiej na dworze polskim, i dla tego opierał się przez swoich kardynałów uznaniu jego nominacyi. Przewyciężył jednak ten opór nowy papież Innocenty XII, chcąc ująć sobie Ludwika XIV, z którym się pogodził. Kardynał de Forbin sprawował za pontyfikatu jego i następcy (Klemensa XI) urząd posła francuskiego z zadowoleniem stron obu, a w nagrodę swej roztropnej gorliwości powołany został 1706 r. na godność wielkiego jałmużnika do Paryża, gdzie też 1713 roku długiego żywota dokonał<sup>2</sup>.

*Ks. St. Załęski.*

---

<sup>1</sup> Wyciąg z aktów O. Voty, nr. 9, 11, 13, 17, 19, 20, 21. Vota do kard. Ottoboni 15 sierp. 1690 r., 28 wrześn., 18 paźdz., 20 grud. 1691, 17 stycz., 24 stycz., 14 lut.

<sup>2</sup> Feller. *Dict. hist.* VIII, 286.



## W DOLINIE WIELKIEJ NĘDZY.

---

Zmrok jeszcze zalegał dolinę gasteinską, gdy z przewodnikiem wyruszyliśmy w drogę.

Na zachodzie błyszczała płomienna gwiazda, a pod nią siniały lodowce w nieokreślonym półświecie. Niebo bez chmury bladło, mieniając się od wschodu opalowymi barwami, które się zlewały z szarym, niepewnym, nawpół nocnym błękitem zachodu.

Szliśmy wolnym, miarowym krokiem, spoglądając ku szczytom, ku celowi naszej wędrówki. One więziły nasz wzrok i nasze myśli, jak więzić musi na początku bitwy daleka linia nieprzyjaciela. Patrzyliśmy i milczeliśmy, nadsluchując szmerów dalekich wodospadów. Nas także oczekiwała potyczka z tajemniczym i groźnym nieprzyjacielem, może czekało niebezpieczeństwo, które zawsze pociąga ludzi...

Ludzie są słabi i niedołężni, przyroda jest potężna i wszechwładna... Bezbrzeżne morze i niebotyczne góry przynęcają i wyzywają do walki, a ludzie się kwapią i idą w zapasy z lekceważeniem lub determinacją. Przyroda wybiera ofiary, jako należny trybut, aby okazać od czasu do czasu całą grozę swej potęgi i zgromić śmiałków. Nie byliśmy takimi śmiałkami i nie zamierzaliśmy zaglądać w oczy najniebezpieczniejszym szczytom, ale mimo tego szliśmy, przejęci należnym respektem dla siniejących przed nami alpejskich potworów i przygotowani na złą i dobrą dolę...

Przy rannym chłodzie i świeżości górskiego powietrza

siły się zdwoiły a worki z żywnością i przyodziewkami na mróz i słotę, dźwigane na plecach, traciły na ciężarze...

Wreszcie słońce zeszło, śniegi zapaliły się płomiennymi barwami, stoki, żebra i turnie podparły się własnymi cieniami i wystąpiły silnie z rannej mgły... Po kilkodniowej słocie zabłysnął poranek przedziwnej czystości, jak gdyby niebo i szczyty wynurzyły się z kąpieli. Z największą ufnością w pogodę wyruszyliśmy na trzydniową wyprawę, która nas miała zaprowadzić w górskie obszary, leżące na granicy Salzburga i Karyntyi, w skaliste puszcze *der Hohen Tauern*.

Droga zboczyła w dolinę Anlaufthal. Po obydwóch stronach strome skały, między niemi łożysko spienionego strumyka, wzdłuż strumyka skrawek łąki a w głębi śnieżne szczyty, tak wyglądała górską dolina, którą prowadziła nasza droga. Strumień spadał kaskadami po skalistych bryłach, na łące leżały olbrzymie głazy, pokryte dywanami mechu i uwieńczone bukietami młodych jodeł, szczeliny i załomy skał zacieniał czarny las a łąka błyszczała jasną, soczystą zielenią... Ten krajobraz powtarza się niezliczone razy w górach, we wszystkich górach, sięgających wiecznego śniegu... i kojarzy w sobie dwa odmienne światy: łąkę, strumyk i las, to jest sielankę, pełną barwy i życia, a obok wieczne śniegi i lody, więc martwe pustkowienie, mróz i kamień i dziedzinę śmierci. On patrzy jednym okiem, pełnym życia i wesela, drugim pełnym groźby, zapowiadającym śmierć i zniszczenie... Ten kontrast jest tajemnicą uroku, przed którym korzy się każdy śmiertelnik.

W dolinie, nad łąką, rozsiadła się gospoda. Ostatnia ludzka siedziba na brzegu przestworu gór. Ku jednej stronie sąsiaduje ze światem, ku drugiej graniczy z pustynią...

Zasiedliśmy tam na posiłek i wypoczynek, bo wreszcie żaden statek nie ominie ostatniego, nadarżającego się portu, nim wyruszy na pełne morze.

Naprzeciw gospody leżało ujście bocznej doliny, a właściwie gardziel, do którego jednym wodospadem zlewał się strumień ze szczytów. Nagie, skaliste ściany tworzyły półkrągłą



komorę, której dno zalegał odwieczny las, — zakątek, koło którego wieki przechodzą szeregami, nie troszcząc się o niego...

Złomy drzew, brodate od mchów i porostów, zmieszane z glazami, butwiały na ziemi, przedstawiając szeregi pokoleń, które minęły. Na nich rozrosło się nowe potomstwo, deptając bezwzględnie po trupach przodków. Młode jodły zapuściły korzenie w spróchniałe kłody, w bryły szczerej skały i strzeliły w górę, ku niebu i słońcu, smukłe i dumne, jak gdyby się nie obawiały wichrów i starości... Cień, wilgoć i uroczysta cisza zalegały te ustronie. Czasem tylko, gdy się wąż prześlizgnie gąszczem lub nocny ptak załopoce skrzydłami, ściany może zadrzą od niezwykłego ruchu. Lecz gdy noc zapadnie i księżyc rzuci snop jaskrawego światła do wnętrza przepaści, wtedy groza i dzikość urosną, wtedy biada temu, który się tam zabłąka. O północy zobaczy niezawodnie ducha Samiela i ujrzy na niebie widma, pędzące szalonym pędem nad przepaścią, jak w drugim akcie *Freischütza*.

Koło gospody pojawił się chłopak z koszem na plecach, w kapeluszu góralskim z koguciem piórem, przewieszonem na ucho i zdobnem w kocie łapki. Przyniósł prowianty z sąsiedniej wioski, więc zdjął ciężki kosz z ramion, usiadł obok nas na ławce i ocierał spocone czoło. Opalony na twarzy, suchy i muskularnej budowy ciała, mógł mieć około lat dwunastu, lecz okazywał nad wiek spryt i rozwagę. Opowiadał swobodnie, na czem polega jego dzienna praca. Rano biegnie do sąsiedniej wioski po prowianty a popołudniu odbywa wyprawę po nabiał do szałas, na wysokiej poloninie położonego. Najkrótsza droga do niego prowadzi po stromej ścianie gardziela, koło wodospadu.

Tam, po prostopadłej skale, na której okiem nie dojrzy śladu ścieżki, spina się codziennie, aby nazajutrz, równo ze świtem, wracać do gospody z zapasami nabiału na plecach. Nieraz się zapóźnił, więc szedł już w nocy, raz i drugi z latarnią, wreszcie bez światła, instynktownie, po omacku...

Pytaliśmy się, czy nie widział kiedy Samiela lub widm na niebie... Nie widział, — ale wreszcie kto się spina wśród

ciemnej nocy po stromej skale nad przepaścią, ten nie będzie się bał ani Samiela, ani widm na niebie...

Nareszcie trzeba było opuścić gościnną przystań. Wyruszyliśmy zatem w dalszą drogę, a służąca oberży, wybiegłszy na sąsiednie wzgórze, zegnała nas zdala, jak się żegna czóлно, odbijające od brzegu na pełne morze.

Ścieżka prowadziła po kamiennych gruzach, wzdłuż strumyka w górę doliny, którą w głębi zamykała gromada śnieżnych szczytów Ankogła, panująca nad okolicą. Promienie słońca odbijały się od jego lodów, śnieżne pola drgały tysiącem iskier a czarne skały wynurzały się zewsząd, z pod białej opony, odcinając się ostro od błękitu nieba... Groza i majestat były z tych niebotycznych szczytów, spoglądających dumnie na pałody ludzkiej pracy i ludzkiej troski...

Po dwugodzinnym marszu trzeba było zboczyć z drogi, opuścić dno doliny i spinać się po bocznej ścianie w górę. Wśród odwiecznego lasu wędrowaliśmy po urwistym stoku, stąpając z głazu na głaz, wprost ku niebu, jak po stromych, szczyrbatych schodach lub po kamiennej drabinie... Im dalej w górę, tem wyższą wydawała się ściana, tem bardziej rosła ku niebu... Zdawało się, że drogi nie ubywało... Jednak dolina ze spienionym potokiem zapadła się w dół pod naszymi stopami, naokoło wyłoniły się szczyty, powyżerały jedne z poza drugich, widnokrąg się rozszerzył, więc wydobyliśmy się w górę...

Dalej i dalej, aż las zniknął, została kosodrzewina a nas przywitały naokoło nagie i dzikie turnie. Poszarpane szczyty, miejscami pstrokate od śniegu, pola zasłane gruzami, tytaniczne głazy, zwalone jedne na drugie, stanowiły dziki zakątek, istną krainę wygnania... Wstąpiliśmy w regiony skały i lodu — do kamiennej puszczy, która się rozstaczała naokół niezmiernymi przestrzeniami... Całe kraje leżą na tych wysokościach a podróżny może się błąkać dniami i tygodniami, nie spotykając żywej istoty.

Lecz na brzegu jeszcze widoczne były ślady wegetacji, napotykało się mnóstwo alpejskiego kwiecia, przytulonego do skały, rozłożonego na głazach, jak poduszki, bijące żywymi

barwami... Tu płat kamiennych gwoźdзикów silnego koloru róży, dalej dywanik szafirowy alpejskich dzwonek lub grędy czerwonej sileny. Kamień, śnieg i kwiatki sąsiadują ze sobą, jakby się nawzajem uzupełniały.

Wśród turni trzeba się było spinać bez przerwy do siodła, które się zwieszało nad naszymi głowami... Las, kosodrzewina i kwiatki znikły, a zewsząd wynurzały się na prawo i na lewo śniegi, lody... Kroczymy z głązu na głąz ku górze, ku siodłu, i znajdujemy się nagle na poziomej wstędze, zbudowanej nakształt drogi, z wielkich, niekształtnych głązów... Noga śmiało stąpa, nie potrzebując szukać punktu oparcia, pierś wolniej oddycha a my doznajemy uczucia, jak gdybyśmy znaleźli sztuczne miejsce odpoczynku... Rzucając okiem za siebie spostrzegamy zdala ślady tej wstęgi, która się wiję i przechodzi z jednego stoku na drugi. Wszak to droga, gościniec rzymski, prowadzący przez alpejskie przesmyki ku północy, do nadreńskich posiadłości starego imperyum. Gdzie dzisiaj podróżny odbywa wyprawę z przewodnikiem, spina się po urwiskach, skacze z jednego głązu na drugi, za przykładem kozicy, tam przed dwudziestu wiekami przesuwali się rzymskie legiony, toczyły się niezliczone wozy i maszyny obłęźnicze, kroczyły pochody niewolników, prowadzonych na targi Rzymu... Sześć szlaków drogowych rzucili Rzymianie przez szczyty Alp — i zawsze przekroczyli łańcuch gór najniższymi, najdogodniejszymi przesmykami, któredy dziś prowadzą światowe linie kolei żelaznych.

Jest to podziwienia godne, ale jeszcze bardziej musi zastanawiać sposób budowania tych dróg z olbrzymich głązów, na niedostępnych szczytach, w czasach, gdy nie znano ani prochu ani dynamitu.

Zagadka nie do rozwiązania, nawet w przypuszczeniu, że setki niewolników były do rozporządzenia dla każdego kamienia...

Wydobyliśmy się nareszcie na przyłęcz, stanęliśmy w bramie, zbudowanej z turni i rzuciliśmy wzrokiem na drugą stronę pasma gór, ku południowi... Przed naszymi oczami otworzył się rozległy, czarujący widok: dwie doliny zbiegające się u naszych stóp, otoczone łańcuchami śnieżnych szczytów, z zielo-

nemi łąkami, błyszczącymi strumykami, z kościołem w dali, migającym we mgle nad gromadą białych domków... Była to Karyntya.

Na przylęczy, wzniesionej jak mur między dwoma krajami, wiatr dał z niesłychaną siłą, przepędzając nieustannie chmury z doliny w dolinę przez otwarte wrota. Co chwila świat ginał przed nami, zatopiony w mgłach, które się toczyły i pełzały po skałach i śniegach. Uczepieni skał, staliśmy w milczeniu, podziwiając majestatyczne otoczenie... Ku południowi widok był rozległy i czysty, i można było sięgnąć okiem gdzieś aż do serca Karyntyi, natomiast ku północy, blizkie gasteinskie góry znikły w koronie chmur. Przewodnik spoglądał w tamtą stronę z podejrzanem zamyśleniem i uspokoił nas, że to są tylko „suche mgły“.

Na drugiej stronie, zeszedłszy nieco w dół, minęliśmy zamrznięte jezioro i powędrowaliśmy grzbietem gór ku schronisku.

Droga nas zaprowadziła na rozległe pole, puste, bez śladu wegetacyi, zasiane głazami, poorane zmarszczkami i wyżłobieniami, jak gdyby morze lawy zastygło w zalewie... Było to łóżysko dawnego lodowca, który toczył po tych skałach swoje lody, powycierał i powyżłabiał kamienne ławice i znikł bez śladu... Po nim zostało pustkowie, gdyż na łóżysku dawnego lodowca żadna trawa nie zazielenieje, żaden kwiatek alpejski nie zakwitnie — prócz jednego. Jest to roślina, która jakby drwiąc sobie z praw przyrody, na łóżysku lodowca żyje i tylko tam żyć może. Jest to jedna z tajemnic, jeden z kaprysów przyrody. Błado-różowe dzwonki z mięsistymi listkami pełzają po nagim kamieniu i świadczą przed potomnością o dawno znikniętych lodowcach.

Gdy tak błędziłyśmy po kamienistym morzu, szukając za lodowcowymi dzwonkami, przeraźliwy gwizd się rozległ. Przewodnik chwycił mnie za rękę i wskazał wzrokiem poprzód nas. Tam coś żółtego mignęło, stanęło i znów pomknęło. Była to kozica, spłoszona naszymi krokami, która sadziła przez głązy

i szczeliny lotem błyskawicy, unosząc się w powietrzu nad skałami i gruzami, jak gdyby leciała na skrzydłach.

Nad naszymi głowami ujrzelśmy nareszcie schronisko, jak orle gniazdo przyczepione do skały, przewieszzonej nad głęboką przepaścią. Jest to szałas z kamienia, przymocowany żelaznymi sztabami, jak zdrutowany garnek, do skały. U stóp jej bardzo nisko i bardzo daleko rozciągają się dwie karynkie doliny, kryjące w sienie mgły najbliższą ludzką osadę, do której daleka, ciężka i często niebezpieczna prowadzi droga. Nad dolinami wznosiły się urwiste, zalesione stoki, wyżej nagie skały, a jeszcze wyżej łańcuchy śnieżnych szczytów z lodowcami, błyszczącymi w słońcu, które spadają w doliny, w skrzepłych kaskadach. Tuż przed nami zaś sterczy szczyt, złożony z piramid, iglic i turni, zasłonięty po części chmurami, groźny i niedostępny, odpowiadający godnie swej nazwie „Bramy piekielnej“.

Patrzyliśmy na tę puszcę z głazu i lodu, na lasy szczytów, na skamieniałe morze z gigantycznymi falami i bezdennymi głębinami, zataczając myślą kręgi w świat daleki.

W schronisku zastaliśmy gospodarza, przewodnika i Niemca, turystę. Jedna izba zawierała stół i ławki, oraz palenisko, przy którym krzątał się góral-gospodarz, druga mieściła dwa ogromne tapczany, jeden nad drugim, każdy z sześcioma poduszkami i kocami, jako nocleg dla dwunastu turystów.

Gospodarz przygotowywał nam posiłek, rzucając blaszane puszki z konserwami do gorącej wody, podczas, gdy my zawieraliśmy znajomość z obecnym turystą. Łysy, gruby jegomość w okularach, przedstawił się jako członek hanowerskiej sekcji alpejskiego towarzystwa i zwierzył się przed nami, że „honor sekcji“ zaprowadził go z Hanoweru do tego zakątka Karyntyi. Owe schronisko zbudowała bowiem przed dwunastu laty jego sekcja, aby ułatwić dostęp do szczytu Ankogla, herszta całego łańcucha gór — a on, nie znał jeszcze ani schroniska, ani Ankogla, choć był od długich lat „rzeczywistym członkiem hanowerskiej sekcji towarzystwa alpejskiego“. Więc przyjechał z Hanoweru, przyszedł do schroniska i miał niezłomny zamiar zrobić nazajutrz wyprawę na blizki, lecz niełatwo dostępny szczyt

góry... Swego przewodnika wypytywał się szczegółowo, jak się wyprawa odbędzie i z uszanowaniem, pełnem obawy, słuchał zapowiedzi tego, co go czekało.

Mieli wyjść z chroniska o 3-ciej rano, spinać się przez godzinę po stromej skale, wędrować drugą godzinę po lodowcu, następnie pęłać po poszarpanym grzbiecie i t. d., i t. d. Niemiec spoglądał z niedowierzaniem z poza okularów na przewodnika, badając dalej, jak to będzie a przewodnik rzucał ironiczne spojrzenie na ciężką, piwem zaokrągloną postać turysty i tajemniczo odpowiadał: „zobaczmy“. To jedno słowo odbierało resztę odwagi Niemcowi, więc nalegał na przewodnika, aż ten już nieco znudzony odrzekł: „Na mały szczyt Pana ‚zaciągnę‘, ale wyżej, to się chyba nie uda“. Niemiec do reszty się zafrasował i z pewnością w duszy złorzeczył godzinie, w której mu się zachciało zdobywać wawrzyny na niedostępnych szczytach a mnie się przypomniła opowieść zakopiańskiego przewodnika o wyprawie z żydem na Rysego. „Jak my pysyli z żydem na pierwsze cklive miejsce, — opowiadał góral — to memu zydowi ze strachu tak ocy zbiełały, jak zajęcowi, więc ja prędko włatem w zyda pół kwaterki cognaku, aby go tylko całego na dół sprowadzić“.

Nareszcie Niemiec porzucił ten temat, widocznie dla niego zbyt drażliwy i zaczął nas bawić reminiscencyami z wojny prusko-francuskiej, w której brał udział jako oficer. Może być, że chciał tym sposobem urósć w opinii naszej a przede wszystkim w opinii swego przewodnika. Lecz te wojenne czyny bohaterskie musiały być dość skromne, skoro ciągle powracał do kaszy i grochowej kielbasy — które stanowiły tygodniami jedyne pożywienie, — jako najbardziej ciernistych wspomnień.

Ale trzeba było w dalszą puścić się drogę, gdy przewodnik zawezwał nas do pochodu. Pożegnaliśmy więc schronisko i Niemca i życząc mu szczęśliwej wyprawy, puściliśmy się dalej w drogę, wzdłuż łańcucha gór, ku szczytom i lodowcom. Ścieżyna, którą wędrowaliśmy, nie zasługiwała na tę nazwę, bo była właściwie tylko kierunkiem, który miejscami przekraczał gardziele z wodospadami i poszarpane urwiska. Nad nami, w górze,

majaczyły wśród chmur białe płaty lodowca i czarne zebra. Był to już Ankogel, tak zwany. „Mały szczyt“, do którego Niemiec miał na pewno dotrzeć nazajutrz. „Wielki Szczyt“ zabłysnął także w górze parę razy, ale wkrótce wszystko zakryło się chmurami i — deszcz się puścił. Przewodnik przystanął, rozglądnął się naokoło i pocieszył nas, że to chwilowy, niewinny deszczyk. A jednak widnokrąg nie wyglądał bynajmniej tak niewinnie. „Piekielna brama“ przyodziła się w koronę czarnych chmur a tuż ponad naszymi głowami chmury pędziły z szaloną chyżością od szczytów Ankogla i pomykały ku dolinom. Białe opary, pędzone wiatrem, który dał od wierzchołków, toczyły się skłębione po ziemi, zagarniając i osnuwając nas co chwila. Czasem zabłysnął na chwilę szczyt w górze, nad głowami zamajaczyła się czarna ściana, pokryta białym całunem śniegu, tworząc z wieńcem chmur groźny widok, — jakgdyby się pojawiał olbrzymi ołtarz, którego dymy ofiarne wieher rozpędzał i przytłumiał, zasłaniając bóstwo i oslepiając wzrok niegodnych istot ludzkich...

Deszcz zamienił się w ulewę... Chmury osunęły się niżej, rozłożyły po stokach i zasłoniły ze wszech stron widnokrąg. Busola byłaby przydatną, aby w tej pustyni znaleźć kierunek i drogę, ale przewodnik prowadził, jak pies idący za tropem.

Mieliśmy przed sobą przełęcz, na który trzeba się było wydostać. Z głazu na głaz, z urwiska na urwisko, spinaliśmy się do nieba, bo wierzchołek ściany zapowinał się chmurami i znikł na wysokościach. Tam przyjął nas wieher, zalał strugami deszcz i zasnuł w chmury, które pędziły od szczytów z szaloną chyżością, jedne z drugimi, jak stado baranów wypuszczonych przez otwarte drzwiża owczarni...

Na przylęczy, za skalistem polem, zaczął się lodowiec. Czy mały, czy rozległy, tego nie można być osądzić, bo naokół chmury leżały na ziemi i biały śnieg łączył się z białymi oparami.

Aby się dostać na lodowiec, trzeba było przekroczyć szeroką rzekę, prowadzącą wody z wierzchołków i wartko płynącą brzegiem lodowca. Nie było rady — musieliśmy ją przejść w bród i brnąć dalej w głębokim, rozmokłym śniegu...

Ledwo postąpiliśmy kilkaset kroków, gdy grzmot się rozległ i błyskawice oświeciły chmury. Przewodnik przystanął i zawołał z radością: „Chwała Bogu... burza, to jedyny ratunek. Po burzy będziemy mieli jutro śliczną pogodę!”

To proroctwo nas pocieszyło, choć tymczasem jutrzejsza pogoda gorzko się zapowiadała. Deszcz lał strumieniami, wiatr huczał i niósł nad nami i koło nas całe morze kłębiących się chmur a pioruny biły, gdzieś, w oddalone, skaliste turnie.

Pole śniegowe leżało przed nami, jak step Syberyi — biała płaszczyzna, bez śladu okalających skał i szczytów, łącząca się z chmurami...

Przebywszy lodowiec, stanęliśmy na brzegu ściany i ujrzeliśmy u stóp głęboko wciętą dolinę. Była to wązka polana, przecięta białym spienionym strumieniem, zamknięta po części czarnymi skałami, po części ścianami lodowców, chowających się w chmurach. Z wszystkich skał i wszystkich lodowców spadały wody potokami do strumienia, a nad strumieniem majaczył w dali, przez zasłony deszczu, czerwony dach schroniska.

Była to dolina „Wielkiej Nędzy“ (*Gross-Elend-Thal*).

Do niej trzeba było zejść po stromej skale — ale którądy? Wszędzie naga ściana oślizła od deszczu, po którejby chyba za pomocą liny spuścić się można... Idziemy brzegiem, bezradni, wśród ulewnego deszczu, widząc przed sobą gościnny dach i upragnione schronienie, do którego dostęp, taki trudny... Wybieramy wreszcie zejście gardzielem, którym potok zbiega w dół kaskadami, przez kilka szczelin i po kilku wystających głazach. Nie obeszło się bez obfitego tuszu, ale oswoiłszy się już z wodą, niebo urządziło nam już od trzech godzin tak hojną kąpiel, że i zejście w dół kaskady nie mogło więcej zmoczyć naszych rzeczy.

Zeszliśmy, jak po szczerbatej drabinie, lub walącym się dachu. Chcąc dostać się do schroniska, zostawała nam jeszcze długa wędrówka po bagnistej polance przesiąkniętej, jak gąbka, wodami; przejście wbród przez wezbrany potok, którego gwałtowne i rące fale groziły zwaleniem z nóg.

Nareszcie dobiliśmy do portu, widząc już zdala gromadkę



ludzi, stojących na ganku schroniska i oczekujących naszego przybycia. Przywitali nas okrzykami, dopomogli w zdejmowaniu płaszców, worków i kapeluszy, z których woda spływała strumieniami i przyjęli gościnnie i po koleżeńsku. Byli to trzej podróżni i przewodnik, którzy od dwóch godzin śledzili za nami, gdyśmy wędrowali po lodowcu, i spuszczała się po ścianie wodospadu, jak śledzą rybacy z brzegu za łodzią, waleczącą z bałwanami u wejścia do zatoki.

Rozgospodarowaliśmy się w głównej izbie schroniska, zawierającej ognisko, stół, ławki i sznury, na których się suszyły przemoczone płaszcze, worki i obuwie... Przy ognisku krzątała się gospodyni, góralka, tytułowana przez wszystkich „matką“, a zasługująca na to miano, bo karmiła zgłodniałych podróżnych zapasami żywności, czerpanymi z blaszanych puszek. Była to stara kobieta, wysokiego wzrostu, kościstej budowy, z pomarszczoną, żółtą twarzą, przypominającą skamieniałe, przedpotopowe zwierzęta. Nieustannie gderała i łajała gości, jak niegrzeczne dzieci, lecz mimo tego starannie się wszystkimi opiekowała i każdemu dogadzała. Co roku, w końcu czerwca, odbywała pieszą podróż, aby się dostać z najbliższej, karyneckiej wioski do schroniska. Była to dziesięcio-godzinna wędrówka, górskimi ścieżynami, które łączą schronisko z ludźmi i ze światem. Przez dwa letnie miesiące przebywała samotna na wysokości 2800 m., nie widząc w czasie niepogody tygodniami, żywej duszy — prócz chyba posłańca z dolin, który przynosił na plecach dwa razy w tygodniu zapasy żywności, składające się przeważnie z puszek z konserwami.

Schronisko stanęło kosztem sekcji Osnabrück alpejskiego towarzystwa. Wszystkie potrzebne materyały — prócz drzewa świętego na niedalekich stokach — wszystkie sprzęty i całe urządzenie przyniesiono na plecach z „sąsiedniej“ wsi, do tego potrzeba było dziewiętnastu ludzi, którzy przez siedm tygodni spacerowali tam i napowrót po dziewięcio-godzinnem bezdrożu, aby przenieść na barkach całe schronisko i wszystko, co w niem zawarte.

Owi trzej podróżni, którzy nas przywitali u wejścia, byli

tego dnia na wysokim i trudno dostępnym szczycie „Wysokiej Połoniny“ (*Hochalmspitze*) i ledwo zdołali na czas uciec przed nadciągającą burzą i dotrzeć do schroniska. Byli to młodzi, tędzy ludzie, zaprawieni do górskich wypraw, którym trudności i niebezpieczeństwa nie imponowały. Ale imponowała im i straszyla ich niepogoda.

Siedzieliśmy razem, — podróżni i przewodnicy — w małej gościnnej izbie, zapełnionej dymem z fajek, dymem z ogniska, zapachem potraw i wodą parującą z przemokłej odzieży. Ogólne usposobienie było przygnębione, rozmowa chromała i nieustannie spoglądał jeden lub drugi do zakratowanego okienka, aby się przekonać „czy się nie wypogadza“.

Widok z tego okienka był smętny i groźny.

Szara polana leżała przed nami, przecięta białą wstęgą spienionego strumienia, otoczona skałami i lodowymi ścianami. Zewsząd spadały w dół potoki wody, tworząc szeregi kaskad na ścianach doliny — a te czarne ściany skał i białe ściany lodu chowały się w chmurach, które wisiały gęstą, nieruchomą mgłą, jak nizki i duszny strop, — kraina głazu, lodu i wody a zarazem kraina piekielnej wrzawy, spowodowanej szumem i hukiem wodospadów, zlewających się zewsząd w dolinę i głuszących wszystko.

Noc nadeszła. Rozeszliśmy się do naszych kwater, poukładaliśmy się w polowych łózkach i czekaliśmy na sen. Czekałem na niego długo, lecz nadaremnie. Mimo trzynastogodzinnego marszu, mimo spinania się w górę o dwa tysiące metrów, mimo przemoknięcia i umęczenia, nie było śladu senności. Wysokie położenie schroniska i rozrzedzone powietrze, wywołały bezsenność, jako zwykły objaw „choroby gór“.

Siedziałem przez całą noc przy oknie i przyglądałem się światu. Mimo że deszcz lał nieustannie, i chmury nie ruszały się z swych siedlisk, to jednak światło księżyca, ukrytego gdzieś za dziesięcioma górami i dziesięcioma chmurami, dozwalało na podziwianie krajobrazu.

Dwie barwy go składały. Biały lód, biały śnieg, białe wstęgi potoków i wodospadów i białe warstwy chmur — odbijające od czarnych skał i szarej polany... Był to żałobny krajobraz, a jako

akompaniament służył nieprzerwany, jednostajny szum wodospadów, które zdawały się na wzór klepsydry, zlewać godziny nocy — do wieczności.

Prawdziwa dolina „Wielkiej Nędzy“.

Ranek zawitał, lecz na świecie nic się nie zmieniło. Deszcz lał strugami, skały i lodowce dźwigały czapkę z chmur, głęboko zasuniętą na czoło, nie było nic widać ni w górę, ni w dal, bo cały widnokrąg tonął w chmurach.

Wszystkie nadzieje zawiodły.

Złożyliśmy radę wojenną i najpierw przewodnik otrzymał głos, aby wydać sąd o sytuacji. Lecz on, który dzień przedtem nieustannie przepowiadał i pocieszał, złożył w nasze ręce berło proroka pogody i z biblijną prostotą oświadczył: „Panie, nie pytaj, bo nie wiem“.

To oświadczenie nie ułatwiło narady, a jednak trzeba było coś postanowić.

Pierwszą ewentualnością która się na myśl nasuwała, było przeczekanie słoty w schronisku. Do tego trzeba było mieć wystarczającą żywność, więc najpierw nastąpiła rewizja zapasów. Kosz z blaszanymi puszkami, zawierającymi konserwy, był wprawdzie nawpół pełny, ale zapasy chleba, herbaty i wina były bliskie wyczerpania. Do trzech dni możnaby było dociągnąć, ale pytanie czy zmiana powietrza nastąpi do tego czasu.

Nasuwała się więc myśl zejścia, a właściwie ucieczki w doliny, do Karyntyi, do najbliższej wioski — opuszczając pole bitwy i dając za wygrane szczytom i niepogodzie. Lecz to okazało się podróżą naokoło świata. Najpierw dziewięć godzin marszu trudnemi do przebycia ścieżkami, następnie pięć godzin jazdy końmi do najbliższej stacyi kolei, wreszcie kilkunastogodzinna podróż koleją naokoło Alp.

Rozważaliśmy zatem możliwość odwrotu przez góry. Lecz którą? Od Gastein dzielił nas łańcuch wysokich szczytów — i trzeba się było z tem liczyć, że słota przyniosła świeży śnieg w wyższych regionach. A któż nie wie co znaczy na szczytach „świeży śnieg“.

I jeżeli wracać przez góry, to wracać natychmiast, bo każdy dzień przynosi nowe warstwy śniegu i wkrótce szczyty będą nie do przebycia. Lecz czy wracać tą samą drogą, którą przybyliśmy, przez Hannoverhütte, czy drugą stroną przez lodowiec „Małej Nędzy”? Tędy ośm, tamtędy trzynaście godzin marszu, więc przewodnik oświadczył się stanowczo za krótszą drogą, twierdząc, że jedno i drugie przejście będzie utrudnione, więc trzeba wybierać krótszą drogę aby mieć trochę światła dziennego w zapasie na wszelki wypadek. Ten „wszelki wypadek” nie bardzo nam dodawał otuchy, więc wahaliśmy się, chodząc od okna do okna i pytając gospodyni o widoki pogody. Lecz ona nas pocieszała zwyczajem wiejskich ludzi, stawiając najpesymistyczniejsze horoskopy: nie ma mowy o wypogodzeniu, ślota może jeszcze tydzień potrwać i t. d.

Tymczasem nasi towarzysze po długich naradach ze swym przewodnikiem postanowili zejść najbliższą drogą w doliny Karyntyi. Pożegnaliśmy ich, jak się żegna towarzyszy, puszczać się odważnie na wzburzone morze i stojąc na ganku, śledziliśmy za nimi. Lecz nie daleko odprowadziliśmy ich wzrokiem, bo już w odległości paruset kroków ich postacie przybrały niewyraźne kształty, majaczyły przez chwilę, jakby zjawiska duchów i wreszcie zupełnie znikły wśród chmur.

Gdy zbliżała się ósma godzina, nasz przewodnik oświadczył, że nadszedł ostateczny termin decyzji, bo po ósmej byłoby już zapóźno puszczać się wogóle w drogę. Zarazem zastrzegł się, że ani namawia, ani odradza.

Więc nastąpiło śpieszne żegnania z gospodynią, zbieranie worków, płaszców i t. d. i wymarsz. Zaopatrzywszy się, jak było można, przeciw deszczowi, wyruszyliśmy w drogę na lodowiec „Małej Nędzy“.

Żał nam było opuszczać schroniska i doliny, osławionej ze wspaniałego otoczenia i widoków. Przewodnik, jakby chcąc nam dać podwójnie odczuć krzywdę, którą nam niepogoda wyrządziła, opowiadał z zapałem o niebotycznych ścianach lodowców, o groźnych szczytach, i szumiących kaskadach, które można podziwiać w razie pogody, podczas gdy naszym cheiwym oczom

następowały się litylko białe, jednostajne mgły, jakby mleczne zasłony, które przekorne duchy rzuciły na skarby przyrody, aby je przed nami ukryć.

Rozpoczął się odwrót. Chmury plątały się naokół nas i górski zakątek, wydawał się labiryntem bez wyjścia. Rzęsisty deszcz nie ustawał a my brodziliśmy we wodzie, która z chyżością spływała ze skalistych stoków, tworząc nieprzerwany łańcuch żył wodnych, strug i wodospadów.

Po dwu godzinach wędrówki przez grzbiet skały, przedostaliśmy się do doliny „Małej Nędzy“ i przeszedłszy wbród wezbrany strumień, rozpoczęliśmy się spinać w górę po stromej skalistej ścianie...

W tem usłyszeliśmy beczenie. Dolatywało nas ze skalistej szczeliny, poniżej naszej ścieżki położonej.

Przewodnik zeszedł w dół, zbadał, co było i objaśnił nas, że w skale jest jaskinia, zamknięta drzwiami a w niej młode kozłátko. Ponieważ deszcz się wzmógł i chwilami zamieniał się w ulewę, więc skryliśmy się do jaskini, która była widocznie przytuliskiem pasterzy. Przez zapomnienie, czy z umysłu zostawili osierociałe kozłátko, które rzewnie beczało, wołając za matką. Łasiło się do nas, a nam spotkanie żyjącej istoty było miłym zdarzeniem. Od chwili opuszczenia gospody w Anlaufthal, maszerowaliśmy przez piętnaście godzin, zmierzaliśmy krokami mile kwadratowe kraju, przebyliśmy przez morze kamieni i lodu i oprócz dwóch schronisk, podobnych do latarni morskich, nie spotkaliśmy żadnego śladu życia. Olbrzymie przestrzenie kraju przedstawiły się nam jak puszcze bezbrzeżne, jak regiony ostygłej i wyludnionej planety, która grozi zgubą śmiałkom, wdzierającym się w jej granice. Wtedy dopiero oceniliśmy grozę i potęgę wysokich gór.

Na chwilę deszcz ustał, chmury się rozrzedziły w paru miejscach i przed naszymi zdziwionymi oczyma odsłoniła się zaczarowana kraina. Przed sobą ujrzelśmy ścianę lodowca „Wielkiej Nędzy“, spadającego ze szczytów na dno doliny skrzepłemi kaskadami, kilometrowej szerokości. Przestwór bezmierny lodów, mieniający się zielonemi i sinemi barwami kryształu; obok wy-

glądał z pomiędzy chmur fantastyczny, przewieszony wierzch z czapką śniegu, a dalej, w górze białe stoki, do których dążyliśmy.

Spinanie po stromej ścianie stawало się coraz trudniejsze. Kamień osłizł wskutek deszczu, nie było na czem nogi oprzeć, chwytailiśmy się każdej, najdrobniejszej szczeliny, stąpaliśmy ostrożnie, z wyteżoną uwagą, z okiem stale wpojonem w głaz przed nogami — a nigdy w bok, — gdzie ściana spadała stromo na setki metrów na dno doliny i ginęła we mgle. Każde spojrzenie w tę otchłań mroziło odwagę i groziło niebezpieczeństwem.

Deszcz zamienił się w śnieg. Sypał gęstymi płatami, które się wesoło kręciły w powietrzu; pędzone wichrem, zasłaniały naprzemian białą firanką najbliższe otoczenie. Na skale leżała już warstwa mokrego śniegu, który utrudniał każdy krok i każdy ruch, potęgując możliwość poślizgnięcia.

Wtedy przewodnik zarządził wypoczynek, aby zebrać siły na ostatni, najuciążliwszy ustęp drogi. Lecz trudno było wypoczywać na urwistym stoku wśród śniegu i wichru, więc zaprowadził nas do szczeliny, położonej w górze ściany i nakrytej przewieszoną ławicą skalistą. Z trudem i móżolem dostaliśmy się do tej skrytki, pomagając sobie nawzajem sznurem i stanęliśmy pod kamiennym okapem, w załomie, zasłoniętym od zamieci. Nie można było usiąść, bo skała uciekała z pod nóg w otchłań, ale było dość zacisznie i można się było posilić chlebem i herbatą. Przed nami wiatr przepędzał falami gęstą śnieżycę. Chwilami franka się przedzierała i przed naszymi zdziwionemi oczami wylaniały się nagle ułamki wspaniałego fantastycznego krajobrazu: pod nogami otchłań, zawalona złomami skał, ze wstęgą spienionego strumienia, w dali olbrzymia ściana lodowca, spadająca piętrami w dolinę, łącząca się u góry ze śniegowemi polami i turniami, obok kamienna iglica ku niebu, z wierzchołkiem tonącym w chmurach...

Po chwili wszystko znikalo i z naszego balkonu nie było nic widać nad śnieżną zasłonę.

Po wypoczynku zwróciliśmy się ku górze, aby próbować przejścia przez lodowiec „Małej Nędzy“. Gdyśmy weszli na

pierwsze śniegowe pole, zamieć się wzmogła i mroźny wichur przejmował do kości, tak że wąsy obmarzały a ręce kostniały. Co było ciepłego ubrania we workach: płaszcze, włóczkowe czapki, zimowe rękawice — wszystko przywdzialiśmy.

Śniegowe pole wznosiło się pochyło ku górze, nakryte grubą warstwą świeżo spadłego śniegu. Ciężko było w nim stąpać i dźwigać się w górę, a przy tem trzeba było nader pewnie i ostrożnie każdy krok stawiać, gdyż nowa warstwa śniegu, leżąca na lodzie mogła się łatwo usunąć, nas ze sobą zabrać i zjechać w dół między urwiska. Po tem śniegowem polu przyszło drugie, więcej strome, wreszcie ściana lodowca, stercząca stromo nad nami, biała, majestatyczna, nieskazitelna.

Tam zaczęło się najtrudniejsze zadanie, spinanie się po ścianie lodowca w zakosy.

Przodem szedł przewodnik, wybijając stopnie w śniegu, a za nim stąpałem w jego ślady, związany sznurem, wolno, miarowo, prawie mechanicznie, z wytężonym wzrokiem i uwagą, nie myśląc, o niczem, tylko o następnym kroku, nie widząc nic nad białą, w śniegu wybity stopień... Lecz gdy zakos się łamał, trzeba było zmieniać kierunek, trzeba było się obrócić w miejscu, tam, gdzie noga zaledwo trzymała się ściany... Stąpaliśmy w górę zakosami, wpatrzeni przed siebie w szczyt ściany, unikając spojrzenia w dół, unikając myśli o tem, że warstwa śniegu mogła się usunąć wraz z nami.

Przez brak przezorności przewodnika nie mieliśmy żelaz, ni toporów i byliśmy zdani na łaskę śniegu...

Wznosiliśmy się w górę, długo, bardzo długo, a ściana lodowca stawiała się coraz bardziej stroma. Wreszcie stanęliśmy u stopy ostatniej terasy, która się wznosiła na wysokość sześciu do ośmiu metrów prostopadle nad naszemi głowami...

Była to przeszkoda nie do przewyciężenia. Wydostać się na tę prostopadłą ścianę, było niemożliwością. Doznaliśmy gorzkiego zawodu. Cała wyprawa była chybioną, przebycie lodowca do Gastein niemożliwe, powrót do schroniska niuni-kniony — cały plan zachwiany i uniemożliwiony... Staliśmy,

uczepieni lodowej ściany, wśród śnieżycy i mroźnego wichru, znużeni i bezradni, jak zbłąkani żeglarze...

Przewodnik widocznie zmylił drogę wśród chmur i śniegu i zaprowadził nas na ścianę nie do przebycia. Trzeba było schodzić w dół i w innym kierunku próbować przejścia. Odwrot był przykry i trudny, schodziliśmy z wysokości, zdobytej z takim mozołem, tak samo kilkadziesiąt metrów w dół i walczyliśmy z niepewnością. I trapiły nas myśli, że przejście wogóle niemożliwe.

Rozpoczęło się spinanie w innym kierunku. Znowu nastąpiło wybijanie stopni, marsz w zakosy, wolny, długi, uciążliwy... zdawało się bez końca. Wreszcie stanęliśmy u stóp prostopadłej, lodowej ściany, tej samej ściany, którą chcieliśmy obejść i wyminąć, ale w tem miejscu była znacznie niższą, o ile można było ocenić wśród chmur i mgły. Toporów do wyrąbywania w ścianie drabiny nie było, ale była odwaga i przedsiębiorczość przewodnika. Odpiął sznur, zostawił mnie na stopniach i — ostatecznym wysiłkiem rzucił się na ścianę, jak szczupak, chcący wyskoczyć ze sieci... Uchwycił się górnej krawędzi ściany, zawisł przez chwilę i wtedy ważyły się nasze losy... Czy mu siły wystarczą, aby się na wierzch wydobyć, czy śnieg go utrzyma i nie usunie się z nim w dół a wraz i cała nasza nadzieja... Wydostał się, utrzymał, stanął na wierzchu ściany i, zawijając kapeluszem, wydał okrzyk radości na znak, żeśmy przewyżczyli wszystkie nieprzyjazne duchy gór... Spuścił sznur, wyciągnął mnie na górę i tam, związani napowrót maszerowaliśmy śmiało i swobodnie po równym, śniegiem zasłanym, lodowcu... Mimo, że nogi zapadały się w śniegu do kolan, doznawaliśmy uczucia, jak gdybyśmy biegli po gładkiej posadzce, tak nam przybyło sił i animuszu.

Ze szczytu ujrzelśmy ku północy jasne niebo i dolinę zalaną światłem słonecznym. Była to ziemia obiecana.

Wkrótce opuściliśmy lodowiec i spuszczać się po skałach w dół, wydostaliśmy się po godzinie z rejonu śniegu i mrozu, i płaszcze, czapki, rękawice wróciły do worków. Po dalszych



dwóch godzinach spotkaliśmy pierwszą zieleni, — a dalej, dalej przywitała nas łąka, las i kwiaty, błękit i słońce...

Z krainy kamienia, lodu i zimy przedostaliśmy się w kilku godzinach do ziemi obiecanej, pełnej zieleni, ciepła i światła...

Kto patrzył z brzegu na przestwór wód oceanu i kto podziwiał z doliny wysokie szczyty i wieczne lody, ten nie widział ani gór, ani morza.

Wiedeń, w marcu 1901.

*Józef Rystan.*



# PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

## Język i literatura.

### Sprawozdanie z dorobku za ubiegłe dwulecie.

O czym tu pisać na berlińskim bruku? Nic bardziej nie nęci na obczyźnie, niż marzyć i myśleć o rzeczach domowych; ceni się tu każdy taki szczegół, bo rzadszy, odosobniony więcej, nie ginie w powodzi zjawisk podobnych, zalewających czytelnika czy słuchacza między swoimi. Miło mi więc będzie pomówić z łaskawym czytelnikiem o tem wszystkiem, co o naszym języku i literaturze na przełomie dwu wieków, w chwili, mimowoli nastrajającej poważnie, napisano, wymyślono, przygotowano; co się przedstawia to jako zesumowaniem prac ubiegłych, to jako programem na przyszłość; z czego obliczamy zasoby dawniejsze, a czerpiemy siłę i otuchy na drogę przyszłości, możną nieraz i przykrą, ale dla nas jedyną.

#### I.

Sprawozdanie układamy z pedantyczną systematycznością — niedarmoż piszemy je z Berlina.

Zaczynamy od języka, od prac nad jego poprawnością. Zaniebano je u nas ostatniemi laty bardzo a bardzo. Zabrakło Skoślów, Walickich, Szczerbowiczów i innych purystów, stojących na straży, nawołujących przeciw skażeniu języka; roilo się od błędów — niepoprawni dziennikarze psuli nam wszystko i szyk słów i wybór ich

i formy. Lecz oto odżyła dawna tradycja w Krakowie i od roku wydaje tam prof. Roman Zawiliński, filolog i etnograf, „Poradnik językowy“, w miesięcznych, cienkich poszytach, rozstrząsając przygodnie wszelkie możliwe kwestye poprawności językowej, jasno i przystępnie. Sam fakt, że w dwu wielkich dzielnicach języka naszego po szkołach wcale nie albo tylko piąte przez dziesiąte uczą, że język ten wystawiony na silne oddziaływanie niemczyzny i ruszczyzny, że język ten, bogaty i piękny, jak żaden inny, tem samem wiele trudności nastręcza: usprawiedliwia w pełni i tłumaczy potrzebę podobnego wydawnictwa, przyjętego też z wdzięcznością, zasługującego na uznanie i rozszerzenie największe. Najobszerniejszą jego rubrykę zapełniają dotąd zapytania korespondentów i odpowiedzi redakcyi; nieraz są i wstępne artykuły, np. o szyku wyrazów, o duchu języka, o mowie „galicyskiej“ i jak ona powstała itd.

Dołączamy kilka uwag krytycznych. I tak prosimy redaktora, aby nie szafował starosłowiańszczyzną — naszeć to sprawy, domowe, i naszymi środkami wyłącznie leczyć czy rozsądzać je należy. Powtóre: aby nie ścieśniał nadto granic poprawności — w wieku powszechnej emancypacyi, gdzie kobiety nawet sznurówkom wojną grożą, poco krępować język w pieluszkach?; poco np. wywoływać bardzo poprawne „oglądnąć się, zaglądnąć“ itd. jako „stanowczo błędne“, dlaczego?; jeśli ich „Linde“ i „Orgelbrand“ nie znają, to ich strata i wina, nie nasza — wszystkie słowiańskie języki je mają i zawsze miały, — może ten argument trafi do przekonania szan. redaktora, odwołującego się chętnie do słowiańszczyzny. W innych razach redaktor sam wycofał się później z przeczącego stanowiska. Przedewszystkiem protestujemy przeciw terminowi „błędnych form.“ Np. czytamy na str. 119: „istotnie forma w mojem ręku jest błędna“ — przepraszamy, ona nie błędniejsza, niż np. zaraz niżej wymieniony wołacz ciotuniu lub tą razą. Jak tu rzeczownik żeński dostał ni stąd ni zowąd męską formę, lub odwrotnie, tak tam doczepiono do liczby podwójnej liczbę pojedynczą; można tylko powiedzieć, że „w mojem ręku“ forma przestarała. Albo posądza redaktor sz w poszłą o wpływ ruski czy czeski itp. Razi mnie dalej nieraz brak precyzji i stanowczości w zwalczaniu wszelakich mędrkowań gramatycznych, do których zupełnie niepowołani są zazwyczaj najpochopniejsi. Np. jeden z korespondentów rozprawia najmylniej o wyrazie uczennica i nie może go z uczniem powiązać, marzy nawet o ucznicy, a redaktor wtóruje mu niefortunnie, zamiast przywołać go do porządku dziennego zaznaczeniem faktu,

że uczennica to *femininum* do dawnego uczennik (uczeń), częstego w XV wieku, podwójne jego nn jest „historycznem, a więc słusznem,” redaktorby orzekł „niehistorycznem, a więc mylnem.” Co za dziwoląg wywód Inowłodza od ino — tj. jednego, kiedyż to = juno(iunior); pisownia tłumacz fałszywa, tylko tłumacz poprawne, jak tłusty, tłuc itd.; niezrozumiałą zagadką, nad którą głowę napróżno nałamałem, zostało mi „poczucie językowe” jednego pana, dla którego „wyraz pieniądz nie powinien ulegać deklinacyi” itd. Surowo karci redaktor tych, którzy nazwisko osobowe np. Gołąb odmieniają nie Gołębia, lecz Gołąba, Grudzenia, nie Grudnia itd., ależ odmieniano tak przed paru set laty; wyraźnie przestrzegał np. ks. Kuligowski, który językiem polskim władał lepiej niż my, że nazwisko Kociel (znany ród litewski) nie odmienia się Kotła, lecz Kociela, a z teściem Rejowym kłopotano się już w XVI wieku, czy nazwisko jego odmieniać Kościena czy Kosna. Ja, przyznam się, nie przełknę formy Gołębia, zostanę u Gołąba. Również nie przełknę np. II przyp. liczby mnogiej ciem od ćma, powiem ćmów (jak studyów, wygodna końcówka -ów dawniej nadzwyczaj popłacała; rugujemy ją dziś z pozycyi, które w XVII i XVIII wieku bezsprzecznie zajmowała), albowiem wywinę się liczbą pojedynczą ćmy. Nie godzimy się więc na wszystkie rady i zasady „Poradnika,” krytykujemy je i ganimy, mimo to uważamy wydawnictwo to za rzecz arcypotrzebną; witamy je z najżywszą wdzięcznością.

O wiele smutniej przedstawiało się do niedawna pole naszej leksykografii; leżało ono zupełnie odłogiem, od lat sześćdziesiątych, od czasów „Orgielbranda,” wielkiego słownika, wykonanego z najlepszymi chęciami, lecz z niedostatecznymi siłami. Odtąd porastało ono tylko chwastami rozmaitych Booch-Arkossych i podobnych „praktycznych,” a raczej bardzo niepraktycznych podręczników kieszonkowych — wyróżniły się między nimi dobozem, pracą i znanstwem tylko Słownik synonimów polskich ks. biskupa Krasieńskiego i kilka słowników fachowych. Tak np. należy wymienić dla obfitości treści p. Erazma Majewskiego „Słownik nazwisk zoologicznych i botanicznych polskich,” dwa tomy (polsko-łaciński i, znacznie obszerniejszy, łacińsko-polski), Warszawa 1891—1898, szczególnie zaś najnowszą pracę prof. Józefa Rostafińskiego „Słownik polskich imion rodzajów, oraz wyższych skupień, poprzedzony historyczną rozprawą o źródłach (Kluku, Wadze itd.), która ustala wreszcie nomenklaturę polską i jest zarazem ważnym przyczynkiem do krytycznego słownika języka polskiego, spory

tom o 834 str., wydany przez Akademię r. 1900 jako I tom Materiałów do historii języka i dyalektologii polskiej. Z słowników z językami obcymi zasługują na wymienienie, nieukończony jeszcze, obszerny „Słownik niemiecko-polski“ pod redakcją prof. A. Zippera, wychodzący w Wiedniu i „Słownik czesko-polski“ kieszonkowy prof. A. Hory, wydawany w Pradze, ponieważ oba przedstawiają pracę samodzielną, nie są kompilacjami z byle jakich źródeł dawniejszych.

Lecz, pominiawszy te słowniki fachowe czy specjalne, brakło nam słownika ogólnego, polskiego, nowoczesnego i było nam bez niego, jak rybom bez wody. Pragnienia naszego nie zaspokajano przez czas najdłuższy; nie wystarczały bynajmniej dzieła dawniejsze, skoro „Linde“ tylko polszczyznę do r. 1800 obejmował, a „Orgielbrand“ choć do r. 1860 dochodził, wybredniejszego znawcy nie zadowalał. A język rósł gwałtownie, wyrósł dawno z „Lindego“ i „Orgelbranda“, z króciutkich tych i kusych sukienek kroju przedpotopowego, lecz nikt jakoś nie starał się dla niego o jakiś ludzki, nowy, wygodny przyodziewek. Zmiliwała się wreszcie Warszawa nad gołemi jego łokciami i kolanami; zebrało się grono poważnych, gorliwych, bezinteresownych pracowników, ofiarujących darmo i czas i pracę i zgromadzonemi siłami, pod redakcją pp. Karłowicza, Kryńskiego i Niedźwiedzkiego, zaczęto spłacanie zadawnionych długów naszych wobec języka. Żmudna i kosztowna a prawdziwie patriotyczna praca ich nie znalazła dotąd, niestety należytego oddźwięku u publiczności; wydawnictwo, bajecznie tanie, zdano, jak to u nas bywa, tylko na „niech Pan Bóg pomoże,“ na dobrą wolę, na trudy i kieszeń kilku poświęcających się członków komitetu; od Akademii kapnęło im paręset rubli nagrody Lindego, Kasa Mianowskiego chowa pieniądze na rozmaite szpargały, i tak skazani oni na walkę z niedoborem, z obojętnością publiczności, którą interesuje każdy rekord koński czy kolarski, lecz nie rekord słownikarski, osiągnięty przez owych Warszawian, rekord taniaści, zwięzłości, bogactwa i dokładności możliwych. Wydano dotąd zeszytów dziesięć, każdy o 160 stronicach dwułamowych, z nadzwyczaj zbitym drukiem, z licznemi skróceniami, stanowią one tom I (str. 955) i sięgają do str. 640 tomu drugiego całego Słownika języka polskiego, obejmując słowa od A—Kurdesz; każdy zeszyt kosztuje — 50 kopiejek!! i wraca ledwie koszta druku i nakładu, bez kosztów redakcyi. Ogromem materiału pozostawia Słownik warszawski Lindego i Orgelbranda daleko w tyle; obejmuje bowiem wszystkie zasoby językowe, od Bogarodzicy i psalterza Małgorzaty czy Jadwigi aż do dzieł Sieroszew-

skiego i Żeromskiego; całe słownictwo fachowe z wszelkimi terminami obcymi, chemicznymi, fabrycznymi itd.; całe słownictwo ludowe, gwarowe, z wszystkich ziemie polskich; uwydatnia, czy który wyraz przestarzały czy obcy czy narzeczkowy (prowincjonalny), czy wyraz lub zwrot ten nie błędny, nie germanizm, gallizm lub rusycyzm; daje wszystkie znaczenia każdego wyrazu i popiera je wybranymi przykładami, jeśli można, przysłówiami; dodaje nawet wyjaśnienie pochodzenia każdego wyrazu. Ażeby należycie ocenić niepospolitą wartość Słownika tylko jako okazu leksykografii społecznej, wypadłoby go porównać z podobnemi pracami Akademii petersburskiej i zagrzebskiej, lub z pracami Czechów i Niemców, a uwidoczni się natychmiast, jak trafny obmyślano plan w Warszawie, jak dzielnie się go wykonuje, jak raźnie wielkie dzieło postępuje naprzód. A więc — górą Warszawa! górą jej inicjatywa — prywatna. Nie dopisał tylko jeden faktor — publiczność, ogół, przyjmujący najubożniej dzieło najniezbędniejsze, bez którego dziennikarz, literat, uczony, każdy miłośnik języka jednym słowem, nawet każdy piszący i czytający (wiemyż przecie, jak „Młoda Polska“ szafuje słowami, o których po dawnych słownikach głębokie cyt!) nie usunie rozmaitych wątpliwości, nastroczających się coraz bardziej. Słownik ułożony wcale lakonicznie, bez wielomówności Lindego, bez jego porównywań innych słowiańskich języków, bez jego powodzi przykładów; skarżono się nawet na zbytnią lakoniczność, na znaczki, którymi popstrzony, na krzyżyki jego i wykrzykniki; uczmyż się, niepoprawni marnotrawcy, ekonomiczności, choć w słowniku. Dziełu zaszkodził widocznie brak reklamy: bez wiwatów, odgłosu dzwonów i dymu kadzideł, wsunął się pierwszy zeszyt, a za nim dalsze, niby cichaczem, wkradł się między publiczność, ceniącą tylko, co jej narzucają, czem ją olśniewają lub głuszą. Lecz mamy czas jeszcze błąd poprawić, oddać hołd zasłużony pracy wielkiej, patryotycznej, bo poświęconej wyłącznie temu, co nas najbardziej, przynajmniej najwidoczniej łączy, bo mażącej winę naszą, że język, jeden z najbogatszych i najtrudniejszych i najpiękniejszych w Europie, nie zdobył się dotąd na obszerny, wyczerpujący, poważny słownik nowoczesny, w którymby się, jak w wielkim, czystem zwierciadle, w całej swej piękności i przepychu przeziarał.

Niestrudzony współpracownik Słownika, p. Jan Karłowicz, uzupełnia go dwoma równoległemi wydawnictwami. Materiał gwarowy, wniesiony w Słownik warszawski jak najkrócej, opracowuje on osobno, z najbogatszemi, wyczerpującemi cytacyami w Słowniku gwar pol-

skich (dotąd dwa spore tomy, od litery A do K włącznie), wydanym nakładem Akademii; praca dla lingwisty nadzwyczaj pożądana, bo zbierająca, co, do r. 1890 głównie, po najrozmaitszych wydawnictwach, Kolberga mianowicie, rozprószone; bogate, ciekawe, stare zasoby naszego słownictwa gwarowego, którego pojedyncze okazy pstrząż język Rydla, Kasprowicza i Orkana, teraz dopiero ułożono i najczęściej wyłożono, poparto licznymi przykładami; pociągają one badacza nadzwyczaj, wyświecają losy naszego języka, dowodzą niespożytej twórczości ludowej. Oprócz tego wydaje p. Karłowicz Słownik wyrazów obcego a mniej jasnego pochodzenia, używanych w języku polskim, dotąd dwa zeszyty, od „Abelka“ do „Kyrpców,“ gdzie wywody etymologiczne i rzeczowe wyczerpują materię w Słowniku warszawskim króciutko nadmienioną; praca to dla historii wyrazów i ich znaczeń bardzo ważna, podjęta z wielkim zasobem wiedzy, z trafnem poczuciem językowym, z szczęśliwem śledzeniem nieraz bardzo dziwnych manowców językowych. Przy wielkiej liczbie słów obcych w języku polskim, przy różnorodności ich pochodzeniu co do czasu, kiedy, i co do stron, z których przywędrowały, starałem się sam w dziełku p. t. Cywilizacya i język, szkice z dziejów obyczajowości polskiej (str. 154), wyczytać z nich niby historię kultury w streszczeniu, jak geolog i archeolog z rozmaitych nawarstwień i wykopalisk dzieje ziemi i byt mieszkańców odgadują; zacząłem od czasów przedhistorycznych, od wędrówki narodów i dotarłem do końca epoki szlacheckiej, prześląkającej tak samo łąciną, jak dawniejsza warstwa mieszczańska niemieckie i czeskie wyrazy wchłaniała. W zbytnie szczegóły nie wnikałem; tylko u niektórych słów, przy niestety, nader, nawet itp., rodowód obszerniej wykladałem; purysta w rodzaju Skobla mógłby jeszcze niejedno inne zauważyć, np. zbyteczne niemieckie *er* w maszerować (zamiast marszować), albo spacerować (zamiast spaciować, jak Rej i Kochanowski mawiali).

Inne prace leksykalne dotyczą słownictwa dawnego lub gwarowego. Wymienimy zasłużonego kuratora naszych zbiorów poznańskich, dr. B. Erzepkiego, „Słownik łacińsko-polski Bartłomieja z Bydgoszczy według rękopisu z r. 1532“ (XIII i 309 str.): wydawca wyłowił najpierw glosy polskie przy terminach łacińskich, rozsiane po całym słowniku, i wypisał je wedle oryginału w szyku łacińskich słów, a potem zestawił je powtórę wedle szyku polskiego w brzmieniu poprawnem, z objaśnieniem niektórych trudniejszych wyrazów. Ów Bartłomiej ko-rzystał oprócz rękopisów średniowiecznych już i z pierwszych druko-

wanych słowniczków polskich, z Murmeliusza i Mimera, powtarzając nawet ich błędy druku; zasób więc słów jego nie zbyt obfity ani ciekawy, szczególnie po krytycznem i wyczerpującem studyum p. H. Łopacińskiego, poświęconem w „Pracach filologicznych“ warszawskich, tomie V, „najdawniejszym słownikom polskim drukowanym.“ Dalej wymieniam dzieło dwutomowe prof. J. Rostafińskiego, „Średniowieczna historia naturalna w Polsce“ i „Materiały źródłowe do słownictwa przyrodniczego średnich wieków w Polsce,“ gdzie zebrano, głównie z rękopisów, z górą 11000 polskich, a 18000 łacińskich nazw średniowiecznych. Wydawca zestawiał najpierw cały materiał wedle źródeł samych, drukując jeden rękopis za drugim; potem ułożył go systematycznie wedle roślin itd.; główny zasób, 1883 głos, zawdzięcza on nieznanemu przedtem rękopisowi Jana Stanki, kanonika krakowskiego i lekarza królewskiego, z r. 1472: Stanko występuje tu po raz pierwszy jako znakomity botanik, górujący mnogością spostrzeżeń nad późniejszymi, i tak rozróżnia on i nazywa 433 roślin krajowych, podczas gdy w późniejszych herbarzach-zielnikach jest ich tylko 259. Praca prof. Rostafińskiego, strasznie niewdzięczna i żmudna, wymagała olbrzymiego nakładu czasu i pilności, należało rozejrzeć się gruntownie w nieskończonej płataninie średniowiecznej, w ciągłych pomyłkach pisarzy-nieuków; ona ustala nie tylko po raz pierwszy tę terminologią, ale przyczynia się waleśnie do jej objaśnienia; przyrodnik pomaga lingwiście, wdzięcznemu już za przetrzebieenie mozolne surowego materiału, tem wdzięczniejszemu za cenne zawsze, często bardzo trafne uwagi. Z własnych prac mogę jeszcze wskazać na dwa przyczynki: jeden, średniowieczny, omawia słowniczek biblijny, t. zw. mamotrept czy mamotrekt (niby mleko dla ssących-żaków), rękopisu lubińskiego (szląskiego), dziś berlińskiego, kilka tysięcy objaśnień polskich do tekstu biblijnego w następstwie ksiąg świętych, od Ewangelii i Listów do Ksiąg Rodzaju itd. i do Proroków, czerpany z wzorów czeskich, bardzo niepoprawny — posiadamy inny jego, dotąd niewydany, odpis, poprawiony przez mistrzów krakowskich, z r. 1472, bardzo więc ciekawy dlatego, jakto mistrzowie krakowscy w XV stuleciu z roli późniejszego kolegi, prof. Skobla, się wywiązywali. Drugi przyczynek poświęcony językowi Wacława Potockiego i XVII wiekowi: wobec faktu, że jedyny nasz słownik historyczny, Linde, z olbrzymich rękopisów Potockiego, zasłanych do Petersburga, nie korzystał — on pomijał zresztą rękopisy, ograniczał się drukami, — że język tego Potockiego dziwnie bogaty, jędrny, obfity w przysłowia mianowicie —



nęciło mnie przy odczytywaniu spuścizny rękopiśmiennej po Potockim notowanie wyrazów i zwrotów, aluzji do otaczającego życia, przysłów, drastycznych szczegółów, z niewyczerpanej istotnie kopalni, jaką kilkudziesięcioletnia czynność Śrzeniawity podgórskiego przedstawia. Tak urósł zbiorek, nazwany dla krótkości „Językiem W. Potockiego,” chociaż tylko ciekawsze rzeczy jego słownictwa obejmował, dopełniony z kilkunastu innych źródeł współczesnych, nieznanych Lindemu, pomnożony o wypiski, dotyczące już nie słownictwa, lecz obyczajowości współczesnej. Oba przyczynki, z mamotrektu lubińskiego i z Potockiego, wyszły w *Rozprawach Akademii*, wyd. filologicz. tom XXIX i XXXII.

Z słownictwa gwarowego należy jeszcze wymienić bogaty zbiór p. H. Łopacińskiego, drukowany w „Pracach” warszawskich V, p. t. „Przyczynki do nowego słownika języka polskiego.” P. Łopaciński zbierał sam, rozjeżdżając po ziemiach polskich i umiał zachęcić innych do podobnej pracy: z zapisków licznych korespondentów i własnych urosły one liczbą bardzo okazałe, a starannie zapisane i objaśnione zbiory, uwzględniające przeważnie wschodnie dzielnice polskie, mianowicie Lubelskie, czerpiące nieraz z rzadkich książek (z dopiskami ciekawymi), sięgające nawet do gwary szkolnej i ulicznej, miejskiej. Pomijamy mniejsze zbiorki w wydawnictwach Akademii, w lwowskim „Ludzie,” w warszawskich „Pracach.” Tak obficie rozlały się wody słownikarskie do wyschłej oddawna i bardzo spragnionej roli; żeby wynik był pomyślny a trwały — nas stać zwykle na początek; gorączkowo chwytny się pracy, a potem ostudza się zapał i do końca nie wytrwamy nigdy, — należy skupić uwagę ogółu i pracę kilku około Słownika warszawskiego, jego byt zapewnić, środki pomnożyć: powinniśmy być punktem honoru społeczeństwa — nie dać upaść najpożyteczniejszemu, najniezbędniejszemu wydawnictwu.

Dorobek gramatyczny zato nikły: po pojawieniu się gramatyki polskiej prof. A. Kryńskiego (już w drugim wydaniu) nie mamy nic ważniejszego do zaznaczenia — kilka drobnych rozpraw gramatycznych po sprawozdaniach gimnazjalnych gajcyjskich możemy pominąć. Niestety i na tem polu pozostaliśmy w tyle za innymi: nie możemy się poszczycić żadnem równie wyczerpującem dziełem jak prof. Gebauera historyczną gramatyką języka czeskiego: on wydaje również słownik staroczeski, o własnych siłach uporawszy się z literaturą o wiele bogatszą, niż nasza stara literatura, dowód najlepszy, jak podobne dzieła powstają. Lecz my nie mamy nawet takich szkiców z historii języka, jakie np. prof. Scbolewskij dla Rossyan wydał; dzieło prof. Kaliny

obejmuje bowiem tylko jedną część gramatyki, naukę o formach; formami (prócz rzeczy bardzo dokładnej o pisowni) wyczerpuje się głównie i gramatyka Kryńskiego. Tu można wymienić dzieło niemieckie prof. A. Soerensena *Grammatik der polnischen Sprache*, dla niezwyklej sumienności i staranności, z jaką wmyślił się w obcy język autor, nie szczędzący zabiegów i co do najmniejszej drobnostki. Książka przeznaczona wprawdzie wyłącznie dla Niemców, ale i Polak nie przeczyta jej bez korzyści, przypatrując się obcemu oświeteniu, w jakim nie-jeden znamieny szczegół po raz pierwszy obaczy i nad nim się zastanowi. Drobiazgowość, niemal pedantyczna — w języku bez pedanteryi się nie obejdziemy — dokładność, trafność wyróżnia tę gramatykę z pomiędzy wszystkich innych: niema niemieckiej, któraby z nią równać się mogła. Świeżo wyszedł osobny tom dodatkowy (*Grammatisch-alphabetisches Verzeichniss der polnischen Verba mit Bedeutungsangabe, Beispielen und Nominalableitungen, Leipzig 1900*), obejmujący na 206 stronicach 1184 czasowników, mniej więcej cały zasób dzisiejszej mowy kół wykształconych: niema więc przestarzałych np. *żec*, ale ucieszyłem się, że jest choć wzmianka o owem *-glądnać*, któremu nasi żyć nie dają, w „Gramatyce,” 1899, str. 249, czytamy, że obok *złożyć* *zajrzeć* *wyjrzyć* używa się „*in einzelnen Landesteilen*” *zaglądnać*, *wyglądnać*, *poglądnać* — Kryński nigdzie tego *glądnać* nie wymienił, a Zawiliński na śmierć je skazał. Spis ten czasowników, ułożony z nadzwyczajną zapobiegliwością, otwiera uczącemu się tajemnice słowa polskiego, pozwala rozejrzeć się natychmiast w wszelkich jego zasobach i przyda się nawet Polakowi, nieoceniony dla cudzoziemca, któremu nużącego rozbijania się po słownikach oszczędza, skupiając wszystkie uwagi godne frazesy, złożenia, derywacye, zaraz przy każdym czasowniku. Rosyjskie prace pomijamy, bo są wcale krótkie, przeznaczone dla wykładów lub dla użytku szkolnego, np. prof. uniwersytetu moskiewskiego R. Brandta króciutki zarys polskiej głosowni i nauki o formach lub tegoż wypisy staropolskie (od XIV do XVIII wieku) z słowniczkiem. Kijowski sławista, Florinskij, uwzględnił w swych obszernych „Lekcyach” gramatykę polską i stworzył osobną gramatykę „kaszubską.” Wyszczególniamy tylko pracę rodaka, docenta sławistyki przy uniwersytecie petersburskim Jana Łosia p. t. *Słożnyja słowa w polskom jazykie*, Petersburg, 1901, VIII i 141 str., rzecz, której gramatyki nasze prawie nie tykają, rzecz tem ciekawsza, skoro złożone wyrazy coraz natrętniej praw obywatelskich się domagają, nawet takie dziwolągi jak *listonosz*, *parowóz* itp. Łoś trak-

tuje rzecz z szerokiego, historycznego i porównawczego stanowiska, uwzględnia najnowsze badania lingwistyczne, dalej nazwy osobowe i miejscowe, stosunki gwarowe i przyczynia się do wyświeatlenia wielu ciekawych kwestyi, sięgających i poza obręby naszego języka. Z własnych rozprawek, ogłaszanych w Jagicza *Archiv für slavische Philologie*, wskazujemy tylko jedną, która, podobnie jak referat p. Karłowicza na zjeździe krakowskim, podnosi „środkowość języka polskiego“ t. j. dowodzi, że w języku naszym spotykają się najrozmaitsze procesy językowe, fonetyczne, że język nasz urozmaicony, jak żaden inny słowiański, że obok „nosówek“, np. smętny, ma i „czyste“, np. smutny, wnęk i wnuk obok siebie, teść i cieść, ścieżka i stedzka, Wszerad i Świerad, mnogi i młogi, kto i tko, darski i dziarski, luty i litościwy itd., podczas gdy inne języki słowiańskie tylko jednego z tych dubletów polskich się trzymają. W owym *Archiv* są i prace nad narzeczem kaszubskim, którego stanowisko niedawno filologów naszych zaprzętało: Kalina, Karłowicz, ja (po niemiecku) występowaliśmy przeciw zakusom p. Ramułta, odrywającego kaszubszczyznę od polszczyzny, tworzącego osobny pomorski język: kwestyę tę omawia gruntownie i dociera do osobliwszych rezultatów F. Lorentz, *das gegenseitige Verhältniss der sogenannten lechischen Sprachen*, na czele XXIV tomu *Archivu*. Dla poznania tego ciekawego kraiku posłuży najlepiej dziełko niemieckiego etnografa, dr. F. Tetznera *Die Slowinen und Lebakaschuben, Land und Leute, Haus und Hoff, Sitten und Gebräuche, Sprache und Litteratur in östlichen Hinterpommern*, Berlin, 1899; Tetzner znalazł i najciekawsze, naszym bibliografom nieznane druki kaszubsko-polskie, np. Szymona Krofea *Duchowne pieśni... Luthera ...w slawięski ięzyk wilozone... drukowano w Gdainsku r. p. 1586* i Pontana-Mostnika-Brüggemanna „Catechism Luthera Niemiecko wandalski albo Słowięski to jesta z niemieckiego“ itd. z r. 1643 z psalmami i passyą. Książka Tetznera, ilustrowana, podaje bardzo wiele u nas zupełnie nieznanych szczegółów — my się zawsze wyprzedzić dajemy, interesuje nas wielka polityka, drobne acz żywotne sprawy dla nas nie istnieją. Dodajemy, że i „Statystyka ludności kaszubskiej“ St Ramułta, wydana wraz z mapą etnograficzną Kaszub przez Akademię r. 1899, owoc długoletniej pracy i korespondencyi, spotkała się z protestami nawet polskimi przeciw wygórowanym cyfrom autora.

Z wydawnictw akademickich dotyczą języka głównie „Materiały i Prace komisji językowej Akademii Umiej. w Krakowie“ (tak zmienił tytuł wydawnictwa dawniejszego „Sprawozdań kom. język. itd.“)

I, 1, 1901. Zeszyt obejmuje przyczynki gwaroznawcze z okolic Tarnowa i z nad granicy węgierskiej koło Czorsztyna; co najważniejsze jednak, to szkic fonetyki polskiej, skreślony przez prof. Rozwadowskiego dla użytku zbieraczy naszych i wywołane przez niego „wskazówki dla zapisywawców gwar“ prof. Baudonina de Courtenay, gdzie znachodzimy po raz pierwszy próbę określenia dźwięków naszej mowy wedle wymagań umiejętnej fonetyki. Dalej znachodzimy w „Materiałach antropologiczno-archeologicznych i etnograficznych“ tom IV, najpierw pracę wydaną z zapisek nieodżałowanej pamięci prof. L. Malinowskiego „Powieści ludu polskiego na Szląsku,“ zebrane przez niego jeszcze w r. 1869, ciekawe dla wiernej formy narzeczwowej, prozą i nieco wierszami — również z brulionów po Malinowskim wydał prof. Bystron w XXVIII tomie „Rozpraw filologicznych“ „zabytek języka polskiego z początku wieku XVI z rękopisu biblioteki w Erlangen“ — jest to manualik do pokuty dla królowy Jadwigi Jagiellonki, córki Zygmunta Starego, elektorowej, po której z Berlina na Bayreuth i jego margrabstwo przeszedł do Erlangen, szczegółów tych nie wiedział Malinowski, dodaje je od siebie — napisany około r. 1530. Dalej mieści ów IV tom Materiałów zapiski ludoznawcze, teksty, zagadki i opowiadania z różnych okolic. Obok tych surowych materiałów znachodzimy w XXXII tomie „Rozpraw filologicznych“ pracę dr. St. Dobrzyckiego o tak zwanem mazurowaniu gwar polskich: określono obszar zjawiska, topograficzny, i w jakich formach się pojawia; nie udała się tylko próba zepchnięcia przyczyny zjawiska głosowego na wpływy wymowy praturyłów, Celtów czy Finów, pomysł najniepomysłniejszy, gdyż żadnych takich ludów na ziemi polskiej nigdy nie było.

## II.

Od suchego działu słowników, gramatyk i gwar zwracamy się ku rzeczom ponętniejszym, literackim, w najszerszem znaczeniu słowa, a więc i ku krytyce i bibliografii; od nich też zaczynamy.

Na wstępie zaznaczamy cenny nabytek. Brakowało nam do niedawna sprawozdań krytycznych, w rodzaju lipskiego *Zentralblatt* lub berlińskiej *Litteraturzeitung* albo *Revue critique*. „Przewodnik bibliograficzny“ nieodżałowanego Wisłockiego był streszczeniem tytułów i tylko w kroniczce, coraz szczuplejszej, zamieszczał nieraz uwagi obszerniejsze, polemiczne itp. Po naszych miesięcznikach rubryka taka zbyt obfita nie bywa: *Przegląd Polski* uwzględnia obszerniej np. i powieść obcą, *Biblio-*

*teka Warszawska*, dzięki p. A. Rembowskiemu, dział historyczno-ekonomiczny, który i *Kwartalnik historyczny* lwowski pielęgnuje — niema nigdzie i nie może być wyczerpującego przeglądu wszelkich nowości polskich; nie zamieszcza go i *Krytyka*, niegdyś lwowska, dziś krakowska. Otóż jak „Słownikiem,” tak i wydawnictwami bibliograficzno-krytycznymi ubiegła Warszawa inne miasta polskie i wypada tylko życzyć, żeby nie dała im upaść, żeby nie czekał ich los, grożący „Słownikowi.”

Stały odrazu dwa wydawnictwa: *Poradnik* dla czytających książki, dwutygodnik sprawozdawczo-literacki (księgarnia Paprockiego) i *Książka*, miesięcznik, poświęcony bibliografii krytycznej (księgarnia Wendego), pod kierunkiem literackim M. Massoniusa. Nie są to wydawnictwa konkurencyjne, każde z nich spełnia inne zadanie. *Książka* omawia wszystko ważniejsze, co w każdym dziale nauk i beletrystyki po polsku wychodzi, a więc i rzeczy teologiczne i t. d.; załącza bibliografię czasopism i wiadomości księgarskie; daje wyczerpującą bibliografię miesięczną, a poświęca artykuł wstępny omawianiu jakiejś ogólniejszej kwestyi, np. co i jak u nas tłumaczą, organizacyi księgarskiej itd.; obszerniejsze jej recenzje, pióra ks. Szlagowskiego, J. Chrzanowskiego, W. Gostomskiego, H. Gallego itd. odznaczają się powagą, trafnością, sumiennością; — nie wiem tylko, czy zdobędzie *Książka* szersze koła czytelników, wydaje mi się, że nie rości ona sobie takich pretensyi, że zadowala się wywalczeniem stanowiska jedyne u nas, krytycznego organu, bardzo pożądanego i cennego. Do tych szerszych kół kołace natomiast *Poradnik*, on nie bawi się w wyczerpującą bibliografię, nie ogranicza się książkami polskimi (ma stałą rubrykę „Literatura obca”), połowę zeszytu zapełniają artykuły wstępne pióra pp. Krzywickiego, Posnera i i., poświęcone ruchowi umysłowemu zagranicznemu w celu torowania nowych dróg i u nas, o demokratyzacyi nauki, o ruchu samouctwa, o potrzebach czytelnictwa, nawet „garść uwag o teatrze amatorskim” (Andrzeja Niemojewskiego). Tętno *Poradnika* żywsze; on nie unika polemiki, wybiera szczegóły drastyczne, ton jego recenzji bywa ostrzejszy (np. co Orkan o Rydlu napisał, albo krytyka Humoresek Laskowskiego i t. d.); on szermierz w walce postępu, nawołuje do tej walki gorąco, kropnie po drodze p. Jeleńskiego itd. Popularyzować najnowsze zdobycze umysłowe, walczyć z przesadami i zacofaniem, budzić śpiących, przypominać im, co u nas zrobiono, a co zrobić należy — wszystko sięga daleko poza zakres *Poradnika dla czytających*, stawia go obok *Prawdy* czy *Głosu*. Z no-

wych czasopism wymieniamy jeszcze *Tygodnik polski*, ilustrowany; drukował w nim p. L. Krzywicki szereg bardzo ciekawych artykułów p. t. Na zaraniu dziejowem, gdzie omawiał wszelkie zagadnienia pierwotnych dziejów polskich, od osobistości bajecznych, od Leszków, Popielów i Piastów, od Kraka i Wandy poczynawszy, aż do granic terytoryalnych każdej ziemi, charakterystyki jej powierzchni, osiedlenia pierwotnego, rozrostu liczebnego itd. na podstawie badań historycznych, etnograficznych, antropologicznych, w których celuje, w których sam drogi toruje, nowe widoki odsłania (liczne artykuły w *Bibliotece warszawskiej*). *Ateneum*, po ćwierćwiekowym istnieniu, gdy pod nową redakcją nowy rozwój się zapowiadał, wydawca nagle uśmiercił. Redaktor nie pożegnał się z czytelnikami; zamiast tego obdarzył nas na odchodnym, aby pokazał, co mógł, sporym tomem, pełnym najciekawszych rzeczy, najrozmaitszej treści. Dyskrety, jaką zachował redaktor, obowiązuje i referenta, aby nie wnikał w motywy i szczegóły. Zostaje nam więc z miesięczników, prócz obu *Przeglądów* krakowskich, *Biblioteka warszawska*, sędziwa wiekiem i pod nowym wydawcą (hr. Adamem Krasieńskim, wnukiem Zygmunta), krocząca dawnymi torami, podtrzymująca znakomitemi powieściami i poezjami (Weyssenhoffa „Sprawą Dołęgi“, Konopnickiej „Panem Balcerem“, Kończyńskiego „Śladem tęsknoty“) sławę i pamięć „Połanieckich“ itd., z nowych szkiców literackich i artystycznych dość wymienić rzecz St. Witkiewicza o Gierymskim; sam wydawca otworzył przystęp do niewyczerpanej kopalni pism i listów dziada i już od czerwca 1901 r. mamy w nieprzerwanym ciągu dział osobny p. t. „Z nieznanых rękopisów Z. Krasieńskiego“, prowadzony przez wydawcę, lub przez prof. Kallenbacha, nowego bibliotekarza Krasieńskich.

Od czasopism prosta droga do bibliografii. Z olbrzymiego wydawnictwa dyr. K. Estreichera przyniósł nam rok 1900 tom XVIII „Bibliografii polskiej.“ Jak wiadomo, ciągnie się od XII jej tomu abecadłowy spis całej dawnej drukowanej literatury polskiej i łańskopolskiej, a nawet węgierskiej, hebrajskiej itd., drukowanej w Polsce; spis wyczerpujący z dokładnymi tytułami, z wydobywaniem szczegółów z przedmów i dedykacji, nieraz z wyciągami ciekawszych materii. Dla historyka literatury, przy rozprószeniu dawnych druków polskich, skarb to nieoceniony, książka, bez której obejść się nie można. Naturalnie, wobec olbrzymiego materiału — wydawca korzysta stale i z najnowszych publikacji, np. z pracy H. Łopacińskiego o dawnych słownikach — posuwa się druk ten, z wzorową korektą,

bardzo powoli naprzód; siódmy jego tom (a XVIII całego wydawnictwa) objął dopiero literę H (na 331 dwułamowych stronicach wielkiej ósemki). Obok każdego druku wynotowano biblioteki, w których się znajduje — rzecz bardzo ważna, upraszczająca zabiegi poszukiwacza. Jeden z największych artykułów tego tomu obejmuje „Historye,” książeczki ludowe i powieści lub romanse o Aleksandrze Macedońskim, o Wojnie trojańskiej, o „Kawalerze polskim,” o Magielonie, Meluzynie, cesarzu Otonie itd., dział, pogardzany dawniej, zmiatywany w najciemniejsze zakątki biblioteczne, jeśli nie wędrujący na śmiecie, dziś ceniony znacznie wyżej, niż najsłodsze i najrzadsze folianty! Niestety, dział ten przedstawia się u p. Estreichera nie bogato, w czym naturalnie nie tak wina jego, jak czasu, który nam poskąpił tych rzeczy. Że w takim olbrzymim dziele zachodzą myłki, opuszczenia, nie dziwnego wobec ogromu pracy a braku przygotowawczych robót, katalogów zbiorów prywatnych (np. hr. Baworowskiego), albo i publicznych; najbogatszy zbiór, petersburski, nie istnieje wcale dla Bibliografii krakowskiej, czego bardzo żałować należy; należałoby koniecznie kogoś wysłać specjalnie, żeby ze zbiorów petersburskich (bo obok Imperatorskiej Biblioteki istnieją inne, Akademii Umiejętności, Akademii teologicznej itd.) uzupełnił i poprawił tomy już wyszłe, a przygotował materyał dla następnych; — czyż prace nasze zawsze na jakąś połowiczność skazane?

Po monumentalnem dziele p. Estreichera, ogarniającem całokształt bibliografii polskiej, wymieniamy specyalne, wydane po łacinie, spis inkunabułów (tj. druków pierwotnych do r. 1500), jakie Biblioteka jagiellońska posiada. Spis ten, *Incunabula typographica Bibliothecae Universitatis* etc., spory tom o niemal 700 str., to ostatnie dzieło Wł. Wisłockiego, nieodżałowanej pamięci. Ledwie uporał się zasłużony, niestrudzony historyograf uniwersytetu z obszernem wydawnictwem zapisek sądu rektorskiego (*Acta Rectoralia Almae Universitatis* etc., 1893—1897 r., tom o 1220 str. wielkiej ósemki, obejmuje zapiski od r. 1469—1537); włożył on tam olbrzymią pracę, ułatwił wyczerpującym indeksem o 400 stronicach każdemu badaczowi korzystanie z obfitych materyałów do historyi obyczajowości, instytucyi, osób; — pojawiły się też świeżo prace pp. A. Winiarza i St. Estreichera o „sądownictwie rektora krakowskiego w wiekach średnich,” czerpiące z tej publikacyi. Zapalony miłośnik, niepospolity znawca najdrobniejszych spraw i okoliczności, dotyczących uniwersytetu — świadczą o tem choćby dawniejsze tomy *Przeglądu Powszechnego*, z rozprawami o mi-

strzach krakowskich XVI wieku, np. rocznik 1888 — zabrał się do opisu inkunabuł, aby go na jubileusz uniwersytecki wygotować, ale śmierć wydarła nam autora w przeddzień jubileuszowy. Opis taki ma cel podwójny — rozszerza bowiem i samą wiedzę o inkunabułach i służy walnym przyczynkiem do historii umiejętności. Krakowski zbiór inkunabułów o olbrzymiej obfitości, obejmujący 2300 egzemplarzy i 336 dubletów, nie powstał bowiem przypadkowo, jak byle inne zbiory inkunabułów, np. prywatne, lecz są to niemal same książki bibliotek fakultetowych, zakupywane przez mistrzów i legowane po śmierci do księżnicy wspólnej. Dowodzą więc one, z jakich książek mistrz głównie czerpał wiedzę, zawierają dopiski, dotyczące jego osobistości, są nawet, chociaż wyłącznie łacińskie, w drobnej co prawda mierze źródłem dla języka polskiego, nie brak w nich bowiem glos i wierszy polskich. Najciekawszy i najobszerniejszy, jedyny w swoim rodzaju zabytek, jest „wykład snów Danielowych”; dawne senniki bowiem obiegały zawsze pod imieniem proroka, zawierały, jak dzisiejsze, objaśnienie widziadeł sennych, spisanych porządkiem abecadłowym. Ten „wykład” był odmienny: należało, przypomniawszy sen, otworzyć byle książkę i zobaczyć, jaka litera pierwsza u górnego brzegu lewej strony, znaczenie zaś każdej litery objaśniał ów „wykład” w strofach czterowierszowych, np. *a*, zawsze dobrej wróżby:

Możesz swe rzeczy sprawować  
I pannę piękną całować,  
Boć to *A* drogę podało,  
Ujdiesz we wszystkim cało

itd.; i *p* niegorsze: możesz czyście ten dzień pęsać, nie będzie cię gniewnik (dyabeł) kęsać, ale w kiepskie: bo: *w* jest wilczego głosu, a wezmąć, co masz we trzосу itd.; — bardzo to wszystko naiwne, ale ciekawe i jako nienajgorsza próbka poezji polskiej przedrejowskiej.

Całe dzieło Wisłockiego jest właściwie jednym wielkim indeksem, sporządzonym z znaną dokładnością i sumiennością, zaznacza nawet wyciski na okładkach (które nie zawsze „herbem” czy cechą intrologatora być muszą), powtarza (zbytecznie) w podobiznach podpisy właścicieli książek i objaśnia, nieraz może zbyt pośpiesznie, każdy szczegół, tłumaczy każdy inicjał. Historia umiejętności znajdzie tu najobfitszy materiał, aby skreślić stan jej na uniwersytecie na przełomie dwu wieków; pokazuje się, jak gorliwie śledzili mistrze krakowscy za postępem nauk zagranicznym; dopiero później, od drugiej połowy XVI wieku poczynawszy, dowodzi już stan bibliotek uniwersy-



teckich, że postęp ten traci w Krakowie na zwolennikach, że zrywają się nici tradycyi naukowej, że wiedza skorupieje i martwieje. Pierwodruki XV wieku i XVI (czas Jagiellonów), jakie posiada zbiór hr. Czapskich, niegdyś Stankowski, dziś Krakowski, wymienił i opisał szczegółowo dr. F. Kopera: i tam znalazło się kilka tekstów polskich, głównie maryjnych, podpisanych na okładkach. Księgozbiór Katedry plockiej, t. j. wiadomość o pięciu jej rękopisach średniowiecznych, podał M. Bersohn, z kilkunastu tablicami: na graduale pisanym r. 1365, wpisał Świętosław z Wilkowa (pisarz) znaną pieśń wielkanocną: Chrystus z martwych wstał je, ludu przykład dał je, eż nam z martwych wstaci, z bogiem królewaci. Tenże wydawca, nie szczędzący kosztów na światłodruki i inne upiększenia ogłosił rzecz „O iluminowanych rękopisach polskich“ z 15 tablicami, opisując miniatury, inicjały i t. d. kilkudziesięciu ksiąg rytualnych z ksiąźnic krakowskich i wrocławskich. Inny bogaty Warszawianin, p. Ign. Bernstein, wydał przepyszenie, iście po magnacku, „Katalog dzieł treści przysłowiowej składających bibliotekę J. B“, w dwu olbrzymich tomach, obejmujący 4761 numerów w stukilkudziesięciu językach świata, druków i rękopisów, między którymi polskie wybitnie zastąpione; skarb to dla każdego, który przysłowiami się trudni, nadzwyczajnej wagi, jedyny to na świecie zbiór specjalny, stworzony po trzydziestoletnich najkosztowniejszych zachodach. Podobnego wydawnictwa literatura nasza dotąd nie posiadała.

Z „Bibliografii historii polskiej“ prof. L. Finkela pojawił się w r. 1900 trzeci zeszyt drugiej części, nr. 17334—21020, kończący spis dzieł i rozpraw do historii prawa i stosunków ekonomicznych a rozpoczynający historię cywilizacji i kultury, t. j. obyczajowości, wychowania i szkolnictwa, wreszcie literatury (urywa na Birkowskim i Młodzianowskim). Ważną zapowiedź, bodaj się sprawdziła, wyczytaliśmy na innem miejscu, że całość w następnym roku (1902) ukończoną zostanie. Dzieło nadzwyczajnie ważne i mozolne, i szczerze uznanie należy się trudom wydawcy i jego współpracowników (dr. H. Sawczyńskiego i innych Lwowian); naukom historycznym u nas oddali oni przysługę nadzwyczajną, powtarzamy u nas, bo jedną z właściwości naszych bywa, że pisząc o czemkolwiek nie liczymy się nigdy porządnie z tem, co dawniej o tem samem pisano, jakby to nie istniało: tuszymy na pewno, że Bibliografia ta przyczyni się waleśnie do uleczenia nas z tej wady szkaradnej. Że dzieło takie, z tysiącami a tysiącami tytułów i cytacji (jeden numer ogarnia ich nieraz kilka lub kilkadziesiąt, np. nr-y 19930—19944 obejmują do jakiego tysiąca ty-

tułów), mieści luki i braki i myłki, tego nikt się nie ustrzeże; z szczegółami nie myślimy też wojować; zanotujemy np., że rubryka „Kobieta“ (nr. 18748—18800) nie zawiera np. „Sejmu niewieściego“ starego Bieleckiego (a jest przecież Jeżowskiego „Konsultacya matron koronnych“), Paprockiego nauki obierania żony, „Sejmów w Oleśnicy“ i i.; dlaczego tu wniesiono (nr. 18780) Morsztyna „Antypasty“, zbiór nowel?; dlaczego druki współczesne w rodzaju „Jarzma Złotego“ wymieniono bardzo niedostatecznie? i t. d.; w rubryce literatury nie znajduję jednego i drugiego podręcznika (np. Nitowskiego i Króla); „Taniec“, dzieło Krasieńskiego z r. 1670, wsadzono pomiędzy utwory XVI wieku i t. d.; — prawda, że lakoniczny układ dzieła, przytaczanie tytułów w skröceniach, myłki podobne bardzo ułatwia. Mimo wszystko, zachowa dzieło to znaczenie niepospolite i czem więcej niem posługiwać się będziemy, tem bardziej nauczymy się cenić jego zalety; nie wina wydawców, że dla braku środków miejsca jak najwięcej skąpić musieli. Ten sam brak środków odbił się niefortunnie i na *Kwartalniku Historycznym*, który objętość zeszytów w nowem stuleciu bardzo uszczuplić musiał — wina publiczności naszej, nie podtrzymującej należycie pisma, choć specjalnego, ale specjalnością samą, dziejami narodowymi na skuteczne poparcie zasługującego. Nie powątpiewamy, że i w ścieśnionych ramkach *Kwartalnik Historyczny* sumiennem wyliczaniem i sprawiedliwą oceną prac historycznych do dawnych zasług na tem polu nowe przysporzy.

### III.

Od bibliografii ogólnej i specjalnej przechodzimy do dzieł, obejmujących całokształt literatury narodowej.

Na polu tem panował zastój kompletny; praca naukowa ograniczała się stale monografiami, czy pojedynczych gałęzi literatury np. politycznej, czy autorów, od Reja i Kochanowskiego do Słowackiego i Krasieńskiego; zresztą same kompilacye a najczęściej rozmaite podręczniki dla szkół i młodzieży wypełniały ostatnie lat dziesiątki. R. 1865 jeszcze pojawiła się w oryginale rosyjskim znakomita rzecz Spasowicza, przełożona na polskie dopiero w r. 1882, poświęcona głównie dziejom poezyi polskiej; po Spasowiczu chyba tylko rozległą kompilacyę Zdanowicza-Sowińskiego z lat siedmdziesiątych wymienić można, zresztą same podręczniki, Kuliczkowskiego, Wojciechowskiego, Nitowskiego i t. d., do których niebawem jeszcze dziełko Mazanowskich przybędzie. Jakby w poczuciu, że na przedstawienie wyczerpujące pora jeszcze nie nadeszła, że należy monografiami pole wpierw oczyścić i uprawić,

wstrzymywano się od wszelkich zakusów na tworzenie całości, od wszelkiej syntezy dziejów literackich.

Ale jak to bywa, że po długiej posusze tem obfitsze ulewę spadają, jak na polu słownikarskiem długoletni zastój tem obfitszym ruchem i postępem wynagrodzono, tak i na polu literatury skupiły się w obrębie dwu, trzech lat aż cztery obszerniejsze opracowania i skargi, powtarzane do niedawna, przynajmniej co do liczby dzieł, na zawsze ucichnąć muszą — czy i co do ich jakości, wnet zobaczymy.

Pierwszy wystąpił dr. H. Biegeleisen z „Illustrowanymi dziejami literatury polskiej“, w r. 1898; dotąd wyszły trzy tomy, z których pierwszy obejmuje okres piastowski. drugi do r. 1500 sięga, a trzeci wiekowi XVI poświęcony; rzecz założona więc na najobszerniejszą miarę, chyba w ośmiu czy dziesięciu tomach równej obszerności da się wyczerpać. Autora znaliśmy z pracowitych, pożytecznych, obfitych wydań Mickiewicza i Słowackiego, z szeregu artykułów o tych i o innych pisarzach; podziwialiśmy szybkość i ruchliwość jego pracy, rozległość i obfitość jego notat; zajmowały go jednak wyłącznie niemal dzieje XIX wieku i twórczość ludowa. Sięgnął on teraz po wyższe wawrzyny, rzucił się na wielkie morze literatury i pracuje z zadziwiającą wytrwałością i znacznym pośpiechem. Na oko też przedstawiają się obszerne tomy dzieła jego wcale imponująco; bogate, acz wcale nieświetnie wykonane ilustracye, podobizny rękopisów i kart tytułowych, wizerunki bardzo wątpliwej autentyczności i niewątpliwie nieautentyczne (jak np. willa Decyusza w III tomie) nęcą niewprawne oko — treść jednakże mało odpowiada pozornej świetności. Autor sam nie zna głębiej dawnych dziejów, zbiera skwapliwie, co z nowszych opracowań wynika, łąta więc, zamiast szyć z całego. W pośpiechu popełnia nieraz dziwne błędy, zbyt często zadowala się też wplatywaniem całych ustępów z prac obcych, albo i nie przetrawi ich należycie; co raz można się z nim spierać o wszystko i wszystkich; zarzutu jednak, skierowanemu przeciw pierwszemu tomowi, jako „odpisanemu“, jako plagiatowi, nie śmiałbym wcale i do dalszych tomów stosować.

Po nim wystąpił P. Chmielowski z „Historią literatury polskiej“ w r. 1899 i dokończył ją tego roku (1901) szóstym tomikiem, do czego jeszcze dodać należy, niby tom VII, „Zarys literatury najnowszej“ (1898 r. w czwartem wydaniu), ponieważ „piąty okres, od r. 1864 aż do naszych dni, od str. 191 VI tomu, nie jest już opracowany szczegółowo i autor po szczegóły wyraźnie do „Zarysu“ od-

syła. Znakomity krytyk warszawski, który przez ćwierć wieku ani jednego ważniejszego objawu piśmiennictwa pięknego nie pominął, który w szeregu samoistnych, głębokich badań, złożonych w licznych dziełach, studiach i szkicach, każdą niwę i każdy zakątek literatury polskiej od połowy XVIII wieku przeorał i przepatrzył, był powołany, jak nikt inny, do stworzenia podobnego dzieła<sup>1</sup>. Własne badania uzupełnił on dla czasów dawniejszych wszystkim co dotąd ogłoszono i chociaż te czasy przedstawił raczej krótko, nie ważniejszego i w nich nie opuścił. Dzieło jego w pierwszym rzędzie informacyjne, poucza o pisarzach i utworach szczegółowo, wdaje się w biografie i w oceny poszczególnych utworów, szczególnie w tomiku piątym, tak że naraża na szwank ciągłość przedstawienia, rozwoju. Liczne poddziały i podokresy w czasach dawniejszych, nieraz zbędne, rozbijają również przerwami, charakterystykami ogólnymi związek dziejowy. Forma, przedstawienie rzeczy nadzwyczaj trzeźwe, niemal suche: widocznie nakładał autor cugle wyobraźni i uczuciu, aby się nigdzie nie wykoleił, skoro rzecz swą dla Warszawy przeznaczył. Obraz XIX wieku wypadł znakomicie, mimo wszelkich nieudolności i póślówek; równie treściwego a wyczerpującego wszystko znamienne wykładu próżnobyśmy gdzieindziej szukali; wycieniował tu autor każdy szczegół, którego tylko śmiał się dotykać.

Gdy dzieło Chmielowskiego jeszcze się drukowało, rzucił prof. St. Tarnowski pięć sporych tomów swej „Historii literatury polskiej“ na półki księgarskie. Obejmują one literaturę do r. 1850 i znajdują niebawem ciąg dalszy w VI a może i VII tomie. Początków średniowiecznych, nad którymi Chmielowski szerzej się rozwodzi, Tarnowski bliżej nie uwzględnia; po jednym tomie przeznaczają on na wieki XVI, XVII i XVIII, a w dwu ostatnich omawia literaturę „klasyczną“ i romantyczną. Dzieło jego powstało z wykładów uniwersyteckich, których ślady nawet nie wszędzie wygładzono; ze zdobyczami albo wnioskami najnowszej wiedzy zwykle się nie liczy; nie odznacza się tą systematycznością, jaką Chmielowski celuje, uwzględnia jedne rzeczy, pomija inne, bez widocznej przyczyny; traktuje niektóre działy (np. polityczny) zbyt szeroko; nie łączy się z predylekcjami i antypatjami, tak że

---

<sup>1</sup> Nie we wszystkim podzielamy sąd uczonego naszego współpracownika. W bliższej przyszłości umieścimy obszerniejszą pracę krytyczno-porównawczą o trzech literaturach: panów Chmielowskiego, Tarnowskiego i Brücknera.

miejscami sąd nie wypada zupełnie bezstronnie. Lecz wszystkie braki i luki wynagradza sownicie świetny styl, żywy temperament, głębokie czucie autora; te pięć sporych tomów czyta się jakby powieść jaką i wraca się zawsze chętnie do najpiękniejszych jej kart, bije z nich i powiew dziejowy, otrzymujemy wrażenie rozwoju formy i myśli, dzieło nie rozpada się na same biografie i oceny estetyczne, przyprawione ogólnikowemi charakterystykami tak zwanego ducha czasu. Czytając je przypominałem starego Juliana Schmidta i jego dzieje nowożytnej literatury francuskiej, które „esteci“ chyba z przekąsem wspominają, a z których po raz pierwszy odniosłem wrażenie rozwoju, następstwa, ciągłości, ewolucyi, czegom próżno po Taine'ach i innych wielkościach szukał, nie darmo też i Julian Schmidt i Tarnowski znakomici publicyści. Dzieło Chmielowskiego o wiele systematyczniejsze, zupełniejsze, żywych przecież nie wzruszy, nie drgną od niego struny uczucia, nie wywoła ono estetycznych emocyi; dzieło Tarnowskiego to istna propaganda miłości Polski i rzeczy jej, to natchnione wołanie, to słowa głębokiego żalu, to sarkazmy i ironia; tak zając, porwać, wstrząsnąć czytelnikiem nikt inny nie potrafi.

Ostatnia pojawiła się w tym szeregu moja „literatura“. Przypadło mi w udziale, szczytne zadanie, wystąpić jako tłumacz polskiej literatury, jej ducha i skarbów, wobec zagranicy; obowiązek ten odczuwałem żywo; jak jemu podołałem, inni osądzą. Dzieło moje pretensyi umiętnych nie rościło, przeznaczone dla szerszej publiczności, obcej, nie wiedzącej niczego o Polsce i rzeczach jej, musiało jak najprzystępniej, najwłaściwiej ułatwić, wyłożyć obcemu, Niemcowi, rozwój tej literatury; nie zatrzymywało się więc przy początkach, nam drogich, obojętnych dla Niemca, starało się zachować pewną równą miarę przy kreśleniu różnych epok, więc i saskiej nie zbyło się milczeniem, grasującym po naszych podręcznikach. Dla wygody Niemców nawet pisownię nazw miejscami poodmieniałem i zrobiono mi z tego zarzut; ależ pamiętałem, jak mnie znakomity historyk niemiecki raz zagadnął—prawda, że się wymawia Dołgorucki, ale Potoki, i nie mogłem na sobie przenieść, bym Mickiewicza tak pisał, wiedząc, że Niemiec niechybnie „Mikiewicza“ z niego utworzy. Zresztą—poprawię się przy polskiej przeróbce mej książki.

Od całokształtów literatury przechodzimy do jej okresów i zaczynamy od wieków średnich, t. j. od piętnastego czyli od Uniwersytetu. Już cały szereg dzieł, wyżej wymienionych, grupował się około jubileuszu i powstał dla niego. Uniwersytet sam wystąpił z znakomitym

zbiorem p. t. *Munera saecularia universitatis cracoviensis 500. annum ab institutione sua sollemniter celebrantis*; na zbiór ten składały się „Materiały” Rostafińskiego i i., przedewszystkiem zaś cenne dzieło prof. Kaz. Morawskiego „Historia uniwersytetu Jagiellońskiego” z wstępem o uniwersytecie Kazimierza W., dwa tomy, około 100 str. Temat był bardzo wdzięczny; ograniczył się bowiem autor epoką znaczenia i powagi, nie sięgnął w długie wieki zastoju i upadku, zaznaczył tylko wreszcie skazy na ciele, wieszczące jego rozkład. Nawet w epoce najświetniejszej, w wieku XV, dzieje uniwersytetu jednolitymi nie były: po potężnym rozmachu i wzlocie w pierwszej połowie wieku, gdy studium generalne stanęło na wyżynach, niby strażnica ducha narodowego, gdy jako głowa i serce narodu myślało i czuło, schodzi ono już w drugiej połowie wieku coraz niżej: z uśmierceniem reformy kościelnej, z przeniesiem spraw pruskich od forum prawniczego do menie i zbrojowni, traci wysoka szkoła ścisły związek z sprawami narodowymi i powszechno-kościelnymi, nie wyłazi więcej ze skorupy szkolnej; z murów burs i kolegiów, na szerokie widownie politycznego i religijnego życia. Świetnie wypadło też przedstawienie Morawskiego owej świetnej epoki uniwersytetu, powiązanego tysiącem nici ze społecznością, broniącego jej interesów duchowych i materyalnych. Dzieje szkolne bywają pozbawione interesu, brak im szerokiego rozgłosu, cicha praca szkolna ogółu nie zajmie, niebezpieczeństwo zbytnej jednostajności grozi czytelnikowi i autorowi. Szkopuły te ominął Morawski, dzięki przedmiotowi samemu i dzięki przedstawieniu tegoż, dzięki wykładowi, ożywionemu czuciem patryotycznym, miłością szkoły i jej tradycji, zabarwionemu żywo, wzruszającemu i pociągającemu zarazem, obfitemu w szczegóły, sumiennemu w badaniu. Spierać możnaby się o podział, o mieszanie dziejów zewnętrznych i organizacyi wewnętrznej; dalej o szczegóły, np. i takie, czy nie przeceniono wpływów humanistycznych na uniwersytet, czy nie należało silniej uwzględnić marności zakusów humanistycznych, nie przebijających twardych murów szkoły średniowiecznej, która nią została mimo wszelkich reform — papierowych. Ale mimo poprawek i uzupełnień całość przedstawia się tak znakomicie, że dzieło prof. Morawskiego między historiami szkolnymi, nietylko u nas, zaszczytne miejsce na zawsze zatrzyma. Dalszy ciąg dziejów uniwersyteckich nie doczeka się już niestety takiego historyka: nie dziw, jakie dzieje, takie pieśni.

Badania Morawskiego uzupełnia, prostuje, pogłębia ks. I. Fijałek w „Studiach do dziejów uniwersytetu krakowskiego i jego wydziału

teologicznego w XV wieku". (Rozprawy Akademii, wydział filologiczny, XXIX t.), gdzie życiorysy teologów i kanonistów, przywileje i fundacye, wykłady i mowy (Celtisa i Jana z Oświęcimia) na podstawie nieraz nieznanych dotąd źródeł skreślono; dalej w rozpoczętem świeżo dziele: *Colonia apud Italos scholastica saeculi XV*, gdzie 35 biografii bakałarzy i doktorów padewskich i innych od Pawła Włodkowica aż do Jana Lasockiego źródłowo wyświecił: teraz dopiero nauczymy się trafniej oceniać związki z humanizmem i Włochami, głębsze i rozmaitsze, niżeli z pozoru sadzono; wyłaniają się postaci, o realniejszych zasługach, niż przeceniony Grzegorz z Sanoka — tegoż żywot pióra Kalimacha wydał na nowo, śliczny okaz sztuki typograficznej krakowskiej, prof. A. Miodoński —, ale zapomniane, bo nie znalazły reklamy krzykliwej w rodzaju owej Kalimachowej, Lasocki i inni. Najważniejszem dziełem w szeregu tym pozostaje na razie ks. Fijałka „Mistrz Jakób z Paradyża i uniwersytet krakowski w okresie soboru bazylejskiego“, wydanie Akademii Umiejętności, dwa tomy o 871 stronicach. Luminarz uniwersytetu, chociaż dopiero poza murami jego rozgłosu nabył, gdy na obczyźnie w celi kartuskiej osiadł, i dlatego z pamięci rodaków rychło ustąpił, zajmuje Paradyżanin, mylnie, jak się zdaje, Jakóbem z Interboku przezywany, między teologami-reformatorami XV wieku, nawołującymi do reformy osobistej, nie burzącymi Kościoła i dogmatów, stojącymi twardo, niewzruszenie, na opoce katolickiej, naczelne miejsce, szczególnie w Niemczech, w ojczyźnie przybranej. Oświecić wszechstronnie tę postać, mianowicie zebrać i objaśnić bogatą spuściznę literacką, rozprószoną po bibliotekach, w rękopisach i drukach, odpowiadało najlepiej niestrudzonej, benedyktyńskiej czy mrówczej pracowitości młodego, a już tyle zasłużonego profesora. Spieralibyśmy się z nim o jedno, że materyał dowodowy wprowadza w całej rozciągłości w przedstawienie własne, że naraża czytelnika na zgubienie się w morzu dat i nazwisk, cytat i wyciągów, próbek i przedruków, że nie skupia światła, że raczej je rozprasza. Pokrewnego Jakóbowi reformatora, Mateussa z Krakowa, jego znaczenie i zasługi, wystawiliśmy w popularnym artykule w *Ateneum* 1900, w zeszycie majowym.

A skoro już o uniwersytecie, o szkole mowa, dołączmyż inne ważne publikacye, szkolnictwa polskiego dotyczące, jubileuszem krakowskim wywołane. Świetnie wystąpiła Warszawa, z wydawnictwem zbiorowem, *Fontes et commentationes historiarum scholarum in Polonia illustrantes*; łaciński tytuł kryje prace polskie, Józefa Bielińskiego, lekarza z zawodu, „Uniwersytet Wileński 1579—1891“, w trzech tomach,

z górą 2000 stronic; dalej: „Szkoła Główna Warszawska 1862—1869“, I t. Wydział historyczno-filozoficzny; „Dzieje Akademii Zamoyskiej 1594—1784“ skreślił oraz wykazem druków zamoyskich opatrzył I. K. Kochanowski; wreszcie: „Akademia Kijewsko-Mohylańska, zarys historyczny na tle rozwoju cywilizacji zachodniej na Rusi“ nakreślił Aleksander Jabłonowski.

I znowu fakt, jakiemu podobne już po dwakroć w niniejszym sprawozdaniu wymieniliśmy. Po długim zastoju — od dzieła o szkołach Łukaszewicza tj. od r. 1852, brakło obszerniejszych prac nowszych — zapisujemy od razu przyczynki o zdumiewającej obfitości; jeśli dołączymy A. Karboŭiaka dzieje wychowania i szkół w Polsce w wiekach średnich, których tom I w r. 1898 wyszedł, i źródłową publikację, przedruk dawnego manuskryptu o profesorach zamoyskich (ks. Wadowskiego, *Anacephaleosis Professorum Academiae Zamoscensis*, z licznymi dodatkami i ilustracyami), to niema prawie pola z dziejów szkolnictwa, na któremby walnego postępu zaznaczyć nie należało. Bogactwem treści, olbrzymią obfitością szczegółów, mozolnie uzbieranych, znaczeniem samego przedmiotu wyróżniają się dzieje wileńskie Bielińskiego, kontynuującego godnie prace poprzedników, mianowicie Balińskiego: niestety, dla najdłuższego peryodu, dla akademii jezuickiej, płynęły źródła jego najskąpiej i tu jeszcze wiele zrobić należy; za to czasy nowsze przedstawione wyczerpująco, drobiazgowo. Pierwszy tom obejmuje organizację szkoły, drugi stan nauk i wykładów, trzeci profesorów i uczniów, żywoty i dzieła, i sprawy uniwersyteckie. Zwracamy tu uwagę na świeżą publikację rosyjską: ministerstwo oświaty wydaje z swoich archiwów *Sbornik materjałow dla istorii proswieszczenija w Rossii*, otóż do czwartego tomu dał młody historyk i lingwista, A. Pogodin, wstęp p. t. *Wilenskiy uczonyj okrug 1803—1831 g.*, jest to charakterystyka Czartoryskiego i Czackiego, szkół wyższych i niższych, ruchu obywatelskiego w nich się odbijającego. Autor, który równocześnie o wędrownościach narodów i pierwotnych siedzibach słowiańskich pisze, czytał się w obfitą literaturę polską swego przedmiotu i stara się zachować obiektywne stanowisko, oddaje cześć charakterowi Czartoryskiego, talentowi Śniadeckiego, ujmuje się nieco za Pelikanem, opowiada obszernie o wykładach Gołuchowskiego, o śledztwie filareckiem i t. d. Stanowisko jego naturalnie rosyjskie; i on bije na „polonizacyjne“ tendencje księcia kuratora i jego popleczników, zapomina tylko, że w r. 1800 i w Petersburgu o innej „narodowości“, niż polskiej, na Litwie nie wiedzano — o „chłopów“ nikt się przecież nie troszczył—;



wnosi więc Pogodzin późniejsze zapatrywania i „odkrycia“ w ocenę dawniejszego stanu; w każdy sposób pisze on oględniej, przyzwoiciej i sprawiedliwiej niż jego poprzednik (Kryżanowski) w III tomie *Sbornika*, chociaż niepotrzebnie uchyla i tajemnicę pseudonimu pewnego. Z wymienionych dzieł najmniej z Polską łączności ma rzecz o Kolegium kijowskiem, ale ważna ona dla uwydatnienia, jak mimo różnic głębokich języka a szczególnie wiary kultura polska na Wschodzie się przeżyła.

Nie mityczne przecież te czasy, kiedy i w Rumunii język polski jako język ogłady popłacał, kiedy na Bukowinie w rumuńskich familiach po polsku, niby u nas po francusku, mówiono: podobnym objawem był i wpływ łacińsko-polski na szkołę kijowską. Dziś można się zapierać wszystkiego, i Rumuni bardzo niechętnie o wpływach polskich słuchają i Kijów o nichby głucho milczał — gdyby nie dzieje, a kartkę z tych dziejów wyłożył właśnie p. Jabłonowski. Zarzucilibyśmy, że na nadto wiele podokresów rozbija całość, że, charakteryzując je, zbyt często się powtarza, że nadto systematycznie, jednostajnie program wykonuje. Najmarniej przedstawiają się dzieje szkoły Zamoyskiej, chociaż opisane najgruntowniej, najwięcej systematycznie opracowane; najkrótsze są dzieje Szkoły głównej, rokującej najświetniejsze nadzieje — ale chyba to nie winy historyków obu instytucji; p. Kochanowski uzupełnił moczolnie a szczęśliwie z aktów ordynacji Zamoyskiej, a ks. Wadowski z aktów kapituły Zamoyskiej zaczerpnął. Dla dopełnienia historii szkolnictwa polskiego wymieniamy i prace, traktujące o stanie nauk, a więc prof. Rostafińskiego „Medycyna na Uniwersytecie Jagiellońskim w XV wieku“, szkic barwny, kreślący ogólną historię wiedzy lekarskiej średniowiecznej i szczegóły jej krakowskie; d-ra Fr. Bujaka „Geografia na Uniwersytecie Jagiellońskim do połowy XVI wieku, jej samoistość i pierwsze kroki wiedzy polskiej“; wreszcie p. I. Ptaśnika „Z życia uczniów krakowskich w XV i XVI wieku“, o stronie tegoż materialnej, o bursach, pauprach i t. d.; rzecz łączy się z inną pracą tegoż autora p. t. „Obrazki z życia żaków krakowskich“ i t. d. Inne rozprawy, prof. Danysza różne kartki z dziejów wychowania w Polsce, ks. Chodyńskiego wyczerpującą a znakomitą rzecz o szkole katedralnej włocławskiej od XIV wieku do r. 1806 i t. p. — pomijamy. Jeżeli porównamy, jak witaliśmy jubileusz w Krakowie z r. 1864 a jak tenże sam z r. 1400, jak szczupłe były zasoby nasze naukowe r. 1864 a jak bogate w r. 1900, to — mimo wszystkiego —

Serce roście, patrząc na te czasy...

## IV.

Wybrnąwszy nakoniec z tak do niedawna płytkich i niepokaźnych, a dziś tak rozbujających fluktów dziejów oświaty i szkół polskich, zwracamy się do literatury, w ściślejszem znaczeniu słowa. Oczekuje nas na wstępie pięknie wydany tom — złożony również, jak cenne studyum ks. Chodyńskiego i tyle innych na jubileusz krakowski — pod bardzo obiecującym tytułem: „Materyały do dziejów piśmiennictwa polskiego i biografii pisarzy polskich“, zebrał Teodor Wierzbowski (wydanie Kasy Mianowskiego, skąpiącej pieniędzy na rzeczy najpotrzebniejsze, marnującej je na wydawnictwa, jak wymienione właśnie). Niema tam niestety żadnych materyałów do dziejów piśmiennictwa; są kwity i rachunki, listy i relacye treści przeważnie polityczno-historycznej, nie literackiej, nadania i przywileje; co ciekawsze, to znane od dawna, a co nowe, to nieciekawe; tom I obejmuje wiek XV i XVI, drugi, dla XVII, bodajby światła dziennego nigdy nie oglądał, jeśli z równie marnych notat zlepiony.

Epoka średniowieczna, wobec ubóstwa ocalałych materyałów, przedstawia się w ubiegłym dwuleciu najskromniej, składają się na nią przeważnie artykuły podpisanego. Jest więc artykuł o Bogurodzicy, rozwiązujący zagadkę powstania jej i znaczenia, dowodzący, że należy ją łączyć ze św. Kingą i Sączem, dziś mogę dodać, że napisał ją Franciszkanin Bogufał, spowiednik Kingi, około r. 1280. Inny artykuł poświęcony drobnym zabytkom polskim, urywkowi niepokaźnemu, ale bardzo ważnemu, tłumaczeniu Nowego Testamentu z połowy wieku, mamotrektowi łacińsko-polskiemu i t. d., trzeci bada najobszerniejszy z polskich a może i słowiańskich apokryfów, przemyskie (dziś zatracone) „Rozmyślanie o żywocie Jezusowym“, rękopis z początku XII wieku, trącający całą średniowiecczyzną, opowiadający z licznymi dodatkami apokryficznymi, przed Opeciem, żywot Maryi i Jezusa, urywający na str. 840 z *Ecce homo*; w rozprawie tej oceniony język zabytku i jedno z jego źródeł. Nikną jednak takie i inne przyczynki wobec pracy, dotyczącej również średniowiecza i z jubileuszem krakowskim związanej, odbiegające jednak od literatury, chociaż z dziejami oświaty, lecz nie szkolnej, nierozzerwalnie spojonej, którą dlatego też dopiero tutaj wymieniamy: pomnikowe dzieło prof. T. Wojciechowskiego o katedrze na Wawelu, o dziejach jej budowy i przebudowy w ciągu wieków, od XI do XVIII. W dziele tem nie wiemy co więcej podziwiać, czy erudycję, czy świetny dar kombinacyjny autora; czy jasność i trzeźwość sądu

jego i myśli, czy głęboką miłość ku zabytkom dawnej świetności; czy niestrudzoną długoletnią gorliwość i mrówczą pilność czy gruntowność i trafność wywodów. „Kościół katedralny w Krakowie“, od pierwszej konsekracji, dokonanej 20 kwietnia r. 1001, katedra Bolesławowska pod wezwaniem Zbawicielowem, murowana i drewniana; dalsze losy katedry romańskiej z wpływami kolońskimi (widocznymi nawet na trzech koronach herbu kapituły krakowskiej); losy katedry gotyckiej; malarstwa ruskiego resztki; dzieje grobowca św. Stanisława; krzyża Jadwigi i t. d. odsłaniają się po raz pierwszy zdziwionemu i podziwiającemu czytelnikowi.

Rozmiarami jeszcze większe, znaczeniem mniejsze jest dzieło prof. L. Birkenmajera o Koperniku: jego „Mikołaj Kopernik“ (olbrzymi tom o 712 str.) jest jednak tylko wstępem do przyszłej biografii, jest to tylko „część pierwsza, studia nad pracami Kopernika oraz materiały biograficzne“, same roztrząsania najdrobniejszych szczegółów, kwestyi rozwoju nauki, obserwacyi i pomysłów Kopernika, kiedy się po grecku wyuczył, jakie książki posiadał, co na nich zapisywał, kogo leczył, jak i kiedy obserwował, jak zmieniał heliocentryczny swój system i t. d., o nim i o jego znajomych, nauczycielach i przyjaciółach, o Wapowskim, o Rhetyku i t. d., wszystko kamyczki do wielkiej mozaiki, której ukończenie i wystawienie niezmordowany autor, badacz wzorowej sumiennosci i pilności nadzwyczajnej, w niedalekiej przyszłości obiecuje; zawdzięczamy jego mozolnej pracy już tyle pierwszorzędnych przyczynków do historii nauk ścisłych w Polsce średniowiecznej (wydanie „Geometrii praktycznej“ Marcina Króla z Przemysła, około r. 1450 powstałej; Komentarzyka astronomicznego Wojciecha z Brudzewa do dzieła Purbacha, z r. 1482; monografia o astronomie i lekarzu Macieja Korwina, Marcinie Królu z Przemysła), że i monografii o Koperniku z najlepszą wyczekujemy otuchą.

Przechodząc od średniowiecza do czasów nowszych, spotykamy się, zamiast z literaturą, znowu z pomocniczymi naukami i publikacyami. Zaczynamy od ostatnich, od publikacyi źródłowych, pomnażających, uprzystępniających skarby czy tylko numera, okazy bibliograficzne, dawnej literatury naszej. Posiadamy przecież aż trzy wydawnictwa, specjalnie im poświęcone: Bibliotekę pisarzy polskich Akademii; Bibliotekę zapomnianych poetów i prozaików polskich prof. T. Wierzbowskiego; „Nieznane zabytki piśmiennictwa polskiego“, wydanie poznańskie d-ra B. Erzepkiego. Ostatnie wydawnictwo nie postąpiło dotąd poza pierwszy numer, który objął dosyć bezbarwne, choć nader

płynnie i przystępnie napisane kazania jakiegoś Wielkopolanina z połowy XVI wieku. Prof. Wierzbowski wydaje teraz rocznie dwa zeszyty, mamy ich już 15, każdy przynosi jakiś unikat, jakiegoś białego kruka, chociaż niekażdy z tych unikatów na przedruk istotnie zasługuje. Z 15 numerów (ciągnących się od r. 1885, lecz dopiero od r. 1893 w żywszem tempie kroczących) nie wszystkie więc równej wartości: „Wenecya“ Warszewickiego, od której autorstwa wydawca najniefortunniej Warszewickiego odsądził; „Wieśniak“ Andrzeja Zbylitowskiego, który za utracony uchodził; starego Bielskiego *Moralité* z r. 1557, komedia Justyna i Konstancyi; wreszcie pisma Melchiora Pudłowskiego, a raczej tylko jego fraszki z r. 1585: oto i *pièces de resistance* całego zbioru. Inne są tylko rzadkimi okazami, których pamiętać można było odnowić, lecz nie warto ich podawać *in extenso*, np. Mimera „Dobrego zdrowia rządzenie,“ podle wierszydła z r. 1532 (wedle *Regimen sanitatis*) albo „Pieśni duchowne“ Seklucyana, bardzo niezdarny zlepek kancyonału luterskiego, ciekawy chyba tem, że pierwszy, że z r. 1547, albo St. Orzechowskiego *Fidelis subditus* w pierwszej redakcyi z r. 1543, całkiem niepotrzebny itd. Ciekawsze są satyryczne pisemka, „Zwrócenie“ Matyasza z Podola, aluzjami przeciw heretykom, lutrom i kalwinom, rozszerzony i sparodyowany *Albertus*; tudzież „Rozmowa“ Janusza Knutla z r. 1633, ucieszny obraz nędzy nauczycielskiej, do której przecież bakałarz powraca, zakosztowawszy niesmacznych i niestrawnych delicyi innych zawodów i rzemiosł. I kilka innych okazów tejże biblioteki zasługiwałoby na wzmiankę, mianowicie pisemka polityczne, jedno dla żywego i barwnego słowa, nawołujące chrześcian do zgody przeciw Turkowi, przez starego wiarusa dzielnie napisane w r. 1545; drugie w niezdarnych wierszach punkty o ucisku żołnierskim i eksorbitancyach duchowieństwa na sejmiki r. 1608 podające. W całości i wybór tego, co się ogłasza, mógłby być trafniejszy i objaśnienia ściślejsze — mimo to podnosimy niezaprzeczoną, znakomitą zasługę niestrudzonego wydawcy, podtrzymującego na własnych plecach ciężar całego przedsięwzięcia, na którego koszty najniezbędniejsze łoży Kasa Mianowskiego. Tu wymieniamy jeszcze jedną publikacyę prof. Wierzbowskiego: wobec najżywszego zajęcia, jakie wywołał Samozwaniec, wobec świeżych prac o nim O. Pierlinga, Szczepkina, Hirschberga, w kilku językach wydał prof. Wierzbowski wcale na czasie pierwszy zeszyt z przedrukami publikacyj współczesnych p. t. „Czas zamętu“ (tak zwane *smutnoje wriemja*) w współczesnej literaturze polskiej, obejmujący jedenaście nume-

rów, Jana Żabczyca „Mars moskiewski krwawy“ i „Poseł moskiewski“ z r. 1605, tegoż „Żegnanie Ojczyzny“ (przez Marynę) z r. 1606, Jurkowskiego „Himeneusz“, ks. St. Grochowskiego „Pieśni na fest ucieszny“ w obu redakcyach, Seb. Liffela „Krwawe gody moskiewskie“ z r. 1607 i kilka innych pomniejszych pisemek wierszem. Bardzo to wszystko nieciekawe, jako poezya, ale znamienne dla epoki, dla optymizmu czy lekkomyślności polskiej, łudzącej się byle czem, dla antagonizmu narodowego, dla nadziei i oczekiwań wygórowanych.

Nie sposób pominąć tutaj wydawnictwa źródłowego dra A. Hirschberga: zajmwszy piękną monografią o Samozwańcu wybitne miejsce między badaczami tego problemu dziejowego, rzymsko-polsko-rosyjskiego, przystąpił on do ogłaszania materyałów pierwszorzędnej wagi, z których w ciągu pracy korzystał, które poodkrywał i powydobywał. Zaczął bardzo ciekawym Pamiętnikiem Stanisława Niemojewskiego z lat 1606—1608, dawniej zupełnie nieznanym, opisującym ziemię i ludzi, pełnym rysów drastycznych, prawdziwych, skreślonych niezwykłym piórem pana stolnika koronnego, co to wioząc klejnoty królewne Konstancyi na sprzedaż do Moskwy Samozwańcowi, włożył, jak Płat w Credo, w całą tę tragedję. Nastąpił teraz pierwszy tom innego wydawnictwa p. t. „Polska a Moskwa w pierwszej połowie wieku XVII,“ zbiór materyałów do historii stosunków polsko-rosyjskich za Zygmunta III; tom ten obejmuje dyaryusz Wacława Dyamentowskiego, ochmistrza Maryny, znany już dawniej, ale z kopij znacznie gorszych i niekompletnych; dalej dziennik Jana Piotra Sapiehy, kondotyera u Wtórego Samozwańca, wyzyskany niegdyś, lecz całkiem jednostronnie, przez Kognowickiego w Żywotach Sapiehów; wreszcie (ruski) dyaryusz poselstwa moskiewskiego, wysłanego do Warszawy z końcem r. 1611, dotąd nieznaną: spora bardzo i równie ważna wiązanka do poznania bliższego ciekawych tych ludzi, czasów i intryg.

Jak z powodu publikacyi Wierzbowskiego wspomnieliśmy o wydawnictwach. p. Hirschberga, tak możemy dla innych numerów jego biblioteki, i tak dla „Wieśniaka,“ wspomnieć o rysie biograficznym autora jego, który dr. R. Abicht, Wrocławianin, ogłosił w „Archiwum do dziejów oświaty i literatury w Polsce“ (IX): zebrał on tam garstkę wiadomości archiwalnych o Andrzejku Zbylitowskim i dodał kilka jego wierszów z rękopisów — jeden z tych wierszów pióra jednak Szlichtyngy, nie Zbylitowskiego, wcale udatna waryacya owego *Beatus ille* itd. Dla kancyonaliku Seklucyanowego wymieniamy szkic p. T. Pazdanowskiego o polskiej pieśni religijnej protestanckiej XVI wieku, ogło-

szony w programie szkolnym wadowickim, szkic niedostateczny, nie uwzględniający bowiem ani tego zbioru z r. 1547, ani gdańskiego, Krofejowego, z r. 1585, dla Kaszubów luterskich wydanego; należało porównać i kancynał Brzozowskiego; wywody autora nie oparte więc gruntownie, nie zgłębiają przedmiotu, mimo to nasuwają kilka ciekawych spostrzeżeń o zawisłości pieśni protestanckiej polskiej od katolickiej, o braku w niej cech polemicznych i dogmatycznych, wybitniejszych, z bardzo nieznacznymi wyjątkami.

„Biblioteka pisarzy polskich“ Akademii, dobiła nakoniec, po dwunastoletniej pracy, do numeru czterdziestego. Wybór jej na ogół trafniejszy, niż u Wierzbowskiego, chociaż i tu nie brak numerów, ważnych chyba tylko z tego powodu, że to unikaty. Zastąpiony najlepiej Rej, aż trzema numerami, „Zwierzyńiec“ niestety wydany bez „Figlików“: skoro jednak mowa o Reju, wymienimy arcyhradkiego, choć nie bardzo pocieszającego gościa, niemieckie dziełko o Reju, pastora lipskiego H. F. von Criegern, *Nikolaus Rey als Polemiker*, Leipzig 1900, IV i 96 str.; wyławia on głównie z Apokalipsy Rejowej, nieco i z Postyli i z Wizerunku, napaści Rejowe na papiestwo, delektuje się nimi i zaleca je spółwyznawcom, dla ich ciętego tonu, przyczem nie omieszkuję zaznaczać „wyższości niemieckiej pracy umysłowej nad całym światem,“ odmawiając Rejowi wiedzy teologicznej głębszej; *Guarda e passa*. Prócz Reja zastąpiony w „Bibliotece“ Bielski Marcin satyrą, Paprocki pamfletami politycznymi, A. Zbylitowski epitafią dla Zygmunta III, Seb. Grabowiecki rymami duchownymi z r. 1590, odznaczającymi się wzorową formą, Marcin Błażowski setnikiem przypowieści z r. 1608: oba dziełka ważne jako ślady wpływów włoskich przed Piotrem Kochanowskim i Morsztynami. Jest kilka broszur prawnych, polemicznych (Rozmowa Polaka z Litwinem, przeciw Orzechowskiemu). — Orzechowski największego doczekał się zbioru dzieł i listów i mów, łacińskich przeważnie, wyjątkowo polskich, w Orichowianach, które zebrał dr. I. Korzeniowski; są dalej przekłady i przeróbki dzieł moralizujących, pedagogicznych, ekonomicznych, jak H. Schottena o cnocie, Wergerjusza o wychowaniu dzieci (w przekładzie M. Kwiatkowskiego z r. 1564), Seklucjana gospodarstwo z r. 1546 i t. d. Nie zapomniano o apokryfach, jak Puschmanna *Historia Adae et Evae* z r. 1551 i luterski „Postępek prawa czartowskiego przeciw narodowi ludzkiemu,“ przeróbka z średniowiecznej literatury o dyable; ani o książkach ludowych, o beletrystyce najniższego rzędu, jak tego dowodzą „Historie rzymskie,“ zbiór nowel średniowieczny z wy-

kładem alegorycznym, rozszerzony po całej Europie w niezliczonych rękopisach, drukach i tłumaczeniach od XIV wieku i *Historia Trojańska* z r. 1563. Są inne ciekawe rzeczy, nowele wierszowane, między niemi owa drastyczna *Historia o Euryalu i Lukrecyi*, ów *ménage à trois* z XV wieku i z pod pióra Eneasza Silviusza; są tłumaczenia i przeróbki, Castus Joseph Szymonowicza i Potrójny Cieklińskiego, jest misterjum częstochowskie, wyśmiane przez Małachowskiego w wieku XVIII, tu wedle oryginału ks. Mikołaja z Wilkowiecka wydane itd. Wobec nieprzystępności i rozprószenia druków staropolskich należy się Akademii za tę Bibliotekę najgorętsze, najwdzięczniejsze uznanie, należy jednak kołatać nieustannie o rażniejsze tempo w następstwie wydawnictw — cóż bowiem znaczy ta kropla wobec olbrzymich zasobów dawnego piśmiennictwa! W ostatniem dwuleciu wydał w Bibliotece dyrektor Z. Celichowski, najgorliwszy jej współpracownik, który się aż sześciu numerami do niej przyłożył, Stanisława ze Szczodrkowic rozmowę pielgrzyma z gospodarzem o niektórych ceremoniach kościelnych z r. 1549, bardzo ciekawą jako korzystne świadectwo o stanie szkół na prowincyi i jako pierwsza próba katolicka odbijania napadów Seklucyanowych z Królewca bronią podobną, przed Kromerem, Korczewskim i anonimami — autorami *Komedii o mięsopuście* i i., podjętą i wykonaną, wielomownie, skromnie (autor broni, nie naciera sam) i w najpocziwszej chęci i myśli. Dalej wydał prof. J. Czubek Bartosza Paprockiego dwie broszury polityczne z lat 1587 i 1588, znane niegdyś pamflety przeciw Zamoyskiemu (wraz z Batorym) i przeciw elektowi, Zygmuntowi III, bezczeszczące nie napadniętych, lecz napastnika. Dwa jednak ostatnie numery „Biblioteki“ — jaja kukułcze, które historia w gniazdku literatury zniosła; tworzone niśtąd nizowąd podstawę podręczną biblioteki historycznej, która obejmie najcenniejsze dziełka historyczne łacińskie; tak obdarzył nas prof. W. Czermak przedrukiem trzeciej księgi Decjusza o czasach Zygmunta Starego z r. 1521 i Polonią Kromerową z r. 1578, opisem geograficzno-statyczno-politycznym; za obie publikacye bardzośmy wdzięczni, choć obie po bibliotekach częste; protestujemy tylko najusilniej przeciw forytowaniu wydawnictw historycznych kosztem literatury pięknej, i tak haniebnie upośledzonej; wypędzają nas z ostatniego a raczej jedyne go stanowiska. Spodziewamy się, że nadal Komisya wydawnicza przypomni sobie, że nie funkcjonuje z ramienia historycznego, zabierającego i tak lwia część funduszków akademickich.

Wobec licznych, acz nieraz bardzo drobnych (np. wszystkie

Wierzbowskiego) wydawnictw z XVI i XVII wieku późniejsze wieki występują mniej bogato. Moglibyśmy wymienić z obfitej spuścizny po Niemcewiczu wydanie tragedji jego, Kiejstuta, przez p. T. Pazdanowskiego (w *Przeglądzie polskim* 1901 r.); utarczki z cenzurą, z Szaniawskim, odebrały Niemcewiczowi ochotę jej drukowania; rzecz sama bardzo przyzwoita, w stylu klasycznym wykonana, nie bez aluzyj przeciw uniesieniom ludowym (nie one, niechaj prawo rządzi, woła obrońca ludu, Kiejstut), przeciw rządzącym, „gdy ufnosć na mężach niegodnych spoczywa“; główne osoby i Jagiełło, którego niecni doradcy podeszli, walczą o lepsze w uczuciach najwspanialszych, a smutny koniec tragedji rozjaśniony widokiem przyszłych ślubów Jadwigi. Wydano na nowo i najzupełniej resztki pamiętnika Kaz. Brodzińskiego, obejmującego głównie młodość. Doczekał się i Słowacki nowych starń: z niewyczerpanych zbiorów Ossolińskich wydaje prof. Porębowicz nowe fragmenty z rapsodyj króla Ducha w *Chimerze* warszawskiej, a wcześniej jeszcze ogłaszała *Gazeta polska* fragmenty Zborowskiego, któreśmy już znali po części dawniej z *Echa muzycznego*: wszystko z czasów nastrojów mistycznych, błyskawicowe rzuty myśli i wyobraźni, szafującej dowolnie skarbami wszech mitów i podań. O wiele bogaciej przedstawia się jednak spuścizna po Krasińskim, ogłaszana w *Bibliotece warszawskiej* od lata b. r.

Nie tu miejsce kusić się o całkowitą jej charakterystykę. Dano nam najpierw „Wandę“, która w dawniejszych przedrukach i wyjątkach przeszła była bez głębszego wrażenia; całość fragmentu (część pierwsza wykończona; z drugiej początek i plan; z trzeciej część planu ocalały) bardzo ponętna; jest tu proza Irydjonowa; świat mitów i sag skandynawskich i germańskich z ponurem ich zabarwieniem, wprowadzono na niwy polskie, np. w alegoryi „wojewody słowiańskiego Żeli-sława“ o zbłąkanej ptaszynie; „krasopani“ nie wyjdzie za Niemca, równie jak bohaterka Nocy Letniej; stylem należy „Wanda“ do lat 1837—1839 i wynikała może z rywalizacyi z Słowackim, z Balladyną; może i Krasiński zapragnął, wbrew Juliuszowi, zedrzyć osłonę tajemniczą, przerwać grobowe milczenie dawnych dziejów naszych i wyjawić górne życie przeszłości: w nieskończonym szeregu „Wand“ — którego Słowacki nie powiększył — zajmie jego fragment bardzo zaszczytne miejsce. Dalej otrzymaliśmy listy do przyjaciela Anglika, Sir Henryka Reevego i drobne utwory, jemu przysyłane w latach 1830 i 1831, w tłumaczeniu z francuskiego na polskie, zasługujące na pilną uwagę, gdyż mieszczące nieraz zarodki późniejszych pomysłów i obra-



zów poety. Kilka fragmentów podyktowało uczucie gorące, jakie młodziutki autor żywił ku nadobnej Angielce w Genewie.

O obfitej korespondencji J. B. Zaleskiego do niedawna nic niemal nie wiedzieliśmy. Przyszła teraz kolej i na nią i posypały się publikacye jak z rogu obfitości; zaczął je p. St. Zdziarski w *Przeglądzie powszechnym* r. 1898, a podjął na wielką skalę syn poety, p. Dionizy Zaleski, w *Przewodniku naukowym i literackim* lwowskim, od stycznia 1899 do dziś je ogłaszając i wydając osobno p. t. „Korespondencya,” dotąd dwa spore tomy, sięgające do r. 1856 (Lwów, Altenberg). Listy Zaleskiego rozrzucone bardzo; kilka ciekawych po niemiecku pisanych, o Mickiewiczu i literaturze głównie, znajduje się nawet w Lublanie, jak się od prof. Jagicza dowiedziałem — chociaż prof. Sztrekel w pracy tu należącej o nich nie wspomina; listy przynoszą wiele szczegółów z życia na emigracyi i jej dziejów, tudzież charakteryzują znamienne poetę-człowieka. Równocześnie ogłoszono, przeważnie w tłumaczeniu z francuskich oryginałów, Listy Dionizy Poniatowskiej (Iwanowskiej z domu) do Bohdana i Józefa Zaleskich, w dwóch tomikach, listy świeże i proste, a głębokie i natchnione tej „mojej Ukrainy wcielonej, Ducha od stepów,” osoby bardzo religijnej i patriotycznej.

## V.

Od tych publikacyi dzieł i listów naszych romantyków cofamy się znowu wstecz aż do XVI wieku, aby wyliczyć i choć pobieżnie ocenić, co o samych postaciach i działaczach literackich napisano, jakie kreślono biografie, co za kierunki omawiano. Na czele stawiamy Erazma Roterдамczyka i jego stosunki z Polską; omówił dr. F. Kopera część jego spuścizny artystycznej, dary z Polski zachowane w muzeum bazylejskiem, a ks. Kaz. Miaskowski w publikacyach niemieckich (Erasmiana I i II) wydobył całą korespondencyę Erazma z Polakami i nieznane dotąd listy i dedykacye w całości łacińskiej lub w streszczeniu niemieckiem przedrukował. W kilku innych publikacyach niemieckich znajdujemy szczegóły np. o Dudyczu jako autorze dwunastej mowy Themistjusza (R. Förster) lub charakterystykę humanizmu polskiego (K. Różycki). O wczesnych humanistach naszych możemy również niejedno wymienić; J. Pelczar przedstawił postać Mikołaja Hussowskiego, którego poezye łacińskie (o łowach żubra, o klęsce tureckiej pod Trębowlą 1524 r.; legendę o św. Jacku) w zbiorze akademickim (*Corpus antiquissimorum poetarum Poloniae latinorum*), był

dawniej wydał. Odwrotnie postąpił prof. Br. Kruczkiewicz, który obszerne studjum o życiu i pismach przybranego Polaka, Hiszpana Piotra Rojzjusza, w Rozprawach Akademii filologicznych (tom XXVII) umieścił, a teraz po łacinie je streścił jako wstęp do wydania całej spuścizny poetyckiej po „doktorze Hiszpanie,” szpetnym jak noc, lecz mądrym, czynnym i zacnym, dlatego szanowanym powszechnie, od króla aż do Reja i Kochanowskiego. Żywimy wprawdzie głęboki żal do syna gorącego południa, który na zimnej północy przemyśłem poetyckim czy rzemiosłem wierszokleckim braki jurysty łątał i nam tyle mdłej łaciny wierszowanej przekazał, względnie i do wydawcy, który nam niczego z niej nie oszczędził; dwa tomy p. t. *Petri Royzii Mauri Alcagnicensis Carmina (maiora i minora)* należą do najciekawszych całego działu poezji łacińsko polskiej i wyciąg ich byłby aż nadto nam wystarczył, tem bardziej, że i komentarz wydawcy nie zawsze trafnością się odznacza. Szczęśliwy pomysł wykonał dr. M. Jezienicki, spopularyzować dla szkoły dzisiejszej, uczynić przystępnymi dla lektury domowej, wybrane perły z spuścizny naszych poetów-latynistów; w trzech zeszytach wydał on „Cenniejsze utwory łacińskie Janickiego, Kochanowskiego i Sarbiewskiego ze wstępem i objaśnieniami“ (Lwów, 1899 i 1900, str. 182); po ogólnym wstępie o humanizmie i humanistach dał on wybór elegij Janicjusza i Kochanowskiego, ciekawe i piękne *Iter Romanum* Sarbiewskiego, jeden z pomników tak nielicznych, które niezliczone nasze podróże włoskie po sobie zostawiły, wreszcie wybór ód Kochanowskiego i Sarbiewskiego; wybór trafny, komentarz obfity a dokładny zajmą młodzież i ułatwią jej zrozumienie: podobnego wyboru dokonał dr. W. Hahn dla Szymonowicza. Ku Szymonowiczowi zwrócił się ostatniemi laty prof. K. Heck, rzuciwszy na razie Zimorowiczów, ale dotąd ogłosił tylko wiązanek *Simonoviciana*, o ojcu poety itp.; całość, wyczerpująca ocena, głównie dzieł, pojawi się niebawem w Rozprawach Akademii. O „pojęciu i znaczeniu poezji u poetów polskich XVI wieku“ napisał rzecz bardzo trafną, jako przyczynek do historii pojęć estetycznych w Polsce, dr. W. Bruchnalski, o *furor*, *labor* i *studium* poetyckiem, o powadze poezji, o miłości i miłostkach itp. zdania autorów naszych zbierając i z ich praktyką je porównując; jest to tylko „wyjątek z większej całości,” która rzuci chyba podwaliny historii estetyki u nas, dotąd niemal zupełnie zaniedbanej, choć tak ważnej gałęzi dziejów literatury samej. Jednemu z najmniejszych przedstawicieli poezji humanistycznej, zasłużonemu zato lekarzowi poznańskiemu, postawił pomniczek

prof. L. Œwikliński w księdze pamiątkowej uniwersytetu lwowskiego, poświęconej jubileuszowi krakowskiemu: St. Niger Chrościeski, jego żywot i piśmko, dawno zapowiedzianego wydania Janicyusza dotąd daremnie od autora wyczekujemy. Charakterystykę Jana Kochanowskiego przedstawili prof. Wł. Nehring w zbiorze Grendyszyńskiego (*Życiorysy sławnych Polaków*) i A. Mazanowski w „Bibliotece powszechnej” (*Zuckerkandla*, jako szóstą z „charakterystyk literackich pisarzy polskich”); rzecz Nehrunga to znakomita, acz zwięzła, ocena dzieł poety i literatury o nim; Mazanowski popularnie a barwnie życie poety opowiedział i splótł z dziełami. O pobieżnem nieco studyum porównawczem dra W. Skarżyńskiego „Mikołaj Machiavel i Andrzej Frycz Modrzewski,” z *Roczników Towarz. Nauk. Pozn.* t. XXIV, nie wspominałbym, gdybym nie mógł z jego powodu wskazać znakomitej recenzji A. Rembowskiego w (*Kwartalniku historycznym* 1900, str. 92—101), która na kilku kartkach mieści najdosadniejszą i najtrafniejszą krytykę i ocenę pomysłów i umysłu Frycza i zarazem zbiera, co o nim za granicą, a co w Polsce o Machiavelu znano i pisano.

Mniej obficie przedstawia się plon literacki, zebrany na niwie XVII i XVIII wieku. Tu należy główną swą treścią dzieło niemieckie, napisane sumiennie i sympatycznie, oparte na poważnych i gorliwych studiach dra R. Arnolda *Geschichte der deutschen Polenliteratur, I Band, von der Anfängen bis 1800*. Co w literaturze niemieckiej o Polsce i Polakach pisano, jak się tam przedstawiają w ciągu wieków, jak zmieniają się sympaty i antypaty, wyznaniowe i narodowe. Co wieki 17 i 18 poprzedza, wymienił Arnold wcale krótko i niedostatecznie; nie należało np. pomijać ówczesnych tłumaczeń dzieł polskich i łacińsko-polskich (Miechowita i Fricius i i.) na niemieckie, które chyba do tej literatury należą; można było zaznaczyć rolę Niemczyzny w Wilnie jeszcze na początku XVII wieku, co się nawet na uczeniu języka niemieckiego na uniwersytecie wileńskim odbijało itd. Za to czem później, tem obficie płyną źródła Arnolda, chociaż się ogranicza na literaturę piękną, rzadziej polityczną (głównie pamphletową) uwzględniając; listy i opisy podróży (Forster, Seume itd.) odgrywają u niego znaczną rolę; również wszelkie Galiciany; niemieccy klasycy, omówieni szeroko, szczególnie Demetryusz Szylera — bez zastrzeżeń jakichkolwiek, co nas dziwi, z wyjaśnieniami nowemi, np. co do K. N. Sapiehy, jako prototypu dla kanclerza Sapiehy w dramacie. Ogólniejszy temat poruszają moje szkice w „Bibliotece warszawskiej” 1900, listopad i 1901, czerwiec, o dawnych powieściach

i romansach polskich, ludowych, o Marcholcie i Sowizdrzale, o powieściach romansowo-rycerskich, o Meluzynie, Magielonie, cesarzu Ottonie, Fortunacie; o powieściach mieszanej treści, jak Historie rzymskie i Poncyan czyli o Siedmiu Mędrcach. Szło mi przytem o wskazanie bogatej niegdyś literatury mieszczańskiej, z jej domorosłym, niewybrednym humorem, dworującym sobie jeszcze w XVII wieku z ludzi i otoczenia, póki i jej straszny upadek miast polskich nie pogrzebał doszczętnie; wyróżniłem Jurkowskiego jako zdolnego pisarza groteskowej satyry w szeregu tych najczęściej anonimowych lub pseudonimowych rycerzy; ciekawem było, jak znakomicie Sowizdrzał na gruncie polskim się przyjął i nowe gałęzie wypuścił; literaturę romansową posunąłem od pierwszych przekładów aż w głąb XVIII wieku, z jego własnymi kompozycjami. Od p. Gubrynowicza oczekujemy naukowego obrobienia całego tego, u nas dotąd zupełnie zaniedbanego przedmiotu.

Z prac specjalniejszych wymieniam komunikat prof. K. Hecka odmawiający autorstwa „Roksolanek“ Szymonowi Zimorowiczowi, a przypisujący je bratu starszemu, Bartłomiejowi, usuwający więc z histoty literatury jedno nazwisko; każdy argument z osobna, przytoczony w komunikacie, można zbić, ale wzięte razem wywołują one pewne wrażenie, tak że sąd nasz wolimy odłożyć do zjawienia się całej pracy. Po Wacławie Potockim przysła kolej na Wespazyana Kochowskiego: jak do tamtego, tak i do tego uzbierał prof. J. Czubek bogaty materiał biograficzny z zapisek aktów ziemskich i grodzkich i oświetlił nim nie tylko postać poety i krewnych, lecz i dalszych przyjaciół i znajomych, Sambora Młoszewskiego, Iysego poety i innych; studjum to biograficzne o niemal 200 str. pojawiło się w XXXII tomie Rozpraw filologicznych; wojuje obficie cytatami z prac poety, choć je nie zawsze trafnie oznacza i ocenia, np. pieśni na śmierć Władysława IV itp. to nie rzeczy robione współcześnie, lecz napisane znacznie później dla dokompletowania całości; nawet charakterystyka języka poety nie całkiem słuszna, przeważają wreszcie suche zapiski majątkowe, nieskończonych działów, długów i spłat rozmaitych; niejedną datę autor ustalił, usunął, sprostował. Pracę tegoż autora o Pasku (Jan Chr. z Gosławic Pasek w oświetleniu archiwalnem, 1667—1701, z XXVIII tomu Rozpraw) omówił już i połączył z nowem wydaniem pamiętnika Paskowego prof. K. Heck w *Przeglądzie powsz.*, więc do niej nie wracamy; również pomijam, co prof. Heck w *Przeglądzie* p. t. „Prof. Brückner o Wacławie Potockim“ napisał: przeciw wywodom autora zwróciłem się bowiem w *Kwartalniku historycznym* 1901, str. 355—357. Do dziejów

kaznodziejstwa XVII wieku, uwzględnianych właśnie w *Przeglądzie Powszechnym* starannie, przybył nowy a cenny przyczynek ks. dra J. Caputy „Chryzostom Gołębiowski, nadworny kaznodzieja króla Jana III, studium historyczno-literackie,” 1901, 91 str. We wstępie omawia autor kaznodziejstwo ówczesne i porusza myśl możliwego wpływu poważnego kaznodziejstwa francuskiego, co potem na Gołębiowskim wobec wzoru, idącego od Francuzów, szczególnie od Bourdaloue wiarogodniej uzasadnia; wyższość swą nad współczesnymi ma Gołębiowski właśnie Francuzom zawdzięczać. Autor omawia życie, a potem pisma tj. kazania i homilje młodo stosunkowo zmarłego kaznodziei, charakteryzując ich styl i myśli licznymi ekscerptami, przez co się praca nieco rozprasza, powtarza, możnaby ją dać przetopić, pozniakałyby spojenia zewnętrzne, nieco luźne. Na rozgraniczu między literaturą religijną a świecką stoją owe Jasełka Krośnieńskie, które dr. Fr. Krczek w *Przeglądzie powsz.* z rękopisu Oszołińskiego ogłosił, misteryum na Narodzenie Pańskie z zakusami ludowych postaci i gwary ludowej z r. 1661. Nakoniec wymieniamy dzieła treści ogólniejszej, kulturze staropolskiej ogólnej czy szczegółowej, krakowskiej, poświęcone, wchodzące nieraz ściśle i w granice literatury. Tu należy zasłużonego badacza i zbieracza dawnych i ludowych pomników, Zygmunta Glogera, „Encyklopedia Staropolska Ilustrowana,” tom I, Warszawa, 1900, od (herbu) Aarona aż do Denaru. Dzieło odda historyi kultury polskiej, sięgając aż do r. 1830, znakomite usługi; powstało ono z stopniowego rozszerzania rzeczy, podjętych na mniejszą skalę; teraz mieści wszystko możliwe, od wyliczenia dawnych polskich czasopism i dzienników aż do biletów wizytowych XVIII wieku, najdawniejszych afiszów teatralnych i pierwszych merkuryuszów polskich, od podobizny najdawniejszego tekstu Bogarodzicy do widoków z sal arsenału warszawskiego i portretu ostatniego cymbalisty warszawskiego Mordka Fajermanna. Jest to prawdziwa skarbnica wiedzy o dawnej Polsce i rzeczach jej, od biografij niektórych osób zasłużonych, od rzadkich widoków, budowli, nawet starych dębów i ich opisów sięgająca do przedstawienia treściwego a jasnego dawnych instytucyj politycznych, społecznych i religijnych, życia towarzyskiego i jego zwyczajów, tańców, ubiorów i części ich, broni, uprząży itd.; praca przygodna, dla każdego, zajmującego się dawnymi rzeczami, informująca, bez dalszych zachodów, ciepłem patryotycznym, miłością i szacunkiem tych dawnych rzeczy przejęta, nie oszczędzająca i ciemnych stron, rzetelna, a otwarta. Co ta encyklopedia dla całej Polski w streszczeniu zawiera, rozwija

w licznych artykułach samodzielnych „Rocznik Krakowski,” dotąd cztery tomy, wydawnictwo Towarzystwa Miłośników historyi i zabytków Krakowa, od r. 1898, pod redakcją prof. St. Krzyżanowskiego. Znajdziemy tu czasy przedhistoryczne, skreślone w znanej już dawniej, teraz rozrzuconej rozprawie K. Potkańskiego „Kraków przed Piastami,” chociaż i teraz nie zgodzimy się na jej wywody mityczne o Kraku i Wandzie, bóstwach słonecznych i wodnych, ani na wywody co do Tyńca i Wiślicy i dawnej ich udzielnosci; zmarłego już niestety Wł. Łuszczkiewicza „Najstarszy Kraków na podstawie badania dawnej topografii” i „Stare cmentarze krakowskie, ich zabytki sztuki i obyczaju kościelnego”; prace Krzyżanowskiego o rotulusie Kazimierza Wielkiego do Kuryi i przywilejach uniwersytetu jego, czego prof. Morawski nie mógł już w zupełności wyzyskać; tegoż pracę o „sejmikowaniu mieszczaństwa krakowskiego” i o „Morsztynach w wieku XV”; innych o innych znakomitych rodach patrycyuszowskich, wsiąkających później w szlachtę, jak Wierzyńkowie i Cyrusowie. Kutrzeba St., autor monografii o Wierzyńkach, przedstawia wyrób i handel piwny w średniowiecznym Krakowie; inni traktują o cechu złotniczym i nożowniczym itd.; dr. Tomkowicz przesuwając badanie do wieku XVII, opisuje pogrzeb zamożnego mieszczanina krakowskiego (St. Hipolita w r. 1643); Karol Estreicher kreśli dzieje sceny krakowskiej od r. 1784 do naszych dni itd. O przyczynkach do historyi malarstwa itd., Wyspiańskiego i i., już ani nie wspominamy.

## VI.

Wkraczamy nareszcie w wiek XIX. Zaczynamy od dzieła metodycznego, na gruncie prac XIX wieku traktującego o „metodyce historyi literatury polskiej,” dra P. Chmielowskiego; ważne szczególnie dla bogatej a krytycznej bibliografii, ustala pojęcia o literaturze i o jej historyi, jak się jej uczyć i jak ją badać należy, jak zbierać materiały i jak je krytycznie oceniać, na jakie okresy wreszcie ją dzielić: książka dla wprowadzenia do dziejów literatury bardzo pożyteczna. Tu należałyby i zbiory szkiców literackich, np. prof. Tretiaka, „Szkice,” serya II, lecz mieści ona rzeczy już dawniej po czasopiśmie drukowane, między niemi i dwa referaty, odczytane na III Zjeździe historyków polskich w Krakowie, o rodzimoci i wpływach obcych w literaturze i o podziale historyi literatury polskiej na okresy. „Szkice i opowiadania historyczno-literackie” p. Ferd. Hösicka przynoszą rzeczy najrozmaitsze, o Mickiewiczu i o Słowackim, o Chopinie

i o Matejce, recenzje i *interview*, obchody rocznic i innych uroczystości, wrażenia z podróży i z książek, lecz bywają powierzchowne, błyskotliwe, pretensjonalne i nie wiele pouczają.

Działom specjalnym poświęcono niejedną monografię. Do najważniejszych należało uwzględnienie pierwiastku ludowego w poezji polskiej, którego zwycięstwo dziś na całej niemal linii bojowej Młodej Polski z radością konstatujemy; jak w ciągu stulecia zmieniał się stosunek literatury do tego życiodajnego pierwiastku, jak konwencyonalnym, mimo wszelkiej tklivości i rzewności, albo fantastycznym bywał on jeszcze i u Brodzińskiego, Mickiewicza i Chodakowskiego; jak późniejsze bezwarunkowe jego uwielbianie ustąpiło znowu zupełnemu, choć tylko czasowemu zobojętnieniu; jak po przez czyszciec realizmu i naturalizmu owładnięto na innych podstawach i warunkach, ponownie pierwiastkiem ludowym — to wszystko wykazać byłoby zadaniem wcale nęcącym. Nie spełnia tego bynajmniej, mimo tytułu wielce obiecującego, dzieło p. St. Zdziarskiego „Pierwiastek ludowy w poezji polskiej XIX wieku,” studia porównawczo-literackie, 1901 str. 590. Jeśli zadaniem tytułu jest oznaczanie, nie osłanianie treści, winien on brzmieć: „Motywy ludowe u poetów polskich XIX wieku, szkice literackie,” gdyż autor nie traktuje rzeczy głębiej, zadowala się głównie rejestrowaniem motywów, zwrotów pieśni ludowej, podań i legend, demonologii, w utworach rozmaitych poetów się powtarzających, przy czem między ludowym materiałem a materiałem pseudoludowym, wysanym z palca, np. Ludwika z Pokiewia (Jucewicza, którego Siemieński powtarza) i mitołgów litewskich, żadnej nie czyni różnicy; jest to więc tylko luźny zlepek szkiców, nieraz o nużącej jednostajności, z licznymi powtarzaniem, nie sięgający głębiej. Szkic o historycznej powieści polskiej zawdzięczamy głośnemu powieściopisarzowi p. T. Jeske-Choińskemu, ale szkic jego urywa w przedśionku niemal tej powieści, ponieważ sięga tylko od Jana z Tęczyna do Powieści Imci P. Nieczui; drugiej połowy wieku, stokroć ważniejszej w dziejach tej powieści, autor jeszcze nie uwzględnił. Jedna z ostatnich prac treści ogólniejszej znana dobrze czytelnikom *Przeglądu*: prof. Ant. Mazanowski wydał bowiem teraz w pięknej odbitce szkice swe p. t. „Młoda Polska w powieści, liryce i dramacie,” gdzie po wstępie porównawczym przedstawia najwybitniejsze postaci i dzieła naszych domowych dekadentów, symbolistów, parnasistów, poszukiwaczy nagiej duszy i erotomanów rozmaitego kalibru: z wielką wstrzemięźliwością i oględnością sądu, nie szydząc, ani zohydzając, szukając stron dodatnich,

licząc na wyszołomienie i otrzeźwienie adeptów nowej magii poetyckiej. Jako dopełnienie mogą służyć szkice P. Chmielowskiego p. t. „Najnowsze prądy w poezji naszej,” które się w *Przewodniku* lwowskim drukowały i liryków i epików dotyczą, naszych pessimistów (Kaz. Tetmajera), hołdowników sztuki czystej (Miriam-Przesmycki), symbolistów i wirtuozów słowa (A. Lange), nastrojowców (Żuławski i i.), ale na pierwsze miejsce twórców nowych ideałów, nie rozpaczających ani zwątpiałych, Konopnickę, Kasprowicza, Niemojewskiego, wysuwają; charakterystyki zwięzłe i trafne mogą służyć znakomicie w rozgatkowaniu, rozeznaniu się w tych coraz nowych postaciach wysuwających się z mgieł poetyckich, jakie się nad niwami naszej literatury już od dziesiątka lat zgęszczają.

Pozostają wzmianki o pracach nad autorami i dziełami. Zapal wywołany rokiem Mickiewiczowskim jeszcze nie ostygł; pojawiają się coraz nowe prace i szkice, np. dra St. Wyszyńskiego „A. Mickiewicz, jego historyzoficzne i społeczne poglądy,” z *Roczników Poznańskich* t. XXVII, bardzo cenny przyczynek, wiążący myśli poety z literaturą francuską (Lamennais) i z dziełem A. Czartoryskiego *Essai sur la diplomatie*), omawiający bezstronnie kwestye rewolucjonizmu i socjalizmu poety, kładący nacisk na wymagania jego udoskonalenia wewnętrznego, odstrychujące go więc zupełnie od socjalistów francuskich. Najcenniejszym układem całej tej literatury pozostaje wydanie Dzieł Adama, Towarzystwa literackiego jego imienia, którego tom drugi w r. 1900 wyszedł. Wspominamy o nim umyślnie na tem dopiero miejscu, nie między innemi wydaniem, dla nakładu pracy wydawniczej; wstęp bowiem wydawcy, str. 3—35 i uwagi wydawcy, str. 415—590, zastąpią miejsce specjalnych i ciekawych rozpraw. Dr. W. Bruchnalski nie szczędził sił swoich w żmudnej pracy kolacyonowania drobiazgowego tekstu samego, w śledzeniu za każdą wiadomością o każdym wierszu kiedykolwiek podaną, przedewszystkiem napisał śliczny wstęp, przynoszący zaszczyt jego smaku, znanstwu i pióru, w całej literaturze Mickiewiczowskiej znajdziemy tylko bardzo niewiele podobnie zwięzłych a treściwych i pięknych uwag, odsłaniających twórczość poety i wpływy, jakim ulegał. Treść zaś tego tomu nadzwyczaj skomplikowana, bo obejmuje wszystkie drobniejsze wiersze, sonety krymskie, urywki, wiersze przypisywane Adamowi, a więc temat coraz się zmienia, coraz inne kwestye (czasu, aluzyj, autentyczności itd.) się wyłaniają. I tu jeszcze nie wszystkie zagadki rozwiązano, ot np. *Historia o Bobie i Lali* pozostała zagadką i nadal, mimo



to ustalono bardzo wiele szczegółów, chronologicznych i innych i pod krytykę podłożono fundament niewzruszalny.

J. Słowacki, ulubieniec Młodej Polski, nawracającej świadomie do niego i do jego adeptów, np. do Cypryana Norwida, z którego spuścizny *Chimera* niejedno przedrukowała, nie wyszedł próżno. Nie wymienialibyśmy osobno znakomitej i znanej monografii Antoniego Małeckiego („Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła w stosunku do współczesnej epoki“, 3 tomy), która świeżo w trzecim wydaniu wyszła, z tekstem pierwotnym, niezmienionym, gdyby nie cenne a bogate dopiski, jakimi je dr. Br. Gubrynowicz opatrzył, wyzyskując starannie całą nowszą literaturę; w dodatkach do tomu III zebrał on i ciekawsze wyjątki z listów matki poety, pani Bécu, pisanych do A. E. Odyńca w latach 1826—1829 a ogłoszonych przez L. Meyeta w *Przewodniku naukowym i literackim* w r. 1898; są i listy Słowackiego do p. Joanny Bobrowej; zapisujemy jeszcze świeże wydawnictwo L. Meyeta p. t. „Słowackiego Juliusza listy z autografów poety“. Z innych licznych przyczynków dr. Gubrynowicza wymienimy choć jego opis i przedruk Albumu Piotra Moszyńskiego, które wydawcy II tomu dzieł Mickiewicza pracę bardzo ułatwiło. Lecz wracamy do Słowackiego i notujemy jeszcze dwie charakterystyki czy syntezy poety: Cezary Jellenta, „Juliusz Słowacki dzisiaj“, szkic konturowy, str. 72, r. 1900, z wielu trafnymi uwagami, np. o jego zawisłości i mniemanej naturze bluszczowej, ale też i z niejedną niejasną, mglistą, albo wręcz niesłuszną, niesprawiedliwą oceną, lub też niedokładną, pobieżną, dowolną; wreszcie Wład. Jabłonowski, „Dusza poety“, 1900: obie prace najwymowniejsze świadectwa nowego kultu poety.

W „Księdze Pamiątkowej Uniwersytetu Lwowskiego“ znachodzimy dwa cenne przyczynki: prof. Aleksandra Kolessy rzecz o „ukraińskiej rytmicie ludowej w poezjach Bohdana Zaleskiego“, gdzie niemal po raz pierwszy od prostych zachwyty nad rytmicznością poety wskazano dokładnie jej elementa i wzory, jej różnicę i styczność z rytmiką ludową; praca ta uzupełnia dawniejszą, dotyczącą treści pieśni Zaleskiego, o ile zaczerpnięta z poezyi ludowej ukraińskiej. Drugim jest prof. E. Porębowicza szkic p. t. „Tryady Zygmunta Krasińskiego“, rzecz o powstaniu systemu trójkowego, trójce Zygmunta, łączenie ich nie z Cieszkowskim dopiero, lecz wprost z społeczną filozofią niemiecką, wykazywanie jej w „Synu cieniów“ i w twórcach następnych. Coraz częściej zwracają się studia literackie ku myślicielowi-poeecie, starają się, nawet nie zawsze udatnie, jak w pracach prof.

Wilkosza, o popularyzowanie jego tematów, lub o charakterystykę jego, jak w szkicu p. Mazanowskiego. Najcenniejszem pozostanie studyum p. T. Pini nad genezą „Irydiona“, nad genezą jego psychologiczną i nad domniemanym stosunkiem petersburskiego (zniszczonego) a rzymskiego (wykonanego) „Irydiona“ i ich przewodnimi ideami; dalej nad źródłami jego historycznymi (Gibbonem i Monteskiuszem), wreszcie nad wpływami literatury pięknej, „Wallenroda“, „Kaina“ i „Szatana z Martyrs“ Chateaubrianda i innych.

Pojawił się też pracownik na polu tak dotąd zaniedbanej historyi krytyki literackiej u nas — nie wystarczą nam przecież przygodne fejetony P. Chmielowskiego o Klacze (w *Prawdzie* warszawskiej; por. tegoż o Stanisławie Potockim jako fejetoniście w *Tygodniku Ilustrowanym*). Pracownikiem tym młody dr. Tad. Grabowski, który wystąpił z dwoma bardzo poważnymi i cennymi przyczynkami: „Ludwik Osiński i ówczesna krytyka literacka“; „Michał Grabowski, jego pisma krytyczne i pojęcia polityczne“, (przedtem drukowane w *Przeglądzie Polskim*). Autor nie bawi się w biograficzne szczegóły, nie wyczerpuje nawet przedmiotu w węższych ramkach, ale to co daje, zasługuje na wszelkie uznanie. Znawca literatury francuskiej, jej krytyków i estetyków od Laharpa do Sainte Beuva i Taine'a, wykazuje wpływy ich na krytykę warszawską a w Grabowskim ocenia pokrótce i powieściopisarza t. j. braki jego, i polityka, t. j. zaślepienie społecznych, oburzenie opinii publicznej i zamilknięcie autora. Witamy w p. T. Grabowskim wielce obiecującego pracownika.

Przechodzimy do Sienkiewicza. O dytyrambie, jaki wyśpiewał p. Jozafat Nowiński w cześć jego, możemy przemilczeć, chociaż rzecz czyta się wcale przyjemnie — jakżeż odbija od niego np. ocena „Krzyżaków“ p. Gostomskiego w ostatnim tomie *Ateneum* a nawet gdy p. Konopnicka w *Bibliotece Warszawskiej* ślicznym, natchnionym niemal, językiem z wrażeń się spowiadała, jakie „Krzyżacy“ wywarli, od superlatywów się wystrzegła. Dzieło natomiast p. Chmielowskiego o Sienkiewiczu składa się z dawnych recenzyj i sprawozdań, które autor teraz bez zmian zestawił ponownie. Wymienimy jeszcze podobną książkę St. Tarnowskiego o Sienkiewiczu, gdzie ciekawie śledzimy za stopniową przemianą, za powolnem rozgrzewaniem się krytyka nie ufającego zbyt demokracji młodemu, nawet po „Ogniem i mieczem“ wyczekującego, czy nie opuściło natchnienie naszego epika niezrównanego — brak tylko sprawozdania o „Krzyżakach“. Tarnowski wydał jeszcze w następnym roku książkę p. t. „Józef Szujski jako

poeta“, rzecz drukowaną poprzednio w *Bibliotece Warszawskiej*, gdzie chciał spopularyzować spuściznę poetycką po zmarłym przyjacielu, więc opowiadał szczegółowo treść i wplatał liczne wyjątki; głównie szło mu o ratowanie honoru dramatów jego historycznych, w których tendencja myśliciela-polityka i sumienność historyka-badacza przygniatały stale polot poety, walczącego z słowem i formą, szukającego, próbującego każdej, i angielskiej i francuskiej, i nie znajdującego własnej. Praca Tarnowskiego, którego sympatyie głębokie ku człowiekowi i politykowi bynajmniej nie zaślepiły, nie przesłoniły mu braków poety, zesła się czasowo z inną, krótszą oceną dramatów Szujskiego, drukowaną w *Athenaeum*, pióra p. Konczyńskiego, dołączającego do wawrzynów dramatycznych i powieściowych jeszcze i krytyczne.

Na ostatek zachowujemy dzieło, od którego cały ten ustęp chyba zacząć należało: „Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk 1800—1832. Monografia historyczna, osnuta na źródłach archiwalnych przez Aleksandra Kraushara. Księga I Czasy pruskie 1800—1807“; Księga II, dwie części. Dorobek historyczny — o poetyckim milczymy — szanownego mecenasa odznacza się nadzwyczajną różnolitością, wyławianiem najciekawszych, powiedziałbym sensacyjnych rzeczy; teraz dołączył do niego autor chyba najcenniejszą część. Nie szczędził czasu i trudu, sięgnął do źródeł, z których wiele przedrukował; skreślił wszystko zajmująco, lekko. Wydanie ozdobił licznymi ilustracjami, ciekawymi zawsze, ale nieraz rażącymi w tem otoczeniu: cóż ma epopeja napoleońska z posiedzeniami i referatami uczonego arcybractwa wspólnego? Przesuwają się sylwetki mnóstwa osób, zapomnianych, witynych na nowo; zmieniają się czasy szybko, a z niemi usuwają się lub wzrastają trudności i komplikacje. Towarzystwu należało się od dawna coś więcej, niż szczegóły po pamiętnikach, ogólniki po wykładach literatury rozprószone; obowiązkowi dokonał z zamiłowaniem i poświęceniem szanowny autor.

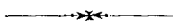
Dobiliśmy do brzegu; opuściliśmy niejedno, nawet i cenne, co po dziennikach, miesięcznikach i pismach zbiorowych się ukazywało, lub czegośmy nie widzieli czy nie przypomnieli sobie; zamieściliśmy nieraz, co w ramy te właściwie już nie wchodziło.

Nasuwa się czy wypływa jedna uwaga.

Wiemy, że lata 1898, 1899, 1900 były wyjątkowe, że jeden obchód literacki za drugim: rok Mickiewiczowski, dwudziestopięciolecie Sienkiewiczowe, jubileusz krakowski, działały nadzwyczaj pobudzająco

i na pracę umiętną, że spowodowały czy wywołały cały szereg publikacji *ad hoc* — wspomnijmy tylko rzeczy, przygotowane i wypieszczone dla Krakowskiej pamiątki, że te lata więc i ich plon nie normalne, że fala życia literacko-umiętnego nie zawsze z tą siłą popłynie. Ale rok 1901 jednego jubileuszu nie obchodził a mimoto nie osłabła znacznie ta fala; prac przybywa, podnosi się nie tylko ich liczba, lecz i wartość, widać postęp metody, rosną wymagania nawet co do formy, nawet co do szaty zewnętrznej. Z szarego końca, za którym ją długo trzymano, podnosi się praca i nauka nasza, z wzrastającym znaczeniem samej literatury wzrasta i znaczenie pielęgnowania jej dziejów, badania jej rozwoju, wytykania jej dróg a choćby manowców. Jesteśmy na dobrej drodze: rzuciwszy okiem na to, oceniwszy choć pobieżnie wszystko ważniejsze, co w tych ostatnich latach zdziałano, czerpiemy pewność, że to nie postęp chwilowy, przemijający, że możemy z otuchą patrzeć w przyszłość, że nie zawiodą nas zadatki tej przyszłej pracy, że urzeczywistnią się nadzieje, z jakimi jej oczekujemy.

Dr. A. Brückner.



## Z piśmiennictwa zagranicznego.

**Wesen und Bedeutung des modernen Realismus.** Dr. Bernhard Maydorn. Leipzig. Avenarius. 1900. (Str. 115).

Gorączkowe uganieanie za czemś nowem, dotychczas niewidzianem, nerwowe węszenie za błyskotliwymi, olśniewającymi tematami, gwałtowne rzucanie się, niepohamowana samowola, bezgraniczny subiektywizm — oto wspólne piętno dzisiejszej nowożytniej literatury. Żyjemy formalnie w erze literackiego prawa pięści i literackiej rewolucyi. Naturaliści i impresyoniści, symboliści i maeterlinckowscy mistycy walczą zażarcie o dziedzinę piękna, tłoczą się i szamotają na wsze strony, wyprawiając karkołomne harce. Nic już dzisiaj niema pewnego, żadnej modły, — jedynem, absolutnem prawem sztuki to własna jaźń artysty. Potępić w całości ten nowy ruch z jego różnorodnymi kierunkami, dowodziłoby tylko jednostronności sądu i ciasnoty umysłowego horyzontu; w rzeczywistości bowiem nie można geniuszowi wykreślać dróg, tem mniej zaś nie można nakładać mu wędzideł, w kształcie przepisów i suchych formułek. Fakt to nie dopiero przez naszych modernistów

stwierdzony, skonstatować go można już dawno w dziedzinie poezyi. Wystarczy przytoczyć Herdera

Z drugiej jednak strony byłoby również błędem uznawać w poezyi i estetyce bezgraniczny subiektywizm za najwyższą normę i wynosić jako coś nowożytnego i uprawnionego do bytu każdy plód nienormalnie rozwiniętego umysłu lub też rozgorączkowanej wyobraźni. Jeśli zatem nowożytni poeci i ich fanatyczni wielbiciele monopolizują dla siebie prawo narzucania innym wszystkich swych wrażeń i pomysłów jako rzekomych objawień sztuki, jeśli wogóle występują w roli arbitrów *artium à la* Opitz i Gottsched, toć przecie i inni, którzy spokojnie przypatrują się tym młodym, nieposkromionym w swoich twórczych zapędach poetom; najzupełniej są uprawnieni do tego, by nie od razu brać wszystko za prawdziwą monetę, lecz zbadać najpierw przedmiot spokojnie i krytycznie, sprostować szczegóły, przesortować je i dopiero wtedy swój sąd otwarcie wypowiedzieć. Że naturalnie zostanie się zaraz okrzyczanym za zacofańca, wroga postępu i t. d., nie powinno to nikogo zrażać, albowiem już nieraz można się było przekonać, że wszystko co jest nowe nosi na sobie piętno historycznej Nemezys, że każda rzecz nowa staje się niebawem starą i przestarzałą, wychodzi całkowicie z mody i ustępuje miejsca nowym kierunkom.

Zapatrywania te, walczące bez ustanku o swój byt, dowodzą niezbicie, że subiektywizm i samowola nowożytnych poetów nie może być ostatniem kryterjum sztuki, że muszą istnieć pewne trwałe i przedmiotowe zasady zdrowego smaku, których żaden artysta bezkarnie pominąć nie może. I jeśli kiedy, to najbardziej dziś należy na to baczną zwrócić uwagę i błędne ścieżki krytycznie prostować.

Ten właśnie cel ma na oku autor wzwyż zacytowanego dzieła. Z wielkim spokojem usiłuje on przedstawić w krytycznem oświeceniu słabe i szkodliwe strony kierunku realistycznego. Naszem zadaniem będzie dotknąć głównych i wytycznych punktów tej zoilowej pracy, by skłonić czytelnika do bliższego zaznajomienia się z samą publikacją.

W pierwszej części omawia autor istotę realizmu, której znamioną cechą, zdaniem jego, jest *le milieu* tj. otoczenie, atmosfera, w której bohater wzrasta, wszystko wogóle co go otacza i wpływ nań wywiera. Słusznie zauważa krytyk, że silne akcentowanie otoczenia jako decydującego motywu czynów bohatera, może dramat tylko ożywić i że znajdujemy je u Szekspira i u Schillera, — gani jednakże surowo, ale równie słusznie, usiłowania modernistów, ażeby całe dramatyczne

zawikłanie zredukować do tego *milieu*. Piętą Achilleśa tego kierunku jest to, że realizm na owe stosunki jednostronnie przesadny kładzie nacisk i dowolnie je układa, jak to widzimy u Ibsena, albo też wyszukuje mozolnie takie stosunki, które już w naturze rzeczy się znajdują. Tu należą wszystkie produkty literackie, mające za *milieu* czyli za tło uędkę klas niższych lub też zgniłą atmosferę kryminalną (Sudermann, Hauptmann). Świat sam, tak jak go nam maluje realistyczna sztuka, jest coprawda nagim i pozbawionym obsłonek, ale nie jest prawdziwym tzn. nie odpowiada faktom, nie zgadza się z naturą. Realisci, gromadząc dużo owych chorobliwych, wpadających w oczy i anormalnych zjawisk, usiłują wywołać wrażenie, że cały świat jest zgnitym, moralnie zgangrenowanym i zdegenerowanym. Otóż ta ogólna konkluzja jest fałszywą, albowiem obok cieni występują w życiu także liczne jasne strony, z czego wynika, że sztuka realistyczna stoi ze sobą samą w sprzeczności i realną bynajmniej nie jest. Tensam fenomen skonstatować możemy, studyując charaktery osób w dziełach realistów. I one składają się albo z nagromadzonych jednostronnych i chorobliwych rysów psychologicznych i jako takie idealistycznie skreślone typy z rzeczywistością nie mają niemal nic wspólnego; albo też są to karykatury i bohomyzy, równie niemożliwe i niepoetyczne. Treść utworów realistycznych stanowi zazwyczaj temat płaski i bezgranicznie ordynarny. Winę ponosi tu zdaniem autora okoliczność, że każdy artysta sam sobie usiłuje wytyczyć granicę, do jakiej posunąć się może w malowaniu pospolitości, stosując się do programu „najświeższego modernizmu”: „Zupełny rozwój i „wyżycie się” (*Ausleben*) indywidualności w jej własnym zakresie; rozluźnienie i puszczenie samopas wszystkich popędów i namiętności, zostawienie im wszelakiej swobody poza granicami dobra i złego, zdala od wszelkiej ciasnej etyki i tradycyjalnej powagi szkoły“.

Autor porusza tu jeszcze jedną okoliczność, która tłumaczy rozpanoszenie się tej niesłychanej samowoli, tj. jednostajność krytyki, która już nie podziwia i nie potępia, lecz tylko obserwuje i klasyfikuje wszystkie zjawiska. W ten sposób wszystko ma naturalnie swoją rację bytu. Dobrzeby było, gdyby autor właśnie ten punkt omówił był wy-czerpująco, albowiem krytyka literacka ma rzeczywiście dużo na sumieniu i wyjaśnienia wielu cech nowożytniej poezji w niej właśnie szukać należy.

Innem istotnem znamię twórczości modernistycznej są nieuzasadnione wnioski, względnie zakończenia. Autor zastrzega się przeciw

nim jak najostrzej, taka bowiem dysharmonia zamąca całkowicie przejrzystość obrazu. Czytelnik czuje konieczność zastanowienia się nad dalszymi skutkami. Zamiast patrzeć na koniec snującej się nici, widzi on nagle przed sobą nowe zwijadełko i przedmioty zaczynają nabierać w jego oczach jakichś mglistych, zamazanych konturów, zamiast żeby uwypukliły się i zarysowały jasno na tle całej fabuły. Tego rodzaju dysharmonia w zakończeniu wielu realistycznych dramatów dowodzi tylko, że młodzieńcza a raczej dziecinna siła wielu poetów zdolną jest zadzierżgnąć węzeł nie do rozwikłania, niezdolną jednak, by go rozwiązać.

Także i w formie, w stylu, którym się posługuje szkoła realistyczna, zachodzi sprzeczność z fundamentalnymi zasadami realizmu. Dramaturg chce przede wszystkim być „prawdziwym”; ponieważ jednak mowa potoczna lub narzecze bardziej się zbliża do rzeczywistości niż język literacki, przeto wybiera on dyałekt, popada jednak przytem w błąd, że ze świadomą tendencją dobiera sobie dosadnych, drastycznych zwrotów i kąpie się niemal w płaskim żargonie, przez co styl staje się niejako poszarpanym, niedbałym, samowolnym. W tem właśnie leży przesada i niezgodność z prawdą, albowiem ten dziwaczny i płaski żargon spotyka się tylko w mętnych i lombrosowskich sferach, które przecież nie odzwierciedlają w sobie świata normalnego, rzeczywistego.

Autor omawia dalej genezę realizmu i uznaje go za konieczną reakcję przeciw prądom z początku XIX wieku: podzielamy także jego zdanie, że moderniści w swej reakcyi sami stali się skrajnymi rewolucjonistami, stawiając bezgraniczną samowolę za najwyższe i ostateczne kryterium piękna. Innych przyczyn, które przyczyniły się do szybkiego rozwoju tej pseudo-sztuki, dopatruje się znakomity krytyk w dzisiejszym systemie wychowawczym, w przewrotnych zasadach, w miękkości charakteru i niemoralności obecnego pokolenia, zwłaszcza młodzieży, w braku karności, a w końcu w bezmyślności szerokiego ogółu, który wszystko chętnie przyjmuje, wszystko czyta i we wszystkim szuka tylko zaspokojenia swej zmysłowości i nowych drgnień nerwowych.

Także i skutki sztuki realistycznej omawia autor i wykazuje, że są one zgubne dla krytyki fachowej i dla społeczeństwa, którego podstawami tego rodzaju zasady koniecznie wstrząsnąć muszą.

Zadanie autora w tej pracy polegało nie na skreśleniu całkowicie tego obrazu sztuki realistycznej, lecz raczej na podkreśleniu ujemnych

jej stron, o których rzadko się słyszy; to też szkic ten wypadł nieco ponuro i ciemno, nie można jednak zaprzeczyć, że odpowiada rzeczywistości.

*Ks. M. Kohlsdorfer.*

**Erkenntnistheoretische Grundzüge der Naturwissenschaften** und ihre Beziehungen zum Geistesleben der Gegenwart. Allgemein wissenschaftliche Vorträge. *Dr. P. Volkmann.* Leipzig. B. G. Teubner. 1896.

W naukach przyrodniczych dokonał się w ostatnich kilkunastu latach głęboko sięgający przewrót. Podczas gdy jeszcze w połowie XIX wieku przyrodnicy kierowali się w badaniach zupełnie naiwnym dogmatyzmem, gubili się w szczegółach, jakikolwiek pierwszy lepszy wynik badań brali za rodzaj bezwzględnej prawdy, jeżeli tylko dały się przytoczyć na jej poparcie jakieś poczynione przez uczonych spostrzeżenia lub doświadczenia, to obecnie rzeczy przedstawiają się zupełnie inaczej. Nauki przyrodnicze zaczynają zastanawiać się same nad sobą, zaczynają być krytycznymi i skupiać się w sobie. Zwrot ten zaznaczył się już wyraźnie w pracach Zöllnera, Maxwella, później Hertza, Kirchoffa, Thomsona, w ostatnich czasach w działalności naukowej Macha, Ostwalda i wielu innych. Coraz więcej zajmuje badaczy historyczny rozwój ich własnych umiejętności, dalej metodologiczne i teoretyczno-poznawcze nauki przyrodniczych podstawy, wreszcie objawia się u nich potrzeba skupienia rozstrzelonych działów nauk w ogólniejsze całości. Graniczne i stykające się ze sobą zakresy różnych umiejętności najczęściej pociągają badaczy ku sobie, dowodzi to najlepiej, że przyrodoznawstwo staje się coraz więcej filozoficznym. Czy słyszał kto przed 50 laty, aby np. chemik ogłosił wykłady o filozofii przyrody?! Na samo wspomnienie takiej nazwy byłby się wstrząsnął jak dyabeł przed święconą wodą. Teraz największy współczesny chemik, Ostwald, występuje z wykładami, których treść stanowi filozofia przyrody; przed paru zaś laty znakomity niemiecki fizyk, Volkmann, zajął się teorią poznania nauk przyrodniczych, wykłady zaś jego o tym przedmiocie, ogłoszone następnie drukiem, powszechne obudziły zajęcie. *Tempora mutantur!* Przyszedł znowu czas na filozofię. Już dzisiaj można sprawdzić, że wiek XX-ty zapowiada się jako wiek filozoficzny; nauki przyrodnicze zaś potężnie do tego rękę przyłożą. Oto co pisze Volkmann w przedmowie do wymienionego w nagłówku dzieła: „Nie można zaprzeczyć, że wniosły nauki przyrodnicze w połowie kończą-



cego się stulecia pewnego rodzaju rozdwojenie w duchowe życie ludzkości, obecnie więc w pierwszej linii ich jest obowiązkiem to rozdwojenie uchylić" (str. VI). a zaraz dalej dodaje: „Niechaj nikt u mnie nie szuka materyalistycznych poglądów, jeszcze nigdy bowiem nie objawiały badania fizyczne tak silnej dążności do wyzwolenia się z pod panowania materyalizmu, jak obecnie. Prawdziwa umiejętność przyrody nie jest ani materyalistyczną, ani idealistyczną, ona nie hołduje wcale jakimś monistycznym systemom, ona jest i powinna być tylko nauką o przyrodzie“.

Całe bardzo pouczające dzieło Volkmana składa się z 9 wykładów na 180 stronicach wraz z dodatkami. Wykład pierwszy poświęcony jest wstępnym uwagom nad obecną rolą nauk przyrodniczych w duchowym życiu społeczeństwa. Już po przeczytaniu pierwszych stronic, czytelnik przychodzi do przekonania, że ma do czynienia z zupełnie nowego rodzaju przyrodnikiem-filozofem. Powiada przecież Volkman bardzo słusznie i sprawiedliwie, że nauki przyrodnicze są tak samo naukami duchowymi, jak i historyczno-filologiczne, gdyż są tak samo dziełem ludzkiego ducha, jak i te ostatnie. Kto wie, czy za jakie tysiąc lat dzisiejsze nauki przyrodnicze nie będą częścią nauk historyczno-filologicznych, podobnie jak do tych ostatnich należą dzisiaj z ich badaniami tacy jak Arystoteles lub Pliniusz (str. 13). Rolę filozofii w pierwszych dziesiątkach lat XIX wieku określa Volkman również bardzo trafnie, nie tylko jej nie potępia, ale nawet podnosi, a dopiero o dzisiejszych naukach przyrodniczych powiada, że stały się potęgą, rozwój duchowy podniecającą, gdyż teraz dopiero weszły w dojrzały wiek. Obecnie mają nauki przyrodnicze za sobą już historię, zaczynają więc oryentować się, skupiać w sobie, a więc i na życie duchowe oddziaływać.

Wykład drugi obejmuje porównawcze uwagi nad różnymi działami nauk przyrodniczych. Pod względem teoretyczno-poznawczym najwyżej stawia Volkman nauki fizyczne. Tu wykazanie związku zjawisk postąpiło już tak daleko, że cała dzisiejsza fizyka opiera się na bardzo niewielu zasadach, które za wzór wszystkim innym badaniom służyć mogą. Z chemią rzeczy stoją już inaczej. Tu są pod względem teoretyczno-poznawczym jeszcze wielkie braki. Faktem jest, że chemiczne połączenie wykazuje zupełnie inne przymioty jak jego składniki. Tutaj więc brakuje jeszcze jakiegoś pośredniego ogniwa w poznaniu. Nauka wprawdzie przy tem się nie zatrzymuje, ona idzie dalej, ale jednak brak w rozpoznaniu istnieje. Najwyższe zadowolenie w bada-

niach przyrodniczych osiąga się tylko wówczas, jeżeli można postępować w nieprzerwanym łańcuchu od poglądu do poglądu, jedną formę istnienia wyjaśniać z drugiej, tego w chemii jeszcze niema, mostów i przejść nad przepaściami tu brakuje. Pod tym względem zaś najniżej stoi jeszcze biologia. Volkmann otwarcie przyznaje, że teoria Darwina mostów przez przepaści nie rzuciła, w niej tkwi jeszcze bardzo wiele czysto podmiotowego pierwiastku. Określiwszy w taki sposób wzajemny stopień pewności w różnych działach nauk przyrodniczych, przystępuje Volkmann w trzecim i czwartym wykładzie do rozważania roli, jaką odgrywają indukcyja i dedukcyja. Tu historia nauk jest w tak znakomity sposób wyzyskana, że cały ten rozdział możnaby przytoczyć za wzór, jak obecnie metodologiczne zagadnienia obrabiać należy. Z jednym tylko zapatrywaniem autora możebym się nie zgodził, tj. aby dedukcyja leżała dla umysłu ludzkiego bliżej aniżeli indukcyja. Starożytni filozofowie mieli, zdaniem Volkmana, spekulować całkiem dedukcyjnie. Otóż to uważam za błędny pogląd. Przecież filozofowie tacy jak Tales lub Heraklit, Empedokles lub Demokryt dochodzili do swoich pierwiastków wszechrzeczy także drogą indukcyi, prawda, że bardzo niedołążnych, ale zawsze były to ogólne wnioski ze szczegółowych wyprowadzane spostrzeżeń<sup>1</sup>. Pojęcie fizyki, jako nauki przede wszystkim indukcyjnej jest tu znakomicie wykazane. Volkmann idzie nawet dalej i uznaje indukcyjną podstawę matematyki, na str. 56 pisze: „W matematyce główna trudność polega na wyszukaniu przez indukcyę podstaw w materyale bardzo nam znanym i przystępnym, tymczasem fizyka nie ma z tak łatwym do czynienia materyałem. Matematyka ma za podstawę konieczności myśli, fizyka konieczności natury“.

Dalsze wykłady tj. piąty i szósty, poświęcone są niezmiernie ważnym czynnościom badawczym tj. izolacyi i superpozycyi. Izolacyą nazywa Volkmann wyodrębnienie jakiegoś zjawiska ze związku z innemi, aby je tem dokładniej rozpoznać; chodzi tu o pomyślenie zjawisk złożonych jako rozłożonych a na odwrót znowu działań prostych jako złożonych. W wykładzie siódmym rozważane jest pojęcie wielkości i małości, które uznaje Volkmann i przedstawia jako pojęcia zupełnie względne. Wreszcie w wykładach ósmym i dziewiątym jest mowa o stosunku nauk przyrodniczych do duchowego życia w teraźniejszości.

<sup>1</sup> Przedewszystkiem Arystoteles indukcyę uważał za czynnik pierwszorzędny w postępie nauk. Por. *Przegl. Powsz.* t. XLIV, str. 161.

Jest to niewątpliwie rozdział najświetniejszy z całego dzieła. Najważniejszym jest tutaj ustęp, w którym zwraca się autor przeciw zbyt pochopnemu ujednostajnianiu wyników badań przyrodniczych, tudzież przeciw budowaniu monistycznych poglądów, które mają nibyto odpowiadać i wynikać z dzisiejszej wiedzy przyrodniczej. Volkmann słusznie przestrzega przed sprowadzaniem całej wiedzy przyrodniczej do jednego dogmatycznego stanowiska, z tego wynika ciasnota tak zwanego ogólnego wykształcenia. „Trzeba się nauczyć — powiada — także w celach ogólnego wykształcenia rozważać każdą rzecz z różnych punktów widzenia. Żadne stanowisko niema absolutnej wartości, każde jest ważnem tylko dla pewnego celu“; tak mówi dzisiaj krytycznie myślący przyrodnik, taki zaś sposób patrzenia na wiedzę przyrodniczą, dowodzi oczywiście znacznego postępu ku dojrzałości.

Dodatki do wykładów obejmują kilka bardzo ważnych i zajmujących ustępów. Polecamy każdemu do przeczytania krótki wywód o atomistyce (str. 152—154), dalej o przyczynowości (155—159). Atom jako dogmat materjalizmu dla Volkmana już nie istnieje. Atomistyka zaś posiada dla niego tylko bardzo względną i ograniczoną wartość; pomaga nam do wyszukania nowych faktów? to dobrze; nie? to można ją zupełnie spokojnie odrzucić. Thomson powiada, że hipoteza atomów nie może ani jednego przymiotu ciała objaśnić, którego byśmy już pierwiej atomom nie przypisali. Tak samo i pojęcie przyczynowości dzisiaj w naukach przyrodniczych zupełnie się przekształca. Fizyka Galilejego-Newtona mówiła o siłach jako przyczynach, stawiała przyczynę równą sile, widziała w siłach coś, jakby ponad zjawiskami zawieszonego, dzisiejsza fizyka pojmuje przyczynę inaczej. W koniecznym porządku zjawisk przyrody niema już miejsca dla pojęcia przyczyny w dawniejszem tego słowa znaczeniu, przyczyna może oznaczać teraz tylko jakiś proces wyładowywania się i przechodzenia energii z jednych form w drugie.

To, co nazywamy przyczyną, jest zwykle bardzo złożonym kompleksem przyczyn. A teraz na zakończenie pozwolę sobie przytoczyć jeszcze jedną bardzo doniosłą i znaczącą uwagę: „Współdziałanie między zmysłowym wrażeniem a myśleniem umożliwia w naukach przyrodniczych tworzenie pojęć. Przyroda przemawia do nas mową tak potężną, iż pojąć ją od razu wydaje się dla myśli na razie niemożliwem, trudność byłaby zaiste nie do usunięcia, gdyby myśl właśnie w naukach przyrodniczych nie znajdowała najdzielniejszego poparcia“. To jest, na czem polega metoda badania. Na pytanie zaś azali my w na-

ture wkładamy nasze pojęcia, czy też natura nam dyktuje pojęcia, możemy odpowiedzieć, że prawda tkwi w połączeniu obu stanowisk. Kończąc nasze uwagi nad dziełem Volkmanna, polecamy je gorąco każdemu myślącemu przyrodnikowi, każdy kto tylko je przeczyta, nabierze przekonania, że w naukach przyrodniczych w ostatnich latach minionego stulecia bardzo wiele się zmieniło i to w kierunku rojącym na przyszłość najlepsze nadzieje.

*Prof. M. Straszewski.*

**Věstnik slovanské filologie a starožitnosti** s podporou carské Akademie věd v Petrohradě, Akademie české pro vědy a umění, c. k. Ministerstva kultu a vyučované ve Vidni vydávají L. Niederle, F. Pastruch, J. Palivka, J. Zubatý. Ročník I. Praha 1901. Nakladem vlastním. (8-ka wielka, kt 2, str. 262).

Wydawnictwo to powstało na miejscu „Věstnika slovanských starožitností“, zupełnie na jego wzór. Że publikacya, któraby pomieszczała wykaz bibliograficzny prac, odnoszących się do filologii słowiańskiej, była potrzebna, nie można zaprzeczyć. Bo tylko w ten sposób można oszczędzić zajmującym się tą nauką mozolnego przeglądania czasopism (a jest ich tyle), można było zapobiedz kłopotom, bo ilużto pism, potrzebnych do utrzymania ewidencji, co tu lub owdzie zostało ogłoszone, nie można dostać we Lwowie, Krakowie, Pradze, Sofii czy Zagrzebin? Tak więc, dzięki zapobiegliwości czterech profesorów uniwersytetu czeskiego w Pradze, zaczęło wychodzić pismo, którego zadaniem jest wypełnić wspomnianą lukę, oszczędzić uczonym szperania i kłopotu.

Naturalną i łatwo zrozumiałą jest rzeczą, że jeśli cała słowiańska filologia i archeologia miała być pomieszczona w jednym piśmie, to trzeba było liczyć się z miejscem, jakim komitet wydawniczy rozporządzał, gdyż w innym razie publikacya mogłaby się rozrósć niepominiernie szeroko. Że zaś to wydawnictwo przeznaczone jest dla specjalistów, przeto dobrze się stało, że redakcyja unikała bacznie obszernych recenzji o dziełach i rozprawach, a starała się za to podać o ile możności, dokładny wykaz bibliograficzny tego wszystkiego, co się ukazało w r. 1900 z dziedziny wymienionych nauk. Przy każdej takiej pozycji bibliograficznej umieszczono także przekład tytułu dzieła czy też rozprawy na język niemiecki, a nadto uwidoczniiono pisma, gdzie ukazały się recenzye. Zaopatrzono wreszcie te wzmianki bibliograficzne w krótkie, nie przekraczające kilkunastu wierszy druku, stre-

szczenia rozpraw lub oceny. Tylko w ten sposób można było pomieścić zwięźle obok siebie wszystkie narody słowiańskie i publikacye, odnoszące się do ich filologii i starożytności.

Myślałby kto może, iż w wydawnictwie bibliograficznem, obejmującym wszystkie narody słowiańskie, wzięło udział kilkadziesiąt osób. Nieprawdopodobne to, a przecie prawdziwe, że tych kilkanaście tysięcy numerów bibliograficznych zestawilo tylko 11 ludzi. I tak prof. J. Zubaty zreferował językoznawstwo porównawcze, język i literaturę litewsko-łotyską, prof. Fr. Pastruch językoznawstwo ogólnosłowiańskie, wydawnictwo zabytków językowych i pomniki starosłowiańskiego języka, prof. Jerzy Poliwka literatury słowiańskie do XVIII stulecia włącznie, jakoteż etnografię wszystkich Słowian, prof. L. Niederle przygotował dział starożytności słowiańskich. Ponadto wzięli w tem wydawnictwie udział: prof. uniwersytetu zagrzebskiego N. Andricz i bibliotekarz towarzystwa „Matica srpska“ p. Jovan Radonić, zajmwszy się częścią bibliografii literatury i folklorystyki serbsko-chorwackiej, toż samo dla rzeczy rosyjskich wykonał p. N. Szaffer w Petersburgu, prof. uniw. praskiego dr. Jan Machal referował czeską literaturę, dr. Karol Kadlec i p. K. Buchtela zajęli się częścią starożytności, nakoniec w referacie polskiej historii literatury, etnografii wziął udział podpisany.

Że są w wydawnictwie tem, jak w każdej wogóle bibliografii, sporządzanej przez kilku ludzi, nie będących w jednym miejscu, braki, to łatwo jest zrozumiałe. Wszak nie trudno, iżby w danym czasie nie można było otrzymać tego czy innego czasopisma, i już jest luka. Wszystko jednak najważniejsze i mniej ważne nawet zostało uwzględnione. Zresztą każdy początek jest trudny, dalej już mniejsze będą trudności, a łatwiejsza kontrola. Na jedno tylko pragnęlibyśmy zwrócić uwagę. Oto, ażeby bibliografia w dziale filologii i etnografii była sporządzana w porządku alfabetycznym nazwisk autorów, bo w takim, jak jest teraz, często trudno się znaleźć. Nie wątpimy ani chwilę, że uczeni, którym wydawcy niniejszą publikacją wyświadczyli wielką usługę, przyjdą nowemu wydawnictwu z pomocą, nie tylko materyalną, ale też moralną, przez wypełnienie zauważonych braków. Winni tylko wydawcy baczyć, ażeby w przyszłych tomach była lepsza korekta.

*Stanisław Zdziarski.*

---

## Z pism czasowych.

### Dom in svet. Rocznik XIV, 1901.

Założone w r. 1888 czasopismo *Dom in svet* (Ojczyzna i świat) przez nieodżałowanej pamięci ks. Franciszka Lampeta, wzrastało z wolna z latami treścią, jakością i formą. Zasługi tego męża, jednego z najwykształceńszych Słoweńców dzisiejszej doby, ocenił u nas ks. Badeni w pośmiertnem wspomnieniu, poświęconem pamięci jego w *Przeglądzie powszechnym* z r. 1892. Obecnie wydawnictwo rozwija się dalej i coraz pomyślniej. *Dom in svet* jest najobficiej obrazkowanym miesięcznikiem literackim słoweńskim, zwłaszcza odkąd ma 2 redaktorów. Dział krytyki, sztuki i ilustracyjny prowadzi dr. Eug. Lampe, imiennik założyciela czasopisma, stroną literacką zaś kieruje ks. Michał Opeka.

Ks. Michał Opeka urodził się w r. 1871. Pierwszymi jego płodami literackimi były wierszyki, które ogłaszał w *Lublańskim Dzwonie*. Z liryki przeniósł się w sferę epiczną i napisał 2 utwory epickie, z których jeden p. t. „Wanda“ ma treść z dziejów polskich. Swe wyższe wykształcenie kończył w Rzymie, gdzie wiedzy teologicznej się poświęcał z wielką gorliwością. Wróciwszy do Lublany, został kierownikiem *Dom in sveta*. Choć w roczniku ostatnim prac jego nie widzimy, jednak w poprzednich były one liczne; była tam poezya, była i proza naukowa. Ścisły węzeł przyjaźni połączył go z uczonymi mężami, również poetami, A. Medwedem i Al. Uszenicznikiem. Są to rówieśnicy prawie ks. Opeki, o lat 2 ledwie starsi od niego.

Antoni Medwed działalność swą literacką rozpoczął również w *Lublańskim Dzwonie*. Zaprzyjaźniony już z śr. Lampetem, ogłaszał swe ballady i legendy w jego czasopiśmie. W roczniku też najświeższym *Dom in sveta* imię jego najczęstsze wśród poetów, a poezye jego też w liczbie są najpokaźniejszej. Dwa są tutaj dłuższe jego utwory: *Gazelice* i *Bršljan in bodiče*. *Gazelice* jest 28. Są to drobne wierszyki, dłuższe i krótsze na temat wspomnień, miłości, przyrody, Boga, wiary. Kilka myśli znanych co prawda, ale ładnie wyrażonych, jak: *Ljudi je veliho na sveti, a pravi človek je malokateri* albo *Vsi smo revni črvi* (wszyscyśmy nędzne robaki). Jest Medwed katolikiem wierzącym, w nieszczęściu prosi: *ne moja Oče le Tvoja volja se mi zgodi*. Wśród wspomnień piękny jest wiersz na pamiątkę zmarłym przyjaciółom. Najładniejsza *Gazelica* 26-ta, z której 4 wiersze wyjmujemy:

Dobler se kri nam v žilah pretaka, (przepływa)  
 legajo megle na čelo  
 žalosti rosa oči nam omaka... (zwilża)  
 A ne omaga nam duša. (nie traci siły)

*Bršljan in bodičje* (bluszcz i kolce, osty) jestto również zbiorok 29 pieśni zwrotkowanych i ciągłych pod ogólnym napisem. Tych ostów kolących mniej o wiele, niż bluszczowych wierszy. Między drugimi poświęcony jest 1 pamięci Lampeta, inny (5) na cześć Preszerna, „słoweńskiego Petrarki“, którego setną rocznicę urodzin roku 1900 obchodzili w Lublanie uroczystie. Śpiewa nasz poeta, że wielkim był Preszern pieśniarzem i rodakiem, lecz nie dostał od ojczyzny, zwraca się do niego i mówi:

ko bil bi ti Poljak,  
 morda (może) dobil bi tudi Oblęgorek..

Lutnię swą lubi nastrajać Medwed tęskno, żałośnie, liryka jego czepia się zazwyczaj tematów, dziwna rzecz, że jeszcze nie spowszedniałych u tych pieśniarzy południa, bo wiecznie wiosnę, jesień opiewać lubią, albo znów melancholiczne rozmyślania nad śmiercią rozaczają.

*Cvetlo Slavin* (pseud. Uszenicznika) ogłosił tu miłe i ładne *Plainske pesmi*. Oto z nich jedna zwrotka:

|                          |                              |
|--------------------------|------------------------------|
| Jutro speje čer poljano  | (Ranek spieszy przez polanę  |
| kakor angele zlatokril   | jako anioł złotoskrzydły     |
| in poljube smehlajoče    | i całunki uśmiechnięte       |
| rožam v lica diha mil... | na róż licach miłej składa). |

Silvin *Sardenko* i Leo *Levič* to, zdaje się, najmłodsi pieśniarze *Dom in sveta*. Piękny jest wierszyk *Leviča V tajni noči*. Noc cicha panuje, skrzydłami anioł trzepocząc rozsypuje spokój po dolinie, niekiedy się gwiazda od stropu oderwie i „w toni świata bezkresnej przepadnie, jak znika młodych jagód życia kwiat.“ *Levič* jest poetą kwiatów, zwłaszcza lilij.

Jak w poezję, niemniej bogaty jest *Dom in svet* w utwory literackie prozaiczne. Zbytęcną byłoby rzeczą wyliczać wszystkie czy powieści, czy inne artykuły i treść ich podawać. Godne przekładu z tych, które przeczytałem, uważam *Na vojvodskem prestolu* i chyba *Od hiše do hiše* (od domu do domu). Wśród życiorysów bardzo dokładnych i podobiznami obrazkowanych znajdujemy opis życia i działalność naszych Sienkiewicza i Szczepanika, z innych *Smieziklasa*, obe-

onego prezesa chorwackiej *Maticy* i akademii południowo-słowiańskiej, oraz literackie wspomnienie Marulica, ojca piśmiennictwa chorwackiego. Cenne są charakterystyki literackie Szewczenki i Czechowa. Dłuższe i sympatyczne pośmiertne wspomnienia poświęcono polskim imionom, Godlewskiej i Sewerowi Maciejowskiemu p. t. *Dwa poljska grobova*. I moderniści nasi znowu są tutaj i o nich jest dłuższa wzmianka. Między ilustracyami widnieje i pałac sztuk pięknych krakowski. Dla dokładności zaznaczyć musimy, że *Dom in svet* przynosi bogate wiadomości z ruchu literackiego w najobszerniejszych ramach oczywiście z granic słoweńskich, następnie z piśmiennictwa chorwackiego, co rzeczą słuszną i naturalną. Dziwna jednak rzecz, że tensam sprawozdawca (ita) z literatur polskiej i rosyjskiej wspomniał zaledwie raz o tem, co się u nas pisze i to o „encyklopedyi kościelnej“ warszawskiej, która tu winna być szeroko omówiona i 4-ch zaledwie innych dziełach. Natomiast rosyjską literaturę szerzej tu uwzględniono. Gdyby przynajmniej z czeskiej tu były liczniejsze sprawozdania, mniejbyśmy się dziwili.

W nadziei, że piśmiennictwo Słowian bliższych, sąsiednich znajdują kącik obszerniejszy w *Dom in sveta* zeszytach, życzymy sympatycznemu zresztą wydawnictwu rozwoju dalszego w tej mierze jak dotąd, a nawet świetniejszego.

*Jan Fr. Magiera.*

---



# SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

## Kościół w Irlandyi.

ODRODZENIE  
NARODOWE POD  
PRZEWODEM DU-  
CHOWIEŃSTWA  
W IRLANDYI.

Wobec nowych zamachów na nasze prawa narodowe może podniesie nas na duchu widok narodu, który również w długowiekowym ucisku cierpiał a dzisiaj pod opieką Kościoła wstępuje na drogę odrodzenia. Od ostatniego rzutu oka w *Przeglądzie Powszechnym* na ruch katolicki w Irlandyi niejeden w tym kraju objaw dodatni zdoła nas pocieszyć i wskazać dla nas drogę właściwą.

Nacyonalizm irlandzki, który dawniej odmawiał Kościołowi i duchowieństwu praw do udziału w pracy narodowej, dotychczas pokutuje, ale już nie pociąga za sobą tłumnie zwolenników. Biskup z Elphin, po powrocie z Rzymu, mógł otwarcie wyznać swoim dyccezyanom, że w pochlebnych wyrazach zdał sprawę przed Ojcem świętym z ich wiary, z ich posłuszeństwa względem Kościoła, z ich żywotnych sił, których nie szczędzą pod przewodnictwem duchowieństwa, aby dojść do politycznego odrodzenia. Na czem polega to polityczne odrodzenie pod chorągwią chrześcijańską, a bez hasła nienawiści ku Anglii? Na to pytanie odpowiedział na zjeździe Irlandczyków w Caslepollard p. Dillon, i wyjaśnił, że idzie im o wykupno ziemi ojczystej od lordów, aby miliony zamorskich wychodźców mogły

wrócić do domu i nie mrzeć tu głodem, jak marli przed kilkudziesięciu latami. W tej myśli poważni Irlandczycy z duchowieństwem na czele popierają ruch ekonomiczny i dbają o rozwój szkół rolniczych, technicznych i przemysłowych, w czem przewodniczy biskup z Ardagh. Oddani tej pracy Irlandczycy zerwali oczywiście ze spiskowcami, bojkotem i podobnymi środkami, i działają otwarcie w Związku, potwierdzonym przez rząd pod nazwą *United Irish League* z organem *The Irish People*. Członkowie Związku pracują głównie na polu samoobrony gospodarczej przed przewagą angielskiego złota, popierają cichą pracę domową, w ognisku chrześcijańskim, i oczywiście dbają znowu o rozwój języka narodowego. Językiem tym, który znikał coraz powszechniej, mówiło już tylko około 40000 Irlandczyków: dzięki pracy narodowej odżył ten język i dziś już mówi nim blisko 700000 ludzi, jak twierdzi *Times*. Rząd pozwolił zaprowadzić naukę tego języka do szkół irlandzkich. W dziedzinie przemysłu wiele już dokazał w Irlandyi ten cichy zwrot do pracy: wystawa irlandzkich wyrobów, otwarta przeszłej wiosny, zwróciła na siebie uwagę angielskich znawców i przekonała ich, że Irlandczycy nie ustępują nikomu na polu przemysłu.

W dzień św-go Petryka roku obecnie ubiegłego Irlandczycy urządzili zjazd powszechny Ligi narodowej i wszystkich związków pokrewnych, a po odbytych przeglądach dotychczasowego dorobku postanowili co roku w dzień patrona kraju urządzać podobny wiec i przegląd pracy narodowej.

Irlandczycy również, jak inne narody katolickie na Zachodzie, przyjmują uległe słowa zachęty papieskiej do pracy zjednoczonymi siłami. Związki katolickie dochodzą w tym kraju do potęgi tak liczbą, jak rozkwitem. Zwłaszcza Towarzystwo Dobroczynne świętego Wincentego zwraca na siebie oczy biskupów, którzy zebrani na soborczyku narodowym w Maynooth nazwali „wspaniałym“ rozwój tego Towarzystwa i jego prac. Dziwić nas może wzmianka o rozwoju pracy dobroczynnej pomiędzy biednymi Irlandczykami. Tę zagadkę wyjaśnia arcybiskup Dubliński, który opisuje w je-

IRLANDZKIE ZA-  
KŁADY I ZWIĄZKI  
DOBROCZYNNE.

dnej ze swoich mów drogę, po której Irlandczycy dochodzą do pieniędzy dla ubogich; mianowicie członkowie wydziału dobroczynnego stale biorą na siebie obowiązek dostarczania rozrywek, urządzania bazarów albo koncertów i nawet widowisk teatralnych dla publiczności bądź anglikańskiej, bądź katolickiej po miastach, i tą drogą zbierają zasiłki dla tysięcy nędzarzy. Prócz Towarzystwa św-go Wincentego Irlandczycy zakładają własne swoje Związki Dobroczynne, jak w Dublinie Związek Pań Miłosierdzia, w Carriek-on-Suir Towarzystwo opieki nad dziećmi, w Ossory Towarzystwo Prawdy Katolickiej, które rozszerza książki dobre, a nadewszystko Irlandczycy przyświecają dobrym przykładem przez opiekę nad dziećmi zepsutymi. Anglia dla tych dzieci urządziła domy poprawy, ale pobyt w tych zakładach pociągał za sobą owe złe skutki dla dzieci, jakie grożą dorosłym po więzieniach i domach karnych. Więc katolicy irlandcy powzięli myśl nową: nie żałowali wdowiego grosza, aby pobudować przy domach poprawy zakłady przemysłowe, gdzie znajduje chrześcijańskich wychowawców i naukę każde dziecko, którego rodzice albo opiekuni obawiają się złych wpływów domu poprawy.

ZABIEGI  
O WSZECHNICĘ  
KATOLICKĄ DLA  
IRLANDCZYKÓW. Nadzieje wszechnicy osobnej dla katolików nie zgasły wcale dotąd, ale jeszcze dotychczasowe zabiegi nie o wielki krok naprzód sprawę posunęły. Gorąco przemawiali za wszechnicą uczestnicy zjazdu w Oxfordzie, ale usłyszeli zarzuty ze strony anglikańskiej, które dowodziły, że rządowy kościół chyba z obawy przed wzrostem ducha katolickiego wynajduje błahe przeszkody. Np. p. Dunbar zarzucał, że Kościół powszechny zasadniczo nie popiera emancypowanych panien, które słuchają wykładów na wszechnicy, a postęp i duch czasu wymaga, żeby wszechnice stały otworem także dla panien, więc katolicki uniwersytet zasadniczo występuje przeciw postępowi wiedzy: zatem nie można dać Irlandczykom katolickiej wszechnicy. Inny znowu, p. Livingstone, wytaczał dowody, podnoszone bliżej nas w podobnej sprawie: Irlandcy katolicy mają za mało uczonych ludzi, aby obsadzić katedry, więc lepiej im nie

mieć wszechnicy, niż mieć źle obsadzoną. Na to katolicy odpowiedzieli, że lepiej Irlandczyków zadowolnić tem, co możebne, niż odmawiać wszystkiego, skoro państwo angielskie utrzymuje wszechnice dla młodzieży arabskiej w Chartumie, dla Hindusów w Indyi, dla katolików w Kanadzie i t. d. Odpowiedzi katolickie znalazły posłuch w senacie uniwersyteckim irlandzkim i potwierdzone jego uchwały doszły do parlamentu, aby przypomnieć rządowi długoletnią prośbę Irlandyi. Przedstawiciel rządu z niezwykle uprzejmym uśmiechem załatwił sprawę i oświadczył, że rząd jeszcze nie dostał urzędowej uchwały senatu, a byłoby to brakiem kurtuazyi względem władz uniwersyteckich, gdyby rząd nie czekał ich urzędowego pisma: więc nie może przystać na katolicką wszechnicę.

**POSŁUSZEŃSTWO**      Zwrot Irlandczyków na pole prawowitych zabiegów  
**WZGLĘDEM WŁA-**      o rozwój narodowy wykrył słabą stronę anglikanizmu,  
**DZYS PRZEŚLA-**      na którą mało który pisarz zwraca uwagę, kiedy opi-  
**DOWCZEJ I JEGO**      suje Anglię i Anglików. Słyną wyspiarze albiońscy  
**SKUTEK.**      z dumy, w której widzą u siebie szczyt oglądy i wytwornego smaku, a lądowcom w Europie przypisują ledwo jaki taki zmysł naśladownictwa angielskiej cywilizacji. Otóż najnowsze dzieje w Transwaalu pozwoliły nam otworzyć oczy na tę kulturę angielską, która uczy ich z dzikiem sercem toczyć wojnę okrutną, aby znieść ze szczytem naród chrześcijański. Widok ten przecie przypomina nam, że wraz z zewnętrzną oglądą anglikański kościół pielęgnuje w piersi wyznawców serca drapieżne: męki katolików przecierpiane za Elżbiety, krwawy ucisk Irlandyi w wiekach ubiegłych, sam nawet niecny sposób, w jakim Anglia nasycała swoją zemstę nad Napoleonem I-ym, opisany świeżo piórem lorda Rosebereggo: te objawy okrucieństw stanowią smutne pasmo czynów niechrześcijańskich, na które obecnie pokazują Irlandczycy i dodają, że do dziś dnia czują nad sobą tę zjadłą pięść anglikańską, która dławi na Zielonej wyspie nieprzejednanego wroga w katolickim kościele. Daremnie ten Kościół poskromił wybryki Parnellitów; daremnie policya musi przyznać, że *United Irish Union* rzuca pomost do zgody państwowej między Irlandyą

a Londynem. Zaciekle anglikanizm postępuje tak, jak inne społeczeństwa wrogie Kościołowi. W parlamencie angielskim poseł Wilhelm O'Brien wręcz oskarżył władzę, że jej przedstawiciele naumyślnie szukają powodów do rozterki i zatargów z Irlandczykami, aby doznawać rozkoszy w ich ucisku i okrutnym odwecie: urzędnicy korony spiskują, aby stworzyć zbrodnie, gdzie ich niema. Nakazał papież Irlandczykom szukać dróg prawnych do rozwoju narodowego, i znalazł u nich Bogu dzięki posłuch, ale nie zmniejszył pomimo tego w stopniu znacznym liczby kar pieniężnych i wyroków sądowych na więź, sypanych dawnym trybem przez anglikańską nienawiść ku wyznawcom wiary powszechnej. Inny tylko miały skutek wskazówki papieża: okazały wobec całego świata, że naród katolicki umie do dziś dnia zachowywać wzniosłym sposobem nadludzką naukę swojego Mistrza o nastawianiu drugiego policzka, kiedy prześladowca w jeden uderzył. Parnellici podżęgali do zemsty: Irlandczycy poszli za wskazówką papieża na drogę prawną i także na niej znaleźli prześladowców, ale o zemście już nie rozmyślają.

WIECE IRLANDZKIE  
PRZECIW BLU-  
ZNIERCZEJ PRY-  
SIĘDZE KRÓ-  
LEWSKIEJ.

W cichej pracy narodowej zajęli Irlandczycy postawę uległą wobec anglikańskiej przemocy, a to ich stanowisko tem wyraźniej świadczy o potędze ich ducha katolickiego, im mniej pokora odpowiada ich zwyczajom i wrodzonym popędom. Irlandczyk, potomek Celtów, nie należy do szczepu cichego albo ospałego: umie przemówić słowem gorącym i poprzeć to słowo czynem doniosłym; powstrzymany głosem wiary od mściwych zapędów przeciw najeźdźcom, sprężyście działa, kiedy środkami zgodnymi z ustawą może walczyć o prawa swoje, i nieustraszony odpiera zamachy anglikańskie bądź w dziedzinie wyznaniowej, bądź w narodowej. I angielscy katolicy ostro wystąpili przeciw rocie przysięgi królewskiej za jej bluźnierstwa na Najświętszy Sakrament i Matkę Boską; do dziś nie przestają nalegać na rząd, żeby opuścił w rocie słowa bezedne. Ale Irlandczycy z zapalem może jeszcze większym zajęli wobec rządu postawę oburzoną na zniewagę wiary. Ogólne wiece ludowe i częste zjazdy i narady poszcze-

gólnych towarzystw napełniają całą Irlandyę donośnym okrzykiem zgrozy nad niegodziwą przysięgą. Jakie tłumy biorą udział w tych wiecach, można to poznać np. z opisu pochodu, odbytego w Dundalle. Z miejsca zbornego ruszyły głównymi ulicami tego miasta na miejsce obrad tysiące ludu z duchowieństwem świeckiem i zakonnem na czele; następnie szły wszystkie bractwa kościelne z rozwiniętymi chorągwiami, członkowie Związków i Towarzystw świeckich z godłami i sztandarami, chłopcy z katolickich szkół i zakładów, cechy kupieckie i rzemieślnicze, katolicycy członkowie magistratu i przedstawiciele urzędów, na koniec Wydział przygotowawczy wiecu z gronem mowców. Rozwinięty pochód zajął półtora kilometra. Uchwała, powzięta po przemowach i obradach, żąda stanowczo, aby katolicycy posłowie i parowie niezwłocznie ponowili wobec rządu walkę przeciw przysiędze, którą wiec nazwał okropną, bezbożną, aktem apostazji od wiary przodków, bluźnierczą zniewagą Boga, ohydną obrazą Świętych, niecnym policzkiem dla Kościoła Powszechnego i dla całego chrześcijaństwa, które mimo odszczepieństwa na Wschodzie, wielbi Najświętszy Sakrament i czei Matkę Boską. Mowcy dziwnie śmiało chlotali twórców tej rotacji za ich pomysł: wykrywali w nim niedorzeczny fanatyzm i nie szczędzili dla niego szyderstw. Słuchacze potakiwali gromkimi okrzykami, potężnymi wyrazami zachęty dla mowców, burzą oklasków.

Równocześnie te wiece poruszają sprawę dotychczas niezalatwioną z czasów dawnych: mianowicie ustawę, która w Irlandyi nie pozwala duchowieństwu posiadać majątku ziemskiego i nakłada na księży osobny haracz. Irlandzka burza przeciw temu uciskowi Kościoła zastanowiła rząd londyński i dodała otuchy angielskim katolikom w obronie Kościoła. Do głosów katolickich w Anglii przystąpiły uchwały katolików w Indyach i w Kanadzie. Indyjscy Anglicy zażądali, żeby rząd zarówno rotę przysięgi zmienił jako też ustawę osobiłą w Indyach, mocą której Hindus ochrzczony, czy to przez księdza katolickiego czy to przez pastora, traci tem samem majątek i stanowisko społeczne. Kanadyjscy katolicy w parlamencie swoim w Ottawie uchwalili znaczną przewagą głosów wniosek, w któ-

rym żądają natychmiast zmiany w rocie przysięgi. Tak samo postąpili poprzedni biskupi w Kanadzie a następnie w Australii. I w innych sprawach Irlandczycy umieją twardo stać przy swoich prawach w obronie Kościoła. Kiedy np. angielski parlament pozwalał budować krematoria dla palenia zwłok ludzkich, 80-ciu posłów irlandzkich powstało przeciw tej uchwale tak jednozgodnie i dzielnie, że parlament niezwłocznie ścieśnił uchwałę na ziemię angielską, a w Irlandyi katolickiej nie pozwolił na pogrzeb pogański.

ODNOWIONA  
PRACA ZAKONNA  
NA POLU PRZE-  
MYŚLU I OŚWIATY  
NARODOWEJ. Jak w dawnych wiekach Kościół posyłał zakonników do zdziczałych pogan z hasłem modlitwy i pracy, tak teraz Irlandczycy zwrócili oczy na czynne zakony, które mogą rozbudzonemu narodowi pomagać w rozwoju przemysłu i pracy naukowej. Pracownicy Trapiści zostali uwiadomieni, że Irlandczycy rozpoczęli wstępne roboty, aby odbudować starodawny klasztor zwany Mill of St. Joseph, Roscrea, który był kiedyś pierwszorzędnem ogniskiem przemysłu dla okolicy, postanowili odnowić fabrykę według nowoczesnych potrzeb i oddać ją w ręce tych mężów modlitwy i pracy.

Pod względem naukowym Irlandczycy wzywają pomocy Braci Szkół chrześcijańskich i Zakonu Kaznodziejskiego, którego członkowie założyli ognisko oświaty w kolegium św. Tomasza z Akwinu w Newbrigde. Pomyślne skutki ich pracy zjednały im tyle przyjaźni u narodu, że nie mogli już pomieścić w swoim budynku tej liczby młodzieży, jaka zewsząd płynęła do ich szkół. Wdzięczni za pracę Irlandczycy zaoszczędzili w swoim ubóstwie pokaźną sumę, która pozwoliła wznieść przy dawnym kolegium nowy dom obszerny na kilkudziesięciu wychowalców. Dla dziewcząt także szukają Irlandczycy nauki u zakonnic: świeżo oddali wspañiały zakład wychowawczy w Cargsofort Bleckroch Siostrom Miłosierdzia. Aby zjednoczyć siły do tej pracy, Zakony używają dróg nieznanych u nas: np. biskup z Meath zwołał wiec zakonnic, które utrzymują szkoły przemysłowe, więc zebrał wysłanniczki czy przedstawicielki Pa-

nien Prezentek, Loretanek, Siostr Miłosierdzia i czysto irlandzkie zgromadzenia, zwane Siostrami z Mullingor, Moate, Rochfortbridge, Kilbeggon i Tallamore. Siostry odbyły narady bardzo szczegółowe nad swoimi obowiązkami i dzielnie omówiły stosunki szkoły względem państwa.

Do ciężkich następstw wiekowego ucisku Kościoła na-  
UCISK KATOLIKÓW  
W SĄDOWNICTWIE. leży w Irlandyi ustawa, która niezmiernie utrudnia  
 jednym katolikom dostępu do urzędu sędziowskiego, drugim uzyskanie wyroku sprawiedliwego. Mocą szczególnych przepisów, rząd może przy każdej rozprawie sądowej między anglikaninem a katolikiem usunąć całą ławę przysięgłych, złożoną z katolików, aby ich nie narazić — jak powiada — na stronniczy wyrok przeciw anglikaninowi. Stąd pochodzi, że — jak mógł powiedzieć otwarcie w parlamencie poseł Healy — cały wymiar sprawiedliwości zależy ostatecznie od dobrej woli sekciarzy. A tej woli dobrej doznają od nich mało obżalowani i skazani katolicy: wpadają w ręce wrogów swojego narodu i wiary, aby za wiedzą rządu ginąć w moralnych i fizycznych katuszach więzienia.

Do dość odrębnych a miłych objawów życia katoli-  
POWAGA BISKU-  
PÓW W IRLANDYI ckiego w Irlandyi należy cześć i zaufanie Irlandczy-  
 ków do swoich biskupów, które przypomina stosunek dzieci do ojca. Naród po długich walkach i zastoju obudzony do życia, czuje prawdę słów jednego ze swoich dostojników, który po powrocie z łądu stałego opowiadał im, że nigdzie tak nie widział duchowieństwa złączonego z ludem, jak w swoim kraju, i tylu zbawiennych dla rozwoju narodowego skutków z tej zgody. Istotnie Irlandczycy w zgodzie z duchowieństwem rosną w potęgę i spoglądają na swoich biskupów jak na przyrodzonych naczelników narodowych, skoro rządu nie mają. To też biskupi w listach swoich pasterskich najpoufalej przemawiają do wiernych i pouczają o przeróżnych obowiązkach, nawet wcale nie kościelnych, np. jeden uczy, jak mają wypełniać rubryki w tablicach spisu ludności. Inni biskupi przy od-



wiedzinach dyecezyi zaglądają wszędzie i we wszystko, co dotyczy nawet doczesnego dobrobytu ich owieczek, np. zachodzą do świeckich szpitali, zaglądają do kuchni, sprawdzają, czy chorzy mają opiekę w nocy i t. d., a kiedy co nie znajdują w porządku, zaraz na czele gromady Irlandczyków śpieszą do urzędu z wymówkami. I te ich zabiegi dobroczynne zwykle znajdują posłuch u zdziwionych Anglików...

Wogóle tedy Irlandczycy stoją murem przy swoich biskupach, a biada im, jeżeli nie poprą biskupa, który w ich obronie nastawia głowę... w takim razie paru już biskupów bez namysłu pośpieszyło do Rzymu, aby papież uwolnił ich od krnąbrnej owczarni.

Niejeden nazywa Irlandczyków braćmi Polaków z powodu ucisku za wiarę... To podobieństwo może obecnie ustaje: nam grożą nowe niebezpieczeństwa, a Irlandczycy zaczynają oddychać swobodniej, bo poszli wiernie za głosem Leona XIII-go... Czy prędko podobnie jak Irlandczycy odrodzimy się narodowo pod przewodem Kościoła?

POGŁOSKI  
O POWSTANIU  
IRLANDYI  
PRZECIW ANGLII.

W ostatnich dniach przynoszą dzienniki nowinę, że Irlandya zamierza skorzystać z obecnych kłopotów Anglii i podnieść przeciw Edwardowi VII-mu chorągiew rokoszu. Powyższy opis stanu Irlandyi pozwala spoglądać na tę nowinę zupełnie spokojnie. Znaczna przewaga obozu katolickiego nad spiskowcami w Irlandyi zapewnia, że bez wiedzy i błogosławieństwa biskupów naród ten za broń nie chwyci; a biskupi, wezwani do rady w sprawie powstania, nie wydadzą innych wskazówek, niż wydane przez Leona XIII-go w encyklice o wolności. Słowa papieskie wyrażają jasno i dobitnie zasadę, którą znajdujemy u moralistów chrześcijańskich, że mianowicie ucisk ze strony władzy uprawnia poddanych do zamachu stanu i zmiany rządu, jeżeli ma za sobą wszelkie nadzieje pomyślnego wyniku a nie zacieśni nad ludem jeszcze silniejszych więzów niewoli. Można tu przypomnieć wiekopomne słowa Leona XIII-go, które zarówno dotyczą obecnego stanu Irlandyi jak naszej ojczyzny.

## Papież uczy:

W społeczeństwie ludzkim prawo wolności polega na tem, abyś z pomocą praw świeckich mógł łatwiej żyć według przepisów wieczystego prawa. Wolność zaś przełożonych i władz nie na tem polega, aby mogli rozkazywać lekkomyślnie i według swej samowoli — (ale)... ta być powinna, iżby łatwo poznać można, że (prawa ludzkie) wypływają z prawa wiecznego i aby nie takiego powagą swoją nie uświęcały, coby w tem wieczystem prawie, jako w początku wszelkiego prawa, nie było zawarte. Bardzo trafnie w tej mierze wyraża się Augustyn św.: „w doczesnem prawie nie jest sprawiedliwem i prawowitem, coby z onego wiecznego prawa nie wypływało“. Jeśliby przeto jakakolwiek władza coś takiego uchwalić miała, coby się zasadom zdrowego rozumu sprzeciwiało i coby rzeczypospolitej było szkodliwe, wtedyby taki przepis nie miał mocy obowiązującej... gdzie kto nie ma prawa rozkazywania, albo jeśli władze nakazują coś, co się sprzeciwia rozumowi, prawu wieczystemu i rozkazowi Boga — tam słuszną jest rzeczą nie słuchać człowieka, abyśmy Boga słuchać mogli. W ten sposób mając zamkniętą drogę do tyranstwa, władza wszystkiego ogarnąć nie może, a każdy obywatel będzie miał praw swoich poręczenie... wszystkim zapewniona będzie wolność, która na tem polega (jakośmy to wyżej pokazali), aby każdy mógł żyć według praw i według zdrowego rozumu;... religia żąda od obywateli, aby prawowitej władzy, jakoby sługom Bożym byli posłuszni — a nadto tychże obywateli z rządami i kierownikami państwa łączy nie tylko posłuszeństwem, lecz nadto uczuciem pewnego szacunku i miłości, zakazując przytem buntów i wszystkich zamachów, któreby porządek i spokój publiczny zamącić mogły — i które tylko są powodem do tem silniejszego ścieśnienia wolności i swobód obywatelskich.

Gdzie władza państwowa uciska albo grozi w ten sposób, że państwo znajduje się pod wpływem gwałtu i niesprawiedliwej przemocy — albo też pozbawia Kościół wolności, tam wolno jest szukać innego ukształtowania Rzeczypospolitej — w którejby wolno było działać w imię zasad wolności.

Tego też Kościół katolicki nie potępia, jeśli naród jaki nie chce nikomu być poddanym, ani obcemu ludowi, ani też żadnemu panu, — byle tylko przy tem niczych praw nie pogwałcono.

Wobec tych słów Leona XIII-go biskupi irlandzcy niezawodnie wstrzymają swój naród od rozpaczliwej walki, któraby

mogła pogorszyć jeszcze niewolę. Mimo wpływów amerykańskiego stronnictwa ruchu, ledwo tu i owdzie może gorąca młodzież chwyci za broń, ale cały naród pójdzie dalej drogą pracy zgodnej z ustawami, jeżeli biskupi nie uznają chwili za stosowną do walki.

Ks. K. Czaykowski.

### Ze Słowaczyny.

Na widok Hakaty, zbroczonej krwią polskich dzieci, na brzęk kajdan, któremi Prusak chce związać ze sobą serce Wielkopolanina, na ból w szpiku kości trudno pociechy szukać, łatwo upaść na duchu.

Ale tacy nie upadają na duchu, których dzieci pójdą na krwawą przeprawę, a nie powiedzą: *ich bin ein Preusse*. Narodowi, co wydał takie dzieci, nie wolno krzepnąć w smutku, kiedy do niego nawet obcy śpieszą z pociechą, kiedy zaraz szept *Unerhört* doleciał do nas z tej części sali sądowej w Gnieźnie, gdzie słuchali wyroku Niemcy, nawet wojskowi. A słowiańskie szczepy za innymi nie zostają w tyle i współczują z nami żywo, ci zwłaszcza, co sami przechodzą koleje bardzo podobne. I od południowych stoków Karpat dolatuje do nas pobratymcza mowa Słowaków, którzy nam tem silniej dodają otuchy, iż sami pod pletnią także znaczą krwią wytyczne ślady swojej przeprawy z Madiarami, a nie przestają walczyć i już zaczynają zbierać zadatki zwycięstwa.

Wdzięcznie czytamy w numerze 138-m *Narodnich Novin* słowa, że wyrok ów *musí rozburit' každého človeka, ktorý má kus srdca... Lajďáctvo je to! Lotrovstvo!*

Za współudział ich w naszej niedoli wdzięczni, powinniśmy także na koleje narodowej ich walki zwracać uwagę i teraz zdać z nich sprawę w dalszym ciągu od chwili, kiedy ostatni raz donosił o niej *Przepl. Powsz.*<sup>1</sup>

Bieg wypadków na Słowaczynie w ostatnich latach każe przewidywać, że Madiarzy nie sprostają dziełu, podjętemu z wielkim na-

<sup>1</sup> T. LIII 220, 464. Por. także poprzednie tomy: v, 122...; xxxvi, 33... 184..., 336...

kładem sił, aby wynarodowić naszych sąsiadów zatatrzańskich: nie ustają w zachodach, nie gardzą nawet duchowieństwem katolickiem albo protestanckiem, kiedy w niem mogą wyszukać pomocników, nie szczędzą kar za gorętsze występy Słowaków na widowni rozwoju narodowego: mimo to wszystko doznają ze strony Słowaków tyle żywotnego oporu, że słyszą już nawet od Żydów życzliwą radę, aby zwinęli niepopłatne przedsiębiorstwo.

Jak nas, tak i Słowaków krzywdzi nieraz nie sama ustawa państwowa, ale samowola władzy wykonawczej: więc nieraz Słowak z księgą praw w rękę mógłby na urzędnikach dochodzić swojej krzywdy. Ale u nas w Wielkopolsce rozprawy sądowe albo w Kole berlińskiem nasi posłowie dość często podnoszą, że żądamy tylko obywatelskiej swobody, przyznanej nam uroczyscie: przeciwnie Słowacy na urzędowej drodze rzadko kiedy urzędnikom przypominają ich obowiązki, bo mało który z nich zna zakres praw, przyznanych im mocą ustawy. Z tego powodu ucisk ze strony madziarskiej cięży nad Słowakami dotkliwiej, niż pruski nad nami. Raz po raz widzimy to w listach Słowaków, pisywanych do czasopism; znajdujemy np. jeden z mnóstwa podobnych opisów w uchwytym obrazie stosunków, jakie na południe od naszej ziemi sanockiej panują w komitacie szaroskim. Można tu powtórzyć ten list, o ile ścierpi nasz język w dosłownym przekładzie, aby zachować szczerą jego prostotę bez zmiany:

„Czy my wiemy, do czego mamy prawo, a do czego nie? A ci, co wiedzą, ci o nas nie stoją, ba ino stoją o to, żebyśmy nie wiedzieli. Powiem wam przykład, a z tego możecie wszystko porozumieć, i to, co się wam boję donieść. Panowie nauczyciele ew. seniorstwa szarysko-zemplińskiego uchwalili podać prośbę do Zjazdu Senioralnego, który w tym roku ma się odbyć, aby mogli także religii uczyć po madziarsku, a tak wychowywać nasze dzieci w duchu rządowym. Czy widzicie? pytam pięknie: kiedy taka ciemnota w głowach uczonych, co my potem nieuczenni? A między tymi panami nauczycielami są niektórzy Słowacy. Ale ci wam byli cicho, kiedy się to uchwalało, jako kamienne słupy. Niektórych z nich i serce bolało. Ale przecie biedacy krzyczeli: *eljen!* — bo się bali. Tedy w naszych szkołach wszystkiego po madiarsku uczą, już i nabożeństwa chcą nas po madiarsku uczyć. Gdzie mamy tego rozumu i tej mądrości nabrać? Widzisz Boże, nas to boli, kiedy widzimy, jak się te nasze biedne dziatki z tą madiarszczyzną, z temi madiarskimi zadaniami męczą, bez tego, żeby to rozumiały i z tego jaki pożytek miały. No ale czy wiemy, jak by to

inaczej miało być? Tak nam powiedzą nasi przełożeni: „Po madiarsku się będziecie wszystkiego uczyć, i Ojciec nasz, i ewangelii, i katechizmu“. A my na to: „Uniżenie dziękujemy“. Powiemy to z prawdziwą pokorą, wszakże z jakimś niepojętym bólem. Nim przyszła madiarszczyzna, mieliśmy tylko takie szkoły, w których mógł choć kto uczyć. Aleśmy się nauczyli przynajmniej czytać, śpiewać, modlić się i biblijne dzieje pięknie — ślicznie opowiadać. Już teraz i to ustaje. Szkoły mamy pewnie obsadzone mądrymi głowami, no, ale mało z tego pociechy. Oj, szkoła, szkoła! Szkoła, to wielkie dobrodziejstwo boże, ale szkoła dobra, z której pochodzi, że dziatki coś wiedzą, i z której pochodzi, że dziatki najłatwiejszą drogą dochodzą do wiedzy. Nasi panowie nauczyciele wiele, bardzo wiele grzeszą przeciwko nam i przeciwko naszym dziatkom, i ciężko im będzie liczbę zdać przed sprawiedliwością Bożą. Ach Boże, jakbyś tych panów pohanił, gdybyś jakąś zmianę sprawił i nad nami się zmiłował, i oświecił nas światłem z nieba przeciw ciemnocie tego świata!

Żeby nas nasi panowie posłowie na krajowym sejmie mogli i umieli bronić?

To ładne słowa...

Ale jeszcześmy daleko od tego, abyśmy to rozumieli, i jeszcześmy dalej od tego, abyśmy w tym względzie i coś do skutku przywieść umieli.

Najpierw (hańba to, ale wam to przecie prosto i otwarcie powiem): myśmy tu lud małej duchowej ceny i za parę kieliszków gorzałki wszystko zrobimy. Nas tu bardzo łatwo przekupić...

Po wtóre: nie mamy tu żadnego takiego człowieka, żadnego takiego męża, któryby bronić chciał zasad naszego stronnictwa narodowego słowieńskiego... nasi duchowni pasterze i nauczyciele po części oślepli gorzej, niż my prostacy, w części boją się więcej, niż my. Snadź by nam nasz ruch tu albo tam mógł zaszkodzić, snadź byśmy musieli płacić co za pokutę, albo snadźby nas pozamykali. To jest to najgorsze, wiecie, że sami nie wiemy, do czego mamy prawo, a co nam nie wolno robić...”

Do tych skarg Słowaka dodaje Testvériség uwagi Niemca, który właśnie w okręgu szaroskim ubolewał, że lud skutkiem ciemnoty nie umie gospodarować i bieduje, choć uprawia ziemię urodzajną; przytem lud ten okazuje wiele dowcipu wrodzonego i ochoty do nauki. Spotkał tedy Niemiec chłopca, który do szkoły sześć lat chodził, a z podanej książeczki słowackiej przesyłabizował mozolnie kilka wierszy. Po ma-

diarsku oczywiście źle czytał, bo do tego języka nabył wstrętu dzięki szkole: więc nie czyta nic. Pytany z rachunków okazał wiadomości bardzo lichy: powtarzał tylko, co zapamiętał po madiarsku, jak papuga. Takie owoce wydaje madiarska nauka za świadectwem bezstronnego człowieka. O innych podobnych wypadkach raz po raz przychodzą wzmianki z różnych okręgów.

Pomimo tych wieści smutnych, Słowacy z nadzieją w oku spoglądają przed siebie. Z Goemoer np., — na południe od Spiża, — gdzie już Madiarzy dłużej gniotą Słowaczczyznę, a ledwo nieznaczną część jej wynarodowili, *Narodnie Noviny* i *Cirkeвне Listy* dostają pisma Słowaków, którzy nie tracą ducha; owszem, przy opisie swoich krzywd pokpiwają z prześladowców. Donoszą tedy, że drienczański pastor, Stef. Bazágh, jako dziekan szkół balogskiego okręgu, oskarżył swojego szwagra, Lud. Englera, budikowiańskiego pastora, że w swojej wsi, czysto słowackiej, Hostiszowie, nie dopuścił śpiewu madiarskiego do nabożeństwa. Bazágh skargę swoją wytoczył przebiegle: nim ją poniósł przed sędziów, zawczasu podburzył ogół przeciw swojemu szwagrowi, bo na jego postępek rzucił stronnictwo światło w madiarskich czasopismach stołecznych. Kiedy tą drogą wywołał burzę przeciw Englerowi w łonie senioratu, wtenczas podał skargę seniorowi Terraemu. Seniorat wysłał sędziów śledczych, aby ci zbadali sprawę i w danym razie poskromili w Englerze ducha słowackiego. Nadaremnie kilkunastu świadków dowiodło, że nie o kościelny śpiew madiarski szło Englerowi, tylko o piosnkę świecką, której ani po madiarsku ani w innym języku nie wypadało dopuścić do nabożeństwa. Daremnie śledztwo wykryło źródło skargi: Buzágh sam ze Słowaka został nowo upieczonym Madiarem, jednak w madiarskim zborze słyszy docinki szydercze, że zacina ze słowacka po madiarsku: więc zapragnął fary na wsi słowackiej. Taką rządził Engler: więc — jak mówi Słowak — Buzagha zęby bolały na farę budykowieńską i umyślił z niej koniecznie usunąć szwagra. Stąd wysnuł powód skargi i zgubił szwagra, którego za brak ducha madiarskiego, mimo wszelkiej obrony, sędziowie skazali na karę pieniężną i złożyli z urzędu. Ale Buzágh, kiedy wyszły na jaw jego zamysły, osiadł na łodzi i słucha teraz od Madiarów i Słowaków piosnkę, że kto rad siada na dwóch stołkach, łatwo pada na ziemię.

„Z madiaryzowaniem — ciągnie Słowak — idzie koło nas bardzo pomału. Przed trzydziestoma laty prorokowali ci i owi, że słowieński naród za 50 albo 60 lat zmadiarzeje, że nie zostawi po sobie chyba kilku pijaków na okaz. Przez tę przepowiednię owi prorocy dotąd nie

potwierdzili swojej sławy prorockiej, dzięki Bogu, bo nas nie ubyłó nic, a jeřliby policzyć sprawiedliwie, przybyło nas nie mniej, niź Madiarów, nie wedle statystyki urzędowej, ale wedle prawdy... Dobrośliwy Bóg obudza w wielu sercach ospałych sumienie narodowe, bo jest to wola Boża, aby nas nikt nie wymazywał z dziejów narodów żywych... przeszliśmy już niejedną ogniową próbę. Co nam wydra, to nam Bóg nagradza szczerze licznem potomstwem, więc nie mamy najmniejszej obawy. Bo naprawiać albo psuć rządy Boże znaczy tyle, co bić czołem o mur, więc oznacza głupotę“.

Cóż do tych słów dodać? Chyba powtórzyć, że wiedeńscy Żydzi w swoich pismach zaczynają szanować Słowaków i odradzać Madiarom „niepopłatnego przedsiębiorstwa“, walki narodowej przeciw Słowianom... Na inny raz można odłożyć dalsze szczegóły o rozwoju Słowaczyny, a teraz zakończyć wyrazem dobrej otuchy, że jak Madiarzy nie naprawią w swojej głupocie ani nie popsują rządów Bożych nad bardzo biednymi Słowakami, tak nam mniej biednym, co wrogi wydra, to Bóg szczerze opieką swoją nagrodzi.

Nie wyczerpuje Słowaków walka z prześladowczą madiarszczyzną. Jedni drugim dodają zachęty radą i przykładem, a katolicy opisali te boje i narady słowackie w dziele *Tovaryśstvo*. Rodakom rozესłali tę książkę, ale czuli, że gdzieś wyżej zająć z nią trzeba, aby nie na darmo opowiadać o walce ducha narodowo-katolickiego z wolnomyślnymi i innowierczymi gascielami iskry słowackiej. Znaleźli godne ręce, którym powierzyli ostatnie dzieje swoich zapasów. W Rzymie uczuli, że „i kopanemu i bitemu niewolnikowi słońeczko przyjaźniejsze uśmiechnie się czasem. Czem kęs chleba dla głodnego, tem współczujący wyraz twarzy dla cichego bojownika, który cierpi za przekonania święte“. Tem słońcem dla Słowaków był Leon XIII. Do jego stóp zjechał z Pittstonu w Ameryce ksiądz M. Jankola, a zastęp katolickich Słowaków z Węgier przyniósł ślicznie oprawną księgę swoją z prośbą o słowo pociechy. Zdumieni spostrzegli, że między niższem duchowieństwem rzymskiem obiegały o nich pogłoski nieprzychylne. Zrozumieli, dlaczego poprzednio dwa razy już inni Słowacy chcieli oddać cześć Ojcu świętemu, a dostępu nie umieli uprosić. Zrozumiawszy, skąd mogły paść oszczercze o nich pogłoski, nie opuścili rąk, ale skrętnie obeszlí wszystkie drogi, aby pousuwać przeszkody do Watykanu. Dokazali swego. Znaleźli Leona XIII-go ojcem, który ich witał uprzejmymi słowami: *Slovachi, Slovachi; sono Slovachi d'Ungheria?*

przyjął ich księgę w darze i dziękował: *aha, questo è il Товариство!* a otwierając ją zaraz znalazł świętopietrze biednego ludu: 300 lir. Otoczyli tedy swojego ojca synowie prześladowani i każdy prosił o błogosławieństwo dla pamiątek, któremi chcieli pozostałych w domu rodaków obdarzyć. Papież na każdą prośbę odpowiadał i błogosławił, a Słowaccyzna czuła, że ponad potęgą węgierskiego wolnomularstwa wznosi się w Rzymie potęga większa, której siła ziemska nie zdoła obalić a która ich bierze w opiekę.

*Ks. K. Czaykowski.*

### **Teologiczne pismo polskie.**

Z radością witamy następującą odezwę:

„Od stycznia r. 1902 wychodzić będzie w Poznaniu *Przegląd Kościelny*, pismo miesięczne poświęcone nauce i sprawom Kościoła katolickiego.

Przez dłuższy szereg lat wydawał ks. Władysław Jaskulski pismo teologiczne pod powyższym tytułem, które nie tylko w naszych archidiecezjach, ale i poza ich granicami znane było i cenione. Podejmując je na nowo, nie zmieniamy tytułu, sądzymy bowiem, że on najlepiej uwydatnia cel i zadania pisma naszego.

Będzie ono następowało następujące działy:

Rozprawy naukowe teologiczne. Nauka teologiczna od dawna już zerwała pęta, które jej niegdyś józefinizm i pokrewne mu prądy nałożyły, i rozwijała się i rozwija wspaniale. Fakultety teologiczne stały się ogniskami, z których wychodzą zastępy uczonych, usiłujących badaniami swojemi z pomroki dziejów wydobyć prawdę, wyjaśnić kwestye zawile, nowe rzucić światło na znane już prawdy. Odblask tych usiłowań przebija się w teologicznych pismach peryodycznych, których pokaźna liczba istnieje w krajach katolickich. — I nasze duchowieństwo posiada niemało mężów uczonych, którzy w teologii spekulatywnej i praktycznej skrzętne uprawiają studia. Tem więcej też odczuwano brak organu, któryby owoce tych badań naukowych uprzystępniał szerszym kołom. Dlatego zamierza *Przegląd Kościelny* skupić swe prace i odzwierciedlić katolicki ruch umysłowy



u nas, o ile on może się rozwijać na polu piśmiennictwa w tak wyjątkowo trudnych warunkach i okolicznościach, uwzględniając przytem wyniki nauki teologicznej w innych krajach. Ale na tem nie chcielibyśmy się ograniczyć: pełno jest kwestyi, które bezpośrednio albo pośrednio z teologią się stykają. Zamyślamy więc w dziale naukowym *Przeglądu Kościelnego* zamieszczać rozprawy z filozofii, sztuki kościelnej, a przede-wszystkiem obszerniej uwzględnić kwestyę socyalną. Kierując się hasłem Ojca św., przedstawiać będziemy wszystkie ważniejsze prądy z dziedziny społecznej, stosunek ich do Kościoła, oraz sposoby rozwiązania tej największej, piekającej, aktualnej kwestyi, odpowiadające stanowisku i obowiązkom duchowieństwa,

Z nauką stoi w ścisłym związku życie naszego Kościoła. Będziemy zatem od czasu do czasu przedstawiali rozwój jego przez misye, trudności, które przytem musi przezwyciężać, zwycięstwa, które odnosi. Otwieramy również łamy *Przeglądu Kościelnego* sprawozdaniom, które uwydatnią ruch katolicki w poszczególnych krajach, znamienne objawy życia katolickiego, jak wiece, stowarzyszenia, instytucje dobroczynne, unaoczną stosunek Kościoła do państwa. Zamieszczać też będziemy oryginalne korespondencye z Rzymu, Paryża, Wiednia, z Galicyi, Królestwa i innych krajów, które w żywy, barwny sposób informować będą o życiu katolickiem.

Niezmiernie ważny ze względów praktycznych dla duchowieństwa jest teologiczny ruch literacki. Dotąd nie istnieje pismo polskie, któreby się wyłącznie tym działem zajmowało, dlatego chcielibyśmy choć w części dotkliwy ten brak wypełnić. Zamyślamy więc obszerniejsze podawać recenzye o dziełach i wydawnictwach w zakres teologii wchodzących i bibliograficzne do tego dołączać notatki. Raz po raz zamieszczać będziemy też ocenę nowszych prądów w literaturze naszej.

Taki jest nasz program. Wyznajemy, żeśmy się wielkiego i trudnego bardzo podjęli zadania, ale podejmujemy je ufni w pomoc Bożą i pomoc wielu zasłużonych i cenionych pisarzy, którzy nam współpracownictwo łaskawie przyrzekli, jak: ks. Jan Adamski. ks. prof. dr. Czapla, ks. prof. dr. Dalbor, dr. Erzepki, ks. prof. dr. Fijałek, ks. prof. dr. Gabryl, dr. Gantkowski, ks. Teofil Gapczyński, ks. regens dr. Goczkowski, ks. prof. dr. Hozakowski, ks. prałat lic. Jaskulski, ks. prałat i prof. dr. Jedzink, ks. dr. Kaczmarczyk, ks. prof. dr. Klopsch, dr. Kopera, ks. prał. dr. Lewicki, ks. dr. Miaskowski,

ks. Kaźmierz Michalski, ks. dr. Opieliński, ks. dr. Skrzydlewski, ks. prof. dr. Steuer, ks. prał. i prof. dr. Warmiński, dr. Zaremba, ks. Kaźmierz Zimmermann i wielu innych; liczymy także na duchowieństwo i na szersze koła inteligencji, które usiłowania nasze zechcą poprzeć.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny

*ks. Okoniewski*

w Poznaniu, ul. Seminaryjna 2<sup>a</sup>.

Nowemu pismu życzymy z całego serca: Szczęść Boże!

*Redakcja Przeglądu Powszechnego.*

---

#### Do Pana B. B. we Lwowie

Odpowiedź Redakcyi z powodu przegranej w Jockey-Clubie.

Zdaje nam się, iż w tej sprawie nikt w Polsce nie ma dwu zdań. Do ogólnej potępiającej opinii możemy co najwyżej dodać, odpowiednio do stanowiska naszego to zdanie: człowiek nie jest nieograniczonym panem swojej własności, i jak nadużycie wolnej woli, tak i nadużywanie własności, jest występkiem.

Stało się i już się nie odstanie. Ale społeczeństwo ma prawo domagać się jakiejś publicznej ekspiacyi. Jeżeli jej nie uczyni sam winowajca, spodziewamy się, że uczynią to jego najbliżsi.



## Mistyczne Ciało Chrystusa a charaktery sakramentalne.

Kościół katolicki naucza, jak wiadomo, że w trzech sakramentach: chrzcie, bierzmowaniu i kapłaństwie tajemnicze jakieś i nadprzyrodzone znamię, zwane już od czasów św. Augustyna charakterem sakramentalnym, wyciska się na duszy i tak silnie z nią spaja, że nigdy już startem ani usuniętem być nie może, i skutkiem tego nie dopuszcza ponownego przyjęcia tych sakramentów, jeżeli tylko raz ważnie, choćby nawet poza prawdziwym Kościołem, udzielone były. Nauka ta jest już od dawna dogmatem wiary katolickiej, określonym uroczyście na soborze Trydenckim<sup>1</sup>.

Jeśli jednak chcemy pójść dalej i pytamy się, czem jest właściwie to nadprzyrodzone znamię, co ono wyraża, co daje duszy, co sprawia w niej — wkraczamy odrazu w kwestyę bardzo subtelną i trudną, jak to stwierdzają jednozgodnie wybitni teologowie, zarówno dawniejsi, jak nowsi<sup>2</sup>. Trudność nietylko stąd

<sup>1</sup> Sess. VII, can. 9: „Si quis dixerit, in tribus sacramentis, Baptismo scilicet Confirmatione et Ordine, non imprimi characterem in anima, hoc est, signum quoddam spirituale et indelebile, unde ea iterari non possunt, anathema sit“ (Denzinger: *Enchiridion*, nr. 734).

<sup>2</sup> „Post quaestionem: an est, succedit quaestio: quid sit character, Et non minor occurrit in huius resolutione theologorum varietas, quam fuit circa illud primum catholicorum concordia. Immo tam spissa est sententiarum seges, tanta opinionum farrago, ut vel sola illarum recensio fastidium possit afferre“ (*Salmanticenses*, disp. 5, dub. 2).

„Seinem innersten Wesen nach, ist der sakramentale Charakter etwas

pochodzi, że charaktery sakramentalne są rzeczą nadprzyrodzoną i tajemniczą, rozumowi zatem ludzkiemu, podobnie jak wszystkie tajemnice naszej wiary, w pojęciu swem właściwem niedostępną; ale i stąd jeszcze, że źródła objawienia, które treść i istotę innych tajemnic objaśniają nieraz dość szczegółowo za pomocą różnych pojęć analogicznych, zapożyczonych z najbliższego nam świata, o istocie i przeznaczeniu charakterów sakramentalnych bardzo tylko skąpe i luźne podały nam wskazówki.

Mimo tych trudności, katolicka nauka długą i sumienną pracą, na pierwszym miejscu gruntownem badaniem tych nielicznych, nieraz jednak bardzo cennych rysów, jakie o charakterach przechowały się w pismach Ojców Kościoła, a równocześnie drogą pracowitych rozumowań, zestawień i analogii doszła w końcu po wielu dyskusjach i sporach do częściowego przynajmniej wyświeatlenia kwestyi i sformułowania pewnej liczby poglądów, na które godzą się dzisiaj wszystkie, o ile wiemy, szkoły i kierunki teologiczne.

Wedle tej ustalonej już nauki, charakteru sakramentalnego, jak to sama jego nazwa dość, zdaje się, jasno wskazuje, nie można uważać ani za jakiś tylko tytuł, czy prawo, z ważnego przyjęcia sakramentu nabyte, ani za inną jakąś odnośnię czysto myślną, mającą byt i znaczenie w sferze wyłącznie logicznej lub moralnej. Koniecznie pojąć go trzeba realnie, jako coś fizycznego, nie materyalnego oczywiście, lecz duchowego; coś w rodzaju piętna, lub — jak mawiali Ojcowie Kościoła — pieczęci nadprzyrodzonej, którą moc Boża wyciska na samej fizycznej istocie duszy naszej, i skutkiem tego wywołuje w tej duszy realną przemianę, nadając jej nowy jakiś wygląd i blask, prawdziwy i rzeczywisty, chociaż nadprzyrodzony.

Wprawdzie i łaska uświęcająca, która przez wszystkie sakramenta spływa na dusze, jest również jakimś blaskiem Bożym, przeobrażającym na wskroś istotę człowieka — charakter jednak sakramentalny jest wedle kościelnej nauki darem zupełnie ró-

---

überaus Verborgenes und Geheimnisvolles — ja dem menschlichen Forschen und Erkennen noch weit mehr entrückt, als die heiligmachende Gnade“ (Dr. Nik. Gühr: *Die heiligen Sacramente*, 1897, I. Bd. S. 111).

żnym i niezależnym od łaski. Łaska nie tylko powierzchownie stroi i uświecna, ale i wewnętrznie uświęca dusze. Ona jest współudziałem stworzenia w świętości i sprawiedliwości Bożej; jest zatem, jako taka, antytezą wszelkiej złości i nieprawości moralnej, i skutkiem tego razem z grzechem ostać się w duszy nie może. Przeciwnie charakter. On nie daje stworzeniu uczestnictwa w Bożej świętości; sam przez się wcale nie tyka strony moralnej duszy naszej, chwytą się tylko fizycznej jej istoty, i zatrzymuje, jeśli tak powiedzieć wolno, na samej jej powierzchni; niema więc zasadniczego przeciwieństwa między nim a grzechem, ani nieodzownego związku między nim a łaską. Stąd, jak już Donatystom wykazywał św. Augustyn, charakter może być i w ludziach najgorszych. Można przyjąć ważnie sakrament chrztu, bierzmowania lub kapłaństwa i otrzymać w każdym z nich odpowiedni charakter, a mimo to dla przeszkód i braków wewnętrznych nie otrzymać uświęcającej łaski; można również łaskę raz uzyskaną stracić, a mimo to nie traci się charakteru, raz wyrzytego na duszy. Charakter domaga się wprowadzić łaski, będąc niejako formą, na jej przyjęcie zgotowaną, jakby złotą oprawą w pierścieniu, czekającą na drogi klejnot, który ma być w nią ujęty — nie pociąga jednak łaski za sobą z bezwzględną koniecznością. Może i bez niej istnieć w duszy, i niejednokrotnie też istnieje, na większą hańbę i potępienie złych.

Czemże więc jest ostatecznie ten charakter, na czem polega jego wpływ i zadanie, jeśli nie jest darem równorzędnym z łaską i wewnętrznem dusz uświęceniem? Jest on, wedle Ojców i teologów, jakimś realnem ukształceniem duszy na wzór i modłę Chrystusa, o ile Chrystus jest królem i arcykapłanem Nowego Zakonu. Jest — innemi słowy — częściowem upodobnieniem do Chrystusa, nie w jego świętości i łasce, ale w jego godności i władzy, a skutkiem tego współuczestnictwem w Chrystusowych funkcjach i urzędach. Jest, jak lubieli mawiać średniowieczni pisarze, jakąś jakby inwestyturą Bożą na różne urzędy i stopnie w królestwie Chrystusowem, która dokonywa się nie przez czysto zewnętrzną ceremonię, wyraz i symbol nadania praw, ale przez realne piętnowanie dusz nadprzyrodzoną cechą godności Bożej.

Chrzest daje cechę poddanych i obywateli Chrystusowego królestwa, bierzmowanie cechę jego rycerzy, kapłaństwo cechę pasterzy i ofiarników. Każda z tych cech przynosi inny stopień i rodzaj podobieństwa z Chrystusem, każda jest podstawą nowej przynależności do niego — nowego, jak mawiali Ojcowie, powinowactwa z Bogiem-Człowiekiem.

Oto mniej więcej wszystko, czego dziś uczy teologia o charakterach sakramentalnych: o ich istocie, zadaniach i stosunku do innych objawionych tajemnic. Teologiczne uzasadnienie i bardziej szczegółowe rozwinięcie tych poglądów znaleźć można w każdym gruntowniejszym podręczniku dogmatycznym<sup>1</sup>.

Ale czy to całe tłumaczenie istoty i zadań charakterów sakramentalnych nie dałoby się jeszcze pogłębić i dopełnić? Nam się zdaje, że nawet w tak pięknym i głębokim przeprowadzeniu tej kwestyi, jakie spotykamy u Franzelina, czuć raz po raz potrzebę takiego dopełnienia, lub może tylko domówienia. Rzecz sama prawie się prosi, aby nieco luźne jej szczegóły ująć w pewien ściślejszy — czasem wprost się narzucający schemat, i przedstawić ją w więcej harmonijnym związku z całym onym światem nadprzyrodzonych tajemnic, którego charakterzy sakramentalne są jednym tylko, częściowym czynnikiem.

Takiem dopełnieniem przedmiotu wydaje nam się myśl, rzucona nie tak dawno przez jednego z największych teologów świeżo ubiegłego wieku. Scheeben w genialnym swem, niedość może jeszcze cenionem dziele o tajemnicach chrześcijaństwa wpadł na szczęśliwy i bardzo głęboki pomysł, objaśnienia charakterów sakramentalnych przez ich stosunek do mistycznego ciała Chrystusowego<sup>2</sup>. Myśl ta, rozprawdzona przez Scheebena w najgłówniejszych tylko liniach wytycznych, więcej zaś szczegółowo rozwinięta parę lat temu przez Lingensa w znanem

---

<sup>1</sup> Z nowszych teologów najlepszem może ujęciem rzeczy i zestawieniem materiału odznaczają się, obok Franzelina, J. Sasse T. J. (*Institutiones theologiae de sacramentis*, 1897, t. I. str. 108—120) i wspomniany już wyżej Dr. Gihl.

<sup>2</sup> *Die Mysterien des Christenthums*, von dr. Matth. Jos. Scheeben, 2. Aufl. Freiburg im Br., Herder, 1898. §§. 83, 84.

jego dziełku „o wewnętrznej piękności Chrześcijaństwa“<sup>1</sup> nie tylko dziwnie uderzająco zgadza się z całą teologiczną nauką o charakterach sakramentalnych i innych dogmatach, do charakterów zbliżonych, ale, co ważniejsza, wszystkie — nieco luźne, jak już wspomnieliśmy — szczegóły tej nauki tak pięknie wiąże w harmonijną całość<sup>2</sup>, że trudno się oprzeć pewnemu zdziwieniu, dlaczego dawniejsi teolodzy na myśl Scheebena nie wpadli.

Wobec tego, że najnowsze nawet podręczniki dogmatyczne, zajmujące się zresztą wyczerpująco całokształtem katolickiej nauki o sakramentach, nie o tłumaczeniu Scheebena nie wspominają, zdaje nam się, że spopularyzowanie, bardziej szczegółowe rozwinięcie i teologiczne uzasadnienie jego myśli będzie na miejscu i na czasie.

Wywodom naszym brakowałoby niezbędnej podstawy, gdybyśmy nie przypomnieli, w głównych przynajmniej zarysach, co to jest mistyczne ciało Chrystusowe, i jaka treść ściśle dogmatyczna w tem pojęciu się mieści.

Od tego więc zacząć musimy.

## I.

Pojęcie mistycznego ciała Chrystusowego bierze się czasem za jedno z treścią katolickiego dogmatu o „obcowaniu czyli wspólności świętych“. W tem znaczeniu używa niekiedy tej nazwy nawet św. Augustyn, a za nim niektórzy z dawniejszych scholastyków. Jasną jest rzeczą, że tak pojęte mistyczne ciało Chrystusa oznaczałoby społeczność wszystkich dusz, uświęconych nadprzyrodzonymi darami łask i cnót, a przez to samo zjednoczonych z Chrystusem i w Chrystusie, przez Chrystusa zaś z Bogiem, niewidzialnymi tylko, czysto wewnętrznymi i du-

<sup>1</sup> Emil Lingens S. I.: *Die innere Schönheit des Christenthums*, 64 Ergänzungsheft zu den *Stimmen aus Maria-Laach*, Freiburg im Br., Herder, 1895, str. 93 i nast.

<sup>2</sup> Czuje to dobrze sam Scheeben: „Man wird sehen — powiada on — dass diese Idee mit allem, was die Kirche und die bewährtern Theologen über den Charakter lehren, übereinstimmt, und sogar dieses alles erst in harmonische Verbindung bringt“. *Mysterien*, str. 518.

chowymi węzłami. Taka olbrzymia duchowa społeczność istnieje bez wątpienia, i stanowi odrębny, wielki temat teologicznego badania. W tej społeczności pod Chrystusem, głową i pierworodnym wszelkiego stworzenia, łączą się w jedną żywą, duchową całość, niezależnie od wszelkich granic miejsca i czasu, wszystkie istoty stworzone i rozumne, nadprzyrodzonym życiem żyjące: a więc ludzie i aniołowie, święci tak Nowego jak i Starego Zakonu, mieszkańcy nieba i wybrani na ziemi i dusze w czyśćcu cierpiące. Ponieważ to związek duchowy — zbyteczne są w nim spójnie i węzły organizacyi zewnętrznej; ponieważ to związek świętych — wykluczeni są z niego grzesznicy i potępieni.

Nie ulega jednak wątpliwości, że takie pojęcie mistycznego ciała Chrystusowego nie dość odpowiada bezpośredniemu i ścisłszemu znaczeniu tej nazwy. Gdzie jest mowa o ciele, czyli organizmie, choćby tylko moralnym, tam w pierwszym rzędzie ma się na myśli jakąś widzialną łączność i spoistość jego części składowych, tam chce się zaakcentować jakieś zewnętrzne łączniki i węzły, od których, jako od niezbędnych warunków, sama wewnętrzna jedność zależy. I dlatego, jak trafnie podnoszą teologowie<sup>1</sup>, nazwa mistycznego ciała Chrystusowego w dalszem tylko i bardziej rozszerzonym znaczeniu stosowaną być może do dogmatu o „obcowaniu świętych“ — w znaczeniu bezpośrednim, więcej zatem właściwem, oznacza ona zawsze w teologii organizm widzialnego Kościoła Chrystusowego na ziemi.

Pojęcie Kościoła, jako ciała Chrystusowego nie jest wynalazkiem ani scholastyki, ani mistyki — katolicka nauka wzięła je w formie gotowej bezpośrednio z pierwszych źródeł Objawienia. Św. Paweł, który głębsze i bardziej tajemnicze strony dogmatu o Kościele najobszerniej i najjaśniej z pisarzy natchnionych wyłożył, raz po raz w listach swoich tę myśl podnosi i na różne sposoby obrabia, że wszyscy wierni, którzy tu na ziemi jeszcze pielgrzymują, i wszystkie kościelne urzędy, którym podlegają, i wreszcie sam Chrystus, na prawicy Ojca siedzący, któ-

<sup>1</sup> Lingens: *Innere Schönheit*, str. 82.



remu służą i żyją — to łącznie jedno wielkie ciało Chrystusowe, jeden zbiorowy, żywy organizm, którego Chrystus jest głową.

Oto niektóre z tych miejsc:

„Bóg, Pana naszego Jezusa Chrystusa Ojciec chwały... wszystko poddał pod nogi jego, a jego dał głową nad wszystkim Kościołem, który jest ciałem jego“ (do Ef. I, 17, 22, 23).

„Jako ciało jedno jest a członków ma wiele, a wszystkie członki ciała, choć ich wiele jest, wszakże są jednym ciałem: także i Chrystus... Wy jesteście ciałem Chrystusowem“ (1 do Kor. XII, 12, 27).

„Nigdy żaden ciała swego nie miał w nienawiści, ale je wychowywa i ogrzewa, jako i Chrystus Kościół: bo jesteśmy członkami ciała jego; z ciała jego i z kości jego“ (do Ef. V, 29, 30).

„Jeden Bóg i Ojciec wszystkich, który jest nade wszystkim... I tenże dał niektóre Apostoły, a niektóre Proroki, a drugie Ewanielisty, a inne pasterze i doktory ku wykonaniu świętych... ku budowaniu ciała Chrystusowego... żebyśmy rośli w nim we wszystkim, który jest głowa Chrystus, z którego wszystko ciało, złożone i spojone będąc przez wszystkie stawy... podług miary każdego członka czyni pomnożenie ciała ku zbudowaniu samego siebie“ (do Ef. IV, 6—16).

W podobny sposób wyraża się św. Paweł w wielu innych jeszcze miejscach<sup>1</sup>.

Nie ulega wątpliwości, że nazwa ciała, nadana kościelnej społeczności wiernych, jest przenośnią. W tych jednak tekstach Apostoła, na które się powołujemy, nie można jej uważać za zwykłą, stylistyczną przenośnię, jedną z tych, jakich się często używa dla ozdoby mowy, lub dla oddania myśli oderwanych w formie naszemu poznaniu bliższej i pochwytnej. Przenośnia św. Pawła ma o wiele głębsze znaczenie. Jest to jedna z tych naukowych, że tak powiem, przenośni czyli analogii biblijnych, któremi niejednokrotnie posługuje się Pismo św. dla odświeżenia nam samej treści i istoty tych prawd objawionych,

---

<sup>1</sup> Np. w liście do Rzym. XII, 4, 5; do Koloss. I, 18, I, 24, II, 19, III, 15; do Efez. V, 23, 31; 1 do Kor. X, 17 i t. d.

które przechodząc zupełnie zakres wiedzy ludzkiej, pojęciami sobie właściwymi w sposób nam zrozumiały oddane być nie mogą. Między taką analogią a rzeczą, którą ma wyrażać, zachodzi zawsze o wiele głębsze, znacznie dalej idące podobieństwo, niż to bywa w zakresie zwykłych przenośni i porównań, czysto stylistycznych; podaje nam je bowiem sam Pan Bóg, który przenikając zarówno istotę tajemnic, jak i naturę naszego poznania, takich z pewnością dobiera analogii, które są zdolne najlepiej, o ile to być może, uprzystępnąć nam treść Objawienia.

Że tak jest i w naszym wypadku, wątpić nie można wobec tego, że św. Paweł nazwę ciała Chrystusowego nadaje Kościołowi ustawicznie, nieomal stale, i z jakimś szczególnym, wyjątkowym akcentuje ją naciskiem — czego nikt nie czyni przy prostych tylko przenośniach czy porównaniach. Co więcej, Apostoł ulubioną swą analogię rozбивa raz po raz bardzo drobiazgowo, poszczególnym częściom ludzkiego organizmu przeciwstawia różne urzędy i czynności kościelne, z praw i właściwości tegoż organizmu wysnuwa różne konkluzje dogmatyczne o stosunku wzajemnym Chrystusa i Kościoła, różne prawa i obowiązki wiernych. Ludzki zatem organizm, jego jedność i układ, jego stosunki i odnośnie, prawą jego życia i rozwoju mają być dla nas, wedle wyraźnej intencji Apostoła, źródłem i normą głębszego poznania tajemnicy tego drugiego, wyższego i mistycznego organizmu, jakim jest Kościół Chrystusowy na ziemi. A więc nazwa ciała Chrystusowego, to ściśle dogmatyczna formuła, którą teolog nie tylko może, ale i powinien analizować dokładnie i rozбивać dość szczegółowo, choć oczywiście do pewnych tylko granic, wskazanych wyraźną różnicą, jaka między jednym a drugim organizmem zachodzi.

Powie kto może, że treść i znaczenie tej formuły bez głębszego rozbioru dostatecznie jest znane; wszystkie bowiem związki ludzkie, nieco ściślej zespolone i rządzone, nazywamy raz po raz, nawet w mowie potocznej, ciałami zbiorowymi lub moralnymi organizmami — dzisiaj zwłaszcza, kiedy przeróżne rodzaje organizacyi społecznej, i cały szereg przenośni, z tem pojęciem związanych, ciągle mamy na ustach.

Mimo to jednak nie można wątpić, że analogia apostołska wymaga na prawdę ściślejszego rozbioru. Dość nieco uważniej rzucić okiem na przytoczone powyżej teksty św. Pawła, aby się przekonać, że inną jakąś, o wiele ściślejszą, niż w czysto ludzkich związkach, spójnię i jedność ma on na myśli, kiedy mówi o mistycznym i tajemniczym cielem Kościoła Chrystusowego. Każdego od razu musi uderzyć, że Apostoł nie tylko nazywa Kościół ciałem, a Chrystusa Pana głową tego ciała, ale nadto cały Kościół nazywa wprost ciałem Chrystusowym. Wiernych nie tylko mieni być członkami Kościoła, ale także członkami Chrystusa, czemś zatem jakby organicznie przynależnym do samej Boskiej jego osoby. Chrystus te członki uważa za swoje, pieści je i ogrzewa jak własne ciało; oni są z krwi jego i z kości jego, są jedną z Chrystusem jurydyczną osobą, tak że nawet nazwani być mogą własnem Chrystusa imieniem. „Jako ciało jedno jest, a członków ma wiele, a wszystkie członki ciała, choć ich wiele jest, wszakże są jednym ciałem — tak też i Chrystus“ (1. Kor. XII, 12).

Kiedy mówimy o innych związkach ludzkich, nasuwają nam się co moment wyrażenia przenośne o ich głowie, o członkach, o ich organizmie lub cielem moralnem, ale nikomu z nas przez myśl nie przejdzie, aby np. państwo i jego obywatele nazywać ciałem króla, wojsko organizmem dowódcy, poddanych czy żołnierzy członkami króla lub wodza, kością z jego kości i krwią z krwi jego. Nie pozwala nam na to pewien zdrowy instynkt językowy, na dnie którego kryje się zawsze wiele ściślejszej filozofii. Czujemy po prostu, że do tego rodzaju wyrażen, które koniecznie nasunąć muszą myśl o jakiejś bardzo blizkiej i bezpośredniej łączności między członkami a głową, brakuje nam w naturze czysto ludzkich związków dostatecznej podstawy.

Na czemże tedy polegać będzie ta niezwykła łączność i spójnia, jaką widocznie ma na myśli Apostoł, gdy mówi o Chrystusowym cielem Kościoła?

Chcąc ją bliżej określić, musimy się zwrócić do analogii Apostołskiej i zapytać, co wytwarza taką ścisłą jedność naszego ludzkiego organizmu; co daje mi prawo, że o pewnej, ściśle

określonej ilości materji, prawdziwie mogę mówić jako o własnem żywym ciełe i o swych własnych członkach?

To przedewszystkiem, że się czuję tego ciała i tych członków jedną siłą ożywczą. Mam i muszę mieć świadomość, że pierwiastek życia, który tkwi we mnie, przenika i podtrzymuje całą materję ciała i wszystkie jej części; innemi słowy, muszę sam, osobiście, czynnie, bezpośrednio dosięgać żywotnym wpływem do wszystkich członków i komórek organizmu, stanowiąc w ten sposób pierwiastek życia każdej z nich.

To jednak nie wystarcza. Czynniki ożywcze, który tkwi we mnie i ze mnie wypływa, musi być nadto zamknięty w swoim bycie i działaniu warunkami i granicami samego organizmu, i skutkiem tego, jeśli nie w samej istocie swojej, to przynajmniej faktycznie od tegoż organizmu zależeć. Innemi słowy, koniecznem jest, aby wpływ ożywczego pierwiastka nie dokonywał się inaczej, jak tylko na gruncie samego organizmu, w jego obrębie i z pewnem z jego strony współdziałaniem. Tam tylko, gdzie spotykamy tę obustronną zależność i wzajemne dopełnianie się niewidomego czynnika, który ożywia, i widomego, który jest ożywiany, może być mowa o ścisłej jedności organicznej; tam dopiero mamy do czynienia z żywą, złożoną istotą, której widome części składowe, choć same w sobie różne i odmienne, tworzą jednak ścisłą i jednolitą całość, pod wpływem zamkniętej w ich łonie wspólnej siły życiowej, która wszystko w swem ręku dzierży, wszystko w sobie kojarzy i spaja — a którą mowa ludzka zwykła sobie uplastyczniać pod obrazem głowy, jakby głównego siedliska i źródła tej niewidzialnej siły życiowej.

Otóż podobna jedność i wspólność życiowa, na takim samym stosunku członków i głowy oparta, ma miejsce i w tej świętej społeczności kościelnej, którą nazywamy mistycznym ciałem Chrystusa.

Chrystus Bóg-Człowiek jest i będzie zawsze, aż do końca wieków, głową tego ciała. Ale nie tylko w tem słabem i odległym znaczeniu, w jakim król jest głową państwa, wpływając na jego życie wpływem wyłącznie moralnym, czy to przez własne akty swej władzy, czy to przez urzędy i instytucje, sobie

podległe, którym członkowie państwowego organizmu, w rzeczach do dobra całości należących, winni ulegać. Wprawdzie i taką głowę ma Kościół, ale jest nią nie Chrystus, lecz papież. Chrystus, niewidzialna głowa ciała kościelnego, jest duchem ożywczym Kościoła, w ścisłym tego słowa znaczeniu. Choć niewidomie, nie mniej przeto prawdziwie wywiera On sam, czynnie i osobiście ciągły wpływ żywotny na wszystkie członki Kościoła, wlewając w nie i ciągle w nich podtrzymując to wszystko, co samą treść i istotę nadprzyrodzonego życia tych członków i tego ciała stanowi.

Dla uzasadnienia tego twierdzenia możnaby przytoczyć mnóstwo szczegółów, składających się na całość katolickiej nauki o życiu nadprzyrodzonym Kościoła; takie jednak objęcie przedmiotu znacznieby przekroczyć musiało ramy, wskazane celem tej pracy: ograniczymy się zatem do naszkicowania najogólniejszych tylko zarysów tej kwestyi.

O życiu Kościoła mówi się i myśli nieraz w ten sam mniej więcej sposób, jak o życiu społecznym narodów, lub politycznym państw. Upatruje się to życie w czysto zewnętrznych jego przejawach, w urzędach Kościoła i w ich zewnętrznym, różnorodnym działaniu, w zależności wiernych od władzy kościelnej, w zewnętrznym nauczaniu Kościoła, w rozwoju i wpływie katolickiej nauki, w stosunkach Kościoła na zewnątrz i t. d. Takie pojęcie życia Kościoła, gdyby było wyłącznem, byłoby tem samem błędnem. Istota sama życia kościelnego, którą na dnie wszystkich urzędów kościelnych i całej jego działalności każe nam widzieć wiara, jest czemś zupełnie szczególnem, i nigdzie zresztą w ludzkich związkach nie spotykanem; czemś bardzo realnem i rzeczywistym, chociaż tajemniczem i nadprzyrodzonym: jest to wewnętrzna, rzeczywista przemiana dusz, przez ich uświęcenie i przetworzenie na wzór i modłę Bożą. — Tak pojęte życie Kościoła zasadza się głównie na łasce uświęcającej, która, jak gdyby druga, nowa natura, wlaną być ma wraz z pokrewnymi sobie darami nadprzyrodzonymi do każdej z osobna duszy. Przez tę łaskę staje się dusza, jak mówi Pismo św., nowem stworzeniem; przez nią rodzi się Bogu do całkiem nowego i nieznanego

sobie dotychczas życia. Otóż to ożywianie i przeobrażanie dusz naszych przez łaskę odbywać się nie może bez ciągłego czynnego i bezpośredniego współudziału Chrystusa. Jeśli się nieraz mówi, że Chrystus po dziś dzień rządzi Kościołem, nie można tego zdania tak rozumieć, jak gdyby w każdym akcie rządów kościelnych konieczną była osobista, choć niewidzialna interwencja i współdziałanie Chrystusa. Również kiedy mówimy, że Chrystus jest nauczycielem Kościoła, do usprawiedliwienia tej nazwy, w wielu przynajmniej wypadkach, wystarcza fakt, że Chrystus kiedyś przed wiekami osobiście nauczał, a potem ustanowił swoich zastępców, którzy dalej przedkładają Boską jego naukę w jego duchu i imieniu. Kiedy jednak mówimy, że Chrystus uświęca i ożywia Kościół — zdanie to ma zupełnie inne znaczenie. Nie może się ono odnosić do działalności samych tylko zastępców Chrystusa Pana w jego arcykapłańskim urzędzie, tj. do Biskupów i kapłanów Nowego Zakonu; dary bowiem łaski przez samego tylko Boga wlane do duszy być mogą. Kapłan, żywe narzędzie Boga-Uświęciciela, spełnia tylko zewnętrzny obrządek sakramentalny, do którego z woli Bożej łaska uświęcająca jest przywiązana, — niewidome zaś namaszczenie i przeobrażenie dusz naszych sprawia bezpośrednio mocą swą Bożą najwyższy Arcykapłan Nowego przymierza, Chrystus Zbawiciel nasz, Bóg i Człowiek w jednej osobie. On bezpośrednio udziela się każdej z osobna duszy, i przenikając ją jakimś promienianiem swej Bożej świętości, uświęca ją i czyni uczestniczką wyższego, Bożego porządku i samej Bożej natury, jak śmiało i bez wahania naucza św. Piotr Apostoł<sup>1</sup>.

Nie dość na tem. Wszystkie dary nadprzyrodzone, któremi Bóg przeobraża i podnosi dusze nasze, zależne są od wysługi Chrystusa, jako Odkupiciela rodzaju ludzkiego. Ilekroć zatem dary łaski z rąk Bożych na Kościół i na dusze wiernych spływają, spływają zawsze mocą działania zasług Chrystusowych. A dzieje się to nie tylko w tem znaczeniu, że te zasługi kiedyś w przeszłości były zebrane, i raz za wszystkich ludzi Bogu za-

---

<sup>1</sup> 2 list, I, 4.

ofiarowane, a Bóg przy rozdawnictwie łask o tej wysłudze i ofierze pamięta — ale w znaczeniu o wiele głębszem i żywszem, w którym się zawiera nowy znów a osobisty i ciągle czynny współdział Chrystusa. Chrystus mianowicie w charakterze kapłana i ofiarnika, który, jako pouczyło nas Objawienie, zachowuje na wieki, ofiarę raz na Kalwaryi złożoną i wszystkie przez nią zebrane zasługi, przedkłada ciągle Ojcu Niebieskiemu, na którego prawicy siedzi, jako wiecznie żywy motyw miłosierdzia i łaski nad Kościołem, jako dosadny wyraz i głos „pokropienia krwi, lepiej mówiącej niż Ablowa“<sup>1</sup>.

To Chrystusowe wstawiennictwo nie jest wprawdzie ściśle wziętą ofiarą niebieską, jak mylnie utrzymuje paru nowszych teologów<sup>2</sup>, Chrystus bowiem, wedle wyraźnych słów św. Pawła „wszedł... do nieba, aby się okazał przed oblicznością Bożą za nami, a nie iżby często ofiarował samego siebie“<sup>3</sup> — jest jednak pewnem realnem, wiecznie trwającym uprzytomnieniem ofiary raz złożonej, skoro ten sam Baranek, który cierpiał niegdyś na krzyżu, i ten sam zarazem ofiarnik, który tam ofiarował, stoi ciągle w jednej i tej samej osobie przed stolicą Bożą i przedstawia swoje zasługi dla zbawienia i uświęcenia naszego.

„Takiego mamy najwyższego Kapłana, który usiadł na prawicy stolice wielmożności na niebiesiech“. — „Nie wszedł do świątyni, ręką uczynionej... ale do samego nieba, aby się teraz okazał przed oblicznością Bożą za nami“. — „Wiekuiście ma kapłaństwo, przetoż i zbawić na wieki może przystępujące przez niego do Boga, zawsze żywiąc, aby się wstawiał za nami“<sup>4</sup>.

Dary łaski, uświęcającej i ożywiającej dusze nasze, płyną nietylko z wysług Chrystusowych i z jego na prawicy ojcowskiej wstawiennictwa — wogóle zależą one jeszcze i od administracji sakramentów na ziemi. Wszechmoc Boża, która sama jedna jest sprawcą przyczyną łaski, i Chrystus Odkupiciel, który przema-

<sup>1</sup> List do Żyd. XII, 24.

<sup>2</sup> Głównie Thalhofer i Zill; obszerniej zbija ich zdanie Chr. Pesch: *Praelectiones dogmaticae*, tom IV, nr. 549.

<sup>3</sup> List do Żyd. IX, 24, 25, 26; por. VII, 27.

<sup>4</sup> List do Żyd. VIII, 1. — IX, 24. — VII, 24, 25.

wiając do tej Wszechmocy głosem swych zasług, jest tem samem przyczyną tejże łaski moralną, nie działają, w zwykłych przynajmniej wypadkach, tak długo, dopokąd tu na ziemi nad duszą ludzką, do przyjęcia łaski sposobną i gotową, nie ujrzą jednego z siedmiu znaków sakramentalnych.

Otóż i w tych nawet ziemskich, sakramentalnych znakach znowu osobiście, choć w inny nieco sposób, współczynnym jest Chrystus Pan. Wedle katolickiej nauki wszystkie główne i istotne czynności sakramentalne są w rozumieniu moralnem czynnościami samego Chrystusa. A w tej nauce kościelnej nie ta tylko myśl jest zawarta, że sakramenta administrować mogą jedynie ci ludzie, którym Chrystus dał na to władzę, ale ta przedewszystkiem, że ilekroć ci ludzie spełniają sakramentalne czynności, tylekroć przestają być tylko urzędnikami Chrystusowymi, a stają się drugim niejako Chrystusem, w znaczeniu moralnem i prawnem. Na czas bowiem trwania akcji sakramentalnej przywdziewają oni Chrystusową osobę do tego stopnia, że ich czynności wobec nieba i ziemi Chrystusowi samemu przyczytane być muszą, i w nadprzyrodzonym porządku tę samą mają wagę i znaczenie, jakgdyby przez niego fizycznie i własnoręcznie spełnione były. „On jest, który chrzci w Duchu świętym — pisze św. Augustyn — i nie przestał chrzcić, jak Petylian powiada, ale czyni to ciągle, nie posługą ciała, lecz niewidomem działaniem Majestatu<sup>14</sup>.

Gdziekolwiek więc po świecie woda chrztu spływa na głowy wiernych, gdziekolwiek krzyżem namaszcza się czoła, lub inne obrzędy sakramentalne się spełnia, tam wszędzie w widomym znaku, ręką ludzką uczynionym, widzi Bóg czynność samego Chrystusa, który ciągle niejako się mnoży w tysiącach i w setkach tysięcy swoich przedstawicieli, i chrzci przez ich ręce, bierzmuje, konsekruje, namaszcza... stanowiąc w wszystkich tych akcyach jedną z nimi moralną osobę.

Owszem nie brak teologów, którzy sądzą<sup>2</sup> — a przeciw

<sup>1</sup> *Contra litt. Petil.* l. 3, c. 49, nr. 59. (Migne, t. 43. col. 379).

<sup>2</sup> Między innymi Stentrup: *Soterologia*, t. II. str. 669, 670



temu mniemaniu nie można podnieść żadnego teologicznego zarzutu — że przy każdorazowej administracyi sakramentów Chrystus Pan, siedząc na prawicy Ojca, współdziała nowym i wyraznym aktem swej woli. W tem przypuszczeniu znaki sakramentalne byłyby tylko widowym wyrazem samego aktu woli Chrystusowej.

Idźmy jeszcze dalej. Rozdawnictwo łask Bożych, jeśli nie w całej rozciągłości — jak mniemali, nie bez pewnego może prawdopodobieństwa, niektórzy z teologów<sup>1</sup> — to przynajmniej w bardzo znacznej części, zależy jeszcze i od ofiary Mszy św., którą w myśl soboru Trydenckiego<sup>2</sup> pojąć trzeba, jako ofiarną aplikację zasług na krzyżu zebranych, ciągle ponawianą na ziemi w obrębie widzialnego Kościoła, i do aktualnych jego potrzeb zastosowaną.

I oto znowu w tej ofercie ołtarza Chrystus Pan dla uświęcenia i zbawienia naszego osobiście występuje i działa, jużto jako żywy i dobrowolny przedmiot tej ofiary, jużto jako spełniający ją Arcykapłan, w jednej i tej samej osobie. Chociaż bowiem widzialną ofiarę eucharystyczną zastępca Chrystusowy odprawia, to jednak równocześnie — jak wyraźnie głosi katolicka nauka — przez ręce ziemskiego kapłana ofiaruje się Bogu Ojcu sam Chrystus, sposobem wprawdzie niewidzialnym i bezkrwawym, niemniej jednak prawdziwym i rzeczywistym. Msza św. zatem jest znowu nowem, żywotnem tętnem Chrystusowem w ciele widomego Kościoła. Przez nią Chrystus, źródło naszego życia, jest raz po raz pomiędzy nami i rzeczywiście obecny i najprawdziej czynny, a to w nowy i cudowny sposób: bo choć i tu niewidomie działa na dusze nasze z ołtarzy, na których się odbywa najświętsza ofiara, jest jednak na tych ołtarzach widoczny dla nas i dotykalny za pośrednictwem eucharystycznych postaci, pod którymi się — jak mówi Sobór Trydencki<sup>3</sup> — prawdziwie, realnie i substancyjalnie, z duszą i ciałem, z Bóstwem i człowieczeństwem ukrywa.

<sup>1</sup> Głównie Oswald i Thalhofer. Zdanie ich zwalcza Sasse, I, str. 568.

<sup>2</sup> Sess. XXII, cap. 1 (*Denz.* nr. 816).

<sup>3</sup> Sess. XIII, can. 1 (*Denz.* nr. 763).

A ta widoma jego obecność wpośród ziemskiego Kościoła nie ogranicza się tylko do samej Ofiary Ołtarza. Wszedłszy raz w czasie Mszy św. pod sakramentalne osłony chleba, nie opuszcza już ich tak długo, jak długo trwają, i każe się pod nimi przechowywać w Kościele na niezliczonych miejscach, tak że go mamy ciągle już obecnego pomiędzy nami, obecnego równie realnie i substancjalnie, z Boską i ludzką naturą, jak we Mszy św., obecnego wszędzie nieomal, gdzie tylko zechcemy. Niema tak drobnej cząstki owczarni Chrystusowej, niema w kościelnym organizmie tak małej komórki, gdzieby nikłe światełko lampki, płonącej dniem i nocą przed *tabernaculum*, nie świadczyło o tej ustawicznej obecności i tajemniczem działaniu Boga-Człowieka. Dla wytworzenia przedziwnej onej łączności, jaką odwieczna Dobroć Boża skojarzyć chciała dusze ludzkie z ich Odkupicielem i Życiem — Chrystusem, nie wystarczał ani Chrystus historyczny, który żył i działał dla tych ludzi przed XIX wiekami; ani też Chrystus, żywy wprawdzie i ciągle dla nich czynny, ale albo daleko gdzieś w niebie na Ojcowskiej prawicy, albo jeśli z blizka Bożą swą mocą obecny, to przecież niewidzialny, i przez to właśnie naturze i poczuciu ludzkiemu za mało blizki i za mało uchwytny. Owszem, nie wystarczał nawet i Chrystus widomy pod postaciami, ale tylko w czasie Mszy św. zstępujący na ołtarze — trzeba było aż takiej obecności, któraby Chrystusa, rozmnożonego pod osłoną Hostyi prawie w nieskończoność po wszystkich częściach ciała kościelnego, ciągle i ustawicznie utrzymywała pomiędzy nami, jako nadprzyrodzone źródło życia, wi-  
dzialnie bijące w Kościele bez żadnej już zgoła przerwy.

Zdawałoby się, że to już chyba dosyć, mieć Go ciągle obecnego po świątyniach i po ołtarzach, mieć do Niego wolny zawsze przystęp i pod tajemniczą osłoną chleba módz Go widzieć oczyma wiary — ale my wiemy, że to jeszcze za mało. Chrystus eucharystyczny nie tylko jest ciągle obecny w obrębie swego Kościoła — On daje się nadto Kościołowi na pokarm. Do wiernych dusz, które będąc członkami Kościoła, chcą żyć zara-  
zem pełnią jego życia, nie tylko wpływ ożywczy Chrystusa niewidomie dochodzi, nie tylko skutki i owoce jego wysług — nad-

przyrodzone dary łaski: udziela im się fizycznie i bezpośrednio sama przyczyna tego wpływu, sam dawca i sprawca tych łask, a udziela w sposób niepojęcie cudowny, do wymagań natury ludzkiej przedziwnie przystosowany, kryjąc pełnię Bóstwa pod powłoką ludzkiej swojej natury, a ludzką swą naturę, przybytek tającego się w niej Bóstwa, osłaniając postaciami chleba i wina, a przez te wreszcie postacie, widomą osłonę tak Bóstwa jak człowieczeństwa, jednocząc się z nami fizycznie i jakby w jedno zlewając, drogą najściślejszego w zakresie naszej natury zespolenia, jaką jest pożywanie.

Czyż trzeba dodawać, jak czynną, jak życiodajną, jak w błogie skutki obfitą... jest ta realna i substancjalna obecność Boga-Człowieka w Kościele i w jego członkach! Jeżeli wszystkie inne sakramenty są onemi cudownemi strugami, przez które do dusz naszych spływa tak hojnie życie łaski, lub jego pomnożenie, to ileż więcej odnosić się to musi do Eucharystyi, przez której pożywanie samo źródło wszelkiego życia nadprzyrodzonego w łonie naszym bić poczyna. „Chleb Boży jest, który z nieba zstąpił i dawa żywo t światu“ — powiada o Komunii sam Chrystus<sup>1</sup>. „Jam jest chleb żywo t a — dodaje parę wierszy dalej — jeślibyście nie jedli ciała Syna Człowieczego i nie pili krwi jego, nie będziecie mieć żywo t a w sobie“<sup>2</sup>.

Któż wypowie, ile nadprzyrodzonego światła, ile mocy i siły, ile łask i blasków... z tego eucharystycznego źródła wytryska; jak ono musi przesiąkać i stopniowo przetwarzać i przebóstwiać te dusze, które je w sobie noszą; jak wiecznie odmładnia, uświęca i opromienia ten Kościół, w którego żywy skład te dusze wchodzą; jak umie nawet do wyższego, nadprzyrodzonego życia dostrajać i podatnemi czynić te skazitelne ciała, w których one dusze mieszkają...

Głębsze wyjaśnienie tajemnic tego życia — życia Chrystusa w duszach naszych, a dusz naszych w nim — leży już poza naszym polem. Wkracza ono w te wysokie, niebotyczne sfery,

<sup>1</sup> Ewang. św. Jana VI, 33.

<sup>2</sup> Tamże VI, 48, 54.

gdzie teologia przechodzi w mistykę, a dokąd my nie mamy ani odwagi się zapuszczać, ani zresztą potrzeby. Odpowiednio do celu naszej pracy, dość nam było narzucić grubsze tylko kontury tych kwestyi, któreśmy tu poruszyli, aby dostarczyć teologicznego dowodu, jak głęboką i pełną treści jest analogia św. Pawła o Chrystusie — Głowie Kościoła, ile światła przynosi szczegółowy jej rozbiór i ściśle jej tłumaczenie, tak rzadko niestety poruszane i poza kołem zawodowych teologów mało znane.

Wykazaliśmy — zdaje się, dostatecznie — że Chrystus sam, osobiście, czynnie i bezpośrednio jest siłą ożywczą całego Kościoła i wszystkich jego członków, wlewając w ich dusze życie nadprzyrodzone łaski, i ciąglem a wielorakiem działaniem pomnażając je i podtrzymując<sup>1</sup>. To miał być pierwszy, jak mówiliśmy, warunek żywotnej jedności organicznej w mistycznym ciełe Chrystusowem. Ale niezbędnym jest jeszcze drugi.

(C. d. n.).

*Ks. Włodzimierz Piątkiewicz.*

---

<sup>1</sup> Pojęcie rzeczy, zupełnie identyczne z tem, cośmy mówili dotychczas, odnaleźć można w tym treściwym schemacie Franzelina: „In his ministeriis et mysteriis visibilibus Christus ipse suis meritis, suaque divina virtute, et in mysterio principali etiam substantialiter residet, suaeque ecclesiae unitur, et in eam... vitam supernaturalem, nempe veritatem et caritatem, gratiam et sanctificationem active seu secundum operationem diffundit, auget et conservat in mensuram uniuscuiusque membri“ (*De Ecclesia*, th. XVIII, nr. II, 3, a. pag. 313).

---

# NA WZBRONIONYCH SZLAKACH.

Podróż i przygody w Tybecie Henryka S. Landora <sup>1</sup>.

---

Henry Savage Landor jest bohaterem — jeżeli, wdzierając się przez szczyty himalajskie do wnętrza Tybetu, miał tajną misję od swojego rządu, współzawodniczącego z Rosją o wpływ w zachodniej i środkowej Azji. Jest bohaterem, jeśli pobudką jego, chociażby prywatną, była korzyść jego ojczyzny. Jeżeli jednak działał dla własnej fantazyi, trzeba mu przyznać, że jest dzielnym junakiem, ale też i poniekąd szaleńcem. Odkrył co prawda nieznane dotąd Europejczykom źródła Bramaputry, przywiózł pęk szkiców i etnograficznych szczegółów, ale czyż zdobyć ta da się zrównoważyć z morzem cierpień, jakim ją okupił?... Trudno zaiste wydawać sąd nad istotną miarą zasługi t. zw. „męczenników nauki“, trudniej jeszcze policzyć, wiele ofiar krwi, bólu i życia kosztowały atomy wiedzy, zbierane pojedynczo, mozolnie, powoli, a nam w zbitej i ogładzonej podawane całości. Wiedza nasza to niby sznur pereł i drogich kamieni, po które trzeba było wdzierać się w głąb ziemi lub spuszczać na dno oceanu; my zaś jesteśmy jako piękna dama, strojąca się w owe klejnoty, nie pomna, wielu nurków pochłonęły fale, wielu górników przywaliła ziemia...

---

<sup>1</sup> *Auf verbotenen Wegen. Reisen und Abenteuer in Tibet von Henry S. Landor. Vierte Auflage. Leipzig. F. A. Brockhaus 1899. Str. 511.*

Henryk Lander powrócił do matki kaleką, ze zdrowiem bodaj czy nie na zawsze zachwianem, a za całą pociechę i podziękę od społeczeństwa spotkało go szyderstwo i niedowierzanie. To samo przed nim spotkało było większą część podróżników, którym dopiero po naocznem sprawdzeniu oddano sprawiedliwość — najczęściej po śmierci. Jemu wszakże zadanie kłamu niemniej wydało się przykrem. Dla Anglika kult prawdy jest pierwszym obowiązkiem człowieka, zadanie kłamu przeto jest mu najgorszą z krzywd, a zresztą każdego, co wiele przecierpiał, musi zboleć, gdy w jego cierpienia nie wierzą. Ile zaś Henry Lander wycierpiał, świadczą jego fotografie, jedna z lutego, druga z października 1897 r. Na pierwszej widzimy młodzieńca z świeżym wąsikiem, o wybitnie angielskim typie; w drugiej, tylko o 8 miesięcy późniejszej, wychudłego nędzarza, z którego twarzy męki i niedostatek starły wszelkie cechy narodowości i wieku. Prócz tych dowodów postarał się o piśmienne świadectwa lekarzy i władz, aby je, dla uwierzytelnienia swych słów, w dalszych wydaniach swego dzieła umieścić. Dla naszej publiczności są one zbyteczne: toż przed 15-tu czy 20-tu laty bawił jakiś czas w Krakowie Albańczyk, jeden z trzech członków pozostałych z jakiejś tybetańskiej wyprawy. Pojmani przez krajowców, byli w najokrutniejszy sposób męczeni: jego samego przez kilka miesięcy codziennie przez 6 godzin tatuowano ku specjalnej zabawie wodza, ryjąc w skórze jego wszelkiego rodzaju rysunki ptaków, motyli, okrętów, kwiatów i t. p. Wyglądał jak wielka figura niebieskiej porcelany saskiej, gdyż nie zostawiono mu na całym ciele ani kawałeczka zdrowego; nawet włosy zgolono, aby ozdobić czaszkę. Kilku jego towarzyszy umarło pod rylcem okrutnych artystów; trzech wytrzymało i zdołało ratować się ucieczką. Czy wszyscy dotarli żywi do granic Tybetu, nie pamiętam; Albańczyk pokazywał się za pieniądze, skarżąc się jednak na niesłychaną drażliwość skóry, czulej zwłaszcza na zimno. Kto pamięta tego człowieka, ten musi Landerowi uwierzyć.

Zrazu młody podróżnik zamierzał dotrzeć do Tybetu względnie bezpieczną drogą przez Rosyę i Turkiestan; otrzymał był

nawet w tym celu wszelkie pozwolenia i ułatwienia rosyjskich władz, wyrobił sobie jeden angielski i dwa chińskie paszporty, wziął listy polecające od lorda Salisbury i od Sekcyi geograficznej British Museum, gdy naraz doszła wieść o wybuchu wojny grecko-tureckiej i obsadzeniu przez Rosyan granicy afgańskiej. Tędy więc była droga zamknięta. Landor jednak nie namyślał się długo, wyjechał do Bombaju, skąd do „świętego kraju Lamów“ mógł się dostać przez góry. W Bombaju zastał upał, ulice opustoszałe, hotele w nieładzie z powodu dżumy, miasto przesiąknięte wonią środków dezynfekcyjnych, a domy w bardziej nawiedzonych dzielnicach pomazane czerwonymi kółkami, oznaczającemi liczbę wypadków śmierci: na jednym domu naliczył kółek 49... Nie było tu poco popasać. Nazajutrz zatem wyruszył dalej i po kilku dniach drogi stanął u podgórza Himalajów w dolinie Naini, w letniej rezydencji rządu północno-zachodnich prowincyi. Tu zakomunikował władzom swoje zamiary i nie usłyszał ani słowa nagany albo przestrogi: Niemieszanie się do spraw bliźniego jest jedną z kardynalnych zasad angielskich. Znany jest ogólnie ów Anglik, gniewający się na towarzysza wagonu, zwracającego mu parękróć uwagę na ogień z cygara, spadający mu na ubranie: „A dajże mi pan święty spokój! Już od dobrej chwili własny surdut pański się pali a ja pana nie nudzę!...“ Podobnie i urzędnicy podhimalajskiej krainy wstrzymali się od „nudzenia“ Landora przestrogą. Co prawda podróż po dzikich krajach nie była mu nowiną, mógł więc sam stanowić o sobie. Nadto przybywał całkowicie wybrany, z zapasami żywności, amunicyi, narzędzi naukowych, fotograficznych i malarskich, więc pomyśleli może — iż kosztów szkoda... Bez wahania tedy młody podróżnik puścił się w drogę. W Almora, ostatniej europejskiej „stacyi“, obsadzonej dwoma pułkami ze szczepu Ghurków, postarał się o tragarzy i o służącego dla siebie; wkrótce też zgłosił się do niego Hindus dość przystojny i młody, w turbanie, odziany w ciemną koszulę flanelową, wywieszoną z pod aksamitnej kamizelki, oraz spodnie spadające na bosc nogi. Przyjął go, bo miał twarz szczerą i wyrażał wielką ochotę udania się do Tybetu. Pierwsza jednak próba wypadła fatalnie:

wychodząc, dał mu do czyszczenia trzewiki; powróciwszy zaś dopiero wieczorem, zastał pocziwego Czanden Singa wciąż czyszczącego też same trzewiki. Tarł je był przez cały dzień, używając do tego szczotki od sukien, od paznogi, od włosów... Już mieli się rozstać, gdy jakiś Anglik ostrzegł Landora, że Czanden Sing jest drogocennym nabytkiem: dotąd wprowadzić czyścił nie buty, ale społeczeństwo: był policyantem i to niezwykłej miary. We wsi jednej odkrył wielkie złodziejstwo i licznych winowajców przywiódł przed sąd; musiał jednak przez to narazić się wyżej postawionym ludziom, gdyż go za całą nagrodę oddalono ze służby.

Czanden Sing tedy towarzyszył Landorowi na północ do Askot, miasteczka uwieszonego na stoku okrągłej a śpiczastej góry, na której szczycie wznosi się nowy pałac miejscowego Pejiwara, zdobny w rzeźby i opatrzony niemal europejskim komfortem. Zajazdy zato w tych stronach zostawiają nieco do życzenia; składają się z rodzaju szałasów, między którego niedopasowaniami deskami można przez dziury oglądać okolicę i przyjmować zarówno promienie słoneczne jak i deszczowe kąpiele. Istnienie ich jednak jest jeszcze względną cywilizacją. Opodal od Askotu, w parowach, gęstą zarośniętą dżunglą, mieszkają Raoci, lud albo raczej pozostałość z ludu niegdyś zapewne potężnego w tych górach. Po dziś dzień bowiem Raoci mienią się być królewskiego rodu, wymagają, aby im się kłaniano, a sami nie oddają ukłonu. Tak bardzo dbają przytem o swą odrębność i niezawisłość, że do r. 1897 żaden obcy nie był widział ich siedzib. Łatwo pojąć, iż wszystko to rozbudziło ciekawość Landora. Z dwoma przewodnikami poszedł ku dżungli, aby „leśnych ludzi“ oglądać. Uszedłszy kilka kilometrów, zaczęli się spuszczać z góry po pochyłości tak stromej i ślizkiej od zaścielających ją igieł jodłowych, iż ledwie na bosych nogach można się było utrzymać. Po chwili natrafili na słaby ślad ścieżki a wkrótce potem ujrzeli postać ludzką, kryjącą się za drzewa. Był to dziko bardzo wyglądający mężczyzna, nagi i nieczesany, z długim, na ramiona spadającym włosiem i rzadką brodą. Spoglądał nie-



uśnie i, zapytany przez przewodnika, odmówił zrazu zaprowadzenia gościa do siedzisk swoich współbraci.

— Żaden biały człowiek — odpowiedział — nie wszedł nigdy do naszej ojcowizny; wszyscybyśmy pomarli, gdyby któregośkolwiek noga u nas powstała. Duchy gór powstrzymają was — nie my! Cierpieć będziecie bole wielkie, gdyż duch, który czuwa nad Raotami, nikogo do ich siedzib nie wpuści!

Landor dał mu rupię, którą on przewracał w rękę i ważył.

— Możecie iść — zamruczał — ale pożałujecie. Wielkie na was spadnie nieszczęście. — A w tonie jego było coś tak dziwnie ponurego i podnieconego, jak gdyby istotnie przez usta jego groziła niewidzialna potęga: Landorowi zrobiło się nieswojsko. Pomimo grózb jednak, rupia podziałała skutecznie, Raot bowiem zaczął iść wskazując drogę a szedł tak szybko, skacząc jak małpa przez powalone kłody i sterczące głazy, iż idący za nim ledwie nadażyć mu mogli. Ścieżka stawiała się coraz to wyraźniejszą, biegnąc wzdłuż brzegu stromego, gliniastego parowu, aż, spoceni i zadyszani, stanęli przed głęboką grota, otwierającą się u szczytu jaru. Tu na półkolistej platformie, obwarowanej szaniami z przewróconych drzew, spoczywało kilkunastu ludzi; z tych jedni leżeli, drudzy siedzieli na piętach z rękami wspartymi na kolanach. Byli niemal nadzy, jeden palił suszone liście w fajce indyjskiej. Niespodziewany widok obcych wywołał wyraz bolesnego zdziwienia, w którym jednak nie było obawy. Po chwili dwóch starszych skoczyło na nogi, szaloną gestykulacją wzbraniając przystępu przybyszom. Landor nie zważając wszedł pomiędzy nich.

— Tu krom Raotów nie był żywy człowiek — zaskrzeczał jakiś starzec z największą złością. — Umrzecie! Obraziliście Boga! — Zgiął kolana, pochylił grzbiet i głowę jak byk, gdy bodzie, miotając zaciśniętymi pięściami i twarz marszcząc wszertz, tak iż nozdrza roztwierały się szeroko a z ust i oczu tworzyły się ciemne pręgi od ucha do ucha. Po rysach, po kształcie czaszki i wyblakłych źrenicach znać było zezwierzęcenie, wynikłe z rozpasania najdzikszych i najbrudniejszych chuci. Niektórzy z towarzyszy wtórowali mu, inni zachowywali się spokojnie, miano-

wicie dwaj młodzieńcy o smutnych, zmęczonych twarzach i gęstej, czarnej czuprynie; ci stali na boku ze spuszczoneymi, wielkiemi oczami i głową apatycznie zwieszoną. Z pomiędzy tamtych pierwszy opanował się chłopak o dziwnym typie, jakoby mieszaniec Murzyna z Mongołem. Ten, nie zważając na starego, jął za pomocą nerwowych gestów uspokajać współbraci i to tak skutecznie, że wkrótce Landor mógł się na ziemi w kole Raotów. Przemyślnie rozdane srebrne pieniążki dokonały dzieła; oglądano je i ważono: „ludzie leśni“ znali równie dobrze jak ludzie miejscy wartość i pożytek mamony. Dzięki jej młody Anglik mógł fotografować do woli, zaprowadzono go nawet do mieszkań na drugą stronę jaru, przy przebyciu którego mnóstwo rąk wyciągało się co chwila, by gościa od upadku uchronić. Chaty były nad wszelki wyraz ubogie, duszne i brudne, sklecone z nieforemnych bierwion, a pokryte suszonym ziołem. Jedyny sprzęt, obok drewnianych toporów, stanowiły równie drewniane miski, wyłobione ostrzem lichych noży hinduskiego wyrobu. Z fabryk indyjskich też pochodziły tanie tkaniny, składające odzienie kobiet. Większość chat przedzielona ścianą na dwie połowy, służyła za mieszkanie dwóch rodzin. Do niedawna pożywieniem Raotów były wyłącznie zwierzyna i ryby w pobliskiej rzeczulce łowione; obecnie poznali użytek zboża i są, jak wszyscy dziecy, ogromnie chciwi na wódkę. Kobiety wydały się Landorowi mniej od mężczyzn nieprzyjemne i dzikie, nos mają okrągły, policzki mocno wystające, czoło niskie i czaszkę potwornie małą, nie są jednak, mimo idyotycznego wyglądu pozbawione intelligencji. Dzieci, sądząc z ryciny, chude są i brzydkie — wogóle ten „ród królewski“ dziwnie mizernie wygląda. Po powrocie z parowu przykra scena powitania odnowiła się; starzec, ten sam co na Landora od początku się srożył, jął znów nań miotać złowrogie swe wróżby: — Tyś pierwszy oglądał siedziby Raotów, więc będziesz cierpiał wiele, bardzo wiele. Bogowie są gniewni na ciebie.

— Nie zważaj pan, to dziecy ludzie — pocieszał przewodnik. — Zresztą i ja tu pierwszy raz jestem, więc i mnie się dostanie.

— Ty również będziesz cierpiał — zawyrokował stary. Pro-

roctwa jego wywierały widoczne na otaczających wrażenie; patrzyli w uroczystem milczeniu, jak Landor składał fotograficzne przyrządy, nie odpowiadając na jego pożegnalne słowa, czuł, że go mają za skazanego człowieka. I znowu zrobiło mu się nieswojsko, a choć niepokój wkrótce przeminął, przyszedł czas, gdzie wśród strasznego cierpienia przypomniawszy sobie ponurą groźbę Raota.

Wycieczka do „leśnych ludzi“ zabrała niecały dzień. Wracając do miasta Landor doznać musiał pewnego uczucia zazdrości na widok pobielonego wapnem i siedzącego w popiele fakira: Cóż to za jeden? — zapytał. — To pielgrzym przybywający od świętego jeziora Mansarowar — brzmiała odpowiedź — przez lato wielu tam chodzi. Jezioro Mansarowar zaś, jedna z najbardziej czczonych miejscowości Tybetu, było pierwszym celem jego podróży. Tem raźniej nazajutrz wyruszył w drogę. Przed nim okolica była cudna, malownicze wzgórza ocienione lasami, potem za rzeką Gori długa, głęboka dolina, wzdłuż której ogromny potok Kali w szalonym biegu toczy swe fale z północy ku oceanowi. Kali stanowi granicę między Nepałem a ziemią Kamaon, a nie jest to granica jedynie polityczna lub namalowana na mapie jak tyle innych na świecie. Tu kraj po obu brzegach jest różny. O ile strona Nepału, wesoła i ludna, zieleni się od uprawnych pól, o tyle druga strona opustoszała i smutna. Gdzieniegdzie tylko sterczą chaty puste, nieraz bez dachu, schroniska pasterzy, którzy tu w zimie schodzą z gór ze swojemi trzodami. W lecie upał zbyt wielki, pomimo gęstego cienia drzew, pomimo rzek i wodospadów szumiących wśród skał. Landor przy jednym z tych wodospadów odpoczął w południe; widok był cudny, niebo przejrzyste, woda z wielkiej wysokości leciała na omszałe skały wydrążone w formie parasola czy grzyba, dokoła jednak było samotnie, tylko małpy o czarnych twarzach i siwych brodach wykrzykiwały złośliwie. Znajdował się na ziemi Szokasów, dzielącej właściwie Indye od zaklętego Tybetu, był na terytorjum angielskiem, dziwił się przeto, spotykając tu sporo chat tybetańskich. Im dalej szedł na północ, tem ich było więcej.

Główną osadą zimową Szokasów jest Dardżula, pięknie położona nad rzeką. Metodyści założyli tu misję z apteką i szpitalem, zostającymi pod opieką dwóch Amerykanek, Miss Sheldon (dr. med.) i Miss Brown. Panie te, jak świadczy autor, zalecają się poświęceniem i rozumem, równie jak i prostotą. Zda się wszakże, iż nie mieszkają stale w Dardżuli, Landor bowiem spotkał je w innej miejscowości, gdzie, obok własnego domu, utrzymują rodzaj schroniska dla nawróconych krajowców. W okolicy lubiane są pono i szanowane wielce; zdarzyło się pono niejednokrotnie, że Miss Sheldon rozdała między głodnych całe swe zapasy żywności lub zdjęła część odzienia, aby nią przyodziać nagiego. Nie dziw, że wpływ jej jest wielkim wśród ludu łagodnego i częściową obdarzonego oświatą. Główną zaporą jej propagandy jest istniejący obok tej oświaty zabobon; sama wiara w duszę, rozłączającą się z ciałem przy śmierci, daje powód do najdziwniejszych guseł. Nad zwłokami odprawiane bywają przeróżne obrzędy, aby duszę nieboszczyka wpędzić w kożę lub jaka (rodzaj bawołu); w końcu zaś mordują biedne zwierzę, gnając je najczęściej nad stromą przepaść i zmuszając do zabójczego skoku. Wtedy dopiero uznają duszę zmarłego za oswobodzoną.

Kraj stawał się coraz bardziej górzystym. Landor, przebywszy rzekę Rankuti, wspinał się coraz wyżej, a w miarę jak się wznosił odsłaniał się od strony Nepału wspaniały grzebień śnieżystych szczytów. Dziwne to bardzo góry, według rysunków, do żadnych innych gór niepodobne: rzekłbyś, zolbrzymiałe Alpy, z ponad grzbietów których strzelają jeszcze w niebo wysokie turnie, śpiczaste, poszarpane, zębate. Skłony pomiędzy linią lasów a początkiem śniegu świecą ceglastą, golusienką skałą, zdają się nieprzystępne: istny mur, broniący wejścia do środkowej Azji. Tam nawet, gdzie wysokość jest średnia, nie podobna wprost szczytów dosięgnąć; idzie się w zygzak ścieżką złożoną w glinie lub wykutą w głazie. Do Tybetu prowadzą dwie drogi: jedna wzdłuż rzeki Kali na przejście Lippu, stosunkowo niskie, choć już przez linię śniegów biegnące, druga doliną Darma, brzegiem rzeki Doli. Tą ostatnią płynie za pośredni-

ctwem Szekasów handel między Tybetem a Hindostanem. Od północy idą skóry, boraks, sól, wełna, sukno i niektóre narzędzia; od południa srebro, pszenica, ryż, mąka owsiana, cukier, pieprz, paciorki szklane i wszelkie indyjskie wyroby. Droga ta, prowadząca wielkimi wyniosłościami, często ponad przepaścią, na której dnie szumi i wre potok Doli, zrodzony z himalajskich lodowców, uchodzi za bezpieczniejszą, Landor jednak, na wzór wielu krajowców, obrał szlak brzegiem Kali — na Lippu. Szlaku istotnie bezpiecznego tu niema; cała pograniczna kraina jest najeżona szczytami, poprzerynana w skaliste przepaści. Niepodobna spamiętać nazw krzyżujących się łańcuchów gór albo gleczerów ciągnących się nieraz tak długo, że im krajowcy, jak rzekom w Syberyi, podwójne lub potrójne dają imiona.

Trzy górskie okręgi czyli *pargany*, Darma, Czandas i Bias, zamieszkałe są przez szczepy tybetańskiemu pokrewne. Cały kraj nosi ogólną nazwę Both (inaczej: Bod, Pote, Tüpöt); Hindusi wszakże oznaczają przez nią jedynie część obejmującą trzy wyżej wymienione prowincye, zawarte między rzeką Kali, odgraniczającą na południowy wschód od Nepalu, a od północy i zachodu łańcuchem najwyższych gór himalajskich. Both, w rozmiarach, jakie rozumieją Hindusi, jest, jak dotąd, terytorjum spornem. Landor pisze o niem ze swego punktu widzenia: górny kraj, Darma, Czandas i Bias, jest nominalnie posiadłością angielską, lecz w rzeczywistości panują tu Tybetanie. Tłumnie, z tyśiącami trzód, ściągają oni w zimowej porze ku południowi i wypasają pastwiska, niszczą lasy, rzekomą własność rządową, odchodząc zaś na wiosnę, każą sobie ogromne zapasy drwa dostarczać. Krajowcy, Szokasi z Darmy, boją się ich jak ognia; o wiele szlachetniejsi, typem raczej do aryjskiego szczepu zbliżeni, dorastają zaledwie do ramion przeciętnym Tybetańczykom<sup>1</sup>. Ustępując na każdym kroku przed ich zuchwalstwem i siłą, nie

---

<sup>1</sup> Tak przynajmniej przedstawia się fotografowana przez autora grupa Szokasów z Darmy i Tybetańczyków. Niektóre z twarzy mężczyzn Szokasów pasowałyby do europejskiego surduta: rysy są cienkie, nosy długie, oczy otwarte, broda i wąsy po europejsku strzyżone. Poniżej jednak są inne typy, zapewne z dalszych okolic, bardziej do mongolskiego podobne.

śmia im odmawiać posługi, przenoszą im bezpłatnie drzewo przez śnieżyste szczyty, płacą bez szemrania bezprawnie wymagane cła i daniny, oddają bez oporu żadaną odzież lub żywność, co gorzej, sprawy swe noszą przed sądy tybetańskie, a nie angielskie. Czem w Sudanie był do niedawna Tuareg względem Murzyna, tem jest na stokach himalajskich Tybetańczyk względem Szokasa. Wielu Tybetańczyków corocznie zapędza się aż po Kalkutę i Bombaj. Ot są — dodaje autor — łagodni Tybetanie, cichy lud pustelników, w kraju swoim zawarty! A szkoda zaprawdę Szokasów. Z Chela, większej osady (czy też miasteczka, bo się grubo czerni na mapie), Landor, idąc wciąż w górę zygzakiem, doszedł do Punga, gdzie po chwili ujrzał przychodzącego doń z wyciągniętą ręką przystojnego młodzieńca: — Jam chrześcijanin — rzekł, przedstawiając się w piękny sposób, poczem dopiero wymienił swoje nazwisko i urząd nauczyciela miejscowej szkoły. Punga jest osadą tkaczy. Szokasi a raczej Szokaski, skulone całymi dniami przy niedogodnych warsztatach, wyrabiają tu tkaniny białe i kolorowe z wełny mało odłuszczonej, co niezbyt przyjemne w dotknięciu, nadaje im wielką zaletę — nieprzemakalność. Młode, pracujące według nowszej mody, wyrabiają koce czy też dywany, naśladujące koce chińskie, do których wzory mają z Tybetu; na oko wyroby te przypominają też dywany perskie, są jednak mniej miękkie, bo robione na podkładzie grubej maty nicianej. Najwięcej używanymi barwami są: czerwona, niebieska i zielona, żółta jest rzadką; rysunki są geometryczne, niekiedy wykonane nadzwyczaj sztucznie. W Punga Landor usłyszał pierwszą przestrożę, która winna była powstrzymać go w drodze. Stary Szokas, powracający z Garbyangu, oznajmił mu, iż szlak na Lippu nie możliwy jeszcze do przebycia, bo zbyt gęstym śniegiem okryty, a nadto, że dowódca twierdzy czyli Jong Pen z Taklakotu<sup>1</sup>, ośmielony bezkarnością zeszlorocznego napadu na porucznika Gaussena, obsadził 300 zbrojnymi ludźmi granicę. Prócz nich należało jeszcze strzedz się Dakoitów czyli zbójów, bardzo licznych obecnie.

---

<sup>1</sup> *Takla kot* czy *Takla char* znaczy: twierdza Takla.

Próżno jednak było przestrzegać. Młody podróżnik śmiał się ze śniegów, bo miał chwilowo przed sobą prześliczną drogę. Kraj wydawał się olbrzymim, górzystym parkiem, bogatym w cedry libańskie, buki, dęby i jawory podszyte krzakami bambusu i rododendronu. Wpółśród zieleni szemrały strumyki a w dole, o 600 m poniżej, srebrzył się Kali, wijący się w gwałtownym biegu między lasistymi wzgórzami.

Od Gibti zaczyna się Nerpania, „Bezwodny szlak“, którym, prócz ludzi miejscowych, niewielu przeszło wędrowców. Uchodzi za bardzo niebezpieczny i musi nim być w istocie dla zwykłych śmiertelników. Droga a raczej ścieżka wązka niekiedy na 15 cm ciągnie się wzdłuż prostopadłej skały o 300—350 m wysoko nad znów prostopadłą przepaścią, na której dnie płynie Kali. Tam, gdzie nie było miejsca na ścieżkę, wbito w ścianę skalną deski i przykryto je kamiennymi płytami, po których trzeba przechodzić. Aż zawrót chwyta na myśl, jak tę robotę wykonać zdołano. Ale nie na tem koniec. Skała w trzech miejscach przerywa się i trzeba „z góry na łeb“ schodzić, nierówno wykonanymi stopniami, nato, aby, ledwie zeszedłszy, zacząć podobnymi schodkami wdrapywać się na przeciwległą skałę. Można sobie wyobrazić drabinę o kilkuset szczeblach i to bez drągów, o które się można zaczepiać rękami. Landor skarży się tylko, że droga ta „jest nudna“, przestaje nią być wszakże przy trzecim załomie; odtąd bowiem widok jest tak cudowny, że się zapomina o trudzie. Nerpania kończy się w miejscu zwanem Lahmari. Zaledwie jednak opuściło się skalną „bezwodną“ ścieżkę, aliści gęsty deszcz skrapia spocone czoła i odzienie podróżnych: to wodospad, z wielkiej wysokości lecący, rozpryska się na 30—40 metrowej przestrzeni. Odtąd droga już gładzsza i szersza prowadzi do uczepionej wysoko u skłonu góry Czai większej osady Buddi, gdzie bogaty kupiec szokaski założył kantor dla tybetańskich towarów, potem znów od wsi na skalistą górę, skąd najpiękniejszy widok na dolinę Kali i piętrzące się szczyty śniegowe.

Z Buddi już niedaleko do osady Garbyang, która miała być ostatnią po angielskiej stronie dłuższą stacją Landora. Była

nawet dłuższą, niż się spodziewał, gdyż nie tylko napotkał trudności w odnowieniu tu swojej bandy tragarzy, ale i kłopoty pieniężne. Nie chcąc przez drogę nosić dużo srebra, zamienił je był w Almorze na czek, płatny u jakiegoś kupca w Garbyangu. Gdy przybył atoli, kupiec był nieobecny, trzeba więc było wyprawić posłańca po srebro do Almory i czekać. Czekał więc, a tymczasem śniegu przybywało w górach i „passy“ stawały się co dnia do przebycia trudniejsze. Jedyłą pociechą było bliższe obznajomienie się ze stosunkami. Mieszkańcy Garbyangu przyjęli go dobrze; wiedzano naprzód o jego przybyciu, więc mu przysposobiono namiot, odpowiadający rozmiarami godności tak znamienitego *sahiba* (używanie małego namiotu uchodzi za rzecz poniżającą w oczach szokaskich *snobów*), cała ludność z wyżyny płaskich dachów przyglądała się wejściu karawany i witaniu jej przez miejscową starszyznę, gdy jednak przyszło do werbowania ludzi, poczęto się ogólnie wymawiać. I nie dziw: Szokasi nie radzi spotykać się z Tybetanami, od których tyle cierpień i cierpią. Raporty urzędników angielskich z ostatnich lat zawierają niejednen opis okropnych tortur, zadanych angielskim poddanym, schwytanym na angielsko-indyjskiej ziemi. Urzędnicy ci są tak bezsilni, że Jong Peu Taklakotu (w Tybecie) co roku, „z przyzwoleniem wielko-brytańskiego rządu“, rozsyła komisarzy dla poboru podatku gruntowego z angielskiej ziemi. Sam Peszkar ściaga te daniny i w Garbyangu urzędnikom tybetańskim oddaje. Prócz tego haraczu zaś Szokasi płacić muszą rozmaite podatki i niesłuszne cła handlowe, a płacą je — ze strachu. Z europejskiej strony nie mają żadnej obrony. Pod najłżejszymi pozorami Tybetanie wiążą ich, uprowadzają, męczą, nakładają im niemiłosierne grzywny lub konfiskują ich własność. Za pobytu Landora w Garbyangu można było spotkać niejednego Szokasa okaleczonego z rozkazu tybetańskich władz. W r. 1896 np. zaszedł następujący fakt: zamożny kupiec szokaski, niewątpliwy poddany angielski, przekroczył granicę wioząc swój towar na targ tybetański. Tu pokłócił się z innym Szokasem, także poddanym angielskim, z czego, wiedząc, że jest bogatym, skorzystali urzędnicy tybetańscy. Jong Peu skazał go na sza-



lenie wysoką grzywnę oraz 200 batów, a gdy kupiec protestował, dowodząc, iż nie nie przewinił, kazał natychmiast karę wykonać i w dodatku uciąć mu obydwie ręce. Zbitego, okrytego ranami powiedli żołnierze na wzgórek, gdzie miała być dokonana egzekucya. Szokas atoli był niezwykle silnie zbudowany; po krótkiej walce wyrwał się z rąk oprawców i uciekł. Wtedy żołnierze pognali za nim i, dawszy ognia do uchodzącego, powalili go rannego o ziemię; poczem na bezbronnego już rzucili się zajadle, bijąc i deptając. W końcu zmiażdżyli mu między kamieniami każdy palec z osobna i, w tym stanie już, powlekli przed Jong Peua, gdzie mu głowę ucięto. Działo się to wprawdzie w Tybecie, ale zamordowany był poddanym królowej Wiktorji, to też komisarz rządowy w Almorze, Slurt, dał znać o całym zajściu i o wielu podobnych do wicekróla Indji. Odpowiedzią było milczenie. Dopiero gdy tegoż roku nastąpił napad na polującego na granicy porucznika Gaussena, rząd poruszył się nieco, bo już chodziło o mundur angielski. Wysłano z Almory do do Garbyang poborcę podatkowego Larkina z misją żądania satysfakcyi. Larkin jest Anglikiem starego typu, energiczny, prawy, niezłomny; postawa jego wzbudziła nadzieje Szokasów i respekt Tybetańczyków: ów Jong Peu, hardy i okrutny wobec bezbronnych, obecnie wezwany aby się osobiście stawiał, przybył z drużyną swoją w pełzającej pokorze, nawet wybieranie gruntowego podatku na razie ustało. Niedługa jednak była radość: Larkina niebawem odwołano, a że następcą jego mniej się okazał stanowczym, wnet Tybetanie poczęli się rządzić na nowo na ziemi angielskiej i obdzierać angielskich poddanych.

Przymuszony pobyt w Garbyangu dłużył się Lendorowi; co prawda, miejsce jest piękne: szeroka kotlina, gęsto po obu bokach zarośnięta, z szumiącym w pośrodku potokiem Kali i roztwierająca się nagle na lewo na szerszą dolinę, poza którą bieleją wierzchołki gór. Piękności te jednak nikły zbyt często pod falą ulewnego deszczu, który na wyżynach zamieniał się w śnieg, utrudniając możliwość podróży. Dla rozerwania się, Lendor postanowił na dzień swych urodzin wyprawić sobie ucztę, zakupił tedy zapasy, mąkę, *czapatis*, rodzaj miejscowych

placków, ryż, masło, cukier i t. p. a nadto owcę, którą Czanden-Sing oprawił i rozkładał, poczem wszystkie te skarby w wielkich naczyniach miedzianych umieścił w najbezpieczniejszem miejscu: pod swoim łóżkiem w namiocie. Kładąc się jednak, zauważył ze zdziwieniem kupę kamieni, którą mu przezorny Indyanin ustawił pod ręką. — A to na co? — zapytał. — Na psy — odparł Czanden Sing — włóczy ich się tu co niemiara. Lander roześmiał się i zasnął; w nocy atoli zbudził go dziwny hałas mlaskania i chrupania; zapalił śpiesznie zapalkę i ujrzał wkoło siebie gromadę kundli, uczujących swobodnie na jego koszt. Nuż tedy krzyczeć i miotać na chybił trafił artyleryą przysposobioną przez Czanden Singa, naco psy w nogi, unosząc w pyskach niedojedzone kawały mięsa i kości, jednemu przecież dostało się kamieniem, o czem dał znać przeciągiem a żalosnem wyciem. Było to jednak jedyne zadosyćuczynienie za poniesioną krzywdę; nazajutrz rano Lander kiwał posępnie głową nad resztkami mąki i ryżu, rozwleczonemi po całym namiocie i dopiero zaproszenie na obiad do komisarza rządowego, świeżo przybyłego z podróży, zdołało go zupełnie pocieszyć.

Zda się jednak, iż owa psia awantura dała do myślenia krajowcom. Każdy Szokas jest urodzonym dżentelmanem — pisze Lander. Powiedzieli sobie tedy, iż nie godzi się im obcego gościa zostawiać w namiocie, gdy we wsi stoją murowane domy. Wprawdzie, według rycin, w wielu z tych domów brak schodów na wyższe piętra i trzeba na nie po zewnętrznej wychodzić drabinie, jest jednak kilka bardzo porządných, posiadających schody i drzwi misternie rzeźbione, okna o bardzo regularnych kształtach i obramieniu czerwonym. Do takiego domu zaproszono, a raczej siłą ze zbytku gościnności powleczono, Landora: było to coś w rodzaju odejmowania kół od powozu, praktykowanego u nas *in illo tempore*... Dano mu dwie schludne izby na piętrze, z łóżkiem, modą krajową ozdobnem, ze stolikiem i paru trzcinowemi krzesłami, wysłanemi skórą; nie zapomniano i o przysmakach, do których tu już kundle nie miały dostępu. Rzadko jednak, biedak, obiadował w domu; codziennie prawie przychodził który z bogatszych kupców, lub dwóch, trzech razem i, biorąc

go pod ręce, prowadzili go przemocą na biesiadę, gdzie wiele potraw podawano dobrych, ale trzeba je było palcami nieść do ust i gdzie było się zmuszonym spożywać herbatę z masłem i solą!

Wśród tych szokaskich rozkoszy młody podróżnik nie przestał się niecierpliwić. Zaledwie się wypogodziło dnia 6 czeuwa, przedsięwziął wycieczkę dla przekonania się naocznie o stanie „passów“. Przebywszy dwakroć rzekę, doszedł do Gungi, gdzie oglądał dwie dziwne turnie, jedną Nabu w kształcie wysokiej granitowej kopuły i drugą Gungi Szankow, sterczącą nakształt krągłej olbrzymiej wieżycy. Przenocowawszy, dotarł do śnieżnych pól. Powierzchnia tychże była dziwnie twarda i ślizka, tak iż trzeba było za każdym krokiem okutym drągiem miejsce na stopę wyciosywać. Landor czynił to, mianowicie spuszczać się z wysokości 90 metrów ponad skalistym potokiem. Naraz jednak oszczep jego zawadził o lód czy o kamień, on sam zaś, tracąc równowagę, padł na wznak i sunął po śniegu z błyskawiczną szybkością wśród krzyków przerażenia towarzyszących mu kulisów. U stóp jego już blisko był potok, a w nim niechybna śmierć. Szczęściem, na czas jeszcze coś czarnego zamajaczyło przed jego oczami; zrozumiał, że to jeden z głazów, sterczących u brzegu. Wyprężył tedy nogi, które wnet uderzyły o kamień. Wstrząśnienie było straszliwe, zrazu zdało mu się jakoby mu każda kość zgruchotała się w ciele; po chwili jednak mógł wstać. Co więcej, poszedł dalej, odnalazł utracony szlak i, po przenocowaniu w górskiej osadzie Kuti, nazajutrz polował na gemzy! Polował atoli na próżno; śnieg topniał pod znów padającym deszczem, grożąc zapadnięciem się w niewidzialne przepaści lub w wodę. Zamiast tedy iść naprzód, musiał Landor do Garbyangu powrócić.

Miał on tu prócz gościnności Szokasów wielką pociechę w towarzystwie d-ra Wilsona, dzielnego a pocziwego Anglika, pracującego z poręki metodystów nad założeniem apteki. Pewnego dnia pił sobie najspokojniej herbatkę w mieszkaniu doktora, gdy naraz dom cały się zatrzęsł, *czapatisy* stoczyły się ze stołu, a naczynia jęły wzajemnie się wywracać krom pełnego

czajnika, który Wilson instynktownie pochwycił i tulił do piersi. Było to niegwałtowne trzęsienie ziemi, wkrótce więc ochłonęli i poczęli się śmiać z uratowania herbaty, gdy gromada wylekłych Szokasów wpadła do izby.

— Dokąd poszło? — spytało kilka głosów.

— Co?

— Alboście nie czuli? Zapowiedź klęski — duch ziemi ocknął się i wstrząsa grzbietem!...

W mniemaniu ich bowiem w środku ziemi leży uspiiony olbrzymi gad, w kształcie potwornej gąsienicy; od czasu do czasu budzi się i porusza: huk poprzedzający wstrząśnienie to jego oddech. Zdają sobie przytem sprawę, iż trzęsienie ziemi posuwa się zawsze w jakimś kierunku a nie jest zjawiskiem czysto lokalnem. Tym razem „robak“ miał widać sny łagodne, bo przebudzeniem swoim nie wyrządził szkody. Zato innych wrażeń nie brakło. Opowiadano wiele o himalajskich zbójcach; dotąd ich w Garbyangu jakoś nie było, aż raz Landor, wyszedłszy na przechadzkę poza wieś, ujrzał trzech drabów, którzy na widok jego poczęli biec ku niemu machając w powietrzu szablami i krzycząc: *Rupiya! Rupiya!* Zrozumiał, że wszystkim zbójom na świecie chodzi zawsze i jedynie o pieniądź czy to w formie dolara, dukata czy rupii, więc delikatnie a skrętnie usunął się z drogi. Jakiemżę było jego zdziwienie, gdy powracając do wsi zastał swoich „rozbójników“ odpoczywających po dalekiej drodze i bardzo zgorzornionych przyjęciem, jakiego od niego doznali. Byli to trzej posłańcy od bankiera z Almory przynoszący mu chciwie oczekiwane pieniądze. Było tego 1800 rupii drobnemi, a zatem ciężar, któremu trzech ludzi ledwie podołać mogło.

Teraz już można było myśleć o wymarszu, choć ten coraz to przedstawiał się groźniej. Landor dowiedział się był, iż jego obecność i zamiary przed Jong Peuem w Taklakocie zdradzono, zauważył też od pewnego czasu kręcących się w Garbyangu tybetańskich szpiegów. Jeden z nich nawet wszedł do jego mieszkania, nie był wszakże biegłym w dyplomacyi, gdy bowiem Landor wdał się z nim w rozmowę, ośmielił się oświadczyć mu

w twarz, iż Anglicy są tchórzami, którzy Tybetanom nie odważą się wzbronić działać według upodobania w ziemi Szokasów. Zarzut zawierał część prawdy, więc tembardziej rozsierdził młodego Anglika. Po chwili Tybetańczyk, chwycony za warkocz, wydawał nieludzkie wrzaski pod policzkującą go dłonią, potem padł na podłogę, błagając łaski. Wtedy Landor widząc, iż izba napełniła się zbiegłymi na krzyk Szokasami, kazał mu w ich obecności wylizać sobie buty, co ów, tak hardy przed chwilą, szpieg pokornie wykonał. Następnie, wyrzucony za drzwi, padł pod kij Czanden Singa, który, nie wiedząc, o co chodzi, ale widziawszy gniewną twarz swego pana, dokończył w podwórzu zaczętej w izbie egzekucyi. Tybetańczyk rosły i tęgi dał się za warkocz włożyć po ziemi, aż Landor, spostrzegłszy, co się święci, kazał go puścić. Fakt ten wystarcza, aby dać pojęcie o charakterze Tybetańczyków, jakich Landor poznał na pograniczu: hardy wobec słabszego, pełzający przed siłą, jest mieszaniną okrucieństwa ze służbistością, chytrości z naiwnością, odwagi w walce z przyrodą z najpodlejszem tchórzostwem wobec najłżejszego objawu ludzkiej moralnej czy fizycznej przewagi. Zdawałoby się, iż z podobnym wrogiem każdy rząd europejski — rosyjski czy angielski — z łatwością sobie da radę. Tybet jednakże jest silnie obronny z jednej strony bezwodnemi pustyniami Pamiru, z drugiej groźną przestrzenią najeżoną najwyższymi na kuli ziemskiej szczytami.

(C. d. n.).

*Teresa Wodzicka.*

# ŚWIĘTY STANISŁAW BISKUP

## W ŚWIETLE ŹRÓDEŁ PÓŹNIEJSZYCH.

(Ciąg dalszy).

„Ależ Krzywousty — powiada Stefezyk<sup>1</sup> — upadkowi Śmiałego właśnie zawdzięcza swe panowanie, zatem mógł być obojętnym, jak przedstawia nadworny historyograf upadek stryja“. Nie trzeba atoli zapominać, że w r. 1112, tj. w chwili pisania kroniki, korzyść, osiągnięta przez młodszą linię Kazimierzowiczów z upadku i wymarcia starszej linii, dawno przestała być odczuwana, natomiast dla energicznego księcia, jakim był Krzywousty, nierównie drażliwszą była kwestya oporu poddanych przeciw władzy. Że zaś ta kwestya była aktualna właśnie w tych czasach, tego dowodzą ustawiczne walki ze Zbigniewem po 1113 rok, oraz nieco późniejszy bunt Skarbimira z r. 1117 przeciw Krzywoustemu i srogie ukaranie buntowników<sup>2</sup>. Z tem wszyskciem, jeżeli Gall na całą katastrofę króla rzuca zasłonę milezenia, a mimoto nie zaniedbał napiętnować biskupa mianem zdrajcy, chociaż sam przecież był księdzem, to widocznie zdrada biskupa była rzeczą tak notoryczną w Polsce, że nikogo nie razila, nawet episkopatu nie razila, któremu właśnie Gall pierwszą księgę dedykuje, a w przedmowie do niej zachętę, pomoc,

<sup>1</sup> „Upadek Bolesława Śmiałego“, *Ateneum* 1885, str. 281.

<sup>2</sup> Rocznik kap. krak. *M. P. H.* II, 797.

wskazówki do dzieła przypisuje, i pod którego sąd pierwszą księgę oddaje<sup>1</sup>.

Ta dedykacja pierwszej księgi episkopatowi jest dowodem, że on zdanie Galla w sprawie św. Stanisława podzielał, inaczej musiałby się autor obawiać, że rzuceniem takiej obelgi na biskupa krakowskiego zrazi sobie książąt Kościoła polskiego i nie osiągnie za ich sprawą pożądaney nagrody<sup>2</sup>. Chcąc owe zarzuty, na pierwszy rzut oka wcale uzasadnione, krytycznie zanalizować, musimy wpierv postawić pytanie, o czyje względy Gallowi bardziej chodziło, czy książęce, czy biskupie? Otóż pomimo wielu kadzideł palonych biskupom, zwłaszcza zaś Pawłowi i jego kanclerzowi Michałowi<sup>3</sup>, nie ulega wątpliwości, że jeżeli chciał korzyści większe rzeczywiście odnieść, a o to mu przecież chodzi, mógł je tylko od księcia otrzymać w tych czasach, kiedy biskupi byli tylko urzędnikami mianowanymi przez księcia. Biskupi mogli co najwięcej poprzeć sprawę obcego karyerowicza i o wstawiennictwo też biskupów się stara Gall, ale nagrodę godną pracy, wedle mniemania autora, mógł tylko sam książę wyznaczyć. Tam zaś, gdzie interesa osobiste w grę wchodzą, duchowieństwo XI i XII wieku kościelnego ducha, poczucia solidarności hierarchicznej, jaką się odznaczają w XIII wieku, jak najmniej posiada. Proszę przypomnieć sobie ów list 26 biskupów niemieckich do Grzegorza VII, zawierający najgorsze kalumnie przeciw papieżowi, napisany pod presją Henryka IV!<sup>4</sup> Proszę przypomnieć sobie tyle polemicznych artykułów przeciw papieżowi z tych czasów, właśnie przez księży pisanych, dzieła takiego Siegberta mnicha z Gembloux<sup>5</sup>, tudzież biskupa Benzona z Alby<sup>6</sup>,

<sup>1</sup> Stefczyk, l. c. str. 281.

<sup>2</sup> Gumpłowicz: „Bolesław Śmiały i biskup Stanisław“, *Kwartalnik Historyczny*, rocznik XII, 1898, zeszyt III, str. 517.

<sup>3</sup> Przedmowy do I-ej i II-ej księgi.

<sup>4</sup> Martens: *Gregor VII, sein Leben und Wirken*. Leipzig 1894, str. 92—94.

<sup>5</sup> *Dicta cuiusdam de discordia papae et regis*. Wattenbach: *Deutschlands Geschichtsquellen im Mittelalter*, t. II, str. 151, przypisek i str. 160.

<sup>6</sup> *Ad Heinrichum IV libri VII*. — Pertz: *M. G. SS.* IX, 591—681. — Wattenbach, l. c. str. 228. — Mirbt: *Die Publicistik im Zeitalter Gregors VII*, str. 395. Leipzig 1894.

lub kardynała Benona<sup>1</sup>, lub Widona<sup>2</sup>, pełne najbezczelniejszych pochlebstw wobec cesarza, a najnikczemniejszych obelg przeciw Gregoryanom, w których się roi od kłamstw i baśni<sup>3</sup>. Wszczęwładzę panującego w XI wieku trafnie charakteryzuje też czeskie przysłowie wedle Kosmasa: „Prawo ma nos z wosku, a król rękę żelazną i długą, aby nim mógł, gdzie chce kręcić“<sup>4</sup>. W wyższym stopniu mógł kręcić i kręcił niezawodnie opinią zwłaszcza tych, którzy łaski jego pragnęli i pożąдали. Że sąd Galla był takim woskowym nosem dla żelaznej ręki książęcej, dowodzi chyba i fakt, iż swoim kochanym braciom kapelanom książęcym i całemu klerowi ówczesnemu w Polsce uważa za potrzebne przypomnieć, iż należy sługom Bożym w Boskich sprawach Bogu duchowo służyć, a w rzeczach, które są cesarza, oddawać cześć świeckim książętom i być na ich usługi<sup>5</sup>.

Z tego wynika, powie kto, iż Gall tylko dmie w tubę dworską, ale czy dał w nią cały episkopat, za którego wskazówką pisze Gall swą pierwszą księgę? Co do tej kwestyi to przede wszystkim nadmienić wypada, iż powoływanie się Galla na inspiracyę i pomoc całego episkopatu należy przyjąć tak, jak wszystkie panegiryczne dedykacye, *cum grano salis*. Z kroniki samej mamy dowody, iż miał wiadomości od kanclerza Michała, którego zwie twórcą swej pracy (*opifex coepti laboris*)<sup>6</sup> i niezawodnie od biskupa poznańskiego Pawła<sup>7</sup>; słyszał niewątpliwie wiele od „pocziwego staruszka“ arcybiskupa Marcina<sup>8</sup>, dowiedział się i czegoś od Szymona, biskupa płockiego<sup>9</sup>,

<sup>1</sup> *Gesta Romanae ecclesiae contra Hildebrandum*. — Wattenbach, l. c. str. 229.

<sup>2</sup> *Wido ep. Ferrar. de scismate Hildebranti*. *M. G. SS.* XII, 148—179. — Wattenbach, l. c. str. 231/2.

<sup>3</sup> Wattenbach, l. c. str. 228.

<sup>4</sup> II, 8. *Fontes rer. Boh.* II, str. 80.

<sup>5</sup> Przedmowa do księgi III, str. 82. — Cfr. St. Kętrzyński, l. c. str. 19.

<sup>6</sup> Przedmowa do księgi I-ej, str. 1.

<sup>7</sup> Przedmowa do księgi II-ej, str. 40.

<sup>8</sup> *Senex fidelis* zwie go stale Gall. Ob. II, 16, 21, 38, zwłaszcza 43, str. 56, 59, 72, 75/6.

<sup>9</sup> II, 49, str. 80.



ale nie mamy najmniejszej wzmianki w Kronice samej, by znał Żyrosława, wrocławskiego biskupa, lub Maura krakowskiego. A przecież jeżeli od kogo, to od Maura mógł zasięgnąć najautentyczniejszych wiadomości o św. Stanisławie. Jeżeli mimoto biskupów śląskiego i krakowskiego wspomina na wstępie i przypisuje im pewne zasługi około dzieła swego, niechybnie to czyni z kurtuazji, by nie odmawiać jednym tego, co się drugim przyznało.

Zasługi też rzekome biskupów około dzieła, w tak dytambienny sposób opisane w przedmowie do pierwszej a zwłaszcza do drugiej księgi, ograniczają się chyba do najmniejszych rozmiarów, może tylko do otwarcia przystępu do przechowywanych w skarbcach katedralnych roczników i dokumentów, których ślady znajdują się w Kronice<sup>1</sup>. Na podstawie zaś dedykacji imputować biskupom wszystkim te same zapatrywania, co Gall, znaczy to samo, co czynić osoby, którym ktośkolwiek jakąś książkę dedykował, odpowiedzialnymi za wszystkie głupstwa w tej książce zawarte<sup>2</sup>.

Z tem wszystkiem przyznajemy, że biskupi oficjalnie przy najmniej nie przeczyli opinii dworskiej. Twierdzimy zaś to tem pewniej, iż jesteśmy w możności dowieść, że właśnie w chwili pisania dwóch pierwszych ksiąg, tj. r. 1112, biskupi wielkopolscy mieli wszelkie powody największą lojalność wobec dworu okazać. Trzeba sobie uprzytomnić, iż cała Wielkopolska, siedziba trzech biskupów: gnieźnieńskiego, poznańskiego i płockiego, to dzielnica Zbigniewa, z której tenże co dopiero wyzuty został, że właśnie przed wykończeniem drugiej księgi tenże Zbigniew z czeskimi żołnierzami robi napad na Śląsk, lecz sromotnie odpartym zostaje<sup>3</sup>. W tej chwili episkopatowi wielkopolskiemu na-

<sup>1</sup> Za tem zdają się przemawiać słowa: „Ni vestrae benignitati placuisse certas mihi metas interius aperire“. Przedmowa do ks. I, str. 2. St. Kętrzyński: „Gall Anonim“, str. 25.

<sup>2</sup> St. Kętrzyński przypuszcza, zdaniem naszym, słusznie, że dwie pierwsze księgi wywołały gniew duchowieństwa wyższego i że przedmowa do trzeciej księgi zawiera właśnie obronę Galla *pro domo sua*, apologię jego przekonań dworskich. L. c. str. 19—21.

<sup>3</sup> II, 50, str. 80.

leżało okazać największą lojalność wobec nowego pana tem więcej, że ten nowy pan wobec episkopatu okazuje się zupełnie bezwzględny, i nawet z arcybiskupem tak sędziwym nie robił żadnych ceregieli, gdy on całkiem słusznie bronił sprawy swego pana Zbigniewa. Bez skrupułu wtrąca wtedy młody książę sędziwego arcybiskupa, który jeszcze za jego ojca rozjemczą odgrywał rolę w rodzinie książęcej<sup>1</sup>, w Spicymierzu do więzienia i tylko z trudnością stąd go uwalnia na wieść, że się arcybiskupia siedziba poddała, nie puszczając go wszakże na wolność, lecz mimo to wlokąc go z sobą jako jeńca do Łęczycy<sup>2</sup>. Taki książę miał bez wątpienia żelazną rękę, a duchowieństwo wielkopolskie dopiero 100 lat później w osobie Henryka Kietlicza uzyskało męża, który nie pozwolił sobie nosa, jak wosku, księciu naginać. Nie dziw więc, że to duchowieństwo z r. 1112 w analogicznym wypadku zatargu księcia z biskupem i poddanyimi zajmuje najlojalniejsze stanowisko, że lękając się aby nawet milczeniem nie ściągnęło na siebie podejrzenia o sprzyjanie antyksiążęcej sprawie, biskupa oponującego księciu przed 30 coś laty, pozwala nazwać w podręczniku szkolnym zdrajcą. Echem tej służalczej lojalności episkopatu wielkopolskiego w r. 1112, jest wzmianka Galla o przeniewierstwie biskupa.

A teraz słówko jeszcze o tem, co należy rozumieć przez słowo *traditor* w ustępie, traktującym o katastrofie króla i biskupa. Około 14 razy użyte słowo *traditor*, *traditio*, *traditorie*, *tradere*<sup>3</sup> nie zawsze oznacza zdrajcę, który z nieprzyjacielem się łączy na niekorzyść ojczyzny. Takie znaczenie ma tylko wyraźnie w wypadkach pod literą 4, 5, 7, 8 i 9.

<sup>1</sup> II, 16, str. 56.

<sup>2</sup> II, 38, str. 72.

<sup>3</sup> 1. Quae [Richeza] cum pro modo femineo regnum honorifice gubernaret, traditores eam de regno propter invidiam eiecerunt. I, 18, str. 27.

2. Cum pro traditione pontificem truncationi membrorum adhibuit. — 3. Neque traditorem episcopum excusamus. — I, 27, str. 36.

W innych razach tego znaczenia nie ma i mieć nie może, bo owi *traditores* (n. 1), wypędzający Ryksę, to oczywiście jej poddani nieżyczliwi, a owi towarzysze młodzieńczego Bolesława (n. 6), nie zdrady ze strony wrogów się lękają, lecz podstępnego zamachu ze strony Sieciecha. Tak samo i owi doradcy Sobiesława (n. 12), którzy radzą mu nie pustoszyć Czech, to nie zdrajcy oczywista, lecz co najwięcej nieżyczliwi, źli doradcy. Zwłaszcza w przykładzie n. 10 i 11 uwydatnia się znaczenie niewierności poddańczej. „A ponieważ, powiada tenże Gall, wierność Czechów jest jak koło ruchliwa, dlatego też, jak dawniej Bożywoja, wypędzając go, przeniewierczo oszukali, tak mając go ponownie oszukać, przeniewierczo go przyjęli“.

Z tych przykładów wynika, że w wyrażeniu *traditio*, Gall przedewszystkiem pojęcie przeniewierstwa miał na myśli, które u niego, wychowanego w pojęciach feudalnych, niewątpliwie identyczne jest z pojęciem *felonii*, tj. złamania wierności zaprzysiężonej przez lennika swemu suzerenowi.

Ponieważ wszelkie usiłowania, aby wykazać zdradzieckie

[4. Wratislavienses responderunt non se patriam Bohemicis vel alienis nationibus tradidisse. II, 4, str. 46.

[5. Accidit quosdam traditores eiusdem castri Pomoranos sursum funibus recepisse. II, 6, str. 48.

6. Unde unus ad alium invicem susurrantes, utpote signum traditionis suspicantes. II, 16, str. 53.

[7. Qui reputans aliquem per traditionem hoc fecisse. [Mowa tu o spaleniu grodu Koźle nad Odrą]. II, 36, str. 70.

[8. Interim autem Zbignevi litterae captae cum nuntiis sunt allatae, quibus multae traditiones et insidiae sunt prolatae. II, 37, str. 72.

[9. Pomorani Uscze, Boleslai castrum, obsederant, et illud Pomorans iam Gnevomir per traditionem suggerentem reddiderat. II, 47, str. 78.

10 i 11. Sed quia fides Bohemica volubilis est sicut rota, qualiter prius Borivoy expellendo traditorie deceperunt, taliter eum iterum decepturi traditorie receperunt. III, 20, str. 97.

12. Frater vero Borivoy minimus... terram destrui Boleslavo supplicans prohibebat, quia regnum acquirere sine bello puerili simplicitate verbis traditorum sine victoriis se credebat. III, 21, str. 98.

13. Cito dies illa gloriosa exardebit, quae traditionem et infidelitatem Bohemorum revelabit. III, 22, str. 101.

14. Ad hoc detrimentum bellica gens Bohemorum traditorum factionibus est redacta, quod paene militibus probis est exacta. III, 23, str. 104.

stosunki biskupa z zagranicą okazały się płonnemi, nie mając najmniejszych podstaw w źródłach, zatem w wyrażeniu Galla *traditio*, *traditor* można upatrywać tylko jedynie możliwy zarzut przeniewierstwa, niewierności wobec króla. Zarzut ten też podtrzymywał przeciw biskupowi król, jego rodzina i stronnictwo dworskie. Potwierdza to nie tylko Gall, ale objaśnia, jak to niżej obaczymy, i mistrz Wincenty, pod względem zarzutów czynionych biskupowi przecież niepodważany. Kwestya tylko czy zarzut był uzasadniony.

Nie bez słuszności subiektywnej może przeniewierstwa zarzut czynić król biskupowi, o ile ówczesni przecież biskupi jako urzędnicy książęcy, przez księcia mianowani, przysięgę wierności mu składać byli zwykli i taką przysięgę zapewne przy koronacyi na króla powtórzyć musieli, jak to np. widzimy przy koronacyi Karola Wielkiego na cesarza. Chodziło tylko o to, jak daleko ta wierność sięgać miała. Król despota, jakim był Bolesław Śmiały, tej wierności nie pojmował chyba inaczej, tylko jako bezwzględną uległość wobec wszelkich zachceń i postępków królewskich. Innego zdania był oczywiście biskup, który swój urząd pojmował nie tylko jako urząd książęcy lub królewski, lecz jako urząd Boży, do strzeżenia praw moralnych uprawniony. To odmienne pojmowanie obowiązków biskupich było, zdaniem mojem, przyczyną różnicy zdania między królem a biskupem i różnicy sądów o biskupie nie tylko u współczesnych, ale i po dziś dzień w nauce.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że biskup Stanisław był przeciwny postępowaniu króla, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że miał współników w opozycyi przeciw królowi. Występował zapewne przeciw Śmiałemu tak samo, jak arcybiskup Marcin przeciw Krzywoustemu<sup>1</sup>, jak arcybiskup Jakób przeciw Władysławowi II<sup>2</sup>, jak biskup Getko przeciw Mieszkowi

---

<sup>1</sup> Gall II, 38, str. 72.

<sup>2</sup> Kronika Wielkopolska, M. H. P. II, 521.

Staremu<sup>1</sup>, jak arcybiskup Henryk Kietlicz przeciw Władysławowi Staremu, jak Iwo przeciw Konradowi Mazowieckiemu w Polsce i jak Tomasz Becket przeciw Henrykowi II w Anglii. I jak arcybiskupa z Canterbury współcześni stronnicy królewscy zwali *homo scelerum et prodicionum infamis*<sup>2</sup>, tak samo opozycja biskupa przeciw królowi z jakichbądź przyczyn w oczach króla niesłuchanie „zarozumiałego“, „pysznego“ a zarazem „dzikiego“, jak to stwierdza sam Gall, uchodziła za bunt i zdradę i za tę zdradę miała spotkać biskupa zwykła zdrajców i buntowników kara tj. obcięcie członków<sup>3</sup>.

Że zatem król biskupa uważał za przeniewiercę, to nie ulega kwestyi, kwestya jest, czy słusznie go za zdrajcę uważał, czy rzeczywiście biskup spiski buntownicze przeciw królowi knował, czy rzeczywiście myślał o jego detronizacyi, czy rzeczywiście ustęp ten dziejów był nie tylko splamiony zbrodnią korony, ale niezawodnie także błędem jakimś pożałowania godnym ze strony przeciwnego obozu, jak chce Małnecki<sup>4</sup>. Przypuśćmy, że biskup rzeczywiście „przekroczył zakres atrybucyi sobie nadanych“, że w zatargu swym z królem widząc, iż broń duchowna nie skutkuje, obejrzał się i za świeckimi środkami, że zmaśniał się z możnowładztwem i nastając na wypędzenie króla, popełnił rzeczywistą zdradę: jak w takim razie można wytłumaczyć, że duchowieństwo krakowskie tego człowieka uważa za świętego i uroczystą mu w dziewięć lat później urządza translacyę za zgodą przecieź księcia, brata tegoż króla, przeciw któremu biskup dopuścił się haniebnej zdrady? Ażeby zaś czasem ktoś nie zauważył, że w średnich wiekach potrzeba było byle biskupa zabić, aby go zrobić męczennikiem, przypominam, iż właśnie 7 sierpnia 1078 r. mordują chłopci niemieccy po bitwie pod Melrichstadt w Turynгии arcybiskupa magdeburgskiego Wezi-

<sup>1</sup> Mistrz Wincenty, IV, 3, *M. P. H.* II, str. 384.

<sup>2</sup> Augustyn Thierry: *Histoire de la Conquête de l'Angleterre par les Normands*. Wydanie III, 1835 r., t. III. str. 131/2, 135/6, 184, 190, 250, 277. — Cfr. Dzieduszycki: „St. Stanisław bisk. krak.“, str. 29.

<sup>3</sup> Gall II, 5, str. 48. Cosmas III, 32, l. c. str. 169.

<sup>4</sup> „Z przeszłości dziejowej“. Kraków 1897, t. I, str. 76.

lona, stronnika Grzegorza VII<sup>1</sup>, że w tych czasach w Niemczech „kilku biskupów zamordowano“<sup>2</sup>, a przecież nikt o ich kanonizacyi nie pomyślał, chociaż oni padli we walce w części także za sprawę Kościoła.

Jeżeli zaś rzeczywiście biskup jest grzesznym zdrajcą, jak go Gall zowie, to w takim razie dla czego skazanie tego zdrajcy na sprawiedliwą wtedy obowiązującą karę obciążenia członków zwie tenże sam Gall grzechem, zwie brzydką zemstą? Lecz może wymiar kary był słuszny i sprawiedliwy, ale bądź co bądź osoba biskupa, osoba duchownego winna zasługiwać wedle Galla na nietykalność<sup>3</sup>. Pod tym względem ciekawy mamy dokument jeszcze z XII wieku, dokument Mieszka Starego, świadczący, że duchowni za złamanie miru lub nakazów książęcych tej samej karze jak świeccy podlegali<sup>4</sup>. Jak zaś w tej mierze prawo książęce było surowe i nieugięte, dowodzi opowiadanie Kadłubka o niegodziwościach rządów Mieszka Starego, za którego czasów pono nawet kapłani, nie mając zapewne z czego uiścić kary pieniężnej, na torturach ginęli<sup>5</sup>. Jeszcze Innocenty III w liście 1207 r. do Władysława Starego wyrzuca mu, iż kleryków wyswięconych na służbę Jezusa Chrystusa więzieniem i torturami męczy<sup>6</sup>. Dopiero w XIII wieku zwycięstwo reformy gregoryańskiej wywalczyło hierarchii wyjątkowe przywileje. W XII wieku, a jeszcze więcej w XI-tym duchowni wszędzie mieczowi świeckiemu podlegają i jako świeccy bez najmniejszej rewerencyi bywają traktowani. I czyż można się dziwić, że książęta barbarzyńscy postępują sobie bezwzględnie, bez skru-

<sup>1</sup> Gfrörer: *Papst Gregorius VII u. sein Zeitalter*. Schaffhausen 1861, t. VII, str. 667.

<sup>2</sup> List saskich książąt do Grzegorza VII z r. 1078, w którym między innemi ci książęta piszą papieżowi: „Wiesz sam, że prawie wszystkich Tobie i Kościołowi wiernych biskupów państwa z ich stolic wypędzono, uwięziono, obrabowano, kilku nawet zamordowano“. Pertz: *M. G. SS.* v. 376. Cfr Gfrörer: l. c. str. 658.

<sup>3</sup> Małecki, l. c. str. 87.

<sup>4</sup> Kod. Wielkopolski I, nr. 22, r. 1177.

<sup>5</sup> IV, 2, *M. P. H.* II, str. 381/2.

<sup>6</sup> Kod. Wielkopolski I, nr. 42, str. 51. — Cfr. Abraham: „Organizacya Kościoła w Polsce“, str. 230.

pułu z biskupami, jeżeli król niemiecki na sejmach właśnie w r. 1078 ustawicznie piorunuje na papieża, jako przyczynę wszystkiego złego, i wszystkich książąt wzywa, by krwawą pomstę na papieża wywarli<sup>1</sup>. Jeżeli, zdaje się, nie bez poduszczenia królewskiego, możny pan rzymski Cencius we wilię Bożego Narodzenia r. 1875 ze zbrojnymi zbirami wpadłszy do kościoła St. Maria Maggiore w Rzymie, rzuca się na odprawiającego tamże nabożeństwo papieża, jeżeli jeden ze wściekłych zbirów godzi w świątyni Bożej, tj. w kościele mieczem na życie papieża, lecz powstrzymany przez innych, tylko go w głowę rani, jeżeli się dalej bierze papieża do niewoli i z kościoła do więzienia odprowadza i tu groźbami śmierci pragnie na nim wymusić wydanie twierdz papieskich?<sup>2</sup>

Wobec tego chyba dziwnem się nie wyda postępowanie takiego Wilhelma Rudego w Anglii, który plondruje dobra kościelne, zamienia cmentarze na parki, nie obsadza biskupstw, wypędza arcybiskupa Anzelma, lub zachowanie się następcy Rudego, Henryka I, który w początkach swego panowania taką samą walkę przeciw Kościołowi prowadził. Te to przykłady sprawiły, iż w Anglii w końcu XII wieku ośmielił się Henryk II targnąć na życie niewygodnego mu arcybiskupa Becketa<sup>3</sup>. Czyż zatem w Polsce despotycznie rządzonej w XI wieku, osoba biskupa mogła liczyć na nietykalność, jeżeli była winna zdrady przeciw monarsze, jak w końcu XIII wieku osoba biskupa Pawła z Przemankowa?

Opis Galla zatem zawiera sprzeczności, których żadną miarą pogodzić nie można. Albo biskup był zdrajcą, w takim razie król słusznie postąpił i nie zasługuje żadną miarą na naganą Galla, albo biskup nie był zdrajcą, nie popełnił grzechu, w takim razie król popełnił zbrodnię i za męską opozycję biskupa w sprawie słusznej tak brzydko się mścił; w takim zaś razie Gall pisze nieprawdę i należy do tych czcicieli złotej

<sup>1</sup> Gfrörer, l. c. str. 592.

<sup>2</sup> Gfrörer, l. c. 486—90.

<sup>3</sup> Hergenröther: *Handbuch der Kirchengeschichte*, t. II, str. 373—8.

drogi pośredniej, którzy w zaciętych walkach stronnictw mniemają, że prawda znajduje się zawsze pomiędzy dwoma poglądami.

Że Gall, pragnący nagrody od księcia, nie ważyłby się pod żadnym warunkiem bezpodstawnie jego stryja karcić, to nie ulega żadnej wątpliwości. Pozostaje zatem tylko druga alternatywa, że Gall, hołdując wygodnej zasadzie „w środku prawda“, zredagował swój słynny sąd o biskupie i królu w ten sposób, aby i dworowi przyznać słuszność, a zbyt duchowieństwa nie urazić. Sąd taki jednak, jako sprzeczny sam w sobie, musimy uznać za niewiarogodny, nieprawdziwy.

Nie chcemy twierdzić, by dokładnie Gall znał prawdę i mógł ją powiedzieć. Prawdopodobnie pod wpływem dworu i w otoczeniu wielkopolskim nie mógł się dokładnie poinformować w tej sprawie. Z tem wszystkim on wiedział daleko więcej, ale z różnych względów nie chciał prawdy powiedzieć i dla tego także sąd jego w tej kwestyi drażliwej, półgębkiem wypowiedziany, na wiarę nie zasługuje. Co do Kroniki Galla stwierdzamy zatem co następuje:

a) Jej autorem był Gall-Anonym, scholastyk poznański, a dzieło jego jako podręcznik szkolny, nie jako dzieło ściśle historyczne traktowane być winno. b) Jako nauczyciel, brał Gall prawdopodobnie udział w wychowaniu następcy tronu i stał w bliskich stosunkach z ruskim stronnictwem na dworze Krzywoustego, zwłaszcza z pozostałą rodziną Bolesława Śmiałego. c) Pomimo pozorów bezstronności widzimy w nim wszędzie panegiryzm w sądach, gdy chodzi o rodzinę książęcą. d) Dzieło Galla powstało w chwili zdobywania Wielkopolski przez Krzywoustego, w chwili, gdy tenże więził nawet sędziwego arcybiskupa za słuszne sprzyjanie Zbigniewowi. Dla tego też nosi na sobie ślady serwilistycznej lojalności episkopatu wielkopolskiego w poglądzie na za-targ biskupa krakowskiego z królem Bolesławem II. e) Wyrażenie *traditor* i *traditio* użyte w Kronice



Galla 14 razy, tylko w 5 wypadkach ma znaczenie rzeczywistej zdrady na rzecz wrogów, w reszcie wypadków ma znaczenie przeniewierstwa lub felonii. f) Taką felonię w oczach króla i dworskiego stronnictwa niechybnie biskup popełnił, rzucając w Polsce klątwę na swego władcę. Ale taką samą felonię popełnili w oczach regalistów XI i XII wieku i Grzegorz VII wobec Henryka IV, i Tomasz Becket wobec Henryka II. g) Opinia zatem Galla tylko jako jednostronny pogląd dworskiego stronnictwa na konflikt biskupa z królem ma wartość i jako taki w historii zużyta być może.

### III. Katalog III-ci biskupów krakowskich.

Tekst autentyczny i późniejsze wtręty. — Wiarygodność wzmianki o arcybiskupstwie krakowskiem. — Wnioski.

Trzeciem z rzędu nam znanem źródłem, dotyczącem św. Stanisława, jest trzeci Katalog biskupów krakowskich. Ponieważ Katalog ten kończy się na Gedeonie biskupie, zmarłym r. 1185 i różni się charakterystycznym zwrotem o ordynacyi biskupów od kontynuacyi późniejszej IV-go Katalogu, zatem zdaniem wydawcy powstał z końcem XII, a z początkiem XIII wieku<sup>1</sup>.

Wprawdzie w dzisiejszej formie znany nam on jest z kopii bardzo późnej XV wieku i z tekstu Katalogu IV-go, przechowanego również w rękopisie XV wieku. Jakim atoli tekst pierwotny tego Katalogu III-go mógł być w przybliżeniu, dowiadujemy się z *Vita maior*, która nam przechowała fragment z prastarego tekstu Katalogu biskupiego, przez autora nie dopasowany do całości żywota<sup>2</sup>.

Z porównania tekstów wynika, co w obecnym Katalogu jest wtrętem późniejszym.

Zatem niewątpliwie wtrętem późniejszym jest: dokładne

---

<sup>1</sup> M. P. H. III, str. 318.

<sup>2</sup> M. P. H. IV, str. 338—40.

podanie liczby części<sup>1</sup>, na jakie rozsiekane zostało ciało świętego Stanisława.

Dodatkiem późniejszym jest prawdopodobnie wiadomość o opróżnieniu stolicy biskupiej po śmierci św. Stanisława przez 4 lata. Wykombinował go przepisywacz jakiś na podstawie tej, że następca męczennika, Lambert, zasiadł na stolicy krakowskiej dopiero w roku 1083. Z tego faktu nie omieszczał skorzystać autor IV Katalogu i przyczynę tej 4-letniej sediswakancyi interdyktem z własnej kombinacji wytłumaczyć<sup>2</sup>. Wtrętem niewątpliwie jest miejsce pochodzenia św. Stanisława, nazwy ro-

1

Katalog III bisk. krakowskich. *M. P. H.* III, str. 340—342.

Aaron... primus, qui privilegio archiepiscopatur insignitur... moritur a. d. 1059... Lambertus Zula in ep. Crac. ordinatur... Hic neglexit petere insignia archiepiscopatus...

Hic sanctum Stanislaum accersitum de studio, perpendens eius mores ratum et virtuosum fecit et instituit eum canonicum in ecclesia Cracoviensi.

*Sanctus Stanislaus nonus in ordine in ep. Crac. ordinatur a. d. 1072 et sedit annis octo. Et tandem a. d. 1079 per Boleslaum regem et suos satellites in ecclesia sti Michaelis in Rupella missam celebrans, occisus et in 72 partes scissus et laniatus avibus ad devorandum dispersus et proiectus est tercio idus Aprilis luna VI et feria VI post octavas pasce sub Gregorio VII dicto Hildebrando. Post cuius mortem sedes episcopalis vacavit quatuor annis, Hic fuit de terra Cracoviensi, de villa Szczepanow, ex patre Prandotha et matre Margaritha de domo et clenodio Thurzina, quod dimidiam alteram crucem in clipeo pro armis deferre consuevit.*

<sup>2</sup> *M. P. H.* str. 344.

*Vita maior* I, 14, *M. P. H.* IV, str. 383 w. 16—22.

Anno quoque 1059 Aaron archiepiscopus Cracoviensis obiit, cui Lambertus, qui et Zula dictus, succedens archiepiscopatus insignia petere noluit.

Hic est Lambertus, qui beatum Stanislaum ecclesie Cracoviensis canonicum instituit.

Quo mortuo anno 1072 Stanislaus successit et octavo sui episcopatus anno sub rege Boleslao ad martirii palmam pervenit III ydus Aprilis luna VI feria quinta\* post octavas Pasche, qua cantatur: Surrexit pastor bonus, sub Gregorio papa VII.

\* Ta tutaj data dobra, bo w roku 1079-m rzeczywiście Wielkanoc obchodzono 24-go marca, niedziela przewodnia 31-go marca, a 11-go kwietnia wypadł czwartek, a nie feria VI, jak napisano w Katalogu III bisk. krakowskich; i dzień księżycy podany zgodnie z ówczesnym kalendarzem, bo pełnię ten kalendarz podawał owego roku na czwartek 21-go marca, więc w 21 dni po pełni (= 15 dzień księżycy) wypadła dzień 15 + 21 = 36, a po odrzuceniu 30 dni obrotu księżycy zostanie dzień 6-ty, zatem w katalogu powinna być feria V nie VI.

dziców, herbu i jego rodu. Wiadomości autentyczne, w Katalogu tym zawarte, ograniczają się do kilku rocznikarskich zapisek o poprzednikach św. Stanisława na stolicy biskupiej, o jego męczeńskiej śmierci 11 kwietnia 1079 roku, o translacji jego zwłok w r. 1088.

Ciekawa w nim jest jeszcze wiadomość o arcybiskupstwie krakowskiem z czasów Arona<sup>1</sup>, którą wydawca Katalogów, p. W. Kętrzyński, zakwestyonować usiłuje<sup>2</sup>. Jestem również zdania, że tekst bulli Benedykta IX, przekazującej Aronowi arcybiskupstwo w Polsce<sup>3</sup> i palusz, jest w tej formie, jaką posiadamy obecnie, falsyfikatem; przyznaję również, że błędną jest wiadomość, przytoczona w Katalogu III, jak i fragmencie z *Vita maior*, o konsekracji Arona przez papieża Benedykta w Kolonii, mniemam jednak, że arcybiskupia godność Arona i jego konsekracja w Kolonii, jak to wykazali prof. Abraham<sup>4</sup> i T. Wojciechowski<sup>5</sup>, nie ulegają żadnej wątpliwości i że rzeczona bulla polega na autentycznych jakichś zapiskach.

Co do trzeciego zatem katalogu biskupów krakowskich, to pierwsza jego część pochodzi, zdaniem jego wydawcy pana W. Kętrzyńskiego, z końca XII wieku, tekst jednak dzisiejszy pochodzi z w. XV i jest interpolacyami późniejszymi zeszpecony. Tekst pierwotny znajduje się prawdopodobnie we fragmencie z *Vita maior* I. 14 i zawiera lakoniczną wzmiankę o męczeństwie biskupa, oraz dokładną datę tego męczeństwa

(Dok. nast.).

Dr. K. Krotoski.

<sup>1</sup> *M. P. H.* III, 340 i *M. P. H.* IV, str. 383. *Vita maior* I, 14. *M. P. H.* I, 358/9.

<sup>2</sup> *M. P. H.* III, str. 323—327.

<sup>3</sup> *M. P. H.* I, str. 358.

<sup>4</sup> „Organizacja Kościoła w Polsce“, str. 127—134.

<sup>5</sup> *L. c.* str. 184.

# VOTA I SOBIESKI.

(Ciąg dalszy).

---

Wspomniałem wyżej, że, pomimo próśb i nalegań króla, od śmierci Innocentego XI subsydia pieniężne, do których Stolica święta obowiązała się poniekąd traktatem ligi 31 marca 1683 r., ustały prawie zupełnie, kraj wyniszczony, na frakcyę rozerwany; nawet królowa i hetman wielki sprzyjają Francyi, a więc pokojowi; prywatne zasoby króla wyczerpane, a żołd wojsku zalegał od lat czterech. Jak tu w takich warunkach prowadzić wojnę? — a prowadzić trzeba, bo Wołosza i Multany nie zdobyte, Tatarzy w Budziaku siedzą, Kamieniec w rękach tureckich. O. Vota, wierny swej misyi podtrzymania ligi świętej, ofiarował się królowi, jak niedawno do Wiednia, tak teraz, po bezowocnej wyprawie wołoskiej 1691 roku, do Rzymu, rozumiejąc, że osobą swoją, sprytem i wymową, nie tylko subsydia wykołata, ale cesarza i Wenetów do wykonania swego planu wojny z r. 1689 nakłoni. Król zgodził się na to, i z początkiem marca 1692 roku postanowił O. Votę wyprawić w charakterze ablegata do Rzymu.

Była i druga sprawa, tycząca się prerogatyw królewskich a w Rzymie na niekorzyść króla rozstrzygnięta, sprawa patronatu opactw. Król, zwyczajem poprzedników swoich, dawał opactwa w komendę biskupom źle uposażonym i prałatom, dworzanom i urzędnikom kancelaryi królewskiej. Miał w tem prawo

zwyczajowe za sobą, wprowadzone przez Kazimierza Jagiellończyka i Zygmunta III, który pierwszy w Polsce, bo na Zachodzie działało się to od IX wieku, chcąc podźwignąć upadłe wskutek reformacyi opactwa, dawać je począł w komendę zacnym prałatom, czasem i zakonnikom i biskupom źle uposażonym. Było to nadużycie, które jednak Stolica święta, mając wzgląd na pobożność i zasługi tego króla, tolerowała, a nawet tolerować nuncyuszom polecała i zatwierdzała zawsze opatów z nominacyi królewskiej. Z biegiem lat nadużycie, przez prawowitą władzę nie zaprzeczane, przeszło w prawo zwyczajowe, z którego korzystali spokojnie królowie Wazowie. Dopiero za króla Michała wypadł spór, który się toczył w Rzymie. Władza królewska zesłała do zera, a klasztory opackie, liczbą i karnością silne, wzmogły się i upomniały o swe prawa. Więc, gdy 1670 r. na opactwo hebdowskie król zamianował kanonika Chryzostoma Olszowskiego, zakonnicy nie przyjęli go, ale wybrali ks. Jaskulskiego, przeora ze Strzelna. Podobnie 1672 r. na bogate opactwo w Jędrzejowie król zamianował podkanclerzego Jędrzeja Olszowskiego, a zakonnicy wybrali Madalińskiego, profesa zakonnika z Łędu.

Pozwani przed sąd królewski zakonnicy, a dwaj skazani na wygnanie, apelowali do Rzymu i w obronie swej wykazali dowodnie, że t. zw. prawo patronatu opactw jest krzyżącym nadużyciem. Odtąd rozpoczyna się agitacya zakonów opackich przeciw prawu patronatu, a uczony Benedyktyn O. Szczygielski, opat w Trokach, wyczerpującą książką „O opatach zakonnych z komendy“ (1681) zachęcił zakonników do obrony prawa wolnej elekcji opatów i przesłania jej królowi<sup>1</sup>.

Niebezpieczniejszym jeszcze wrogiem patronatu opactw

---

<sup>1</sup> Załuski: *Epist. Fam. hist.* II. 847—860. Kanclerz w. k. do kardynała Spady, do kard. Barberini, do agenta Ruytera z Jaworowa 15 maja 1692 r. skarży się w nader ostrych wyrazach na zuchwalstwo mnichów (*irreverentia monachorum*) względem króla i rzpltej, przestrzega, że szlachta nie zniesie tego poniewierania praw króla, który już 70 000 000 złp. na wojny wydał i przeciw nim ostre prawa uchwali.

było „kortezaństwo“ czyli ubieganie się w kuryi rzymskiej o przywilej na kościelne godności, zwłaszcza na opactwa, poza plecami króla i zakonników, które dataryja rzymska za opłatą taksy wydawała. Nominowany w ten sposób opat zajmował dobra opackie i narzucał zakonnikom swą władzę, opór ich łamał przemocą, skarżył w nuncyaturze i Rzymie i wygrywał; na nominatów królewskich spadały klątwy i cenzury, na klasztory, które ich przyjęły, interdykty. Oburzało to szlachtę, widziała w tem ujmę czci majestatu królewskiego i pogwałcenie praw rzpltej przez kortezanów, odgrażała się na nuncyusza i na kuryę rzymską.

Król Jan lubo nadał w komendę jedenaście opactw, które wylicza biskup Załuski<sup>1</sup>, to jednak pragnął sprawę patronatu opactw raz uporządkować i ustalić. Starał się o to przez posłów swych w Rzymie, księcia Radziwiłła, przez biskupów Zbąskiego i Świącieckiego, ale bez skutku. Wreszcie 1685 r. wysłał opata tynieckiego Denhoffa. W Rzymie zwlekano nie tylko z odpowiedzią, ale i z prekonizacją Wyhowskiego, nominowanego przez króla na opactwo świętokrzyskie, popierano jego rywala Mireckiego, a w Polsce zakony opackie, „dowiedziawszy się o projekcie króla, poruszyły acheront (piekło) i wydrukowane powody przeciw podały kongregacyi konsystorskiej z ujmą godności króla i prawdy“<sup>2</sup>.

Zniecierpliwiło to króla. Z początkiem więc grudnia 1691 r. wyprawił w deputacyi od siebie i Rzpltej do nuncyusza Santa-Croce dzielnych swoich pułkowników, Franciszka Gałęckiego i Jakóba Szczawińskiego, dawszy im ostrą instrukcyę. Król i szlachta na koniu w ciągłej walce z pohańcem, a i w domu pokoju nie mają. Bo mnisi (monachi) niektórzy, nadużywając pobłażliwości kuryi rzymskiej, wbrew prawom patronatu kró-

---

<sup>1</sup> *Epist. hist. fam.* II. 879.

<sup>2</sup> Przytacza i zbija je Załuski II. 837—955. Cystersi, mając 15 opactw, poddali się królowi na kapitule w Łędzie 11 lutego 1686 r. tak, aby na 10 opactw król mianował opatów z komendy, na 5 oni sobie wybierali opata. Król nie zgodził się na to.

lewskiego, po wakujące opactwa do niej się udają i nominacye otrzymują, a nominatów królewskich wypędzają, dręczą i uci-skają. Gorzej jeszcze, że w kuryi rzymskiej jakby naigrawają się z żądań królewskich, „wydając bulle dla nominatów królew-skich, a jednak tym opatom, w Czerwinie, Trzemesznie, Płocku, Obrze i Łędzie, dodani są ich przeciwnicy, opatrzeni także w po-dobne bulle“. Niech więc nuncyusz wyjedna u papieża, aby w kuryi rzymskiej przeprowadzono reformę i deklaracyę prawa patronatu królewskiego także i do tych opactw, które jako wolne i do papieskiego wyboru należące są uważane, i niech się ku-rya rzymska do nominacyi opactw wcale nie miesza, bo król JM. i Rzplta żadnym kortezanom, opatom mianowanym w kuryi rzymskiej, nie pozwoli objąć tych opactw w posiadanie, choćby siły i mocy użyć przyszło; za wynikłe stąd zaburzenia odpowie kurya rzymska. W końcu niech proszą nuncyusza, aby Aleksan-der Kossanowski, nominat królewski na opactwo w Przemencie i Wyhowski na świętokrzyskie, otrzymali zatwierdzenie papie-skie, a przeciwnikom ich, mnichom Kąckiemu i Mireckiemu, niech nakaże milczenie<sup>1</sup>.

Już przedtem wydał król zakaz, ażeby żaden z prawników nie ważył się brać udziału w sądach nuncyatury. Urażony tem nuncyusz niechętnie przyjął deputatów i stanął w obronie kuryi i zakonników. Nie pozostawało, jak udać się wprost do Rzymu, nie listownie, ale przez doświadczonego a obrotnego posła.

I to była druga sprawa, którą król polecił Vocie, „mężowi wypróbowanej działalności i doświadczenia“, jak go biskup Za-łuski nazywa. Trzecia sprawa to unia przemyskiego i lwow-skiego władcyetwa, którą się O. Vota zaraz po swem przybyciu do Polski gorąco zajął a król dzielnie popierał. Czwarta wre-szcie to odzyskanie połowy dóbr neapolitańskich Bony. Miał jeszcze Vota osobne listy i polecenia do cesarza i Wenetów w sprawie ligi. Znalazł się więc w swoim żywiole; z radością donosi ze Lwowa 19 marca 1692 r. kardynałowi, protektorowi Polski, Barberiniemu: „Król JM. spojrział na moją niską osobę

<sup>1</sup> Załuski, *Epist. hist. fam.* II. 780—782, I. 1241.

i polecił mi złożyć osobiście u stóp Ojca św. synowskie jego najpokorniejsze uszanowanie i otrzymać ojcowskie wskazówki i rozkazy względem potrzeb ligi św., której bardziej niż kiedy król zdecydowany poświęcić osobę swoją królewską, a także w sprawach opactw i prawa patronatu postąpić według pasterskich, łaskawych i sprawiedliwych rad Ojca św. Król jest pewien, że WE. najmądrzej i najpoważniej mną pokieruje, według instrukcyi od króla otrzymanych, a ja całkowicie WE. się poddam<sup>4</sup>.

Dnia 24 kwietnia wyjechał O. Vota z Jaworowa, 3 maja już był w Wiedniu. „Cesarz JM. z bezgraniczną dobrocią przyjął mnie w Laksemburgu — donosi kard. protektorowi z Wiednia 4 maja 1692 r., — wysłuchał i odpowiedział z niewypowiedzianą uprzejmością, i z wyraźnego jego rozkazu będę musiał jutro powrócić, i tak codziennie, przez te kilka dni, które tu na dworze przebyć będę mógł. Mam nadzieję, że rozwieją się całkiem wszystkie między obu dworami nieufności a chrześcijaństwo będzie miało pożytek. Jak tylko cesarz mi pozwoli, wyjadę do Wenecyi z poleceniem królewskim, a stamtąd udam się do stóp Ojca św. z listami własnoręcznymi króla i innymi w sprawach publicznych, a także z listem do WE., od którego łaskawej dyrekcyi będę zależny<sup>1</sup>”.

Dopiero pierwszych dni lipca 1692 r. stanął Vota w We-

---

<sup>1</sup> Wyciąg z aktów O. Voty, nr. 28, 29. W życiorysie skróconym O. Voty znajduję ciekawy szczegół. Wiózł on do Wiednia własnoręczny list króla, który mu sam ułożył a w którym król oświadcza cesarzowi szczerą chęć wytrwania w lidze i wzywa, aby cesarz ze swej strony gorąco prowadził wojnę św. Ministrowie polscy przeciwni byli temu, dowodząc, że to ujmą godności króla, aby on pierwszy i to własnoręcznie pisał do cesarza, od którego tyle doznał przykrości, dozna zapewne i teraz, bo mu cesarz sam nie odpisze, tylko przez rezydenta swego da odpowiedź. Napróżno dowodził im Vota, „że kiedy dwóch możnych rywalizuje w grzeczności, to większy z nich oddaje dwa za jedno“.

Król zachwiał się na chwilę, odebrał list Vocie, oddał ministrom, jemu kazał pozostać w domu. Vota nie rzekł słowa, za jakie pół godziny pyta go król, czy bardzo markotny? — „Nie markotny, ale pełen rezygnacyi“ — odparł Vota. Król na to: „Napisz drugi list tej samej treści, ja przepiszę i jedź zaraz“. Stało się tak; w pośpiechu sam Vota przyłożył pieczęć i za-



necyi dla jakiejś zwłoki, „która mnie zmusiła stracić kilka dni w Alпах“, donosi 7 lipca kard. protektorowi. „I tu, jak na dworze cesarskim, uprzejmie przyjęto moje przybycie, szlachta a szczególnie doża JM. — Nuncyusz obsypuje mnie, przygniata prawie łaskami, ale i pociesza, zapewniając, że u Ojca św. przyjęty będę najdobrotniej. Widzę w przysyłanych subsydyach na wojsko polskie skutki ojcowskiej Jego szczodroblowości“<sup>1</sup>.

W połowie lipca już był w *al Gesu* w Rzymie i od razu zabrał się do sprawy opactw. Zaprosił 15 lipca 1692 r. kardynałów, Cibo, Lauria i Albani, należących do kongregacyi konsystoryalnej, na sesyę w mieszkaniu kardynała Cibo, sekretarza propagandy, z którym osobne miewał konferencye w sprawie unii Rusi z Rzymem. W kardynale Albanim znalazł rzecznika u Ojca św., a w kardynale de Forbin i ajencie królewskim Ruyterze dzielnych pomocników. Chodziło o to, aby papież wydał *breve*, normujące sprawę nominacyi opactw w myśl praw patronatu króla. Ale kardynałowie nie posiadali ruchliwości O. Voty, niebawem rozjechali się na swe wille na wakacye letnie, dopiero więc na audyencyach 31 października i 1 listopada polecił papież kardynałowi Albanemu, „aby czynić jak z Kazimierzem (Jagiellończykiem)“ a vice-dataryuszowi rozkazał „porównać nominacye Kazimierzowskie, egzemplarze królewskie, z oryginałem dataryi“. „Znalazły się w zupełności zgodne“, więc z rozkazu papieża odbyć się miała we czwartek 13 listopada konsulta czyli kongregacya konsystorska<sup>2</sup> nad onem *brevem*, czy i w jakim sensie ma być wydane.

adresował list królewski. Po 9 dniach podróży stanął w Wiedniu w kolegium jezuickim 3 maja 1692 r. Nazajutrz, nie zgłaszając się do kanclerza, udał się wprost do cesarza w Laksemburgu, wręczył ów list i opowiedział historię jego. Cesarz mu łaskawie: „Nie zawiedziesz się“; jakoż dał własnoręczną odpowiedź jeszcze przychylniejszą dla ligi i jeszcze grzeczniejszą dla króla, sam położył pieczęć i adres: *Serenissimae Maiestati*. „Ten list cesarski może być widziany i zbadany przez wszystkich“, dodaje nieznany autor „Życiorysu“. (*Archiv. Prov. Pol.*).

<sup>1</sup> Tamże nr. 37.

<sup>2</sup> Wchodzili do niej trzej kardynałowie pałacowi i prałaci, Sacripanti, Ceretani, Filippi i Lancetti, z poradą i w obecności kardynała Albani, dającego informację tamtym.

Vota biegła, informował, przygotowywał dokumenta i umysły. „Przeszłej środy (w wilię konsulty) aż do późnej nocy opat Bianchi i ja czyniliśmy wszystko, co było można, dla przygotowania i objaśnienia prałatów deputatów na kongregacyę czwartkową. Sporządziłem dla niej dwa małe pisma (informacyjne). We czwartek rano chodziłem nadaremnie, albo się przygotowywali albo byli na (innej) kongregacyi. Udało mi się dostać do prałata Filippi, gdy wsiadał do powozu. Znalazłem, że wszyscy pełni uprzejmości i uszanowania dla WE. i zdolni bardzo, lecz całkowicie pozbawieni wiadomości o prawach (patronatu) króla i uprzedzeni informacjami zakonników i ich pism drukowanych i opata Passionei, sekretarza kongregacyi, jawnego nieprzyjaciela króla i nieprzejednanego wroga prawdy“, który w przedpokoju kardynała Albani drwił sobie z Voty, a razem z towarzyszem swoim Capucini, autorem „druków“, obrabiał kardynałów Albani i Pallavicini przeciw królowi. Kongregacya trwała do południa, kardynałowie zaprosili na nią O. Votę, ale on, mając zakaz od króla, grzecznie się wymówił. „Nie nie uchwalono względem otrzymania tak pożądanego *breve*, wedle słowa danego przez Ojca św.<sup>1</sup>

Konsulta jednak nie była bezskuteczną. Już 15 listopada donosi temuż kardynałowi Vota, że, jak mu kardynał Spada oświadczył, Ojciec św., przez pamięć na zasługi króla Jana a swój 8-letni jako nuncyusza pobyt w Polsce, pragnie, „ażeby nie inaczej, tylko przez układ przyjazny, z honorem i zezwoleniem króla JM. ta pracowita sprawa się zakończyła i pokój został przywrócony w królestwie“. W tym sensie wysłał wyraźny rozkaz do nuncyusza Santa-Croce a *brevia* do króla i kardynała Radziejowskiego. Projekt układu, zredagowany przez kardynała Albaniego i prałata Sacripanti, przyznawał w zasadzie królowi prawo patronatu do wszystkich (było ich 26) opactw.

Była to zaiste zdobycz wielka, wywalczona niemalym trudem i przemyśłem Voty, jak to w listach do króla (29 sierpnia,

---

<sup>1</sup> Tamże nr. 3840.

9 września, 9 i 18 października) opowiada: „Ja tu sam nie tylko przeciw zakonnikom, którzy od wielu lat tu nacisk wywierają, ale przeciw kardynałom, którzy bałamuca papieża“<sup>1</sup> waleczyłem. Ale każde opactwo ma mieć po dwóch opatów, komendataryusza z nominacyi króla bez żadnej jurysdykcyi i tytularnego z obioru zakonników i ten sprawuje wewnętrzne rządy klasztoru. Dobra zaś każdego opactwa podzielone być mają na 4 części: dwie dla dwóch opatów, trzecia dla zakonników, czwarta na „fabrykę“ czyli utrzymanie kościołów parafialnych w dobrach opackich. Vota unosił się nad tą ugodą króla ze Stolicą św. i zakonami, „sprowadzoną czyli skuteczną przeze mnie w pocie czoła“, a bardziej jeszcze nad tem, że „już ustaną trwogi i dreszcze mego serca, gdy się już nie lękam zamieszek domowych, sejmików i sejmu, które mogłyby pociągnąć za sobą tysiące oburzeń na jurysdykcję kościelną, o co się przez lat tyle pocilem na tym dworze królewskim z rozkazu kurji rzymskiej, i to mogłoby sprowadzić w następstwie zerwanie ligi św.“<sup>2</sup>

Przedwcześnie się cieszył. Król, biskupi i prałaci, interesowani w tej sprawie, zrozumieli od razu, że tym projektem dochody opackie, tylko w jednej czwartej części dostając się opatowi, nie poratują jego fortuny, że więc chybiony zostanie właściwy cel nadawania opactw biskupom i prałatom t. j. powiększenia ich skromnych uposażeń, aby mieli czem i z czego służyć lepiej królowi i Rzpltej<sup>3</sup>. Odrzucili więc dwa główne punkty projektu: podwójnych opatów, bo stąd tylko kłótnie i niesnaski wynikną; kwartę dochodów dóbr opackich na utrzy-

<sup>1</sup> Ms. bibl. Ossol. 3004. Teki Lukasa. Listy Voty do króla. — Wypis z archiwum berlińskiego.

<sup>2</sup> Tamże, nr. 41. Vota do kard. protektora 15 listopada 1692 r.

<sup>3</sup> Gorzej uposażeni byli arcyb. lwowski, biskupi: łucki, przemyski, chełmski, kamieniecki, smoleński, inflancki. Ci zawsze prawie obdarzeni bywali przez króla opactwami. Podobnie i kanclerze, podkanclerze, sekretarze wielcy, referendarze, notaryusze i dwaj referenci kancelaryi kor. i lit., jeżeli byli duchownymi. Ale nieraz król nadawał opactwo prymasowi i biskupom dobrze uposażonym, a także różnym prałatom, a nawet panom świeckim, aby ich sobie zjednać lub nagrodzić.

manie zakonników, bo już i tak kwartę tych dochodów płacą opaci na utrzymanie czyli „fabrykę“ kościołów parafialnych. Zato proponowali jednego opata z komendy jako administratora i używacza całych dóbr opackich bez żadnej jurysdykcyi nad zakonnikami. Wykonywać ją będzie przeor zakonnik profes, nie z nominacyi opata, ale z wyboru zakonników na lat trzy, a utrzymywać się będzie z wspólnych dóbr klasztoru, które wszędzie oddzielone są od dóbr stołu opackiego<sup>1</sup>.

Zanim odpowiedź z Polski na ten projekt nadejdzie, na co potrzeba było najmniej 6 tygodni czasu, postanowił O. Vota spełnić inne polecenie króla Jana: poruszyć sprawę dóbr królowej Bony w Neapolitańskim, zapomnianej od lat z górą 20. Pobudką tu była znów sprawa ligi. Król potrzebował pieniędzy, papież ich odmawiał, należało wyszukać nowego źródła i nie wątpię, że przemyślny Vota wskazał je pierwszy królowi i ofiarował się na posła do Neapolu.

Wiadomo, że z woli Zygmunta Augusta cały spadek Bony, dobra i sumy neapolitańskie po śmierci Anny Jagiellonki przechodziły na Rzpltą. Zygmunt III nieprawnie uważał się za spadkobiercę dóbr i sum Bony i jako taki na sejmie koronacyjnym 25 stycznia 1588 r. wystawił dokument, którym pewne dobra i działy w królestwie Neapolu, księstwie Baru i Rosano i na cle Foggia „ustanowione według części i porcyi prawem nam należnej, Królestwu Polskiemu i WX. Litwy dajemy, darowujemy, zapisujemy i zrzekamy się, i takowe na rzeczoną Rzpltą przelewamy“<sup>2</sup>. Pomimo tej donacyi (nieprawnej) i on i dzieci jego pobierali roczne procenty z dóbr i sum barskich aż do ich wymarcia. Jan Kazimierz, jadąc po swej abdykacyi do Francyi 1669 r., wstąpił na dwór siostrzana swego księcia nejburskiego i znów nieprawnie ustąpił mu połowy dóbr i sum królowej Bony, ale druga połowa przypadała Rzpltej<sup>3</sup>. Tymcza-

<sup>1</sup> Załuski, *Epist. hist. fam.* II. 873.

<sup>2</sup> *Vol. leg.* II.

<sup>3</sup> Kantecki: „Sumy neapolitańskie“, str. 194, 253.

sem zagarnęła ją kamera króla hiszpańskiego w Neapolu. Otóż tę drugą połowę rewindykować miał Vota dla Polski, obliczyć i wydobyć wybrane nieprawnie przez kamerę dóbr tych dochody, pieniądze przesłać królowi i zaprowadzić w tych dobrach administrację polską. Znaczyło to, jak sam przyznaje, „wycisnąć sok z kamienia, ale będę robił, co tylko będzie możebne, ażeby przynajmniej *laudetur conatus* (zamiar był chwalony)“.

Jakoż 10 grudnia 1692 r. puścił się w drogę do Neapolu, stanął tam 14 grudnia w domu Jezuitów. Kardynał Cantelmi (były nuncyusz w Polsce) posłał po niego swój powóz, zaprosił na obiad. Dawny znajomy z Medyolanu, a teraz generał wojsk, Don Fernando Valdes<sup>1</sup>, odwiedził go kilkakrotnie, stał się jego protektorem i wraz z kardynałem ułożył pierwsze jego posłuchanie u wice-króla; odbyło się ono 16 grudnia. Wice-król przysłał swój powóz i dworzanina, „zaszczyt to wielki na moją niską figurę, przeczytał listy króla Pana mego, cesarza JM. i WE. (Barberiniego) i łaskawie także mnie wysłuchał“, a potem zatrzymał na obiedzie. Do traktowania z O. Votą wyznaczył wiceprezydenta kamery, radcę przybocznego Don Sebestyana de Cote i regenta kancelaryi Gasconi. Po pierwszej z nimi konferencji „powziąłem niejaką nadzieję, pomimo wielu i ciągłych tej korony potrzeb“<sup>2</sup> na flotę w Baja, na wojska w Medyolańskiem. W kilka dni potem (30 grudnia) pisze: „Pracuję zawzięcie w sprawie królewskiej i znajduję u króla i jego ministrów najlepsze usposobienie, ale ubóstwo skarbu więcej mi szkodzi, niż konkurencya pretendentów. Lecz ani się łudzę ani rozpaczam. Sprawa ligi św. zasługuje na wszystko. Wypada mi czekać na decyzję do końca świąt, dla mnie bardzo nudnych, bo przeciągają sprawę królewską“. Nareszcie święta się skończyły.

Vota naradzał się „z wice-królem i ministrami; ci panowie zabierają mi cały mój czas. Najprawdopodobniej z nadziei same

<sup>1</sup> Syn poboczny króla Filipa IV.

<sup>2</sup> Wyciąg z aktów Voty nr. 42—44. Vota do kard. Barberini 13 grudnia 1693 r. z Kapuy, 15 i 23 grudnia z Neapolu. To samo opowiada Vota w liście do króla 16 grudnia. Helcel: „Listy Jana Sobieskiego“ 466.

tylko liście i kwiaty zostaną, a owocu mało, bo okropna tu mizerya. Wszelako rozpacz zostawię na sam koniec. Spodziewam się tyle przynajmniej sprawić, że wyjaśnią się nieco rzeczy, dotąd w stanie chaosu będące, bo nikt nie wie, co, jak i ile<sup>1</sup>. Po kilkunastu dniach poszukiwań w dokumentach i po kilku konferencyach, a przy pojętności i łaskawości wice-króla i jego ministrów, „trafiłem do końca na kilku punktach, zdawało się, niemożliwych, gdyż szło przeciw fiskalności. Zdobyłem pismo (reskrypt wice-króla, przyznający prawo Rzpltej do połowy dóbr Bony) przelotem i sprawilem się jak adwokat, chociaż całkiem nieumiejętny, gdy tu nikt się nie odważa występować przeciw fiskusowi, a nikt nie może mówić z wice-królem, w sądzie zaś nie opłaci się (dochodzić sprawy) dla straty czasu i kosztów“.

Rzecz zdawała się skończoną, gdy „wice-król przez ostrożność zmuszony jest przez swoich radców przyjąć zdanie rady współrzędnej (*collaterale*), więc nic się nie robi bez kamery królewskiej, gdyż sprawa toczy się o interesy osobiste; więc przed dwoma, trzema miesiącami nie sposób wyjść z tego labiryntu. Postanowiłem tedy wyjechać we wtorek z tem zadowoleniem, że się wskrzesiło Łazarza już cuchnącego i sprawę, która przez 20 kilka lat była martwą i poczytywaną za mrzonkę. Doprowadziłem do uznania donacyi Zygmunta (Augusta) dla Rzpltej i do obalenia nieważności, której dowodził fiskus i procesy wytaczane przez kamerę przeciw prawom Rzpltej. Powinniśmy się więc spodziewać od sprawiedliwości króla hiszpańskiego i jego ministrów, że Polska wejdzie w posiadanie części, t. j. połowy dóbr królowej Bony, które ona posiadała“<sup>2</sup>.

„Co do drugiej połowy, którą posiada dom elektorski nejburski, deklarowałem, że nie chcę ani dopominać się ani zaprzeczać i nie mam na to rozkazu od króla“ — przez wzgląd na związki pokrewieństwa z elektorem i domem cesarskim. „A nadto preten-

<sup>1</sup> Tamże, nr. 46. Vota do kard. Barberini 6 stycznia 1693 r. Dokładniej opisuje to samo w listach do króla z Neapolu 16 i 23 grudnia (w Tece Lukasa i u Helcla).

<sup>2</sup> Tamże, nr. 48. List z 20 stycznia.

dowanie przeciw domowi nejburskiemu, panującemu w Wiedniu i Hiszpanii, a dzierżącemu już tyle lat, byłoby zgubą pretensyj i nadziei polskich<sup>4</sup>.

Obecny w Neapolu poseł nejburski, markiz Mascambruno, uradowany powyższem oświadczeniem Voty, dziękował mu czule, tysiące prawil grzeczności, przyrzekał pomoc w kamerze królewskiej, wspólną akcyę w sprawie ligi; „zdało mi się, że to sen, gdy w tej chwili mówi mi osoba wiarogodna, że ów pan markiz, wzięwszy kilku adwokatów, ciekutko poszedł do jednego z ministrów, oświadczać, że pretenduje dla domu nejburskiego także o tę drugą połowę, Polsce już zaasygnowaną a używaną już od lat 20 przez kamerę królewską. Nie mogę uwierzyć, by to było prawdą“<sup>1</sup>.

Asygnata, którą wywalczył z takim trudem Vota, nie została nigdy wypłaconą. Poprzestać jednak musiał na niej i 26 stycznia opuścił Neapol; z początkiem lutego krzątał się już w Rzymie około sprawy opactw.

Odpowiedź króla, biskupów i prałatów interesowanych w sprawie opactw na projekt rzymski nadeszła dopiero w pierwszych dniach lutego 1693 r., zbyt późno dla nie znośnego zwłoki O. Voty. Nie była ona po jego myśli. On chciał sprawę ubić przed zakończeniem styczniowego sejmku w Grodnie, bojąc się i słusznie „ognia w domu“, a tu nowe układy rozpoczynać trzeba. Biegał, kardynałów błagał i przekonywał. Więc naprzód naradzał się z kardynałem Barberinim, ajentem Ruyterem i ks. Ceci przez 5 godzin nad odpowiedzią króla. Uchwalono śpieszyć, obrabiać kardynałów. Biegał więc „z al Gesu do Watykanu jak wielbłąd, pieszo, nie mając powozu“, błagał „o udzielenie mu po godzinie czasu“, zaklinał, wołając o pośpiech<sup>2</sup>. Papieżowi zaś wręczył obszerną „suplikę kleru polskiego“, motywującą potrzebę nadawania opactw zubożonym, wskutek wojen i zaboru moskiewskiego, biskupom i prałatom i tłumaczącą, dlaczego

<sup>1</sup> Tamże, str. 49. Vota do Barberiniego z Neapolu, 24 stycznia 1693.

<sup>2</sup> Wyciąg z listów Voty, nr. 46, 50. Vota do kard. Barberini 6 i 7 lutego 1693 r. — Teka Lukasa 3004. Vota do króla 7 lutego.

na opatów tytularnych i drugą kwartę zgodzić się nie mogą<sup>1</sup>. Przedstawił też niebezpieczeństwa dla Kościoła i dla Rzpltej, jeżeli opór ten, dla króla bardzo przykry, bo drażniący w wysokim stopniu szlachtę, której wotów on do wytrwania w lidze świętej i prowadzenia wojny potrzebuje, jak najprędzej zakończony nie zostanie.

Innocenty XII wchodził w położenie króla i polskiego kleru i przyrzekł O. Vocie, że w tym duchu poleci kongregacyi załatwienie sporu. Jakoż polecił, ale śnać nie dosyć stanowczo. Członkowie bowiem kongregacyi, po stronie zakonów stojąc a nie chcąc wyraźnie sprzeciwić się woli papieża, obrali drogę zwlekania, tworzenia coraz to nowych trudności. A tu nadechodziły listy od króla do Voty, nagłące o zakończenie sprawy, bo sejm zerwany 11 lutego 1693 r., Tatarzy złupili najżyźniejszą krainę Rusi<sup>2</sup>.

Dopiero 5 marca zebrali się kardynałowie pałacowi i prałat Sacripanti na konsultę u kard. Spady. „Ułożyłem — pisze Vota do kard. Barberini 4 marca — memoriał po łacinie w imieniu kościołów i biskupów i biednych prałatów polskich, aby opactwa, jedyna ich pomoc, nie zostały okulawione (obcięte kwartą i drugim opatem)<sup>4</sup>. Na konsulcie „przeczytałem trzy memoriały, którem napisał dla Stolicy św. w imieniu króla, biskupów biednych w Koronie, — Inflant, Smoleńska, Kijowa, Kamieńca, Chełmu, Przemyśla i Łucka, — i od kanclerza, podkanclerzego, referendarza i w. sekretarza, prezesów trybunału cywilnego i kryminalnego<sup>3</sup>. Treść zaś ta: aby nietkniętymi zostały stoły opackie, z których się utrzymują oni biskupi i dostojnicy, i żeby nie obciążano ich płaceniem — obok kwarty „na fabrykę dla kościołów parafialnych — drugiej kwarty dla stołu, już tłustych, zakonników i ich przełożonych. Zakonnikom powinna wystarczyć wolność wybierania przeorów, nadana im od króla a odjęta opatom z komendy. Powtórzyłem słowo papieża, dane w *breve et vivae vocis*

<sup>1</sup> Załuski, II 863—872.

<sup>2</sup> Załuski, II 860—862.

<sup>3</sup> Ci wszyscy byli duchowni i korzystali z prawa patronatu króla.



*oraculo* (ustnie) królowi. Przedstawiłem im słuszne żądania króla, by stołom opackim przywrócone zostały dobra, wydarte im przez natrętnych zakonników przy nowych wyborach, a jeżeli chcą koniecznie połowy dóbr opackich, niech podziela całą masę trzech stołów, zakonników, przeorów i opatów na dwie części. Słowem wyraziłem niepodobieństwo płacenia tej drugiej kwarty i wpadnięcia w ciężary publiczne. Nieuniknione nastąpią zamieszania w Polsce pomimo pobożności króla, jeżeli Rzplta i król zobaczą, że ich zwiedziono, i obietnica Ojca św., dana ustnie, nie zostanie dotrzymaną na piśmie. Co tylko w granicach instrukcy królewskiej mogłem, użyłem rozumu mego, by rzeczy złagodzić i ułożyć, jako ten, którego król w liście kredencyonalnym własnoręcznym nazwał wiernym tłumaczem serca jego<sup>4</sup>.

Przypuszczam, że natarczywość O. Voty wywołała skutek wręcz przeciwny temu, jakiego się spodziewał. Kardynałowie oświadczyli zgodnie, „że wielką było łaską to, co się dla króla zrobiło, a ja kontentować się powinienem sławą, żem załatwił sprawę, w której księżę Radziwiłł i tylu innych nie nie wskurali“. Vota im na to, że tu nie o łasce im mówić, „bo król przychodzi poparty sprawiedliwością, i są osobiste dowody, że prawo posiadał na podstawie orzeczeń dataryi i soboru Trydenckiego. Co do mnie daruję moją sławę *inter vivos* (za życia) trybunałowi próżności, a nie pragnę innej sławy, jeno w zgodzie między ojcem a synem, Stolicą św. a Polską, duchowieństwem a państwem. A gdy to uzyskam, zadowolę się chwałą boską, a dla siebie w nagrodę choćby tylko śmierć ukamienowaniem. Konferencya trwała półtorej godziny — i wyszedłem niepokieszony“.

Poskarżył się 9 marca papieżowi, który mu z zadziwieniem rzekł, „że to całkiem nowe dla niego, myślał bowiem, że wszystko załatwione“. Vota okazał owe 3 memoryały i treść ich przytoczył. Papież zgodził się, aby jeden tylko był opat, aby przeorzy wybierani byli co 3 lata i mieli stół wspólny z zakonnikami<sup>1</sup>, kazał zarządzić kongregacyę kardynałów i pra-

<sup>1</sup> Helcel, Listy Jana Sobieskiego 472. Vota do króla 4 kwietnia.

łatów i odesłał go z tem do swego audytora. Wypraszał się od niego Vota, bo znał złe usposobienie prałata dla króla i siebie i przeczuwał, „że sprawa wejdzie w kółko, będzie odsyłana z Teb do Aten, z Aten do Teb, i że zawsze kard. Panciatici (przeciwny królowi) będzie superarbitrem“, ale papież stał przy swoim. Vota, zanim się udał do audytora, obrabiał wpierw onych niechętnych kardynałów i nieżyczliwych prałatów: de Filippis, Ceretani i Lancetti, każdego z osobna. Każdy przyznawał słuszność królowi „co do mensy komendataryuszów“ i obiecywał pomoc. „Ale lękam się zwykłych sztuczek i marudzeń tutejszych. Tymczasem pracuję i męczę się, chodząc po błocie, tracąc wzrok i zęby, a może i życie tu zostawię“<sup>1</sup>.

(Dok. nast.).

*Ks. Stanisław Załęski.*

---

<sup>1</sup> Wyciąg z listów Voty, nr. 52—55. Vota do kard. Barberini 4, 10, 11, 13 marca 1693 r.

# „WESELE“ WYSPIAŃSKIEGO.

(Dokończenie).

## V.

Nie umiemy dość sobie wystawić tego osłupienia, jakiegoby doznał Boileau, gdyby nagle znalazł się na przedstawieniu „Wesela“. Możeby na chwilę ułagodziło krytyka klasycyzmu to, że zachowana jest w tym utworze jedność miejsca i czasu, ale już brak akcji przez półtrzecia aktu zaprawiłby mu serce gorczą. A potem to rozpędzenie się autora po całym wszechświecie, ziemskim, niebieskim i piekielnym, ten spacer, w poprzek całego utworu, rzeczywistości popod ramię z ideowością i symbolistyką. technika wbrew wszelkim dotychczasowym prawidłom, nie mówiąc już o mnóstwie nieprawidłowości — to wszystko w obozie starej krytyki wywołać mogłoby tylko grozę i bezwzględne potępienie całego dramatu.

Krytyk dzisiejszy, który dotychczasowe wzory literatury stara się spożytkować tylko dla wykształcenia wewnętrznej artystycznej miary, a bynajmniej nie przyjmuje ich za bezwzględną miarę, ma przed sobą, przy tego rodzaju utworach, drogę, co prawda żmudniejszą, ale do prawdy pewniej prowadzącą. Ceniąc wartość dotychczasowych form, a uznając możliwość nowych, nie zrażając się przytem nieprawidłowościami, jeżeli tylko znajduje się w utworze jakiś rys zasadniczy do-

datni — inaczej utwór stoi niżej właściwej krytyki — krytyk, tak na podstawie pozytywnych danych, jak i pod przewodem psychologicznego współczucia, stara się wniknąć w myśli i uczucia i artystyczne zamiary autora, z tą sympatją, która bynajmniej obiektywnego sądu nie ma, a do zrozumienia i wniknięcia jest niezbędną — myśli te, uczucia i zamiary stara się wiernie odtworzyć, następnie rozebrać i rozłożyć na części, by w końcu wartość artystyczną tych części i składającej się z tych części całości określić i — dodajemy to wbrew najnowszemu kierunkowi — ocenić i własności dodatnie od niedostatków oddzielić. Przy utworach wykonanych i doskonałych, przy arcydziełach, krytyk idzie szeroką aleją parku i obejmuje kombinacje drzew bez trudu; przy mniej doskonałych, staje nieraz wobec zbitej leśnej gęstwiny, musi co krok rozchylać gałęzie, przedzierać się gwałtem do głębi — czasem tylko po to, aby jedną tylko kombinację wartościową odnaleźć. W ten tylko sposób dojść może do prawdy, która zazwyczaj jest pośrodku, między bezkrytycznym entuzjazmem a również niekrytycznym ryczałtorem potępieniem.

Odtworzyliśmy już genezę, bieg myśli i uczuć tego dramatu, zanalizowaliśmy najistotniejsze jego części: ideę przewodnią, psychologiczną logikę, symbolikę i technikę. Po drodze tu i owdzie zaznaczyliśmy nasz sąd w przelotnej formie wrażenia, teraz, gdy kolej na fakturę utworu i artystyczne wykonanie, w których wszystkie składowe części krystalizują się ostatecznie w literacką wartość, przystąpić nam wypadnie do właściwej oceny.

Nietrudno rozróżnić w tym utworze trzy artystyczne pierwiastki: pierwiastek realistyczny, pierwiastek romantyczny i pierwiastek symboliczny. Akt pierwszy i obrazki rodzajowe wesela w akcie drugim i trzecim należą do dziedziny realizmu, pierwiastek zaś romantyczny i symboliczny mieszczą się w tych scenach drugiego i trzeciego aktu, w których rozsnuwa się naczelną ideą utworu. Przypatrzmy się bliżej tym pierwiastkom.

Co do realizmu, w szczególności co do realistycznej faktury, to zwróciliśmy już poprzednio uwagę na jej dodatnie

strony, jak jędrna i wyrazista charakterystyka, jak wierne oddanie weselnego nastroju. Ze scen, tą fakturą robionych, tryska życie z całą swą bezpośredniością, raz jaskrawe i bujne życie chłopskie, to znowu przymgłone życie miejskie, pierwsze w jednym krzykliwym tonie, drugie na rozliczne blade półtony rozłożone. A, co najważniejsza, życie to odtworzone jest z taką żywiołową brawurą, że wprost w swoim ruchu narzuca się wyobraźni, jakby nie opisywane, ale przed oczyma przesuwające się zjawisko. Przykłady przytaczać zbyt liczne, bo wszystko tu sobie w tym rodzaju równe. I wejście, czy w prostą logikę chłopską, czy w różnorodne sposoby zapatrywania się inteligencji, i intonacja różnych uczuć i nastrojów, i to wszystko w każdym poszczególnym wypadku wyraziście zindywidualizowane, kilku śmiałymi rzutami przeniesione z rzeczywistości na papier, wraz z współcześnie grającym temperamentem, z tętnem gorącej krwi, z przychwyconym, w samym środku toku, sposobem myślenia, czucia, wyrażania się, czasem nawet zdawałoby się, jakby z gestem i spojrzeniem mówiącej osoby — to niewątpliwie wielki przymiot.

Ale ma ta faktura w tem zastosowaniu, jakie widzimy w „Weselu“, i piętę Achileśa. Autor z największą wiernością, wiernością już nie artysty, ale fotografa, odtwarza, na co w rzeczywistości patrzył, co słyszał, a odtwarza drobiazgowo, z pewnością nawet jakby skrupulatnością, aby żadnego rysu nie opuścić. Cały opis wesela jest po prostu szeregiem migawkowych zdjęć fotograficznych. Ponieważ zaś każdy szczegół takiej weselnej uroczystości sam w sobie wzięty, jest z natury rzeczy czemś drobnem i błahem, więc i całość opisu, składająca się tylko z szeregu tych drobnostek, nie może przedstawiać ważniejszego momentu. To też, z wyjątkiem kilku rozmów, ogólniejsze znaczenie mających, wszystkie inne dyalogi są błahе, pospolite, niektóre nawet płaskie. I w tem tkwi słaba strona tej faktury. Nie potrzeba chyba uzasadniać, że zadaniem sztuki nie jest kopiowanie, notowanie, odtwarzanie rzeczywistych szczegółów, jako takich, bo od tego mamy kopistę, reportera, przyrząd fotograficzny i fonograf, ale wyjawienie jakiejś istotnej cechy,

mieszczącej się w tych szczegółach. Rzeczywistość, przeniesiona do sztuki i wypełniająca treść utworu, może mieścić w sobie szczegóły najpowszedniejsze, najprostsze, ale w chwili, kiedy do sztuki przechodzi, powinna być tak pojęta i tak przedstawiona, żeby wyjawiała jakąś cechę ogólniejszą, w wyższym lub niższym stopniu ważną, mieszczące się zaś w tej rzeczywistości szczegóły pospolite, błahe, podrzędne, powinny grać w sztuce rolę taką, jaką w rzeczywistości mają, a więc podrzędną. U Wyspiańskiego inaczej — zbiór samych tylko rysów podrzędnych, a żadnej cechy ważniejszej. Wskutek nadmiernego nagromadzenia szczegółów, uroczystość weselna, która, jak z całego utworu widać, ma być najwidoczniej tylko punktem wyjścia i tłem dla ogólniejszej, narodowej sprawy, zaczyna nabierać samodzielnego znaczenia, a samodzielne to znaczenie stoi w rażącej sprzeczności z błahą treścią. Gdyby w ten sposób opisana rzeczywistość nie była weselem, choćby nawet tak niezwykle weselem, lecz odnosiła się do wyprawy Sobieskiego pod Wiedeń lub do bitwy pod Grunwaldem, to zbiór takich drobnostkowych rozmów miałby dla potomnych jakąś historyczną wartość, jako kronikarska zapiska, lub pamiątnikowa gawęda, ale i wtedy nie przedstawiałby, ze względu na treść swoją, większej artystycznej wartości.

Zboczenie to od artystycznej miary nabiera dużo większego znaczenia, jeżeli weźmiemy pod uwagę całość utworu. Przecież nie uwiecznienie bronowickiego wesela jest celem poety, ale sprawa narodu, jednolitość więc idei wymaga, aby wesele to w artystycznym wykonaniu było sprawie narodowej podporządkowane, a nie wysuwało się bokami na niezależne stanowisko. Wesele ma być tylko prologiem, punktem wyjścia, w dodatku także tłem całości — rola jego zatem jest podrzędna, epizodyczna, a jako taka powinna być tylko kilku najistotniejszymi rysami zaznaczona. Jakiż na przykład z dzisiejszą sprawą narodową ma związek, że pani radczyni N. N. w jakiś wieczór listopadowy była w kwaśnym humorze i nudziła się, że w tym samym czasie pan młody zbywał księdza aluzjami do pelerynki, że pięć minut później córka bronowickiego karczmarza, żydówka

Rachela, gadała od rzeczy, a pan X prawil jej puste komplementy? Coś z tych drobnostek powinno być w opisie zaznaczone, bo na tych drobnostkach istota zabawy weselnej polega, ale w mierze, jaka i drobnostkom jest należna i odpowiada celowi utworu. Zwłaszcza rys pewnej bezmyślności, pustego rozbawienia się — o ile to wszystko płynie z obojętności na narodową sprawę i z grubego niezrozumienia bądź co bądź ważniejszej chwili, jaką jest zbliżenie się dwu warstw, dotychczas się nieznających, a jednak tak wzajemnie sobie potrzebnych — rys ten był nawet konieczny w dramacie, którego ostatnia scena przedstawia społeczeństwo, co utraciło złoty róg i bezmyślnie się kręci pod znakiem chochoła. Ale rys ten powinienby być nakreślony z pewną dramatyczną precyzją, realistycznie, lecz tak, by przez szpary obiektywnej realistycznej faktury przeglądała chwilami subiektywna ironia artysty; nawet jakieś ziarno tragizmu na dnie tego opisu mieściłoby się mogło, coś podobnie, jak w pierwszych scenach „Nieboskiej“. Wiele z tego w opisie wesela widzimy i to ma wartość, dobre są także dialogi, wiążące się z ideą przewodnią utworu, również niejedna scena, malująca tylko nastrój weselny, jest i co do treści przewyborna, ale tu właśnie trzebaby dużo przebrakować. Odpadłoby wtedy wiele częściej gadaniny, razem z nią odpadłyby także, zupełnie tu niepotrzebne, ustępy drastyczne, powinnyby odpaść także zbyt wyraźne wzmianki o osobach żyjących, bo to zakrawa na plotkarstwo, niegodne artysty, nawet niektóre osoby dramatu, jak nieszczęśliwie wprowadzony ksiądz, jak kilka podlotków, mogłyby się śmiało ze sceny ulotnić.

Jeszcze jedna uwaga co do realizmu. Czy użycie ludowej gwary dla wiernej charakterystyki chłopca jest zawsze w tym utworze szczęśliwe? Nie mówimy już o kilku bardzo jaskrawych wyrażeniach, bo w tym względzie swoboda autora jest widocznie za wielka, ale o takim bezwyborowym przenoszeniu języka chłopskiego do literatury, jak tu widzimy. Zapatrywania na rolę gwary w literaturze są różne; są krytycy, którzyby radzi zupełnie jej w literaturze nie widzieć. Przemawia za nimi dość poważna racja: zachowanie jedności i czystości języka

literackiego. Z drugiej strony za użyciem gwary przemawiają inne racje, jak oddanie rzeczywistości nawet i w sposobie mówienia, jak wprowadzenie w utwór pewnego kolorytu i wdzięku, jaki mowie ludu jest często właściwy. Zdaniem naszym, i po jednej i po drugiej stronie jest racja, tylko nie bezwzględna. Sądzymy, że w sprawach literatury pięknej rozstrzygającym względem jest piękno. Jedność i czystość języka, czysto lingwistycznie pojęta, nieby tu zatem decydować nie mogła; jest ona jednak decydującym i to bardzo ważnym czynnikiem, jeżeli pojmie się ją, jako przymiot estetyczny, jakim jest niezaprzeczenie. Z tego punktu widzenia zasada, że jedność i czystość języka powinna być zachowana, jest słuszna, ale z drugiej strony, jako zasada estetyczna, niema tej bezwzględności, jakaby miała zasada lingwistyczna. To też, jeżeli zajdzie wypadek, że użycie gwary zapewnia dziełu literackiemu jakiś szczególniejszy odcień piękna, a więc wartość estetycznie większą, niż tą, jakaby miało przy zachowaniu jedności języka, zasada jedności w ogóle obowiązująca, w tym wypadku wiązać nie powinna. Sądzymy, że wszyscy uznają za literackie cacko ten sposób użycia gwary ludowej, jaki widzimy w „Zaczarowanym kole“ Rydla. Ale też wypadek taki powinien być szczególniejszy, użycie samo nie może być tylko materyalnem, bezwyborowem, przenoszeniem języka chłopskiego na papier, ale powinno być dokonane z wielką artystyczną miarą, z należytemi przeobrażeniami, i to, o tyle tylko, o ile wnosi z sobą szczególniejszą estetyczną wartość. Z tego względu, takie materyalne naśladowanie chłopca, jak w „Weselu“ widzimy, trudno uważać za przymiot. Owszem wywołuje ono niesmak. Jest przecież oczywiście, że mowa ludowa, jak zawiera pewne przesłiczne zwroty, jakie język literacki z wielką swą szkodą zatracił, że, jak dalej ma często przesłiczny wdzięk i miłą naiwność, jakiej w języku literackim próżno szukać, tak z drugiej strony wiele jej form są tylko pozostaniem w tyle poza językiem literackim, są więc jakąś ułomnością. Stąd też materyalne takie naśladowanie języka chłopskiego, a więc ułomności, nie tyle jest odtworzeniem chłopca, jak raczej jego przedrzeźnianiem. I to razi. Sam chłop



pojmuje to w tym ujemnym sensie, jeżeli jakiś mieszczanin rozpocznie z nim jego gwarą mówić.

Przechodząc do dwu innych pierwiastków, romantycznego i symbolicznego, rozpatrzmy najpierw momenty, w których stykają się one z poprzednim realistycznym pierwiastkiem. Mógłby mieć ktoś wątpliwość, czy sama wielość i różnorodność tych pierwiastków nie przesądza już z góry o niejednorodności utworu. Sądźmy, że w ogólności nie. Jest przecież możliwy jakiś punkt ogniskowy, w którym zbiec się mogą najróżnorodniejsze pierwiastki i faktury, dla wywołania jednego uczucia, wrażenia, nastroju, a zbiec się mogą, czy na zasadzie przeciwieństwa motywów, czy stopniowania uczuć, lub na innej pokrewnej zasadzie. Muszą jednak najpierw być zadzierzgnięte jakieś węzły, tak w kompozycji, jak w ogóle w wykonaniu, któreby te różne pierwiastki harmonijnie łączyły, a powtórę musi te wszystkie pierwiastki przenikać jeden wspólny ton, wpływający z wewnętrznego charakteru twórczości, która w akcie tworzenia jest jednolitą, przynajmniej taką być powinna.

Że w „Weselu“ trzy te pierwiastki zbiec się mogły w jednolitą całość, widocznem już jest z samej jego realistyczno-symbolicznej treści, czy jednak w rzeczywistości się zbiegły?

Co do jedności tonu, odpowiedź dość jasno wygląda z dotychczasowej naszej pracy. Ponieważ jedność utworu zależy od naczelnego stanowiska idei przewodniej, a ton idei przewodniej jest w tym utworze satyryczno-liryczny, wpływa zatem, że ten jest obowiązującą miarą całego utworu pod względem jedności. Ponieważ dalej ton ten satyryczno-liryczny pokrywa się w tym utworze z pierwiastkiem romantycznym i symbolicznym, całe pytanie zatem ogranicza się do pierwiastka realistycznego, o ile ten do tego tonu jest dostosowany. Na to daliśmy już odpowiedź powyżej. Odpowiedź ta w streszczeniu wyglądałaby tak: Jedność tonu zachowana jest w scenach wesela odnoszących się do narodowej sprawy, bo zabarwione są tonem lirycznym, zachowaną jest nadto w scenach zabarwionych tonem satyrycznym. Sceny realistyczne, czysto opisowe, nie przeszkadzają

dzałyby jedności tonu, gdyby grały tylko rolę epizodyczną, w tej jednak rozciągłości, jak je w „Weselu“ widzimy, wprowadzają dyssonans.

Co się zaś tyczy faktycznego powiązania tych pierwiastków, to pozostawia ono wiele do życzenia. I tak, że zwrócimy na dwa ważniejsze szczegóły uwagę, przejście od wesela do narodowej sprawy zasadza się na czystym przypadku, na kapryśnym pomysłe Racheli, by chochoła na wesele zaprosić. Zresztą, czy proszony, czy nieproszony, chochoł ten z następnym szeregiem widm sprawia trochę wrażenie przysłowiowego *Deus ex machina*. W głębi poematu, jak już widzieliśmy przy psychologicznej logice utworu, węzeł psychologiczny się kryje, choć także nie zbyt wyraźny, w zewnętrznej jednak budowie związek jest luźny. Również na odwrót, w przejściach od sprawy narodowej do wesela, połączenie jest bardzo niedostateczne. Wskazaliśmy już, że widma „Wesela“ należy pojąć jako uosobienie psychicznych pobudek, poza tą jednak psychiczną rolą grają one na zewnątrz rolę rzeczywistych widm. Otóż jest jasnem, że ta zewnętrzna rola nie zgadza się z rzeczywistością. Ludzie, którym się te widma zjawiały, po krótkiej chwili są zupełnie swobodni, a nawet najzupełniej o wszystkim zapominają. Słowem, pierwiastek realistyczny i dwa inne pierwiastki są w zewnętrznym wykonaniu tylko obok siebie ustawione, i dopiero pod koniec, jak to już wskazaliśmy przy omawianiu techniki, stapiają się w jednolitą całość.

Psychologicznie, wadliwość tę utworu tak tylko można sobie wytłumaczyć, że autor przystąpił do pracy z jakimś tylko zarysem planu, jaki mu w pierwszej chwili podyktowały wyobrażenia i uczucie. Przebudna wyobrażenia naznosiła mu do pracowni nieskończone mnóstwo motywów, szczegółów, tak co do idei, jak i co do faktury i techniki, i to z najodleglejszych biegunów świata: ze świata rzeczywistości wszystko, co w pierwszej chwili da się pomyśleć, świat duchów i świat ludzki, wieś i miasto; ze świata sztuki wszystkie artystyczne kierunki, jakimi poprzedni wiek się zajmował, a więc romantyzm, realizm,

symbolizm — wszystkie rodzaje poezyi, dramat, liryka, epika, poezya artystyczna i poezya ludowa — nawet różne sztuki w ten dramat wchodzą — prócz pomienionych rodzajów poezyi, mamy tu i muzykę, i w ostatnich scenach żywe obrazy, a więc coś pośredniego z malarstwa, rzeźby i mimiki, na upartego możemy doszukać się tu i wymowy i budownictwa — a więc wszystkie siedem sztuk, coś jakby spełnienie marzeń Wagnera o wszechsztuce, czyli o dramacie wszystkie sztuki obejmującym. Do tego mnóstwa szczegółów, nagromadzonych przez wyobraźnię, przyłączyło się głównie tylko uczucie, co prawda potężne, natchnione, i dzięki jemu jest w tym utworze i przeprowadzenie idei i psychologiczna logika — choć także nie bez szczerb — ale, że głównie tylko uczucie, a myśl tylko podświadoma, nie opanowująca wyobraźni i uczucia głębszem zastanowieniem się, rozważą i artystyczną miarą, więc wynikiem artystycznego wykonania nie jest jednolity budynek, ale niedokończona budowla, budowla wprowadzie w wielu szczegółach potężna, śmiała, ale ze szczerbami.

Pierwiastek romantyczny i symboliczny, osobno, a więc oddzielnie od realistycznego pierwiastka, rozważane, są istotą tego utworu, bo mieszczą w sobie ideę przewodnią. Przy przeprowadzeniu i wykonaniu tej idei przewodniej wyobraźnia i uczucie poety występują w całej sile i blasku. Czy występuje i filozoficzno-społeczna myśl, przeprowadzająca konsekwentnie swój system, tak w ocenie stosunków dzisiejszych, jak i w wytyczeniu programu przyszłości? Wogóle, bez jakiejś społecznej myśli w tego rodzaju utworze obejść się nie było można, widzimy nawet wiele głębszych przeblasków tej myśli, ale rozpierzchniętych, rzuconych dorywczo, a nie przeprowadzonych, to znowu, jak w scenie Stańczyka, zagmatwanych, nie wiążących się zwłaszcza w jakiś konsekwentny system. O ile tak przygodnie rzucane myśli, zwłaszcza, jeżeli są w zagmatwany sposób wyrażone, wprowadzają niejasność, o ile zmuszają myślącego człowieka do doszukiwania się społecznego systemu, którego tu niema, a temsamem sprowadzają na bezdroża, o tyle osłabiają siłę utworu — z drugiej jednak strony za brak takiego systemu

nie robilibyśmy zarzutu. Zapewne, taka głęboka, konsekwentnie przeprowadzona i w system ujęta, myśl społeczna, w połączeniu z tak potężnem uczuciem i z tak potężną wyobraźnią, mogłaby stworzyć arcydzieło, szczyt doskonałości w swoim rodzaju — oczywiście jest jednak z całego dramatu, że ten rodzaj doskonałości nie był w zamiarze poety. A w tym wypadku zamiar poety powinien być normą oceny. Istota tego zamiaru ogranicza się do tej idei, że duch narodowy zamarł i że go napowrót wskrzesić potrzeba; inne idee grają rolę podrzędną. Do pojęcia zaś i oddania tej głównej idei nie potrzeba żadnego systemu, wystarczy zwykły zmysł spostrzegawczy; konieczną tylko jest wielka miłość, silne i natchnione uczucie narodowe.

Nie potrzebujemy już po poprzednich wywodach powtarzać jak wielką jest siła narodowego uczucia w „Weselu“. W powiązaniu poszczególnych faz tego uczucia, przy szeregu widm, jest zbyt silny odcień tak zwanego *saltus lyricus*, niema artystycznej rozwagi, niema tego węzła wewnętrznej konieczności, któryby odrazu czynił ich rolę zrozumiałą — stąd też płynie chaotyczność i niejasność, utrudniająca zrozumienie idei przewodniej i zasadniczego związku — ale już od Wernyhory płynie ta fala uczucia jednolitem korytem, a przy końcu utworu grzmącym stacza się wodospadem. Po potężnych scenach uczuciowych, po szeregu symbolów, których znaczenie rozwinęliśmy i wartość oceniliśmy już poprzednio, idą ostatnie słowa, w których i wszystkie pierwiastki utworu i zasadnicze jego tony, genialna satyra i żal dotkniętej głęboko miłości, harmonijnie się zlewają — słowa wyrażone z szczególniejszego rodzaju precyzją, niemniej przeto klasyczne:

miałeś chamie złoty róg,  
 . . . . .

Słowa te jaśniejące znamieniem wyższej sztuki, bo oddające z siłą „wyższą prawdę“, ideę całego utworu, poszły już pomiędzy zwroty i przysłowia narodowe.

Na wszystkich tych trzech pierwiastkach znaczy się wyraziście pieczęć indywidualności artystycznej, odrębny styl. Najistotniejszy przymiot każdego stylu, to jest dobór słów takich,

któreby stały najbliżej natury wyrażonej idei, ten jest tu w wysokim stopniu i jest jakby ziarnem, z którego odrębność wykwita. Naturalnie, że ma swoje indywidualne zabarwienie. Nie jest to odcień stylu obiektywnego, nie jest nim nawet w ustępach najrealistyczniejszą fakturą robionych, bo, pomimo całej fotograficznej wierności, nie trudno w tych ustępach dostrzedz subiektywnej cząstki artysty. Jest to zaopatrzony w obiektywną przenikliwość subiektywizm, oddający swoje myśli i uczucia jasno, otwarcie, z całą bezpośredniością pierwotnej natury, z dosadnością barbarzyńcy. W tej dosadności jest coś z charakteru starego, zamaszystego szlachcica, coś trochę z dzisiejszego junaka. Przypominamy tu przepyszną przemowę gospodarza do gości z miasta<sup>1</sup>. Tyle co do doboru słów. W układzie słów brak często spójników, brak nawet istotnych części zdania. Brak zatem systematyczności, widoczny w całym utworze, widoczny jest także i w budowie zdań. Często styl ten urywkowy jest dodatnim objawem, bo oddaje naturalność potocznej mowy, ale często też psuje artystyczne wrażenie.

O ile odcień wyobraźni przejawia się w stylu, mamy tu, jako zasadniczy rys, plastykę, tak wyrazistą, tak żywą, w takim natężeniu i w takiej obfitości, jak w żadnym z dotychczasowych utworów Wyspiańskiego. I oddawanie zjawiska i chwytanie w lot tego zjawiska w ruchu, i odtwarzanie własnych

---

<sup>1</sup> wy a wy — co wy jesteście:  
wy się wynudzicie w mieście,  
to się wam do wsi zachciało:  
tam wam mało, tu wam mało —  
a ot, co z nas pozostało:  
lalki, szopka, podłe maski,  
farbowany fałsz, obrazki;  
niegdyś, gdzieś tam, tęgie pyski  
i do szabli i do miski;  
kiedyś, gdzieś tam tęgie dusze,  
pół-waryackie animusze;  
kogoś zbawiać, kogoś siekać;  
dzisiaj niema na co czekać.  
Nastrój? macie ot nastroje:  
w pysk wam mówię litość moję (*pluje*).

myśli i uczuć z płaskorzeźbowa wypukłością, jak rzadko u kogo innego. Plastyka ta zdobi się często w świetne obrazy, jak obraz mew lecących nad pustką morza, to w jędrne epifonematy, to znowu w śmiałe hipotypozy, jak opis Zygmunta w scenie Stańczyka, wstawiony głównie dla dekoracyi, a dla toku myśli nie bardzo potrzebny, opis pobojuwiska grunwaldzkiego w scenie rycerza, lub opis rzezi humańskiej w rozmowie Wernyhory. Plastykę tę oplątuje dookoła, pod wpływem uczucia element muzyczny, tak często z rytmu wyraźnie bijący, przeglądający zwłaszcza z częstego powtarzania tych samych zwrotów. Nieraz jednak to powtarzanie jest zbyt częste, bo nie płynie z uczucia, lecz tylko z pewnej manieri. Prócz elementu muzycznego wnosi do tego stylu uczucie całą skalę intonacyi, raz poufałą, naiwną, serdeczną, to znowu ironiczną, najczęściej wzniosłą, dochodzącą do zenitu w scenie oczekiwania Wernyhory.

Nie dotykamy z rozmysłu całego mnóstwa chropowatości stylowych, zaniedbań w rymie, rytmie, bo las to nie do przebycia. A szkoda, tak łatwo możnaby było te braki usunąć.

## VI.

Przechodzimy do ostatecznego wyniku.

W ostatnim rozdziale nałożyliśmy na jasny dotąd obraz wiele plam ciemnych. Kontrast ten w krytyce jest tylko odzwierciedleniem kontrastu, jaki w samym dziele panuje. Mamy przed sobą potężnego barbarzyńcę, który siłą natchnienia porwany, nie patrzy w prawo, ni w lewo, tylko pośpiesznie zdąża do celu, do którego prze go uczucie. W drodze poza nim pozostają najpiękniejsze pomysły i obrazy, śmiałe zarysy nowej techniki i śmiałe kształty nowych symbolów, wszystko z tą siłą pierwotną, która w kształty szponami się wpija, z pierwotnym zarazem brakiem artystycznej jedności i wykończenia. Powstaje stąd jakaś puszcza dziewicza, zawałona wykrotami, nabita bujną roślinnością, w której, pomiędzy potężnymi pniami, co chwila bronia przejścia, namotane na węzły, sploty lian i głógów — świat nieznany, pierwotny, jeszcze chaotyczny, ale potężny, nad

którym płynie silny, ożywczy prąd powietrza, właściwy tylko szerokim przestrzeniom i szczytom.

W przedziwny sposób z tym pierwotnym temperamentem artystycznym, niesharmonizowanym, ale silnym, łączy się odcień subtelного modernizmu, i to w dodatnim, i w ujemnym znaczeniu. Gdy barbarzyńiec stwarza typy silne, rzuca jędrne i przepełnione plastyką zwroty, i z całą bezwzględnością wypowiada myśli, modernista umie przeniknąć umysły wiotkie, oddać subtelne nastroje i zarysować drobne, nie każdemu widoczne, odcienie. Pierwszy jest entuzystą swojej idei, wielkim miłośnikiem narodowej sprawy, jako taki ma tylko serce, w tem sercu płonie gorącym ogniem narodowego ducha i oburzeniem na wszystko, co oziębic tego ducha zdolne. Drugi jest zimnym, przenikliwym, krytykiem, który po wieku analizy odziedziczył zdolność analizowania każdego faktu, który nawet w sympatycznej sobie osobistości czy zjawisku widzi wyrażenie aż do najmniejszych drobiazgów jasne i ciemne strony — nawet w takim ożenieniu się szlachcica z chłopką, które go przecież tak wysoko natchnęło, równocześnie i codzienniejsze pobudki dostrzega. Pierwszy jest natchnionym poetą i obywatelem, drugi jest tylko artystą. A jak dodatnie objawy dwu tych usposobień rozechodzą się w różne strony, tak znowu ujemne schodzą się i wzajemnie się potęgują. Pierwszy w pośpiechu nie wykończy myśli, wskutek tego myśl staje się niejasną — modernista lubi niejasność i tajemniczość, wskutek tego myśl niejasną nowym jeszcze obłokiem przesłoni. W technice, w wykonaniu, pierwszemu, niesionemu wiohrem natchnienia, wypadają co chwila zygzaki, linie krzywe — modernista lubi skręconą linię rośliny, więc krzywiznę jeszcze bardziej przegnje. Bodaj, czy pozostawienie niedbałości stylowych i rytmicznych nie jest także kaprysem modernisty, który kocha się w niewykończonych szkicach.

Modernista pomaga więc barbarzyńcy, ale także i bruździ. Byłby pomocnym całkowicie, gdyby był w ryzach przez barbarzyńcę trzymany, ale ten musiałby pierw w swoim państwie zaprowadzić rygor. Nad tak bujną wyobraźnią, i nad tak potężną uczuciowością, zwłaszcza przy tak doniosłej idei, jaką jest idea

„Wesela“, musiałyby zapanować syntetyczna inteligencja i artystyczna rozważa w wyższym stopniu, aniżeli ją w tym utworze widzimy.

Wskutek tych braków powstało dzieło niejednolite, niewykończone, rozwichrzone. Utwór szedł śmiałym pędem do mety, gdzie zaczynają się arcydzieła, ale wewnętrzne niesnaski wstrzymały go w drodze.

Mimo tych rys i pęknięć wartość tego dzieła pozostaje wielka<sup>1</sup>. Dzieło niewykończone, ale mieszczące w sobie rzuty genialne. Chyba, że nigdy nie zniknie z pamięci polskiej ten czarodziejski świat, jakby z baśni wschodniej wyjęty, w którego głębi zatacza się chochoł, a na czele świeci złoty róg — świat barwny, gwarny, dzisiejszej Polski, nad którą przeciągają widma Polski minionej, a w złocistym obłoku majaczy Polska przyszła — pierwsze narodowe jasełka, w których natchniona, duchowa muzyka Jankla tak długo za „akord rozdąsany“ targać będzie, aż pierzchnie chochoł i pęknie „ze świstem struna złowróżąca“. Wielka idea, wielkie natchnienie, górna fantazja, potężna plastyka, nowe pomysły techniczne i symboliczne, zapewniają temu utworowi niepospolite w literaturze znaczenie. Będzie w niej figurowało, że powtórzymy użyte już poprzednio porównanie, jako tors belwederski.

Królewską koroną tego utworu to czyste, potężne natchnienie, złęczone z losami ojczyzny. A co wartość jego nieskończenie podnosi, to to, że w otoczeniu swoim nie znalazło ono pobudki do lotu, owszem, wszystkie otaczające warunki były tego rodzaju, któreby je w zarodku przydusić mogły. Od zgonu naszej wielkiej poezji po raz pierwszy zjawia się natchnienie narodowe w tym stopniu natężenia.

Dla obecnej epoki literackiej, możnaby powiedzieć, że dzieło to ma opatrnościowe znaczenie. Wszyscy czujemy, że dotychczasowe kształty literackie już się przeżyły, że trzeba

---

<sup>1</sup> W ostatniej chwili wpadła nam w ręce rozprawa p. Spasowicza o „Weselu“. Z powodu wielkiego szacunku, jaki żyjemy dla talentu p. Spasowicza, o ile talent ten w poprzednich jego pracach mieliśmy sposobność poznać, musimy o pewnych jego sądach w tej pracy zamilczeć.



nowej drogi, nowej siły, nowego ducha. Zjawianie się dotychczasowe nowych kierunków jest tylko instynktownem odczuciem tej potrzeby. Był i kierunek taki, który za metę stawiał „nagą indywidualność“, „poezję jednego dla jedyne go“, a „sztukę-patryotyzm“, jako odstępstwo od prawdziwej sztuki potępił. Jakbyśmy w historii literatury nie mieli zbyt silnych dowodów, do jakiego skarlłowacenia takie zamykanie się w ciasnym zakresie prowadzi, i jakbyśmy nie mieli dowodów, że im obszerniejszy widnokrag roztacza się nad literacką epoką, a jednym z takich widnokręgów jest ojczyzna, tem potężniejsze powstają dzieła.

„Wesele“ Wyspiańskiego taki widnokrag na nowo odkrywa i bodajby ku temu widnokręgowi było dla innych drogowskazem.

\*       \*       \*

Wesele powstało w przełomowej chwili naszych politycznych i społecznych przekonań i dążeń. Przeciw dotychczasowym kierunkom wyłaniać się zaczęły nowe. W tej reakcyi społecznej „Wesele“ jest pierwszym, i jak dotąd jedynym, objawem reakcyi artystyczno-uczuciowej.

W tej reakcyi uczuciowej zwraca się poeta w stronę warstw oświeconych, ale jako czynnik przyszłości, stawia razem z reakcją społeczną lud. Tę sympatię dla ludu dyktują mu po części pobudki artystyczne, ale i niezależnie od nich, obywatelskie.

Jest oczywistem z „Wesela“, że w tej obywatelskiej sympatii dla ludu, nosi poeta w głębi serca nadzieję, iż ten lud stanąć może kiedyś za ojczyznę w szranki. Płonne uczucie, nie liczące się z najprostszymi faktami. W ostatnich miesiącach, najradzykalniejsze w tym względzie pismo nazwało myśl zbrojnych ruchów utopią.

Ale to tylko w głębi serca. W wykonaniu zbrojny ten ruch jest tylko symbolem, jest tylko środkiem a nie celem, środkiem do rozbudzenia narodowego ducha.

I tu znaczenie społeczne tego dramatu jest bardzo doniosłe. Po zawiedzeniu zewnętrznych kierunków politycznych, coraz

bardziej uświadamiać sobie zaczyna społeczeństwo, że jedynym programem działania, jaki mu pozostaje, jest program wewnętrznej pracy społecznej, wzmożenie dobrobytu, moralnych i duchowych sił. Prawie jednomyślnie zwracają wszyscy oczy na lud, żywioł czerstwy, fizycznie i moralnie zdrowy, jako na czynnik, którego wciągnięcie do publicznego życia najlepiej dopomódz może do wskazanego celu. Praca to jednak wielka, długa, uciążliwa, przy której niejednemu działaczowi nieraz opadną ręce. Potrzeba pobudki, ognia, zapału, potrzeba zachęcającej miłości, nigdy dość wielkiej, a wciąż się uszlachetniającej — potrzeba złotego rogu. I w tej myśli powtarzamy za poetą poprzedniej epoki:

Idź, mów, głoś!

*Ks. J. Pawelski.*

---

# PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

## Z piśmiennictwa krajowego.

**Henryk Sienkiewicz w oświeceniu krytycznem *Piotra Chmielowskiego*.**  
Lwów. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego. 1901.

„Od wszelkiej stronniczości daleki, stoi ponad ludźmi, wypadkami i kierunkami religijnymi, zawsze ostrożny i sumienny, baczny na zalety, ale nie zamykający oczu i na wady; oto typ anatoma, który, mając przed sobą ciało na stole sekcyjnym, nie dba o to, czy jest to ciało pięknej dziewicy czy brzydkiego potwora... W bezpiecznem schronisku ścisłego obiektywizmu tak starannie ukrywa on swoje ja czujące, radosne czy żłobale, że dzieło jego czyni częstokroć wrażenie, rzecz można, bezosobistego...” Tak scharakteryzowano niedawno p. Piotra Chmielowskiego. W tej sylwetce, pisanej nie tylko z wielką bardzo sympatją, ale prawie z entuzjazmem, położono największy nacisk na jeden rys, jako główny, zasadniczy, najbardziej charakterystyczny dla indywidualności p. Chmielowskiego. Tym rysem najwybitniejszym ma być „ścisły obiektywizm“, służący za „bezpieczne schronisko“ dla jak najstaranniejszego ukrywania swych sympatyj i antypatyj, dający możność i zdolność „wznoszenia się“ ponad ludzi, ponad prądy społeczne, filozoficzne, literackie, polityczne, religijne i t. d. i t. d. Mimo najszczerzych chęci, tego rysu charakterystycznego niepodobna znaleźć w krytyce literackiej p. Chmielowskiego. „Choraży pozytywizmu“ — jak go nazwano — wszędzie i zawsze dobitnie, wyraziście zaznacza swe sympatyje dla pewnych kierunków filozoficznych i społecznych, dla pewnych kategorii twórczości literackiej a z tych predykcji dla zasad bezpośrednio wynikają także względy dla pewnych

jednostek twórczych a swojego rodzaju — *lâchons le mot* — wstręty i antypaty dla drugich. To też p. Chmielowski, sędzia nieubłagany wszystkich, którzy są odmiennych z nim zapatrywań socyalnych i filozoficznych, ubiera różowe okulary, sądząc każdego, kto w swej twórczości przejawia skłonność do jego ideałów, do jego poglądu na świat i życie. Tak było we wszystkich pracach krytycznych p. Chmielowskiego, czy to o dramacie polskim, czy to o poezyi i powieści, tak jest wreszcie w jego książeczce o Sienkiewiczzu. Trafnie więc zauważono, że p. Chmielowski, „ten niezmiernie pracowity i wielce użyteczny archiwaryusz naszej literatury, ile razy chce krytykować współczesnych sobie autorów, doświadcza złudzeń wzrokowych: w krytykowanym widzi nie to, co w nim jest rzeczywiście, ale to, co sam chce w nim widzieć“.

Jest to objaw zupełnie naturalny i zrozumiały. Przedmiotowość zupełna jest bardzo wysokim ideałem. I jeżeli są ludzie, którzy do tego ideału choć z daleka się zbliżają, to w każdym razie nie należy do nich p. Chmielowski. On zawsze i wszędzie pozostaje wierny hasłom ongi rozgłosnym i popularnym a dziś już na szczęście zamilkłym, tym hasłom, z którymi się zrósł i zżył, które mu weszły w krew, z którymi rozstać się nie może nigdy.

Przypomnijmy sobie nadto jedną fundamentalną zasadę. Przypomnijmy sobie, że tak jak krytyka artystyczna wogóle, tak i krytyka literacka w szczególności ma pewne styczność ze sztuką i wymaga zupełnie innych kwalifikacyi niż np. praca w zakresie historii literatury. Jeśli historyk literatury jest artystą, *tant mieux*, ale on nim być nie potrzebuje. Tymczasem krytyk literacki winien do pewnego stopnia być artystą, winien mieć w sobie wrodzoną i wysubtelnioną wrażliwość estetyczną, zdolność odczucia, ocenienia i uwydatnienia artystycznej wartości każdego dzieła, zdolność zrozumienia i odtworzenia w sobie wszystkich wzruszeń duszy twórczej, przejawiających się na zewnątrz połączeniem linii form, kolorów czy słów. *La Critique est une des plus hautes formes de l'Art* — powiedział Ernest Hello, a dalej dodał pod adresem krytyków: *comprendre c'est évaluer* i zrozumienie, odczucie wszystkich przejawów twórczości artystycznej jest postulatem koniecznym; ono umożliwia wzniesienie się choćby chwilowe do poziomu analizowanej jednostki twórczej, wnikięcie w najgłębsze tajniki duszy, która wydała z siebie dzieło sztuki. Aby jednak mieć w sobie tę zdolność, na to trzeba być — artystą.

Pan Chmielowski artystą nie jest wcale. Niema w nim ani wra-

żliwości estetycznej, subtelniejszej nad bardzo średnią ani też zdolności uchwycenia tych pierwiastków twórczości estetycznych, które są charakterystyczne, które najwybitniejszym, najpotężniejszym dziełom nadają odrębne, wyróżniające je od innych piętno. Dawno już skonstruował on sobie pewne szablony, ramki, w które wkłada każde dzieło sztuki, każdą indywidualność twórczą. To co wychodzi poza te ramki, co się w nich nie mieści, temu on odmawia racji bytu, to on potępia i odrzuca bez namysłu i bez zastrzeżenia. Robi on zawsze wrażenie człowieka, który zamiast patrzeć wolnem okiem na cudowne kształty Apollina belwederskiego, patrzyłby na nie przez mikroskop. Bo nie mogąc odczuć, zrozumieć i uwydatnić wrażeń potężnych, przejmujących, głębokich, stosuje zawsze i wszędzie analizę drobnostkową podrzędnych składników i stosuje ją tam, gdzie ona jest zbyteczną zupełnie. I znów przypomina się Ernest Hello i jego słowa: *Le premier mot de la petite critique porte toujours sur un detail*. Pan Chmielowski zastanawia się więc nad drobnymi, podrzędnymi szczegółami, wyszukuje najmniejsze usterki, wady, błędy, skazy i rozpisuje się o nich szeroko, czyniąc z tej analizy główną, wyłączną prawie treść swych krytycznych studyów o literaturze współczesnej. Jest to rzeczywiście „typ anatoma“, któremu obojętne, czy ma przed sobą „ciało pięknej dziewczicy“ czy „brzydkiego potwora“, tylko że ta obojętność w krytyce literackiej nie jest zaletą, ale jest wadą bardzo wielką i nie jest wynikiem „ściśłego obiektywizmu“, ale jest skutkiem braku uzdolnienia i ukwalifikowania do krytyki estetycznej. A w dodatku ten „anatom“ życzliwiej patrzy na ciało najbrzydszego potwora, najmniejszego wymoczek, jeśli tylko ten potwór czy wymoczek ma zabarwienie nieco pozytywistyczne.

Ale nie przeciągajmy porównań.

O p. Chmielowskim z całą słusnością powiedzieć można: *er sieht den Wald vor lauter Bäumen nicht*. Krytyk grzeszący w małostkowych szczegółach traci siły, któreby mu pozwoliły wznieść się w górę i *à vol d'oiseau* ogarnąć całość dzieła sztuki, jej najwybitniejsze, najcharakterystyczniejsze rysy. *Le style est l'homme même*; Buffon ucieszyłby się ogromnie, gdyby mógł przeczytać którąkolwiek z prac p. Chmielowskiego. Styl suchy, bezbarwny, operujący najzwyczajniejszymi zwrotami, monotony, nie mający w sobie nic a nic siły, polotu, werwy, uczucia, często zawiły i niejasny, bardzo często niezbyt poprawny, zdradza od razu charakterystyczne cechy umysłu p. Chmielowskiego, zdradza od razu, że nie ma on w sobie nic a nic artysty, nie wznieś się nigdy

na wyżyny, z którychby mógł ogarnąć szerokie, rozległe horyzonty. I w tym stylu niema nic a nic indywidualnego.

Książka o Sienkiewiczu, która, jak sam autor przyznaje, „składa się z ocen, kreślonych pod świeżem wrażeniem, z przeczytania pewnych dzieł odniesionem“ — nie jest lepszą od innych prac krytycznych p. Chmielowskiego, przeciwnie jest jedną z najsłabszych. Niema tu żadnej syntezy, niema tu zarysowanej wyraźnie sylwetki wielkiego pisarza, niema tu uwypatnienia charakterystycznych cech twórczości Sienkiewicza, tych cech, które czynią z autora „Krzyżaków“ tak odrębną, tak samodzielną i tak oryginalną indywidualność. Jest to zbiór streszczeń dzieł Sienkiewicza i zbiór drobnostkowych, najczęściej bezpodstawnych zarzutów. Pan Chmielowski staje tu wobec Sienkiewicza jakby nauczyciel wobec ucznia i — widocznie chcąc zaznaczyć dobitnie swą tendencję reagowania przeciw „bezkrytycznym zachwytom“ — traktuje tego ucznia z góry, z majestatyczną powagą, pewną protekcjonalnością i pewnem poczuciem wyższości krytyka (p. Chmielowskiego) nad twórcą (Sienkiewiczem). Stąd wrażenie bardzo niemiłe. Być może, iż p. Chmielowski nie miał wcale zamiaru nadania tego nastroju swej książce, ale ostatecznie wrażenie takie się ma i stracić go niepodobna. Wrażenie ujemne potęguje się nieustannie, gdy widzimy stałe — i jakby z zamiarem z góry powziętym — uwypatnianie najbardziej drobnostkowych, najmniej dostrzegalnych, zupełnie błahych wad i usterek przy równoległym idącym braku odpowiedniego uwypatnienia największych zalet i piękności, jakby nie istniały wcale te wspaniałe karty, które zdobyły Sienkiewiczowi niespożytą chwałę. Tu uwypatnia się najlepiej brak wrażliwości estetycznej u p. Chmielowskiego, to co czyni zeń „typ anatoma“. Mikroskop użyty tam, gdzie trzeba lunety.

Najsurowiej obszedł się p. Chmielowski z pierwszą częścią trylogii. Mało co mu się tam podoba. Irytuje go „papierowa doskonałość“: Książę Jeremi Wiśniowiecki nie podoba mu się, Skrzetuski, ten „zbyt miękki i zbyt wrażliwy ulubieniec Sienkiewicza“, ten Skrzetuski, „który widocznie był trochę literatem“, — nie podobają mu się dowcipy Zagłoby jako „mielenie niedorzeczności“, w obrazie śmierci Podbiپیęty razi go „teatralność“ (??), w innych znów — zdaniem naszym — skończenie pięknych „melodramatyczność i przesada“. Wydaje mu się „psychologiczną łamigłówką“ to, że Zagłoba, ten „nikczemny samolub“, porzuca w Rozłogach Bohuna i przychodzi z ratunkiem Helenie. To, że Helena, „którą jako idealnie szlachetną poznaliśmy“, pozostawia śle-

pego Wasyla i nie stara się go uratować, jest w oczach p. Chmielowskiego tak strasznym błędem i grzechem, że aż mu „odbiera wiarę w prawdę malowanych postaci“. Można zapytać, skąd p. Chmielowski wie o tem, że Zagłoba przed spotkaniem Heleny był faktycznie: „nikczemnym samolubem“ i czy nawet najidealniej szlachetna młodzianka dziewczyna w podobnej sytuacji jak Helena nie zapomniałaby o wszystkich Wasylach na świecie. Ale niema tu miejsca na powtarzanie wszystkich drobnostkowych zarzutów czynionych przez p. Chmielowskiego Sienkiewiczowi ani na polemikę z nim. Przytoczyć warto tylko jedno jeszcze: sąd p. Chmielowskiego o przygodach Zagłoby podczas ucieczki z Heleną (z Rozłogów), o przygodach, które wydają mu się tak „jak większa część awantur, opisanych przez Dumasa ojca“, bo nie są nieprawdopodobne, ale — są nieprawdopodobne. Dla udowodnienia przytacza p. Chmielowski fakt „porznięcia“ koni przez wilki w stepie. „Przytem zarówno konie jak i wilki bardzo przyzwoicie rolę swą odegrały. Nie zbliżają się do śpiących, żeby im snu nie przerywać, wyły zaś i chrapały bardzo dyskretnie tak, żeby tylko Helena usłyszeć je mogła“ (a więc w każdym razie dość niedyskretnie?! Zresztą ironia bardzo tania, używana przez p. Chmielowskiego często). Zarzut ten — pomijając jego błahość — zupełnie bez podstawy, a zdradzający nie tylko zupełną nieznajomość natury wilka i — co nas zresztą wcale nie dziwi — brak doświadczenia łowieckiego u p. Chmielowskiego, ale także zupełną nieznajomość faktów, powtarzających się po dziś dzień dosyć często, np. na Polesiu, gdzie w pobliżu kilkunastu czuwających koniuchów wilki „rzną“ konie jak swoje aż miło i zakradają się w obejścia, nie przerywając nikomu miłego snu. Tego rodzaju są prawie wszystkie zarzuty p. Chmielowskiego, którym poświęca on tyle miejsca, że widocznie nie starczyło go mu na uwydatnienie tego, co w „Ogniem i mieczem“ jest piękne i najważniejsze. Z dwu niby poważniejszych zarzutów pierwszy o „apoteozie gospodarki szlacheckiej“ na Ukrainie jest starym, oklepanym frazesem, bez najmniejszej podstawy i właściwie nie warto się z nim rozprawiać. Wystarczy zaznaczyć, że Sienkiewicz tak w „Ogniem i mieczem“, jak w „Potopie“, jak w „Rodzinie Połanieckich“ stoi zawsze ponad historyzoficznymi poglądami i wznosi się tak, jak każdy wielki poeta wznosić się powinien, ponad stronnictwa i spory. Ale tego właśnie przebaczyć mu nie można, ta bezstronność to właśnie największa wina... Drugi zarzut, jakoby Sienkiewicz w powieści historycznej nie obejmował całokształtu życia narodowego danej epoki, jest wymaganiem trochę za daleko idą-

cem. Powieść historyczna nie może być wszechstronnem odbiciem politycznego, społecznego i kulturalnego życia narodu w danej epoce. Z pośród mnóstwa objawów najrozmaitszego rodzaju, z pośród mnóstwa idei i prądów przenikających w danej chwili dziejowej społeczeństwo drgające pełnią życia, powieść historyczna uchwycić i uwydatnić może te, które chce uwydatnić, te, które dla niej są zasadnicze, najgłębsze, najpotężniejsze, te, co obejmują wszystkie składowe części organizmu, a epoka i społeczeństwo, to zabarwienie charakterystyczne i odrębne, które dla myśli przewodniej danej powieści jest niezbędne. Całość życia narodowego i społecznego wraz z wszystkimi przejawami usunąć się musi w dal odpowiednią, stać się musi tłem, zaznaczoną być może o tyle tylko, o ile to niezbędne dla uwypuklenia i uwydatnienia głównego (zdaniem powieściopisarza) prądu panującej idei, dla ujęcia w tamy wydarzeń związanych z tą ideą o tyle tylko, o ile to nie stoi w sprzeczności z prawami artystycznej perspektywy i nie szkodzi sprężystości i jednolitości kompozycji. Powieść nie jest podręcznikiem historii i socjologii. *Qui trop embrasse mal étreint*. Gdy powieść chce zbyt wiele ogarnąć i objąć, wówczas obniża swą artystyczną wartość, traci przejrzystość i jednolitość; myśl przewodnia gubi się w chaosie szczegółów i szczegółików, a dzieło nie jest ani dziejowym obrazem epoki ani tworem sztuki; staje się hybrydą. Dowodem „Faraon” Prusa...

Daremnie szukać u Szekspira wszechstronnego odbicia prądów wszystkich panujących w Anglii za czasów, gdy się działy faktycznie przemienione przezeń w dzieła sztuki dziejowe dramaty. W swych „historyach” bierze on jeden prąd, jeden moment dziejowy, ten przeprowadza i uwydatnia, zwyczaje zaś, obyczaje, stosunki i dążenia współczesne są tylko tłem, uwzględnione są tylko o tyle, o ile to jest niezbędne. A Szekspir jest mistrzem i wzorem nie tylko w dramacie... Po „Ogniem i mieczem” na stół sekcyjny przychodzi „Potop”, znajdujący trochę więcej łaski w oczach p. Chmielowskiego, prawdopodobnie dlatego, że szanowny krytyk widzi w tem dziele jaskrawe uwydatnienie „lichoty” możnowładzców, a więc „Potop” znajduje łaskę mimo, że w „zasadniczych punktach” naśladowany z „Anuncyaty” Kaczkowskiego. Gdzie, co, jak, w czym? Tego p. Chmielowski nie wyjaśnia gruntownie; idzie dalej, rzuciwszy od niechcenia oskarżenie bardzo poważne a zupełnie bezpodstawne, bo między „Potopem” i „Anuncyatą” tyle jest podobieństwa, ile go jest między Rudawą i Wisłą. I to rzeka i tanto rzeka; i to powieść historyczna i tanto także.



Ale p. Chmielowski lubi wyszukiwać nieistniejące podobieństwa i zapożyczenia, np. między „Niewolą tatarską“ a „Beniowskim“, albo między powrotem Rzepowej („Szkice węglem“) a ucieczką Basi („Pan Wołodyjowski“), przyczem drugi z tych obrazów ma być kopią pierwszego!!!!... Dosyć. Ostatecznie, formułując ogólny sąd o książce pana Chmielowskiego, trzeba powiedzieć otwarcie, że lepiejby było, gdyby te poszczególne oceny — ogłoszone przeważnie swojego czasu w warszawskim *Ateneum* — nie były się ukazały zebrane razem w jedną całość. Organicznej całości one nie stanowią. Na twórczość Sienkiewicza nie rzucają żadnego światła. Charakterystyki największego naszego pisarza w nich się nie znajduje. „Sienkiewicz w oświeceniu krytycznem Piotra Chmielowskiego“ robi wrażenie spłowiałego daguerotypu, w którym nie można dopatrzyć się rysów i wyrazu twarzy. A przytem książka ta przyczyni się do powiększenia istniejącego i tak zbałamucenia pojęć wśród tych, którzy, przyzwyczajeni *iurare in verba magistri*, tem śmiejiej wojować będą frazesami, mającymi być „reakcją przeciw bezkrytycznym zachwytom“. Swoją drogą Sienkiewiczowi to nie nie zaszkodzi. Uznając zasługi p. Chmielowskiego w archiwalnej dziedzinie pracy literackiej, nie można przyznać wartości szkicom o Sienkiewiczu.

Adolf Strzelecki.

**Wiersze i proza.** *Kazimierz Morawski.* Spółka Wydawnicza w Krakowie. 1901.

„Wiersze i proza“ tłumacza Sofoklesowej „Antygony“ to uciecha dla smakoszków literackich, mających „szósty zmysł“ odczuwania subtelnych wrażeń estetycznych, tych co umieją pochwyć i odczuć wypowiedziane w dyskretnych półtonach myśli i nastroje duszy na wskrós artystycznej, niezmiernie wrażliwej, a posiadającej pewną wstydlivość uczucia, która nie dopuszcza wypowiedzenia tych nastrojów i myśli w sposób jaskrawie wysuwający na plan pierwszy indywidualność twórcy, czyniąc z tej indywidualności z tego *moi haïssable* — jak mówi Brunetière — oś, około której obraca się wszystko. Jest w tych „wierszach“ i w tej „prozie“ dziwna harmonia formy i treści; treść to wytwór nieustannej pracy intelektualnej, nieustannych rozmyślań i refleksji jednostki, która umysłem ogarnia szerokie horyzonty, wnika w istotę każdego przejawu, nie dając się złudzić i zdusić pozorami, a prócz wielkiej siły intelektu, ma wielką siłę serca, czującego silnie i głęboko. Artystyczny popęd zmusza go do uzewnętrznienia uczuć

i myśli przepełniających duszę. Tworzy też tylko wówczas, gdy musi, pod działaniem „kategorycznego imperatywu“ wewnętrznej siły, tworzy — jak sam mówi: „z ciepłym sercem w chwilach natężenia wrażeń bolesnych lub górnych“. To też bezpośrednio i szczerowość uczuć musi budzić oddźwięk; to co idzie z serca, trafia wprost w serce ale nigdy nie obciąża smutkiem, rozgoryczyniem, pesymizmem, zawsze podnosi, krzepi, budzi otuchę i wiarę i nadzieję. Myśl zawsze znajduje dla siebie najodpowiedniejszą formę, bo przetrawiona w artystycznej duszy uzewnętrznia się od razu tak, że wydaje się, jakby innej formy dla niej już nie było, tylko ta najodpowiedniejsza i najlepsza, jedynie możliwa. Ta siła sugestyi jest wynikiem wielkiego panowania nad formą, nad językiem i nad stylem. Esteta pierwszej próby cyzeluje formę z wielkim kunsztem, ma tę wrodzoną i wyrobioną wykuintność stylu, nie zezwalającą na użycie nieodpowiedniego nastrojowi zwrotu, czy słowa, na zepsucie formy najłżejszą usterką. Prof. Morawski to klasyk ale i, — modernista. Rozmiałowany namiętnie w klasykach Hellady i Rzymu, na nich wyrobił sobie jasność, wyrazistość, plastykę i jędrność stylu, przejrzystość konstrukcyi; z modernizmem zaś wspólną ma zdolność budzenia nastrojów tych „stanów duszy“, które chce obudzić i wytworzyć. To połączenie obu pierwiastków wznosi go ponad „szkoły“ i kierunki artystyczne, to też przemówi do wszystkich i do najsłabszej prawicy i do najsłabszej lewicy. Tak samo jest i pod względem treści ideowej, bo głosi on to, co wszystkim powinno być wspólne: wiarę w Boga i wiarę w przyszłość narodu. — Wysoka kultura daje prof. Morawskiemu zdolność odczuwania ducha czasu różnych epok dziejowych i ducha różnych indywidualności twórczych, rozdzielonych od siebie setkami lat. Umie on przejąć się indywidualnością twórcy „Antygony“, umiejac też uwydatnić aż po najdrobniejsze odcienie myśl, duszę i odrębność tragika Hellady, a tak samo odczuwa i pojmuje indywidualność Ady Negri, tej *millionara di genio e sole*, co „miała serce pełne miłości dla cudzej nędzy, którą znała naocznie i z doświadczenia, a w duszy dosyć wiosny i zdrowia, aby swych śpiewów o smutkach i czarnych godzinach nie zamacać i nie psuć goryczą bezwzględna“. Prof. Morawski wielbi i czci piękno we wszystkich jego przejawach, ale najwyższą cześć, najgłębsze uwielbienie, najpotężniejszą miłość ma on dla piękna rodzimego, naszego, które ujęte jest w mowę naszą, polską, w tę mowę, do której zwraca się w „przygrywce do polskiej Antygony“ w te słowa:

Ja Ciebie kocham w twego świtu chwale,  
 Gdy z głębi piersi okrytej zbroicą  
 Za tętnem serca siły melodyi fale  
 I biła w niebo pieśń Boga Rodzico;  
 Ja Ciebie kocham, żeś w kraszy twej dobie  
 Tyle ty pereł rozsnuła i czarów,  
 Zakwitła skargą na Urszuli grobie,  
 Wieńczyła drzewca zwycięskich sztandarów,  
 Że z twojej chwały wysokiego tronu,  
 Jakby w przeczuciu cierpienia i próby,  
 Na nizkie pomnąć brzegi Babilonu,  
 Miłość związałaś wieczystymi śluby.

Kiedy też chwałę zmroczyła żaloba,  
 Tyś nie plużyła w uszy co uśmierca,  
 Nie zmiłkłaś jako przyjaciele Hioba,  
 Lecz, wiążąc słowa, wiązałaś i serca.  
 Nad padołami ludzi, którzy jęczą,  
 Jak z niebios wzięty, w niebo rwący promień,  
 Wielką ognistą zabłyśłaś ty tęczą,  
 Co światło w dusze, a w serca tchnie płomień,  
 I ponad burze i ponad zawieje  
 Mimo gróźb wroga i wrogich mozołów  
 Idziesz zwycięsko na wielki dusz połów,  
 Niesiesz nadzieję.

Prócz niezrównanego przekładu „Antygony“ Sofoklesa, któremu już przed kilku laty oddał *Przegląd* należne uznanie, w zbiorze prof. Morawskiego znajdują się same „drobnostki“; jest to, jak autor powiada, „pokłosie, zebranie przeważnie dorywczych i ulotnych głosów, które w codziennych pismach dzień jeden przeżywszy, nie zaznały sądu współczesnych“. Są więc z „wierszy“ prologi do „Elektry“ Sofoklesa i do „Lysistraty“ Arystofana, ten ostatni prolog usiłuje nadać myśl wyższą utworowi, który w gruncie rzeczy jest bardzo płaski, są dalej przekłady dwóch poezji Ady Negri, łacińskie *carmina* na cześć ś. p. Pawła Popiela i na zebranie filologów w Wiedniu, a wreszcie podniosły, głęboką myślą przejęty wiersz na jubileusz Uniwersytetu Jagiellońskiego. „Proza“ to zbiór artykułów na pogrzeb, w stuletnią rocznicę urodzin i po odsłonięciu pomnika Mickiewicza, dalej mowy nad grobem ś. p. Pawła Popiela i ks. biskupa Krasińskiego, dalej mowa w stuletnią rocznicę urodzin Puszkina, artykuł po śmierci Bismarcka i w końcu „kilka słów z okazji jubileuszu Jagiellońskiej Wszechnicy“, treściwy a przejrzysty rzut oka na dzieje Uniwersytetu.

Te „drobnostki“ to nie efemerydy, tracące swą wartość nazajutrz po ich ogłoszeniu. Korzystając ze sposobności, autor wznosi się ponad chwilę, ogarnia szerokie horyzonty, patrzy w przeszłość i w przyszłość, rzuca myśli głębokie, pobudza do rozważania swych słów i do dalszego wnioskowania, czy to wówczas gdy za punkt wyjścia bierze śmierć „żelaznego kanclerza“, czy też gdy w stuletnią rocznicę urodzin Pułaskina wypowiada swe myśli o „ugodowej polityce“ i stosunku Polski do Rosyi, gdy zwięźle charakteryzuje znaczenie Matejki w cywilizacyjnym rozwoju naszego społeczeństwa, czy wreszcie gdy w prologu do „Lysistraty“ Arystofanesa rzuca w oczy społeczeństwu garść gorzkich prawd i sarkazmów a porównując Ateny z Polską, powiada:

A jeśli w Grecyi, wśród walki hałasów  
 Silnie buchały pragnienia pokoju,  
 U was też widzę gust wielki do wczasów,  
 Wybitną skłonność do wytchnień... bez znoju.  
 I świętujecie z zapalem tak przednim,  
 Że aż się dzionkom obrywa powszednim.

A jeśli prof. Morawski pyta w przedmowie, czy te wypowiedziane przezeń w różnych chwilach „uczucia i wyrazy nie zastygły i czy miały prawo ciemnice wiekuiste na światło dzienne wydobyć“, — to może być pewny, że nikt mu nie odpowie inaczej jak wdzięcznością za wydanie tych „drobnostek“, za ich wydobyć z pośród „starych papierów“. Są to „drobnostki“, które zachowały i zachowają świeżość, znaczenie i aktualność, a mają w sobie czar formy i uczucia, który każe do nich nieraz powrócić.

*Adolf Strzelecki.*

### **Materyały i prace Komisji językowej Akademii Umiejętności w Krakowie. Tom I. Zeszyt 1. W Krakowie 1901.**

Po dłuższej przerwie, po pewnego rodzaju śnie, zreorganizowana Komisja językowa krakowskiej Akademii na nowo rozpoczyna swe wydawnictwa tak pożyteczne dla badań nad językiem polskim. Niniejszy zeszyt zawiera:

Z działu dyalektologii polskiej:

Witek: „Teksty i spostrzeżenia gwaroznawcze z północno-wschodniej okolicy Tarnowa“. Okolica to pod względem dyalektologicznym niezmiernie ciekawa; gwara tamtejsza, nie różniąc się wiele od innych w zakresie form i składni, wykazuje nader oryginalne, gdzieindziej nie spotykane zjawiska fonetyczne (np. zamiana samogłoski *o* w pewnych

warunkach na dwugłoskę *ue* a w dalszym ciągu na *e*; wielka rozmai-tość w tak zwanem mazurzeniu). Uzupełnieniem pracy Witka jest praca:

Gawin: „Teksty w gwarze zaczarnieńskiej“; pochodzą one z okolicy sąsiadującej bezpośrednio z terenem, badanym przez autora poprzedniej rozprawy i wykazują równie ciekawe zjawiska językowe.

Janczy: „Gwara Sromowiec Wyżnich“. Podczas gdy prace poprzednie są przeważnie zbiorem materiałów, rozprawa niniejsza należy już do kategorii systematycznych opracowań. Wieś Sromowce leży w powiecie nowotarskim, nad Dunajcem, w pobliżu Czorsztyna, tuż na granicy węgierskiej; znana dobrze turystom zwiedzającym Pieniny, Niedzicę, Czorsztyn. Gwara Sromowiec należy niewątpliwie do gwar góralskich — podhalskich, pokrewna zakopańskiej (por. w obu *nif*, *grof* = nich, *groch*, *na* = nam, *casę* = czasem, *bes* = będziesz, *mógef* = mógłech = mogłem, i w. i., także spółnoty w zakresie słownika); o ile się od niej różni, należałoby jeszcze zbadać. W każdym razie dobrze, że i z owych stron obecnie mamy opracowanie gwary ludowej.

Wymienione trzy prace swą szatą zewnętrzną wybitnie się różnią od dotychczasowych rozpraw o podobnym zakresie. Znać w nich powiew nauki europejskiej; widać to w transkrypcji ściśle, nawet bardzo ściśle naukowej, takiej, jakiej obecnie używa „Europa“, widać też po formułowaniu i określeniach zjawisk językowych. Niestety, nie jest to już zasługą autorów, ale sekretarza komisji, prof. Rozwadowskiego; wszystkie te prace bowiem uległy pod jego ręką gruntownym przerobieniom. Dla prac dobrze i dla nauki dobrze; mniej dobrze dla miłości własnej autorów, która, skutkiem dość licznych i dość bezwzględnych uwag przerabiającego, może się czuć dotkniętą. Ostatecznie nieby się złego nie stało, gdyby ta praca pozostała za kulisami, a czytelnikowi dostały się tylko jej wyniki.

Do dziejów języka polskiego należy praca:

Celichowski: „Polskie glosy botaniczne w Mogunckim Zielniku z r. 1484“; w jednym z druków XV wieku, znajdujących się w bibliotece kórnickiej, glosator umieścił w pierwszych latach XVI wieku obok nazw łacińskich i niemieckich także polskie, obecnie przez Celichowskiego przedrukowane; dla skompletowania słownika staropolskiego w każdym razie przydatne.

Prof. Rozwadowskiego: „Szkic wymowy (fonetyki) polskiej“ wkracza śmiało w dziedzinę kwestji najbardziej zasadniczych; omawia fakta, bez zrozumienia których żadną miarą nie można i nie należy przystępować do badania i objaśniania zjawisk językowych. Jak taka praca

była pożądana i potrzebna, oceni każdy, kto studyował np. fonetykę Sieversa lub Tachmera i z nich usiłował sobie wyrobić pogląd na fonetykę polską. Jest więc szkic prof. Rozwadowskiego już przez to samo rzeczą nader cenną, że jedyną; wartość tę powiększa ścisłość w wywodach i określeniach i naukowość w każdym względzie. Zwłaszcza zasługuje na podniesienie rozdział o samogłoskach. W szczegółach szkic ten nastęrcza wiele sposobności do polemiki, której jednakże na tem miejscu przeprowadzać nie będziemy, odsyłając ciekawego czytelnika do jednego z najbliższych tomów Prac filologicznych. Na kilka rzeczy tylko zwrócimy uwagę.

I tak zaraz w § 2 przy ogólnej charakterystyce artykulacji spotykamy twierdzenie: artykulacja języka jest wyraźna i energiczna, czynność warg wyraźna i zdecydowana, ale umiarkowana. Na to twierdzenie zgodzić się trudno; u jednostek być może, u przeważnej jednak większości jest artykulacja języka i warg właśnie niewyraźna i nie-energična, — cecha języka polskiego, na którą już nieraz zwracano uwagę. Za śmiałem wydaje mi się twierdzenie, że *ę* na końcu wyrazu traci nosowość (zawsze, z wyjątkiem mowy uroczystej, bardzo starannej); obserwowałem wiele jednostek, które w mowie zwyczajnej stale mówią *ę* nie *e*. Za niedokładne uważam określenie (w § 27) pewnych modyfikacji *ń*; nie ulega redukcji ono przed *s* w zgłosce zamkniętej, ale traci artykulację przednio-językowo-dojrzalną, tak że powstaje nosowe *i* (*j*), a dzieje się to na końcu każdej zgłoski zamkniętej, a więc i na końcu zdania i wyrazu. Zarzut ogólny: szkic jest za krótki, za szczupły, stąd wiele rzeczy raczej tylko porusza nie wyjaśnia. Ale, że z tem wszystkiem cenę ma ogromną, mówiliśmy już i jeszcze raz powtarzamy.

Ze „Szkicem“ w ścisłym jest związku praca prof. Baudouina de Courtenay: „Wskazówki dla zapisujących materyały gwarowe na obszarze językowym polskim“. Zawiera ona bardzo cenne wskazówki, oparte na tle naukowego określenia oddzielnych elementów fonetyki polskiej, podanego w „Szkicu“ prof. Rozwadowskiego; „Szkic“ ten we „Wskazówkach“ doznaje częścią potwierdzenia, częścią sprostowania i uzupełnienia. Praca prof. Baudouina była i jest bardzo potrzebna. Wartość jej podnoszą dodane do niej przykłady: „Próba korzystania dla wniosków dyalektologicznych z listów i wogóle z utworów piśmiennych ludzi, niedostatecznie w piśmie wyćwiczonych“. Ma jednak ta rozprawa jeden błąd, leżący co prawda poza nią: dla ludzi, nieob-  
znajomionych dobrze z językoznawstwem, jego zadaniem i jego metodą,

jest stanowczo za trudna; stąd niefilologowie, którzyby chcieli jakąś gwarę badać i przygotowywali się do tego ze „Wskazówek“, mieliby niejeden twardy orzech do zgryzienia.

W każdym razie obydwie prace razem, „Szkic“ i „Wskazówki“ stanowią bardzo cenne wzbogacenie literatury gramatycznej polskiej.

Poza obszar Polski wykracza „Mapa języka litewskiego w gubernii wileńskiej“ i objaśnienia do niej, przez prof. Rozwadowskiego; ułożona na podstawie spisu ludności tej gubernii, zarządzonego w r. 1890 przez Adama Platę, marszałka szlachty. Widzimy z niej, że właściwie tylko płat zachodni i północno-zachodni gubernii jest zajęty przez ludność litewską; przeważną większość całego obszaru zamieszkuje ludność słowiańska, tak, że nawet Wilno jest w okolicy Nielitewskiej. Ustępują widać Litwini żywiołowi słowiańskiemu nie na żarty. Mapa bardzo pożyteczna; jest jednakże jedno niepokojące ale. Wyniki owego spisu ludności ogłosił w „Materiałach antropologiczno-archeologicznych i etnograficznych wydawanych staraniem komisji antropologicznej Akademii Umiejętności w Krakowie“ w t. III. Anonim p. t. „Obszar języka litewskiego w gubernii wileńskiej“ i na podstawie tej pracy prof. Rozwadowski skreślił mapę. Otóż w jednym z roczników *Wistę* pojawiła się recenzja pracy Anonima, odsądzająca ją zgoła od wiarygodności. Recenzja napisana była bardzo poważnie. Gdzie więc słuszność? i czy nie należało może pierwszej tej sprawy załatwić?

Kończąc zeszyt dwa referaty prof. Nehringa o wielkim Słowniku języka polskiego warszawskim i o Karłowicza Słowniku gwar polskich; ten drugi trochę jednostronny, bo nie zwraca uwagi na niezwykłą wagę tej pracy, a rejestruje głównie niedostatki.

*Dr. Stanisław Dobrzycki.*

**Taniec Rzeczypospolitej Polskiej.** Szkic historyczny. *Dr. Aleksander Brückner.* W Krakowie. 1899.

Być może, że upodobanie w wieku siedemnastym, cechujące bardzo silnie literacką działalność prof. Brücknera, wpłynęło na pewne przecenienie „Tańca Rzeczypospolitej Polskiej“. O jakiegokolwiek poezji nie może tu być mowy; nie daje też „Taniec“ poznać człowieka wyższego nad przeciętną ówczesną miarę, — więc psychologicznie zgoła ciekawy nie jest; największą ma wartość jako świadectwo historyczne ale i tu nie w tym stopniu, w jakim chce autor.

Cóż to jest ów „Taniec Rzeczypospolitej Polskiej“?

Wiek siedemnasty w Polsce opanowany był manią wierszowania,

podobny w tem — i w wielu innych rzeczach — do wieków średnich w Europie. Wiązano więc w rymy rzeczy najrozmaitsze i takie, które jako żywo do wiersza się nie nadawały, rymowano rady gospodarskie i spostrzeżenia meteorologiczne i dyaryusze sejmowe, relacye i katalogi królów i reguły gramatyczne. Z drugiej strony miejmy na względzie, że jest to epoka rozmaitych *silvae rerum*; że w tym czasie każdy szlachcic posiada w domu duży foliał, w którym zapisuje wszystko, co go obchodzi, od najważniejszych wypadków publicznych do nadrobniejszych wydarzeń domowych. Naturalnie głębokości w tem nie szukać; zadomowiony i płytko rozpolitykowany gospodarz chwycił tylko końce zdarzeń, sprzężyn i przyczyn nie dostrzegał. Więc te sylwy mają dziś dla nas wagę o tyle, o ile są świadectwem o sposobie życia i intelligencji jednostki przeciętnej w owej epoce, ponadto nic więcej.

Otóż zważywszy z jednej strony epidemię rymową, z drugiej panowanie sylw, zrozumiemy łatwo, że musiały też istnieć sylwy rymowane. Omawiany „Taniec“ nie jest niczem innem, tylko taką sylwą rymowaną, po części może lepszą i ważniejszą od wielu innych, zwyczajnych.

Autorem jego jest — jak prof. Brückner wykazuje — Gabryel Krasieński, kasztelan płocki, starosta nowomiejski-korczyński. Tytuł dzieła całkowity brzmi: „Taniec Rzeczypospolitej Polskiej, albo raczej Rozmowa dwojga ludzi, terrigeny z peregrynem o wojnie szwedzkiej, i potem nastąpionej od Węgrów, Kozaków, Multanów i Wołoszy. A przytym o Moskiewskiej dotychczas trwającej, jako też i o inszym zamieszaniu podczas tych wojen w ojczyźnie między wojskiem będącym. Z przydatkiem różnych wieści i nowin“. Zaczął je pan kasztelan pisać prawdopodobnie w r. 1662 (p. str. 14), „gdy ów krwawy, ‚Marsowy taniec‘ Rzeczypospolitej, prawdziwy ‚goniony‘ (staropolski) z kąta w kąt, nieco się uciszył, gdy obywatel odetchnął po owych nieustannych ‚trwogach‘“. Ujęcie rzeczy świadczy o niejakiach aspiracyach literackich autora: ramą jego opowieści jest rozmowa „terrigeny“ z „peregrynem“, czyli gospodarza, autora, z pewnym gościem, który do niego stale w pewnych odstępach czasu zajeżdża. Ale też na tem cała sztuka pisarska się kończy; ów gość poza tem, że od czasu do czasu przybywa i pyta o nowiny, bardzo rzadko od siebie coś dodając, niczem zresztą do ożywienia i urozmaicenia opowiadania się nie przyczynia; owszem przez swe ciągle a zawsze jednokie nawroty nuży.

Opowiadanie autor rozpoczyna od r. 1655, od wojny szwedzkiej. Przechodzi potem potrzebę moskiewską, zwracając się po drodze do



wydarzeń wewnętrznych, związek Świderskiego, rokosz Lubomirskiego, abdykację Jana Kazimierza i elekcyę króla Michała, więc wypadki od r. 1655 do 1669. Aby opowiadanie jego miało większą wartość dla historyków, wątpię. Najciekawsze jeszcze są poglądy Krasińskiego na współczesnych mu ludzi, jego sympatyje i antypatyje. Tak np. Lubomirski cieszy się stale sympatją jego, regalisty z przekonania i szczerego patrioty; natomiast z wielką niechęcią mówi o Czarnieckim i Sobieskim, z wielką też niechęcią wyraża się o Jezuitach. Ciekawe są opowiadania o różnych drobniejszych wydarzeniach np. o zbrodniach popełnionych przez Żydów, o ojcobójstwie pewnego szlachcica, ciekawą inwektywa na Włochów krakowskich, opowiadanie o pogrzebie królowej, o małżeństwie starosty łomżyńskiego, Jana Krasińskiego z Chodkiewiczówną, siostrzenicą kanclerza litewskiego Paca i t. p. Te też ustępy budzą dzisiaj u nas największe zainteresowanie, jako podające szczegóły gdzieindziej nie zanotowane i pozwalające przez to zajrzeć w codzienne życie wieku siedemnastego.

Nie ma więc „Taniec“ zbyt wielkiej wartości i prof. Brückner może ją przecenia. Ale w każdym razie rzecz godna była omówienia, a rozprawa sama niewątpliwie przyczynia się do pogłębienia naszej znajomości owych smutnych a dziwnych czasów.

*Dr. Stanisław Dobrzycki.*

### **Reforma ustawy wyborczej w Austrii. Alfred Szczepański.**

W wrześniowym numerze *Przeglądu Polskiego* pojawiła się niewielka rozprawka pod powyższym tytułem. Autor uzasadnia swą myśl zreformowania ustawy wyborczej nadzieją, że taka ordynacya wyborcza wprowadziłaby do Rady Państwa żywioły lepsze, zdrowsze, chętniejsze do produktywnej pracy. Reforma ta ma się opierać na czynnikach, które rozwój dziejowy wytworzył, ma być ich logicznym wynikiem.

Na 1-szem miejscu zajmuje się autor kwestyą bardzo dziś aktualną powszechnego głosowania. Uznając rzeczywisty fakt istnienia stanu czwartego, klasy robotniczej, chce im nadać prawo wyborcze ale nie w formie bezpośredniego powszechnego głosowania. Te masy wyborców winny być zorganizowane w odrębną kuryę na równi z innymi stanami.

Czynne prawo wyborcze posiadać ma wedle projektu każdy pełnoletni obywatel, umiejący czytać i pisać. Takie warunki posiadający obywatele mają być zorganizowani w 4 główne kurye, zróżniczkowane każda na grupy.

Pierwszą kuryę tworzyć ma własność ziemska, podzielona na grupy własności fideikomisowej, wielkiej, średniej i małej. Drugą mają stanowić miasta. Kurya ta ma obejmować 5 grup wedle zawodów utworzyć się mających: właścicieli domów, przemysłowców, rękodzielników i t. d. W tej kuryi mają być głosy wielokrotnie wprowadzone. Mianowicie każdy obywatel, mający prawo głosu na podstawie różnych tytułów, w każdej z osobna grupie ma po jednym głosie.

Trzecia kurya, to kurya stowarzyszeń. Tu mają prawo głosu stowarzyszenia wielkie bezpośrednio, mniejsze ugrupowane wedle pokrewieństwa interesów.

Czwarta kurya to robotnicza z 3 grupami.

Zapytuje się również autor, czy kobietom należy dać prawo wyborcze. W zasadzie jest za udzieleniem kobietom, jak je nazywa samodzielnym tj. takim, które mają powierzoną funkcję publiczną, urząd, prowadzą samoistnie fabrykę i t. p., dać prawo wyborcze czynne i bierne. W projekcie jednak, licząc się z opinią ogółu, udziela im tylko czynnego prawa wyborczego.

W zakończeniu kilku słowy żąda autor zaprowadzenia przymusu brania udziału w głosowaniu.

To krótko przedstawiona kwintesencya myśli i projektu autora.

Stara się on być wierny swemu założeniu liczenia się z stosunkami wytworzonymi historycznie i z nich wysnuwać projekty danej chwili odpowiednie. Stworzenie jednak kuryi stowarzyszeń niezupełnie zgodne jest z tem założeniem. Duch assocjacyi za mało jeszcze u nas rozwinięty, za mało jeszcze stowarzyszeń, istniejące za ciasne jeszcze obejmują koła. Tworzyć zaś niektóre stowarzyszenia, jak żąda autor, narzucać je z góry przez ustawę, to, jak wykazują dzieje, kończy się zwykle ujemnym rezultatem.

Zróżniczkowanie w kuryi pierwszej własności ziemskiej na fideikomisową i wielką zdaje się nam za daleko idącą specjalizacją. Grupy te tak blizkie są sobie, tak mało tam sprzeczności w interesach, że poprostu nie warto komplikować maszyny wyborczej przez dzielenie na grupy małej i tak liczby uprawnionych. Przykład Czech, który cytuje autor, nie dowodzi jeszcze, by potrzeba oddzielenia obu tych rodzajów własności zachodziła w całej Austrii.

W ciasnych ramach sprawozdania niepodobna nam omawiać obszerniej opinii i argumentów przytaczanych przez autora za udzieleniem szerokim warstwom, żyjącym z pracy rąk, prawa wyborczego z jednej, a zorganizowania ich w odrębną kuryę z drugiej strony.

Projekt czwartej kuryi robotniczej autora wydaje się nam najracjonalniejszym sposobem wyjścia z labiryntu zbudowanego żądaniem mas o dopuszczenie do praw obywatelskich a obawą rządów przed teroryzmem i ochłokracyą. Ale po cóż w takim razie *census* minimalnego wykształcenia? Wywołałoby to niepotrzebne różnice i rozdrażnienie niedopuszczonych, a mogłoby wykluczyć jak np. u nas w Galicyi szeregi ludzi nieraz zdrowo myślących, z głęboko zakorzenionem poczuciem porządku religijnego i społecznego, jak chłopów naszych.

Na zakończenie parę słów o obowiązkowości wykonywania praw wyborczych, jak tego żąda autor. Byłoby to niezawodnie wielce pożądane, by wszyscy obywatele mieli w sobie wyrobione to poczucie, że prawo wyborcze to i obowiązek obywatelski, że nie powinno się od wykonywania tych praw uchylać. Dążyć do tego należy przez odpowiednie wychowanie i wykształcenie ludności, podniesienie poziomu oświaty i t. p. Przymus stosowany w tym wypadku mógłby spaczyć całą treść konstytucyjnego życia.

A. B.

**Austriacki podatek osobisto-dochodowy w praktyce.** Dr. Stanisław Głąbiński. Odczyt wygłoszony w lwowskiem Towarzystwie prawniczem. Lwów. Nakładem Redakcyi *Przeglądu prawa i administracyi*. 1901. (Str. 36).

Autor, który był przez dwa lata członkiem komisji szacunkowej we Lwowie, wypowiada szereg cennych spostrzeżeń, opartych bądźto na podstawie własnej obserwacyi, bądźteż na podstawie statystyki podatkowej.

Pod względem skarbowym okazało się zaprowadzenie podatku osobisto-dochodowego nader korzystnem. Mimo, że rząd oświadczył, że nie pragnie z reformy przynajmniej na razie żadnych finansowych korzyści, jeno dąży do reformy prawdziwej systemu podatkowego, do sprawiedliwego rozdziału ciężarów publicznych, dochód z nowych podatków osobistych bezpośrednich okazał się wyższym aniżeli rząd i komisya podatkowa izby posłów w czasie uchwalenia reformy przewidywały. Natomiast pod względem społecznym nowy podatek w praktyce dotychczas nie ziścił pokładanych w nim nadziei. Przed reformą spodziewano się powszechnie i słusznie w Galicyi, że reforma przyniesie dla kraju znaczną ulgę, ponieważ podatek osobisto-dochodowy dotknie kraj nasz jako ubogi bardzo nieznacznie a natomiast ulgi w podatkach katastralnych będą wybitne. Doświadczenie okazało, że Galicya sto-

sunkowo więcej przysporzyła państwu z nowego podatku dochodu, niż mniemano, a zarazem ulgi podatkowe wskutek nerwowej gorliwości fiskalnej utoneły w zwyczajach innych podatków. Stracił też ten podatek w praktyce swój istotny charakter, a stał się podatkiem szacunkowym na modłę dawniejszych podatków zarobkowego i dochodowego.

Do zwichnięcia w praktyce celów reformy przyczyniła się jednak także sama ustawa przez niektóre postanowienia niejasne i niekonsekwentne. Autor zwalcza tu niewłaściwe określenie dochodu, brak wszelkiego określenia różnicy między dochodem a wpływami nadzwyczajnymi, niewłaściwą nazwę „komisji szacunkowych“ i „rejestr oszacowania“ i t. d. Niejednokrotnie spaczyły też myśl reformy nieuzasadnione w ustawie postanowienie rozporządzenia wykonawczego min. skarbu z 24 kwietnia 1897 r. nr. 108. Dz. ust. pań. Podobnie ujemnie na praktykę wpłynęły też wewnętrzne instrukcje i zarządzenia przeciwne duchowi ustawy. Bardzo dużo stron ujemnych przedstawia też praktyka przy wymiarze podatku. Tak pod względem formy postępowania jak i orzekania władza podatkowa ma w komisji zapewniony wpływ przeważający. Wprawdzie komisya składa się z połowy członków wybranych przez obywateli, a także połowa członków mianowanych przez rząd nie należy do zawodu czynnych urzędników, mimoto faktycznie wpływ władzy podatkowej przeważa, przedewszystkiem dlatego, że przewodniczący komisji, referent i kilku członków komisji są mianowani wprost z grona urzędników władzy podatkowej, którzy przeprowadzają czynności wstępne i przedkładają komisji wnioski administracji podatkowej, z natury rzeczy pragną więc wnioski swe utrzymać. Po wtóre referent odczytuje wprost wnioski władzy podatkowej, ponieważ fasye podatników nie są wcale uwzględnione w formularzu urzędowym. Członkowie komisji nie pobierają dyet i nie mogą ze względu na swe inne obowiązki poświęcać tak wiele czasu na obrady komisji, nadto zniechęca ich ta okoliczność, że przy badaniu dochodów wedle porządku ulic i numerów nie znają zupełnie olbrzymiej większości odczytywanych osób i nie mogą orzekać na podstawie swej wiedzy i przekonania.

Władza podatkowa traktuje nowy podatek zupełnie wedle starej modły podatku szacunkowego. Fasye obywateli, nie mających dochodów stałych, są niemal zawsze lekceważone, często bez żadnej przyczyny. Instytucja mężów zaufania, o której w czasie obrad parlamentarnych mniemano, że niepowrotnie zgaśnie, odżyła w praktyce w całej swej sile i ze wszystkimi swemi wadami. Władza podatkowa wychodzi

z zasady zupełnie niesłusznej, że dochody corocznie wzrastają. W komisji ustalił się zwyczaj, który można nazwać zasadą zaoczności, iż wydatki, nadające się wedle ustawy do potrącenia od dochodu, nie są wcale uwzględniane, jeżeli ich podatnik nie wymieni, ewentualnie na wezwanie nie udowodni, chociażby komisya mogła skądinąd wydatki te sprawdzić. Postępowanie komisji jest tak sumaryczne i powierzchowne a orzekanie tak przypadkowe, zależne od usposobienia i składu chwilowego komisji, że tylko w rzadkich wypadkach może komisya podać powody swego orzeczenia, odmiennego od fasyi podatnika. To powierzchowne postępowanie i brak motywów w orzeczeniach uzasadnia wreszcie, zdaniem autora, nieważność postępowania i wymiaru.

Wprawdzie ustawa podatkowa nie zawiera wyraźnego przepisu, że uchwały komisji powinny być motywowane, jeno ogólny przepis, że do wszystkich środków prawnych mają zastosowanie postanowienia ustawy z dnia 19 marca 1876 Dz. ust. pań. nr. 28, ale wynika to z przysługującego podatnikom prawa odwołania się, że powinni być uwiadomieni o powodach uchwał niezgodnych z ich zeznaniami; inaczej bowiem ich odwołanie nie może być zwrócone przeciw nieznanym powodom komisji i musi być ogólnikiem.

Autor proponuje wkońcu zaprowadzenie dyet dla członków komisji urzędujących przez czas dłuższy i utworzenie trybunału skarbowego. Trybunał administracyjny orzeka tylko o naruszeniu istotnych formalności postępowania — jeśli formy prawnej dochowano, jest ten trybunał bezsilny, chociażby był przekonany o materyalnej niesłuszności orzeczenia. Trybunał skarbowy zaś miałby za zadanie orzekać co do materyalnych zażaleń pokrzywdzonych obywateli.

*Dr. Z. Gargas.*

**Wyodrębnienie Galicyi.** Napisał *Władysław Studnicki*. Lwów. Polskie Towarzystwo Nakładowe. 1901. (Str. XIV + 101).

W życiu publicznem można w ogólności rozróżnić dwie kategorie poznania. Albo sytuację ocenia się zupełnie jasno i chłodno, albo daje się porwać fantazyi i dąży się do spełnienia daleko od obecnego stanu rzeczy stojących ideałów. W razie zajścia pierwszej z pomienionych alternatyw, energiczna a stanowcza działalność publiczna będzie z reguły dostępną tylko nielicznym jednostkom. Dla ogromnej i przeważającej większości trzebaby ją do czynu zapalić, dać jej potężne ideały, któreby ją mogły otrząsnąć z letargu społecznego. Wówczas dopiero wytwarzają się wibracje psyche społecznej, jak powiada Georg

Adler, które powodują wzburzenie, zachwyt i ekstazę. Ekstaza usuwa ospałość i gnuśność i zdoła porwać do wielkich czynów nawet. To też taki szekspirowski Hamlet np. daje nam klasyczny obraz tego, jak człowiek, który doszedł do zupełnego poznania, w którego działaniu zachwyt nie odgrywa żadnej już roli, że taki człowiek jest też niezdolny do wszelkiego energicznego działania, skazany na bierność i bezczynność.

Ale żeby takie illuzye czy ideały rzeczywiście też na to społeczeństwo wpływały, żeby oddziaływały na ruchy społeczne, trzeba, aby miały one właściwy nastrój, aby pobudziły do życia pierwiastki rzeczywiście tlejące w głębi duszy ludowej a mające już pewien rozrost i pewną siłę i napięcie. Czy można to powiedzieć o wyodrębnieniu Galicyi, o którym marzy p. Studnicki? Wątpię, a to z dwóch powodów. Raz dlatego, że poczucie narodowe jest u nas wogóle dość słabo jeszcze rozwinięte, a powtóre i dlatego, że, mimo wszelkich odmiennych pozorów, życie polityczne ogranicza się na dość nieliczne stosunkowo jednostki. Więc o postawieniu kwestyi wyodrębnienia jako ideału mas nie można u nas na razie mówić. Ale czy może ostać się ten postulat wobec „krytyki czystego rozumu“? Tu odpowiedź jest już o wiele bardziej skomplikowaną.

Postulat p. Studnickiego nie jest nowy. Sam w części przyznaje, powołując się na wniosek Smolki z r. 1868. Własnością duchową autora jest też tylko wznowienie myśli Smolki w obecnej dobie. Ale to wznowienie dotyczy raczej tylko rozmiarów kwantytatywnych myśli wyodrębnienia Galicyi jak raczej samej jego istoty. O rozszerzeniu samorządu i o rozszerzeniu autonomii mówiono u nas nie tylko od dawna, ale myśl ta powracała już kilkakrotnie na porządek dzienny dyskusyi politycznych i publicystycznych.

Wyodrębnienie jest tylko rozszerzeniem samorządu podniesionem do wyższej potęgi. A chyba nie ulega wątpliwości, że sprawa rozszerzenia samorządu nie schodziła u nas nigdy prawie z porządku dziennego. Z ostatnich czasów przypominam tylko projekt adresu hr. Wojciecha Działoszyckiego.

Ale p. Studnickiemu się zdaje, że myśl rozszerzania samodzielności Galicyi została obecnie zupełnie już zarzuconą, że podejmą ją (a więc zapewne i doprowadzą do skutku tylko stronnictwa radykalne). Rzeczywiście głos p. Studnickiego jest nowością w obozie radykalnym, który z dawien dawna a po części i z natury rzeczy objawia dążności centralistyczne i który tylko w razie koncentracji terytoryalnej może

uzyskać większą siłę i większe napięcie. Nowym jest więc postulat ten tylko w obozie radykalnym. Pan Studnicki wyszedł z obozu socjalistycznego, a choć obecnie doń już nie należy, to fakt ten dostatecznie tłumaczy przekonanie autora o względnej nowości jego pomysłu.

Sprawa rozszerzenia autonomii była przed kilku laty przedmiotem obrad w krakowskim klubie konserwatywnym. Referent tej sprawy, ś. p. Józef Kleczyński, oświadczył się wówczas za zaprowadzeniem jednolitej administracji samorządnej i za ukrajowieniem administracji przemysłowej, handlowej i sądowej, sprzeciwiając się natomiast przeprowadzaniu zasady federacji. Wskazywał również konieczność uzyskania szerszego samorządu skarbowego, który stanowi podstawę wszelkiego samorządu. Dla takiej reformy finansowej nie potrzebaby żadnej właściwie reformy statutu krajowego, ponieważ § 24 tegoż statutu zapowiada udział sejmu, co się tyczy rozkładu poboru i odwozu ces. podatków bezpośrednich.

A czy obecna doba byłaby chwilą stosowną do rozpoczęcia starań w tym kierunku? Wątpię, bo najwłaściwiej można było rozpocząć te starania, zaczepiając o reformę wyborczą; przywracając sejmowi prawo wyboru do Rady Państwa. Ale nie jest doba obecna właściwą i ze względu na stosunki ekonomiczne. Mimo wielką zaciekłość narodowo-polityczną między Czechami i Niemcami, idą oni przecież nieraz ręką w rękę, gdy zagrożenie ich wspólnych interesów ekonomicznych doszło do ostateczności, A teraz właśnie zagraża ciężkie przesilenie przemysłowi zachodnio-austriackiemu. Wyodrębniona Galicya, mając w ręku bardzo ostre i bardzo skuteczne narzędzie samoistnej polityki taryfowej (pomijając już niemożliwy w danych warunkach do uzyskania samorząd cłowy), mogłaby to przesilenie uczynić jeszcze cięższem.

Zasługą autora jest w każdym razie, że wykazał cały szereg korzyści, któreby spłynęły na kraj wskutek wyodrębnienia Galicyi. Samorząd taryfowy mógłby umożliwić energiczniejszą politykę przemysłową. Brak cel ochronnych, mówi autor, zastąpić mogą odpowiednie taryfy kolejowe, faworyzujące wyroby krajowe i zwiększające koszt przewozu dla produktów obcych. Taką politykę prowadzą Węgry i dlatego wszelkie zwiększenie sieci kolejowej, łączącej nas z Węgrami, przynosi szkodę, gdyż my nie posiadamy prawa układania taryfy na głównych kolejach przecinających Galicyę. Słusznie dalej wskazuje autor, że w razie wyodrębnienia ulgi podatkowe dla nowo-powstających przedsiębiorstw przemysłowych dotyczyłyby nie tylko dodatków do podatków, ale samychże podatków (z wyjątkiem oczywiście podatków konsumcyj-

nych, których wymiar i rozkład musiałby chyba pozostać sprawą wspólną).

Najbardziej uwagi godnym w książce p. Studnickiego jest rozdział o finansach krajowych.

Przeciwko odrębności finansowej Galicyi podnoszą zwykle zarzut, że Galicya jest zbyt biedną i nie mogłaby utrzymać się po wyodrębnieniu. Pogląd ten atoli jest mylny. Już w r. 1875 prof. Kleczyński obliczył, że Galicya nie tylko pokrywa wszystkie swe wydatki, ale 30 % dochodów z podatków przez nią opłacanych idzie na cele ogólnopństwowe. Najnowszego obliczenia udziału Galicyi w budżecie państwa dokonał prof. Głąbiński w *Gazecie Narodowej* nr. 62—71 za rok 1901 na mocy preliminarza z tegoż roku. Otóż okazuje się, że na ogólnopństwowe cele Galicya daje obecnie 62 mil. kor., stanowiących nadwyżkę ponad wydatkami na nią czynionymi. Po strąceniu zaś wydatków na wojsko, pozostaje 19 milionów kor.

Autor oświadcza się w dalszym ciągu za projektem jednolitości administracji po myśli wniosku posła Dunajewskiego, chciałby jednak, by odpowiedzialność namiestnika wobec sejmu nie była tylko odpowiedzialnością sądową ale i parlamentarną.

Od projektu rozszerzenia samorządu, jak go sformułował Kleczyński, różnią się postulaty p. Studnickiego tylko w niewielu punktach. Gdy Kleczyński samorząd finansowy chciałby ograniczyć na podatki realne, p. Studnicki żąda samorządu w zakresie wszystkich podatków bezpośrednich. Kleczyński, żądając ukrajowienia administracji przemysłowej, handlowej i sądowej, żąda zarazem samodzielności w ustawodawstwie dotyczącem tych działów administracji publicznej. Pan Studnicki chce, by sejm posiadał władzę ustawodawczą we wszystkich sprawach, wyłącznie kraj obchodzących. Pierwszy postulat jest ściśle określony, drugi cokolwiek niewyraźny. A jeśli Kleczyński wyraża przekonanie, że chwila obecna nie jest stosowną do stawiania tego rodzaju postulatów, p. Studnicki zaś sądzi wprost inaczej, dowodzi to tylko, że pierwszy z nich ocenia sytuację trzeźwo a chłodno, drugi stawia daleko idące ideały czy iluzye.

Książka p. Studnickiego omawia kwestyę pierwszorzędnej wagi i powinno dać popęd do głębszych badań nad tym przedmiotem. Autor, choć zebrał dość dużo dat przemawiających za wyodrębnieniem, przedmiotu bynajmniej nie wyczerpał. Tak nie uwzględnił on np. kwestyi pierwszorzędnej wagi: rozszerzenia samorządu Bukowiny. Bukowina bowiem, pomijając jej części zachodnie, zawiera zupełnie różne



czynniki etniczne, któreby przyłączenie tego kraju do Galicyi znacznie utrudniły, zwłaszcza, że Bukowina sama z bardzo nielicznymi wyjątkami oświadczyłaby się przeciw takiemu połączeniu. A o nadaniu równie rozległego samorządu, jak to by się stało odnośnie do Galicyi, nie może być mowy choćby ze względów techniki administracyjnej. Rozległy samorząd wymaga bowiem rozległego terytorium. Ksiąstewka saskie, zażywające prawnie wszelkiej możliwej samodzielności w zakresie administracji wewnętrznej, dobrowolnie zrzekły się samorządu kolejowego na rzecz Molocha pruskiego. A co tu się stało z kolejami, to samo dzieje się gdzieindziej w wielu innych kierunkach administracji publicznej.

Czy wyodrębnienie spowodowałoby przesunięcie się siły politycznej na lewo, jak sądzi autor, wątpię. Stałoby się raczej, mojem zdaniem, wprost odwrotnie. To pewna w każdym razie, że punkt ciężkości walk politycznych przesunąłby się z Wiednia do Lwowa i że wzrósłby również wpływ kulturalny Warszawy.

*Dr. Z. Gargas.*

**Kazania przygodne.** Ks. Tomasz Dąbrowski. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1902, (Str. 288).

**Kazania o męce Pańskiej na trzy posty.** *Tenże.* Warszawa. Gebethner i Wolff. 1902. (Str. 196).

Obfitej materii kaznodziejskiej dostarczają nam obydwie zbiorki kazań ks. Dąbrowskiego. Pierwszy zawiera 34 kazań przygodnych, nie tylko na święta kościelne ale w rozmaitych okolicznościach, jak na rozpoczęcie i zakończenie majowego nabożeństwa, z okazji wizyty biskupiej, prymicyi, sekundycyi, objęcia parafii, pożegnania się z parafią, rekolekcyi i misyi. Dobór ich znaczny, bo np. na uroczystość Serca Jezusowego i Podwyższenia Krzyża św. znajdujemy dwa kazania, tyleż na święto św. Stanisława Kostki i zakończenie roku, aż sześć z powodu 40-godzinnego nabożeństwa i t. p.

„Kazania o Męce Pańskiej na trzy posty“, obejmują, jak sam tytuł wskazuje, trzy serye kazań pasyjnych. Osnowę pierwszej stanowią ważniejsze epizody Męki Pańskiej, w drugiej bierze autor pod uwagę główne osoby z Męki Pańskiej, w trzeciej rozbiera siedm słów Zbawicielowych z krzyża.

Wskutek uwidoczniionych podziałów kazań, przedstawiają się one raczej jak bardzo obszerne szkice kaznodziejskie. Styl w nich popularny, język poprawny, dykcya spokojna, nauka jasno wyłożona, prze-

ważnie poparta tekstami Pisma św. Z Ojców Kościoła ulubił sobie autor św. Bernarda, z którego dzieł wyjątkami nader często się spotykamy, o wiele rzadziej z innymi jak św. Janem Złotoustym lub św. Janem Damascenem, popiera także wykład przykładami z codziennego życia, historii i hagiografii. Kazania o Męce Pańskiej mają wielką zaletę, coraz radszą dzisiaj, że nie biorą cytatów z obcych przedmiotów, ale rzetelnie osnute są na historii ewangelicznej gorzkiej Męki Chrystusa, stąd ową niespożytą czerpią siłę, o której św. Bernard tak prawdziwie powiedział: „że Męka Chrystusa Pana po dziś dzień sprawia, że ziemia drży, skały pękają, groby się otwierają, zasłona w kościele się rozdziera“ (Mowa w Wielką Środę).

W końcu dodane indeksy z krótką treścią a rozczłonkowanie już samych nawet kazań na części i podziały daje jasny przegląd myśli, a tem samem czyni w praktyce łatwym podręcznikiem do prędkiego przygotowania się na ambonę.

Ks. Jarosław Rejowicz.

## Z piśmiennictwa zagranicznego.

**La France au dehors.** Les missions catholiques françaises au XIX siècle publiées sous la direction du Père J. B. Piollet S. I. avec la collaboration de toutes les Sociétés de Missions. Tome I: Missions d'Orient. Paris. Librairie Armand Colin. (Str. XLVI i 450 in folio).

Książka ta a raczej księga mogłaby znów szczyścić się tytułem: *Gesta Dei per Francos* — czyny Boże przez Francję, lub też — czyny Francji dla Boga. Świat tyle rzeczy bierze z nad Sekwany: obyczaje, stroje, literaturę, wyroby, wszystkimi słabostkami Francuzów się зараża; mógłby też przy zetknięciu się wziąć choćby odrobinę z ducha poświęcenia, którym naród ten okupuje przed Bogiem wszystkie swoje winy. Dzieje misji francuskich w XIX stuleciu, choćby tylko ich część, same misye na Wschodzie, czynią wrażenie olbrzymiego skarbcza, nalaowanego po same stropy czynami bohaterskiej miłości. Czytając, nabiera się lepszej opinii o biednej ludzkości, skoro tak znaczne a liczne jednostki zawiera; zarazem jednak odczuwa się pewien przestrach, patrząc na własne życie i porównywając je z życiem tych świętych: gdyby nie wiara w różne stopnie szczęśliwości wieczystej, a zwłaszcza pocieszająca wiara w oczyszczenie czyścówce, możnaby wpaść w znie-

chęcenie, tak niepodobnem bowiem się wydaje, aby „przeciętny człowiek“, żyjący w zwykłych warunkach, mógł osiągnąć to samo niebo, co oni. Bezpieczniej więc sąd o tem zostawić miłosierdziu Bożemu, a rozejrzeć się w opisie tych dziejów.

Wstęp tworzy rozprawa p. Lamy *L'Apostolat*, znana czytelnikom naszym z tłumaczenia podanego w odcinkach *Czasu*; rzut oka na historyczny rozwój ducha ludzkiego pod względem wiary, stosunku ludzkości do Kościoła i Kościoła do państwa — rzecz piękna, ale z konieczności pobieżna, a miejscami nie dość głęboko ujęta, aby mózgi treściwość okupić. Trzeba mieć pióro Bossueta, aby na podobne przedsięwzięcia się puszczać. Wstęp ten drukowany osobno utworzyłby cały tom zwykłego formatu. Dopiero po 96 stronach *in folio* nabitego druku zaczyna się istotne dzieło. Jest to praca zbiorowa, w której jednak przeważa pod siedmiu rozdziałami podpisane nazwisko kanonika paryskiego, ks. Pawła Pisani; streścić jej niepodobna, bo na to trzeba by nową książkę napisać, a zarazem obniżyć jej ton do suchego sprawozdania statystycznego. Już i tak w oryginale treść rozpiera formę, a opowiadanie wygląda miejscami na „Raport powinny“, jaki oficerowie polscy wodzom swoim składali; trudno wszakże tutaj choć niektórych punktów nie dotknąć.

Pierwszy rozdział: *L'empire ture, Islamisme et Christianisme* (P. Pisani) daje w krótkości obraz religijno-społecznego stanu państwa tureckiego. Widzimy pod grubą skorupą najezdniczego żywiołu muzułmańskiego stare narodowości chrześcijańskie, skarłowaciałe niewolą, wynędzniałe i osłabłe, a trzymające się rozpaczliwie swego osobnego obrządku lub sekty jako jedynej indywidualnej odrębności pozostałej z dawnej samoistności politycznej. Odrębne są, a przez to samo pozbawione między sobą solidarności, mogącej je uczynić silnemi wobec zwycięskich Turków i Arabów. Ci znów, podzieleni na szczepy, ale jednoczący się wobec chrześcijan na punkcie Koranu, oświeceni i dżicy, Arabowie czystej krwi, mieszańcy lub potomkowie chrześcijan przed wiekami sturczonych, Mutualisy, zachowujący różne obyczaje chrześcijańskim podobne, ponury szczep Jezydów, Druzowie najmniej chrześcijanom niechętni, rozbójniczy Kurdowie (Karduki Xenofonta), dogodne w rękach Porty narzędzie, tak jak niem byli dawniej Tatarzy Budziaccy — wszyscy lgną do islamu t.j. do fatalistycznego zdania się na Opatrzność z taką miłością i uporem, iż ewangelizacya pomiędzy nimi jest rzeczą wręcz niemożliwą. Nasz ks. Maryan Morawski tłumaczył to przywiązanie spokojem sumienia, jakim cieszy się każdy dobry mu-

zułmanin, osiągnąwszy bez wielkiego trudu zakreślonego mu ideału cnoty, podczas gdy chrześcijanin, mający swój ideał w nieskończoności dobra i piękna, zawsze jest niezadowolony ze siebie, zawsze spragniony wyższego szczebla, na który usiłuje się dostać...

Czynność misyonarzy polega zatem na nawracaniu nie pohańców, lecz chrześcijan-heretyków i dyzunitów, na podnoszeniu z upadku i ciemnoty części ludności pozostającej w katolickiej wierze. Najliczniejszymi i najżywotniejszymi na Wschodzie chrześcijanami są oczywiście Grecy. Ks. Pisani zauważa, iż Kościół pod rządem tureckim więcej zażywa swobody, niż za czasów bizantyńskich cesarzy, przywłaszczających sobie od czasu zerwania z Rzymem naczelną władzę duchowną, gdy przeciwnie Turek do ich spraw duchownych mieszać się nie raczy. Tam zaś, gdzie, jak przy nominacyi patriarchy, rząd decyduje, Grecy sami wprowadzili system korupcyi, upadlający przekupywanych i przekupujących. Już w r. 1467 niejaki Symeon kupił tron patriarchalny za 1000 dukatów rocznej daniny, w rok potem podkupił go episkop z Filipopola, Dyonizy, dając 2000, ale i tego zrzucił z urzędu Serb Michał, dodając do 2000 corocznych jednorazowy dar 500 dukatów. Siłą pieniędzy Grecy, po utracie niepodległości, wkręcali się wszędzie; poza każdym wysokim dostojnikiem tureckim stał kierujący nim Grek; opłacać się zaś trzeba było każdemu: ministrom, urzędnikom, sługom seraju, janczarom, żonom sułtańskim, nadwornym Żydom-bankierom, słowem, Grecy, chcąc wyrobić sobie możliwe warunki życia, przyzwyczaili Turków do nieszczęsnego bakczyszu, który po dziś dzień jest plagą, ale zarazem i bronią dla misyonarzy. W jednym z dalszych rozdziałów opowiedziana jest długa serya przykrości, wyrządzanych przez władze tureckie Jezuitom, budującym sobie dom na szkołę. Prowincyał, wyjeżdżając, zakazał był dawania bakczyszu, gubernator zaś chciał ich zmusić, by sami budowlę swą rozebrali i dopiero widząc, że bez przymusu zbrojnego nie ustąpią, rzekł do jednego z ich przyjaciół: „Jacyż oni głupi! nie domyślili się, że potrzebuję 10 fr. i że na to tylko robiłem im nieprzyjemności, aby je dostać!“

Słowianie i Bułgarowie, zaniedbywani przez patriarchat grecki, usunęli się odeń, tworząc sobie synody. Wogóle wpływ Greków na sąsiednie ludy, niegdyś im podwładne, a obecnie pod tem samem z nimi zostające jarzmem, posłużył tylko na rozszerzenie przepaści pomiędzy nimi a Rzymem. Słowianie i Bułgarzy byli jeszcze najmniej nieszczęśliwi ze wszystkich. Trzeba wejrzeć w głąb dziejów azyatyckich prowincyi cesarstwa od chwili najazdu muzułmanów, aby, za-

miast kiwać głową nad spodleniem tamtejszej ludności, dziwić się raczej, że część jej dotąd istnieje, że choć isierka prawdziwej wiary w tych stronach została. Cały kraj od Persyi po Bosfor był chrześcijańskim, gdy nań stanęła druzgocąca stopa islamu; cesarze zaś nie patrzyli spokojnie na zabór. Zaczęła się tedy walka straszliwa, mająca trwać całe wieki. Były epoki, gdzie rok rocznie ogromne wojska cesarskie przekraczały góry Taurusu, by nieść pożogę i śmierć w ziemie Kalifa, burzyć jego miasta, palić wioski, wycinać winnice i drzewa, a lud chrześcijański nie śmiał się łączyć z hufcami greckimi, bo wiedział, iż z nadejściem zimy będą musiały poza góry powrócić, dumne, jeżeli o krok dalej posunęły swe twierdze, jeśli mogły nad jakim znacznym grodem sztandar krzyża wywiesić. Władcy dalekiej Gruzji i potężnej jeszcze Armenii uznawali się lennikami, synami cesarza, byle mieć choć tak dalekie oparcie przeciw półksiężycowi. Prócz wielkich wojen były krwawe waśnie między emirami, była nieustająca walka graniczna, odbywająca się kosztem ludu, kosztem jego zniszczonej pracy, częstokroć jego wolności i życia. Nas, obznajomionych z zagonami ordy, nie dziwią cyfry 20, 30 tysięcy chłopców i dziewcząt uprowadzonych w jasyr za jednym zamachem, po wymordowaniu ich ojców i matek...

Z upadkiem Konstantynopola walki ustały, ale dla chrześcijan już było za późno. Pozostał podkład ludności ujarzmionej, wylęklej, z biegiem czasu zwyrodnionej, zastępującej zbyt często siłę chytrością, a religię zewnętrznymi formami. Wpływ Greków, jak mówiliśmy, większą jej część oddzielił od Rzymu; prosty lud nie wie nic i nie rozumie prócz tego, co go nauczono, iż każdy łacinnik jest bluźniercą i świętokradcą. Dziwna rzecz, iż ten zarzut bluźnierstwa nie pada na protestantów, na bardzo rozgałęzione na Wschodzie misye anglo-amerykańskie, walczące z misyami katolickimi siłą pieniędzy. Od jakich 10-ciu lat przybył nowy zapaśnik, prawosławne Towarzystwo Palestyńskie, poza którem kryje się rząd rosyjski; w Syrii wpływ rosyjski zaczyna przeważać nad żywiołem greckim, podzielonym na dwa obozy: greko-arabski i czysto helleniski. Obecny patriarcha jerozolimski, Grek, zawdzięcza swój tron ciężkim wysiłkom swojego stronnictwa; w Antyochii przeciwnie, krajowcy przeprowadzili wybór jednego ze swoich.

Katolicyzm w Azji tureckiej przedstawiają głównie Maronici, starzy chrześcijanie, którzy umieli uzyskać rodzaj autonomii; dalej Melchici, dawniej poddani patriarchom Antyochii, ale odczepieni od nich, odkąd ci usunęli się z pod władzy Rzymu; w r. 1840 otrzymali wła-

snego patriarchę. W Mezopotamii, w Mossulu i Bagdadzie jest jeszcze dość wiele starych chrześcijan, ale po większej części Nestoryanów i Jakobitów. Tu działanie Carogrodu było słabsze, niż w Syrii, a wpływ katolicki, późniejszy lecz większy, czego dowodem jest Kościół syryjski, powstający naprzeciwko Jakobitom. Chaldejczycy też przeszli już po większej części: z nestoryanizmu na katolicyzm, dzięki niezmordowanej pracy Dominikanów; wielu jednak Nestoryan dyssydentów zamieszkuje jeszcze dawną Assyryę, Kurdystan i Persyę; mają własnego patriarchę, a odznaczają się niesłychaną ciemnotą tak u kleru jak w ludzie. Bez porównania znaczniejsi od nich liczbą, znaczeniem i wykształceniem są Ormianie, przedmiot zabiegów tak katolików, jak protestantów i schizmy, o tych pomówimy dalej. Każdy z owych ludów, każda z sekt ma swych patriarchów lub biskupów, otrzymujących firman od sułtana, a wraz z nim władzę duchowną i po części cywilną, tworzącą współwyznawcom ich rodzaj autonomii: biskup ma prawo sądu i wymierzania kar, jest również odpowiedzialnym przed rządem poborcą podatków, co — zbyteczna mówić — daje sposobność do strasznego niekiedy wyzysku; władze tureckie mają obowiązek popierania go. O równouprawnieniu chrześcijan, pomimo niejednokrotnych, polityczną koniecznością wymuszonych ogłoszeń, niema i nie może być mowy w państwie ottomańskim. Oto warunki, wśród których obraca się praca misyonarza: kapryśny absolutyzm, złagodzony sprzedajnością organów rządowych, nieprzystępność prawdy u mahometan, nędza i ciemnota u katolików, podejrzliwa miejscami niechęć u dyssydentów, podkopywanie dzieła przez protestantów i schizmatyków, trudności materyalne wszelkiego rodzaju i gatunku.

Przechodząc do historyi misyi na Wschodzie, podziwiać należy wszechmoc Opatrzności, umiejącej dobre wyciągać ze złego: toż ten sam traktat Franciszka I z Turkami, paraliżujący działanie Karola V względem Reformacy i ułatwiający zdobycz Węgier pohańcom, równocześnie otwierał na Wschód drogę misyonarzom. Co prawda, droga była ciernista: pierwsi Kapucyni wyginęli gdzieś na wybrzeżach Egiptu; Jezuici, przybyli w r. 1583, osiągnęli od razu tryumfy, bo zbliżenie do Rzymu patriarchów z Antyochii, Aleksandryi, Armenii oraz metropolitów Efezu i Cezarei, ale już w 1586 wszyscy wymarli na dżumę; w 1587 r. śpieszący znów Kapucyni narazili się Porcie niewczesną gorliwością: świętobliwy O. Józef de Léonisse za próby nawrócenia padyszaha przez trzy dni wisiał na haku i, przeżywszy męczarnie, musiał z towarzyszami się wynieść. W dwadzieścia lat potem wrócili

Jezuici, a za nimi Franciszkanie i inni kapłani, musieli jednak znosić przeróżne biedy: dżumę, pożary, prześladowania od Turków, od poróżnionych politycznie ze Stolicą św. Wenecyan, od Ormian gniewnych o nawracanie ich braci. Główne działanie Jezuitów skoncentrowało się około chrześcijańskich brańców, owych brańców, między którymi setki i tysiące było ojców naszych. Trzymano ich zazwyczaj w starych łaźniach, zmienionych na więzienie<sup>1</sup>, nieraz po 4000 razem, ciężko okutych w podwójne kajdany. Przez dzień pracowali w porcie lub arsenale, na noc zamykano ich szczelnie, a wtedy często z nimi zamykał się jeden z Ojców, aby pocieszać, wspomagać, spowiadać a z rana Mszę św. odprawić w urządzonej na ten cel więziennej kapliczce; podczas zarazy stale z nimi aż do końca przebywał.. Za rządów kardynała Richelieu, spowiednik jego, O. Józef de la Tremblaye, zwany z przezwiska *l'eminence grise*, otrzymał posłanie na Wschód Kapucynów, którzy wnet rozgościli się szeroko w Damaszku, Tripoli, Kairze, Cyprze, Niniwie, Babilonie, Diarbekirze, Smyrnie, Alepie, Atenach i t. d. W Konstantynopolu mieli z czasem dzielną znaleźć pomoc w pośle francuskim mgr. de Nointel. Nowy to dziw! Ów Nointel nam Polakom znany jest z intryg na korzyść Porty przeciwko cesarstwu, z forytowania buntu protestantów węgierskich, z bróždzenia w dyplomacycznych sprawach Rzeczypospolitej. Tu zaś widzimy go dopomagającego Kapucynom w zakładaniu szkół, w swobodzie kaznodziejstwa, w opiece nad marynarzami francuskimi na Wschodzie, a było ich dużo, bo też Francya nie darmo trzymała z Turkami: w samym carogrodzkim porcie stało nieraz po 70 francuskich okrętów.

Kasata zakonu Jezuitów była wielkim ciosem dla misyi. Zastąpili ich synowie św. Wincentego, Lazaryści; tym jednak wkrótce podczas rewolucyi zabrakło poparcia rezydentów francuskich; co gorzej, w czasie kampanii Napoleona w Egipcie zostali uwięzieni, a następnie wydaleny z kraju. Z nieobecności ich korzystał ambasador niemiecki, by, o ile mógł, przeciągać z rąk Francyi pogańskiej wówczas i krwawej protektorat nad katolikami na Wschodzie. Lazaryści wprowadzili już w r. 1802 objęli napowrót swoją pojezuicką siedzibę u św. Benedykta, było ich już wszakże niewielu, a rząd ich przez długie lata następne zachowywał wobec Porty niezmiernie bierną postawę. Lazaryści założyli kollegium, ale nieoparci, niezmiernych doznali trudności.

---

<sup>1</sup> Po hiszpańsku *banos* — skąd francuska nazwa *bagne* na zakład kryminalny.

Dopiero Eugeniusz Boné, słynny orientalista i gorący katolik, dodał impuls żywotny ich misji i szkole, dokąd wstąpił najpierw jako profesor, a potem jako członek Zakonu. Imię jego spotyka się na każdym kroku dziejów misyjnych jako żywy łącznik świętości i wiedzy; zmarł r. 1878. Dziś uświetnione przez niego kollegium liczy 300 uczniów, prócz niego jest w Konstantynopolu szkoła prowadzona przez Jezuitów, 12 domów czy też zakładów obsługiwanych przez Siostry Miłosierdzia, jest szpital francuski, ochronki, ambulatorya i t. p. Podczas wojny krymskiej Lazaryści, Jezuici i „legion“ Szarytek uwijali się około rannych i chorych na przeróżne zarazy: były dni, gdzie po 5000 chorych obsługiwano. Szarytki oddały się zupełnie na rozkazy rządu, a że z poświęcenia ich korzystano, świadczy fakt, iż 30 ich wskutek zarażenia się umarło. Szarytki i Józefki są najpożądanejszym nabytkiem na Wschodzie; władze tureckie widzą je chętnie, lud błogosławi je i za ich pośrednictwem nabiera czoł dla ich wiary. Na prowincyi jednak, gdzie mieszkańcy nieświadomi są zachodnich zwyczajów, potrzeba czasu, by mahometan oswoić z widokiem kobiet, wychodzących swobodnie z odsłoniętem obliczem. Oprócz nich są Nazaretanki, Syonitki (*les dames de Sion*) klauzurowane, utrzymujące szkoły, a wreszcie Assumpcyonistki. Ojcowie Assumpcyoniści bardzo szeroką rozwijają działalność tak w Konstantynopolu jak w Bułgarii i Azji Mniejszej; niektórzy z nich, dla ułatwienia wpływu swego na dyssydentów, przeszli na obrządek grecki.

Obok najstarszej Misji konstantynopolskiej warto wspomnieć najmłodszą, ormiańską, założoną w r. 1881 za inicjatywą Leona XIII. Dba on bardzo o Ormian, którzy, kupując i wędrując z karawanami po Turcyi, Persyi i Chinach, mogą się stać umyślnymi czy bezwiednymi roznosicielami wiary. Zresztą sama ich niedola powinna im zjednać sympatię: pewien Polak, jadący niedawno koleją z Odessy, wdał się w rozmowę z bardzo intelligentnym a nieznanym towarzyszem podróży, który po chwili zapytał go, jakiej jest narodowości. „Z bardzo nieszczęśliwej — odpowiedział — jestem Polakiem“. „Jesteś pan Polakiem — odparł nieznajomy — i mienisz się nieszczęśliwym! A wiesz czem ja jestem? — Ormianinem!“ I pomimo prześladowań pruskich, trzeba przyznać, że miał słuszość. Cóż dziś zostało z wielkiej armeńskiej potęgi, gdzież się walają królewskie prochy dzielnych Pagra tidów, co zostało ze stolicy ich Ani? Kilka odłamów muru świadczy o miejscu, gdzie się wznosiło miasto wielkie i ludne, o Pagra tidach pamiętają ledwie uczeni, lud, który wydał cesarzy-wojowników, jak



Nicefor i Jan Zimisces, znany jest dziś w świecie jedynie jako stek bazarników i pośredników handlowych. Co się istotnie dzieje w tureckiej Armenii — można się tylko domyślać, bo Turcy bronią Europejczykom dostępu, bojąc się, by się świat nagiej prawdy nie dowiedział o rzeziach. „Jeden Europejczyk przedarł się w głąb, widział i... umarł, podobno z trucizny“. Katolików jest tam około 100 000; Turcy mniej się ich obawiają niż tamtych. U wstępu rzezi był nawet rozkaz oszczędzania ich, został jednak cofniętym dla przyczyn, o których autor zda się wiedzieć więcej, niż chce powiedzieć. Ormianie dyssydenci szukali wiedzy po szkołach niemieckich, gdzie wielu znalazło niewiarę. Powróciwszy, rozsiali dokoła chłód powątpiewania, tworząc w umysłach współziomków najpodatniejszy grunt dla propagandy protestanckiej. Nigdzie tyle nie zdziałały misye amerykańskie, ich funty sterlingi i płonne nadzieje poparcia z Anglii utraconych praw politycznych Armenii. Podniecili niemi nieszczęsny ruch, powstanie tajnych związków, mających podać rządowi tak dogodny pozór do krwawej represyi. Punktem zbornym owych związków był Londyn, kryjówkami na przywódców i broń szkoły amerykańskie. Stało się jednak to samo, co na Kaukazie w czasie wojny krymskiej, co u nas w r. 1863: podniecono ich nadzieję, a potem opuszczono, wydano na pastwę zemsty panującego rządu. Opisy rzezi w różnych miejscowościach są przerażające. Wystraszona ludność chroniła się wtedy tłumnie do katolickich domów misyjnych, protestanckie bowiem zamknęły przed nią swe wrota. W opisach tych uderza bezbronność tłumów mordowanych przez względnie nieliczne bandy oprawców; zdawa zdaje się, że choćby z gołemi rękami można im było dać rady, obalić i wydrzeć broń — przecież najzaciętszy napastnik jedną tylko stroną uderza... Po rzeziach zostało mnóstwo sierot, ludzi rannych, kalek i zubożałych — olbrzymie pole działania, któremu misjonarze amerykańscy, nie widujący sami chorych, tylko rozsyłający pieniądze, absolutnie podołać nie mogli. Szczęściem byli i nasi księża w Mniejszej Armenii (dawniej Kappadocyi, Poncie i Cylicyi), posłani w r. 1881 Jezuici, w reszcie kraju Lazaryści, Karmelici, Dominikanie i Kapucyni. Mniejsza Armenia liczy 2 282 000 mieszkańców, z tego 1 134 000 muzułmanów, 12 000 katolików, 14 000 protestantów, 500 000 chrześcijan dyssydentów i około 600 000 nieokreślonych. Pierwszem zadaniem misjonarzy było skupienie, nauczanie i rozgrzanie rozproszonych katolików, poczem dopiero można się było zabrać do powolnego przyciągania innowierców; pierwszego roku 30-tu mężczyzn przystępowało do Wielkanocnej spo-

wiedzi. Siostry Józefitki, sprowadzone na pomoc, okazały się jak wszędzie, nieoszacowanymi w zakładaniu szkół i zyskiwaniu serc ludzkich przez miłosierdzie. Obecnie można już odbywać publicznie procesye, do szkół uczęszcza 3 000 dzieci, 50 000 chorych na rok przyjmuje usługi 31 zakonników i 49 zakonnic. W ostatnich latach Assumpcyonistki przybyły obok Józefitek pracować. Stosunki z dyssydentami są jak najlepsze, tak ze świeckimi, jak z klerem; biskupi ormiańscy otaczają misyonarzy jawną sympatją. A jednak... polityczne względy ciągną serca Ormian w odmienną stronę. Zawiedzeni przez Anglię, radziby zwrócić się ku Rosyi, w której mocy już jest połowa Armenii. „Katholikos, głowa gregoryańskiego Kościoła, mieszka swobodnie w Eczmiedynie i jeżeli gorliwi, ale niezręczni ajenci, nie zepsują sprawy gwałtowną rusyfikacją, można powiedzieć, iż wkrótce Armenia, jak owoc dojrzały, do stóp cara upadnie“.

Po Armenii najmniej może znanem polem działania dla apostołów wiary jest Persya: jest może, jak dotąd, i najuboższem. Nigdzie islamizm nie rozpanoszył się równie bezwzględnie, wypierając za góry czcicieli ognia, pozbawiając chrześcijan praw obywatelskich; obecnie Gebrów niema tu nad 10 000, chrześcijanin nie może posiadać ziemi, krom w paru miejscowościach, a i tu, jeżeli byle kto z rodziny się „zbisurmani“, mocen jest zagarnąć cały familijny majątek. Pierwszych chrześcijan dość licznych po ewangelizacyi św. Tomasza zgładziły prześladowania w III i IV wieku, pozostały szczątki zarażone Nestoryanizmem i Eutychyanizmem — takich zastała powódź arabska. Wśród Chaldejczyków jednak mieściła się zawsze mniejszość katolicka, a Nestoryanie, liczniejsi, patrzyli zdala na Rzym jako na stolicę chrześcijaństwa; parę krok w czasie średnich wieków przychodzili z pokłonem do stóp Stolicy św. W XVII w. szach Abbas Wielki chciał użyć chrześcijan za broń przeciw Turkom, udawał się „w imię Jezusa Chrystusa“ o przymierze z Polską<sup>1</sup>, sprowadzał do kraju swego zakony Karmelitów, Braci Mniejszych i Jezuitów. Ci ostatni przybyli pod wodzą O. de Rhodes, apostoła Chin i Tonkinu, liczącego w swym misyonarskim zawodzie tyle niemal nawróceń co św. Franciszek Ksawery. Snać i w Persyi zasłynął z świętości, gdy bowiem umarł, szach Abbas II wraz z całym swym ludem uczcił go uroczystym pogrzebem. W czasie tym ustano-

---

<sup>1</sup> Ten fakt oczywiście nie z pod francuskiego pióra. W sam dzień wesela Maryny Mniszkówny odbyło się na Zamku przyjęcie przez Zygmunta III solennej ambasady perskiej.

wiono nawet w Ispahanie biskupstwo, które jednak nie długo trwało, bo po śmierci Abbasa II nastąpiła znów epoka prześladowań, pod któremi klasztory i większość chrześcijan zniknęły męczeńską śmiercią zgładzone, potem cisza grobu zapanowała do 1840 r.

I tu znów niespodzianie spotykamy się z Eugeniuszem Boné. Wyślany w r. 1838 do Persyi w celach naukowych, zdziwiony był nędzą i opuszczeniem pozostałych chrześcijan i jał szturmować do Propagandy o Lazarystów. Tymczasem założył sam trzy szkoły, a gdy Lazaryści przybyli, oddał im jedną z nich w zarząd. Szło jak najlepiej pod kierunkiem znanego z gorliwości O. Darnis i orientalisty O. Clusel, gdy naraz Ormianie, zazdroszcząc mu powodzenia, rzucili ekskomunikę na uczniów i ich rodziców. Boné musiał się schronić przed podnieconym ludem pod opiekę muzułmańską; rzecz zakończyła się dzięki konsulowi rosyjskiemu, który biskupa ormiańskiego, poddanego Jego Imperatorskiej Mości, wyprawił do Rosyi. Za to znów następny konsul, protestant, spowodował wydalenie p. Boné — widać stąd, czem jest potęgą przedstawicieli Rosyi w tych stronach. Tym razem wszakże ks. Clusel ostatecznie zwyciężył, używając wpływu świeżo przybyłego posła francuskiego de Sartiges. Wogóle dyplomaci francuscy opiekują się gorliwie katolikami, zadecydowano bowiem w Paryżu, że antyklerykalizm *n'est pas un article d'exportation*; podobnie konsul angielski ma pieczę nad protestantami, rosyjski nad prawosławnymi. Chrześcijanie mają prócz tego rzekomego opiekuna zarządcę zwanego *serperest*, jest to wszakże tylko jedno więcej narzędzie wyzysku; tych zaś nie brakuje tak dla nich jak i dla muzułmańskiej, uprzywilejowanej ludności. W Persyi rząd jest równocześnie absolutny i feudalny, podatki olbrzymie, po części płatne w naturze, co gromadzi w rękach agów wielkie zapasy zboża, które następnie odprzedają po dowolnej cenie. Stąd zawsze nędza i częste klęski głodowe. Sądownictwo jest w rękach duchownych wszelkiego autoramentu, prócz niektórych wypadków, gdzie trybunał cywilny wydaje za ciężkie złoto najdziksze wyroki. Sędziowie duchowni są sprawiedliwsi, ale nie mniej cheiwi. Inną jeszcze plagą są długi, które każdy człowiek mieć musi, choćby najbogatszy, jeżeli nie chce, by mu zarzucono brak kredytu; stąd lichwa i — znowu nędza. Ogromna różnica z Turcyą pod względem cywilizacyi; krom paru kawałków, niema dróg kołowych, chaty wiejskie z niepalonej cegły, w domach nędza i brud; u bogatszych nawet rodzina do obiadu zasiada na ziemi, pije z jednego kubka i je palcami — użytek łyżki jest nieznanym.

O nawracaniu muzułmanów w Persyi nie może być mowy —

najlżejsza próba sprowadziłaby nową rzeź chrześcijan. Nadto misjonarz-katolik ma przeciw sobie część Nestoryanów i misję amerykańską. Główną ich siedzibą, obecnie stolicą biskupstwa jest Urmiah, rzekoma ojczyzna Zoroastra. Pierwszym biskupem został ks. Clusel, wielki opiekun Chaldejczyków: mawiał, iż go Pan Bóg umyślnie dla nich stworzył. Mimo to nie zaniedbywał i Ormian. Za jego rządów stanął w Urmiah piękny kościół katedralny i dużo kaplic po wsiach okolicznych; samo miasto liczy obecnie do 6000 katolików, a na to misjonarzy 7 i 8 Sióstr. Chaldejczycy mają tu swego arcybiskupa, krajowca, a 38 księży katolickich po okolicy. Nestoryanie zaś liczą w Urmiah aż trzech biskupów, zajętych wyświęcaniem każdego, kto jest w stanie takseą opłacić. Co prawda rola takiego księdza polega tylko na odprawieniu 3—4 mszy do roku, chrzczeniu dzieci w Wielką Sobotę i w wilię Zielonych Świąt, celebrowaniu przy pogrzebach i ślubach. Biskupi zmuszeni są do celibatu i abstynencji od mięsa, do czego dodają sobie strasznie srogie posty: wogóle owe posty u dyssydentów, stanowiące rdzeń ich religii, są męczarnią dla misjonarzy, obawiających się zgorszyć lud brakiem umartwienia, a przeto naśladowujących owe przesadne praktyki. Pomimo to niektórzy księża nestoryańscy przyznają z westchnieniem, że: wiara katolicka jest najlepsza, ale zbyt trudna. Duchowieństwo ormiańskie dyzunickie stoi znacznie wyżej od nestoryańskiego: w każdym ich kościele bywa w niedzielę choć po jednej mszy. Dotąd jednak księża zostają znacznie w tyle pod względem oświaty w porównaniu do świeckich Ormian, którzy do europejskiego światła się garną. Próbowano dla nich założyć misję Mekhitarystów — próba atoli nie powiodła się.

Zdawałoby się, iż Syrya, kraj niegdyś chrześcijański powinna być podatniejszem polem do pracy apostolskiej od dalekiego Iranu, a jednak tak nie jest. Zda się, iż bliskość centralnego punktu, sąsiedztwo stolicy Kalifów, większym niż gdzieindziej zapalę podniecała zwolenników Proroka, że sroższe tu walki z wojskami chrześcijańskimi pozostawiły zaród nienawiści, jakiego się nie spotyka w innych muzułmańskich dzielnicach. Los misyi tutaj zawsze był niepewny, kapłani i wierni wystawieni na częste napaści; dżuma też zdawała się z Turkami być w zмовie. Kasata Jezuitów zadała dziełu bożemu cios, który się zdawał stanowczym; biskupi wschodnio-katolicy, opuszczeni przez lat kilkadziesiąt, wysłali do Piusa VII prośbę o pomoc. Przybyli Lazaryści, ale i oni żyć musieli pod grozą aż do zdobycia Syry przez Mechmeta Alego, zbuntowanego khedywa Egiptu. Jak niegdyś, Abbas Wielki w Persyi, tak on obecnie na chrześcijanach przeciw Tur-

kom chciał się oprzeć — pod rządami Egipcyan misye zakwitły na nowo. Beyruth stał się ogniskiem chrześcijańskiego a nawet katolickiego życia. Biskup Maximos Azlum podniósł myśl założenia seminarium wschodniego, a choć zrazu próba chybiła, Jezuitci wskrzesili plan na nowo i przywiedli szczęśliwie do skutku. Tu spotykamy się z jedynem w dziele nazwiskiem polskiem O. Ryłły i gorącym podniesieniem jego zasługi. Tymczasem jednak Turcy byli wrócili pod osłoną Anglików; nie śmieli oficjalnie burzyć dzieł przed ich przybyciem zaczętych, ale, nie mogąc spokojnie patrzeć na postępy Krzyża, podniecili w r. 1860 rzeznię, którym dopiero zbrojna interwencya Abd-el-Kadera i Francyi zdołała koniec położyć. Znowu tedy nastał spokój, nie wyłączający tysiącznych codziennych dokuczań; Bóg atoli dał moc do ciągłego czynu. Szkoła założona przez Jezuitów w Ghazirze, a w r. 1875 przeniesiona do Beyruthu, jest dziś świetnym uniwersytetem, gdzie na wydziale teologicznym kształcą się duchowni Melchici, Chaldejczycy, Ormianie, Maronici i Koptowie. Liczba tych uczniów byłaby znacznie większą, gdyby Jezuitci zechcieli zniżyć poziom nauki, tego jednak zapewne nie uczynią, gdyż celem ich właśnie jest wytepienie ciemnoty z kleru wschodniego.

Na tem kończymy wyciąg z dziejów misyjnych, a daleko do wyczerpania przedmiotu. Gdzie tu Macedonia, Bagdad, Mossul, Smyrna, Archipelag i Egipt, gdzie Palestyna ze swym skarbem miejsc świętych, z cudami poświęcenia, jakimi odwieczni strażnicy ich, Franciszkanie, świecą światu całemu? Wszystko to obszernie opisane jest w dziele, zdało nam się wszakże, iż jest bardziej znanem od stanu chrześcijan w innych dzielnicach Wschodu. Czytelnika, mającego nam za złe przemilczenie, musimy dla braku miejsca odesłać do książki.

T. W.

**Goethes Ästhetik.** Von Dr. Wilhelm Bode. Mit einem Bilde Goethes. Berlin. 1901. E. S. Mittler und Sohn. (W 8-ce, str. 341).

W powodzi literatury, badającej życie i twórczość Goethego, ta książka nie utonie, lecz owszem zaliczyć ją trzeba do niewielu, które i przeczytać i — co ważniejsza — zawsze ją pod ręką mieć warto. A jednak jej autor dał od siebie tylko szczęśliwy pomysł i przejrzysty układ, całą zaś treść wziął z Goethego. Oparty o doskonałą znajomość poezyi i prozy wielkiego twórcy „Fausta“, czerpiąc obficie a umiejętnie z bogatych zbiorów listów poety, wreszcie z „Rozmów“ Eckermanna, powiernika Goethego i pamiętników innych współczesnych, ułożył w system całą jego estetykę, a gmach ten zbudował tak ściśle i tak

solidnie, że przejrawszy wszystkie jego oddziały, tu i ówdzie tylko dostrzeżemy nielicznych braków i wad. Od siebie p. Bode nie dał nic, skromnie za poetę się chowając, gdzieniegdzie tylko cicho przemawia, zazwyczaj jako wielbiciel starej, surowy sędzia młodej poezji.

Czternaście rozdziałów grupuje koło głównych zagadnień estetyczne przekonania Goethego: od ogólnych pojęć o sztuce i jej stosunku z życiem przechodzi do szczegółowych zasad artystycznych, aby w końcu rozpatrzeć sprawę oddziaływania sztuki na tych, którzy jej sami nie tworzą.

„Piękność wokoło nas“. Już i w tym pierwszym rozdziale czytelnik poznaje pewne zasady estetyki Goethego, o ile one są w związku z przedmiotami i zjawiskami otaczającego nas życia. Poszczególne części, układające się harmonijnie i celowo do całości i swoboda w wykonaniu — oto są te zasadnicze pojęcia. W Niemczech poeta rzadko je widzi, częściej natomiast we Włoszech i w starożytnym świecie, do których zawsze tęskni. Jak prozaiczną i jak brzydką jest ciężka dziewczka niemiecka, uginająca się pod ciężarem kosza na plecach dźwiganego w porównaniu ze smukłą Greczynką, lekko w górę unoszącą konew wody. Światło i barwa pociąga oko i duszę poety a trafną niezmiernie jest uwaga, tłumaczająca, czemu my, dzisiejsi ludzie kochamy się w barwach bladych, przytłumionych, a nie lubimy pełnych, jaskrawych: to wybieg naszej nieudolności w operowaniu silnymi tonami tak, aby zlewały się w barwną harmonię, natomiast blademi barwami lada bazgracz zdoła wywołać pozór harmonii. Z estetycznych pobudek, jak tytu jego rodaków, poeta przenosi świetność, jasność i symboliczność katolickiego kultu nad oschłość i zimno protestantyzmu a to, co w *Dichtung und Wahrheit* mówi o symbolistyce Sakramentów św., nie przekracza nawet estetycznego tylko zachwyty.

Drogę „od rzeczywistości do sztuki“ (tytuł drugiego rozdziału) jasno można na podstawie słów Goethego przedstawić. Był przekonany przeciwnikiem naturalizmu, on, który przyrodę znał i kochał jak żaden inny poeta. Artysta naprzód wybiera z całokształtu natury przedmiot godny, potem go w szczytowej chwili jego rozwoju utrwała, łączy z innymi przedmiotami, usuwając wszystko, co jest zbytecznem lub niepożądanem, ustanawia granice: wprowadza ład i rozmaitość; jak nie wszystko, co w naturze istnieje, może być motywem sztuki, tak też na odwrót artysta nie jest ograniczony na to tylko, co w naturze istnieje. Nie rzeczywistość, ale „bogini prawda“ (rozdział III) jest naczelnym celem artysty. A prawdę on osiągnie, nie unikając jedynie

błędów, wykroczeń przeciw anatomii, botanice i t. d., lecz zachowując rzeczowość, obiektywność i prostotę. Były w życiu Goethego czasy, kiedy myślał i tworzył inaczej, lecz od powrotu z podróży do Włoch do końca swych dni uwielbiał starożytną sztukę właśnie dla jej rzeczowości i obiektywnego spokoju. „Antyk jest trzeźwy, skromny, umiarkowany, moderna całkiem hamulców pozbawiona, pijana“.

Porzucając sferę sztuki w ogólności, przechodzimy do jednego z jej rodzajów, do poezji. Na czym zasadza się „istota poety“? (rozdział IV). Poeta tworzy bezwiednie, pod wpływem nagłej inspiracji, a starożytni mieli na to piękny symbol, odwiedziny muz. Z chwilą, gdy dzieło się już poczyną, poeta jest pod władzą elementarnego przymusu, który mu tworzyć każe, nie pytając, poco i dlaczego. Prawdziwy poeta musi tworzyć, bo inaczej uległby wrażeniom, tak wielką jest jego wrażliwość i drażliwość, a najsilniejszymi są oczywiście wrażenia osobiste, doświadczenia własnego życia. Wszak wiadomo, że Goethe nazywał swe poezye „spowiedzią generalną“. „Dziewięć muz“ (rozdział V) ma poeta, z których jego twórczość bierze początek: miłość, młodość, którą poeta musi w duszy i na starość zachować, samotność, skupianie się w sobie, zewnętrzne podniety, uznanie społecznych, którego brak poetę zniechęca (sam Goethe skarżył się, że mógłby być dać cały tuzin takich dramatów, jak „Ifigenia“ i „Tasso“, gdyby nie zupełna obojętność publiczności), podróże i ruch, swobodna natura i umiarkowanie: Goethe ogromnie gorąco zalecał poetom wszelakie umiarkowanie, gniewał się na Schillera, że w chwilach osłabienia podniecał się napojami wysokowymi i mówi: „co rozumni ludzie jego rzeczom zarzucają, to według mnie, stąd pochodzi“. „Lata nauki poety“ (rozdział VI) Goethe mądrze podkreślał. „Sfera miłości, nienawiści, nadziei, rozpacz i innych stanów i namiętności duszy jest poecie wrodzoną i jej przedstawienie uda mu się. Ale nie jest mu wrodzoną znajomość tego, jak się odbywają sądy albo posiedzenia parlamentu albo koronacja cesarza i chcąc nie zbłądzić przeciw prawdzie tych rzeczy, musi je sobie przyswoić z doświadczenia lub tradycji“. Te dwa momenty, życiowe doświadczenie i pozytywne studia są dla poety nieodzowne. Goethe doradza także oszczędność w tworzeniu, przestrzegając przed zbytnią produktywnością Wiktora Hugo, upomina przed czysto negatywną twórczością, przed tendencją pouczenia i ośmieszania wszystkiego. W trudnem pytaniu, co może być „przedmiotem“ (rozdział VII) poezji, widoczną jest u Goethego pewna chwiejność poglądów, którą i Eckermann skonstatawał: raz bowiem poeta powiada, że cała wartość poezji leży w przed-

miocie (*Der Stoff*), drugi raz, że wszystko zależy jedynie od przedstawienia tego przedmiotu. Tylko jedno zdanie powtarza się wciąż: wszystko może być przedmiotem poezyi, co jest „znaczącem“, co jest symbolem czegoś większego. Goethe był przeciwnikiem wszelkiej „tendencji“ (rozdział VIII) patryotycznej, społecznej czy religijnej i formułuje to ostro w zdaniu: „niema patryotycznej sztuki i niema patryotycznej nauki. Obie, jak wszystko co wzniosłe i dobre, należą do całego świata“. P. Bode cytuje tu także jego słowa: „jako artysta jestem politeistą“, lecz co najmniej jest tu niejasnym; Goethe bowiem nie mówi tu nic o swoim stosunku do religii, lecz — jak ze związku z sąsiednimi zdaniami widać — zaznacza jedynie, że artysta jako materiału użyć może niejednej religii i niejednej mitologii, lecz wszystkich; może przedstawić z równą plastyką tak Jehowę jak i Zeusa lub Wodana, tak Aniołów jak i Erynye lub Walkyrie. W stosunku do moralności Goete zastrzega poezyi tę samą niezależność, lecz robi dwa ważne zastrzeżenia: źle jest, że np. w teatrze nie są sami dojrzali ludzie, znający życie, ale jeżeli już tak jest, to poeta powinien baczyć, aby większości dobrych ludzi z tej publiczności nie zgorszyć. W rozdziale o „formie“ (IX) nie udało się autorowi zgromadzić charakterystyczniejszych sądów Goethego.

Gdy dzieło poezyi już gotowe, dostaje się w ręce publiczności. O niej mówią dwa następne rozdziały (X i XI), pierwszy o publiczności w ogólności, drugi o krytykach. Goethe pragnie zachować pewien odstęp między poetą a czytelnikiem; używanie poezyi ma być pojęte jako uroczysta chwila, a z dumą mówi o sobie, że nigdy nie będzie popularnym (tak też i jest: w przeciwieństwie do olbrzymiego kultu w sferach wykształconych, wśród mas niemieckiego ludu Goethe jest prawie nieznan). Krytykom dostają się prawdziwe cięgi. Sławne słowa: „Zabijcie tego psa, wszak to recenzent“, brutalnie wyrażają zdanie poety. Zarzuca im konieczną w ich rzemiośle a przecież wstrętną zarozumiałość, jednostronność, małostkowość, a niemniej gwałtownie piorunuje przeciw krytyce, poszukującej źródeł danego utworu poetycznego i mówi, że z „tą samą słusnością możnaby się dobrze odżywionego człowieka pytać o woły, barany i świnię, które zjadł i które mu siły dały“. Poecie zaś krytyk nie nie powie, bo z chwilą, gdy utwór dostanie się w ręce recenzenta, dla twórcy jest on już przeszłością, suknią znozoną i odrzuconą precz. Nierównie łaskawszym był Goethe dla dyletantów (rozdział XII), chociaż ganił w ich sztuce kobiecy charakter, brak męskości. Dlatego bardzo surowo obchodzi się z kobietami-autor-



kami, które „mężczyzn pojmują tylko jako kochanków“. Z ustępu o „popieraniu sztuki“ (XIII) ciekawem jest przedewszystkiem to, co Goethe mówi o konieczności mecenasów i jak woli książąt w tej roli, niż cały tłum; mniej poniża zależność od jednego niż od mas. Zajmującym jest, że Goethe, który nie mógł jeszcze marzyć o wspaniałych dzisiejszych pomnikach, za najpiękniejszy sposób utrwalenia pamięci wielkiego artysty uważa medal pamiątkowy. Z ostatniego rozdziału o „korzyści sztuki“ wyjmujemy stwierdzenie dobroczynnego wpływu poezyi ale pod warunkiem, że jest to zdrowa i szlachetna poezya. Gwałtownie zwalczać natomiast trzeba „poezyę lazaretową“, której chorzy twórcy cały świat w szpital zamieniają. Potrzebną jest tylko „poezya tyrteuszowa“, która nie tylko śpiewa pieśni bojowe, lecz w ludzi tchnąć może odwagę do walk życiowych.

Książka p. dr. W. Bode, ozdobiona portretem Goethego według Tischbeina, przy każdym słowie podająca w nocie źródło, jest bardzo przydatną. Ma jednak dwie wady. Nie uwzględnia rozwoju pojęć estetycznych u Goethego i pomija dawniejsze, zwłaszcza z czasów przed podróżą do Włoch. Powtórę zaś chociaż bardzo wielostronna, nie jest wszechstronna i przemilcza niejedną ważną kwestyę: tak np. nie mówi nic o zapatrywaniach Goethego na typowość i indywidualność w sztuce, nie przedstawia działalności Goethego jako dyrektora teatru i reformatora sztuki aktorskiej, będącej w ścisłym związku z estetyką starzejącego się poety, nie mówi nic o sądzie, o poszczególnych rodzajach poezyi i t. d.

*Dr. Józef Flach.*

**Зерна Горушичны изъ сѣмєнца Камянина. Перемышль. Зъ печатини**  
Николая Джулинскаго. 1900. (Str. 54, w 16).

Niełatwo było w polskiem piśmie wydać sąd o książce podanej w nagłówku: choć czas ułatywał, wypadało czekać, aż ruska prasa pierwszej zda z niej sprawę i ułatwi na nią pogląd Polakowi. Jednak i Rusini trzymają pióro na wodzy: czują, że trudno zganić tę pracę za śmiałość w niej poglądy, a niebezpiecznie ją chwalić.

Słusznie dał bezimienny autor napis swojej książeczce: ziarna gorczyczne; zebrał wiele prawdy, ale gorzkiej; wypowiedział ją z wielkiem sercem, ale śmiało; wystąpił z zapalem w sprawie zjednoczenia Kościołów, ale z żalem dla winnych w rozterce, a nie z wymówkami; wylewa duszę szczerego Rusina, ale przemawia językiem nieznanym na Rusi Czerwonej, nieutartym na Ukrainie, przyjętym w obozie *Hałyca-*

nina; z różnych powodów każdy Rusin, poważnie usposobiony, przeczyta tę książeczkę z wielkim smakiem, ale uczuje coś w niej, co piecze jak gorczyca. Ale czyż mało dusz na Rusi śpi i potrzebuje jakiejś gorzkiej podniety do ruchu i czynu?

Pierwszy rozdział zbiera wiązanekę myśli o Eucharystyi. Tę świętą Tajemnicę pojął autor na tle swoim osobistem: sam widocznie żyje tęsknotą do nieba po śmierci i myślą o pracy na ziemi dla pożytku ludu biednego i dla dobra Kościołów rozszczępionych. Więć w Eucharystyi wypatrzył tę stronę dobrodziejstw Boskich, które napełniają serce nadzieją królestwa Bożego w nas samych, w narodzie bałamucnym hasłami socjalistycznymi, w zgodzie braci dotąd poróżnionych. Myśl jego płynie lawą, albo raczej lawiną spada z wyżyn i zsypuje ze sobą bogactwo kamieni drogich: ustępów z przeróżnych pisarzy wschodnich i zachodnich. Ich słowa nie przedstawiają na pozór bliższego związku ze sobą, ale w istocie mierzą do jednego celu: zgody, miłości i pracy dobroczynnej.

Ten sam duch przewiewa z drugiego rozdziału: o kalendarzu. Ściśle wywodzi autor, że obecny kalendarz juliański nieraz przestępuje ustawę nicejską, abyśmy obchodzili Wielkanoc w niedzielę najbliższą po pierwszej pełni wiosennej. Smutną prawdę wyznaje, że wielu tych, co powinni dbać o ustawy soborów, nie bierze sobie do serca potrzeby poprawy kalendarza. Radośnie przecie donosi, że już znajduje zwolenników myśl o poprawie i przytacza słowa innego pisarza, który przewiduje, jak ta zmiana może przywrócić porządek nicejski, a nie naruszy ksiąg cerkiewnych, nie dotknie paschalii wschodniej, inaczej tylko użyje kluczy granicznych, na co potrzebuje tylko jednej ćwiartki papieru, aby zaopatrzone tą poprawką Służebniki i Czasosłowy służyły nie tylko naszym wnukom ale i potomkom ich na tysiąc lat.

Inną znowu sprawę ale również drogą sercu pobożnego Rusina porusza autor w rozdziale III-cim: o seminaryum. I tu łatwo gorącemu pisarzowi tknąć bolesne struny i wylać skargę na różne braki, którym drogę dotychczas torowały stosunki. Autor rozwija tylko trzy główne potrzeby: brak poprawnego przekładu Pisma świętego, któryby mógł zrozumiale dla teologa ruskiego wyłożyć myśl i rozbudzić w nim zapal dla słowa Bożego: teraźniejszy przekład zadaje raz po raz zagadki; dalej wytyka autor brak książek duchownych w ojczystym języku i na koniec porusza sprawę, która czekała na teraźniejszego Przewielebnego Księdza Metropolite: mianowicie sprawę takiego ustroju seminaryum, któryby w niem stworzył zakład wychowawczy i szkołę ascezy, a nie-

tylko przytułek czteroletni dla młodzieży, nie udochownionej jeszcze wcale przez samą szatę duchowną, a wystawionej na niestosowne wpływy świeckich polityków i świeckich towarzystw. Troska ks. metropolity znajdzie w autorze cichego pomocnika, który swoją książeczką po swojemu, z dołu wpływać będzie na rozwój ducha w seminarium. A umie przykładami stwierdzić, jak często ze seminarium wychodzi myśliciel, obeznany z wielu dziełami świeckich pisarzy, ale zupełnie niebiegły w teologii.

Wielkiej mocy ducha potrzebował autor w rozdziale IV-tym pod nagłówkiem: „język i katolik“. Choć autor pisze językiem ledwo że nie rosyjskim, jednak nie o to walczy w tym rozdziale, żeby wprowadzić ten język zamiast ojczystego do piśmiennictwa na Rusi: broni tylko nauki języka rosyjskiego między Rusinami i odpiesa zarzut, że język urzędowej Rosyi powinien obudzać wstręt w narodowcu i katoliku ruskim. Odpowiedzi autora wynikają z jego stanowiska bardzo wzniosłego i z chrześcijańskiego poglądu na obce narody i ich języki. Wywodami swoimi może autor przekonać czytelnika bezstronnego, ale czy wielu takich czytelników znajdzie?

Jeszcze zawilszą sprawę poruszył autor w ostatnim rozdziale pod napisem: *jakiego my obrządku?* To pytanie w naszych oczach polskich wygląda zabawnie, bo nie pojmujemy, żeby mógł ktoś nie wiedzieć, że Ruś Służbę Bożą odprawia w obrządku, ułożonym przez świętych Złotoustego i Bazylego, że inni Grecy urządzili nabożeństwo w chórze, że w Menejach wszystkie żywoty świętych — z wyjątkiem oczywiście słowiańskich — pochodzą z pod pióra św. Damascena albo innych duchownych greckich: więc, że cały świat słusznie to powtarzał, co odwiecznie czytał i w papieskich dokumentach i w każdej geografii o Rusinach obrządku greckiego. Mimo to narodowy zapał, jak przemawiał za odrębną pisownią, aby odróżnić Ruś od innych plemion słowiańskich, tak zapragnął posiadać obrządek własny: ruski, a nie należeć do członków greckiej Cerkwi. Stolica apostolska stanowczo objawiła, że chce Rusi katolickiej, ale nie różnej obrządkiem od innych Cerkwi wschodnich i że nie uprawnia żadnych zmian, wprowadzanych do obrzędów z tą myślą, aby na zewnątrz uwydatnić różnicę między Rusinem albo Bułgarem zjednoczonym a Bułgarem, Serbem albo Rosyaninem odłączonym od Rzymu. A jeżeli papież nalega na nietykalną jedność obrządku we wszystkich Cerkwiach wschodnich, choćby niekatolickich, słusznie autor broni nawet nazwy swojego obrzędu, wspólnej wszystkim Cerkwiom

i chce być Rusinem ale nie w żadnym osobnym obrządku ruskim, tylko w obrządku grecko-katolickim.

Małe to pisemko porusza myśli, które wiele mogą wywołać następstw doniosłych. Z zasobami wiedzy, którą posiada autor, z jego bujnym piórem, mogła łatwo powstać zamiast książeczki, niejedna gruba księga ze „Ziarnka gorczycznego“. Ale przeciętny czytelnik nie sprowadza za drogą cenę grubych ksiąg: więc autor powiększył zaletę swojej pracy, dając bogatą treść w rozmiarach taniego wydawnictwa. Życzyć trzeba, aby te krótkie uwagi bezimiennego pisarza znalazły dostęp do wielu a wielu rąk, a niepodobna przepuścić, żeby kogobądź między Rusinami nie dotknęły silnie, z pożytkiem dla dobrej sprawy ruskiego narodu.

*Ks. K. Czaykowski.*

**Что сдѣлала Россія въ теченіи столѣтія (1801 — 1901) для грузинской церкви и общества въ духовно-религіозномъ отношеніи?** (Z powodu obchodu stuletniej rocznicy przyłączenia Gruzji do Rosyi). 1900, bez miejsca druku, str. 24.

Niewielka ta książeczka, której autora na okładce nie wymieniono, wydana została z powodu przypadającej we wrześniu z roku stuletniej rocznicy przyłączenia Gruzji do Rosyi. Ma ona na celu dać odpowiedź na pytanie: „Co zrobiła Rosya w ciągu stulecia (1801—1901) dla gruzińskiego kościoła i społeczeństwa w kierunku duchowno-religijnym?“ Aby dać odpowiedź na to pytanie, autor, jeden z „nie-liberalnych“ synów Gruzji, zaznajamia czytelnika w dwóch rozdziałach z tem, czym był kościół gruziński przed przyłączeniem Gruzji do Rosyi i z tem, czym się stał po przyłączeniu.

Nim jednak podamy treść tej książeczki, pozwolimy sobie przypomnieć czytelnikowi kilka faktów z dziejów Gruzji.

Gruzya, położona między pasmem gór kaukaskich, oddzielających Europę od Azji, a odnogami gór ararackich, staraniem św. Niny na początku IV stulecia przyjęła chrześcijaństwo według obrządku wschodniego. Kościół zatem gruziński, jako powstały z łona Kościoła wschodniego, w pierwszych wiekach swego istnienia zależnym był od Bizancjum. Już jednak w VII wieku za panowaniem króla Adarnassego, wyswobodził się z zależności greckiej i stał się autokefalicznym, zależnym jedynie od swego własnego wybieralnego patriarchy t. zw. katolikosa gruzińskiego. W ten sposób powstał narodowy Kościół gruziński, w zasadach wiary w niczem jednak nie różniący się od Ko-

ścioła wschodniego i jako taki przetrwał przez ciąg wielu stuleci aż do utraty niepodległości Gruzji. Dodać jeszcze potrzeba, iż wyznają Gruzini również i katolicyzm, który rozkrzewienie się swoje w tymże kraju zawdzięcza misyonarzom rzymskim, bawiącym w Gruzji głównie w XVII stuleciu.

Gruzja, będąc oddzielona od Europy niedostępnym łańcuchem gór kaukaskich od strony zachodniej, południowej i wschodniej, podlegała nieustannym napaściom plemion barbarzyńskich: Arabów, Persów, Turków, Tatarów. Trudno jej było podolać w tej walce nierównej, toteż po chwilowym rozkwicie swoim w XII stuleciu, po „wieku złotym“, coraz bardziej słabnąć poczęła, tak iż w końcu XVIII wieku, za panowania króla Jerzego XIII zmuszona była oddać się pod opiekę chrześcijańskiej Rosji. W ten sposób niebawem na podstawie manifestów Pawła I i Aleksandra I z roku 1801 Gruzja została wcieloną do państwa rosyjskiego. Zrazu Rosya przyobiegała na mocy tych właśnie manifestów, iż Gruzja i nadal rządzona będzie przez swoich własnych królów, że na czele narodowego Kościoła stać będą katolicy-Gruzini, że językiem Kościoła i szkoły będzie język gruziński — wnet jednak rozpoczęto rusyfikację kraju. Członkom rodzin królewskich i udzielnym książętom kazano opuścić kraj rodzinny i wyjechać w głąb stepowej Rosji. Tych zaś, którzy się opierali, wywieziono przemocą<sup>1</sup>.

Autor wymienionej właśnie książeczki wykazuje rusyfikację Kościoła. W pierwszym rozdziale omawia zasługi narodowego Kościoła gruzińskiego, któremu sądzonem było daleko na Wschodzie, wśród ludów barbarzyńskich, być rozsądnikiem kultury chrześcijańskiej. Przywodzi świadectwa ówczesnych pisarzy np. Prokopjusza, który pisał, iż „Gruzini-chrześcijanie... najbardziej surowo przestrzegają świętych postanowień i obrzędów“, lub Neandra, który w r. 1550 twierdził, iż „Gruzini, wyznający wiarę wśród niezliczonych i najbardziej silnych wrogów, słyną jako najwytrwalsi“. Że zaś językiem narodowego Kościoła gruzińskiego był język gruziński, szeroko rozpowszechniony po całym Kaukazie tak, iż niektóre nawet plemiona niegruzińskie używały go jako swego języka literackiego — okoliczność ta wielce ułatwiała pracę misyonarską.

W drugim rozdziale kreśli autor upadek Kościoła gruzińskiego po roku 1801. W roku 1811, jeszcze za życia katolika gruzińskiego,

---

<sup>1</sup> Henryk Ułaszyn: „Gruzja i Gruzini“ (Szkice dziejów i literatury). Kraków. 1901.

Antoniego II, biskupa Mechetu i przy życiu metropolity tyfliskiego, Arseniego, Synod nazначył metropolitą Mechetu, Tyflisu, Kartalinii i Kachetii — Warlaama... W ten sposób, stawiając Kościół gruziński w zależności od Synodu, pozbawiono go autonomii. Zniesiono następnie około 20 dycezyi i dziś więcej niż 860 kościołów stoi bez Służby Bożej.

Na egzarchów Gruzji przysyłano biskupów z Rosyi, nie znających języka gruzińskiego, który był językiem kościelnym. Egzarchowie ci, wracając do Rosyi, wywozili ze sobą ogromne sumy, skarbcze zaś kościołów i klasztorów bogate w kosztowne zabytki przeszłości — pustoszały...

Na urzędy duchowne dostawały się nieraz moralnie nisko stojące jednostki. Archimandryta Serafin, rektor seminaryum w Tyflisie wobec uczniów swoich nazwał kościelny śpiew gruziński „piem szczekaniem“... Wywołało to rozruchy pomiędzy uczniami i w rezultacie, z rozkazu Pobiedonoseewa, zamknięto na rok (1893/4) seminaryum.

„Oto dlaczego — pisze autor — nie może Gruzin sympatyzować ze stuletnią działalnością rządu rosyjskiego i z rozporządzeniami „Rosyjskiego Duchownego Kollegium“, znanego pod nazwą „Rządzącego Senatu“...

*Henr. Ułaszyn.*

## Z pism czasowych.

**Vlast'** časopis pro poučení a zábawu. Roczник XVII (1901).

Miesięcznik *Vlast'* (Ojczyzna), wychodzący w Pradze czeskiej pod kierownictwem ks. Tomasza Škrdlę, jest organem stowarzyszenia katolickiego, noszącego nazwę też samą co pismo, którego ogniskiem jest Praga. O rozwoju i działalności towarzystwa tego w roku ostatnim, według kilku sprawozdań w roczniku najnowszym zamieszczonych, słów parę nasamprzód powiedzieć nam wypada.

Przed laty 17 powstało *družstvo Vlast'*, które sobie za cel obrało: *byti předním literárním harcovníkem za vzdělanost' (wyszktałcenie) a osvětu křesťanskou v národě českoslovanském*. Członkami tego towarzystwa są nie tylko duchowni ale i świeccy, są nauczyciele ludowi, profesorowie szkół średnich, akademicy i docenci wszechnicy i t. d. Naczelnikiem obecnie jest ks. dr. Rudolf Horský, a jego zastępcą prof. M. Kovář. Od samego początku swego istnienia wydaje stowarzyszenie swoje czasopismo mie-

sięczno-literackie, a z biegiem lat zakłada i utrzymuje corazto nowe swe wydawnictwa jak: *Naše Listy* (tygodnik), *Vychovatel*, *Hlasý Svato-vaclavské* (dwutygodnik broszurkowy w przedpłacie całorocznej 40 groszy), *Sborník historického kroužku*. Stowarzyszenie bowiem podzielone jest na oddziały, *kroužky*, literacki, socyalny, historyczny i t. d. Zajmuje się ono i wydawaniem kalendarza ludowego, wspieraniem czytelní ludowych oraz wydawnictwem wszelkich druków kościelnych i urzędowych parafialnych.

Z ważniejszych czynności zeszłorocznych (1900) wspomnieć się godzi o II literackim zjeździe, na którym cały szereg odczytów religijnych, wydawniczych, literackich i t. d. wygłoszono oraz o równocześnie urządzonej I katolickiej wystawie literackiej. Przedstawiono tu cały zbiór dzieł religijnych, jakie tylko w ciągu stulecia XIX piśmiennictwo czeskie wydało. Naczelnik towarzystwa *Vlast* cieszy się, że wiek ten wydał aż 615 pisarzy i dziennikarzy, którzy swe pióro walkom religijnym poświęcili. Jeśli się zważy, że dotąd przeszło 100 czytelní przez *družstvo* jest zaopatrzonych, przyznać trzeba, że członkowie są czynni. Biorąc na uwagę, iż obecnie już dom swój i tłoczníę oraz skład księgarski towarzystwo posiada własne, uznać musimy jego rozwój i wzrost w siłę. A nie tylko w siłę materyalną rośnie *Vlast*, liczba jej członków także się pomnaża i to imiona coraz poważniejsze do pocztu przybývają.

O miesięczniku *Vlast* tak zaś mówi jego kierownik ks. Škrdle w artykulíku *Na sklonku XIX wieku*: „Charakterystycznym znamięm *Vlasti* jest to, że zwraca baczną uwagę na życie i piśmienniczą działalność Słowian i że jej współpracownicy literaccy słowiańscy żyją w różnych ziemiach słowiańskich, a zatem przy źródle“. Nas oczywiście najbardziej zaciekać może, co się do nas odnosi. Wyjątkowo pewnie w tym roczniku niewiele: wspomnienia pośmiertne o arcybiskupie Issakowiczu i Bronisławie Grabowskim oraz ustęp o jubileuszu Sienkiewicza. Tyle między „nowinami z powszechnego życia“. Więcej nieco w dziale ocen i sprawozdań literackich. Dwaj pracownicy zajmują się naszym piśmiennictwem, ks. Fr. Žundalek i Fr. Štingl. Mamy tu wcale dokładne treści i krótkie charakterystyki „Argonautów“, „Dobrych par“, „Listów człowieka szalonego“, „Ludzi bezdomnych“, „Nad urwiskiem“ i innych. Dla ciekawości przytoczymy, co Štingl mówi o „Szki-cach literackich“ prof. Zdziechowskiego (str. 767): „Zdziechowski jest tu nie tylko krytykiem ale i myślícíem, którego zajmują wszystkie religijne i moralne zagadnienia; zarówno jest też poetą, który miłuje

wszystko, co piękne i dobre jest w istocie. Jako krytyk ma pisarz wielkie wykształcenie i pragnie przedmiotowo podawać swe wrażenia. Jako estetyk trzyma się teorii platońskiej, że piękno jest odbłaskiem doskonałości, a pojmuje je w najszlachetniejszym znaczeniu katolickim. Jako myśliciel jest Zdziechowski typem idealisty, stojącego na podstawie katolickiej“.

Sprawozdania z innych piśmiennictw nie tylko słowiańskich są równie liczne, najbogatsze z francuskiej, hiszpańskiej i niemieckiej. Z każdej europejskiej literatury choćby mały odgłos tu doleci, a nawet słabe echo z nad Nilu w sprawozdaniu z kairskiego czasopisma arabskiego *Misr*. Główną jednak stroną duchową dla czytelników czasopisma stanowią utwory literackie czy poetyczne i rozprawki naukowe. *Vlast* ma tych ostatnich więcej niż belletrystyki.

Powieści zaledwie 3 znajdujemy w naszym roczniku: przekład Čorovičových „Hercegowińskich obrazków ludowych“, Kamaryta powieść historyczną z doby nawracania Pomorza p. n. „Z państwa bałtyckiego Trzygłowa“ — ważniejsze.

Z artykułów naukowych wymienić można Kašpara „Praskie katomby“, d-ra Klatowskiego „Obrona klasztoru ze stanowiska dziejów, rozumu i prawa“, przełożone z rosyjskiego „Dnieprowe progi“ i z francuskiego „Spirytualizm a spirytyzm“, dzieło głośnego obecnie spirytysty Surbleda. Historyków naszych uwagę bacznią zająć powinna praca Vyhliďala p. n. *Naše Slezsko*. Jest to praca obszerna i bardzo dokładna, ciągnie się już całe 2 roczniki, a jeszcze koniec jej nie zapowiedziany. W części z roku 1901 mamy ustępy o działaniu macierzy opawskiej, o pieśniach ludowych, o utworach pieśniarzy wiejskich, o szkolnictwie i stosunkach narodowościowo-kościelnych, wierzeniach i zwyczajach ludu śląskiego i t. p. Ciekawe są kolędy czeskie tu przytoczone, najpewniej przeróbki polskich, bo występują w nich „Kuba z Bartkiem“ tak polscy, a tak nie czescy, słyszymy tu *Deň Božího narození...* albo *Anjelove se raduju, Gloria zpivaju*.

Choć poezya nie jest zaniedbana w *Vlasti*, ale nie zasługuje tu ani wierszyk na wyszczególnienie, są przeważnie religijne, więc poważne, a że pieśniarze mali, więc twory ich suche. Może jeszcze najpiękniejszy Stupawskiego *Slzy Kristovy*, wylane nad Jerozolimą, którą miał smutny koniec spotkać, albo wreszcie Hornova legenda o św. Krzysztofie. Może się talent który wyrobi, może w nowym roczniku zabrzmią pieśni silniejsze. Życzymy.

Jan Fr. Magiera.



## ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

O najważniejszych postulatach historii literatury polskiej. Odczyt wygłoszony na I zebraniu miesięcznem Towarzystwa literackiego, im. A. Mickiewicza we Lwowie. *Dr. Aleksander Brückner*. We Lwowie. Nakładem Towarzystwa literack. im. A. Mickiewicza. 1900. (W 8-ce, str. 15.

W odczycie swoim zastanowił się autor szerzej nad kilku ważniejszymi postulatami, jakie należy wypełnić względem historii naszej literatury. Nader słusznie uznaje autor za potrzebę nieodzowną zbadanie dotychczasowych sądów, jakie mamy o wielu pisarzach. Bo sądy te są częstokroć mylne i nieuzasadnione: bądź wywyższają nad zasługę, bądź też umniejszają niesłusznie wartość pisarza. Tak więc np. Grzegorz z Sannoka wyrósł w opinii nad miarę, Pasek i Leszczyński, kiedy znaczenie ich po należytem badaniu okazuje się w nieporównaniu mniejsze, niż to, jakie im zwykliśmy przypisywać. Żałuski znowu i Wacław Potocki dotychczas nie zostali postawieni na stanowisku, na jakie zasłużyli sobie ze wszech miar. W dalszym ciągu wskazuje prof. Brückner na konieczność zbadania makaronicznej naszej poezji, jako też na to, że w dotychczasowych badaniach nad różnymi pisarzami niewiele stosunkowo zwracano uwagi na różnice plemienne, których nie godzi się lekceważyć, gdyż znaczą one wiele w charakterze, usposobieniu i kierunku twórczości.

Naturalnie — w jednogodzinnym wykładzie nie mogło być mowy o wyczerpaniu wszystkich ważniejszych luk, jakie zachodzą

w historii naszej literatury. Ale jeśli przypatrzymy się uważniej pierwszemu z postulatów postawionych przez prof. Brücknera, zobaczymy, że jest on w znacznej części niewykonalny, naturalnie nie z winy szan. autora. Jak bowiem będziemy mogli kontrolować sądy o wielu pisarzach, skoro o nich nie mamy wyczerpujących monografii. Zdanie to mogłoby się wydać komu na pozór nieuzasadnione, boć przecież tylu mamy pracujących na polu historii literatury! A jednak — tak jest, jak mówię. Wszak pierwszorzędné postaci w dziejach literatury naszej nie doczekały się dotąd nauko wo traktowanych monografii! Nie ma jej ani Skarga, ani Birkowski, Klonowicz ani Konarski, Bohomolec, Niemcewicz, Książnin, ani Karpiński, Krasiecki ani Trembecki. Nawet ten wiek XIX, któremu przeważnie poświęcają trud historycy literatury, wykazuje w tym względzie przerazające braki. Bo i w nim nie mają monografii: Zaleski, Goszczyński, Pol, Lenartowicz, Zmorski, Groza, Olizarowski, Witwicki, Korzeniowski, Grabowski, Gaszyński, Romanowski, żeby już nie wyliczać wielu pomniejszych pisarzy. Co więcej — a wstyd to wyznać — taki Słowacki dotąd nie doczekał się oprócz książki Małeckiego innej monografii, któraby więcej i lepiej odpowiadała nowszym badaniom nad tym poetą. Wstyd wspomnieć, że dotąd leżą niewydane, w pyle bibliotecznym, pisma Goszczyńskiego, dramaty Olizarowskiego, a nawet utwory Słowackiego! Wieleto arcyciekawych korespondencyi oczekuje wydawców! Wszak dotąd nie mamy krytycznie przygo-

townych wydań pism Brodzińskiego, Zaleskiego, Lenartowicza i innych, nie wspominając już o wiekach dawniejszych! Pracy wiele, ale pracowników mało.

St. Z.

**Studyja nad średniowiecznym piśmiennictwem polskim.** *Stanisław Dobrzycki.* (Osobne odbicie z XXXIII-go tomu Rozpraw wydziału filologicznego Akademii Umiejętności). Kraków. 1901. Nakładem Akad. Umiej. (W 8-ce, str. 16).

Rozprawa, krócej tytuł podaliśmy powyżej, jest pierwszą z dłuższego cyklu o średniowiecznej naszej literaturze. Na razie zastanawia się autor nad źródłem kilku wierszy, naturalnie treści religijnej, bo od tych — łatwo zrozumiałe — musiała się zacząć formować literatura. Ponieważ zaś pieśni, z tej pochodzące doby, formowały się pod wpływem czeskim, przeto autor zbiera skrzętnie wiadomości podane przez innych o wpływach czeskich i inwentaryzuje niejako zabytki, których liczba dochodzi 13. Z tej liczby należy odliczyć 9 utworów, gdyż inni wykazali już dawniej ich zależność od czeszczyzny. Obecnie udowodnił toż samo Dr. Dobrzycki i o czterech pozostałych pieśniach. Wykazuje tedy skrupulatnie czechizmy w „Skargach umierającego“, któryto wiersz jest najprawdopodobniej czeskiego pochodzenia, na co autor zgromadził cały arsenał dowodów. Ponadto udowodniono, że pieśń na Boże Narodzenie „Zdrów bądź królu anielski“ jest przekładem czeskiego oryginału i że ją przetłumaczył mistrz Szekno, Czech z pochodzenia, prof. teologii w Akademii krakowskiej. Równie sumiennie wykazane zostały czechizmy w pieśni postnej „Jezus Chrystus Bóg człowiek“ i w pieśni do Najśw. Maryi Panny „Radości wam

powiadam“. Z porównania tych wierszy polskich, które są przełożone z czeskiego, z ich oryginałami, okazuje się, że większa część utworów należy do pierwszej połowy XV w., niektóre nawet do XIV, do drugiej połowy XV wieku najmniejsza liczba. A zatem piśmiennictwo polskie zapożyczało się u czeskiego w dobie najdawniejszej. A że pieśni te przeznaczone były przeważnie do śpiewu, stąd wniosek, że o tłumaczeniu rozstrzygała potrzeba, a nie poczucie literackie. Bo gdy ludowi potrzeba było dać pieśni religijnych, a oryginalnych nie było, więc tłumaczono czeskie śpiewy nabożne. Ponieważ zaś o tłumaczeniu decydowała potrzeba, tedy tłumacze brali to, co się nawinęło, rzeczy, mające małą wartość artystyczną. Jak wybór oryginałów, tak też i sam przekład był nieszczerze gólny.

Pomimo badań gorliwych prof. Brücknera i Nehringa, kwestya wpływu języka i literatury staroczeskiej na staropolską nie jest jeszcze wyczerpana. Dopiero gdy się zbada dokładnie glossy, a dalej zabytki prozaiczne, jak Biblię Szarospatacką i wiek XVI, w którym wpływ czeski działał jeszcze, wtedy można będzie uważać sprawę całą za załatwioną.

St. Z.

**Kazimierza Brodzińskiego „Wspomnienia mojej młodości“** i inne urywki autobiograficzne wydał i wstępem opatrzył *Prof. Józef Tretiak*. W Krakowie. Spółka wydawnicza polska. 1901. (W 8-ce, str. 88 i 1 kt.

Nie szczęściło się autorowi „Wiesława“ w życiu, nie oszczędził też los jego spuścizny. Nie chce się wierzyć, ażeby ten poeta nie miał dotąd krytycznie przysposobionego wydania pism, ażeby nie doczekał się dotychczas naukowo opracowa-

nej monografii. Mamy wprawdzie obszernie o nim dzieło K. Arabazina, napisane w języku rosyjskim, mało komu u nas znane, mamy dalej parę znakomitych rozpraw ś. p. dra Zdzisława Kordyńskiego, ale całokształtu życia i prac Brodzińskiego nie dał nam nikt z polskiej strony. Podobne też *fatum* zawisło i nad „Wspomnieniami mojej młodości“, których dziwne koleje opowiedziane zostały przez wydawcę we wstępie. Prócz „Wspomnień“ wydano tutaj urywki z dziennika Brodzińskiego z r. 1813 i urzędową jego autobiografię, — wszystko poprawnie po raz pierwszy. Co się tyczy wartości „Wspomnień“, to mają one ją nie tylko dla biografa Kazimierza z Królówki. Kresłone nader barwnie, pięknie, z wdziękiem i zamilowaniem, mogą stanowić dobrą lekturę dla każdego. Dla młodzieży zwłaszcza szkolnej są one bardzo odpowiednie, gdyż mogą ją nauczyć, jak należy czuć, jak żyć i mozolić się, jak kształcić serce i umysł tem, co dobre i szlachetne, jak o własnych siłach iść przez życie — nigdy fałszem ani obłudą, lecz prawdą i otwartością.

St. Z.

#### Studia i szkice historyczne. Serya II. *Fr. Rawita Gawroński.*

Studia i szkice historyczne, forma dzieł historycznych ostatnimi dopiero czasy wydoskonalona, a w procesie tworzenia historii nader ważna, mają dziwny urok. Rzucają snop światła nie na całokształt ubiegłych dziejów, ale na jedną jakąś postać, na jedną chwilę, na jedną instytucję, na dzieje jednej miejscowości, a ten jeden szczegół, choćby sam przez się nie był doniosły, pozwala historykowi żywcem uchwycić dawne stosunki, pojęcia ludzi i charakter

czasu, jednym słowem to, co nadaje historii koloryt i życie.

Ten urok mają po części przynajmniej i ostatnie szkice p. Rawity Gawrońskiego. Występuje w nich jak żywa, ciekawa postać Filipa Orlika, nieuznanego hetmana kozackiego, następcy Mazepy, zręcznego intryganta, wicherzącego po całej Europie od Sztokholmu do Konstantynopola i od Paryża do Petersburga. Znajdujemy tam wspomnienie o dawno zaginionych a mało znanych instytucjach, jak prawie bartnem, siabrostwie, sądach kopnych, albo też, śledząc losy jednej rodziny, wglądamy jużto w stosunki panujące w XVIII wieku w społeczeństwie kresowem, jużto w metamorfozy, jakie wielkie fortuny na Rusi przebywały. W „Ludwice Śniadeckiej“ i »Kilku słowach o rodzinie Tarasa Szewczenki“ daje nam szan. autor niezbyt doniosłe, ale zawsze ciekawe szczegóły do historii literatury. Jednym słowem „Studia i szkice“ są książką ciekawą, dla historyka bardzo pożyteczną.

Szanownemu autorowi możnaby tylko dwa błędy wytknąć, które wartość jego książki potrochu obniżają i nie pozwalają czytelnikowi całkiem miłego odnieść z niej wrażenia.

Najpierw forma jest może nazbyt pobieżna i niewykończona. P. Gawroński jakby od niechcenia rzuca na papier szczegóły tak, jak je w źródłach odnalazł. Tu i ówdzie trafi się nawet błąd językowy, jak np.: nie trzeba było podsuwać czytelnikom sądy nie umotywowane, i t. p.

Powtóre razi nieco u szanownego autora pewne pretensjonalne zamilowanie do prostowania drugich z domieszką ironii i lekceważenia,

a to o rzeczach doprawdy nieraz zbyt drobiazgowych. Przebija to najwięcej w „Poglądzie na historię rolnictwa w Polsce” i przypiskach do „Ludwiki Śniadeckiej”. Każdy autor szkiców historycznych do autora historii jest w stosunku jak zbieracz kłosków do żniwiarza. Że zbieracz kłosków lepiej pole oczyści jak żniwiarz, tego z góry spodziewać się można, ale lekceważenie żniwiarza byłoby co do niego co najmniej nie na miejscu.

J. R.

**Dziesięć dni dyktatury.** *Aleksander Zdanowicz.* Gorlice. 1901.

Króciutka ta broszurka odsłania znowu parę szczegółów więcej z dziejów powstania w roku 1863. Autor, jak sam się zastrzega, nie ma pretensyi do historyka, chce tylko, przy pomocy pamięci i nielicznych notatek, rzucić rys nieszczęsnej dziesięciodniowej dyktatury Langiewicza. Sylwetka dyktatora wcale korzystnie w tym szkicu się nie przedstawia — przeciwnie, charakter to małostkowy, zarozumiały, ambitny bez granic, który dla dogodzenia swej próżności, nawet sprawę ojczystą poświęcić potrafił. Przytem pan Zdanowicz pierwszy odchyła trochę zasłonę, kryjącą przeszłość głównego wodza powstania styczniowego.

W. R.

**Książę Adam Czartoryski w czasie powstania listopadowego.** *Lubomir Gądon.* Kraków. 1900.

Jednym nie tylko z najszlachetniejszych ale zarazem najpotężniejszych umysłów w naszych dziejach ostatniego stulecia jest niezaprzeczenie książę Adam Czartoryski. Dlatego ogromną powinniśmy czuć wdzięczność dla p. L. Gądona za krytyczne wydanie listów księcia z epoki

powstania listopadowego. Listy te, pisane do żony i generałów dowodzących armią, ukazują nam ówczesnego Prezesa Rządu Narodowego w stosunku do rodziny i do ojczyzny. Dla rodziny czuły i serdeczny, stawia ją jednak na drugim planie, na pierwszym zawsze figuruje u niego sprawa narodowa i jej pomyślność. Korespondencya ta, opatrzona krótkim historycznym przeglądem wypadków politycznych z roku 1830/31, jest dla każdego badacza powstania listopadowego wprost niezbędną.

W. R.

**Henryk Dąbrowski, twórca legionów.** *Klemens Kołaczkowski.* Kraków. Spółka Wydawnicza. 1901.

Szlachetną, całą ojczyźnie oddaną postać twórcy legionów widzi się przed sobą jak na dłoni, po przeczytaniu powyższego dziełka. Autor bowiem ze zwykłą sobie skrupulatnością opisuje życie Henryka Dąbrowskiego, od lat najmłodszych aż do zgonu. Towarzyszy mu przez wszystkie wypadki historyczne (których obrazy kreśli bardzo obszernie i zajmująco) aż do grobu, wszędzie w drobne nawet szczegóły wglądając. Ze względu na to, że monografia ta powstała na podstawie wspomnień autora i rozmów z samym Dąbrowskim i że posiada wszystkie zalety Kołaczkowskiego jako pisarza, tj. ścisłość, przejrzystość i sumienność w badaniu, zaliczyć ją wypada do książek nie tylko użytecznych, ale i ważnych.

W. R.

**Wspomnienia Jenerała Klemensa Kołaczkowskiego.** Księga IV. Kraków. Spółka Wydawnicza. 1901.

Księga czwarta „Wspomnień” obejmuje czas od wybuchu powstania listopadowego aż do mianowania

Dembińskiego gubernatorem Warszawy, tj. od 29 listopada 1830 do 4 sierpnia 1831. Cały ten czas opisuje Kołaczkowski wiernie, kreśląc wszystkie obrazy jasno i przedstawiając każdą drobnostkę w oświetleń swych własnych oryginalnych zapatrywań. Nie rzuca jednak słów na wiatr, ale każde twierdzenie stara się udowodnić i wykazać słuszność swego zdania, co sprawia, że książka, pisana przytem równym i potoczystym językiem i tchnąca głębokim patryotyzmem, zostawia po sobie nie tylko miłe wrażenie, ale także głębsze pojęcie o umyśle autora.

W. R.

**Rozbiór Irydyona.** *Prof. Jan Wilkosz.*  
Nowy Sącz. 1900.

O broszurce tej, przeznaczonej wyłącznie dla młodzieży szkolnej, śmiało powiedzieć można, że zadanie swe spełniła. Autor bowiem w sposób bardzo przystępny rozebrał szczegółowo a zwięźle Irydyona, wykazując wszystkie jego zalety. Po obszernym wstępie, w którym zastanawia się nad genezą utworu i dokładnie nam wyjaśnia, przechodzi po kolei rozdział po rozdziale, streszczając i wyjaśniając znaczenie nie tylko każdej sceny, ale każdego niemal słowa. Rozbiór ten grzeszy jednak pewnem zamieszaniem i nieporządkiem, powstałym wskutek ciągłego wplatania wyjaśnień w streszczanie samego utworu. Charakterystyki również pozostawiają wiele do życzenia, o ile bowiem Masynissa, Elsinoe i Helio-gabal (któremu daje autor zawsze historyczne imię Eleagabala) są bardzo dokładnie zcharakteryzowani, o tyle charakterystyka najwięcej skomplikowana i trudna, bo Irydyona samego jest niedokładna i rozrzucona po całym dziełku, wskutek czego

dokładnego obrazu czytelnikowi dać nie może. Zaprzeczyć jednak się nie godzi, że przy ogólnym braku pomocniczych książek dla młodzieży szkolnej, broszurka ta ma znaczenie i jako taka, mimo swe usterki, wszędzie polecana być powinna.

W. R.

**Defensor fidei.** Sztuka historyczna w 4 aktach. *Jan Aleksander Urban-ski.* Rzeszów. 1901.

Chorobą, chronicznie grasującą wśród naszych młodych autorów, jest porywanie się z motyką na słońce. Przysłowie *ne sutor supra crepidam* znajduje bardzo rzadko zastosowanie, jakie to zaś skutki pociąga za sobą, najlepszym dowodem jest *Defensor fidei*. Akcja tej „sztuki“ rozgrywa się na tle odsieczy Wiednia, a tytułowy bohater, to król Jan III. W akcie pierwszym widzimy machiawelskie narady nuncyusza i posła cesarskiego nad tem, jak króla skłonić do dania skutecznej pomocy zagrożonej stolicy cesarstwa. Zgadza się obaj na to, że trzeba błagać króla o osobiste dowództwo nad armią. Proszą go więc, a bohaterski pogromca Turków z ochotą staje na czele wyprawy. Wojska polskie idą pod Wiedeń, gromią pohańców i doświadczywszy niesprawiedliwości ze strony Niemców, miasto wrócić do domu, ścigają wroga aż na Węgry.

Obok tej głównej alluzji jest druga, w której naturalnie Amor rej wodzi. Oto porucznik husaryi królewskiej, Zwierzchowski, kocha się w swej dalekiej krewniaczce, pannie Jadwidze Krasnohorskiej, o której rękę ubiega się również Imci pan Świerzyło. Porucznik, bojąc się w czasie swej nieobecności intryg Świerzyły, wysyła narzeczoną pod opieką swego przyjaciela Boncoura do klasztoru

w Bernie, aby tam przeczekala wyprawę. W drodze jednak porywają Tatarzy piękną Jadwigę, a Boncour ucieka pod Wiedeń i opowiada Zwierzchowskiemu o całym nieszczęściu. Król, dowiedziawszy się o tem, pociesza nieszczęśliwego porucznika, twierdząc, że Jadwiga, będąc tak piękną, musiała się dostać w ręce Kara-Mustafy; niech więc jutro z chorągwią swoją uderzy w centrum tureckiego obozu, a z pewnością ją tam znajdzie. Tak się też dzieje i dzielny porucznik znajduje na drugi dzień swoją narzeczoną ocalałą i niepokutną dzięki zawiści Kara-Mustafy i Hana.

Przeczytawszy tę „sztukę“, zastanowić się należy, kto jest właściwie bohaterem: Zwierzchowski, czy król Jan? *De facto* żaden, ale raczej Zwierzchowski, aniżeli ten, którego nam tytuł wskazuje. Za porucznikiem bowiem przemawia przynajmniej jakieś zawikłanie, stare jak świat, z oklepanymi, do znudzenia powtarzanymi motywami i efektami, (*vide* Sienkiewicz) ale bądź co bądź zawikłanie, za Sobieskim zaś tylko tytuł. Akcyi niema prawie żadnej, (ogranicza się chyba do tego, że każdy akt gdzieindziej się odbywa) wężła dramatycznego ani śladu. Król, postanowiwszy i obiecawszy bronić Wiednia, spełnia to, nie zważając na przeciwności Niemców, (o których tylko przez trzecie osoby się dowiadujemy) a na zarzuty opo-

nentów odpowiada tymi samymi ogólnikami. Charakter żaden nie jest zarysowany silniej, jaśniej, wszystkie osoby to marynetki, poruszające się w takt, wybijany ręką autora. W inscenizacyi zaś dzieją się rzeczy wprost cudowne, np. na Kahlenbergu Sobieski zapowiada, że spocznie parę godzin (str. 50) i wychodzi, potem następuje 12 wierszowy monolog Zwierzchowskiego, w ciągu którego dnieje i ukazuje się w tyle sceny ołtarz, przy którym król (już wyspany naturalnie) pasuje syna na rycerza. Jeszcze cudowniejszą jest noc w obozie tureckim. Na początku aktu dowiadujemy się, że jest północ (str. 54), a przy końcu aktu już jest po bitwie. W dalszy rozbiór zalet tego utworu zapuszczać się nie chcemy. W. R.

#### **Myśli rymowane. I. K. Kraków. 1900.**

Jest to zbiorek ulotnych i okolicznościowych wierszyków, niczem się zresztą nie odznaczających. Jest w nich dość poprawna forma, ale nie tak wyrobiona, żeby zasługiwała na pochwałę, jest gdzieś tam myśl jakaś piękniejsza, ale na palcach policzyć można miejsca, w których uczucie żywiej się odezwie. Na całym zbiorze znać dyletantyzm, przebijający z każdego prawie wiersza, dyletantyzm, który mimo całej swej pracowitości, nigdy talentu zastąpić nie zdoła.

W. R.

# SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

## Sprawy Kościoła.

TERAŻNIEJSZE  
ZAMIARY  
WOLNYCHMULARZY WE FRANCYI.

Nie łatwo w obecnej chwili zdalby sprawę z biegu wypadków w Kościele, kto nie chciałby ich oglądać w związku z uchwałami, powziętymi na wolnomularskim wiecu ostatnim. Zwróciły na to uwagę pisma katolickie zachodnie i po pilnym przeglądzie owych uchwał dochodzą do wniosku, że wolno-mularstwo postanowiło już przyspieszyć kroku na drodze prześladowczej i nie spocząć, nie szczędzić wysiłków, póki mocarstwa nie pozbawią Kościoła wszelkiej opieki, swobody, praw i nie zerwą z Kościołem wszelkich stosunków urzędowych. Stan Kościoła taki, jaki panuje w Stanach Zjednoczonych, nie odpowiada jeszcze myśli Wielkiego Wschodu, bo tam rząd przyznaje Kościołowi Powszechnemu stanowisko równie poważne i poniekąd urzędowe, jak wszelkim innym wyznaniom. Wielki Wschód dalej sięga w swoich uchwałach i jeśli jego praca odniesie skutek, tedy Kościół Powszechny straci stanowisko, uznane urzędowo przez państwo, pozostanie bez żadnej na ziemi podpory i powagi zewnętrznej, bez władzy doczesnej i pomocy ramienia świeckiego, bez głosu i wpływu ziemskiego i jakby wywołaniec ze społeczeństwa zjedzie na żywioł obojętny i nieznaczny w rozwoju świata, na czynnik bez sił, nim w końcu upadnie i zniknie bez śladu.

Te nadzieje wolnych-mularzy ściśle wynikają z ich poglądu na Kościół, jako na dzieło ludzkie, więc w ludzkiej głowie poczęte, ludzką troską pielęgnowane, na ludzkiej potędze oparte i przeznaczone na zagładę, kiedy oświata powszechna przetnie żyły, któremi Kościół czerpie swoją moc z ludzkiej głupoty. Postęp wiedzy okaże rodowi ludzkiemu w Kościele samozwańczego stróża dogmatów niezrozumiałych i obyczajów niewygodnych dla wolnych dusz. Na tym poglądzie opiera Wielki Wschód swoje zamiary i przeprowadza je po porządku jeden za drugim. Cały wiek ubiegły widział pochód myśli zwróconej przeciw papiestwu, aby usunąć je z widowni w państwowym ustroju Europy. I Francya podała rękę usłużną do dzieła. Wstęp wieku widział jednego Napoleona, który otwarcie burzył państwo kościelne i z jego stolicy wyprowadzał papieża; u schyłku wieku drugi Napoleon udawał obrońcę państwa kościelnego, ale przez pomoc, daną Piemontowi przeciw Austrii, wprowadził wolnych mularzy na stolicę Włoch zjednoczonych. Dzięki tedy francuskiemu duchowi wolnomyślnemu wiek XX-y widzi Głowę Kościoła pozbawioną korony świeckiej i wita ciąg dalszy wypadków, które coraz szybszym biegiem mają dążyć do zagłady krzyża, jako godła wiary i żywota chrześcijańskiego, ani ustać w rozpędzie nie mają przed ostatecznem zwycięstwem, kiedy Kościół zniknie z widowni w przyszłym ustroju społecznym.

Nie nam dano przesądzać z jakim skutkiem Wielki Wschód wysili swoją potęgę i w ilu państwach zdoła odebrać Kościołowi byt jawny. Bóg jeden wyznacza godziny, kiedy krzyż nieknie, czczony skrycie w podziemiach, kiedy widzi chwałę ze szczytu wież kościelnych. Kielnia dziś strąca krzyż we Francyi całej i w rozsadnikach wiedzy wyzwolonej, w wielu uczelniach austriackich niższych i wyższych i w Peszcie; od krzyżów począwszy, usunąć zamierzają bezwyznaniowcy wszystko, co na zewnątrz przyczynia blasku Kościołowi: ustać tedy ma urzędowa ochrona nabożeństwa przed zniewagą czynną, ustną albo piśmienną; ustać powinny uroczyste obrzędy i pochody z pieśniami pobożnemi przez ulice; stracić musi duchowieństwo prawo do zakupna majątku; wyjść powinno prawo, żeby każdy niedo-



wiarek mógł z kaznodzieją na mównicy wszechynać spór i zbijając jego wywody; również zakonników trzeba ustawą zmusić, żeby zmienili tryb życia przeciwny wrodzonym popędom; ustać mają przeszkody małżeńskie, zaprowadzone przez Kościół, a nastąpić powinien wolny rozwód; pozamykać należy zakłady wychowawcze, gdzie katechizmowe zasady uciskają młode umysły; odebrać trzeba duchowieństwu odrębny strój, albo pozwolić wszystkim mężczyznom i kobietom chodzić w sutannach i habitach; wiele nakoniec podobnych pomysłów ma zyskiwać moc prawną w jednym państwie po drugim.

NOWE ZAMYSŁY  
PRZECIW  
DUCHOWIEŃSTWU  
WE FRANCYI.

Wobec takich zamiarów nie mógł Wielki Wschód uważać dzieła za skończone, kiedy rozpędził zakony we Francyi. Widzi w tem jedną tylko bitwę wygraną, ale bez tej chwały, jakiej pragnął. Społeczeństwo francuskie ogółem nie przyklaskiwało uchwale o zakonach, nie usiłowało ich odjazdu przyspieszyć wybuchami nienawiści, czynnemi zniewagami, albo burdami przed domem zakonnym; a kiedy chwila odjazdu nadeszła, nie motłoch odprowadzał na dworzec zakonników z przekleństwem i sykiem, ale tłumy nieraz gęste z doborem towarzystwa na czele otaczały jak dobroczyńców niewinnie skrzywdzonych, tych zakonników, którzy skromnie prosili, żeby ich przyjaciele powściągali objawy czci i wdzięczności za ich prace. Ale prośby nie skutkowały: płacz i błogosławieństwo tłumów żegnały tułaczy, a po ich odjeździe długo prasa zapisywała głosy oburzone na rząd, nikt nie widział wesółych uczt, odprowadzanych z powodu zwycięstwa wolnychmularzy. Słowem, zwycięstwo, witane prawie ogólną żałobą kraju, niechlubnie wypadło dla prześladowców Kościoła, którzy z gniewem musieli wyznać, że Francya dotychczas nie dość dojrzała umysłowo, aby ocenić dobrodziejstwo, jakim ją obdara strata tysiąca kilkuset miłośników krzyża zakonnego. Trzeba tedy z nowym nakładem sił ruszyć do dzieła i skuteczniej odchrześcijaniać społeczeństwo. Popłynęły stosowne przepisy rządu: członkom rozproszonych zakonów nie wolno wykonywać urzędu kapłańskiego, chyba w tej diecezyi, z której są rodem, jeżeli

nadto w tej samej zostali wyświęceni; inaczej muszą zaprzestać pracy kapłańskiej, a jeżeli jej nie zaprzestają, grozi im rozprawa karna przed sądem. W ostatnich dniach tę rozprawę wytoczył rząd Jezuitom, którzy nie pierzegli przed ustawą i dalej głosili słowo Chrystusowe. Dziwna rzecz, że już przed kilku miesiącami *Słowo Polskie* znało myśl rządu wolno-mularskiego i pisało (nr. 469 r. 1901), że ku wielkiej rozpaczycy klerykałów wydał minister sprawiedliwości cyrkularz z przestrogą przed różnemi sztuczkami zakonników, bo szczególnież Jezuici, zmieniwszy strój, pozostają bezkarnie, wygłaszając swoje nauki; przyjaciele „prześladowanych“ dziwią się, że ludność tak spokojnie znosi barbarzyńskie jarzmo „tyranów“. Aby dowieść, że rząd nie zamyśla prześladować nikogo, zakony, które podały prośbę o prawo pobytu, dostają odpowiedź odmowną, a tymczasem na rozproszone już zakony pisma wolnomysłne w różnych krajach, u nas *Słowo Polskie* i oczywiście wyznawcy socjalizmu miotają zarzut, że odjazd zakonów z Francyi dowodzi u nich ducha buntowniczego, bo gdyby spełniały po obywatelsku obowiązek posłuszeństwa względem władzy, podałyby prośbę w myśl obowiązującej ustawy. Ścigać tedy trzeba tych rokoszan po całym świecie: odmówić im opieki na wschodnich misyach, choćby z oczywistą ujmą dla dobra Francyi na Wschodzie, i rozesłać zauszników, aby we wszystkich krajach usposobić rządy przeciw włóczęgom francuskim. Zatem przeciw tułaczom powstał hałas w całej Europie: setkami podpisów anglikanie oświadczyli w Londynie, że nie chcą między sobą widzieć wywołańców z Francyi; za Anglią zabrał głos nawet mały parlamentek w Jersey; w Hiszpanii musiał rząd ustąpić nieprzyjaciółom zakonów; w Portugalii nieraz lud kamieniami witał okręty z wygnańcami i zmuszał je do odwrotu; w Niemczech i Belgii, w Austrii, Szwajcaryi, we Włoszech i nawet w Turcyi od sułtana zakonnici tułacze otrzymali albo stanowczy zakaz pobytu, albo prawa możebnie najmniejsze. Uchwała w tej mierze przyjęta na wiecu wolnych mularzy znalazła dość potężnych wykonawców, aby w całej Europie i aż nad brzegami Bosforu ścigać zakony.

Taka potęga nie mogła w samej Francyi bezczynnie spoglądać na stan duchowieństwa. Poszły coraz nowe wnioski w Izbie posłów, które na każdym polu żądały rozdziału między państwem a Kościołem. Wnioski te mogą wyglądać niemożliwie skrajne w naszych czasach, jeżeli nie pamiętamy przebiegu narad we francuskiej Izbie od kilku lat. Wszak już za rządów Mélina i dawniejszych przedstawiciele Wielkiego Wschodu wysuwali coraz skrajniejsze wnioski przeciw Kościołowi, które na razie brzmiały jak puste pogroźki, niezdolne szkodzić nikomu. Jednak bieg czasu szybko wzmagał ducha przeciw-kościelnego w Izbie francuskiej i wpisał już w księgę ustaw niejeden pomysł, uważany do niedawna za bezsilny wybryk nienawiści ku Kościołowi. Dzisiejsze zapowiedzi kroków prześladowczych wyglądają jeszcze nieprawdopodobnie, a jutro mogą zyskać moc prawną. Wszak w Hiszpanii Wielki Wschód mniej może liczyć na Izbę, niż we Francyi, a przecie tam nie na darmo podniósł hałas przeciw konkordatowi i wydatkom państwa na duchowieństwo: postawił sprawę konkordatu na ostrzu miecza i obciął duchowieństwu ćwierć dochodów odrazu. W Paryżu najszybciej wyznał p. Waldeck-Rousseau, że jeszcze nie uważa chwili obecnej za stosowną do zamachu na konkordat i na ostateczny rozdział między Kościołem a państwem: do tego trzeba społeczeństwo lepiej przygotować.

Więc Wielki Wschód opasuje społeczeństwo coraz ciśniejszem kołem przepisów ministeryalnych, które mają ubezwładnić Kościół na zewnątrz. Marynarka stanowiła dotychczas jedną z najsilniejszych placówek Wiary. Katolicka Bretania i Normandia, jako kraje nadmorskie, dostarczały najwięcej żeglarzy: rybackie chaty zasilają flotę najdzielniejszym majtkiem, starożytne zamki wysyłały zastęp oficerów, głównie po zakonnych zakładach wychowywanych. Stąd przeważna część załogi nadawała okrętom piętno chrześcijańskie: Msza, odprawiana na pokładzie we dnie święte i z początkiem każdej podróży, obrzędy uroczyste w dniach pamiętnych zwycięstwami floty, wywieszane wtedy flagi religijne, dobór książek moralnych po czytelnich okrętowych, pobożne pieśni majtków przy walce z burzą, sło-

wem, cały nastrój ogólny sprawiał, że morska siła francuska zatrzymała na sobie piętno katolickiej potęgi. Minister uznał już porę za stosowną do zapasów z potęgą przesądu: co parę tygodni wydawał nowy przepis, którym jątrzył serca wiernych Bretończyków; nie zważał, że tylko siła Wiary, którą prześladuje, krzepi ich, aby cierpliwie znosili wolnomysłny ucisk sumienia, ani nie dba, że kiedy zdoła majtkom ze serca wydrzeć chrześcijańskiego ducha posłuszeństwa, a wywoła swoimi ukazami rokosz, czy znajdzie czar, którym zażegnałby wojnę domową?

Troska o rokosz katolickiego społeczeństwa przeciw braćiom fartuszkowym nawiedza przecie zwierzchników Łoży i budzi na nowo myśl, która już sto lat temu kielkowała w głowach naczelników rządu republikańskiego. Epoka wielkiej rewolucyi wzięła rozbrat z Kościołem i zaprowadziła cześć rozumu, ale te pogańskie obrzędy zbyt widocznie budziły w narodzie niesmak, aby rząd nie zawrócił z drogi i nie wymyślił czegoś pośredniego między pogaństwem a Kościołem Powszechnym: wielu myśliciele rewolucyi powzięli zamiar, który wówczas mało wydał owoców, ale dziś obiecuje lepszą oddać przysługę rządowi. Pomysł ten polega na tak zwanym we Francyi „narodowym“ kościele, czyli „niezależnym“, jak nazywają Polacy w Ameryce. Rząd pierwszej rzeczypospolitej znalazł między duchowieństwem dość wyrzutków, gotowych przystać na jego rozkazy, byle życie ocalić z pod gilotyny: znalazł też kilku księży gotowych stanąć na czele parafii niezależnych, a nadto jednego, który, wyświęcony przez Jansenistów na biskupa, przyjął zarząd nad niezależną diecezją, utworzoną z tych parafii. Ale ów biskup i jemu podlegli proboszczowie pojęli swoją niezależność w zakresie szerszym, niż pragnął rząd: zarówno Rzymowi podlegać nie chcieli, jak księżde ustaw karnych; przez złe obyczaje ściągnęli na siebie naprzód pogardę społeczeństwa, a następnie wyrok sądowy za występki pospolitych zbrodniarzy. Niepomysłnym dla ówczesnego wolnomularstwa upadkiem zakończony kościół narodowy mógłby zniechęcić teraźniejszy rząd do podobnych przedsięwzięć ale z innych

względów znowu mógłby dogodzić wolnomularstwu w jego zamiarach wyznaniowych: więc już od kilku miesięcy zaprzęta wiele umysłów. Pogłoski w tej mierze dolatują aż zanadto smutne, jeżeli prawdziwe. Rząd nie bez baczonej uwagi zabierał głos przy obsadzie biskupstw i, jak świadomi stosunków twierdzą, dobrał już sobie na niektórych stolicach narzędzia potulne: na tych biskupach polega i na ich pomoc liczy, kiedy wygotuje uchwałę o francuskim kościele niezależnym. Niebezpieczeństwo to nie musi być czczem widmem wyobraźni, uwagi niegodnem, bo poważni czytelnicy *Revue des deux mondes* znajdują w tej sprawie obszerną pracę pisarza, nie skłonnego do wiary w kaczki dziennikarskie, pana Brunetière, który stanowczo przestrzega rząd przed pomysłem kościoła narodowego, jako zamiarem zgubnym dla państwa. Na rozprawę p. Brunetière pośpieszył ktoś z dostojników Kościoła z odpowiedzią, która jeszcze więcej przeraża, niż same poglądy p. Brunetière. Biskup ów wypowiedział swój sąd w rozprawie, wydanej pod napisem: *L'Episcopat français et quelques sollicitudes de l'heure présente*, w której twierdzi z początku, że przestroga dana przez p. Brunetière czerpie swoją powagę zarówno z nazwiska pisarza jak z łamów dziennika, który ją ogłosił; jednak ów czcigodny skądinąd pisarz mniema, że powinien zganić myśl, która natchnęła tę przestrogę, bo na-przód, chcąc rzucić światło na tę sprawę bardzo zawila, można wystawić dusze na niebezpieczeństwo gorszego zamętu pojęć<sup>1</sup>; następnie, jeżeli myśl o kościele niezależnym powstała w głowie oziębłych chrześcijan, tedy biskup gotów prawie życzyć im, żeby zwrócili umysł w tę stronę, bo Kościół narodowy, chociaż w stanie godnym litości, jest jeszcze Kościołem, i oziębli zyskaliby, gdyby tego Kościoła słuchali od czasu do czasu, zamiast zawsze zapominać o rzeczach nadziemskich<sup>2</sup>; nakoniec biskup wkłada

<sup>1</sup> „Et d'abord cette étude est-elle opportune et, par le voeu de repandre dans les esprits quelques lumière touchant cette question fort embrouillée, je crois, ne courez-vous risque de jeter surtout dans les âmes un trouble plus profond?”

<sup>2</sup> „Je me prendrais presque à souhaiter que leurs sollicitudes (des indifférents) se portassent sur le point, car une Eglise nationale, bien que

do rozumu p. Brunetière uwagę, że sprawy kościelne należą do kazalnicy, a do pisarza świeckiego należą utwory literackie albo naukowe, więc niechże każdy Francuz pilnuje porządku i podziału prac przedewszystkiem, a najlepszą odda przysługę ojczyźnie.

Czy pisarz skutecznie odparł pogłoskę, że w episkopacie francuskim rząd znajdzie pomoc dla swoich zamysłów? wszak rząd znajduje w jego liście pasterskim świadectwo, że dla biskupa sprawa Kościoła niezależnego jest zawiła, dla biskupa taki Kościół także jest *une Eglise* i kiedy biskup przeciw wieściom o takim Kościele nie powstaje, to porządny Francuz świecki ma pisać o literaturze albo o czembądz, byle nie o niebezpieczeństwie Kościoła. Bądź co bądź, biskup, mimo poważnych głosów o zamiarach wolnomularskich, zajął postawę dziwnie spokojną i ufą względem rządu.

POGLĄD NA NIEOMYLNOSĆ PAPIEŻA W DUCHOWIEŃSTWIE FRANCUSKIEM.

Czy postawa bezwładnego pionka względem przesładowczego rządu odpowiada pasterzom owczarni Chrystusowej? Na to pytanie nigdzie w Europie biskupi tak nie odpowiadają, jak część duchowieństwa we Francyi. W Hiszpanii, na wieść o naradach w izbie, przeciwnych prawom katolickiego narodu, z różnych stron śpieszyli biskupi do Madrytu i poważnem gronem stanęli przed rządem, aby przemówić w imieniu niezadowolonych synów Kościoła i rząd ustąpił. We Włoszech wolnomularstwo zapowiedziało prawo rozwodowe: zaraz biskupi stanęli na czele milionów, oburzonych zamachem na katolickie prawo małżeńskie i rząd nie śmie wy-

pitoyable, est encore une Eglise et ils gagneraient à l'écouter de temps à autre au lieu d'oublier toujours les choses d'En-Haut“.

<sup>1</sup> „C'est la force d'une nation, qu'au milieu d'elle chacun agisse en sa propre carrière, selon le seul esprit de son état; qu'on y parle en chaire des choses de religion, des lettres ou des sciences dans les salles de cours, de droit à la barre et de politique à la tribune. Quelque intelligence, quelque savoir et quelque éloquence qu'on puisse apporter, hommes et choses ne peuvent que perdre à ce qu'il en soit différemment; attendu que la confusion est l'ennemi de l'ordre, et que l'ordre est le nécessaire ressort de la vie du monde“.

konać rozkazów Wielkiego Wschodu. W Anglii pastory kładli setki podpisów pod prośbą do rządu o wyjątkowe prawo przeciw zakonowi katolickiemu, poparli prośbę wzmianką o klęskach w Transwaalu, w których upatrują karę z nieba za stanowisko życzliwie zajęte przez rząd względem Kościoła Powszechnego wraz z jego zakonami; przed prośbą w tym stopniu natarczywał rząd ustąpiłby, gdyby katolicy biskupi poprzestali na stanowisku biernem, ale katolicy z biskupami na czele stanęli wobec rządu w postawie na tyle stanowczej, że gabinet nie śmiał ich drażnić ustępstwem dla anglikanizmu i odrzucił jego prośbę. We Wiedniu wiec duchowieństwa zarówno jak zjazd biskupów wszystkich trojga obrządków stanowczo objawił rządowi, że austriacki episkopat swojemi piersiami zastawi wiernych przed pociskami bezwyznaniowców. Nasz episkopat pokazuje w osobie prymasa na stolicy wielkopolskiej swoją tarczę, w którą bezustannie godzą strzały wymierzane za wiedzą i wolą rządu protestanckiego, a Rzym widzi w innym z naszych biskupów świadka, że najpotężniejsze na ziemi wpływy nie przeszkodzą spełniać obowiązku biskupowi katolickiemu. Na Rusi Kościół znajduje metropolitę, który, niepowstrzymany żadną obawą, broni swojego duchowieństwa.

Wszystkie te czyny biskupów, nieugiętych wobec rządów, pochodzą z jednego źródła: z nadziemskiej potęgi Kościoła, z ogniska siły w Rzymie, który świeżo upomniał kapituły biskupie w cesarstwie niemieckiem, że im nie wolno z założonemi rękami cierpieć zamachów na prawa Kościoła ze strony władz świeckich. Ta potęga Rzymu, zdolna stawić czoło mocarzom z ich samowolą, wlewa siłę w serca biskupów zespolonych z nią wewnątrz; ale tej wewnętrznej czci dla powagi Rzymu zaczyna brakować wśród wolnomyslniejszej części duchowieństwa we Francyi, która poza swoją ojczyzną i własnym „wielkim narodem“ nie umie nie uznać godnego czci powszechnej i przewodnictwa nad światem. Papież, Włoch, otoczony radą z włoskich monsignorów, może znaczyć coś, jako ostatecznie biskup katolicki na Stolicy Piotrowej, ale czyż inny biskup, równie katolicki jak papież, a choćby nie biskup tylko ksiądz katolicki,

a nadto Francuz, nie może rządzić sumieniami zupełnie po katolicku, bez względu na włoskie poglądy papieża z jego doradcami? Taki pogląd przeziiera w postępkach garstki księży i biskupów francuskich, garstki na szczęście nieznacznej liczbą, ale ruchliwej i śmiałej. Dwóch biskupów, widocznie z pod tej chorągwi, doradziło nieboszczykowi Sołowiewowi, żeby przez długie lata nie składał według przepisu trydenckiego wyznania wiary w prymat papieski i nie przestawał w cerkwi prawosławnej uczęszczać na nabożeństwa i do sakramentów. Taką radą biskupów katolickich zdziwiony Rzym, również zdumiony zapisywał w indeksie dzieł zakazanych książki francuskie, układane przez biskupów albo za ich pochwałą wydawane przez księży<sup>1</sup>. Nie na karb złej woli trzeba kłaść pojęcia nader wolnomysłnie podawane w podobnych radach i książkach, ale trzeba wyznać, że między duchowieństwem francuskim, przywykłym do lekkiej strawy umysłowej, trudno znaleźć naukę równie ścisłą i głęboką, jaką widzimy np. w Niemczech i jakiej wymaga nasz wiek. Doszedł między nimi ów stan powierzchownej wiedzy, zacieśnionej jałowemi formułkami, do tego stopnia, że wydawca pisma *Annales de philosophie chrétienne*, ks. Denis, śmiało sobie poczyną z encyklikami papieskimi i wypowiada o nich sądy, że ta między niemi albo owa nosi wprawdzie podpis Leona XIII, zgrzybiałego już staruszka, ale właściwie napisana przez kardynała Mazellę albo Ledóchowskiego czy Rampollę, nie nosi na sobie znamion powagi nieomylnego papieża; może krępować sumienia poczeiwe, nie zatamuje jednak drogi do prawdy dla badawczego umysłu katolickiego. I liczne grono czytelników we Francyi popiera pisma z takimi poglądami na nieomyślność papieską!

Wobec takiego zamętu pojęć o powadze nieomylnego następcy Piotrowego, można z obawą spoglądać na dumę „wiel-

<sup>1</sup> Dość tu wymienić nowszych np. księdza Ansault: *Le Culte de la Croix*, potęp. 14 lipca 1892; księdza kanonika Chabautyc *Rénovation*, 5 dzieł. potęp. 18 grudnia 1896; księdza Dumoiseau dzieła egzegetyczne potęp. 14 czerwca 1895; księdza Hilaire de Paris o św. Franciszku z Assyżu potęp. 18 czerwca 1895 i t. d.



kiego narodu“, niedość przytarta przez wojnę z Niemcami i zdolną ciągnąć Francuzów na pasku wolnomularskim nad brzeg pochyły, nad niebezpieczną przepaść. Odporna siła katolicyzmu liberalnego bez podpory w Rzymie mało obiecuje dobrego wobec natarczywych napaści masonskich.

WOLNOMULAR-  
SKIE DUCHO-  
WIENSTWO  
W HISPANII.

Rozpętana we Francyi moc wolnomularska wezbrała falą zbyt potężną, aby nie wkroczyć w sąsiednie kraje. Na półwyspie iberyjskim widzimy, według opisów dziennikarskich, obraz stosunków naprężonych i gotowych wywołać lada chwila przewrót doniosły w rozwoju Kościoła. Zwłaszcza w Hiszpanii Wielki Wschód uporeczywie pracuje nad wybuchem zamieszki powszechnej, któraby zmiotła z widowni Kościoł. Starożytne katedry obracane w kupę zgłiszczą ręką podpalaczy, pochody tłumów po ulicach z bezbożnemi śpiewkami na ustach, krwawe napady na lud zgromadzony przy uroczystych nabożeństwach albo jubileuszowych procesyach, zbiegowiska gawiedzi, urządzone przed klasztorami z pogrózkami śmierci dla zakonników, huczne uczty dla pospółstwa, urządzone w rocznicę prześladowczych dla Kościoła uchwał, wydanych za rządów poprzednich, namowy coraz częstsze motłochu, żeby przemocą poodbierał zakonnikom ich domy i obrócił je na pożytek lepszy, niż schronisko nieuków w kapturach, zapowiedzi coraz skuteczniejszych środków przeciw urzędowemu stanowisku duchowieństwa, posyłane biskupom w listach odkrytych: wszystkie te objawy pracy Wielkiego Wschodu śpieszą jedno po drugim, kiedy Hiszpania przebywa chwilę wewnętrznego rozkładu, kiedy bezrobocia wybuchają kolejno w każdym ognisku ruchu przemysłowego, kiedy młodzież po szkołach i wszechnicach staje śmiało pod chorągwią rokoszu, a przedstawiciele władzy nie czują przy sobie wiernego wojska, aby stawić czoło żywiołom przewrotu; król nie śmie swobodnie wychodzić ze swoich pokoi na zamku i niedawno doniósł Edwardowi angielskiemu, że nie zjedzie do Londynu na jego koronację, bo (jak twierdzą dzienniki) nie wie, czy mógłby z powrotem znaleźć dla siebie miejsce w Hiszpanii. Na tło takich stosunków,

jakby na pokłady suchego paliwa, rzucają wolni-mularze iskrę rozżarzonej nienawiści ku Kościołowi; trudno nie przewidywać groźnego pożaru, który odnowić może dla Kościoła w Hiszpanii dobę smutną i pełną następstw nieobliczalnych.

Na tle powyższych szczegółów można osądzić ten i ów głos wolnomyślny o Hiszpanii.

*Słowo Polskie* w nr. 520 porannym umieściło o półwyspie iberyjskim kilkadziesiąt wierszy godnych wzmianki, nie jako bezstronny opis stosunków, ale jako wyraz uciechy z powodu plonu, spodziewanego po siebie zasad wolnomularskich w Hiszpanii i Portugalii. Że z tej uciechy niejedno słowo w powyższym ustępie wyleciało nie do rzeczy, to nie uwłacza takiemu piśmisku jak *Słowo Polskie* przy jego opisie kościelnych stosunków w krajach dalekich. Oczywiście, nie potrzeba dawać odprawy takim opisom, i owszem, można służyć wskazówką, że jeżeli *Słowo Polskie* pragnie szerzej w swoim duchu opisywać stosunki hiszpańskie, wtedy może do jaskrawszych obrazów czerpać barw np. z tygodnika *El Urbion*, którego redakcyja przewodniczy katolikom hiszpańskim w ich ruchu przeciw jezuityzmowi i owładniętemu przez jezuityzm papieżstwu. Na czele tej redakcyi, złożonej — jak twierdzą — z nieszczęsnego grona duchownych, stoi ks. Zygmunt Pey-Ordeix, godny brat fartuszkowy i gorliwy szerzyciel poglądu, że Hiszpania znajduje w jezuityzmie główną przyczynę swoich nieszczęść, więc że potrzebuje odrodzić ducha w sobie i religię u siebie odnowić, na tle wprawdzie katolickiem, ale oczyszczonem rdzennie z despotyzmu politycznego i duchowego, czyli jezuityzmu, a wtedy kraj odżyje pomyślnie. Aby rozwinąć ten pogląd szerzej, niż można w tygodniku, Don Sigismundo wydał niedawno w Barcelonie dzieło pod napisem *Crisis de la Compania de Jesus*, znakomitą zbrojownię do walki przeciw Jezuitom. Mnogie zastępy czytelników rozchwytyją to dzieło, aby zdać sobie sprawę z powodów, dla których obecnie wolnomularstwo tak gorliwie przepędza Jezuitów z kraju do kraju. Również Hermann Meyer wydał w Paryżu wiekopomną pracę *Les origines de la Compagnie de Jesus*, która uzupełnia poglądy księdza Pey-Ordeixa. W obu tych dziełach hiszpańskich

albo francuski czytelnik znajduje ciekawą i cenniejszą prawdę, niż nawet w niezrównanych przygodach tysiąca i jednej nocy. Więc znajdzie dowody, że Ignacy Loyola napisał Jezuitom ustawy w duchu mahometańskim pod wpływem herezyi mistyków, zwanych *Alumbrados*; również mogła wywrzeć jakiś wpływ na te ustawy młoda wdowa po królu Ferdynandzie katolickim donna Germana de Foix, o której rękę starał się Ignacy; na koniec nie mogły bez wpływu na te ustawy powstać długie rozmowy, na których Ignacy jeszcze szesnastoletni spędzał czas z mistrzem machiavelizmu, sławnym Cezarem Borgią, który wówczas przebywał w Azpeitia, niedaleko od zamku Loyoli. Wkrótce chorągiew Ignacego zwróciła na siebie powszechną uwagę. Krótkowidze umysłowi, szczególnie wielkie panie przepadały za wojowniczą „kompanią“, ale umysły głębsze zaraz dostrzegły jej niebezpieczne zamysły: więc św. Tomasz z Wilanowy, Melchior Cano, Filip II, święta Teresa, świątobliwy Palafox, a nawet współczesna świętemu Bernardowi święta Hildegarda w swoich prorocत्वach, na koniec najtężsi myśliciele z doby filozofii odrodzonej, przestrzegali świat przed jezuityzmem. Potrwożeni królowie, pogorszone zakony, oburzony Kościół wymógł na Klemensie XIV-ym kasatę tej „kompanii“. Jaką zemstę wywarli Jezuici za kasatę, o tem nowe szczegóły poodkrywał ks. Pey-Ordeix, a między innemi znalazł korespondencyę Karmelity, ojca Antonio de los Reyes, który opisuje dokładnie, jak zbrojni sztyletem i trucizną Jezuici, urządzali schadzki w Bayonnie, w Polsce, w Rzymie, aż na koniec powstali z grobu, wskrzeszeni przez Potemkina, niecnego dworaka Katarzyny II. Dziś trzęsą światem, pełni blasku i potęgi, groźniejsi niż wiele razy dawniej.

Jeżeli w Niemczech, we Francyi i w innych państwach rządy, chociaż niekatolickie, czują się w obowiązku bronić Kościoła przed uciskiem klerykalnym i oczyszczają swoje kraje z zakonów, zarażonych dżumą jezuityzmu, jeżeli po różnych krajach posłowie w izbach stawiają nagłe wnioski przeciw najazdowi włóczęgów z Francyi, a nawet sultan turecki przed nimi zamknął wstęp do swoich krajów, tedy katolicka Hiszpania powinna zapalać gniewem siedmkroć większym przeciw tym

wrogom Kościoła. Te ponure budowle, zamieszkane przez hufce przebranych Loyolitów, przez Marystów i Pie-Pusianów, przez Sodalistów i Kongreganistki, przez panny Niepokalanki i Ser-canki, te ich szkoły i konwikty, które odbierają chleb świeckim nauczycielom i urągają wychowawczym trudom rządu, te ich dzienniki, co wodzą rej w piśmiennictwie, te ich przedsiębiorstwa przemysłowe i przytuliska, które chronią pobożniczki, a innych skazują na chłód i głód, te ich nabożeństwa, które świeckiemu duchowieństwu odbierają dochody, te ich przeskoki w polityce z legitymizmu względem don Karlosa do lojalizmu względem króla Alfonsa, — te ich tajemne urzędy u biskupów, aby śledzić proboszczów, a obłudne przyjaźnie z proboszczami, aby podejść biskupów: to wszystko woła o pomstę do nieba i o czyn stanowczy do hiszpańskiego ludu.

Potem rzuca ten katolicki kapłan kilka razy pędzlem na smutny obraz nędzy w Hiszpanii, — dobitnie określa całą tę nędzę w politycznej dziedzinie, w upadku religii i w zamęciu pojęć moralnych, a kończy okrzykiem, że czas już, aby sęp jezuityzmu przestał szarpać trupa hiszpańskiego; już świta dzień pożądany dla miłośników ojczyzny: wschodzi zalany światłem krwawem, bo straszny wtedy w swoim gniewie naród, kiedy mści swoją krzywdę na zabójcach jego ojczyzny moralnych i materyalnych.

Słowa tak głęboko prześiąknięte miłością prawdy, tak szczerze owiane duchem kościelnym i wysnute ze ścisłych świadectw dziejowych muszą przekonywać silniej, niż widok dobrobytu, który ustąpił miejsca nędzy w Związkach robotniczych, prowadzonych przez klerykałów. Co znaczą plony, zbierane przez demokrację chrześcijańską na głos zachęty papieskiej, jeżeli sam Papież ginie w pętach jezuityzmu? Tym dowodem katolicy antyklerykalni poruszają umysły, które odporne były na hasła wolnomularskie. Dzięki pismom w rodzaju Don Zygmunta wolnomularskie wpływy rosną codzien i cała Hiszpania zaczyna przedstawiać widownię partyzanckiej wojny, prowadzonej przeciw klerykałom. Rząd nie śmie bronić duchowieństwa, na które w czasie pochodów uroczystych spadają razy i spoglą-

dają groźnie wymierzone lufy karabinów. Kocie muzyki pod oknami klasztorów, urozmaicone brzękiem szyb tłuczonych dość często, nie mogą ze spokojnej równowagi wyprowadzić stróżów bezpieczeństwa, którzy nie rozpędzają nocnych napastników, bo rząd nie chce wywołać rozruchów. Wybory do rad miejskich w imię bezwyznaniowych burzycieli okupione już licznie przelewem krwi, rokosze przeciw władzy wszczynane przez słuchaczy wszechnicy, nastrój całego społeczeństwa niepewny, jakby na szczycie wulkanu: to w Hiszpanii dowodzi, że wolnomularstwo posiało dużo kłólu, kiedy katolicy wiedli krwawe zapasy o prawo salickie albo kastylskie. Czy teraz rozpanoszone zastępy wrogów nie odnowią w Hiszpanii ucisku? Czy Francya nie znajdzie za Pirenejami potulnych narzędzi Łoży? Do dziś nie wiadomo.

Trzecie przykazanie Boskie, dotychczas pominięte  
 ZAPOWIEDŹ  
 NOWYCH WALK  
 PRZECIW  
 KATOLICKIEMU  
 RZĄDOWI  
 W BELGII.  
 w ustawodawstwie belgijskiem, a po części wyraźnie odrzucone mocą 15-go paragrafu: — nikogo nie można zmuszać, żeby święcił dnie odpoczynku którego bądź wyznania, — obecnie odzyskało powagę, mimo oporu wolnomysłnych przemysłowców. Parlament przyjął uchwałę, mocą której nie wolno żadnemu właścicielowi przemysłowych przedsiębiorstw zatrzymywać przy pracy nikogo dłużej, niż przez 6 dni w tygodniu, prócz członków własnej rodziny spólnie zamieszkałych — a tym dniem odpoczynku ma być niedziela. Wolnomysłny obóz postanowił żądać zmian w tej ustawie, niegodnej postępu. Zapowiedź walki nie zdziwiła katolików. Od 17-u lat stronnictwo katolickie stało u steru rządu, a nie mogło dotychczas przełamać oporu wolnomysłnego przeciw odpoczynkowi niedzielnemu w urzędach pocztowych. Uchwalona obecnie w szczęśliwej chwili ustawa chrześcijańska musiała obudzić gniew bezwyznaniowców i łatwo może stanowić początek zamachów coraz silniejszych na obecny rząd katolicki. Przewaga tego rządu nad obozem wolnych mularzy nie spoczywa dziś na podstawach równie silnych, jak przed paru laty, za rządów pana Beernaerta. Nie pochodzi to stąd, iżby katolicyzm osłabł,

albo Łoża nabrała większych sił między swoimi zwolennikami, ale na pomoc Łoży wszedł do parlamentu czynnik coraz burzliwszy: gromada socyalistów. Ten nowy zastęp wrogów Kościoła wniósł do izby belgijskiej nowy rodzaj walki, którym zaskoczony rząd traci zapał: jeden gabinet drugiemu powierza chorągiew katolicką, a sam ustępuje, zniechęcony i bezradny wobec nowej broni, za którą chwycili socjaliści, mianowicie hałasem, świstami i pięściami usiłują wywalczyć zwycięstwo dla swoich wniosków. Za tę broń pierwsi chwycili bezwyznaniowcy, kiedy nastąpiła doba rządów katolickich pod wodzą pana Thibaut, starszaka, który ustąpił z urzędu po pierwszej przeprawie karczemnej, wywołanej przez zwolenników szkoły bezwyznaniowej. Po burzliwych sporach katolickie głosy przeważyły szalę zwycięstwa dla wyznaniowej szkoły, ale Thibaut, wysilony walką odstąpił miejsca panu de Landsheere. Przeciw niemu już socjaliści zaczęli zaprawiać płuca do wrzasków i obelg, ale znowu za jego następcy pana Beernaerta szanowali w izbie porządek. Dopiero przy końcu jego dziesięciolecia wybuchł przeciw niemu socyalizm w sposób godny szaleńców w sanatorium, pijaków na ulicznej bijatyce, albo Wszechniemców podczas obstrukcyi. Gabinet pana Beernaerta, widocznie mniej wyrozumiały na karczemny tok obrad w Izbie, niż ministerskie grona wiedeńskie, ustąpił panu Sodeleerowi, ale i ten mąż stanu ledwo przez rok miał siły do obrony chorągwi katolickiej. Przed paru miesiącami stanął na czele rządu katolik gorliwy, pan Schollaert, były minister spraw wewnętrznych i wyznań, który przeprowadził już jedną z uchwał, najkorzystniejszych dla rozwoju szkół wyznaniowych. Jemu to zawdzięcza najczynniejszą pomoc wiec katolicki, odbyty w Malines, a Louvain, jego rodzinne miasto, błogosławi jego imię jako założyciela związków, które wydobywają z nędzy rolników katolickich. Oczywiście, taki sternik nawy państwowej nie mógł widzieć rozjaśnionych twarzy w połączonych obozach liberałów z przewrotowcami, kiedy przed nimi stanął w Izbie jako naczelnik rządu: czuć było na ławach lewicy nietajony gniew, który miał wkrótce wybuchnąć za pierwszym lepszym powodem. Uchwała o odpoczynku niedzielnym

przebrała miarkę i niedługo potrzebujemy czekać, aż bezwyznaniowe chorągwie powstaną, aby wydrzeć ster rządu ze znienawidzonych rąk klerykała.

Dużo jeszcze roboty zostanie dla wolnomularstwa, choć usunie w Belgii katolika od steru rządu: jeszcze waleń stoi całe duchowieństwo, które nie spogląda tak z góry na przeciwników, jak niektórzy księża z „wielkiego narodu“ francuskiego. Nie przeceniając własnych sił, pracują jak wyrobnicy dla dobra dusz: nie łatwo ustąpią Wielkiej Łoży. Ale i we Francyi Łoża pierwszej zagarnęła ster rządu i nadzór nad szkołami, nim wychowała wśród duchowieństwa swoich popleczników; rzuca teraz w Belgii swoje zastępy przeciw Schollaertowi, aby wraz z jego upadkiem osłabić cały ustrój społeczny i zdobyć w nim wpływ.

ĆWIERCOWIKOWY  
JUBILEUSZ  
BISKUPSTWA STAROKATOLICKIEGO  
W SZWAJCARYI.

Wolnomularska Szwajcarya znalazła nową podniętę, aby ożywić ruch przeciwko Kościołowi Powszechnemu. Pod koniec ubiegłego roku obchodził nieszczęsny ksiądz Herzog w Bernie szwajcarskim swój jubileusz biskupstwa starokatolickiego. Gdyby nie wyrzuty sumienia, które zatruwają spokój serca po odstępstwie od Wiary, ksiądz Edward Herzog dość lekkim krokiem przeszedłby drogę tych dwudziestu pięciu lat, w których rządy nad garstką starokatolików nie mogły ich biskupa nużyć zbyt ciężko. Nie dziw tedy, że najwięcej czasu upłynęło księdzu Herzogowi na pracy pisarskiej. Prócz książek niejako obrzędowych, jak „Modlitewnik“ (1879), „Katechizm“ (1887) i „Nauki pasterskie“ (1886), wydał w tym czasie ks. H. kilka życiorysów swoich współników odstępstwa (Muelera, Klausa, Kaelina), parę rozpraw o odpustach Kościoła Powszechnego, o stanie Szwajcaryi przed początkiem chrześcijaństwa, o swobodzie wyznań, o społeczeństwie Kościołów starokatolickiego i anglikańsko-amerykańskiego, o Leonie XIII-m, jako podporze porządku społecznego i t. d., nadto stał na czele redakcyi *Kath. Blaetter*, a po ich upadku współpracuje stale przy tygodniku, niedawno wspomnianym w *Przeglądzie* — *Révue internationale de Théologie*. Nie dziw, że tyle wolnego czasu zbywa starokatolickiemu biskupowi z jego prac pasterskich: jak przy-

pomina Pays z Bratruth (Porzentrug), zjazd starokatolicki 14-go czerwca r. 1874-go postanowił sobie obrać biskupa nie na przewodnika, ale na liezmaną, któregooby pokazywali chłopom, przyzwyczajonym widzieć nad proboszczem biskupa. Na dowód służyć może ultraliberalny dziennik *Basler Nachrichten*, który dokładnie opisuje przebieg obrad na tym zjeździe i przytacza poszczególne głosy mówców, między innymi takie, jak Gareis'a, który polecał obór biskupa, jako dostojnika nieszkodliwego i tylko pierwszego urzędnika rady synodalnej; Gschwind znowu objaśniał, że biskup jest złem koniecznem, ale można zcieśniać jego wpływ, obierać biskupa na czas dowolny, nie wprowadzać nawet dla niego nazwy biskupa, tylko arcykapłana; Dietschi i Lochbrunner zwracali uwagę, że choć miasta nie potrzebują biskupa, ale starokatolicyzm traciłby powagę na wsi bez wyższego dostojnika kościelnego; Bard i Keller wykładali, że biskup obieralny na parę lat więcej pomoże, niż zaszkodzi. Słowem 38 głosów przeciw 27-u postanowiło zachować z powyższych powodów posadę biskupią w starokatolicyzmie.

Na tej tedy posadzie płynęły spokojnie na zewnątrz dwie księdzu Herzogowi nad książką i korektami, a z biegiem lat wzrost dyecezyi nie zwiększał jarzma na jego barkach, bo dyecezya, zamiast rósć, malała z roku na rok według *Univers'a*, który przywołuje świadectwo statystyk urzędowych. Więc wygodnie i spokojnie mógłby dożywać swojego żywota i czekać grobu zarówno biskup starokatolicki jak jego Kościół, gdyby prąd przeciwkościelny nie umyślił w haśle starokatolickiem nowego taranu przeciw Rzymowi. Stał tedy starokatolicyzm do pary z protestantyzmem, ale nie znalazł w składkach pieniężnych dostatecznej ponęty dla katolików; usiłował pobudzić serca do hojniejszych składek i wołał w berneńskim *Deutsches Blatt*: „jeśli w ruchu „z Rzymem precz“ niema nastać przerwa, równoznaczna z jego upadkiem, tedy musimy wołać do współwyznawców: pomóżcie nam!“ Ale środki te nie wystarczały: trzeba było powagi na czele hufców starokatolickich: więc jak Doellinger znalazł opiekę rządów, aby odstraszyć katolików od papieża nieomylnego, tak Herzog nie mógł z powodu swojego



jubileuszu nie odebrać tysięcznych słów zachęty, aby w drugiej ćwierci wieku na urządzie dokazał dzieł znacznych na polu walki przeciw papiestwu. Brzękły tedy struny pochwalne na cześć ćwierćwiekowego biskupstwa i poruszały wszelkie pobudki, które mogły między starokatolikami dostarczyć zastępów, ożywionych myślą *Los von Rom*. Pobudki te nie przebrzmiały bez odgłosu w sercach słuchaczy. Poszły na całą Europę nowe hufce na zdobycz świata katolickiego; za broń chwytali każdy, jaką znalazł najdogodniejszą: np. proboszcz Fork wystąpił ze sumą w sali ołomunieckiego towarzystwa szermierzy niemieckich, śpiewaną po niemiecku, aby, — jak ogłosił plakatami, — przekonać katolików wolnomyślnych, zwłaszcza kobiety i panny, że im nie potrzeba katolicyzmu klerykalnego, ani nie tracą na ruchu *Los von Rom*, owszem zyskają nabożeństwo odprawiane w narodowym języku. Podobnymi wywodami waleczą inni i liczą już 9000 nowonawróconych z katolicyzmu.

PROTESTANCKIE  
SĄDY O NAUCE  
I WPŁYWIE  
KATOLIKÓW  
W NIEMCZECH.

W krajach niemieckich nie mogą pułki, ożywione duchem Łoży, wyraźnie na chorągwi wypisywać zasady przyjętej na ostatnim wiecu: zbyt wyraźnie te hasła rażą jeszcze niemieckich władców, którzy we Wiedniu, Berlinie, Monachium i na coraz mniejszych stolicach jawnie wyznają jeszcze wiarę chrześcijańską. Więc wystarczy wrogom Kościoła iść na podbój prostaczków z hasłem *Los von Rom*, a dla warstw oświeconych znaleźć w sędziwym Mommsenie przewodcę do walki z Rzymem na polu naukowem. Pracował już Mommsen kilkadziesiąt lat i gromadził drogocenne skarby wiedzy, a z Kościołem Powszechnym jeszcze nie wpadł w żaden zatarg szczególny, tylko tak, z protestanckiego nałogu, uszczypnął czasem dotkliwie uczonych katolickich. Aż nagle nad grobem, jakby ocucony z ospalstwa i wstrząsany ręką ukrytą, chwycił Mommsen za pióro, aby w słowach wcale niedobrych odebrać Kościołowi wszelki głos w sprawach naukowych. „Żaden badacz, skneblowany dogmatami, nie zdoła na tyle widzieć prawdy, aby wyświecić ją na wykładach słuchaczom wszechnicy: więc wszelka myśl o wszechnicy katolickiej sta-

nowi mrzonkę dziecinną!<sup>4</sup> Tej treści wywody popłynęły z pod pióra licznych bezwyznaniowców opartych na Mommsenie, którzy usiłowali przeszkodzić obsadzaniu katedr katolickimi profesorami i w zarodku zdusić myśl o czysto katolickiej uczelni na ziemi niemieckiej w Solnogradzie. Pisarze katolicy nie zaniedbali dać odpawy samozwańczemu wyrokowi, który odsądzał Kościół od pracy na polu ścisłej nauki. Spór rozgorzał nierównie zapalczywiej, niż można było oczekiwać w sprawie, załatwianej, już nie wiedzieć ile razy od pierwszych pojawów filozofii niezależnej. Gdyby obecni zapaśnicy z pod chorągwi Mommsena zamierzali prawdę dokładniej rozstrząsać, a nie z przekory rzucać Kościołowi przytyk nieuctwa, tedy zważyliby starą zasadę, że prawda, czy objawiona, czy zdobyta pracą doświadczalną, albo polotem czystego rozumu, słowem wszelka prawda płynie z jednego źródła, więc żadna drugiej zbijać nie może, ani w jej rozwoju przeszkadzać. Darmo tę zasadę przeciwstawili katolicy uczeni zastępom, podburzonym do nowej wyprawy przeciw powadze Kościoła: Mommsen raczył wprowadzić złagodzić swój wyrok ale mniejsze główki przywódców ruchu przelewają ciągle z próżnego w puste i powtarzają zarzut niezmienny: katolicy nie zdołają prawdy pojąć umiętnie!

Oczywiście cały ten hałas sprawić miał zamęt tylko wśród światlejszych warstw niemieckiego społeczeństwa; dla prostaczków wystarczyło dalej objeżdżać kraje z okrzykiem: Precz ze Rzymem! Okrzyk ten nie stracił wcale i wcale nie straci uroku dla serc, zanadto skrępowanych dziesięciorgiem przykazań, zwłaszcza szóstym. I owszem: jak w szesnastym stuleciu upadek obyczajów usłał drogę gładką nowowiercom, tak dziś nie brak żywiółów, gotowych zarówno jak pan Wolff po cudze skarby sięgać, wbrew zakonom boskim i ludzkim: dla nich brzmi pojętnie hasło: *Los von Rom!*

Hasło to znalazło nawet dziwny za sobą dowód w przygodzie Wolffa: moralny jego upadek ma pochodzić z wpływów jeszcze katolickiego wychowania, więc dowodzi, jak głęboko trzeba z korzeniami wyrwać ze serca Rzym, aby nie upaść,

jak Wolff!... Póki ten główny podżegacz rokoszu przeciw Rzymowi prał tylko cudze brudy rzeczywiste i urojone, póty ruchowi przeciwkościelnemu brakło wyraźnego piętna obłudy; odkąd Wolff dostał swoje piętno na czole, a pomimo tego wyszedł z urny ponownie wybrany, odtąd Kościół nie może ze wstydem spoglądać na tych dziewiętnaście (?) tysięcy, które przeszły na wiarę Wolffa: bo przynosi to Kościołowi zaszczyt, że na jego łonie nie znajdują dla siebie miejsca stronnicy Wolffa i wyznawcy jego zasad. Wszechniemcy podają wymienioną liczbę dziewiętnastu tysięcy odstępców, ale coś płaczą w arytmetyce, bo jeszcze przed kilkunastu tygodniami liczyli o kilka tysięcy mniej, a w ostatnich tygodniach nie zapisywali nowych liczb znaczniejszych. Ale choćby nawet dziewięć-dziesięciu tysiącom godnych Wolffa odstępców otworzyli swoje bramy, aby z wszystkich wyrzutków oczyścić Kościół: dla niego na chlubę i pożytek, a nie na szkodę, wyłapywaliby koszty niesforne.

Nigdzie też szerzyciele ruchu *Los von Rom* nie mówią w kole zaufanem z wielką przechwałką o nabytkach, zyskanych na Kościele Powszechnym, a nieraz, kiedy wzywają protestantów do żywszego życia chrześcijańskiego, wtedy stawiają im za wzór gorliwych wykonawców cnót chrześcijańskich wśród katolików. W Duesseldorfie nad Renem ewangeliccy nauczyciele religii odbyli naradę, jak mają lepiej zaprawiać swoich uczniów do obrony protestantyzmu wobec wpływu katolickich towarzystw. Dr. Lansberg wystąpił ze śmiałą mową, aby wykazać, że dla rozwoju protestantyzmu muszą ewangelickie koła pod wielu względami naśladować dobre przykłady katolików; na dowód przytaczał dr. L. niezliczone zakłady miłosierne i dobroczynne, których protestantom brakuje, jak Siostry miłosierdzia, Bonifratrzy, tercjarska posługa dla ubogich, setki tysięcy zgromadzone w dziele św. Wincentego, związek św. Rafała, chrześcijańskie kółka spożywcze i cechy rzemieślnicze, Maryańskie kongregacye i przeróżnych nazw dzieła miłości. Na to spogląda młodzież katolicka i czuje tętno środowiska chrześcijańskiego. Na to wskazywał dr. L. jako na wzór, na który ma

zwracać oczy młodzież protestancka, aby oceniać te wzory i temi śladami iść, a nie rósć w nienawiści, przez którą protestanci nie nie wskórają.

Śmiałym występem dra L. oburzeni uczestnicy zjazdu odebrali głos mowcy, niezdolnemu ocenić dobrodziejstw nauki Marcina Lutra. Ale wkrótce czytali w londyńskim piśmie *Illustrated Catholic Mission* pod napisem *West-Africa* słowa protestanta, również przekonanego o zbawienniejszym wpływie katolickim, niż misjonarzy protestanckich, na poganach u dorzeczy Nigru. Pisarz ten wywodzi, jak katolicy na misyach ledwo na tyle uposażeni, że nie umierają z nędzy, tworzą zastęp niestrudzonych pracowników i podnoszą prawie dotykalnie poziom społeczny między murzynami, a przeciwnie duchowni anglikańscy ledwo paru między sobą mogą wykazać misjonarzy wpływowych, mimo wszelkiej pomocy ze strony rządu; gdyby tylu środkami rozporządzali katolicy, dawno całe dorzecze Nigru przyjęłoby chrzest. Poniżej to nas — wyznaje pisarz, w imieniu współwyznawców, — ale nie przestaje być prawdą oczywistą.

Wolnomularstwo widzi prawdę zupełnie odwrotną.

Nawała rycerzy fartuszkowych ruszyła porządkiem zawczasu obmyślanym i pełna najlepszej otuchy, aż spotkała niespodzianie przeszkodę, która wstrzymuje jej zapęd w środku Europy. Nie teraz jednak miejsce na dalszy opis zapasów, w których udział i nas minąć nie może.

Ks. K. Czaykowski.



## Z ruchu przemysłu artystycznego.

W ostatnich lat dziesiątkach ubiegłego stulecia rozwinał się we wszystkich prawie krajach Europy w dziedzinie przemysłu artystycznego ruch znamienity i potężny. Przyspieszone to tętno zawdzięcza ruch ten Anglii.

W drugiej połowie ubiegłego wieku artyzm francuski, uznany przez świat cały, jeszcze panuje niepodzielnie w dziedzinie rękodziel-

nictwa. Na wystawie londyńskiej w roku 1855 i wcześniej jeszcze w roku 1851, kiedy po raz pierwszy stanęły dwa potężne, sąsiadujące ze sobą narody do szlachetnego współzawodnictwa na polu przemysłu, spostrzegła Anglia z niemalém upokorzeniem, że tam, gdzie rzemiosło wiąże się ze sztuką, przepaść cała oddziela jej wyroby przemysłowe od artyzmu, który opromieniał przemysł francuski. I ta dotkliwa dla dumnego Albionu nauka stała się początkiem odrodzenia artystycznego i sztuki zdobniczej w Anglii.

Niebawem pokryła się Anglia siecią stowarzyszeń, które wzięły sobie za cel: szerzyć w szerokich kołach społecznych dobry smak i poczucie piękna. Stowarzyszenia te w krótkim czasie zdobyły sobie 200 000 członków i niesłychanie ruchliwą rozwinęły działalność: zakładano muzea dla różnych działów przemysłu i sztuki dekoracyjnej, w ciągu lat kilku założono 300 szkół przemysłowych i 100 szkół poświęconych sztuce dekoracyjnej, uposażonych w bogate biblioteki i inne środki pedagogiczne. Ażeby zaś artystów-rzemieślników do szlachetnego pobudzić współzawodnictwa, a wśród publiczności rozbudzić i uszlachetnić wrażliwość i poczucie estetyczne, urządzano po wszystkich ogniskach przemysłu artystycznego peryodyczne wystawy. Ruch ten wciągnął w swoje kręgi olbrzymie sumy, których rząd nie skąpił na wzniosłe cele podźwignięcia sztuki narodowej, powołał do życia całe szeregi uczonych i owe bractwo utalentowanych artystów, które w dziejach sztuki pod nazwą prerafaelistów tak świetną odegrać miało rolę. Jednym zaś z najgłówniejszych inicjatorów tego ruchu artystycznego był szlachetny książę Albert, który potężnym swoim wpływem od razu pchnął ten ruch na rozumne tory pracy publicznej i obywatelskiej.

Rezultaty tej pracy narodowej były zdumiewające. W ciągu 10 lat dokonało się w Wielkiej Brytanii na polu artyzmu rękodzielniczego przeobrażenie zupełne. A postęp ten był jawny i w oczy bijący, bo podczas gdy w roku 1855 wyroby angielskie nie mogły iść w porównanie pod względem pomysłowości i wytworności wykończenia z wyrobami rękodzielnictwa francuskiego, to niespełna w 10 lat później znalazła Francya na wystawie londyńskiej niespodziewaną i groźną konkurentkę w angielskim przemyśle artystycznym.

Wkrótce też ruch ten artystyczny, zapoczątkowany na wystawie światowej, ogarnął kolejno wszystkie prawie kraje cywilizowanej Europy. Każda prawie wystawa światowa wywoływała w następstwie po różnych krajach instytucje, które się stawiały żywotną sprężyną i dźwignią potężną w odrodzeniu czy wytworzeniu sztuki dekoracyjnej. I tak

w lat kilka po wystawie londyńskiej powstało w Londynie sławne muzeum Le South-Kensington, w kilka lat później muzeum narodowe w Monachium, muzeum dla sztuki i przemysłu w Wiedniu, muzeum w Berlinie powstało po wystawie paryskiej roku 1867. Po wystawie wiedeńskiej, na której Francya, mimo świeżo poniesionej klęski na polu bitew, nowym zajaśniała blaskiem artyzmu na polu przemysłu, powołano do życia muzeum peszteńskie i muzeum orientalnej sztuki dekoracyjnej w Wiedniu. Wystawa w roku 1878 spowodowała zupełny przewrót w szkolnictwie przemysłowem we Włoszech. A wszystkie te muzea stały się od razu, jak to zaraz zobaczymy, potężnemi ogniskami przemysłu artystycznego i sztuki narodowej<sup>1</sup>.

Dwie znamienne cechy charakteryzują ruch ten artystyczny w dziedzinie sztuki zastosowanej do przemysłu. Naprzód ruch ten rozwinął się na gruncie ekonomicznym i na polu wolności handlowej współzawodniczących ze sobą narodów. Produkcya fabryczna na wielką skalę i podział pracy wygnały prawie zupełnie wszelką estetykę z dziedziny wytwórczości przemysłowej. Niesłuchanie drobiazgową specjalizacyą pracy odjęła robotnikowi fabrycznemu wszelką indywidualność i zapał i miłość do pracy, sprawiła, że robotnik stał się jednym kółkiem więcej w systemie kół i żelaznych ramion maszynowych. To też w wyrobach fabrycznych napróżno szukać jakiegoś choćby cienia indywidualności, tej żywotnej iskry prawdziwego artyzmu, który w warsztatach średnowiecza i renesansu opromieniał tak uroczo i życie i dzieła mistrza-rzemieślnika. Dzisiejszy robotnik fabryczny musi robić mechanicznie według podanego mu wzoru i przykuty jest w dodatku do jakiegoś drobnego szczegółu. Całości nigdy on nie ogarnie, przynajmniej nie ogarnie z miłością tworzącego artysty. A jednak i produkcya fabryczna powinna i musi dostroić się do wymagań estetycznych naszej natury i cywilizacyi, jeżeli chce się utrzymać w opałach konkurencyi międzynarodowej. Na rynku bowiem świata panuje wszechwładnie prawo selekcyi nie tylko tego, co tanie, ale i tego, co piękne.

Zgubnym jest również wpływ, jaki wywierają wyroby fabryczne na pracujących rękodzielników. Jednostajność i szablonowość wyrobów fabrycznych wprost suggestyonują rękodzielników. Brzydota jest zaraźliwa jak zakaźna choroba, ima się każdego przedmiotu jak pasożytnie krze-

<sup>1</sup> *Les Musées d'Art industriel à l'étranger; La Chronique des Arts*, année 1899; nr. 14, 15, 16, 18. — *Les Arts industriels en France; Revue des deux Mondes*, 1867, t. 47, str. 987 et sq.

wiąca się roślina każdego gruntu. To też na polu artyzmu rękodzielniczego maniera produkcji fabrycznej największe może wyrządziła szkody. Odczuła to dotkliwie przemysłowa Anglia, gdy wytworny przemysł francuski zaczął rugować jej wyroby z rynku światowego.

I to był jeden z najgłówniejszych powodów ruchu artystycznego w dziedzinie przemysłu w Anglii i wogóle w tych krajach, które współzawodniczyły ze sobą na rynku światowym.

W Anglii powiedziano sobie: chcąc współzawodniczyć z Francją na polu przemysłu, potrzeba przedewszystkiem uszlachetnić poczucie estetyczne naszych rzemieślników i wychować i wykształcić ich tak, żeby mogli współzawodniczyć z rzemieślnikami francuskimi. Pedagogicznego zaś zadania tego miało się podjąć w tym celu założone muzeum Kensington dla przemysłu artystycznego w Londynie. Jeden z głównych inicjatorów potężnej tej instytucji określa roku 1850 w parlamencie angielskim w ten sposób cel i zadanie muzeum Kensington:

„Kollekcyja rzeczy, dająca nam poznać zarazem i postęp i najwyższy stopień wykończenia technicznego, jaki osiągnięto po różnych rękodzielniach i pod względem materyi i pod względem płacy i dekoracyi — była od dawna pożądaną jako przedsięwzięcie nieodparcie potrzebne dla wykształcenia technicznego. Naprawdę muzeum tylko i prawdopodobnie wyłącznie tylko muzeum podaje nam środki skuteczne do kształcenia dorosłych, po których nie można się spodziewać, żeby uczęszczali do szkoły jak żaki, a przecież dalsze kształcenie się jest dla człowieka skończonego równie konieczne jak kształcenie inteligencyi u dziecka. Przez specyjalną organizację ujętą w pewien system byłoby w stanie muzeum spełnić to zadanie i stałoby się zakładem pouczającym w wysokim stopniu“. Jaśniej jeszcze wyrażają się w tej mierze organizatorzy muzeum dla sztuki dekoracyjnej w Düsseldorfie:

„Idzie nam tu, bez uszczerbku dla tego, co praktyczne i użyteczne, o podniesienie twórczej umysłowości i pod względem technicznego wykonania i poczucia estetycznego, o przyobleczenie w nowe kształty estetyczne i barwy miłe dla oka sprzętów i rzeczy najprostszych, których się używa w życiu codziennem. Cel ten osiągnąć się nie da przez studyum, przez samą umiejętność tylko. A żeby go osiągnąć, trzeba w tym specyjalnie kierunku kształcić umysły przez systematyczne rozbudzanie twórczości artystycznej, potrzeba, żeby produkujący przemysłowiec znalazł w tej mierze skuteczną pomoc, mógł sobie na oko obejrzeć, mógł sobie pogadać i zaczerpnąć dyrektywy co do danego przedmiotu. Pracownikowi trzeba dać sposobność do pouczenia się przez

obserwację i porównanie wyrobów artystycznych. Obserwacya dobrze i wytwornie wykonanych wyrobów uszlachetni poczucie estetyczne w jego fachowym zawodzie. I publiczność trzeba w tym kierunku kształcić“.

W myśl założycieli miały muzea te jeden tylko program i jedno zadanie, mianowicie popieranie i rozwijanie wszelkimi sposobami przemysłu krajowego. One miały być arsenałem broni dla wszystkich, co w przemysłowej wojnie na rynkach świata mieli wziąć udział. Na światowych rynkach bowiem toczą się niemniej doniosłe i zażarte wojny, jak na krwawem pobojuwisku. Ulegają tam ci, którzy w ciężkim rymsztunku i z lichą bronią stają do walki, którzy mają taktykę niewyrobioną i dyscyplinę mniej dobrą. Trzeba więc dokładnie i ustawicznie śledzić postęp techniki, sztuki i nauki w kierunku przemysłu i sztuki zdobniczej, trzeba obmyślić i zbadać sposoby i środki najpraktyczniejsze, żeby ożywić krajową produkcję. Kto bowiem nie postępuje naprzód i wciąż naprzód, cofa się wstecz i gotuje sobie klęskę niechybnie.

Z drugiej strony muzea miały przede wszystkim pielegnować sztukę narodową. Od pierwszej bowiem chwili istnienia swego, ruch ten artystyczny gdzie tylko się pojawił, nosił na sobie wyraźnie cechę narodową. W tym samym czasie, kiedy ekonomiści i filozofowie, patrząc się na olbrzymie postępy techniki w dziedzinie pary i elektryczności, przepowiadali nam zwycięstwo idei kosmopolitycznej w cywilizacyjnym rozwoju ludzkości, narody, kierujące się w twórczości swojej uczuciem i artystycznym instynktem, od razu zwrócili się do tego, co swojskie i narodowe. Prawda, wezbrana fala twórczości raz po raz w różnych rozlewała się kierunkach, ale zawsze ci, którzy z daru nieba stali na straży ideałów piękna i prawdy, usiłowali ją skierować na jasne szlaki sztuki narodowej, a współzawodniczące ze sobą narody zwyczajnie nie inaczej na wystawach światowych występowały jak w szacie sztuki rodzimej. Narody, które miały za sobą bogatą przeszłość artystyczną, zwrócili się namiętnie do skarbnicy dawnych tradycji i ideałów, żeby na nowo wskrzesić to, co ma warunki życia, żeby rozmierzyć drogę przebytą i wytknąć sobie kierunek na przyszłość. Inne zaś ludy, które później albo świeżo przyłączyły się do cywilizacyjnego pochodu ludzkości, namiętnie cisną się do prastarych źródeł sztuki ludowej, aby tam odnaleźć owe charakterystyczne rysy sztuki narodowej i na niej zbudować cały gmach rodzimej sztuki nowożytnej.

Przypatrzmy się teraz bliżej organizacyi i działalności tych nowych przybytków sztuki. Najstarsze i typowe pod względem urządzenia



muzeum sztuki zdobniczej w Europie jest „South Kensington Museum“ w Londynie, mieszczące w swoim obrębie jeszcze dużo innych zbiorów. Jest to instytucja rządowa, stojąca bezpośrednio pod zarządem Departamentu dla nauk i sztuk pięknych. Uposażenie roczne olbrzymiej tej instytucji razem z dodatkami wynosi więcej, niż 2 miliony koron.

Jest to olbrzymi bazar wszelkich rozmaitości artystycznych. Co po innych stołecznych miastach, np. w Paryżu, rozbite jest i rozrzucone po różnych muzeach, tam wszystko widzimy w jedną zebrane całość. Wszystkie gałęzie sztuki są tam reprezentowane w bogatych kolekcjach, w okazach rzadkiej wartości artystycznej i technicznej.

Wartość zbiorów z samego zakresu tylko artyzmu rękodzielniczego wynosi przeszło 25 milionów koron, a zbiory te z roku na rok rosną i pomnażają się. W roku np. 1897 zakupiono nowych rzeczy za 180 425 koron.

Działalność i znaczenie muzeum tego na kraj cały jest olbrzymie. Cała organizacja jego, całe wewnętrzne urządzenie opiera się na tej jednej myśli i do jednego zmierza celu, mianowicie, żeby podnieść przemysł pod względem artystycznym i technicznym. To też jest ono zaopatrzone we wszystko, co jest potrzebne i przyczynić się może do popierania rękodzielników, przemysłowców i artystów w ich pracy zawodowej, w ich badaniach i studyach, w ich próbach i doświadczeniach. Każdy mistrz-rzemieślnik zasila i ubogaca tam swoje natchnienie, zapożycza wzorów i modeli do swoich studyów technicznych i artystycznych. I ta działalność nie ogranicza się tylko na samo miasto stołeczne, ona sięga o wiele dalej, ogarnia kraj cały swem ożywczem technieniem. W roku 1897 rozesłało muzeum do różnych instytucji poświęconych sztuce zdobniczej na prowincyi nie mniej jak 26 000 okazów z zakresu sztuki zdobniczej i 9595 dzieł, modeli, rysunków i t. d. do szkół przemysłu artystycznego. Zapomogi różne, udzielone rozmaitym instytucjom na zakupno dzieł sztuki i reprodukcji, wynoszą w ciągu tego samego roku razem około 25000 kor. Nadto wszystkie wystawy przemysłu artystycznego urządzają się przy pomocy i współudziale Kensingtonu. Wystaw takich urządzono w ciągu roku 1897-go 25.

Obok muzeum South Kensington i w bezpośredniej z niem łączności jest wogóle w całej Anglii, we wszystkich ogniskach przemysłu artystycznego 66 takich muzeów, założonych już to przez rząd, już przez zarządy miast lub stowarzyszenia artystyczne i przemysłowe. Wszystkie zaś owe instytucje mają, mają jeden i ten sam program i to samo zadanie, mianowicie popierać skutecznie ruch w dziedzinie

przemysłu artystycznego w danej okolicy, pielegnować i uwzględniać wszystkie nowe kierunki i aspiracye artystów i przemysłowców, rozwijać i uszlachetniać smak estetyczny publiczności. A wszędzie jaka wygodą, jaka wytwornością praktyczną, żeby przynęcić do tych przybytków sztuki jak największe masy publiczności i artystów i przemysłowców i robotników, żeby ich pod względem fachowym pouczyć i nasycić ich wzrok i duszę artystyczną rozkoszą. W edimburgkiem muzeum umiejętności i sztuki wewnętrzne urządzenie jest tego rodzaju, że galerie ze zbiorami biegną wieńcem około sekcji technologicznych. Kto tedy np. w zakresie metalurgii artystycznej, złotnictwa, biżuterii, wyrobów brązowych i t. d. — przestudował w sekcji technologicznej najnowsze procedery w galvanoplastyce, zapoznał się z aliazami najświeższymi, zbadał najbardziej wydoskonalone maszyny, może przystąpić następnie do zastosowania tych metod w odpowiednich gałęziach przemysłu artystycznego w różnych i najróżniejszych formach i odmianach, stosownie do rozmaitych krajów i wieków. W Birmingham dyrekcya zestawiała kolekcję wzorowych pod każdym względem wyrobów z zakresu tych gałęzi przemysłu, które w mieście są uprawiane. Kolekcya ta ma zapładniać twórczą inicjatywę tamtejszych mistrzów-rzemieślników nowymi pomysłami i dostarcza im oryginalnych i wytwornie wykonanych wzorów z zakresu złotnictwa, biżuterii i wyrobu broni. W układaniu zaś tej kolekcji, ażeby uniknąć naśladownictwa, trzymano się następującej zasady: „mniemaliśmy zawsze, że będzie o wiele korzystniej w dziełach sztuki zupełnie różnych, niż w wyrobach podobnych do siebie, szukać motywów inspiracji i elementów do studyów“. Tej metody też trzyma się dyrekcya na konferencyach, odbywających się regularnie z demonstracyami dla artystów-rzemieślników i robotników miejskich.

W Niemczech od wojny francuskiej razem z przemysłem rozwinął się również ruch w dziedzinie przemysłu artystycznego. „Wojna w r. 1870 miała i ten skutek, iż musieliśmy znosić, gdy tysiące Niemców z Bawaryi, Prus i Saksonii rozsiadło się w naszych wielkich miastach, pracując razem z naszymi robotnikami i onito unieśli ze sobą kilka iskier tego ognia artystycznego, który nas ożywia. Europa i kraje zamorskie dały się chwilowo uwieść niską ceną artykułów niemieckich, które nie były niczem innem jak tylko grubem naśladownictwem naszych bronzów i innych przedmiotów zbytu i to spowodowało w naszych fabrykach przesilenie ekonomiczne, jedno z najołśniejszych. W roku 1887 wypowiedział nam następca tronu niemiecki wojnę prze-

mysłową, gdy przy uroczystem otwarciu muzeum przemysłu artystycznego w Berlinie odezwał się w te słowa: „Zwyciężyliśmy Francję w r. 1870 na polu bitew, w przyszłości chcemy ją zwyciężyć na polu handlu i przemysłu“<sup>1</sup>. Dumne i wyzywające słowa pruskiego następcy tronu nie pozostały bez skutku. Sztuka francuska zapewne i w dziedzinie przemysłu artystycznego dziś jeszcze pierwszorzędne zajmuje stanowisko, ale znalazła ona w sztuce angielskiej, niemieckiej i dodajmy austriackiej, potężne i niebezpieczne współzawodniczki. W Niemczech „obok Berlina i Monachium stały się prawdziwymi sztuki dekoracyjnej ogniskami Karlsruhe, Darmstadt, Heidelberg, Hamburg, Stuttgart i Crefeld. Sprawili to muzea i duch asocjacyi, łączący artystów w grupy i tworzący tak zwane „kolonie“. Muzeum Berlińskie jest podobnie jak Kensington w Anglii instytucją państwową, pod względem finansowym dobrze uposażoną, która w razie potrzeby, pod warunkami ustawą określonymi, ma zasilać bogatemi swemi kolekcjami muzea i szkoły artystyczne, znajdujące się w obrębie rzeszy niemieckiej. Ogółem jest w Niemczech 40 muzeów poświęconych wyłącznie sztuce dekoracyjnej. Bardzo żywotną działalność rozwinęły w Niemczech przede wszystkim muzea, opierające się na stowarzyszeniach i muzea prowincjonalne. Düsseldorfskie np. muzeum stowarzyszenia *Central Gerververein* wzięło sobie za zadanie: „urządzać w Düsseldorfie i okolicznych miejscowościach: 1) wystawy wyrobów artystycznych i przemysłowych. W wystawach tych mają brać udział ludzie prywatni i korporacje, muzea przemysłowe i publiczne, rękodzielnicy i artyści, których prace uznano za znakomite; 2) specjalnych wystaw peryodycznych oraz wystawy prac wykonanych przez terminatorów i uczniów; 3) wystaw urzędowych zasilanych z kolekcji muzeum przemysłowego; 4) wykładów przede wszystkim na wystawach wędrownych“. Nadto z muzeum łączy się biuro artystyczno-przemysłowe, składające się z artystów i profesorów i mające na celu udzielanie rad i wskazówek w sprawach technicznych, handlowych i artystycznych. Każdy członek stowarzyszenia może tam przedłożyć swoje projekty i wyroby do krytycznej oceny, znajdzie zachętę, fachową radę i skuteczną pomoc w swojej pracy zawodowej. Liczba takich usług, przez biuro to wyświadczonych członkom stowarzyszenia, wynosiła przed kilku laty w ciągu jednego roku przeszło 15000. To też dzięki tej umiejętnej

<sup>1</sup> Patrz: *La rivalité des industries d'art en Europe* par Edmond Hauchut, *Revue des deux Mondes*, 1891. t. 105. str. 643.

i ruchliwej działalności stowarzyszenia, powstał w prowincyi Westfalskiej i Nadreńskiej cały szereg nowych gałęzi przemysłu artystycznego. W Gerolstein udoskonalono koronkarstwo z nici złotych, srebrnych i miedzianych; w Gladbach, Wallenborn, Hembach, Neröth i Benrath, za przyczyną stowarzyszenia, powstały warsztaty kunsztu stolarskiego i ślusarskiego, fabryki wyrobów ceramicznych; w Raeren wskrzeszono znowu na nowo wyroby fajansowe, ongi w 16 i 17 wieku tak sławne w całych Niemczech i Nederlandach. W ciągu 20 lat całe okolice w kwitnące zamieniły się warsztatami i nowem zakwitnęły życiem.

Niektóre zarządy muzeów w szczególniejszy sposób zajmują się praktycznem wykonywaniem projektowanych przez artystów wyrobów przemysłowych. Świeżo powstałe muzeum przemysłu artystycznego we Wrocławiu w pierwszym rzędzie bierze sobie za obowiązek pośredniczyć pomiędzy artystami, którzy rysują wzory a rękodzielnikami, którzy według planu im podanego wykonywują wyroby. Pośredniczenie to jest tem ważniejsze, o ile wobec znacznych zwyczajnie kosztów i trudności wykonania i najpiękniejsze projekty bez fachowej i finansowej pomocy muzeum nigdy nie zostałyby urzeczywistnione.

Stowarzyszenie sztuki zdobniczej w Bawaryi rozpisuje dla członków swoich stałe konkursy na różne projekty z dziedziny przemysłu. Prace odznaczone nagrodą nabywa na własność i puszcza je na loteryę urządzoną na rzecz autorów.

Znane są również ze swej przedsiębiorczości i ruchliwości wspólne pracownice przemysłu artystycznego w Monachium, które w roku 1898 powstały pod nazwą *Vereinigung der Werkstätten für Kunst im Handwerk*. Są to spółki produkcyjne oparte na ograniczonej poręce solidarnej, zajmujące się przede wszystkim wykonywaniem projektów artystycznych w zakresie przemysłu. Autorzy projektów mają w tych przedsiębiorstwach udział w zyskach. Według wzoru monachijskiego powstały podobne spółki w ostatnich latach i w Dreźnie i w Wiedniu. W Darmstadzie zaś wytworzyła się za inicjatywą i staraniem wielkiego księcia kolonia artystów, która nader żywotną i ruchliwą rozwinęła działalność.

W Austrii liczymy 33 muzeów poświęconych przemysłowi artystycznemu, a wszystkie te muzea mają na celu popieranie i rozwijanie sztuki narodowej. Na czele stoi muzeum przemysłu artystycznego w Wiedniu, uposażone dość hojnie, bo budżet jego roczny wynosi 179 000 koron. Muzeum to ma rozciągać ożywczą swą działalność na całą Austryę: urządza peryodyczne wystawy artystyczne i przemysłowe,

bierze udział w różnych wystawach lokalnych zarządów miejskich i stowarzyszeń, dostarcza państwowym szkołom przemysłowym i artystycznym materiału potrzebnego do wykształcenia artystycznego, wypożycza nawet do domu i do pracowni wyroby odznaczające się pomysłowością i wykończeniem pod względem technicznym. W zbiorach swoich liczy muzeum 21000 wyrobów, biblioteka zawiera 18000 dzieł. W ciągu 30 lat swego istnienia muzeum brało udział w 122 wystawach po rozmaitych miastach przemysłowych. Austria u siebie zorganizowała takich wystaw 112. Cyfra roczna zwiedzających muzeum wynosi 200 000. W ścisłej z muzeum łączności jest laboratorium, które wykonywa analizy, robi doświadczenia i poszukiwania w dziedzinie techniki przemysłu artystycznego. Wyniki zaś tych badań udziela zarząd artystom, przemysłowcom i robotnikom, którzy w odnośnym kierunku pracują. Każde nowe cacko, każdy nowy wyrób, jaki się pojawi na targu światowym z zakresu złotnictwa, biżuterii, wyrobów bronzowych, emalii, ceramiki i t. d. — nabywa natychmiast zarząd do swoich zbiorów, podaje w laboratorium umiejętnym doświadczeniom, ażeby wydobyć na jaw sekret fabrykacyi.

Dla przemysłu wschodniego jest w Wiedniu osobne muzeum, założone przez stowarzyszenie kupców i przemysłowców. Znajduje się tam wszystko, co się wyrabia w Konstantynopolu i na dalekim Wschodzie, wszystko, co się dla tajemniczego Wschodu wyrabia w Ameryce i zachodnich krajach Europy. Jest to właściwie muzeum wędrujące, bo według statutu połowa jego zbiorów ma być w ustawicznej podróży. W wielkich ogniskach przemysłowych urządza muzeum stałe wystawy artystyczne i technologiczne. Z muzeum łączy się biuro informacyjne dla spraw handlowych na Wschodzie.

Za przykładem Austrii, Anglii i Niemiec poszły i inne państwa. Dziś już ruch ten ogarnął wszystkie prawie kraje Europy: po wszystkich prawie większych miastach Europy powstają muzea sztuki dekoracyjnej, zakładają się pracownie technologiczne, we wszystkich prawie wielkich okręgach przemysłowych zapalają się ogniska sztuki dekoracyjnej, aby twórczy umysł ludzki oderwać od maszyny i szablonu i sprowadzić znowu na jasne szlaki piękna prawdy i życia. Nawet tak małe kraiki jak Szwajcarya i Dania, uzbrojone w cały system środków wychowawczych, dziś skutecznie współzawodniczą w dziedzinie przemysłu artystycznego z największymi potentatami przemysłowymi, owszem celują i panują prawie wszechwładnie w niektórych jego gałęziach. Najdłużej opiera się Francya nowemu temu ruchowi. Niezmiernie

bogata w dawne skarby i tradycje artystyczne, mając na swoje usługi całe zastępy wyrobionych artystów i przemysłowców, którzy skrzętnie przechowują wszystkie arkana techniki i śledzą za jej rozwojem, miała ona dotąd, że system pedagogiczny, panujący obecnie w Anglii i innych krajach Europy, nie przypada do miary rozwoju i przeszłości dziejowej jej sztuki narodowej. Ale i ona dziś już odczuwa raz po raz i to bardzo dotkliwie brak takiego systemu i organizacyi żywotnej w dziedzinie artyzmu przemysłowego; już dziś nawet poczyniła pewne znamienne kroki w tej mierze.

*Ks. Leonard Lipke.*



# O LIRYCE RELIGIJNEJ MICKIEWICZA.

---

## I.

Któż z nas nie ma w żywej pamięci słynnego hasła młodzieńczej poezji Mickiewicza:

Ozucie i wiara silniej mówią do mnie  
Niż mędrca szkiełko i oko.

Wygłoszone ono zostało, jak wiadomo, w zakończeniu ballady p. t. „Romantyczność“, stanowiącej wstęp do pierwszego wydania dzieł poety z r. 1822.

W lat blisko dwadzieścia potem, w ciągu których powstały wszystkie genialne arcydzieła wieszczą, w nocy 25 grudnia 1840 r. wypowiedział Mickiewicz pełną wysokiego natchnienia improwizację, w której streścił zasadnicze dążenia swej twórczości, temi słowy najdobitniej je określając:

Dla poety jedna tylko droga:  
Z serca, przez miłość, do Boga.

Te dwa pokrewne sobie treścią i duchem wyrzeczenia stanowią niejako granice poezji mickiewiczowskiej, początek jej i kres, źródło i ujście. Stwierdzają one wymownie jednolitość rozwoju duchowego poety, główne znamię jego geniuszu, dają poznać niezmierzającą logikę tego rozwoju, ujawniającą się tak wyraźnie w zestawieniu najpierwszych jego objawów i ostatecznych wyników.

Jaka idea wyraża się w słowach młodzieńczego śpiewaka

„Romantyczności“? Jest to oczywiście idea niezłomnych praw i potęgi uczucia jako naczelnej władzy ducha ludzkiego. Mickiewicz staje się tu genialnym rzecznikiem nowego prądu duchowego, stanowiącego w życiu i w literaturze początków XIX w. przeciwdziałanie krańcowej jednostronności racjonalistycznej wieku poprzedniego. Ale tutaj uwydatnia się od razu odrębny rys naszego poety. Wszyscy prawie nowożytni obrońcy uczucia w poezyi, począwszy od Jana Jakóba Rousseau, pojmowali je jako potężną, pochłaniającą namiętność, która sama w sobie znajduje swą rację bytu, lub też jako poryw nieokreślonych pragnień i tęsknot, unoszonych na skrzydłach marzenia ku nieuchwytnym celom, które romantyka niemiecka uzmysłowiła w symbolu kwiatu błękitnego. A czy ten symbol nie uprzytomnia nam zarazem całej błahości owych zapędów marzycielskich i uniesień namiętnych? Czy cała ta wybujałość romantyczna uczuć bezprzedmiotowych lub trawiących się w sobie nie jest taką samą abstrakcją i taką samą jednostronnością jak zwalczany przez nią kult rozumu i gustu?

Nie miejsce tu zastanawiać się nad tem pytaniem; podnoszę je tylko, aby uwydatnić odrębny charakter romantycznej uczuciowości młodzieńczych utworów Mickiewicza, zaznaczający się już bardzo wyraźnie w przytoczonym powyżej zwrocie do Śniadeckiego. Bezpośrednio obok uczucia wymienia tu poeta wiarę i w sercu każe szukać prawd żywych, będących przeciwstawieniem martwych prawd rozumu. Uczucie nie jest więc dla niego zatopioną w sobie namiętnością ani marzeniem nieuchwytnem ani fantazją wybujałą, lecz najistotniejszym objawem wewnętrznego życia duszy, złączonym jak najściślej z ogółem moralnych i religijnych jej zadań.

Jeżeli jednak przez ten głęboki i silny podkład uczucia różni się Mickiewicz zasadniczo od ogółu współczesnych mu poetyckich rzeczników serca, to z drugiej strony zbliża się do wielu z nich przez nieokreślony charakter swej religijności ówczesnej, ujawniającej się raczej w przeczuciach i pragnieniach aniżeli w pozytywnej, dogmatycznej wierze i realnych czynach z niej wynikających. Potwierdzają to i przytoczone wyżej słowa.



Poeta wysławia w nich wiarę, uznaje cud za objaw żywej prawdy ducha. Ale jaki ma być przedmiot wiary? — jaka rękojmia cudu? Na te pytania żadnej nie otrzymujemy tu odpowiedzi.

Jeden tylko utwór Mickiewicza z epoki wileńskiej — „Hymn na dzień Zwiastowania N. M. Panny“ — przeniknięty jest duchem ściśle prawowiernej religijności, ale właśnie z niego można widzieć, iż taka religijność nie wnikała wtedy jeszcze do głębin jestestwa duchowego poety, była mu nie czemś obcem wprawdzie, lecz czemś poniekąd zewnętrznem, objawiała się nie w uczuciu czysto osobistem, lecz raczej we współczuciu z nastrójem zbiorowym wiernych czcicieli Bogarodzicy.

Wspaniały i piękny jest ów hymn, pełen uroczystego namaszczenia i czci mistycznej, która blaskiem nadziemskim opromienia zstępujący z górnych stref obraz Bóstwa. Ale, dziwna rzecz, blask ten świeci, lecz nie grzeje, słowa Hymnu budzą w duszy nastrój podniosły, lecz nie poruszają jej żywiej, nie wnika ją do serca.

Pokłon przeczystej Rodzicy!  
Nad Niebiosa Twoje skronie,  
Gwiazdami Twój wieniec płonie  
Jehowie na prawicy.

Ta wstępna zwrotka, niby odgłos trąb jakichś nadziemskich, zwiastuje niebiańskie zjawienie, wzywane kornem błaganiem wiernych:

Śród Twego błysnij Kościoła!  
Oto na ziemię złożone czoła,  
Oto śród niemej bojaźnią czerni  
Powstaje prorok i woła:  
Uderzam organ Twój chwale,  
Lecz z bóstwa idzie godne bóstwa pienie.  
Śród Twego błysnij Kościoła!  
I spuść anielskie wejście!  
Duchy me bóstwem zapalę,  
Głosu mi otwórz strumienie.

A oto promieniejący czystością niebiańską obraz Przenajświętszej Dziewicy:

A któż to wschodzi? Wschodzi na Syon Dziewica,  
Jak ranek z morskiej kąpiel  
I jutrznia, Maryi lica.

Wreszcie grzmiący potęgą finał tej tryumfalnej pieśni Bóstwa:

Grom, błyskawica!  
Stań się, stało;  
Matką dziewica!  
Bóg ciało!

Któż nie odczuje mocy tego wzniesłego pienia? Jest to prawdziwy hymn chwalebny, godny swego świętego przedmiotu. Ale czy zdoła on kogo wzruszyć i przejąć do głębi? Nie jest to typowa, wprost z serca płynąca liryka mickiewiczowska. Nie słyszymy tu tych przejmujących tonów serdecznych, które nas uderzą w późniejszych pieśniach religijnych poety. Można by sądzić nieomal, że, wbrew istotnej naturze swego geniuszu, wysławia on tu Bogarodnicę nie jako wieszcz-człowiek, snujący swe natchnienie z głębi czysto-ludzkiego swego jestestwa, lecz tylko jako śpiewak-artysta, pociągnięty wspaniałością i pięknoscią opiewanego przedmiotu.

A jednak byłoby to przypuszczenie bardzo niesłuszne. Zapewne, natchnienie liryczne nie ma tu właściwego zazwyczaj Mickiewiczowi ciepła uczuć serdecznych; czysto artystyczne odczucie przedmiotu większe tu może, aniżeli w wielu innych jego utworach, posiada znaczenie, ale nie jest ono zawieszone w abstrakcyjnych strefach sztuki, owszem, jak zawsze u naszego poety, opiera się silnie na realnym gruncie życiowym, na przeżytem rzeczywiście osobistym uczuciu, które, jakkolwiek nieujawnione dość wyraźnie w Hymnie, było jednak niewątpliwie pobudką i tonem zasadniczym dźwięczącego w nim nastroju religijnego. Uczucie to, znane nam dobrze z licznych faktów życia i twórczości poety, polegało na głębokiej, od dzieciństwa ugruntowanej w jego duszy i nigdy niezachwianej czci dla Najświętszej Panny. Świeżo prof. Tretiak w rozprawie, specjalnie temu przedmiotowi poświęconej<sup>1</sup>, wyczerpująco przedstawił ten

---

<sup>1</sup> „Cześć Mickiewicza dla Najświętszej Panny“. Kraków 1899, wyd. II.

głęboki, czysto narodowy kult Mickiewicza dla Bogarodziecy. Toż pierwsze silniejsze wrażenie dziecinne, uwiecznione we wstępie do „Pana Tadeusza“, związane było ściśle z uczuciem wdzięczności za doznaną od Niej łaskę. Następnie pierwszym czynem młodziutkiego studenta po przybyciu do Wilna była modlitwa przed cudownym obrazem Ostrobramskim. Później wprawdzie osłabła i w części rozwiała się szczerza wiara dziecinna, ale nie rozwiała się cześć dla Najświętszej Panny.

Powołać się tu mogę na III-ią część „Dziadów“, w której osobistość Konrada tak żywo nam uprzytomnia nastrój duchowy samego poety za czasów filareckich. Przypominam, jak tam Konrad, choć sam bez wiary i „nie miesza się do wszystkich świętych z litanii“, surowo jednak gromi Jankowskiego za wspomnianie w błuźnierczej piosnce imienia Maryi. Jak wiele prawdy zawiera w swem tak charakterystycznie naiwnem prostactwie wywołana przez to oburzenie uwaga pocziwego kaprała:

Dobrze, że panu jedno to zostało imię —  
Choć szuler zgrany wszystko wyrzuci z kalety,  
Nie zgrał się, póki jedną ma sztukę monety,  
Znajdzie ją w dzień szczęśliwy, więc z kalety wyjmie,  
Więc da w handel na procent, Bóg pobłogosławi,  
I większy skarb przed śmiercią, niżli miał, zostawi.

Istotnie cześć imienia Maryi, tak wspaniały znajdujący wyraz w „Hymnie na dzień Zwiastowania“, była przechowanym z lat dziecinnych, niezniszczalnym zasobem skarbu religijnego, pomnażającego się następnie nowymi nabytkami w duszy Mickiewicza, była nie przedświtem tylko nieokreślonych przeczuć i pragnień wiary, lecz promieniem samego słońca wiary, które kiedyś w przyszłości tak szerokim i szczerem blaskiem rozjaśnić miało cały widnokrąg duchowego życia poety.

Ale nie od razu to nastąpiło.

## II.

Upływała młodość „górna i chmurna“, nadechodził „wiek męski, wiek kłęski“. Z chmur wypadły burze i kłęski okrutne zrzędziły. Po przejściu ich dusza Mickiewicza podobna była —

jak się wyraża Zan — do lasu, po którym przeszła pożoga. Umilkły w niej nie tylko „sielsko - anielskie“ odgłosy wiary dziecinnej, lecz także górne hasła śpiewaka ideałów filareckich i przeczucia mistycznie natchnionego rzecznika wierzeń ludowych.

Tak nam się przedstawia życie duchowe poety bezpośrednio po przymusowym wyjeździe z kraju, podczas pobytu w Petersburgu, w Odessie i w Moskwie. Geniusz jego twórczy nie uległ wtedy umniejszeniu; owszem objawił się całym szeregiem dzieł nie zrównanie pięknych, ale w odmiennych zwrócił się kierunkach ku uczuciom czysto ziemskim, jak w Sonetach miłosnych, ku ideałom bardzo zamałonym i rozerwanym w sobie, jak w „Konradzie Wallenrodzie“, lub bardzo nieokreślonym, jak w „Farysie“.

Ten ostatni utwór tonem zasadniczym pokrewny jest „Odzie do młodości“ i „Pieśni Wajdeloty“, ale jaka znamienne różnica zachodzi między tymi utworami. We wszystkich trzech wyraża się potęga ducha w walce z bezduszną potęgą materyalną świata zewnętrznego. Ale w „Odzie“ przeniknięta jest ona wiarą młodzieńczą w niezawodne swe zwycięstwo, przez które pragnie podnieść, ożywić i uduchowić bezwładną masę materji, w „Pieśni Wajdeloty“ unosi się jeszcze zwycięskim hymnem natchnienia wieszczego ponad ruinami górnych swych pragnień, w „Farysie“ walczy bez celu, zwycięża bez pożytku i upaja się poczuciem własnej swej wielkości w samotnej ekstazie, wśród bezkresnej pustyni.

Czy te trzy najwyższe w dotychczasowym jego rozwoju wzloty poetyckie nie pozostają w pewnym związku ze stanem religijnym jego duszy? W epoce „Ody“ religijność Mickiewicza, choć, jak widzieliśmy, nieokreślona pod względem swej treści i marzycielska pod względem swego nastroju, mocno była ugruntowana, silna żywymi wspomnieniami wiary dziecinnej, ścisłym związkiem z wierzeniami ludu i wynikającym stąd, a tak dobitnie uwydatnionem w „Dziadach“, poczuciem nadprzyrodzonych zadań życia. W epoce „Pieśni Wajdeloty“ rozwiały się wspomnienia wiary dziecinnej, przytłumione zostało poczucie nadprzyrodzoności, ale pozostało poczucie łączności z wierzącą i pragnącą duszą ludową, która w „wieści gminnej“, w tej „arce przymie-

rza między dawnymi i młodszymi laty“ przechowuje religijne i moralne skarby człowieczeństwa. Wreszcie w epoce „Farysa“ wszelkie te żywioły duszy poety, łączące ją ze światem ogólnoludzkim i ze światem nadprzyrodzonym, uległy jakby czasowemu zanikowi, zasłonięte zostały przez niezrównanie wspaniałą apoteozę zaufanej w siebie, od niczego niezawisłej, czysto indywidualnej potęgi duchowej człowieka.

Tak ona się objawiła u wielu poetów epoki nowożytnej, a osobiście u Byrona. Twórca „Farysa“, jak nikt może z wielkich wieszczów tej epoki, odczuł i wyraził całą wzniosłość dążeń i porywów humanitaryzmu nowożytnego, ale, jak nikt z nich, odczuł też całą niemoc tragiczną owych wysiłków samowoli ludzkiej, wynikłych z abstrakcyi rewolucyjnej, pozbawionych związku organicznego z duchowym życiem przeszłości i pozbawionych ożywczej siły ducha chrześcijańskiego.

Upłynęło lat kilka i znowu zabrzmiała w poezyi Mickiewicza pieśń potęgi ducha ludzkiego w „Improwizacyi“ Konrada z taką ogromną mocą, jakiej drugiego przykładu niełatwo znaleźć w natchnieniach największych wieszczów ludzkości. Wszystkie główne motywy twórczości mickiewiczowskiej, motywy „Ody do młodości“, początkowych „Dziadów“, „Hymnu“, „Pieśni Wajdeloty“, „Farysa“ — zlały się teraz w akordzie przepotężnej harmonii, który, rzucony z nadludzką mocą w przestwory świata, wznosił się ponad „gwiazd korowody“, rozdzierającym dysonansem skargi rozpacznej uderzył o ściany przybytku Bożego i skonał w poczuciu niemocy potężnego swą miłością, lecz bezsilnego w swej pysze, ducha ludzkiego. A wśród tragicznej ciszy jego upadku słychać szept modlitwy pokornego zakonnika i w harmonijnem z nią współbrzmieniu rozlegają się chóry anielskie najcudniejsze i najwznioślejsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek słyszało ucho poety. Opanowany przez ducha pychy Konrad, ocalony jest od zatury przez modlitwy i egzorcyzmy ks. Piotra i przez wstawiennictwo Aniołów. Potęga ducha ludzkiego w swej dumnej samoistności prowadzi do upadku; potęga wiary żarliwej i czystej, wobec świata niezlomnej, wobec Boga pokornej, przynosi zbawienie i zwycięża, władnącą ponad światem, prze-

możną moc zła. Oto jest idea przenikająca „Improwizację“ Konrada, a określona przez samego poetę, gdy w rozmowie z Odyńcem nazwał ten najwyższy objaw swego natchnienia „zwrotnym punktem bajronowskiego kierunku w poezyi“, t.j. zwrotnym punktem pysznej, samoistnej, w sobie tylko zaufanej potęgi ducha ludzkiego.

Jakie wpływy zewnętrzne, jakie przeobrażenia wewnętrzne ten zwrot spowodowały?

Nie jest tu naszym zadaniem rozważać je w całej rozciągłości; obchodzi nas tylko jeden, ale najważniejszy wśród nich, czynnik duchowy: religijność poety, spotęgowana ogromnie i ustalona w swej treści dogmatycznej na krótko przed powstaniem III-ej części „Dziadów“. Poetyckiem odbiciem tej przemiany duchowej jest szereg czysto religijnych pieśni Mickiewicza, które możemy zaliczyć do liczby najcenniejszych klejnotów liryki polskiej.

Brak miejsca nie pozwala mi zatrzymywać się nad przyczynami i warunkami zewnętrznymi zwrotu religijnego w duszy poety. Przypominam tylko najważniejsze z nich: jak doznany jeszcze w Petersburgu wpływ pełnego ducha ewangelicznego malarza-mistyka Oleszkiewicza, następnie wrażenia z pobytu w Rzymie, rozmowy z ks. Chołoniewskim, uczucia wzbudzone przez szczerą i serdeczną religijność Ewy Ankwiczówny i jej przyjaciółki Marceliny Łempickiej.

Nie należy wszakże przeceniać wpływu wrażeń zewnętrznych i osób choćby najbliższych na rozwój duchowy Mickiewicza. Indywidualność jego stanowiła taki jednolity, skończony w sobie świat zjawisk psychicznych, rozwijała się z taką niezłomną, właściwą sobie logiką, iż wszelkie czynniki postronne mogły tylko pobudzać lub przyspieszać wystąpienie w niej różnych zwrotów i przeobrażeń, nigdy nie wywoływały ich wyłącznie. Ogólna ta zasada znajduje też potwierdzenie w dziejach ostatecznego wyrobienia się i ustalenia uczuć religijnych poety. Religijność Mickiewicza to roślina, która rozwinęła się z nasienia, tkwiącego w jego jestestwie duchowem, podobnie, jak w łonie ziemi zawierają się nasiona, z których najwspanialsze

wyrastają drzewa. Warunki zewnętrzne, wpływy wychowania, otoczenie, życiowe wrażenia, przejścia, stosunki różnorodne mogły oddziaływać na jej rozwój dodatnio lub ujemnie, lecz ani go pobudziły, ani go powstrzymać nie były zdolne. Skoro roślina wiary osiągnęła zupełną swą dojrzałość w duszy poety, wtedy musiała wydać kwiat swój i owoc; kwiatem jej — liryka religijna Mickiewicza, owocem — jego późniejsze czyny i dążenia, które genialną skroń poety opromieniły blaskiem tak wysokiej doskonałości duchowej. Przyjrzyjmy się bliżej owym kwiatom poetyckim, aby podziwiać ich formy i ubarwienia, oraz orzeźwić duszę czystym, silnym i zdrowym ich zapachem.

Powstały one przeważnie, jeżeli nie wyłącznie, podczas pobytu poety w Rzymie 1830 roku. Najpierwszy między nimi w kolei czasu jest „Wiersz do Marceliny Łampickiej“, następnie idą mniejsze i większe pieśni liryczne: „Rozmowa wieczorna“, „Rozum i wiara“, „Mędrcy i Arcymistrz“. Wszystkie te utwory nie tylko są nader znamiennymi objawami duchowego nastroju poety, ale też pod względem czysto artystycznym należą niewątpliwie do najznamienitszych płodów jego poezji. Doskonale zharmonizowanie składowych żywiołów twórczych, treść bogata, pełna życia i prawdy, forma zwięzła, silna, przejrzysta, nacechowana szlachetną prostotą: wszystkie te zalety poezji mickiewiczowskiej nigdzie nie występują w większej zupełności i w doskonalszym zespoleniu jak w owych natchnionych pieśniach religijnych.

Ze względu na ogromną doniosłość strony ich artystycznej zatrzymać się tu należy nad pewnem ogólnem pojęciem estetycznem, które posłuży nam do bliższego określenia zasadniczego charakteru tych utworów.

Są to rzeczy klasyczne w najgłębszym i najprawdziwszem znaczeniu tego, tak często powierzchownie lub zgoła fałszywie pojmowanego, wyrazu. Klasycyzm ich bowiem polega nie na refleksyi artystycznej ani tem mniej na naśladownictwie (obcem zresztą zupełnie twórczości Mickiewicza), lecz na bezpośrednim i zupełnem wyrażeniu się treści uczuć w formie jak najdokładniej do nich przystosowanej, a przytem artystycznie

w sobie skończonej, jednolitej i doskonale pięknej. Taki klasycyzm (jedyne prawdziwy klasycyzm) polega na połączeniu w danym dziele sztuki prawdy przedmiotowej z prawdą podmiotową. Dzięki temu jest ono samoistnym, że się tak wyrażę, w sobie bytującym przedmiotem czy zjawiskiem sztuki, nie przestając być żywym objawem ducha ludzkiego, rozwijającego się w nieprzerwanym ciągu swych stanów i nastrojów. Wytworzenie takiego dzieła jest najwyższym zadaniem sztuki, ale jak rzadko spełnianem!

Artysta tworzy dzieło samoistne, harmonijne, ale tworzy je z pierwiastków mniej lub więcej sobie obcych, bądź z zewnątrz wziętych, z wzorów, z książek, bądź powierzchownie tylko przyswojonych, nie będących istotnymi składnikami jego duszy. Tak powstają dzieła pseudo-klasyczne, być może piękne w swoim rodzaju, ale bezduszne i fałszywe. Inny artysta wylewa z duszy wrzącą lawę natchnienia, „serce swe rwie w kawały“, jak się wyraził Słowacki, ale tej płynnej masy, tych żywych odłamów swego jestestwa niezdolny jest stopić w jednolity całości kształt i tworzy dzieło pełne ducha i prawdy, lecz bezkształtne, nieartystyczne. W pierwszym wypadku mamy przedmiot sztuki, ale nieożywiony, w drugim — życie, ale nieuprzedmiotowione należycie w sztuce. Oczywiście w praktyce tworzenia artystycznego nie spotykamy takich objawów bezwzględnie krańcowych. Najbardziej nawet niewolnicze naśladownictwo pseudo-klasyczne zawiera zawsze choćby jakąś odrobinę życia i najwyuzdańszy wytwór dawnego romantyzmu lub tak zwanego modernizmu czy dekadentyzmu współczesnego przyobleczony jest w jakąkolwiek formę; chodzi wszakże o miarę i o stosunek wzajemny obu tych czynników. Otóż pełna ich miara i doskonały stosunek czyli prawdziwy żywotny klasycyzm nader to rzadkie zjawisko w dziejach poezji i sztuki. W naszej poezji przedmickiewiczowskiej wskazać można jedno tylko takie zjawisko — „Treny“ Kochanowskiego; natomiast poezja Mickiewicza, z wyjątkiem bardzo nielicznych swych płodów, składa się z wzorów najprawdziwszego klasycyzmu. Zajmujące nas tu pieśni religijne nie należą z pewnością do owych wyjątków;



owszem (jak poprzednio już zaznaczyłem) odpowiadają one w jak najpełniejszej mierze pojęciu doskonałości i harmonii klasycznej; dlatego też zatrzymałem się nieco nad bliższem określeniem tego pojęcia, przez nie bowiem najłatwiej będziemy mogli wnikać w istotną naturę owych arcydzieł liryki mickiewiczowskiej.

Od czego zależy harmonia między prawdą życia i prawdą sztuki, między treścią i formą w dziele poezyi? Zależy ona od doskonałego zharmonizowania zasadniczych stanów duszy poety z jego nastrojem twórczym. Otóż zjednoczenie harmonijne tych czynników jest to zjawisko niezwykle, nawet u wielkich i sławnych twórców. Jakże często natomiast w jednej i tej samej osobistości poeta lub artysta obcy jest prawie człowiekowi, albo też w jednym i tym samym człowieku kilku naraz siedzi ludzi, bardzo mało mających ze sobą wspólnego. W tym ostatnim wypadku mamy niekiedy naturę psychicznie bogatą, w tamtym — artystycznie jednolitą, w obu jednak niema ani zupełnej prawdy życia ani zupełnej prawdy sztuki: pierwsza zamacona jest przez sprzeczności wewnętrzne, druga pozbawiona jest realnej podstawy życiowej. Natura genialna, jak natura Mickiewicza, jest zarazem bogata i jednolita, jest jednością w pełni, harmonią w różnorodności. Ale niezawsze objawia się na zewnątrz w doskonałem zespoleniu i rozwinięciu przyrodzonych swych zasobów. Niektóre jej żywioły (czasem najistotniejsze nawet) przez czas długi pozostają w stanie jakby energii potencyalnej, zanim pod działaniem wpływów zewnętrznych lub bodźców wewnętrznych rozwiną całą swą potęgę czynną.

Wyżej widzieliśmy, iż żywioł religijny, będący zasadniczym składnikiem jestestwa duchowego Mickiewicza, długo tkwił ukryty niejako w jego duszy, pośrednio tylko ujawniając się w nastroju jego twórczości, w przenikających ją przeczuciach niewyraźnych, pragnieniach i aspiracyach nieokreślonych. Aż nadszedł czas, kiedy ów nastrój zadźwięczał potężnym harmonijnym akordem poezyi:—przeczucia stały się uczuciami wszechwładnemi, pragnienia zwróciły się w określonym kierunku ku określonemu przedmiotowi. Wtedy dopiero pokazało się, jak

doniosłe znaczenie posiadała religijność w życiu duchowem poety, jak głęboko wnikała w jego istotę moralną i w jego istotę artystyczną, jednocząc je jak najściślej w objawie genialnej twórczości poetyckiej.

Zapewne, w poezji Mickiewicza artysta nigdy nie wyrzeka się człowieka; obaj tworzą nierozdzielną, jednolitą indywidualność, ale zjednoczenie to niezawsze jednakowo jest doskonałe i harmonijne. Czysto ludzka treść jestestwa poety niezawsze w jego dziełach równie pełne znajduje wyrażenie. W sonetach erotycznych, a nawet i w sonetach krymskich widzimy odbicie bardziej zewnętrznej jej strony, a w „Konradzie Wallenrodzie“ składowe jej żywioły łączą się w akordzie poetyckim porywająco potężnym, chwilami przepięknym, ale chwilami też bardzo rozstrojonym. W pieśniach religijnych Mickiewicza wszystkie struny serca ludzkiego w najwyższem dźwięczną nateżeniu i w najdoskonalszej, najczystszej harmonii. Uczucia człowieka znajdują tu tak zupełny wyraz w natchnieniach poety, prawda życia i prawda sztuki tak zlewają się ze sobą i przenikają się nawzajem, iż wszelka między nimi znika różnica i piękno poetyckie wykwiła z uczucia jako naturalny, konieczny jego objaw, jako wyciąg najżywotniejszej jego treści. Na tem polega prawdziwy, doskonały klasycyzm, który od czasów Homera aż do Mickiewicza tam tylko się pojawił, gdzie duch ludzki w poezji lub w sztuce najzupełniej wyrazić się zdołał.

### III.

Pierwiosnkiem, zwiastującym rozkwit owej klasycznej liryki religijnej Mickiewicza jest „Wiersz do Marceliny Łempickiej, napisany w dzień przyjęcia przez nią Komunii świętej. Na pierwszy rzut oka bardzo niepozornie on się przedstawia. Szezupłych rozmiarów, czysto osobistej i okolicznościowej treści, zdaje się on być jednym z owych ulotnych a mało znaczących płodów chwili, jakich nie brak w twórczości znamienitych nawet poetów. Ale błędem byłoby wielkim do tej kategorii go zaliczać. Zważmy przede wszystkim, że osoba, do której zwraca się tu poeta, upamiętniła się nie tylko w stosunkach jego towa-

rzyskich, lecz i w rozwoju jego duchowym. Jak wiemy, wraz z Ewą Ankwiczówną przez swoją szczerą i serdeczną pobożność wpłynęła ona bardzo na ostateczne wyrobienie się i ustalenie uczuć religijnych Mickiewicza. Natura tego wpływu i wrażenia wzbudzone przezeń w duszy poety z przedziwną prawdą uwydatnione zostały we wspomnianym wierszu. Wieje od niego jakimś świeżym powiewem wiosennym, przenika go urok czystości i niewinności dziewiczej. Jest to objaw bardzo niezwykły w poezji nowożytnej, która aż nadto często z wielką siłą i prawdą przemawiała językiem uniesień namiętnych i żądz zmysłowych, ale wyjątkowo tylko dawała wyraz uczuciom szczerzej i prawdziwiej niewinności, jeśli zaś odezwała się niekiedy w podobnym tonie, to najczęściej wtedy, gdy występowała w roli komedyanckiej, wymuszonej pasterki lub też pedantycznej i gadatliwej moralizatorki, której sztuka komedyancka nie była też obcą.

Poezja Mickiewicza tem się właśnie wyróżnia, że jeśli nie brak jej burz namiętnych, to nie brak jej też idyllicznej iscie harmonii uczuć nieposzlakowanie czystych, a płynących wprost z serca, wyrażonych z nieporównaną prawdą i artyzmem. Dość tu wspomnieć niektóre ustępy IV-tej części „Dziadów“, oraz niektóre fragmenty z części I-ej. W odmienny sposób wyraziły się te uczucia w „Wierszu do Marceliny Łempickiej“. Tam były one objawem budzącej się do życia świeżej i czystej duszy młodzieńczej, tutaj są odgłosem tęsknoty serdecznej człowieka, którego „namiętne przepaliły bóle“, ale który nie utracił wiary w cnotę i niewinność ani wyrzekł się nadziei odzyskania ich, choć tak daleki od nich się czuje. W poczuciu tego oddalenia poeta staje pełen trwogi bogobojnej wobec świętości duszy niewinnej:

Dziś cię za stołem swym Chrystus ugościł,  
Dziś Anioł tobie niejeden zazdrościł,  
Ty spuszczasz oczy, które Bóstwem gorą,  
Jak ty mnie swoją przerażasz pokorą!

W tych wierszach jaka głęboka wyraża się wiara w uświęcającą moc sakramentu. Uderza nas ona promieniami bijącymi z tych oczu „Bóstwem gorejących“ i udziela się nam dreszczem

owego „przerażenia“, które poetę ogarnia na widok tej „świętej i skromnej“. Jak trzeba czuć i wierzyć, aby takich wrażeń doznawać, a jakim trzeba być artystą, aby w ten sposób je wyrazić!

Przejęty urokiem duszy niewinnej i wierzącej, kreśli poeta utkany z promieni nadziejskich obraz żarliwej jej modlitwy w przeciwieństwie do martwej obojętności dusz ludzkich, grzechami skalanych:

Grzesznicy nieczuli,  
Gdy my w spoczynku skroń ospałą złożym,  
Tobie klęczącej przed Barankiem Bożym  
Jutrzenka usta modlące się stuli.  
Wtenczas zlatuje Anioł twój obrońca,  
Czysty i cichy jak światło miesiąca;  
Zasłonę marzeń powoli rozdziela,  
A troskliwości pełen i wesela,  
Z takim nad tobą schyla się objęciem,  
Jak matka nad swem sennem niemowlęciem.

Mamy tutaj obraz nie zewnętrznej postaci ludzkiej, lecz niepokalanie czystej duszy ludzkiej, unoszonej na skrzydłach wiary w krainę marzeń świetlanych. Nie widzimy żadnych rysów realnych, żadnych barw ni cieniów, same tu tylko promienie, światła i blaski, a wśród nich unosi się eteryczna postać Anioła. A jednak jak żywo uprzytomnia nam poeta wizję nadziejską, rozwijającą się w jego wyobraźni wśród ciszy marzycielskiej ekstazy. A wśród tej ciszy czy słyszycie nagły, przejmujący krzyk duszy, spragnionej czystej wiary i niewinności:

Jabym dni wszystkich rozkosz za nie ważył,  
Gdybym noc jedną tak jak ty przemarzył!

Jest to jeden z najdrobniejszych utworów Mickiewicza, liczący zaledwie 26 wierszy, a jednak co treści w nim znaleźliśmy i z jakim wyrażonej artyzmem. Jest to istny klejnot poezji, przy całej swej prostocie i żywej, bezpośredniej prawdzie natchnienia tak wykończony, tak wyrzeźbiony w swej formie zewnętrznej. Patrzymy, jak ta forma doskonale przystosowana jest do treści, jak ją ogarnia i zamyka w sobie, jak ją uwydatnia w jej istocie wewnętrznej, w zewnętrznym jej uroku, w jej wpły-

wach i oddziaływaniach. W kilku wstępnych wierszach poeta z uczuciem czci trwożnej zbliża się niejako do swego przedmiotu, do ukazującego mu się w postaci dziewiczej, czystej, rozpromienionej Bóstwem duszy ludzkiej. Następnie pogrąża się w kontemplacyi jej życia wewnętrznego, siłą intuicji przenika do *sanctuarium* jej marzeń przeczystych i odczuwa bezpośrednią ich łączność ze światem nadprzyrodzonym.

Wreszcie w ostatnich dwóch wierszach przez dobitne uwydatnienie nicości rozkoszy ziemskich wobec czaru ekstazy religijnej jakże żywo nam uprzytomnia całą jej wzniosłość nadziemską.

W „Wierszu do Marceliny Łempickiej“ wyraża Mickiewicz uczucia w całym znaczeniu tego słowa osobiste, wzbudzone przez określoną, realną osobę, nazwaną z imienia i nazwiska, przy ściśle określonej i wyrażonej również w tytule okoliczności jej życia, a jednak ile w tym wierszu treści ogólnoludzkiej, jak wymownie przemawia w nim tkwiące w głębi sumienia całego oświeceniectwa, choć stłumione zazwyczaj przez pospolitą wrzawę życia, pragnienie doskonałej czystości duchowej. Poeci nieraz chwytają z zewnątrz idee i uczucia wszechludzkie w ich treści abstrakcyjnej i ukazują je nam strojne powabami mowy wiązanej. W tem przebraniu bardzo pięknie mogą one wyglądać, ale zawsze pozostają tylko manekinami myśli, luźno przyczepionymi do realnego życia duszy. Z gruntu tego życia, z czysto osobistych jego objawów wykwitają idee i uczucia ogólnoludzkie w twórczości wielkich poetów, bo oni streszczają w swem jestestwie, jak się wyraża Goethe, „to co ludzkości całej jest udziałem“ (*was der ganzen Menschheit zugetheilt ist*) i dlatego stają się przyrodzonymi rzecznikami odwiecznych jej pragnień i dążeń. To też w niejednym na wskrós osobistym wierszyku Goethego lub Mickiewicza więcej jest z pewnością szczerzo ludzkiej treści, aniżeli w całych poematach miernych i pośrednich rymotwórców, głoszących z górnołotnym patosem oderwane ideały humanitarne. „Wiersz do Marceliny“ służyć może za wymowny przykład takiego drobnego naczynia poetyckiego, które zawiera w sobie nieprzebrany skarb uczuć. Ale wyrażone w tym

wierszu uczucie religijne zwraca się nie wprost do Boga i do spraw Boskich, lecz odnosi się do nich pośrednio przez głębokie odczucie działania ich w niepokalanie czystej, a zatem szczególnie usposobionej do przyjęcia ich duszy ludzkiej. Jest to więc przedziwnie piękne odzwierciedlenie w poezji wpływu, który stać się miał pobudką i punktem wyjścia bardzo doniosłego zwrotu w rozwoju duchowym poety.

Stanęliśmy tu u kresu całej epoki owego rozwoju, epoki, która miała za hasło przewodnie przytoczony na wstępie dwuwiersz:

Czucie i wiara silniej mówią do mnie,  
Niż mędra szkielko i oko.

Jakoż istotnie dotychczas religijność Mickiewicza objawiała się nie tyle, że tak powiem, wymową samorzutną własnej jego duszy, ile raczej nadzwyczajną wrażliwością na stany i nastroje religijne, przemawiające doń odgłosem „czucia i wiary“ bądź to w zbiorowej tradycyi ludu, bądź w usposobieniu indywidualnem niektórych ludzi o duszach wyjątkowo czystych i świątobliwych.

Objawem tej wrażliwości jest „Wiersz do Marceliny“. Ale jak różnie ona się tu przedstawia. Przemawia tu do poety nie jakiś nieokreślony nastrój „czucia i wiary“, lecz stan duszy wierzącej i ku Bogu zwróconej w akcie religijnym o ściśle dogmatycznym charakterze. Sama możliwość tak żywego odczucia tego stanu i uświęcającej jego siły świadczy, iż religijność poety weszła na tory ścisłej prawowierności, a objawiające się przytem pragnienie doskonałej czystości duchowej jest zapowiedzią dalszego postępu ku najważniejszym celom i zadaniom dogmatycznej wiary chrześcijańskiej.

Postęp ten ujawnia się w późniejszych pieśniach religijnych Mickiewicza.

#### IV.

„Rozmowa wieczorna“ — taki tytuł nosi niewielki, ale pełen ogromnego uczucia utwór Mickiewicza, składający się z trzech zwrotek ośmiowerszowych i trzech sześciowerszowych, rozło-

zonych na trzy nierówne części, tak iż na pierwszą część przypadają trzy zwrotki, na drugą dwie, na trzecią jedna zwrotka.

Jest to pieśń skruchy i ukorzenia się przed Bogiem duszy wielkiej, świadomej swej siły wobec ludzi, swej słabości wobec Boga, a pełnej wiary i ufności w Ojca Przewiecznego, otaczającego cały rodzaj ludzki miłością i opatrznościową swą opieką. Sądzę, że na całym obszarze poezji chrześcijańskiej niewiele jest utworów, w którychby to poczucie ojcostwa Bożego wyraziło się żywiej, silniej i bezpośredniej, jak w owej przedziwnej „Rozmowie wieczornej“ Mickiewicza. Stąd pochodzi przenikający ją na wskrós ton serdecznej a pełnej czei poufałości. Wydajnia się on już w tytule utworu. „Rozmowa“ nazwał poeta tę natchnioną swą modlitwą, bo nie wygłasza on tu słów wzniosłych na podziw ludzki, lecz przemawia do Boga jak do Ojca miłościwego, oczekując Jego odpowiedzi w swem sercu. Ale rozmowy samej nie słyszymy; toczy się ona w niewysłowionej dla języka ludzkiego mowie duszy, w słowie poetyckiem słyszymy tylko słabe jej echa. W innym miejscu powiedział Mickiewicz:

Ile krwi tylko ludzie widzą w mojej twarzy,  
Tyle tylko z mych uczuć dostrzegą w mych pieśniach.

Prawda tych słów nigdzie dobitniej się nie okazuje, jak w pieśniach religijnych Mickiewicza i na tem polega szczególna ich wzniosłość, bo poezya w najwznioślejszych swych objawach jest tylko odgłosem niewysłowionych, nadziemskich pieśni, dźwięczących w duszy poety. Ale jak wymowne, jak porywająco piękne, jak potężne niekiedy są te odgłosy poetyckie wewnętrznej z Bogiem rozmowy! A obok tego, przy całej iście mickiewiczowskiej prostocie i bezpośredniej prawdzie wyrazu uczuciowego, jaki tu układ artystyczny całości, jakie artystyczne stopniowanie wrażeń, wynikające z naturalnego rozwoju wypowiedziających się uczuć! Czy można prościej i naturalniej wyrazić polot myśli ku Bogu, jak to czyni Mickiewicz w pierwszej zwrotce swej pieśni:

Z Tobą ja gadam, co królujesz w niebie,  
A razem gościsz w domku mego ducha;

Gdy północ wszystko w ciemnościach zagrzebie,  
I czuwa tylko zgryzota i skrucha:  
Z Tobą ja gadam! Słów nie mam dla Ciebie:  
Myśl Twoja każdej myśli mej wysłucha:  
Najdalej władasz i służysz w pobliżu,  
Król na niebiosach, w sercu mem, na krzyżu.

Poeta używa tu możliwie najprostszych wyobrażeń, swoich nam od dzieciństwa i zawierających się w odwiecznej tradycyi całego chrześcijaństwa. Tylko takie wyobrażenia żyją w nas prawdziwie i odżywiają nasz organizm duchowy, jak krew odżywia nasz organizm cielesny, z serca pochodzą i do serca trafiają. Wyobrażenia ukształtowane z efektów krasomówczych mogą nam się podobać, ale nie nam nie mówią, wysnute z idei oderwanych mogą nas wiele nauczyć, ale do serca nie sięgną i w krew duszy nie przejdą.

Z tą samą prostotą i żywą prawdą serca, idąc za głosem wynikającego zeń natchnienia, określa poeta w dwóch następnych zwrotkach swój stosunek do Boga w dodatnim i w ujemnym kierunku, t. j. w postępie swoim na drodze udoskonalenia duchowego i we wstecznym na niej ruchu ku upadkom grzechowym. I w jednym i w drugim kierunku odczuwa i uprzytomnia nam tajemnicę bezpośredniej łączności duszy ludzkiej z Bogiem; we własnem swem sercu odczuwa, jeśli się tak wolno wyrazić, radość Bożą wobec rozkwitającego w niem dobra i cierpienie Boże wobec zalewającego je zła, odczuwa pomnożenie własnej siły przez siłę Bożą, własnej zasługi przez zasługę Bożą. Oto jak określa poeta ten nieustanny prąd życia duchowego między jestestwem ludzkim i jestestwem Boskiem:

I każda dobra myśl, jak promień wraca  
Znowu do Ciebie, do źródła, do słońca,  
I nazad płynąc znowu mię ozłaca,  
Śle blask, blask biorę i blask mam za gońca.  
I każda dobra chęć Ciebie wzbogaca,  
I znowu za nią płacisz mi bez końca,  
Jak Ty na niebie, Twój sługa, Twe dziecię  
Niech się tak cieszy, tak błyszczy na świecie.

W przeciwieństwie do dobra, jako źródła radości i szczęścia, trzecia i ostatnia zwrotka części pierwszej ukazuje nam



zło jako źródło cierpienia, którego najwyższym, najwznioślejszym objawem tajemnica męki Bożej, odnawianej przez grzechy człowieczeństwa.

Tys Król, o cuda! i Tys mój poddany!  
 Każda myśl podła, jako włócznia nowa,  
 Otwiera Twoje niezgojone rany  
 I każda chęć zła jest gąbka octowa,  
 Którą do ust Twych zbliżam zagniewany —  
 Póki Cię moja złość w grobie nie schowa,  
 Cierpisz, jak sługa panu zaprzędany:  
 Jak Ty na krzyżu, Twój pan, Twoje dziecię  
 Niechaj tak cierpi i kocha na świecie.

I tutaj nie używa poeta żadnych nadzwyczajnych i niezwykłych antytez krasomówczych; posługuje się zawsze wyobrażeniami nader prostemi, obecnemi w myśli każdego wierzącego chrześcijanina. A jednak z zestawienia ich artystycznego, z owych potężnych przeciwstawień Boga jako poddanego i sługi człowieka jakąż olbrzymia wynika siła wyrazu poetyckiego. Podobnie silne wyrażenie myśli mistycznej o cierpieniu Bożem, przez grzechy ludzkie sprawionem, możnaby znaleźć w „Parsifalu“ Wagnera, w przejmującej skardze Zbawiciela, wzywającego wybawienia ze skalanych rąk, piastujących święty symbol Jego męki.

Spokojny dotąd przeważnie, wstrząśnięty tylko kontrastami trzeciej zwrotki tok myśli poetyckiej, w drugiej dwuzwrotkowej części „Rozmowy wieczornej“ wzmacnia się w sile wyrazu, wybucha zgrzytami i dysonansem dobywającego się z głębi duszy głosu „złego sumienia“ i znajduje ujście w harmonijnym akordzie miłosierdzia Bożego:

Kiedym bliźniemu odsłonił myśl chorą  
 I wątpliwości raka, co ją toczy:  
 Zły wnet ucieczką ratował się skorą,  
 Dobry zapłakał, lecz odwrócił oczy.  
 Lekarzu wielki! Ty najlepiej widzisz  
 Chorobę moją, a mną się nie brzydzisz!

Gdym wobec bliźnich dobył z głębi duszy  
 Głos przeraźliwszy, niżli jęk cierpienia,

Głos wiecznie grzmiący w piekielnej katuszy,  
 Cichy na ziemi, głos złego sumienia:  
 Sędzio straszliwy! Tyś ognie rozdmuchał  
 Sumieniu złemu — a Tyś mnie wysłuchał!

Zwracam uwagę na potęgę wyrazu ostatniej zwrotki, ujawniającą się nie tylko w silnych wyobrażeniach zmysłowych, lecz także w jaskrawych brzmieniach zgłosek i w spadku rytmicznym osobliwie dwóch końcowych wierszy, w połączeniu ich ścisłem i w przerwie naglej, przypadającej na cezurę drugiego z nich i uwydatniającej tak żywo uroczysty spokój ostatnich słów: a Tyś mię wysłuchał.

Nieźrównanie wreszcie wspaniały, przepotężny myślą swą i zewnętrznym jej wyrazem jest finał pieśni, dźwięczący w ostatniej jednozwrotkowej jej części:

Gdy mię spokojnym zowią dzieci świata,  
 Burzliwą duszę kryję przed ich okiem,  
 I obojętna duma, jak mgły szata,  
 Wewnętrzne pioruny pozłaca obłokiem;  
 I tylko w nocy, cicho, na Twe łono  
 Wylewam burzę, we łzy roztopioną.

W niewielu objawach swego natchnienia Mickiewicz tak zupełnie odsłonił nam głębi swego ducha i tajemnicę swego geniuszu, którego wielkość polegała głównie na bezprzykładnem prawie skupieniu wewnętrznem, dającym poecie na zewnątrz doskonałą harmonię spokoju, a w tym spokoju moc niezwalczoną. A jakie ta ostatnia zwrotka odpowiednio stanowi zakończenie całej kompozycji, jak ją artystycznie zamyka, zaokrągla, wyczerpuje w swoich pełnych, szerokich akordach poetyckich, roztaczających się w takim wspaniałem i wyrazistem obrazowaniu, jak artystycznie wreszcie w końcowych wierszach powraca początkowy motyw ciszy nocej i przechodzi w motyw owej „burzy we łzy roztopionej“, niby po krótkiej, wyrazistej pauzie ostatnie uderzenie potężnego akordu, który rozplywa się stopniowo w cudownej nadziemskiej harmonii zbawczych i uświęcających duszę łez skruchy.

Czyż to nie prawdziwa symfonia poetycka ta przedziwna

pieśń skruchy, dźwięcząca taką pełnią wyrazistych tonów duszy w tak niezrównanie artystycznym ich układzie i rozwinięciu? Ale któż zdoła przeniknąć okiem badawczem głębin jej harmonii duchowej? Badacz wskazać może tylko i oświecić zewnętrzny ruch jej fal, wewnętrzne jej tajniki każdy w sercu własnem musi odczuć i odgadnąć.

(Dok. nast.).

*Walery Gostomski.*

---

# VOTA I SOBIESKI.

(Dokończenie).

---

Na nic to się nie przydało. Audytor papieski przyjął Votę grzecznie, przyrzekł o onej kongregacyi mówić z papieżem. „Dzisiaj rano (3 kwietnia) powiada, że ta rzecz do niego nie należy, bo mówił wczoraj z papieżem, wymienił i mnie, ale papież nie dał mu rozkazu zebrania kongregacyi i zmienił tok rozmowy. Dodał i to (audytor), że cały dwór powstaje na projekt. Odpowiedziałem, że król nie szuka projektów, lecz utrzymania się w posiadaniu prawa, którego zaprzeczyć nie mogą”<sup>1</sup>.

Oburzony taką „niegodziwością“ audytora, Vota pisze do króla 4 kwietnia: „*Soli, soli, soli...* Najpodlejsza zdrada przeciw Bogu, papieżowi i WKMc. Audytor przeszkodził konsulecie pałacowych kardynałów, przerobił ich i papieża. „Śmiał okazać się otwartym wrogiem WKMc. Jesteśmy znów u początku po tylu wysileniach, przez perfidyę tego człowieka zaprzadanego zakonnikom i nieużytością kardynała dataryi, który pociągnął za sobą Spadę i Albaniego i wszyscy trzej drwią sobie z papieża, wmawiając w niego, co chcą. Spada, oddany nuncyuszowi (Santa-Croce), który podpala ten ogień i listami swymi do kuryi papieskiej spowodował tę krzywdę, pogardę i afront niewymowny papieżowi i królowi JMci. Ci zakonnicy chyba posłu-

---

<sup>1</sup> Tamże, nr. 57. Vota do kard. Barberini 3 kwietnia.

gują się jakimiś środkami tajnymi, nadzwyczajnymi. Może nawet przekupują urzędników kardynalskich, a ci pociągają za sobą swych panów. To pewna, że ktoś zdradza WKM. i podsycą tych zakonników w Polsce, którzy zuchwale grożą ministrom WKMei za to, że mu wiernie służą<sup>1</sup>. Niech więc król JM. wyrządzi sprawiedliwość po swej stronie; niech zmieni ton i ukarze opornych zakonników; niech przemówi ostro do nuncjusza, ale nie przez osobę duchowną... Pójdę pozalić się papieżowi... skoro zasięgnę języka<sup>2</sup>. Żal jego do nuncjusza wzmagał się, im więcej napotykał oporu u kardynałów. Skarżył się głośno przed Spadą i papieżem, że „już od dawna król JM. ma dziedzicznych wrogów w nuncyuszach i sprawia im to pociechę łączyć się z wichrzycielami i intrygantami, a jeżeli biskup jaki lub wojewoda intryguje przeciw królowi, państwu lub sejmowi, to wiąże się natychmiast z nuncyuszem, jak gdyby Stolica święta miała korzystać z poniżenia powagi królewskiej<sup>3</sup>”.

W innym liście, *Soli, soli, uratur* (do rąk własnych, spalić), wyrzeka na kardynała Panciatichi; onto przerobił papieża i „za nos go wodzi”: onto rozgłasza po Rzymie, że król z wyboru bezsilny i bez znaczenia; onto gardłuje za zakonnikami. Niech król chwyci się repressaliów, pierwszego opata z nominacji nuncjusza (Rzymu) niech wypędzi, kortezanów niech odda pod sąd, bo są przeciw nim prawa surowe. Popsuł bardzo sprawę patronatu jakiś list z Polski z wieścią, że król wchodzi w układy z zakonnikami. „*Absit hoc, absit*, broń Boże czynić tego, układy nas zgubią, zostawcie to mnie, już ja tę sprawę przeprowadzę<sup>3</sup>”.

Pierwszych dni maja udał się znów do Ojca świętego, „który tegoż jeszcze wieczora rozkazał audytorowi najostrej, aby się zebrała kongregacya kardynałów i prałatów dla zakon-

<sup>1</sup> Helcel, „Listy Sobieskiego“. Kraków, 1860 r. str. 472. Już we wrześniu i październiku 1692 r. radził królowi użyć repressaliów i rozłożyć na leże wojsko w dobrach „zakonników opornych“. Domagał się tego sejmik wielkopolski. (Ms. bibl. Ossol., 3004. Teki Lukasa).

<sup>2</sup> Teki Lukasa, nr. 3004, str. 50.

<sup>3</sup> Tamże. List bez daty, ale widocznie w tym okresie oburzenia Voty pisany.

czenia tej sprawy, i objawił przytem mocne i słuszne postanowienie zadowolić króla i uspokoić kraj<sup>4</sup>.

Jakoż 18 maja odbyła się owa kongregacya i trwała półtrzeciej godziny. Papież chciał podobno, żeby Vota był na niej obecny. Więc przez cały czas sesyi wyczekiwał w przedpokoju. Nie wezwano go. Na szczęście, krótko przed sesyą, wręczył kongregacyi memoriał o tem, czego właściwie król polski żąda. Tylko kardynał Albani i dwaj prałaci, Filippi i Ceretani, stanęli w obronie króla; kardynał Panciatichi i prałaci: Lancetti i Sacripanti wystąpili „ogniście przeciw sprawie królewskiej... a kardynał Spada był letni...” „Uchwalono odroczenie sprawy... a tymczasem (na wniosek Albaniego) ustąpiono te cztery opactwa, które się znajdują w prawie”<sup>1</sup>. O. Vota tej ofiary nie przyjął i dobrze zrobił, bo „po kongregacyi wszystkie słowa cofnięto i sprawę sprowadzono na to, że każde opactwo z osobna ma być rozpatrywane, tj. odłożono sprawę *ad graecas calendas*, na nigdy, Bóg, papież i król sami sobie wymierzą sprawiedliwość”<sup>2</sup>.

Oto co uzyskał O. Vota w sprawie opactw. Przeniosła się ona do nuncyatury polskiej, która znów odsyłała ją do Rzymu. Gdyby to była sprawa z królem francuskim lub cesarzem, misya Voty odniosłaby inny skutek, ale z bezsilnym królem polskim i anarchiczną Rzpltą nikt się nie liczył, nie liczono się więc i w Rzymie, a natarczywość Voty zaostrzała opór. W nagrodę za bezowocne trudy spotkało go oszczerstwo. „Zawiadamia mnie O. Orta, generalny prokurator zakonu — donosi Vota kardynałowi Barberini z Wiednia 24 października 1693 r. — że tam (w Rzymie) pojawiło się pismo w formie memoriału, niby przeze mnie napisanego i podpisanego, z ostreimi napaściami na kardynałów i innych. Nie sędzę, by kto uwierzył w możliwość takiej z mej strony niegodziwości. Co dotąd pisałem, wszystko składałem własną ręką u stóp Ojca świętego i kardynałów. *Nec erubui evan-*

<sup>1</sup> Świętokrzyskie, przemęckie, czerwiniśkie, mogilnickie, których opaci z nominacyi króla czekali na zatwierdzenie papieskie od dawna, bo kontr-opaci z wyboru zakonników przeszkadzali temu.

<sup>2</sup> Tamże, nr. 58—61. Vota do kard. Barberini 7 i 19 maja; 3 czerwca 1693 roku.

*gelium* (nie wstydzę się tego), bo jakkolwiek szczerze, jasno i religijnie, więc bez obłudy i schlebiana mówiłem rzeczy w prawdzie i miłości niezmyślonej za tyle zasłużonym królem, niemniej nie było w tem nigdy najsłabszego cienia napaści na książąt i kardynałów Kościoła, których szanuję wysoko... Pan Preiser (sekretarz ajenta polskiego Ruytera) ma u siebie wszystkie odpisy, a oryginały z całą ufnością i poddaniem się udzielałem WE.; po wyjeździe zaś ani myślałem o pisaniu memoriałów lub czego innego, bo orędownictwo (sprawy opactw) powierzyłem WE., a przypilnowanie Ruyterowi... Jest to dzieło czyjejs złośliwości“.

Prosi więc kardynała o świadectwo niewinności, gdyby było potrzebne temu, „który z chrześcijańską gorliwością pracował nad zgodą między Stolicą św. a królem polskim... W ciągu dzieściolecia mego przy dworze polskim najwyżsi pasterze, informowani przez nuncyuszów, zawsze zadowoleni byli ze mnie... W Rzymie, w obronie stojąc króla, otrzymałem z najmędrszych ust Ojca św. kilka razy i na ostatniej także audyencji najłaskawsze uznanie mych dobrych chęci i w wielu *breve* do króla wyrażał się Ojciec św. ku wielkiemu memu zawstydzeniu pochlebnie o mojej małości. To powinnyby wystarczyć na obronę mojej niewinności przeciwko podobnym szczerym wymysłom“, resztę zostawia obronie kardynała, „gdzieby się znalazła sposobność“<sup>1</sup>.

Nie był szczęśliwszy O. Vota w sprawie subsydyów pieniężnych. W 1691 r. Ludwik XIV zawarł pokój z Achmetem II i nakłonił go, że ten 1692 r. przez hana tatarskiego ofiarował królowi Janowi oddanie Kamieńca, Podola i Ukrainy, byle odstąpił od ligi świętej. Domagał się pokoju prawie powszechny głos szlachty, którego echem list biskupa kujawskiego St. Dąbskiego, do króla<sup>2</sup>, bo już wszystkim sprzykrzyła się kosztowna a bezowocna wojna, niewdzięczność sprzymierzonych, straszliwe

<sup>1</sup> Tamże, nr. 64.

<sup>2</sup> Załuski, I 1297.

wyniszczenie i ucisk ludu przez niepłatne i dla tego swawolne wojska. Sejm grodzieński w styczniu 1693 r., który miał nowe podatki uchwalić, został zerwany i „nikomu o to nie chodziło, tylko król się zmartwił“. Wnet po sejmie napad Tatarów na Ruś zniszczył najżyźniejszą krainę aż po Stryj i uprowadził 40000 brania w jassy, bo jak król Vocie donosi, wojsko hetmańskie, obozując wśród zimy pod namiotami, niepłatne, chłodne i głodne porozłaziło się do domów, garstka tylko w obozie pod Brzeżanami pozostała przy hetmanie, z którą mu ważyć się przeciw hordzie nie można było<sup>1</sup>.

Źle się także wiodło cesarskim na Węgrzech. Od zwycięstwa pod Salenkemen 1691 r. aż do 1695 r. żadnej znacznej nie odnieśli nad Turkami korzyści, bo siły cesarskie rozerwane wojną francuską, bo brakło wodzów z talentem i energią Karola Lotaryńskiego.

Wszystkie te niepowodzenia, które wreszcie zmuszą króla do zerwania ligi, przedstawiał O. Vota kardynałom i papieżowi. Trafił na niepojętą obojętność. Już d. 19 lipca 1692 r. donosił królowi, że z polecenia papieża odbyła się nad tym przedmiotem kongregacya czterech kardynałów: Cibo, Barberini, Lauria i Albani, której on odczytał obszerny memoriał, przedstawiając straszliwe wyniszczenie kraju, a także prywatnych dóbr królewskich przez Tatarów, niemożebność dostania więcej pieniędzy, skoro dotąd wydano na wojny 130 000 000 złp. — ale przytem wskazywał na źródła, z których, czerpiąc, papież mógłby, oprócz danych już 5000 pistoliów czyli 10000 talarów, dać jeszcze 400000 liwrow subsydjów. Jakież to źródła?

Vota proponował papieżowi na audyencyi pierwszych dni sierpnia, aby taksy za dyspensy w pierwszym i drugim stopniu pokrewieństwa, które od razu przyniosą 40 do 50 tysięcy talarów, przesłać jak najspieszniej królowi, inaczej król zmuszony będzie zawrzeć osobny pokój, który mu han ofiaruje. Ale „jakaś niewidzialna ręka“ paraliżowała wpływ Voty na papieża, „nie

---

<sup>1</sup> Załuski, II 860.



mógł się zdecydować na te dyspensy<sup>1</sup>. Po wielu tygodniach, d. 7 lutego 1693 roku pisze: „Poruszę znów sprawę subsydyów, *licet modica spes*, chociaż słaba nadzieja, bo za wiele psów goni za jednym zającem... Wołają w tym samym czasie o pieniądze dla Węgier, dla Jakóba II, dla Wenecyi i szczerką coraz bardziej (*jappent plus haut*), podczas gdy Polska, mając za sobą sprawiedliwość i *pacta conventa*, woła na próżno“<sup>2</sup>.

Na posłuchaniu 2 kwietnia 1683 r. skarżył się papieżowi w imieniu króla na zdradę Moskwy, która, zawarwszy pokój z Krymem, rzuciła się na zdobywanie Azowa i dowodził, że liga upadnie, gdy jedni Polsce pomocy nie dają, drudzy ją zdradzają — *sed frustra*, nadaremnie. „Zakomunikowałem mu też straszny napad Tatarów i uprowadzenie 40000 ludu w jassyr. Był tem wzruszony, ale to nie wpłynęło na danie subsydyów, bo zaraz zmienił przedmiot rozmowy“<sup>3</sup>. Wyjeżdżając w połowie czerwca z Rzymu, uzyskał *Vota breve pro vacantiis ecclesiarum polonicarum* na użycie dochodów interkalarnych na wojnę świętą albo na spłacenie długów Rzpltej. Oto wszystko<sup>4</sup>.

Rzemiennym dyszlem wracał O. Vota do Polski. Wyjechałszy z końcem czerwca z Rzymu, dopiero dnia 4 września dotarł do Wenecyi, „tyle czasu zeszło mi na podróżach po różnych częściach Lombardyi i w Piemontcie: we Florencyi, Bolonii, Mantui, Modenie, Parmie, Turynie i w obozie św. Brygidy

<sup>1</sup> Ms. bibl. Ossol. nr. 3004. Teki Stan. Lukasa. Listy Voty wypisane z Archiw. berlińskiego. Vota do króla 19 lipca, 9 sierpnia 1692 r.

<sup>2</sup> Tamże. Vota do króla 9 września, 18 października 1692 r. — Tą tajemną ręką zdaje się być (list 18 października) kontr-opat świętokrzyski Bogdanowicz, który przez sekretarza memoryałów sekretnych, prałata Fabroni, pozyskał dla sprawy swojej i zakonów kardynała Panciatici, ten zaś papieża i innych kardynałów.

Później w maju 1693 r. Vota przypisywał systematyczne, a zawsze nieprzewidziane psucie swej ciężkiej roboty listom nuncjusza Santa-Croce. Radził nie przyjmować go na audyencyi i innych przeciw niemu użyć represaliów, bo król za miękki pozwala sobie wyrządzać przykrości od zakonników i nuncjusza, którychby nie zniósł doża wenecki, książę florencki lub parmeński.

<sup>3</sup> Helcel. „Listy Jana Sobieskiego“, 471.

<sup>4</sup> Teki Lukasa 3004. Vota do króla 13 czerwca 1693 r.

pod Pinarolę, doznając łask od monarchów i kardynałów“. Wskutek upałów zapadł dni kilka na zdrowiu. Sprawa opactw i w Wenecyi nie dawała mu spokoju. Dlaczego zwlekają z prekonizacją opata świętokrzyskiego i z emfiteuzą dla referendarza kor.? — dlaczego nie nie robią w sprawie onych czterech przyznanych już królowi opactw? — pyta kardynała Barberini i błaga, aby nagił.

W Solnogradzie wypoczywał, a księżę arcybiskup swymi końmi i ludźmi odesłał go do Wiednia 16 października 1693 r. „Przyjęty tu jestem przez cesarza JM. najlaskawiej... który kilka razy mnie wysłuchał... a jutro ruszę ku Krakowu“. Tymczasem cesarz zatrzymał go dłużej i dopiero 1 listopada „po wielu audyencyach i łaskach“, pozwolił Wiedeń opuścić. Między innemi rzeczami „mówił cesarz JM. dwa razy ze mną, że stosownem by było i właściwem małżeństwo królowej polskiej Teresy z elektorem bawarskim i że dwór cesarski życzyłby sobie tego, a zarazem wyraził obawę, azali księżniczka hanowerska od Francyi zależna nie zajęła już tego miejsca“<sup>1</sup>.

W trzy dni, 3 listopada już stanął Vota w Krakowie; „magistrat odwiedził mnie i przyjmował, ugaszczając“; wreszcie 29 listopada zajechał do Żółkwi: „król JM. przyjął mnie najdobrotliwiej i ciągle trzyma mnie przy sobie“. Zastał tu już listy kardynała Barberini do króla, „zaświadczone, że zawsze pisał z nadzwyczajnem uszanowaniem i że z wytrwałą energią i dzielnością pracowałem pod kierunkiem WE. nad zgodą między najświętszym Pasterzem a najreligijniejszym królem“.

Po nagłej śmierci francuskiego posła d'Ennevalle przybył na dwór polski opat Melchior Polignac, aby zawczasu przygotować na wypadek śmierci króla Jana elekcyę francuskiego księcia Conti. „Skarb to nauki i uprzejmości. Dniami całymi dla rozrywki króla chorego na katar rozprawiamy i dysputujemy“. Do kataru jednak przyplątała się złośliwa febra. Król z woli lekarzy nie przybył na zapowiedziany już na styczeń

---

<sup>1</sup> Tamże, nr. 63, 64, 73. Vota do kard. Barberini 4 września z Wenecyi, 24 października 1693 r. z Wiednia i 23 marca 1694 r. z Żółkwi.

sejm warszawski, który też się wcale nie rozpoczął. Tymczasem instygator kor. zacytował przed sąd asesorski opatów kortezanów, Mireckiego i Bogdanowicza<sup>1</sup>.

Zachorował i żelaznego zdrowia O. Vota na fluksyę, „która mu spadła na oczy“ i prawie 4 miesiące więziła w ciemnym pokoju i lekach. Nie próżnował jednak, dyktował listy, zajmując się żywo to sprawą margrabięgo d'Arquien, którego Ludwik XIV dla pozyskania królowej zaszczycił (29 marca 1694 r.) orderem św. Ducha i parostwem Francyi, to sprawą opactw, która dla oporu nuncjusza i niechęci jego do Voty<sup>2</sup> dopiero w jesieni na nowo w Rzymie podjęta została, to wreszcie główną swą misją podtrzymania ligi św. Zręczny Polignac uwijał się nad sklejeniem pokoju Polski z Turcyą, a pozyskawszy królowę orderem i parostwem jej ojca, paraliżował czynności wojenne, swatał królewicza Aleksandra z księżniczką Orleańską, słowem czynił wiele a zręcznie, aby króla z ligi wycofać. Nadaremnie.

Sejm styczniowy 1694 r. dla choroby króla ani się nie rozpoczął; drugi sejm zwołany został na grudzień t. r., ale i ten przez Sapiehów zerwany, a Vota, który z Rzymu nawoływał do represaliów, teraz łagodził króla, aby do sądu nad opatami kortezanami nie dopuścił, ale raczej jakieś ustępstwo przeorom i zakonnikom uczynił, pozwalając na nieznaczne powiększenie dóbr klasztornych z dóbr stołu opackiego, aby broń Boże w żadne pokojowe układy z Turkiem bez współudziału cesarza i Wenecyi nie wchodził. Znękany król godził się na wszystko. „Poseł królewski do Turka i hana tatarskiego wyruszył z powrotem z Adrianopola, nie zrobiwszy nic, bo nie miał upoważnienia od króla ani Rzpltej. Więc zawiedzione będą nadzieje tych (Polignac'a i partyi francuskiej), którzy myśleli, że rozerwie się liga św. przeciw Turkom. Ja pracowałem, o ile mi sił starczyło,

<sup>1</sup> Wyciąg z listów Voty, nr. 65—67. Vota do kard. Barberini 4 listopada z Krakowa, 1 i 15 grudnia 1693 r. z Żółkwi.

<sup>2</sup> Podejrzynał go, „jakoby puścił w obieg pisma jakieś, które się mu nie podobały“ i nie odpowiadał na listy tego, „który sam jeden trzymał sprawy całej i może usposobić króla do tego, co będzie uważał zgodnem z chwałą bożą“. Vota do kard. Barberi z Żółkwi 25 maja 1694 r.

dla tej św. ligi, na chwałę chrześcijaństwa i dla zgody między książętami na cześć Stolicy św.... Dzięki szlachetnej wstrzeźliwości króla, liga św. wyszła cało pomimo wielkich ofiar Turków i Tatarów... Tymczasem prowadzi się jak i w zimie partyzancka wojna z Tatarami i Turkami a wojskami naszymi i załogami na Podolu i Mołdawii z korzyścią naszą i doprowadziła do ostatniej rozpacz y załogę kamieniecką<sup>1</sup>. Pomścili Tatarzy niepowodzenia w lutym 1695 r. strasznym napadem na Ruś aż pod Lwów, skąd ich przecie odegnał hetman Jabłoński, oni zaś w powrocie złupili srodze dobra królewskie.

Zresztą ślub królowej Teresy Kunegundy z Maksymilianem Emanuelem, elektorem bawarskim, który się odbył przez prokurację 15 sierpnia 1694 r. w Warszawie z wielką okazałością i wycisnął z pod pióra Voty przykrą uwagę, iż „tylko Polska z tylu swymi magnatami jest w stanie robić takie wydatki i wystawy“, a był ostatnią chwilą szczęśliwą dla dogasającego króla, — wzmocnił jeszcze silniej, niż perswazyje Voty, ligę św.

Zato sprawa opactw nie postąpiła kroku naprzód, owszem zaostrzyła się. Czy to wskutek niechęci dla Voty nuncjusza, który zwlekał z układami w tej sprawie z komisarzami królewskimi, czy na przekór królowi, audytor papieski przysłał w lipcu 1694 r. nowe zatwierdzenie papieskie dla kontr-opata Mireckiego, a „tu po kraju rozesłano cyrkularze generała Cystersów i pewnego prokuratora francuskiego do opatów ich tutejszych, w których deklarują się przeciw racyom i prawom królewskim“, jakkolwiek ten prokurator, zaproszony przez Votę, „nie chciał działać wspólnie u króla JM.“ Ten, dowiedziawszy się podczas obiadu o nowym przywileju Mireckiego, ledwo zdołał gniew pohamować i pożalił się o tę nową zniewagę przez kardynała Barberini przed papieżem. Na generała Cystersów i prokuratora wnieść kazał skargę do Ludwika XIV „o szkodliwy zamach na prawa

---

<sup>1</sup> Tamże, nr. 72, 74. Vota do kard. Barberini z Żółkwi, 13 marca i 6 kwietnia 1694 r. Turcy ofiarowali Podole z Kamieńcem i Ukrainą. Gotowi byli układać się z całą ligą i wysłać posłów do Śniatynia lub Stryja, ale nie do Wiednia, bo „tam ich traktowano, jako więźniów“.

królewskie. Jeżeli się oni nie cofną, narażą się na to, że opaci tutejsi usunięci zostaną z pod obedyencyi jenerała francuskiego, na którego użala się król, że narusza posłuszeństwo należne prawom krajowym od jego podwładnych. Ale spodziewać się należy, że powaga króla francuskiego i roztropność jenerała i prokuratora zapobiegną temu“<sup>1</sup>.

W Rzymie tedy wiał wiatr królowi przeciwny, a w Polsce nuncyusz nic nie robił, aż go kardynał Spada w sierpniu 1694 r. upomniął, aby nareszcie do układów z królem w sprawie opactw przystąpił. Vota jak zwykle ofiarował swe usługi, nuncyusz nie przyjął, aż znów kardynał Barberini przekonywać go musiał o czci i oddaniu się O. Voty dla papieża i nuncyusza<sup>2</sup>. Ten jednak trwał w swem uprzedzeniu do Voty i oporze w sprawie opactw, która przewlokła się aż w pierwsze dziesiątki XVIII w. To pewna, że od 1689 r. król żadnego więcej opactwa nie dał w komendę przez cześć dla św. Stolicy. Usposobił go tak Vota. Ale zato zakonnicy opacy jedni agitowali przeciw królowi w kuryi rzymskiej i nuncyaturze i zdobywali sobie przywileje, drudzy zgłaszali się do króla z submisją, której on znów przez wzgląd na wlokące się układy z Rzymem nie przyjmował. Zamieszanie trwało większe niż przed 1689 r., pozew instygatorski wisiał nad głowami opornych królowi kontr-opatów, ale Vota przebłagał króla i do sądu i wyroku nie dopuścił.

Miedzy posłem francuskim de Béthune a cesarskim przyszło do otwartej waśni. Markiz do Béthune wyzwał na pojedynnek hr. Thuna. Za pozór służył list Thuna do wojewody wileńskiego, Kazimierza Sapiehy, w którym zarzuca de Béthune'owi intrygi w celu detronizacyi króla Jana. Opinia dworu i Warszawy stała po stronie markiza. Wdał się w to Vota i nakłonił króla, aby upomniął obydwóch, iżby się w granicach Rzpltej pojedynkować nie ważyli. Do pojedynku nie przyszło.

---

<sup>1</sup> Tamże, nr. 84. Vota do kardynała Barberini z Pilaszkwie (pałac króla) 27 lipca 1694 r.

<sup>2</sup> Tamże, nr. 86. Vota do kardynała Barberini z Warszawy 17 sierpnia 1694 r.

Wkrótce markiz de Béthune z rozkazu swego króla udał się na poselstwo do Szwecyi i tam umarł 1692 r.

Z groźnego sporu biskupa wileńskiego Brzostowskiego z hetmanem wielkim litewskim Kazimierzem Sapiehą o niszczenie dóbr biskupich stacyami wojskowemi wyniknął spór między kardynałem prymasem Radziejowskim, biskupem wileńskim, a nuncyuszem. Biskup wyklął Sapiehę 14 kwietnia 1694 r., prymas zdjął klątwę, nuncyusz Santa-Croce uważał to za naruszenie swej jurysdykcyi i zatwierdził klątwę biskupa. Sprawa oparła się o Rzym. Innocenty XII dnia 7 sierpnia 1695 r. zawiesił ekskomunikę Sapiehy do trzech miesięcy, załatwienie sporu polecił prymasowi i nuncyuszowi. Król miał aż nadto powodów wystąpić przeciw Sapieże, potężnemu przeciwnikowi dworu i królewskiej partyi, „stanął jednak po stronie słuszności, tj. za nietykalskością Kościoła, a ja (Vota) jako teolog z obowiązku i samej gorliwości utwierdzam go w tem. Naradzano się kilka razy z kardynałem (prymasem), rozpędzono nieco podejrzeń... Miałem polecenie i widziałem się kilka razy z JE. prymasem i z należyty-m skutkiem... Zdawało mi się w mej lichocie, że to, co się stało, a odstąć się nie może, najlepiej puścić w niepamięć i tym sposobem nie będzie już powodu do kłótni między Sapiehą a biskupem. Ale postanowiliśmy, że na przyszłość nietykalskość Kościoła nie będzie naruszona i powaga królewska“<sup>1</sup>. Zbyt różowo patrzył Vota na tę groźną kłótnię potężnego magnata, która zerwała sejm 1695 r.; zażegnał ją dopiero 1696 r. nowy nuncyusz Davia.

Jak w sprawach publicznych tak i w prywatnych domowych króla Vota był mu zaufanym doradcą i wiernym sługą. Tak np. „z jego porady“ zbudował król 1693 r. nowy pałac letni w Kukizowie, „w rozkosznem miejscu, na pięknej wyspie, o trzy mile od Żółkwi“<sup>2</sup>. Wracającemu z Neapolu O. Vocie podarował książę Borghese przez wdzięczność, że przed laty w We-

---

<sup>1</sup> Tamże, nr. 87. Vota do kardynała Barberini z Warszawy 27 sierpnia 1699 r.

<sup>2</sup> Tamże, nr. 78.

necyi pogodził go z księciem Pamphilim, „ośm klaczy neapolitańskich i pięć źrebiąt“, z wyraźnym dodatkiem, że to dar nie dla króla, ale dla niego. Vota, wróciwszy z Rzymu, ofiarował klacze i źrebce królowi, a poniósł niemało kosztu i zachodu na ich sprowadzenie z Neapolu do Żółkwi<sup>1</sup>.

Ważnie w rodzinie królewskiej uciszał Vota, jak mógł, tał przed królem, albo podawał sposoby, jak im zapobiedz.

Zastanawiając się nad talentem, charakterem i 12-letnią działalnością O. Voty przy boku króla Jana, ma się to wrażenie, jakoby pięknym i prawdziwym jego talentom brakło przenikliwości i poważnego, z należytych namysłem traktowania rzeczy. Rwał się i narzucał prawie do każdej sprawy, a przeceśniał swój talent, spryt i zręczność i wyobrażał sobie, że czego się tknie, gdzie się tylko pokaże, kogo tylko w swe obroty weźmie, wszystkie trudności ustąpią, wszystko przeprowadzi, każdego przekona i pokona. Rozerwany mając umysł tylu naraz, dobrowolnie, często bez potrzeby przyjętemi na siebie sprawami, nie miał czasu i umysłowej siły dosyć, aby każdą spokojnie, gruntownie obmyśleć i do końca szczęśliwie przeprowadzić. Wyłoniła się w nim pewna chępliwość przypisywania sobie wszystkiego, chociaż pierwiej i skuteczniej pracowali nad tem inni; ta zaś, obok narzucającej się do każdej usługi gotowości, wyglądającej na wściubstwo i pewnej natarczywości w samej akoyi, zrażała do niego wielu, podawała w lekceważenie, a tem samem wywoływała opór i pewną zaciętość z ich strony.

Nie był to więc dyplomata wielkiego stylu. Wady te wszelako maleją wobec rzeczywistych zalet i cnót prawie heroicznych tego męża. Żaden ablegat papieski nie mógł z większem poświęceniem i wytrwałością stać na straży ligi świętej, popierać i bronić jej, jak to czynił Vota — niesłusznie o to gniewają się nań historycy polscy. Żaden nie miał tyle inicjatywy, nie okazał tyle animuszu w rozkrzewianiu katolicyzmu w akatolickich państwach a unii na Rusi polskiej, jak on. Osobisty jego stosunek do króla i jego rodziny nacechowany miłością, przywiązaniem,

<sup>1</sup> *Archiv. Prov. Pol. Życiorys Voty.*

poświęceniem i bezinteresownością, służyć mógł za wzór całemu dworowi; król nie miał wierniejszego sługi i przyjaciela nad Votę, ufał jego szerokiemu rozumowi, ale i jego zacnemu sercu. Cechowała go nieposzlakowana czystość obyczajów i uczciwość, niezdolna dać się popsuć złotem<sup>1</sup>. Takim był O. Vota.

*Ks. St. Załęski.*

---

<sup>1</sup> Na podróż do Rzymu pożyczył O. Vota 400 dukatów, nie żądał, żeby król dług ten zapłacił. Chodził w wyszarzanej sutannie, starym płaszczu, łatanem obuwiu, tabaki nawet nie zażywał, aby nie robić na siebie wydatków. Nie czytam nigdzie, aby miał stałą pensję roczną od króla. Ofiarował mu ją kilkakrotnie poseł francuski de Béthune w kwocie 600 luidorów rocznie i bogate biskupstwo we Francyi, byle króla od ligi oderwał. Vota ofiary nie przyjął, oświadczył zato, że bez luidorów i bez biskupstwa służyć będzie Ludwikowi XIV, byle ten do ligi św. przystąpił. Biskup Jędrzej Załuski ofiarował Vocie 1000 dukatów węgierskich, byle poparł pewną jego sprawę (kandydaturę jego na biskupstwo warmińskie?) u króla. Vota mu na to: daj to ubogim, oni ci wyimodlą, czego żądasz u króla.

---



# NA WZBRONIONYCH SZLAKACH.

Podróż i przygody w Tybecie Henryka S. Landora.

(Ciąg dalszy).

---

## II.

Opodal Garbyangu stoją wśród rzeki dwa potężne głązy; górale śledzą je skwapliwie, wiedzą bowiem, iż gdy je woda zupełnie pokryje, to znak, że śniegi w górze stopniały i przejścia są wolne. Landor widział je wciąż sterczące z nad fali; wody jednak przybywało co dnia, zdecydował się tedy puścić na Lippu, najniższy ze wszystkich pasów. Karawana jego była nareszcie złożona, posłał przeto naprzód większą część swoich rzeczy, a sam z Czanden-Singiem i dwoma Szokasami postanowił przekraść się nocą, myląc czujność straży tybetańskich. Gdy jednak po zachodzie słońca wyruszył, ze łzami przez znajomych krajowców żegnany, pokazało się, że owi dwaj Szokasi, Kaczi i Dola, mający najważniejsze funkcyje w karawanie piastować — tracąc na pożegnanie, upili się byli na umor. Landor spróbował powlec ich ze sobą, w nadziei że otrzeźwieją, ale próby jego trwały tylko czas drogocenny. Księżyc już był zaszedł za góry i wkoło czerniała noc, gdy doszli do mostu, o którym chodziły słuchy, że będzie strzeżony. Landor puścił się w milczeniu na zwiady, pełzając po moście. Jest on zazwyczaj złożony z dwóch części, opartych o skałę, służącą w pośrodku rzeki za filar. Pierwszą połowę przebył szczęśliwie, tu jednak,

kleknąwszy na skale, ujrzał pod sobą tylko bielejącą w ciemności pianę, z boku jedna z belek mostowych, nawpół zwieszona w wodzie, kołysała się prądem miotana. Powrócił tedy czempredzej: „Nie można iść“ — wyszepnął — „Tybetanie zerwali most“.

Nie było już co robić tej nocy. Zostawiwszy dwóch pijanych, uspionych w szopie przy drodze, wrócili do Garbyangu, gdzie w mieszkaniu doktora przeczekali do białego dnia. O 4-tej przed wschodem słońca ruszyli znowu. Landor pośpieszył wprost do szopy, gdzie był zostawił pijanych — tych jednak nie było już śladu. Sam więc z Czanden-Singiem puścił się dalej. Teraz już nie chodziło o przejście rzeki, ale o przedarcie się po jej lewej stronie.

„Droga była zła i niebezpieczna“ — pisze Landor. — „Wiodła wzdłuż przepaści, a była ledwie dosyć szeroka, aby móżdż się na niej utrzymać. Doszliśmy do miejsca, gdzie i ta wązka ścieżka istnieć przestała. Mielśmy przed sobą skałę, spadającą pionowo do rzeki. Woda, sącząca się z grubej warstwy śniegu u szczytu, wygładziła najzupełniej tę ścianę. Po drugiej stronie ścieżka poczyniała się znowu.

Temu i innym niebezpiecznym przejściom przypisać należy, iż droga ta mało jest uczęszczaną nawet przez krajowców. Zwyczajny szlak prowadzi drugim brzegiem Kali na ziemi nepalskiej. Niektórzy Szokasi jednak posiadają kawałki gruntu po lewym brzegu i onito wymyślili sposób zwyciężenia zapory, przed którą obecnie stałem. Spuściwszy ze szczytu człowieka umocowanego sznurami, kazali wykuć w ścianie skały dwa równoległe rzędy zagłębień o 1-8 m jeden nad drugim. Pomiedzy każdym zagłębieniem było wszerek około metra; wyższe miały służyć na oparcie dla rąk, niższe dla nóg — żadne zaś nie było głębsze nad kilka centymetrów.

Przejście było na każdy czas niebezpieczne; obecnie zaś zdawało się wręcz niemożliwe z powodu lekkiego deszczu, pod którym skała stawała się ślizką i gładką jak szkło. Przejść jednak musiałem koniecznle, więc, nadrabiając miną, siciągnąłem buty i puściłem się naprzód. Nie mogłem się obejrzeć, gdyż

całem ciałem wisiałem u ściany, palcami rąk i nóg szukając oparcia. Płytkość zagłębień podwajała trud i niebezpieczeństwo. Gdym końcem prawej nogi domacał się otworu i jako tako w nim się umocnił, przesuwałem prawą rękę po skale, aż się zdołałem uchwycić zagłębień, umieszczonego wprost nad tem, w którym stała noga. Następnie całą moją osobę przesuwałem na prawo tak, aby ciężar ciała oparł się znów na lewej nodze i ręce, a prawa mogła swobodnie posunąć się dalej. W ten sposób manewrowałem od dziury do dziury, aż, dotarłszy na drugi bok skały, stanąłem napowrót na ścieżce nie szerszej tu nad 15 cm.

Wtedy Czanden-Sing, uwiązawszy sobie na plecach swoje i moje obuwie, rozpoczął z kolei ryzykowną wędrówkę. Obecnie byłem sam bezpieczny (!), a jednak chwile, które przebyłem, patrząc, jak drżącymi z zimna i strachu palcami macał zagłębieńa po skale, równie były dręczące jak poprzednie. I on wszakże przedostał się szczęśliwie, poczem już reszta drogi była stosunkowo łatwą.

Teraz należało szukać śladów Kaczego i Doli, o których mniemałem, że nas wyprzedzili. Istotnie nieco dalej ucieszyłem się, znajdując świeże znaki stóp ludzkich. Ścieżka wiodła to w dół, to w górę, prawie zawsze wzdłuż stromych parowów i zawsze przerażająco wązka, miejscami po chwiejących się belkach. W jednym miejscu, gdzie ściana była rozszczępiona, musieliśmy wydrapać się na sam szczyt i tu na czworakach przeczołgać się przez rodzaj mostu z gałęzi, zarzuconego w kącie 60° ponad przeszło stumetrową przepaścią. Na moście tym zauważyłem przeciągniętą białą nić wełnianą. Jest to, zda się, zwyczaj Szokasów kłaść takie nici na niebezpiecznych miejscach, gdy im ktoś z krewnych umrze na obczyźnie. Wierzą, iż dusza wśród ciemnych nocy się błąka, szukając drogi do rodzinnej osady, znaczą jej przeto trudniejsze przejścia, aby mogła snadniej powrócić“.

Taka nić przewodnia przydałaby się i żywym. Podróżni parękroć zboczyli ze ścieżki i, znalazłszy się na brzegu Kali, musieli napowrót wylązić wśród ruchomych kamieni i piasku. Opis Landora jest dość szczegółowy, nie podobna jednak zdać

sobie sprawy z grozy owego przejścia po gładkiej ścianie prostopadłej skały, jeżeli się nie widziało ryciny, przedstawiającej to miejsce. Pytanie nawet, co się wydaje straszniejszym, czy czepianie się otworów, przy którym natężenie uwagi odwraca wzrok od przepaści, czy ta wąziutka ścieżka, wyglądająca jakoby gżems w połowie kilkupiętrowego budynku. I mimowoli przychodzi pytanie, dlaczego Landor musiał tą drogą się puszczać?...

W Nabi, wsi położonej już bardzo wysoko, odnalazł swoich tragarzy posłanych naprzód, a między nimi Kaczego i Dolę, wytrzeźwionych zupełnie, ale obawiających się połajania lub kary za swoje pijaństwo. Pragnąc myśl *Sahiba* od zajść wczorajszych odwrócić, namówili byli mieszkańców wioski do sporządzenia mu gościnnego przyjęcia. Że zaś gościnność Szokasów jest zawsze wspaniałą, więc i tu nie obeszło się bez biesiady, na której zmęczonemu kazano spożywać ryż, mięso, *bolab* (gotowane tatarczane liście), mleko słodkie i kwaśne, przypiekane zboże z cukrem (coś nakształt litewskiej kutii), *czapatisy*, miejscowe wino, wódkę, a nadewszystko herbatę wszelkiego rodzaju: chińską, indyjską, słodką, gorzką, jasną, ciemną, gotowaną z cukrem, gotowaną z mlekiem, z masłem i solą, słowem tyle herbaty, iż, pomimo największego zamiłowania do tego napoju, życzył po cichu, aby wszystkie krzaki herbaciane na świecie przepadły.

Po torturach herbacianych przyszła nowa bieda: zażądano jego rady lekarskiej dla młodej kobiety, mającej jakąś kość pękniętą w plecach. Tu jednak niebo przyszło mu z pomocą, gdyż ledwie zabrał się do zbadania stanu pacjentki, ujrzał niespodzianie przed sobą postać d-ra Wilsona. Poczciwy lekarz zdecydował się był w ostatniej chwili wziąć udział choć w części wyprawy i śpiesznie (nie wiemy jaką drogą) za Landorem podążył. Temu zatem obecnie z radością ustąpił miejsca przy chorej. Jemu samemu, a zwłaszcza jego aparatowi fotograficznemu, przypisywali krajowcy moc niezawsze zbawienną. W chwili gdy opuszczał wieś, zrozpaczona kobieta zastąpiła mu drogę: „Zabiłeś mi już syna, a teraz zabijesz męża!“ wołała ze łkaniem. Po bliższem badaniu pokazało się, że Landor zdjął był z niej

błyskawiczną fotografię, gdy szła z dzieckiem na plecach; że zaś prócz dziecka niosła ciężkie jakieś brzemie i była nieco podpita, nie dziw, że, przechodząc przez potok, przewróciła się i ledwie własne zdołała uratować życie. Mąż jej należał do tragarzy Landora; trzeba jej więc było przyrzec dla uspokojenia, że na nią nigdy nie spojrzy przez te „czarne, tajemnicze oczy“.

Z Nabi droga łatwa i niemal bezśnieżna powiodła ich do Kuti, osady najwyżej (3940 m) położonej w tej części gór. Po nad nią bieleją turnie, a o kilkaset kroków wznoszą się ruiny starego zamczyska. Właściwie wznosi się tylko silna, kwadratowa wieża, reszta już w gruzach; badając wszakże szczątki murów i fundamenta, można łatwo dawny kształt gmachu odnaleźć. Krajowcy zowią go Kuti Ker; z przeszłości jednak wiedzą tylko tyle, że to był warowny królewski gród. Wyobrażnia tedy ma tu szerokie do bujania pole: co za król i przed wielu wiekami założył na tych podniebnych szczytach kamienne swe gniazdo?...

W Kuti nastąpiło ostateczne zważenie i podział pakunków pomiędzy tragarzy. Było ich 28-iu; zważywszy ciężkość drogi, trudno było każdemu dać do niesienia więcej nad 17 kg, nie licząc w to jego koca i osobistych drobiazgów, że zaś ogólny ciężar wynosił przeszło 500 kg, przeto dwóch jeszcze potrzeba było ludzi. Co prawda, należało wpierw o tem pomyśleć, Landor jednak był młody i nie pomyślał, a że Fortuna zdawna młodym sprzyja, więc i jemu zesłała dwóch ochotników. Byli to pasterze zgłodniaли, z długim, nieczesany m włos, mieli za całe odzienie sznury koralu i srebrne manele. Odziano ich czempredzej i wliczono do karawany. Lustrując ją tego dnia, Landor sam się zdumiał zawartą w niej mieszaniną typów i plemion. Byli tam Jumlisi z bujną, czarną czupryną, zaplecioną w warkoczyki i zebraną u wierzchu głowy jak u Koreańczyków; byli Tybetanie, Szokasi, Rongbowie, Nepalczycy, Radżpuci i Tomolasy. Był jeden Johari, jeden Bramin i dwóch krajowców chrześcijan; dodając obu Anglików, miało się istną wieżę Babel, czy też — arkę Noego. Charakterystycznym dla natury ludzkiej było, że każda z tych kast czy narodowości z pogardą na inne patrzyła; Stąd już od pierwszego dnia podział i odosobnienie przy je-

dzeniu, stąd — gdy było czem palić — osobne w biwuakach ogniska, według których liczby można było i liczbę kast rozemnić. Dwóch z pośród tej różnowrodnej gromady ściągało na siebie uwagę. Jednym z tych był Tybetańczyk wielkiego wzrostu i potężnej siły, dawny rozbójnik, mający niejedno życie ludzkie na tępem swem sumieniu. Ścigany przez tybetańskie władze, uszedł na ziemię angielską, gdzie jedną żonę po drugiej poślubiał, ponieważ i wypędzał. W karawanie znanym był jedynie pod nazwą Daku, czyli Zbój. Drugim był Hindus młody jeszcze, o cienkich i bardzo regularnych rysach, ale zamknięty w sobie i smutny. W chwilach spoczynku wpadał w zadumę, z której, zagadnięty, z trudem zdawał się budzić. Przyczyna tego smutku okazała się wnet — biedny chłopak był trędowatym. Jest pono rodzaj trądu niezaraźliwy, być może, iż taką właśnie była choroba Man-Singa, z opowiadania bowiem znać, iż nie wzbudzała obawy ani Anglików ani innych tragarzy. Zato wzniewała litość, gdyż biedak podwójnie odczuwał zmęczenie i zimno.

Zamiarem Landora było skierować się ku górze Mangszan, kędy istnieje szlak, którym przechodząc, byłby uniknął licznych żołnierzy, wysłanych przez Jong Pena na Lippu; przeszedłszy zaś, byłby mógł szybko spuścić się na drugą stronę ku dżunglom i pod ich osłoną zejść daleko w kraj tybetański. Z Kuti zatem wysłał jednego z krajowców na Mangszan, aby się o możliwości przejścia zapewnić, poczem w ślad za nim z Wilsonem i karawaną swoją wyruszył.

Droga wiodła po większej części wzdłuż rzeki Kuti, oczywiście pod wodę, gdyż trzeba było coraz wyżej się wspinać wpośród ogromnych skał czerwonych, poprzeryzanych horyzontalnie niebieskawymi pręgami. Dziwna to zaiste kraina, wysoko ku niebu spiętrzona, a złożona tylko z głazów i strumieni, zrodzonych na wyższych jeszcze szczytach z wieczystych śniegów. Strumienie te, a raczej potoki, krzyżują się, płaczą, tworzą 7 lub 8-ramienne delty, rozlewają się w jeziora lub przepływają środkiem dawnych basenów, dziś zasypanych z góry warstwą kamieni i żwiru. Czem były przeprawy przez te wody

rwące a mroźne, domysleć się łatwo. Bose nogi drętwiały od zimna, raniły się o dno kamieniste, woda sięgała czasem do kolan, czasem do pasa, czasem do szyi... Raz, dwóch tragarzy, idących przodem, fale uniosły i szczęściem było, że ich choć bez pakunków na brzeg wyciągnięto, raz wielki Daku, mając sam wody po piersi, przeniósł na ramionach Landora. Następnie zaś należało iść dalej w mokrem odzieniu, nawet bez nadziei rozgrzania się przy ognisku, bo na całej przestrzeni ani drwa ani krzaku nie było, więc wieczorem, zanim można było o spoczynku pomyśleć, musieli biedni ludzie rozpierzechnąć się na wsze strony, szukając skąpego nawozu, zostawionego przez owce i jaki, aby zeń ogień rozniecić. Lepsze to jak nie, choć z takiego paliwa płomień ledwie o kilka centymetrów się wznosi, i trudno przy nim uwarzyć jedzenie. Są jednak miejsca piękne i w tem ziemskim piekle. Landor dziwił się, spotykając powyżej 4000 m wys. coś jakby oazy, bo polanki, okryte kwieciami czerwonym, fioletowym, białym i jaskrawo-żółtym, a ponad nimi śliczne czarno i biało zabarwione motylki; im wyżej oczywiście, tem są rzadsze, jeszcze wszakże na 4760 m znajdował gdzieś nigdzie kwiaty. Strefa śniegowa ciągnie się o jakie 110 m powyżej. Ponad brzegiem jednego z jezior, odbijającego sąsiednie szczyty w wodzie błękitnej i jak kryształ czystej, zauważył wzniesione ręką ludzką słupy z kamieni: jest zwyczaj, iż podobny znak stawia ten Tybetańczyk czy Szokas, który pierwszy w roku tym szlakiem przechodzi.

Szli tak kilometr za kilometrem przez półtora dnia, aż wreszcie nogi ich, kamieniami znużone, uczuły miękką trawę pod sobą. Stanęli na łączce, obok rozległego wyschniętego jeziora, środkiem którego przepływa Kuti, łącząc się z drugą rzeką, Mangszanem. Następnie razem już toczą się na północny zachód do stóp góry Mangszanu. Dolina ta znajduje się na 4820 m, to jest o 110 wyżej, niż Mont Blanc. Powietrze corazto rzadsze poczyniło być przykrem dla płuc, to też 15 kilometrów, które uszli dnia tego, znaczyło tyle, co potrójna ich liczba na niższym poziomie. Zaledwie jednak zaczęli się rozkładać na spoczynek, zjawił się posłaniec Landora. Strudzony był, zziębnięty i wylękły. Na górę

Mangszan, do przełęczy, nie zdołał nawet się dostać; mówił, że śnieg głęboki, że lód popękał, tworząc szerokie szczeliny, że sam ledwie żyw uszedł z pod walącej się nań lawiny. Raport ten zdał się uciechyć tragarzy, którzy, przecierpiawszy tyle już w pierwszych dniach wyprawy, powzięli nadzieję, iż wobec takich trudności ich wódz dalszej drogi zaniecha.

Wielkie tedy było rozczarowanie, gdy Landor oświadczył, że w niemożliwość przejścia nie wierzy i że pójdzie się osobiście przekonać. Wziął ze sobą trzech ludzi, Kaczego, Rongbę i Joharisa Bjeringa. Dr Wilson postanowił mu towarzyszyć. Komendantem w obozie pozostał Czanden-Sing, z nakazem karania surowo najłżejszego buntu lub chęci dezercyi. Landor jednak uznał za bezpieczne zabrać ze sobą część swoich pieniędzy, mianowicie 800 rupii w srebrze, co wraz ze strzelbą i różnemi narzędziami naukowemi obciążało go wielce. Było już 4 $\frac{1}{2}$  z południa, gdy puścili się w drogę, licząc na księżyc po rychłym zachodzie słońca. Szli zrazu wzdłuż brzegu rzeki Mangszanu, torującej sobie drogę między wysokimi górami. Chodzenie było niesłychanie uciążliwe, wciąż po kamieniach, które usuwały się z pod nóg, więziły je i raniły. Doszli tak aż do źródła Mangszanu, to jest do przejrzystego, zielonawego lodowca (5420 m), poczem, przeszedłszy przezeń, zwrócili się wprost ku północy i zaczęli iść w górę.

„Sam widok spadzistości, jaką mieliśmy przed sobą, byłby nas odstraszył, gdybyśmy mieli wybór — przyznaje autor. — Do tego brnęliśmy w śniegu miękkim a ciężkim, zapadając się to po kolana, to po pas. Nie lepiej było, gdy zamiast śniegu mieliśmy pod nogami rumowiska lub luźne, nierówne kamienie. W tych warunkach wysiłek był szalony. Na wysokości 5800 m znaleźliśmy się na dość długiej przestrzeni miękkiego śniegu, pokrywającego pole lodowe, popękane w głębokie szczeliny, należało każdy krok naprzód wymacać, co przy bladym świetle księżyca podwójnie się trudnem zdawało.

Na szczęście nieco wyżej szczeliny ustały. Zato przyszło na mnie uczucie dziwnego znużenia, jakiegom nigdy dotąd nie doznał. Przy zachodzie słońca termometr spadł był gwałtownie,



i nagle zmiana ciepłoty dała każdemu z nas mniej lub więcej się uczuć. Pomimo to szliśmy wciąż w górę oprócz Bjeringa, którego choroba górską tak silnie chwyciła, że mu niepodobna było iść dalej. Doktor również, choć potężnie zbudowany, cierpiał niezmiernie; nogi jego były jak z ołowiu, zdało mu się, że każda sto funtów waży. Potrzebował całej siły woli, aby je podnieść i poruszać, dyszał, usiłując chwytać powietrze, a jednak nie chciał się poddać i dzielnie włókł się dalej aż do wysokości 6250 m. Tu już ogarnęło go takie zmęczenie i ból, że był zmuszony się zatrzymać. Kaczi-Ram, Rongba i ja szliśmy dalej, ale i nam było niesporo. Kaczi żalił się na szum w uszach i gwałtowne pulsowanie w skroniach; dyszał, chwiał się i potykał. Nareszcie na 6400 m padł jak długi na śnieg. Ledwie upadłszy, zasnął, oddychając ciężko i chrapiąc z chrzęstem. Nogi jego i ręce były zimne jak lód, musiałem je przeto nacierać, najwięcej jednak niepokoiło mnie nieregularne bicie jego serca. Otuliłem go kocem i moim płaszczem i zawołałem na doktora, mówiąc mu, co się stało. Ja sam chciałem jeszcze iść, póki sił stanie; w tej chwili jeden Rongba był w stanie porządnie trzymać się na nogach.

Gęsta mgła podniosła się, otaczając nas i utrudniając jeszcze bardziej chodzenie. Dalsze wysiłki nasze były rozpaczliwe; płuca pracowały kureczowo, jak gdyby pęknąć miały, pulsa biły pośpiesznie, serce zdawało się chcieć z piersi wyskoczyć. Wyczerpany i niezwykłą ogarnięty sennością, dotarłem przecież wraz z Rongbą do samego szczytu. Dawno już zdawałem sobie sprawę, że ludzi moich niepodobna będzie powieść tą drogą; uczucie jednak, że osobiście osiągnąłem celu, było mi teraz pociechą. Nadto mogłem stąd przekonać się o stanie śniegu po tamtej stronie gór: o ile zdołałem tu i ówdzie dojrzeć przez mgłę, było go znacznie więcej od północy, niż od południa. Mdlejąc niemal ze znużenia, zanotowałem wszakże spostrzeżenia moje, jak się należy. Wysokość wynosiła 6700 m, zegarek wskazywał 11-tą, północno-wschodni wiatr dał ostro i silnie. Nie mogłem zmierzyć temperatury, zapomniawszy wyjąć termometru z kieszeni Kaczego, który go nosił; zimno jednak było prze-

mujące. Gwiazdy lśniły dziwnie jaskrawo; przez chwilę też księżyc oświecił wszystko dokoła. Widok był śmiertelnie smętny, ale i niewymownie czarujący zarazem. Poniżej mnie od strony południa ciężkie masy gór leżały zakopane w śniegu, od wschodu wznosiły się szczyty wyższe jeszcze od tego, na którym stałem. Na północ rozciągał się olbrzymi tybetański płaskowyż o powikłanych łańcuchach pagórków na powierzchni falistej, z poza której w oddali wyzierały szczyty śnieżyste wysokich gór. Śniegu było niewiele, okrom na skłonach grzebienia, na którym się znajdowałem i na wzgórzach przerzynających płaskowyż.

Zaledwie miałem czas przyjrzeć się tym dziwom, snem wiecznym śpiącej natury, gdy mgła pode mną podniosła się znowu, zasłaniając wszystko wokół, a wśród niej ujrzałem nagle ukazującą się marę. W pośrodku świetlanego kręgu stała postać ludzka ciemna, ogromna, owinięta w zaslonę mgły. Wrażenie było zdumiewające i po chwili zdałem sobie sprawę, iż mara do mnie podobna, że jest niewyraźnem, olbrzymio powiększonym odbiciem mojej własnej osoby, iż stoję w pośrodku księżycowej tęczy i patrzę na mój obraz wytworzony z mgły. Jakkolwiek poruszałem ręce, nogi lub głowę, mara czyniła toż samo. Czułem dziwną potrzebę zmieniania ciągle postawy, zrazu nieco lekliwie i nerwowo, potem śmiejąc się w duchu sam ze siebie, bo mnie bawiło patrzeć, jak mnie moje mgliste odbicie małpuje. Byłem jak dziecko, gdy po raz pierwszy w życiu przegląda się w zwierciadle. Później raz widziałem to samo zjawisko przy świetle słonecznem w aureoli tęczowej. Było to na stosunkowo niewielkiej wyżynie, a różniło się od księżycowego daleko żywszym kolorytem tęczy.

Rongba wyczerpany upadł na ziemię; podobnie i ja, pomimo największych wysiłków, ległem wkrótce na śniegu. Drżąc na całym ciele, owinęliśmy się obaj jedną derką, usiłując jeden od drugiego się rozgrzać. Sen nas chwycił jakby po silnej dozie narkotyku. Walczyłem ze snem, wiedząc dobrze, iż, jeśli zamknę oczy, już nie otworzę ich więcej. Zawołałem na tragarza. Spał mocno. Wyteżyłem ostatnie siły, aby oczy trzymać otwarte, ale wieher wiał srogo i gwizdał groźnie: dziś jeszcze

słyszę go, gdy pomnę na owe chwile. Rongba skulony, dzwonił zębami i jęczał, gwałtowne drgania zdradzały wielkie cierpienie. Zdało mi się być obowiązkiem chrześcijańskim, zostawić mu całą derkę, za małą na dwóch, więc otuliłem go całego z ciałem i głową. Siedział skurczony z brodą o kolana wspartą.

Lekki ten wysiłek był dostatecznym, aby mi odjąć moc do dalszej walki z naturą. Podobnie jak medium, tracące siłę woli pod wpływem hipnozy, czułem daremność oporu przeciw gnębiącej mnie, niemal nadprzyrodzonej potędze. Upadłem na wznak i po raz ostatni próbowałem spojrzeć ku gwiazdom... W oczach zrobiło mi się mętno i ciemno. Dalej już nie pamiętam. Jak długo pozostałem bezprzytomny — nie wiem.

— Boże, jak to okropne! — usiłowałem wołać, przychodząc nawpół do zmysłów. — Doktorze! Kaczi! — Daremnie, głos zdał się w gardle mojem zdławiony.

Byłóż prawdą to, co widziałem? Ci dwaj ludzie na śmierć zamazli, leżący obok siebie na wielkiej, białej przestrzeni, nieruchomi, jakoby posągi. Próbowałem ich podnieść — byli sztywni. Ukląknęłam obok nich, wołałam na nich i, jak szalony, czyniłem wszystko, aby ich przywrócić do życia. Przerażony, obróciłem się, aby spojrzeć na Bjeringa, lecz wtedy poczułem, że własne moje życie zastyga. Ujrzałem się zamkniętym w obszernym grobie z przejrzystego lodu, zacieśniającego się szybko dookoła mnie. Zdało mi się, że sam wkrótce zamienię się w słup lodu jak moi dwaj towarzysze. Toż moje ręce i nogi już zeszytywniały, zastygły...

Wszelako wśród grozy nieuniknionej, okropnej śmierci, wszystkie uczucia moje ogarniała dziwna jakaś ospałość i spokój. Do pewnego stopnia byłem przytomny. Czyż miałem usnąć na wieki w tym spokoju i ciszy, czy ostatni, rozpaczliwy uczynić wysiłek, aby się ocalić? Lód zdał się coraz ściślej wkoło mnie zawierać. Dusilem się.

— Wydostać się! Muszę się wydostać! — krzyknąłem. — Precz z tym dławiącym ciężarem! — Wtedy upadłem gwałtownie w tył i wszystko znikło: zmarznięty Kaczi i doktor i grób lodowy i nicość!

Gdy otwarłem zbolące oczy, śnieg gęsty padał. Straciłem był chwilowo władzę w nogach i palcach, tak przemarzły. Mimo gwałtownego wstrząśnienia, na myśl jak blisko śmierci byłem przed chwilą, zdawałem sobie przecież sprawę, iż nam trzeba koniecznie zejść w niższą strefę. Byłem już cały pokryty warstwą śniegu, którego ziębiący ciężar był zapewne przyczyną mego okropnego snu. Sądzę jednak, że bez tych straszliwych widziadeł, które nerwy moje zbudziły z letargicznej apatii, nie byłbym się nigdy przebudził. Z trudem teraz zdołałem się podnieść, poczem długiem tarcie i biciem przywróciłem jako tako moje nogi do życia. Obudziłem tragarza, tarłem go i wstrząsałem, aż i on był zdolny się ruszać. Następnie rozpoczęliśmy odwrót. Zaprawdę, wspinanie się na wyżyny jest rzeczą miłą, ale czyż może być porównane z przyjemnością schodzenia z nich? Obecne zejście jeszcze mnie utwierdziło w tem zdaniu. Schodzenie było niebezpieczne ale nie męczące. Spadzystość bardzo stroma, robiliśmy przeto olbrzymie kroki po śniegu, a gdyśmy zeszli na żwir i gruzy, ześlizgiwaliśmy się za każdym krokiem na 3 lub 5 metrów wśród ogłuszającego huku staczających się z pod naszych nóg kamieni.

— Słuchaj! — rzekłem nagle. — Co to jest?

Stanęliśmy chwilę, czekając, aż się zrobi cicho, potem natężyliśmy słuch, przykładając ręce do uszu. Śnieg jeszcze padał.

— *Ao, ao, ao! Jaldi ao! Tumka hatte?* Chodźcie, chodźcie, chodźcie prędko! Gdzie jesteście? — wołał z dołu słaby, wylękły głos.

Przyśpieszyliśmy kroku, że jednak nogi nasze nie były zupełnie w naszej mocy, nie mogliśmy wstrzymać ich w biegu. Śnieg przestał padać, zato gruba mgła otoczyła nas i przenikała do kości. Kierując się według głosu doktora, zbiegaliśmy na złamanie karku. Wołania stawały się coraz wyraźniejsze, aż wreszcie, ku mojej niewymownej radości, ujrzelśmy Wilsona, który Bogu dzięki był żyw, ale jeszcze bezsilny, gdyż nogi jego wciąż ciężły jak ołów. Niespokojny o nas, wołał był długo, a, nie otrzymując odpowiedzi, zatrwożył się mocno, tem mocniej, że nam nie mógł przyjść w pomoc. Wkońcu już nas miał za

straconych. Obejrzelśmy się za Kaczim. Ten, owinięty w mój płaszcz i w derkę, wyspał się wybornie i wstał zupełnie wypoczęty. Wszyscy więc razem puściliśmy się na dół, wesoło gwarząc. Wyjście na szczyt od gleczeru zabrało cztery i pół godzin. Schodzenie zaledwie pół“.

Dniało już, gdy do obozu wrócili. Oczekiwano ich z niepokojem, dobry humor wszakże powrócił po oświadczeniu Landora, iż, zamiast na Mangszan, pójdą przez górę Lumpiya, mniej srogą i stromą, ale też i bardziej strzeżoną. Po obfitem śniadaniu czterej bohaterowie wyprawy położyli się spać i o 9-tej byli znów gotowi do drogi!

(C. d. n.).

*Teresa Wodzicka.*

---

# NENCKI, VIRCHOW, VOIT.

## Studium porównawcze.

(Dokończenie).

### II.

#### Nencki i Voit jako chemicy.

Parce diem — labora — et respice finem.

Porównawszy w poprzednim rozdziale najgłówniejszy szereg prac Nenckiego z elementarnymi odkryciami Virchowa i podkreśliwszy pokrótce krytyczną wartość tego postępu, które one wniosły do nauki o komórkach i białku komórek, przechodzimy z kolei rzeczy do prac czysto chemicznych Nenckiego i pragniemy je zestawić porównawczo z tym dorobkiem, który do wiedzy przyrodniczej wniósł również w drugiej połowie zeszłego stulecia trzeci z jubilatów, wielki fizyolog i biolog, Voit z Monachium.

Porównanie prac chemicznych Nenckiego z pracami Voit'a rozpoczęliśmy od słów, które nad grobem jednego z powyżej wymienionych uczonych wypowiedział ktoś z mowców żałobnych: *parce diem — labora et respice finem*. Jeżeli bowiem można te słowa w pierwszym rzędzie odnieść do ś. p. Nenckiego, który przez krótkie lata swego życia liczył się z każdym dniem, aby *finem respiciens*, jak najwięcej chwil poświęcić pracy wielkiej a w skutki płodnej, — to z drugiej strony działalność naukowa badaczy, którą rozpatrzyć zamierzaliśmy w ramach porównawczych, jest

tak bogatą na każdym polu, że poniekąd do obu można zastosować owo zdanie, które uczonemu każe baczyć na koniec blizki, aby, póki tylko można, zdziałać jak najwięcej. W tej też myśli zagnał Pruszyński cytowanemi słowami nieodżałowanego badacza, a jak zaznaczyliśmy już, w pierwszym rzędzie odnieść się one muszą do przedwczesnej *finis magni laboris*. Ale i druga głębsza myśl kryje się w tych słowach, druga analogia, którą odnośnie do treści naszego studium, pozwolę sobie podkreślić. Oto we wszechstronnych pracach obu badaczy dziwnym zbiegiem okoliczności wszędzie podkreśla się sama przez się *finis laboris*, wszędzie wysuwa się na plan pierwszy koniec ostateczny jakiegoś szeregu procesów chemicznych, wszędzie napotyka się nie trud oderwany, nie badanie drobnostkowe, nie ogniwo pojedyncze, lecz cały szereg ogniw, ściśle ze sobą łączących się, a dążących zwartym szeregiem do jakiegoś ogniwa ostatecznego produktu chemicznych przemian materji.

Trudno nużyć czytelników *Przeglądu* suchem rozpatrywaniem tego, co jeden lub drugi zdziałał na polu chemii nieorganicznej, organicznej lub biologicznej. Te liczne szczegóły, niezmiernie ważne, łączą się w jedną całość wspaniałą, jak drobne kamienie w niebotyczną górę lub krople pojedyncze w nieskończone morze. Trzeba właśnie umieć podkreślić ten ogrom, tę wielkość, trzeba wyzuć się na chwilę z drobnostkowości pojedynczych prawie zjawisk i spojrzeć na ich całość, na ich związek, na ich cel, tak jak patrzymy na całość obrazu, a nie na skład chemiczny farb.

Takąto całością jest w zakresie chemii fizjologicznej szereg prac Nenckiego nad rozkładowymi produktami, wydzielanymi przez nerkę, taką drugą grupą w zakresie chemii farmakologicznej szereg prac nad syntezą salolu, taką trzecią grupą w zakresie chemii organicznej szereg prac nad rozkładem węglowodorów aromatycznych, które opuszczają ustrój jako związki chronologiczne kwasu benzoesowego. Dziwnym zbiegiem okoliczności można obok grupy prac syntetycznych Nenckiego nad indygiem i salolem przypomnieć prace Voit'a nad lokalizacją syntezy karbamidu (mocznika)

w nerce; obok prac Nenckiego nad wpływem pracy na rozkład białka, odwrotne niejako badania Voit'a nad wpływem rozkładu białka na pracę; obok szeregu prac Nenckiego nad wzajemnym stosunkiem i nad pochodzeniem składowych części wydzieliny nerkowej, długoletnie doświadczenia Voit'a nad znaczeniem składników tej samej wydzieliny w ogólnym procesie przemiany materji.

Zestawienie powyższe równobrzmiących wyrazów nie jest tylko czczą grą wyrazów; owszem chodziłoby nam o wykazanie, jak umysły, pokrewne dążeniami naukowemi, wyteęzały wszystkie siły, aby wspólnie zdziałać jak najwięcej na tem polu, na którym nowe teorye związków aromatycznych, nowe doświadczenia syntetyczne, nowe horyzonty, otwarte przez analizę, corazto nowszego dawały bodźca do trwałej a nieustannej pracy. Trzeba, jak powiedzieliśmy, wznieść się nad drobiazgowością szczegółów i daleko rzucić okiem, aby objąć związek genetyczny poszczególnych odkryć i zjawisk, łączących się w jedną całość.

Ocena krytyczna wartości tych prac chemicznych może również tylko z takiego stanowiska uogólniającego być przeprowadzoną. Leży to już w naturze i charakterze chemii, że kto się nią specyalnie nie zajmuje, ten, mimo najbardziej wszechstronnego wykształcenia, nie potrafi ocenić głębszej wartości jakiejś pojedynczej analizy. Co to kogo tak dalece obchodzi, że np. Nencki odkrył, jak zaznaczyliśmy, iż na związki homologiczne kwasu benzoesowego utleniają się zarówno toluol jak etylobenzol, propylobenzol, ksylol i cymol — lub że przeprowadził, jak to również zaznaczyliśmy powyżej, syntezę indyga, zachęcony badaniami Kühnego i twierdzeniem tegoż o zapachu nieprzyjemnym naftalaminu — lub że wreszcie udowodnił, iż skatol jest równorzędny z metyloindolem? Co to na pozór tak dalece ważnego dla ogólnego całokształtu nauk przyrodniczych, zapyta niejeden, nie przecząc może znaczeniu dla jakiegoś specyального rozdziału chemii? Otóż tu właśnie występuje na jaw ów podkreślony przez nas na początku rozdziału konieczność produktów przemiany materji, owa *finis laboris*, a zarazem *finis* procesów życiowych. W zupełnie też innem świetle przed-



stawiają się nam trzy powyżej przytoczone przykłady, gdy rzucimy na nie okiem ze stanowiska ogólniejszego.

Oto bowiem badania nad kwasem benzoesowym doprowadzają Nenckiego z jednej strony do odkrycia, że utlenienie tegoż jest miarą ogólnej siły utleniającej ustroju, która wśród różnych okoliczności różnym podlega wahanom, a nawet spada do zera pod wpływem otrucia arsenem, miedzią, środkami znieczulającymi i t. p., — z drugiej strony doprowadzają one do genialnej myśli lokalnego działania na jelita z oszczędzeniem żołądka, której owoce są bardzo ważne zarówno dla farmakologii jak i dla terapii. Drugi z powyżej przytoczonych szeregów badań czyli doświadczenia nad indygiem popychają Nenckiego do jeszcze ważniejszych prac nad trawieniem trzustkowym i nad rozpadem białek, których ostatecznym wynikiem jest śmiała teza, że życie bez tlenu (!) jest możliwe. Trzeci wreszcie szereg, z którego przytoczyliśmy powyżej przykład o skatolu, doprowadza na mocy wielkiej ilości badań nad gniciem w jelitach do udowodnienia, że udział bakterii w organizmie jest *malum inevitabile*, a nie *malum necessarium*. Z całego wreszcie całokształtu tych trzech szeregów, zestawionych razem w jedną całość, powstaje wielka a nowa nauka o anaerobiozie, powstają nowe teorie gnicia i fermentacji, powstaje wreszcie obok klasycznych badań Pasteura nad morfologią bakterii stworzona przez Nenckiego nauka o stalszych chemicznych oznakach bakterii czyli biochemia drobnoustrojów.

Z podobnego zupełnie stanowiska, uogólniającego szczególności chemicznych badań w grupy o podstawowym znaczeniu, ocenić możemy tylko należycie wartość chemicznych prac Voit'a. Zestawiliśmy na początku rozdziału obok kilku głównych grup prac Nenckiego, także szeregi równobrzmiących badań Voita: obok syntezy indyga syntezę karbamidu w żywej nerce, obok wpływu rozkładu białka na pracę, wpływ pracy na rozkład białek, obok badań Nenckiego nad wydzieliną nerki, identyczne poniekąd badania Voit'a i t. d. i t. d. Zestawienie to nie jest ani przypadkowe ani powierzchowne. Jak Nencki badał

rozkładowe produkty części ustroju, aby wykazać prawa, kierujące ich wzajemnym związkiem, tak Voit badał ostateczne ogniwa wymiany gazów, aby z ilości i jakości wyników elementarnej analizy wysnuć prawa przemiany materji. Nie wystarczy zatem bynajmniej wyliczyć szeregu drobnostkowych analiz Voit'a lub podkreślić, że roczniki „Archiwu biologicznego“, założonego przez Voit'a, zawierają cenne przyczynki do nauki o kleju, cukrze, drzewniku, kreatynie, tłuszczu i t. d., lecz znowuż trzeba krytycznie objąć całokształt badań. Tak jak ze szczegółowych prac Nenckiego powstały wielkie teorye anaerobiozy, gnicia i mikrobiocemii, tak znowuż ze żmudnych doświadczeń chemiczno-fizyologicznych Voit'a i z analiz dokonanych za pomocą przyrządu, zbudowanego przez niego do badania wymiany gazów, wypłynęły prawa o znaczeniu podstawowem. Wystarczy np. podkreślić niezmiernie ważną dla praktyki i higieny teoryę, że wydzielanie azotu przez 24 godzin jest przy najuciążliwszej pracy równe lub tylko nieznacznie większe od wydzielania azotu w spoczynku *caeteris paribus*, podczas gdy znacznie wzmagą się wydzielanie dwutlenku węgla oraz przyjmowanie tlenu w dniach pracy; znaczy to tyle, co wykrycie źródeł pracy mięśniowej i zlokalizowanie ich przeważnie w bezazotowych materiałach pokarmowych. Wystarczy w dalszym ciągu podkreślić takie momenty, jak prawa chłonięcia białka i równowagi azotowej, jak warunki wpływu diastatycznego trzustki, jak znaczenie antyseptyczne i resorbcyjne żółci, aby zrozumieć wartość wyjaśnienia funkcyi trawienia i chłonięcia. Wystarczy wkońcu uderzyć w strunę praw o syntezy w żywej nerce, aby obraz nasz zaokrąglić i zbliżyć znowuż koniec naszego porównania do założenia, z któregośmy wyszli. Tam bowiem gdzie Virchow dotarł morfologicznie do granic mikroskopowo małej komórki, tam stanęli Nencki i Voit nad nierozwiązaną głębszą zagadką życia, nad własnościami komórki żywej, która nie tylko rośnie, rozmnaża się, porusza się i czuje, ale ma jeszcze zagadkową własność chemicznej syntezy.

## III.

## Nencki, Virchow, Voit jako biolodzy.

Wonach ich mich in der Jugend sehnte,  
davon habe ich im Alter die Fülle.

*Goethe.*

Jeżeli biologię nazywamy nauką o życiu, to nikogo bardziej nie godzi się nazwać biologami, jak tych właśnie trzech mistrzów, którzy uderzyli o wszystkie struny potężnego akordu, nazywanego „prawami życia“. Porównawszy też Virchowa z Nenckim na polu badań składu i postaci komórki, a Voita z Nenckim na polu chemicznej działalności, przechodzimy do najszerszego horyzontu naszego studyum, a mianowicie do porównania „wszechstronności“ mistrzów na wszystkich innych polach biologii.

Pozwolimy sobie wymienić na pierwszy plan jeden fakt, mało stosunkowo uwzględniany. Oto, porównywając ze stanowiska naukowego działalność Nenckiego, Virchowa i Voita, stanęliśmy przed głównymi dziełami ich potężnego ducha i rozpatrzyliśmy krytycznie ich wartość i związek. Ale ze stanowiska czysto ludzkiego godzi się bodaj w ostatnim rozdziale naszego studyum uwzględnić fakt, że na drabinie naukowego postępu, która łączy światło prawdy z naszym padołem, różne szczeble przez trzech mistrzów były zajęte pod względem chronologicznym. Łatwo jest porównać dzieła wielkie, których całość jest niejako gotową dla naukowej krytyki, ale krzywdaby się stała, gdybyśmy wśród bogactwa pomniejszych szczegółów nie wykazali tego szybkiego tempa, w którym twórczość młodszych dogonić pragnęła doświadczenie starszych, aby czem prędzej umożliwić złączenie się szczegółów w jedną wielką całość, dążącą trzema różnymi drogami, lecz do jednego celu, a mianowicie do zbadania morfologicznych, fizyologicznych i chemicznych praw życia. A chociaż, jak słusznie powiedział niedawno ś. p. Nencki, „daleko nam jeszcze do tego ideału wiedzy, do którego się zbliżamy stale a wytrwale“, to jednak wiedział dobrze ów wielki uczony, a z wielkich najskromniejszy niezawodnie, jak

niezmiernie ważną była placówka, wyrwana przemocą tajemnikom wiedzy, a podminowana niejako mrówczą pracą patologa, fizjologa i chemika.

Gdy w r. 1867 Virchow, powołany już od lat 11 z Würzburga do Berlina, a sławny swojemi pracami o patologicznych nowotworach organizmu, a przede wszystkim o patologicznych zmianach w obrębie komórki, która jest w sobie małym światkiem zjawisk życia normalnego i anormalnego, owoce swoich badań zaczynał zastosowywać do praktyki, — wybranym zostaje na deputowanego miasta Berlina. Virchow bierze do serca szczerze ów tytuł i przeprowadza szereg zmian sanitarnych i urządzeń higienicznych, reorganizując w praktyce to, na co odrębne światło rzuciła była teoria; szpitale wojskowe, lazarety przenośne, kliniki berlińskie, a nawet pociągi sanitarne jemu zawdzięczają stan dzisiejszego rozwoju. A chociaż Virchow w parę lat później sam poprowadził na pole bitwy Francji pierwszy pociąg sanitarny, to jednak podczas tegorocznego jubileuszu obok Anglika Lister'a i Włocha Baccelli'ego zasiadał wśród gości słynny Francuz Cornil, aby uczcić tego, który nie był powiózł swojego czasu do nieprzyjacielskiego narodu arsenału morderczych narzędzi, lecz do cierpiących bliźnich arsenał tajemników wiedzy teoretycznej, umiejętnie zastosowanych do praktycznej sztuki lekarskiej.

Ale wróćmy do roku 1867. Otóż równocześnie z faktem, że Virchow zaczyna do praktyki lekarskiej zastosowywać zdobyte długoletnich badań teoretycznych, znajdujemy na kartach dziejowych dwa analogiczne momenty. Mianowicie Voit wydaje w Monachium w tymże samym roku pierwszą większą pracę o rozkładzie białka w ustroju, a przekonawszy się, wbrew dotychczasowym mniemaniom, że białko nie jest wyłącznym materiałem siły mięśniowej, rozpoczyna erę wiekopomnych badań, które z jednej strony obaliły dotychczasowe teorie o źródłach pracy organicznej, a z drugiej strony, zastosowane do praktyki, nauczyły nas, jak należy się żywić wśród pracy i jakie przepisy higieny stosować należy z wielką umiejętnością i dbałością wśród ludzi pracujących fizycznie, a więc przedewszy-

stkiem wśród klas roboczych, wśród murów więziennych, wśród ćwiczeń wojskowych i t. d. Dziwnym atoli znów zbiegiem okoliczności, w tym samym roku, w którym do praktyki życia Voit wprowadzać zaczyna wnioski, wyciągnięte z badań chemicznych i fizjologicznych, a Virchow, jak widzieliśmy, zdobycze teoretycznej wiedzy do praktyki lekarskiej, w tym samym roku młody Nencki, dotychczas słuchacz filozofii, z Jeny przenosi się do Berlina i, nie myśląc nigdy o praktyce lekarskiej w przyszłości, zapisuje się na wydział medyczny w tym tylko celu, aby teorię połączyć ściślej z praktyczną stroną nauki i głębiej zbadać tajniki wiedzy.

Potrójny ten moment dziejowy, który dopiero co zaznaczyliśmy, jest wielce charakterystycznym w historii nauki. Virchow porzuca chwilowo mikroskop, aby wprowadzić w bieg życia codziennego prawa, których istnienie wydedukował z badań nad życiem komórki; Voit porzuca na chwilę retortę i stół eksperymentalny, aby wykazać współczesnym konieczność zachowywania pewnych warunków, które wydedukował z obserwacji chemicznych źródeł siły życiowej; młody Nencki porzuca wreszcie dzieła Arystotelesa, nad którymi siadywał dotąd z predylekcyą, aby bliżej się zetknąć z budową najbardziej skończonego organizmu żywego, a po dokładnem jego poznaniu, zająć się chemicznym składem żywego białka.

W niespełna kilka lat potem, bo w r. 1870, gdy Virchow, którego wszechstronność na niejednem objawiała się polu, oddaje do druku pierwszą pracę antropologiczną, a równocześnie Voit staje się słynnym nowemi badaniami nad chłoniem, rozkładem i przemianami białka w organizmie, pierwszą pracę inauguracyjną publikuje młody doktor, Marcell Nencki, a niebawem, nie będąc jeszcze zadowolonym z własnego wykształcenia, przenosi się do pracowni chemicznej najzwyczajniejszej akademii rzemiosł, aby się jeszcze bardziej wyrobić w technice analitycznej. Tak wszechstronnie wykształcony, śmiało staje do wielkiego turnieju naukowego obok starszych od siebie mistrzów, a możemy bez przesady już powiedzieć, że podczas pięciolecia, które upłynęło od r. 1870 do r. 1875, w trzech stronach Europy

nauka zapisywała na kartach dziejowych równie ważne odkrycia z różnych dziedzin biologii.

Gdy w Berlinie, założone przez słynnego z poprzednich swoich prac Virchowa, pismo etnologiczne corazto nowszymi spostrzeżeniami antropologicznymi wymienionego badacza wzbogacało wiedzę, dążącą do poznania „rozwojowych“ warunków życia, a gdy równocześnie w Monachium wielki fizyolog i higienista Voit również w założonem przez siebie piśmie biologicznem podawał światu corazto ciekawsze wiadomości, zdobyte zapomocą nowych metod do badania „przemiany materii“ w organizmach żyjących, — Nencki pracami nad nowemi połączeniami ciał już znanych lub nad całkiem nowemi grupami ciał budował trwałą podwalinę nie tylko pod przyszłą dziedzinę badań czysto biologicznych, lecz także pod własną sławę. A gdy po r. 1875 Virchow zamknął się w swoim pierwotnem muzeum, wśród preparatów, czaszek i szkieletów, a Voit w swojej pracowni wraz z nowo opisanym przyrządem do badania przemiany gazów podczas oddychania, Nencki zamyka się również przed światem w swoim laboratorium przy Inselgasse w Bernie. I od-tąd sypie się szereg prac różnorodnych, sumiennych a poważnych nad utlenianiem i gniciem, nad symbiozą i enantobiozą pasożytów, nad fermentacją i syntezą, nad pochodzeniem i przemianami składników ciała zwierzęcego, wreszcie nad identycznością pokrewnych soków ustroju zwierzęcego i roślinnego. Te ostatnie badania są wyrazem największej twórczości Nenckiego.

W ten sposób doszliśmy z czytelnikiem po szczeblach chronologicznego rozwoju do najwyższego szczebla postępu nauki. Jeżeli bowiem obok prac Voita nad chemiczną przemianą materii postawiliśmy syntetyczne i analityczne prace Nenckiego, a obok patologii cellularnej Virchowa biochemię Nenckiego, to może z punktu widzenia wiedzy ścisłej naj wyżej stoi pozornie małe odkrycie pokrewieństwa barwników, a mianowicie „hematoporfiryny“ w ustroju zwierzęcym z „fyloporfiry“ w ustroju roślinnym. Jeżeli też Voit opisał równowartość różnych czynników, od których zależy równowaga w przemianie materii, a Virchow równowartość różnych komórek tkaninowych, to naj-

dalej z pewnością idą badania Nenckiego, który udowodnił równowartość soków roślinnych i zwierzęcych i rzucił pomost między tymi dwoma światami.

Względy, wymienione we wstępie do studyum, nie pozwoliły nam ani na suchą enumerację szczegółów naukowych ani na zbyt uczuciową ocenę osobistych cech charakterów. Również zimny krytycyzm ze stanowiska czysto-naukowego nie pozwolił nam wchodzić w psychologiczno-filozoficzny rozbiór zjawisk czysto-materyalnych. Podkreślając też ciągle, iż badania mistrzów miały za cel rozwiązanie „zagadki materialnego życia“, dawaliśmy jednak niejednokrotnie folę osobistemu wrażeniu, iż te wszystkie szczegóły niedalekiej przeszłości, wśród których się przeszliśmy, niby wśród krainy wspomnień, są odłamami jednego odwiecznego słońca prawdy, którego pojedyncze promienie na to tylko odbijają się wśród pojedynczych lat i narodów, aby zajaśnieć kiedyś tem silniej nad znikomością, rozsypującą się w proch i nad przestrzenią, którą zalegają światła burze.

Tą też myślą kończymy naszą notatkę porównawczą, której głównym celem było, wśród licznych nekrologów i mów jubileuszowych, sprzężenie w jedną całość olbrzymich postaci, imponujących w nauce. Jak starożytni dumali nad brzegami Eufratu przy dźwięku harf, trąconych przelotnym wiatrem, który im z wyższych stref przynosił natchnienie, tak i my wobec owoców tytanicznej myśli zwróćmy się z poziomu drobnych szczegółów życia ku wyższym celom zbiorowej pracy wieków, ku wyższemu znaczeniu księgi przyrody, ku wyższej Mocy źródła odwiecznej prawdy, która nie tylko dała poecie natchnienie, a rzeźbiarzowi dłuto, lecz i mistrzom nauki technienie nadziemskie, aby wśród pracy, trudu, a niejednokrotnie i zapoznania, dążyć do zbadania praw życia, dążyć do światła, którego oni sami są częścią. Wszystkich bowiem myśl twórcza z jednej pochodzi krainy

I kończy się gdzieś w bezkończach,  
W świecie, gdzie gwiazd zawierucha,  
W gwiazdach, w meteorach, w słońcach,  
Za słońcami — w słońcu ducha.

*Dr. J. Zanietowski.*

## DZIEŁO WOJCIECHOWSKIEGO O KATEDRZE NA WAWELU<sup>1</sup>.

Uczony historyk, prof. Tadeusz Wojciechowski, lubo dotąd na polu archeologii nie był z prac znany, skreślił znakomite dzieło o katedrze krakowskiej. Główną w niem pomocą, oparciem i podstawą, bez której dzieło nie miałoby doniosłej wartości, była praca przedwstępna prof. Sławomira Odrzywolskiego, którego sumienne zdjęcia, poszukiwania i badania samoistne budowy stanowią główny szkielet tej pracy. Prof. Wojciechowski przyodział go w szatę historyczną i swoim uczonym wywodem, rezultatem wyczerpujących i długotrwałych dociekań w mniejszej części archiwalnych, głównie tekstualnych naszych publikowanych kodeksów, starał się odsłonić całą przeszłość katedry. Zadanie, jakie sobie wytknął prof. Wojciechowski, było niezmiernie trudne wobec licznych zagadnień i anormaliów architektonicznych, przed których rozwiązaniem cofał się nawet tej miary archeolog, co Essenwein. Przypatrzmyż się zatem bliżej wynikom tej niezwykłej pracy:

Na Wawelu, górze skalistej, tuż obok grodu królewskiego, wzniosła swe czoło katedra krakowska. Otoczyła się pierwotnie cmentarzem przykościelnym z wieńcem grabsztynów i epitafiów, które powoli ustępowały miejsca kaplicom, a same

---

<sup>1</sup> Tadeusz Wojciechowski: „Kościół katedralny w Krakowie“. Nakładem Akademii Umiej., druk. Uniw. Jag., 1900, w 4-ce, str. 258, fig. 66.



legły w gruzach, jako materiał budowlany lub bruk chodnika, który okraża katedrę. Kościół jest bazyliką gotycką o trzech nawach, transepcie<sup>1</sup> i obejściu (ambit) w okół chóru z prezbiterium, nakryty sklepieniem krzyżowem i opatrzony trzema wieżami różnej wielkości, nie łączącemi się organicznie w jedną z nim budowę. W całej strukturze, ciosem wewnątrz wyłożonej, pełno nierówności, niespodzianek architektonicznych, bo przejęła nie tylko reszty ostalej romańszczyzny, ale również w nawach głównej i bocznych wchłonęła następnych wieków budowlane pomysły.

Prezbiterium z obejściem, powiada autor, zaczęto budować r. 1320, zaś 1346 roku odbyła się już konsekracya ołtarza wielkiego, wreszcie konsekracya roku 1364 otwarła całą katedrę na użytek polskiego narodu.

Równocześnie z budową głównego zrębu katedralnego rozpoczął prawdopodobny inicjator budowy gotyckiej, biskup Nankier, piękną kaplicę św. Małgorzaty (dzisiaj zakrystya) i w lat dwa ją ukończył. Dzieło o tyle znamienne, że po raz pierwszy w krakowskiem budownictwie zjawia się właśnie tutaj żebro o okroju gruszki. Tuż do niej przypiera skarbiec, wzniesiony na miejscu jakiejś innej budowli przez biskupa Rzeszowskiego (1471—1488). Na przeciwległej stronie prezbiterium świątobliwy Jan Grot, bisk. krak., wznosił kaplicę gotycką r. 1344 i u progu jej złożono ciało jego ku wiecznemu spoczynkowi. Tędy prowadziło przejście z królewskiego pałacu, zamurowane później za czasów, jak się zdaje, króla Kazimierza Jagiellończyka. Kaplica przeszła, jak inne, różnorodne koleje dezolacyi. Chowały w niej swe kości pokolenia prałackie i z Rawitów rodu; wyrzucali je następcy bez pietyzmu i poszanowania, a wygląd kaplicy przekształcali w zupełności.

Za prototyp całej budowy kościelnej uważa autor kaplicę Maryacką, dzisiejszą Batorego, z r. 1331, zwyczajną przybudowę kościołów średniowiecznych na osi budowy od strony wschodniej.

---

<sup>1</sup> Transept czyli nawa poprzeczna, nadająca planowi kościoła formę krzyża.

Zmieniła ona swój wygląd od w. XVI, kiedy królowa Anna, ku czci swego małżonka-bohatera, wystawiła pomnik, a w przeprowadzonej polichromii ścian widniały obrazy zwycięstw królewskich. Zatynkować je kazał biskup Sołtyk wraz z malaturą sklepień, dokonaną przez ruskich malarzy, o których znaczeniu w średnich wiekach rozwodzi się prof. Wojciechowski obszerniej i przypisuje im zbyt daleko idące wpływy w Polsce. Dla własnej wygody zbudowała królowa wspaniałe stalle renesansowe, zaś późniejsze (w co wątpimy) czasy dołączyły do niej emporę z galeryą, wiodącą do podwoi królewskich. Ciekawą jest rzeczą, że katedra wrocławska posiada zupełnie taką samą kaplicę gotycką z takim samem półgwiaździstym sklepieniem i tem samem rozłożeniem ościeży. Powtarza się to i w innych kościołach wrocławskich.

Do nankierowskiej budowy zakrystyi przyparł r. 1335 kanonik Marcin nową kaplicę pod wezwaniem śś. Kozmy i Damiana, zaś obok niej zbudował inną r. 1339 archidyakon krak., późniejszy arcyb., Jarosław Skotnicki pod wezw. św. Wawrzyńca. Od strony południowej wznosił tymczasem bliżej pałacu kaplicę królewską Kazimierz Wielki. Nie przetrwała ona do naszych czasów, bo na jej miejscu stanęła słynna z piękności perła renesansu, kaplica Zygmuntowska.

Postawiono, według wywodu autora, w ciągu lat 24 od rozpoczęcia fabryki sześć kaplic naokoło rzekomo niegotowego prezbiteryum. Zjawisko istotnie zadziwiające, bo z natury rzeczy musiałoby niepomrotnie utrudnić fabrykę kościoła, — przyczyn jego autor dostatecznie nie wyjaśnił. Dnia 22 grudnia 1346 r. poświęcono ołtarz wielki, miałoby to wedle prof. Wojciechowskiego znaczyć, że dopiero wtenczas, a nie pierwej wykończono chór z prezbiteryum, t. j. po latach 26 od chwili rozpoczęcia budowy.

W XVII w. zamurowano otwarte arkady absydy, a w następnym bisk. Łubiński podwyższył nawy boczne i zamurować kazał, a przepierzeniem szklanem wypełnił arkady gotyckie. Zniszczono w ten sposób ową przejrzystość gotycką, która dozwalała widzieć zewsząd wszystkie przestrzenie, objęte budową

kościelną. A dalej od transeptu oddzielało miejsce prezbiteryalne lektoryum (zburzone 1626 r.); tuż było podniesienie na organy i dla muzykantów. Po obu stronach chóru zapępniały się stalle duchowieństwem, prałaci i kanonicy zasiadali na wyższych, wikarzy niższych, a żaków gromadka zbierała się w pośrodku chóru, gdzie stał pulpit z olbrzymiami księgami liturgicznymi. Ponad stallami zwieszały się kortyny, ręką królowej Elżbiety ozdobnie utkane.

Tuż obok grobowca Łokietka w prezbiteryum złożono r. 1399 w grobie ciosowym, pełnym prostoty, zwłoki świątobliwej królowej Jadwigi. Autor sądzi, że był to grób tymczasowy (*sic*) i czyni — zdaniem mojem — niesłuszny a ciężki i uwłaczający zarzut królowi Jagielle i jego następcom, że nie spełnili obowiązku uczczenia jej pamięci monumentem. Myslę, że to się stać mogło i musiało tylko za wyraźną wolą i przykazaniem samej królowej, przejętej w ostatnich latach życia duchem prostoty, chrześcijańskiej miłości i miłosierdzia. Ona wszystkie klejnoty ofiarowała na humanitarne cele i nie nadto podobniejsze, że sama obrała prosty grób ciosowy, że sama kazała złożyć swe ziemskie szczątki bez wszelkich ozdób, jedynie z drewnianym berłem i jabłkiem w podziemiu katedralnem. To był raczej rozkaz królowej, — a byłoby niesłychanem zaniedbaniem, sprzecznem z całą istotą konsekwentną charakteru Jagielly i z całym pietyzmem jego dworu dla zmarłej, gdyby taką niewdzięcznością się okryli. Oburzenie społeczeństwa przedarłoby się wówczas niewątpliwie na karty historii.

W dalszym wywodzie przechodzi autor do rozstrząsań historycznych nad ołtarzem wielkim i daje się unieść cokolwiek za daleko fantazyi. Twierdzenie, że cudowny wizerunek Chrystusa ukrzyżowanego jest wzięty z wielkiego ołtarza, nie jest przekonywujące, odniesienie daty jego powstania do połowy XIV w. wydaje się być stylowo zbyt wczesne, mylne jest orzeczenie prof. Wojciechowskiego, że krzyż był „pokostowany“ (*sic*) na czarno, bo w istocie mamy tu do czynienia z dosyć częstym zresztą w dziejach sztuki przypadkiem zczernienia farb dla ich po-dlejszego gatunku pod wpływem wyziewów; nieprawdziwym też

jest uznanie autora, że krzyż jest ze srebra, bo w istocie jest z drzewa. Cały wywód o ołtarzach przenośnych, pomieszczony tutaj, oparł autor na samych osobistych uczuciach, chęciach i wrażeniach, zamiast oprzeć się w tej mierze na wynikach nauki archeologii chrześcijańskiej.

Pierwotne wezwanie katedry — wedle prof. Wojciechowskiego — jest pod imieniem Zbawiciela, według też pięknego i dowcipnego dowodzenia należałoby naznaczyć pierwszą pierwotną dedykację na pierwszą niedzielę po Wielkiejnocy r. 1001, — jako daty aktu fundacyjnego i konsekracyjnego. Autorowi stoi tutaj na zawadzie jeden tylko szczegół, mianowicie że wówczas kościół na Wawelu, jeżeli wogóle istnieje, jest najprawdopodobniej grodowym, zaś katedralny wznosi się na Skałce. Prof. Wojciechowski radzi sobie w tym razie w prosty sposób, iż odrzuca, wbrew dzięjom pierwotnego osadnictwa Krakowa, możliwość istnienia katedry na Skałce. Dodać winniśmy, że Dr. Franciszek Piekoński w swej ostatniej publikacji „Stary Kraków“ (str. 161—162) nie tylko podtrzymuje hipotezę, przyjętą przez Szujskiego o Skałce, ale cały malowniczy ten wywód prof. Wojciechowskiego o katedrze przedromańskiej, wybudowanej rzekomo przez Bolesława Chrobrego na Wawelu, nazywa wprost mytem bezpodstawnym. W związku z poprzedniem autor przypuszcza, że Chrobry wznosił ten pierwszy budynek kościelny na Wawelu w większej połowie z drzewa.

Długosz opowiada o biskupie Maurusie (1110—1118), że dopełnił konsekracji katedry dnia 20 kwietnia, nie dodał jednak roku, w którym się to stało, wskutek tego prof. Wojciechowski odrzuca wiadomość Długosza jako niewiarogodną i mówi: ponieważ niedziela *Quasimodo*, pierwsza po Wielkiejnocy, nie przypada w całym międzyczasie panowania tego biskupa na 20 kwietnia — „więc właściwie nie wiedzieć, co by ten biskup miał poświęcać“. To nie racya, bo ostatecznie, jeżeli konsekracja pierwotna przypuszczalnej budowy drewnianej odnosiła się do hipotetycznej niedzieli *Quasimodo* i w ścisłym zostawała związku z wezwaniem, to sam akt konsekracyjny niekoniecznie jeszcze musiał się odbyć w tym samym czasie. Na karb pi-

sarza-kopisty z XIII wieku, pomimo zastrzeżenia na poprzedniej stronie (59, przypisek 2) o wartości konjektur, opartych na przypuszczalnych błędach kopisty, kładzie odmianę pierwotnego wezwania kościoła św. Salwatora na Wacława (str. 60). Na ten zbyt łatwy a pobieżny sposób wytłumaczenia godzić się trudno i w taką przemianę wprost nie wierzę. Wreszcie, wedle zgodnych zdań rocznikarzy średniowiecznych, w epoce romańskiej odbywa się jeszcze jedna konsekracya, a to za czasów biskupa Roberta w roku 1142, — o niej wspomina tylko autor, że do niej zapiska Długosza odnosić się nie może, bo wówczas niedziela, t. zw. *Quasimodo*, przypada na 26 kwietnia.

Interesujące jest zestawienie autora i obmyślenie położenia pierwotnych ołtarzy. Na planie swoim mylnie nazначzył przy ołtarzu św. Władysława rok 1333, zamiast daty erekcyi 1366.

Do historii budowy grobowca Kazimierza Wielkiego nie dodaje nic nowego. Zdeterminowania wmurowanej w niego płyty kamiennej z wyobrażeniem kustosza Franciszka dokonał już przedtem prof. Piekosiński na posiedzeniu Komisji historii sztuki.

Do rezultatów badań budowniczego, prof. Odrzywolskiego, który wykrył istnienie dwóch filarów od baldachinów przy grobowcu Władysława Łokietka, nie wiele przybyło nowego. Kwestyi spornej o materyale pomnika, t. j. czy wykonany z wapienia czy stiuku, nie wyjaśnia, a kiedyż była po temu sposobniejsza chwila, jak nie teraz, w czasie restauracyjnym, tak mało wymagająca zachodu, — zadowalnia się natomiast wyrażeniem Długosza, że pomnik jest z białego kamienia. Uwagi autora co do samej figury Łokietka, aczkolwiek interesujące, nie wszystkie wytrzymają ostrza surowszej krytyki. Wynika z nich, że głowa króla wymodelowaną być miała w okresie pokoronacyjnym, t. j. około r. 1320 (*sic*), że rzeźbiarz jest prawdopodobnie równocześnie budowniczym i, o czem zresztą oddawna wiadano, że pomnik stoi w bliższym stosunku do nagrobka ks. wrocławskiego i krak., Henryka IV († 1290). Prof. Wojciechowski przypuszcza, trzymając się kroniki Czarneckiego, że Łokietek był pierwotnie pochowany w chórze ze strony lewej i tu miano mu

zamiar postawić wolno stojący grobowiec, widziany z każdej strony, za czem przemawiają rzeźby tumby na wszystkich jej bokach w przeciwieństwie do grobowca Kazimierza W., gdzie tylko trzy boki znajdują się rzeźbione, bo czwartym przyparty został do ściany, a dalej wykazuje autor, że dopiero z powodu konsekracyi wielkiego ołtarza r. 1346 przeniesiono zwłoki i pomnik, oraz dodano baldachin. Trudno mi przychodzi pogodzić się z tem ostatniem przypuszczeniem autora, bo ani słówkiem nie wspomina, czy materyał baldachinu z materyałem tumby się różnią lub nie. Brak orzeczeń technicznej natury pomników, tak nieodzownych w ocenianiu dzieł sztuki średniowiecznej, spotyka się w dziele szan. profesora zbyt często lub są zastąpione orzeczeniem jego własnem, które jako zdanie zasłużonego wielce historyka jest bardzo szacowne, przecież jednak dla samej ścisłości naukowej i fachowej niewystarczające. To, co autor opowiada o podwyższeniu grobowców królewskich przez Kazimierza W., dotyczy oczywiście jedynie wielkopolskich pomników i — według mego widzenia rzeczy — nie ma żadnej analogii z pomnikiem Łokietka. Twierdzenie, że pomnik poznański był z wapienia, nie odpowiada prawdzie. Jak świadczą nasze i najstarsze pomniki śląskie, jeszcze okres pierwszej połowy XIV w. używa do sporządzenia pomników piaskowca drobnoziarnistego, a przy uformowaniu kończyn nosa, uszu i t. p. pomagają sobie artyści średniowieczni na Śląsku stiukiem. To też, gdyby autor polecił był technicznie pomnik zbadać, byłby znalazł potwierdzenie zastosowania tej samej techniki i uniknąłby błędnych o grobowcu opinii.

Na stronicy 74 powiada szan. profesor, że kaplicę św. Katarzyny „przebudowano w XVI wieku na renesansową. Koszta tej reformy poniosła królowa Bona, a przeznaczyła kaplicę na grobową, dla której zamówiła też w r. 1545 grobowiec marmurowy u Maryi Padowana“. Autor, powołując się na źródło, skąd tę wiadomość czerpie, nie wymienia numeru rękopisu, usuwa zatem możliwość jej sprawdzenia. Atoli skądinąd rzecz powszechnie znana, że nie Bona, jak pisze prof. Wojciechowski, lecz kapituła zapłaciła rzeźbiarza, który wedle umowy otrzymał

od niej za swą robotę 940 zł. (por. Ks. Ignacy Polkowski: „Spadek po prymasie arcyb. gnieźn., a bisk. krak. Piotrze Gamracie“ w Rozprawach wydziału historyczno-filozoficznego t. XXI, str. XXXVIII).

Dochodzenia w sprawie wykrycia pierwocin dziejów kaplicy Lipskich czyli śś. Mateusza i Macieja nie doprowadziły autora do żadnych pozytywnych rezultatów. Zato przyczynki, jakie zdobył do historii wieży Zygmuntońskiej są wcale piękne. Z nich dowiadujemy się, że wieża, pierwotnie forteczna, już r. 1412 należy do kościoła; roku 1514 ulega jakowejś ruinie, z której dźwigają ją budowy, przeprowadzone w latach 1513 — 1521, mianowicie kamieniarz Piotr Pyszny kuje r. 1518 obramienie wielkiego okna, potem cieśla Stanisław kryje ją ołowiem, Stanisław kotlarz robi 4 gałki na wieżyczki, a wreszcie Wojciech ślusarz 5 powietrznice, przez malarza następnie pomalowanych. Na kopulastym dachu osadzono złocistą koronę, a ściany zewnętrzne wieżycy malowali malarze kolorem czerwonym i zielonym. Robili to wszystko polscy rzemieślnicy. Tymczasem powiał silniej duch renesansu — i gdy r. 1554 porysowała się groźnie dzwonnica, a w lat cztery zapada się i bania nachyla, wtedy włoski już architekt Goliat ściąga jej mury ankrami, zaś Jan Marya Padovano rzeźbi na niej herbowe tarcze kamienne. Rysunek pobieżny wieży przechowała nam rycina z drugiej połowy XVI wieku. Pomysł otoczenia dachu wieży wieżyczkami uważa prof. Wojciechowski za rodzimy naszych cieśli i murarzy z okresu 1514 — 1521, — sądzę, że sama forma dachu kopulastego jest raczej wpływem renesansu; okoliczność, że zanotowani rzemieślnicy są Polakami, nie przesądza o autorze projektu, i raczej przyjąć, że rysunku dostarczył Włoch, a myśl jego wypaczoną została przez tubylezych majstrów, wywiczonych w gotyckiej epoki formach lub, co jeszcze prawdopodobniejsze, że Włoch architekt nie umiał lub nie chciał nagiąć swej fantazyi do reguł ostrołukowych i stworzył połowicznego dziwoląga, który razil zawsze brakiem organicznej łączności. Tak samo wyglądał też dach wieży północnej zegarowej. Inna sprawa, jak wyglądał szczyt wieżycy Zygmuntońskiej przed r. 1514 i w tym wzglę-

dzie nie może być wątpliwości, że musiał posiadać w zupełności charakter systemu fortyfikacyjnego, z hurdycejami i wieżyczkami obronnymi, z których, jak wspomnienie, pozostały owe późniejsze bezcelowe — jak myślę — włoskiego architekty.

Może najważniejszą kwestyą, w każdym razie najtrudniejszą do rozwiązania, ale zarazem najwięcej objaśniającą, jest stosunek transeptu kościoła do obydwu połów, t. j. nawy głównej do chóru. Nasuwa się tu cały szereg anormaliów i zagadek związanych z konstrukcją budowy do odgadnięcia. Rozumiał to doskonale prof. Wojciechowski i poświęcił im dwa rozdziały (II i XV) swego dzieła. Oto ich poczet: 1. Transept dzieli kościół niezwykle, bo chór jest o całe pole dłuższy od nawy głównej, zamiast by było odwrotnie, albo, aby długość nawy równała się przynajmniej długości chóru. 2. Oś kościoła łamie się w transepcie czyli, że tak nawa główna, jak chór, mają własne osie, przez co transept otrzymał plan trapezu a nie prostokąta. 3. W południowym ramieniu transeptu jest mur szczytowy załamany. 4. W północnym znowu wystrzela w górę bez widocznej przyczyny czworoboczna wieżyczka ciosowa. Do tych anormaliów, będących w ścisłym związku z transeptem, przyłączają się jeszcze inne, które zdają się mieć te same przyczyny, t. j. 5. Wieże nie wiążą się z organizmem budowy, stoją obok nawy niesymetrycznie, a północna wtłacza się nawet do środka kościoła. 6. Poziom chóru jest o dwa stopnie niższy od nawy głównej, zamiast przeciwnie, mimo nawet opadu terenu ku zachodowi. Przytem zadziwia sytuacja katedry tuż nad stokiem góry i, co z naciskiem należałoby tutaj podnieść, a co prof. Wojciechowski w końcowych rozdziałach tylko nadmienia, transept rozgranicza dwa rodzaje odmiennych wątków ścian, gdy mury chóru przyobleka okładka z ciosów piaskowca, w nawie twardy muszlowy wapień nadaje odmienny koloryt całemu wnętrzu. Znaków kamieniarskich, rozsutych wszędzie na ścianach, nie wciągnął autor w zakres swojej rozprawy, jakkolwiek powinien był to uczynić, zwłaszcza, że wobec stawianych ruštowań w czasie robót restauracyjnych, można to było zrobić



bez trudności i zachodów. Druga podobna ku temu sposobność chyba nigdy się już nie nadarzy.

Podwoje główne (*ostium maius*) do katedry wiodły przez południowe ramię transeptu; tędy podążało królestwo, tędy szedł dwór do wnętrza i co jeszcze ciekawego, że przed tym portalem istniała niegdyś kruchta. Prof. Wojciechowski dowodzi dalej na podstawie wątku murów, iż toż samo z północy, gdzie dzisiaj dwoje drzwi prowadzi z kościoła do kaplic, istniało wejście, okryte kruchtą, dopiero kaplica św. Tomasza, zbudowana przez biskupa Mokiskiego († 1380), zamknęła w XIV wieku północne wejście. Oba te wejścia, północne i południowe, uważa za jedyne i pierwotne w katedrze, podobnie jak było w Krakowie jeszcze r. 1411 u Panny Maryi, a do dzisiaj pozostało w kościele św. Katarzyny. Przy bramie północnej transeptu stała wspomniana czworoboczna wieżyczka, przechodząca w ośmiboczną ceglana i w jejto ścianie, na wysokości półtora metra, odkrył prof. Odrzywolski ornament sznurowy, starożytniejszy od budowy gotyckiej. Wątpliwości nie ulega, iż ornament jest romański, atoli związku jego z portalem niegdyś istniejącym dla podniesienia jego ozdobności, jak chce prof. Wojciechowski, nie widzę i sędzę, że ten remanent kościoła romańskiego dowodzi, iż wieżyczkę postawiono po zburzeniu kościoła romańskiego, t. j. około r. 1346; żeby jednak istniała tutaj celowość i ornament miał służyć do przyozdobienia portalu, w to nie wierzę i śmiem przypuszczać, że wobec bliskości murów fortyfikacyjnych, wejście tędy nie było zamierzone pierwotną budową, a skoro je wypruto, postawiono równocześnie obronną przy niem wieżyczkę, jedynie celem utwierdzenia bezpieczeństwa kościoła, drzwi też na nią prowadziły od strony ambitu kościelnego.

Według dowodzenia autora, ołtarz św. Stanisława z jego kaplicą, zbudowany w samym środku transeptu, stoi tutaj na tem samem miejscu nienaruszony, co w kościele romańskim. Na dowód tego ważnego i doniosłego twierdzenia niema wprawdzie, jak przyznaje, żadnego dowodu źródłowego, jednak przemawiać za tem mają względy uboczne, mianowicie: Notatka z r. 1406 mówi, że ołtarz stoi w środku kościoła, a powtóre, że

w roku 1320, kiedy rozpoczęto budowę gotycką, minęło już lat 60 od chwili kanonizacji św. Stanisława i złożenia relikwii na ołtarzu. „Gdyby otóż — są słowa autora — w ciągu fabryki było nastąpiło jakieś przeniesie relikwii na inne miejsce, tedy musiałyby też nastąpić konsekracya nowego ołtarza“ i o tem przechowywałyby się wiadomość w rocznikach lub kalendarzu. Skoro jej niema, zatem, wnioskuje prof. Wojciechowski, ołtarz, nakrywany w czasie restauracji, przetrwał na swoim miejscu aż do XVII wieku, t. j. chwili, kiedy biskup Szyszkowski zbudował obecną kaplicę i nastąpiła nowa konsekracya.

Przeciw dowodom powyższym budzą się poważne wątpliwości. Naprzód zapiska z r. 1406 jest nie nieznaczącą dla epoki romańskiej. Zaś druga supozycya, że o konsekracji ołtarza znalazłaby się równocześnie wzmianka w roczniku, nie jest dostatecznym dowodem, jest przypadkiem i nie więcej. Analogie takie, że nie znamy dnia konsekracji ołtarza, powtarzają się przecież nie tylko przy innych ołtarzach w samej publikacji prof. Wojciechowskiego, ale nawet powtarzają się przy samejże kaplicy św. Stanisława, kiedy Zygmunt I wystawił ołtarz marmurowy. Dlaczegoż autor zbywa ten fakt milczeniem? Gdzież zresztą dokument jego pierwszej erekcyi? Że podczas budowy kaplicy w XVII stuleciu znaleziono również ciała tutaj pochowanych zmarłych, mogłoby dowodzić, że na miejscu dzisiejszego transeptu rozciągał się już cmentarz, okalający kościół romański. Anormalne skrzywienie transeptu ma być również tego powodem. Gdyby budowę prowadzono nad kaplicą św. Stanisława, to właśnie wtedy wytyczenie linii prostych nie przedstawiałoby znowu takiej trudności. Prof. Wojciechowski sądzi przesadnie, że nawet dla dzisiejszych techników wytknięcie linii prostej jest trudnem zadaniem. Powód tak znacznych krzywizn musiał leżeć gdzieindziej, był ważniejszy i bardziej rozstrzygający.

Przedtem, t. j. zanim przeniesiono do ołtarza relikwie św. Stanisława, był on pod wezwaniem św. Floryana, którego relikwie sprowadzono r. 1184 do Krakowa i część ich w marmurowej trumnie na środku romańskiej katedry złożono. Środek ów był podówczas skrzyżowaniem nawy z transeptem, albo osta-

tnim kwadratem nawy głównej. W sprawie dziejów ołtarza i jego relikwiarzy opowiada prof. Wojciechowski o przeobrażeniach ołtarza i tumby, które z biegiem czasu ulegały, stosownym do epoki, zmianom stylowym. Wiele tu wątpliwości. wiele kart ciemnych, które w części rozprószył był swego czasu ks. Ignacy Polkowski. Wyjaśnień przydał, ale też z drugiej strony autor rzeczy w niektórych kwestiach chyba nie rozjaśnił, nazwał wprawdzie kombinacje ks. Polkowskiego chybionemi, ale wyznaje, nie wchodząc tutaj w bliższy rozbiór rozdziału XVI, że na wiele głoszonych tutaj twierdzeń zgola pisałbym się nie mógł. Dla przykładu nadmieniam, że ustęp, wyjęty z rocznika Świętokrzyskiego (na str. 91), dotyczący grobu św. Stanisława, nie jest, jak pisze autor, „objaśnieniem samego rocznikarza“, ale kopisty z połowy XVI wieku, i okoliczność ta zmienia niewątpliwie całą wartość świadectwa o fundatorkach relikwiarzy grobu św. Stanisława, nie jest zatem tak zupełnie pewny, za jaki go autor uważa.

Korpus kościoła (t. j. część zachodnia) jest trójnawowy, o trzech przęsłach i zachował swoją pierwotną wysokość ścian. Z oknem okrągłym, rozetowanym u facjaty, do której przy narożach przypierają dwie szkarpy, utopione w ścianach później przybudowanych kaplic, przyozdobiony był niegdyś portalem gotyckim, zastąpionym w XVII stuleciu barokowym. Portal gotyki zbudował, wedle prof. Wojciechowskiego, biskup Zawisza z Kurozwęk (1379 † 1381), a to rzekomo ze względu, ponieważ poprzednik jego na stolicy biskupiej, Floryan z Mokrska, zamknął do kościoła wejście północne budową nowej kaplicy. Sądzę, że się autor tutaj myli i że portal zbudowany został wcześniej, za biskupa Bodzanty i Kazimierza W., których jednego herb nad gzemsem, drugiego litery na wrotach kościelnych przypominają czasy konsekracji z r. 1364. Za okazałą resztę owego portalu północnego uważa autor dwie wielkie rzeźby z piaskowca z wyobrażeniami św. Michała i Małgorzaty, umieszczonych w wykrojach gotyckiego trójliścia i kładzie ich chwilę powstania na czasy budowy nankierowskiej chóru. Powiada on dalej, że je z północnego portalu wylupano i tutaj około r. 1380 wmurowano po bokach. Otóż przeciw tej teorii o znaczeniu rzeźb

naszych powiem słów kilka odmiennego zapatrywania. Naprzód co do epoki powstania, na podstawie ich stylowego traktowania, uważam je za zupełnie różne od rzeźb Nankierowskiej budowy. Figury same obu postaci oraz smoków w ostrołukowej oprawie tehną duchem odmiennej epoki, odczuwać się daje prostota w ich pojęciu. Rysunek twarzy nadaje wprawdzie jej życie, ale czy draperye, które skromnie układają się w fałdy, albo też skrzydła, niestylizowane jeszcze, nie posiadają w pełni gotyckiej fantazyi, — natomiast ornament, trójliść arkady, zatoczony  $\frac{3}{4}$  częścią obwodu koła a nie ostrym łukiem, jej smoczki i liście lub spinka, na płaszczu świętej w czworoliść ostrołukiem zarysowana, mają znów w pełni prawo do gotyku. Na zwornikach chóru figury świętych mają aureole, tu ich brakuje. Wreszcie pojęcie całe, technika grubsza, formy zwierzęce wprost nieudolne nie wytrzymują żadnego porównania z subtelnością dłuta rzeźbiarza, który kuł zworniki sklepień chórowych. To wszystko razem wzięte, przemawiałoby ikonograficznie i technicznie za odmienną epoką. Trudno przypuścić, aby rzeźby portalu miały być późniejsze, acz bliżej położone i dostępnejsze dla oka ludzkiego od wysoko położonych zworników. Obydwie rzeźby są zrąbane w ten sposób, że nie czynią wrażenia, jakoby je pietyzm tutaj przeniósł i dla ich okazałości i konserwacyi wybito w głąb lico ściany, aby je tutaj umieścić. Takiego pietyzmu dla kawałów rzeźb, ostatecznie podrzędnej wartości, wieki średnie, które bez skrupułu kruszyły i niszczyły najpiękniejsze pomniki, nie znały. Rzeźby więc dlatego się tutaj ostały, bo tutaj były, a wyrzucenie ich przedstawiało więcej trudności, aniżeli zamurowanie. Coby jednak one w tem miejscu znaczyć miały? Równy ich poziom, materiał, wielkość i styl, przemawiają za tem, że są fragmentem jakiejś całości. Być może, iż są to urywki gżemsu arkadowego, który na tem wielkiem i frontowem licu ściany, wówczas zamkniętej, bez portalu z XIV wieku, przyozdobił i ożywił mur katedry.

Również nie wierzę, by wrota kazimierzowskie, okute blachą żelazną, były przeniesione z portalu północnego. Portal północny, z natury rzeczy, ze względu na bezpieczeństwo grodu

na okalające fortyfikacje, był szczupły i boczny, obronny nadto basztą. Główne wejście było bezsprzecznie południowe od strony zamku i było podwojami królewskiego dworu. Po wypruciu ściany zachodniej na główny portal wstawiono tedy nowe drzwi do katedry, najprawdopodobniej od razu na tem samem miejscu, co dzisiaj. Powodem zaś tego mogło być wybudowanie kaplicy Prandoty przy bramie południowej, którą wskutek tego wówczas zamurowano i której ślad gotycki pozostał w katedrze na załamanej części transeptu.

Rozdział XVIII poświęcił prof. Wojciechowski omówieniu znanych dziejów kaplicy królowej Zofii (bud. r. 1431—3) i św. Krzyża (1467—1477) wzniesionej przez oboje królestwo, Kazimierza i Elżbietę. Mylnem jest między innemi mniemanie autora, że dachy kaplic były pierwotnie siodłowe a zburzono je dopiero w XVI wieku; gdyby tak było pozostałby po nich niewątpliwie ślad na licu ściany frontowej na poddaszu, skoro go zaś nie ma, tedy i twierdzenie powyższe jest błędne. W następnym rozdziale dowiadujemy się historyi kaplicy Szafranców, która jest poziomem wieży wikaryjskiej czyli srebrnych dzwonów; tutaj do XV w. był kapitułarz kościelny, zaś dwaj Szafrancowie na jego miejsce urządzili kaplicę. Czy opinia prof. Wojciechowskiego o dziejach wieży jest słuszną, trudno o tem nabrać pewnego przekonania, skoro tak ważne wymiary, określenie ścisłe materiału budowlanego, wykazują braki, i dla oryentacyi archeologa są niedostatecznie zbadane. W każdym jednak razie uporządkowanie zebranych o niej wiadomości jest wielkiej wagi nabytkiem. Pod podłogą na 3·24 m kaplicy Szafranców czyli św. Jana Kantego znajduje się sklepiona izba, którą akademicy, zarządzający nią, zamienili w XVII w. na groby dla siebie. Prof. Wojciechowski sądzi, że poziom jej podłogi jest poziomem pierwotnego kościoła romańskiego, a ona sama starym kapitułarzem romańskim. Nie ulega wątpliwości, że w tych murach był stary kapitułarz, tylko czy w dzisiejszem podziemiu, jak twierdzi autor, w to wątpię, bo ustępy cytowane mówią o kaplicy, ale nie każą wnioskować podziemia. Gdy zaś w r. 1403 jest mowa w zapiskach o krypcie, jako miejscu zwyczajnem kapituły, tedy łącniej mniemać dosło-

wnie, że dotyczy to w owym czasokresie krypty św. Leonarda i że tam zbierała się kapituła. W każdym razie pobyt kapituły, złożonej, jak sam szan. profesor mówi, z 6 prałatów, 30 kanoników, nie da się ludzkim rozumem pomyśleć w małej, niskiej izdebce, przestrzeni około 17m<sup>2</sup>, wypełnionej nadto ołtarzem, tronem biskupim, stołem i ławami. Okienko od zachodu prostokątne o proporcjach 75×60cm, drzwi wąziutkie naprzeciw niego, czy prowadziły one pierwotnie do kaplicy, czy też na cmentarz kościelny, to kwestya niewyjaśniona, bo nie wiemy, kiedy kaplica sąsiednia została zbudowana.

Także i co do ostatecznych wniosków autora o przeszłości wieży zegarowej północnej nasuwają się poważne wątpliwości. Wieża zbudowaną została, wedle prof. Wojciechowskiego, na planie kwadratowym z grubych murów ciosowych, dopiero za czasów Kazimierza Wielkiego. Wszedł on tą budowę w nawę boczną kościoła, nie złączył jej z rozkładem geometrycznym katedry, bo rzekomo teren go do tego zmusił. Stać się to mogło około r. 1364, t.j. przed zamknięciem fabryki budowy. Potem Zbigniew Oleśnicki opatrzył dolną izbę sklepieniem gwiazdystem i ulokował w niej kapitułarz. W latach 1521—25 dobudował dr. Jan Salomon resztę wieży ceglanej. Żeby Kazimierz Wielki, rzetelny przedstawiciel gotyku, stylu tak ściśle geometrycznych linii i układu, — mógł popełnić bez nieuniknionej konieczności taki *lapsus*, nie mogę uwierzyć. Z drugiej strony świadczą o tem wykazane w dziele znakomitego profesora motywa dekoracyjne, że Kazimierz Wielki brał czynny udział w dekoracji wieży, atoli mniemam, że wieża ta w swoich posadach już za króla Kazimierza istniała, ale należała pierwotnie nie do kościoła, lecz również, jak druga wieża północna, do fortyfikacji zamkowych. Stała ona prawie na brzegu urwiska skalnego, na co zwraca uwagę prof. Wojciechowski i była może stołpem (*Bergfried*), z głębokim, dziś zamurowanym, lochem w swem wnętrzu. Zatem kościół, rozszerzony za Kazimierza W., przejął ją w siebie i Kazimierz Wielki, aby nie szpeciła wnętrza, kazał ją obłożyć ozdobnie ciosami i odpowiednio do nowego przeznaczenia zużytkować. Owe kroksztyny, pozostałe po-

nad framugą na wieży, są może szczątkami dawnych hurdycy. Aby opinia o przeszłości wieży zyskała podstawę pewną, trzeba by jeszcze zbadać wątek murów podziemia, zejść do lochu zamurowanego i zbadać go dokładnie, czego jednak prof. Wojciechowski nie dokonał. Z powyższą hipotezą o wybudowaniu z gruntu wieży zegarowej przez Kazimierza W. w czasie budowy kościoła wiąże autor i inną kwestyę, mianowicie przeprowadzenie wschodów z wieży zegarowej wejściem, zamkniętem dzisiaj tablicą na cześć Długosza, na pierwsze piętro do nieistniejącej kaplicy z głową św. Stanisława. Twierdzi on, że „przeprowadzenie wschodów (B) przez róg wieży zegarowej dowodzi, że całe urządzenie galeryjne było już przewidziane przy założeniu wieży; a stąd wynika, że konstrukcyja wschodowa, z budową wieży tak ściśle złączona, powstała także z inicjatywy Wielkiego Kazimierza“. Z fałszywej przesłanki o budowie z gruntu wieży Kazimierza W. zrodził się analogiczny wniosek. Niesymetryczność okładki wieżowej w stosunku do odrzwi, nie bardzo przemawia za równoczesnością kaplicy na głowę św. Stanisława i wieży, a następnie samo sklepienie nawy bocznej zatapia się w tem miejscu w jednej trzeciej w okładce gotyckiej, więc nie liczy się z jej występem. Ta uderzająca niesymetryczność sprzeciwia się właśnie myśli prof. Wojciechowskiego, aby budowa pochodziła z jednego czasu i wypłynęła z jednego założenia.

Co do kaplicy Hińczy z Rogowa dodać nie zawadzi, że mała przestrzeń (naznaczona na planie Packa literą E) nie zdaje się, by była kiedykolwiek zakrystyą, jak twierdzi tutaj autor, jednak lipsa noteką, t.j. miejscem, ubezpieczonem zazwyczaj kratami, do przechowania relikwii, a zatem prawdopodobnie głowy św. Stanisława. Dochowany ten fragment budowniczy ma wątek z cegły XV-wiecznej, więc mówi coś więcej. Tłumaczenie prof. Wojciechowskiego wyrażenia Długosza o Hińczy — *arcum dilatavit*, — że on kaplicę rozszerzył, nie jest ściśle wobec wyraźnej wzmianki tylko o łuku. Na platformie ponad kaplicą Hińczy z Rogowa powstała otwarta na kaplicę świętego Mikołaja empora, przeznaczona na wystawienie ludowi głowy św.

Stanisława, dokąd później na ten cel wzniesiono jeszcze z ambitu ołtarz śś. Jakóba i Klemensa. Na empore można się było dostać wschodami od wieży zegarowej, albo z kaplicy św. Mikołaja. Z empory zaś przechodziło się w XVII wieku do nowego kapitułarza.

Co do kaplicy św. Mikołaja uderzającą jest nieregularność pod każdym względem: mur od strony południowej tj. od nawy bocznej dochodzi grubości 1:35 m, z północy odkrywa się mur cieńszy, bo na 1 m, ale z warstwami najstarszej cegły (XIII-wiecznej). Również granice kaplicy nie są podyktowane przesłami sklepień i słupów w kościele, ale niezależnie rozciągają się one aż poza trzecie przesło i tworzą trapezoid, zbliżony do wydłużonego prostokąta, którego strona wschodnia ma znów strukturę kamienną z przyporą o nieokreślonym celu, wreszcie dwoje drzwi, położonych na przestrzał przez ołtarz. To wszystko prowadzi autora do wniosku, że kaplica w swym planie, a w części w swej treści jest remanentem pierwotnych fortyfikacyi, i tem przeznaczeniem pierwotnem tłumaczyć sobie można wykrój kątowny dwuscienny na sąsiedniej wieży, biegnący na jej południowo wschodnim rogu tj. od strony zamku, który sięga w górę, aż pod gzyms okapowy wieży; zamyka się spojeniem dwóch krok-sztynów. Według mojego wyobrażenia mógł był tu być umocowany blok i sznur, z pomocą którego wyciągano na wieżę mieszkalną prowiant, wodę i zapasy wojenne. Gdybyśmy przyjęli wraz z prof. Wojciechowskim supozycyę, że wieżę stawiano od razu w celach kościelnych, sprawa ta pozostałaby naturalnie niezrozumiałą. Romańskie remanenty murów w tej okolicy nie będą chyba należały do pierwotnej katedry, ale do dawnego pałacu królewskiego, dlatego sędzę, że dzieje katedry romańskiej początkowe nie będą pierwiej wyjaśnione, jak długo nie będą znane dokładnie przeszłość starszego od niej grodu królewskiego.

(Dok. nast.)

*Leonard Lepszy.*





## Z POWODU „LEGEND“.

---

Pisząc tych kilka słów o „Legendach“ Niemojewskiego, nie kreślimy ich ze stanowiska literackiej krytyki. Utwór, niezależnie nawet od treści, nie jest pod względem czysto literackim takim zjawiskiem, żeby zasługiwał na głębszą rozwałę i rozpatrzenie.

Nie jest też głównym celem niniejszego artykułu protest przeciw antychrześcijańskiemu charakterowi książki. Głos jednego człowieka nie znaczyłby tu wiele, byłby nawet niepotrzebny, bo już lepiej obowiązek ten spełniają gorące protesty zbiorowe, jakie z różnych stron kraju, z piersi oburzonego społeczeństwa, płyną.

Głównie bierzemy za pióro dlatego, by wniesć trochę światła w te egipskie ciemności, jakimi książkę tę i związane z tego rodzaju książkami ogólnejsze zagadnienia otoczyły pewne pisma i dzienniki.

Naturalnie, na pierwszym planie tradycyjne w tych pismach oburzenie na krępowanie wolności słowa, na poniewieranie godności literatury. Z bardzo szczupłego swego repertuaru wyciągnięto przestarzałą i tysiące już razy graną sztukę, w której na głębszem tle zjawiają się ponure płomienie stosów, obryzgane krwią koła i tortury inkwizycyi, a na przedzie migają cienie Giordana Bruno, Galileusza i towarzyszy. To jednak jeszcze za mało. Magiczne takie sztuczki mogły elektryzować słabsze umysły lat temu trzydzieści, ale od tego czasu świat trochę zmądrzał;

nauczył się trochę więcej historyi i wie co jest faktem historycznym, a co bajką — wyrobił się także odrobinę pod względem filozoficznym i umie odróżnić wyjątek od zasady.

Więc cóż, czy zachwycać się bluźnierstwem? Rzecz najpierw za ryzykowna w społeczeństwie katolickiem, a potem i nie-miła wobec grozy paragrafu 122 i 303 ustawy karnej. Popchnęłoby to tylko prokuraturę do konfiskaty, a odwrócenie konfiskaty było przecież głównym tych dzienników celem. Najlepiej zatem przybrać minę maluczkich w duchu.

Byłto areybudujący widok, gdy pisma, które dotychczas o religię nie troszczyły się wiele, albo występowały przeciw niej wrogo, nagle pogrążyły się w religijnej ekstazie nad Bóstwem Chrystusa, jakie — ich zdaniem — ma z tej książki pełnym blaskiem jaśnieć — jak nawet z dziecinną niewinnością służących do mszy pochołat, wznosząc ku niebu błogo rozmodlone żrenice, szeptały ewangeliczne słowa, „że czystym wszystko czyste“! Mogłaby w kimś powstać wątpliwość, czy nawet dobrowolne upodobanie w nieczystości jest takim. Święte zachwyty doszły do zenitu, gdy autorka „Kaśki Karyatydy“, zasłuchawszy się „w delikatny szmer gołębih skrzydeł“ ujrzała wkońcu w tej książce „nieskalaną biel Maryi“.

Ależ w takim razie o co oburzają się katolicy, którzy w sprawach swej wiary są jedynie kompetentnymi rzeczoznawcami? Mógł się tak zapytać każdy rozumny czytelnik tych pism. Odpowiedź łatwa. Nie jest to sprawa katolicka, ale „nagonka“ stańczyków, a nagonka dlatego, iż w książce tej przedstawiony jest Chrystus, jako opiekun ubogich i upośledzonych. W tym duchu pisał także autor w swej publicznej obronie. Nieprzezorni ci gromowładni stańczycy! czemuż tak długo tolerują czytanie z ambon Ewangelii, która to samo o wiele wyraźniej głosi. Choć jesteśmy dalecy od wszelkiej obrony lub atakowania jakiegokolwiek politycznego stronnictwa, trudno jednak wobec tego rodzaju dowodów nie zaznaczyć, że blizką jest chwila, w której grad lub posucha w Galicyi także na karb stańczyków policzone będą.

Bylibyśmy naiwni, gdybyśmy chcieli mierzyć w stronę

tych pism. Pisząc te słowa mamy na oku tylko tych, którzy szukają prawdy. Pisanie trudne, bo w głębi duszy jest tylko jedno słowo, a tu trzeba pisać słów więcej, i na zimno.

\* \* \*

Cóż więc sądzić o samej książce?

Utwór „Legendy“ składa się z dwunastu obrazków, których treścią jest życie Chrystusa Pana. W pierwszym obrazku widzimy jego rodziców, w drugim pokusy na puszczy, w następnych działalność jego i cuda, potem śmierć i dzieje po śmierci.

Jeżeli już jakiś szczególniejszy talent autora w tej książce podnieśćby należało, to chyba tylko pewną psychologiczną zdolność w przystosowaniu się do usposobień społeczeństwa polskiego. Między dwunastu obrazkami są i takie, które same w sobie wzięte, a więc z tej całości wyrwane, mogłyby zająć miejsce i w najbardziej katolickim utworze. W jednej z legend (Majlach) widzimy, jak nędzarzowi schorzałemu, pokrytemu wrzodami, zgorzkniałemu w duszy doszczętnie, na słowo Chrystusa ustają cierpienia, zamykają się rany i kończy się rozterka wewnętrzna. W innym obrazku (Napomnienie) zarysowany jest wyraziście kontrast między wysokim światem żydowskim, czysto formalistycznym bez wewnętrznej treści, a przerastającym go o całe niebo światem, jaki pod wpływem nauk, cudów i świętości Chrystusa kształtować się poczyną. Na tem tle roztacza się opowieść o niezwykłym wybawieniu jednego z członków Synhedrionu z niebezpieczeństwa — przez Chrystusa. Inny znów króciutki obrazek (Skowronek) jest przeróbką miłej legendy ludowej o skowronku, co w czasie męki Pańskiej unosił się nad krzyżem, a następnie z cierniowej korony wyrwawszy jeden kolec, uleciał z nim do nieba. Zadziwia tylko to mieszanie baśni gminnej z historycznymi faktami, opisanymi w innych obrazkach. „Skowronek“ jest jedyną, w ścisłym tego słowa znaczeniu, legendą w tej książce. Czyżby tytuł całej książki „Legendy“ miał oznaczać, że i inne obrazki mają tę wartość historyczną, co „Skowronek“? Zobaczymy to poniżej.

Te trzy obrazki stanowią jedną kategorię „Legend“. Na

drugą kategorię składają się mniej lub więcej niezgodne z prawdą lub bałamutne. W jednej z nich (Ząb za ząb) krótki tylko ustęp o dwunastoletnim Jezusie w świątyni jest niezgodny z myślą Ewangelii, która przy opisie tego wypadku bynajmniej nie wspomina o poufaleń lekceważeniu młodzieńca przez faryzeuszów, owszem o czemś wręcz przeciwnem pisze. — Znowu w legendzie „Gamaliel“ zastanawia lakoniczna wzmianka o braciach i siostrach Chrystusa, tak rzucona, że mógłby ktoś mniemać, iż byli to rodzeni bracia i siostry. W tej samej legendzie, uspokajanie tłumów przez Chrystusa jest takimi sztuczkami upstrzone, że mógłby się nimi posługiwać jakiś magnetyzer lub poskramiacz zwierząt, ale nie Bóg. — Bałamutną jest inna legenda: „Dwaj uczniowie“. Piotr i Jan w wieczór księżycowy jadą łódką po Jordanie i rozmawiają o swoim mistrzu. W chwili gdy zaczyna ich ogarniać niepokój o przyszłość Chrystusa, widzą go idącego ku nim po wodzie. O takim fakcie wiemy z Ewangelii, ale też w Ewangelii fakt ten tak jest przedstawiony, że w rzeczywistość jego nie wątpimy. Tu można cud ten wziąć za rzeczywistość, ale też i za złudzenie. Gdzieś w oddali widzą jakąś majaczącą postać... podobną do swego nauczyciela, ale także i do widziadła... „owa postać sunęła jeszcze chwilę po wodach, aż rozplynęła się w oddaleniu śród jasności miesięcznej“. Gdyby cała książka była inną, na taki szczegół nie zwracałoby się większej uwagi, tu ta uwaga — jak zobaczymy wkrótce — jest konieczną. — Albo inny obrazek opisujący mękę Pańską. Opis męki wsunięty jest w opowieść o jakimś ślepym skąpcu, któryby chciał wzrok odzyskać, a nie chciałby stracić pieniędzy. Dowiedział się o Chrystusie, który za darmo leczy, ale szuka go w ostatniej chwili, kiedy prowadzi go tłum żydowski już zasądzonego na śmierć. Przypada pod krzyż, zanosi swą prośbę, ale już za późno — po chwili następuje śmierć Chrystusa. Kończy się ten obrazek słowami: „Legenda mówi, że byłoby jedyne błaganie, którego miłosierny rebe nie wysłuchał“. Zakończenie bałamutne, bo kilka znaczeń przypuszcza. Może się komuś wydawać, że cała sprawa ślepego skąpca jest tylko literackim sposobem dla przedstawienia męki, a wtedy zakończenie byłoby

pozbawione głębszego znaczenia; inny może sądzić, że jest to niewysłuchanie prośby ślepego w karę za jego skąpstwo. Ale też możliwe są i inne tłumaczenia.

Bardziej odsłania przyłbicę autor w trzeciej kategorii. Weźmy obrazek, przedstawiający pokusy Chrystusa na puszczy. Wiemy, jak Renan z litującą się wyższością pisze o wierze Chrystusa w istnienie szatana, jak cały spis Ewangelii o pokusach Chrystusa przypisuje tylko wyobraźni jego uczniów. Odbicie jakiegoś tego poglądu mamy w tym obrazku. Nie szatan kusi Chrystusa, ale faryzeusz Suten dla politycznych celów. Chrystus wychodzi z tych pokus zwycięzcą, ale znać chwile namyslenia się, przygnębienia, jak u istoty, która jest tylko człowiekiem. Jak gdyby u Boga-człowieka dotarcie pokusy do wnętrza duszy było możliwe, i jakby to nie były pociski, które odbijały się i pozostawały zewnątrz. — Inna legenda „O cichym wieczorze“ fałszuje również za Renanem, tak klasyczny cud, jak wskreszenie Łazarza. Wiemy z Ewangelii, że cud ten nastąpił w 4 dni po śmierci Łazarza, i to jak już ciało złożone w grobie było w rozkładzie. Tu Łazarz leży jeszcze chory na łożu; dopiero przed chwilą „przymknął oczy, wszelkie tchnienie uleciało z jego piersi, a siła śmiertelna powlekła jego oblicze“. Czy to ma być śmierć, czy tylko omdlenie, czy letarg, z tekstu legendy nie wiadomo. W tej chwili zjawia się Chrystus i Łazarza podnosi z łoża. Po co to fałszowanie historycznego faktu? Czy nie jest ścisłem nasze rozumowanie, że jeżeli autorowi zawadzało w opisie wskreszenie umarłego z grobu, to wogóle nie było mu na rękę wskreszenie umarłego, a więc nie był mu na rękę prawdziwy cud, nie dający się wytłumaczyć siłami przyrody, lub w jakiś inny naturalny sposób, jak ostatecznie wszystkie cudowne zdarzenia, jakie w tych „Legendach“ spotykamy, wytłumaczyć się dają. A więc rozmyślnie otoczył ten cud mgłą, aby w ten sposób podać go w wątpliwość. Jest to ten sam objaw, jaki spotykamy w naszych czasach u Renana, lub u dzisiejszych protestantów (Harnack), którzy patrzą na Chrystusa, jak na idealnego, wielkiego człowieka, ale zaprzeczają Jego Bóstwo, stąd też zaprzeczają i takim cudom, któreby tylko z siły Boskiej płynąć mogły. — Podobnie

rozmyślna niejasność roztacza się nad obrazkiem, odnoszącym się do Zmartwychwstania Pańskiego. Jeden tylko żołnierz czuwa przy grobie, inni posnęli. Kiedy tak żołnierz rozmyśla nad możliwością powstania zmarłego, zdaje mu się, że słyszy jakiś szmer w głębi grobu. Ale to tylko widoczne przesłyszenie, bo długi czas mija, a w grobie cicho, trudno zaś przypuścić, by zmartwychwstający Chrystus bawił się w dziecinne strachy. I tu pomysł arcyeudowny. Żołnierz, który przez całą noc był spokojny, który nawet wobec przesłyszanego szmeru nie stracił zimnej krwi, rano, na widok wschodu słońca, odchodzi z bojaźni od przytomności. „Paniczny przestрах ogarnął żołnierza. Szum jakiś napełnił mu uszy, szum i dzwonienie, potem jakby grzmot głuchy, przeciągły. Nakrył głowę płaszczem, stracił pamięć. Zdało mu się, że ziemia zadrżała, że kilka postaci przemknęło koło niego...“ Kiedy przyszedł do przytomności już kamień był odwalony, a ciała w grobie nie było.

I to ma być opis Zmartwychwstania! Czyż to pomieszanie czegoś dziejącego się przy grobie z objawami, które mogą towarzyszyć każdemu odejściu od przytomności, ta wzmianka o kilku przemykających postaciach, a więc podsunięcie żydowskiej baśni o wykradzeniu ciała przez uczniów — czyż to nie parodia i historycznego faktu i katolickiego dogmatu o Zmartwychwstaniu Boga-człowieka.

Ostatnia w tej książce legenda „Przeklęty“ usiłuje nadać życiu pozagrobowemu odmienne znaczenie od katolickiego poglądu. Cały ten chaotyczny obrazek, mieszający nieskładnie rzeczywistość z wyobraźnią, przedstawia mękę pośmiertną samobójcy Judasza. Obwieszona ciało zostało na drzewie, dusza zaś miota się wśród wichrów w powietrzu. Za wzorem niemieckich modernistów, choć w swój sposób, autor jest bardzo na Judasza łaskawy, bo gdy tylko Judasz uznaje swoją winę, natychmiast przestaje cierpieć. Wtedy zjawia się Chrystus i nad głową Judasza wygłasza słowa przebaczenia, bardzo tajemnicze i bardzo dziwne: „Żyj i odradzaj się ciągle, boś jest człowiek, który dąży. Po każdym czynie nastąpi zrozumienie tego czynu. Więc patrzaj, abyś za każdorazowem odrodzeniem się

mniej prawdę sprzedawał...” Jeżeli te słowa nie są bałamutnym tylko frazesem, to w miejsce chrześcijańskiego dogmatu o pozagrobowym życiu, mamy jakąś ziemską palingenezę.

Przerzuciliśmy już wszystkie legendy z wyjątkiem pierwszej, najpotworniejszej.

Jak w Ewangelii zaczynają się ziemskie dzieje Jezusa od tajemnicy Zwiastowania, tak w tej książce o Chrystusie pierwsza legenda jest bluźnierczą tej tajemnicy parodią. Tytuł tej legendy „Wysłaniec“, zwiastun, jest przetłumaczeniem na język polski greckiego słowa *angelos*, a naszego „anioł“. Tylko, że ten wysłaniec nie jest aniołem Gabryelem, lecz tylko człowiekiem, młodym pustelnikiem-lekarzem, Urielem. Zbliża się ten wysłaniec do dziewicy, naszej Najświętszej Panny. Nazwisko Maryi zastąpione jest tu ogólną nazwą Sunamis, ale kiedy ta legenda była przed dwoma laty w jednym czasopiśmie drukowana, dziewica nazywała się Myrjem, w języku hebrajskim to samo co Marya, — niezależnie od tego, wzmianka o jej narzeczonym, starym cieśli, wobec całej książki o Chrystusie, zupełnie jasno osobę określa. Dalej streszczać byłoby zbyt bolesne. Zaznaczmy tylko, że cała ta legenda najodpowiedniejsze znalazłaby miejsce w pornograficznej książce.

Do takiej zbrodni nie poniżył się nawet Renan. Odważyli się na nią jedynie najwścieklejsi wrogowie chrystyanizmu, tal-mudysei.

Rzućmy teraz okiem, na podstawie tej pierwszej legendy na całą książkę. W pierwszej legendzie rzucone jest bluźnierstwo na Najśw. Pannę i na pochodzenie Chrystusa, a tem samem i zaprzeczono Bóstwo Chrystusowe. Wobec tego już nie można się ludzić, co do charakteru innych legend, nawet pozornie najlepszych. Widzimy w nich człowieka wielkiego, dobrego, świętego, ale nie Boga. Zwłaszcza ustępy niejasne, bałamutne, błędne, zyskują w oświetleniu pierwszej legendy pełne swoje zrozumienie. Na początku brud, potem garść niezwykłych zdarzeń, nibyto cudownych, ale takich, które racjonalisci podjęliby się wytłumaczyć siłami lub złudzeniami natury, do tego dorzucona garść fałszów historycznych, jakaś baśń gminna, to wszystko chaotycznie zmieszane, zabarwione racjonalistyczną uczuciowością dla

szlachetnej ludzkiej natury Chrystusa, miejscami przymglone, to znowu zatlone błędnym ognikiem, żeby wywołać na chwilę jakieś złudzenie Bóstwa, rozwiewającego się jednak wkrótce wobec innych sprzecznych ustępów, a nawet wobec samego tytułu: „Legendy“, — oto metoda zohydzania świętości i detronizowania Boga do rzędu ludzi.

Przyznajemy chętnie, że Chrystus, poza plamą na jego pochodzenie rzuconą, występuje jako człowiek wielki i szlachetny. Pojęcie takie znalazł autor już gotowe u racjonalistów, a dzięki swej niekonsekwencji, jak też i beletrystycznemu charakterowi książki, nie potknął się o tę sprzeczność, jaka w takim pojęciu istnieje. Chrystus nazywał siebie niejednokrotnie Bogiem i na dowód swego Bóstwa działał cuda. Gdyby zaś w rzeczywistości był tylko człowiekiem, a mimo to stawiał podobne twierdzenie i starał się nawet poprzeć je jakimiś niezwykle znakami, to nie możnaby go obronić od zarzutu wielkiej szarlataneryi i wielkiego szalbierstwa, co z szlachetnością wcale nie licuje. Pomijając tę sprzeczność, twierdzenie, że Chrystus jest tylko człowiekiem, choćby niewiedzieć jak wielkim i szlachetnym, burzy doszczętnie całą katolicką religię. Za daleko zawiodłoby nas szczegółowe uzasadnianie tej prawdy, notujemy więc tylko jedną myśl, dla dzisiejszych umysłów bardziej przystępną. Choćby Napoleon połączył ze swą wielkością szlachetność i świętość Franciszka z Assyżu, i choćby dla tak wyidealizowanej postaci czuł bezgraniczne uwielbienie, to jednak wobec jego kodeksu mogę zachować zupełnie dowolne stanowisko. Inaczej wobec Boga-człowieka. Zbiór prawd jego i przepisów już nie jest czemś dla mnie dowolnem, już jest obowiązkiem — stosunek człowieka wobec niego jest już stosunkiem sługi wobec Pana, stosunkiem koniecznym, powszechnym, przenikającym duszę całą aż do najtajniejszych głębi, związką nigdy się skończyć nie mającej miłości.

Znaczymy tę myśl tylko szkicowo, bo wobec takiej fuszerki jak ta książka, nawet w korzystaniu z błędnych źródeł dorywczej i bałamutnej, tak niecnymi nadto wojującej bluźnierstwami, dłużej się rozwodzić nie warto. Zjawisko antyreligijne, ale na wielką skalę, oglądał świat przed 40 laty. Książka Renana



otworzyła bez wątpienia wielu niedowiarkom oczy na wielkość mistrza z Nazaretu i przejęła ich wielką czcią dla niego i ludzkim szacunkiem. Ale jest też oczywistym, że Renan, wprowadzając Chrystusa do panteonu ziemskich wielkości, wyprowadził go dla wielu ludzi ze świątyń.

\* \* \*

Czyż, wobec takiej książki, protest społeczeństwa katolickiego nie jest ze wszech miar słuszny?

Wolność słowa! Czy wolność w swoim pojęciu mówi o bezkarnej samowoli jednych, a bezbronnym ucisku drugich? A jeżeli nie, jeżeli mówi tylko o zagwarantowaniu praw, każdemu przynależnych, to czyż obrona zaatakowanych praw nie jest należytym aktem tej wolności? Wolność przecież to jeszcze nie anarchia.

Ciekawi jesteśmy, jakby się zachowali obrońcy tej rzekomej wolności, gdyby to samo oszczerstwo, rzucone tu na Matkę Boga, odważył się ktoś rzucić na ich siostry, żony, lub matki. Czyż ktokolwiek, w którego żyłach choć jedna kropla uczciwej krwi krąży, puściłby tę potwarz płazem? Pierwsi napiętnowalibyśmy tego, ktoby nie użył wszystkich legalnych środków dla otrzymania odwetu. A przecież przekonania i uczucia religijne są nieskończenie od rodzinnych donioślejsze i wyższe.

A czy to zmienia istotę oszczerstwa, owszem, czy go nie powiększa, że ogłoszone jest ono drukiem, lub co gorsza, że na przynętę dla szerokich mas, przybrane jest w świecidelka literackie. Sądzymy, że brud, kłamstwo, podłość, oszczerstwo, w jakiegokolwiekby były oprawie, zawsze pozostaną tem, czem są.

\* \* \*

Ale czy rzeczywiście sztuka idzie w tej mierze innemi drogami?

Jest oczywistą zasadą, że prawa piękna nie są czem innym, jak tylko prawami duszy ludzkiej. Co w tej duszy jest słusznem, jest słusznem i w sztuce, i na odwrót, co wykracza przeciw

prawom duszy, wykracza też przeciw prawom sztuki. Wypływa też stąd, że jak wolność w życiu opiera się na przestrzeganiu pewnych granic, jakie naturą osób i przedmiotów są zakresłone, tak samo i wolność w sztuce.

Weźmy przykład oczywisty. Jednym z przedmiotów, stykających się z literaturą, jest gramatyka. Wolno poecie tworzyć nowe formy, ale tylko wtedy, kiedy potrafi je tworzyć w duchu języka, dozwolone są mu też wyjątkowe swobody, ale tylko wtedy, gdy je jakimś ważniejszym przymiotem okupi. Samowolnie jednak poniewierać gramatykę, popełniać grube błędy językowe, nie wolno. Powie mu wtedy każdy: naucz się pierwszej pisać po polsku, a potem bierz się do literatury.

To samo jest oczywistem w innej dziedzinie. Gdyby któryś z naszych poetów rozpoczął zohydzać ideały narodowe, plwać na wszystko w ojczyźnie, do czego nam od pierwszej młodości cześć i miłość wpajano, myślę, że nie znalazłby się żaden krytyk, któryby go wziął w obronę. Jak tam gramatyka, tak tu narodowość nakazuje twórcom szacunek dla swoich granic.

Czyż potrzeba jeszcze to samo uzasadniać co do religijnej dziedziny?

Pod tym ostatnim względem literatura nasza ma prześliczną przeszłość, każdemu jest znana głęboka religijność naszej wielkiej poezyi. A zwłaszcza, co do czci Najśw. Panny, to ile precudownych natchnień zawdzięcza Jej nasza literatura. Począwszy od Panny, „co jasnej broni Częstochowy“, przez cały szereg liryk i hymnów, aż po tę, co „siedzi na Wawelskim zamkowym tronie“ i „pisze skrypt, co przez cały kraj poleci“ — ile tam wzniosłych i natchnionych hołdów przed Królową Polskiej Korony.

Czyżby się dziś wszystko zmieniło? Czyżby już u nas nastały czasy społecznego rozkładu, takie, jakie w rozpadającym się Rzymie wydały bluźniercę Lucana, lub w zepsutej doszczętnie Francyi, Baudelaire'a i Richopin'a. Mogłyby się nasuwać takie przeczucia, gdyby społeczeństwo, wobec bluźnierstw na religię, — mileżało.

*Ks. J. Pawelski.*

# PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

## Z piśmiennictwa polskiego.

**Dzieje Kościoła katolickiego w zarysie.** Ks. *Władysław Maksymilian* *Szcześniak*. Tom I. Warszawa. 1901.

Wobec rozbudzonego ruchu na polu prac historycznych na Zachodzie, a zwłaszcza w Niemczech w zakresie dziejów Kościoła katolickiego, bardzo ubogą w tym kierunku jest literatura nasza. W XIX bowiem wieku ograniczano się u nas przeważnie na tłumaczeniach dzieł niemieckich. I tak dokonano przekładu Alzoga na język polski, Robitscha, Waplera. Oryginalne opracowanie dziejów Kościoła św. wydał ks. Melchior Buliński w r. 1861, w 6 tomach, lecz nie jest on wcale krytyczny; nadto odznacza się zbyt dużą rozwlekłością i nie ma należyście uporządkowanego materiału. Oprócz tego wydano kilka szczupłych podręczników szkolnych, samodzielnie opracowanych, bez większej zresztą naukowej wartości.

Dla seminaryów duchownych, w których historię kościelną wyklada się głębiej i obszerniej, nie było dotychczas odpowiedniego podręcznika w języku polskim. Posługiwano się więc albo łacińskimi, jak n. p. Vascotti, Zeitbert, albo niemieckimi książkami. Tem większy odczuwano brak pracy pod tym względem w języku ojczystym dlatego, że obecnie prawie we wszystkich seminaryach wyklada się historię kościelną po polsku. Wdzięczni zatem jesteśmy ks. Szcześniakowi, magistrowi teologii w seminaryum warszawskim, że nas obdarzył I tomem swej kilkonastoletniej pracy na tem polu.

Pierwszy tom jego historii zawiera najpierw wiadomości wstępne, jak: pojęcie historii Kościoła, jej źródła i nauki pomocnicze, podział

według chronologii, historię literatury dziejopisarstwa kościelnego i rzut oka na stan świata pogańskiego i żydowskiego przed przyjściem na świat Chrystusa Pana (razem stron L). Następnie przechodzi do dziejów chrześcijaństwa i doprowadza je w tym tomie, obejmującym 541 stronice, aż do końca 8 wieku, t. j. do owej chwili, kiedy Stolica Apostolska w osobie Karola Wielkiego wskrzesiła upadłe cesarstwo zachodnie. Wogóle mówiąc, autor trzyma się w swej pracy podziału, przyjętego przez znakomitego historyka kościelnego, kardynała Hergenröthera<sup>1</sup>.

Zaletą jego dzieła jest jasny, jędrny wykład, z którego znać przywiązanie i miłość do św. Matki Kościoła. Autor opiera się na najnowszych badaniach, obeznany jest doskonale z dzisiejszą literaturą historyczną i podaje w uwagach skrzętnie źródła, z których czerpał. Ktoby chciał gruntowniej poznać pewne kwestye z dziejów Kościoła, znajdzie na dole pod tekstem wskazane odnośne dzieła. Szanowny autor musiał zapewne wiele przełamać trudności przy tej pracy, którą można słusznie nazwać pierwszą w literaturze naszej; jest on przodownikiem u nas dla tych, którzy będą z czasem w tym kierunku rozwijać swe siły. Skromnie też mówi o sobie: *In magnis et voluisse sat*.

Ponieważ na wstępie wyraża nadzieję, że zdrowa i przedmiotowa krytyka nie poskąpi mu swych uwag i dziełu jego odda usługi przy dalszych wydaniach, jeśli takowe nastąpią, dlatego chętnie zwrócimy szanownemu autorowi uwagę na niektóre rzeczy w jego książce.

I tak, kiedy jest mowa o pragmatyzmie w historii, należałoby wspomnieć, jak niektórzy błędnie pojmują bieg wypadków dziejowych, jak nie rozumieją najprostszycch filozoficznych i teologicznych prawd, jak najważniejsze historyczne fakta przypisują ślepemu przypadkowi i żelaznej konieczności, mianowicie że jeden czyn pociąga za sobą koniecznie drugi, że na działanie człowieka wpływa absolutnie jego przeszłość<sup>2</sup>. Dziejów ludzkości nie można rozumieć bez wiary w Boga, z samego tylko filozoficznego punktu widzenia, tem mniej dziejów Kościoła św., w których przejawia się wspaniale opatrzna myśl Boża. Tego rodzaju obserwacye podaje przy pragmatyzmie J. Adam Möhler,

<sup>1</sup> *Handbuch der allgemeinen Kirchengeschichte*. 3 Bände. Przekład tego pomnikowego dzieła wychodzi po polsku, staraniem i nakładem Biblioteki dzieł chrześcijańskich (Warszawa 1901). Opuszczono jednak w tym przekładzie całą prawie bibliografię, która dla oddających się gruntownym studjom ma bardzo doniosłe znaczenie.

<sup>2</sup> Por. n. p. T. H. Buckle: „Historia cywilizacyi w Anglii“.

Hergenröther, świecki historyk Dr. Jan Weiss (*Weltgeschichte* I B. 3 wyd., str. XVI i t. d., str. XXXIV i t. d.).

Na str. XXII mówi autor, że św. Antonin, arcb. florencki, opracował krytycznie dzieje Kościoła. Tego nie można powiedzieć o nim wcale, bo ma dużo pobożnych legend w dziele swoim, które mogą służyć raczej do lektury duchownej, a nie do nauki. N. p. bajką o Joannie papieżycy wcale się nie gorszy i w najlepszej podaje ją wierze<sup>1</sup>. „Encyklopedia Kościelna“ ks. Nowodworskiego mówi też w tomie I, str. 269 (wyraz Antonin): *Summa historialis* (św. Antonina) zawiera w sobie... wiele rzeczy, nie wytrzymujących krytyki. Pewniejsze wiadomości podaje dopiero z ostatnich wieków, najbliższych życiu autora.

Skoro w uwadze 5, na str. XXXIV jest mowa o Sybillach, należało coś więcej o tem powiedzieć i umieścić w tekście, a mianowicie co się rozumie przez Sybillę, co o nich mówią Ojcowie Kościoła.

Przytaczając dowody na historyczne istnienie Chrystusa Pana, powołuje się między innymi autor na list edeskiego toparchy Abgara do Jezusa i odpowiedź Zbawiciela świata, daną temuż księciu. Wprawdzie Euzebiusz historyk podaje ten list za autentyczny, a za nim broni autentyczności tej korespondencji Welte; lecz dzisiaj prawie wszyscy autorowie liczą to pismo między apokryfy, a Kościół św. nigdy tych listów nie uważał za księgi święte. Wspomniana korespondencya pochodzi z końca II lub pierwszej połowy III wieku po Chrystusie. Pięknie powiedział już św. Augustyn, że prawdziwe listy Chrystusa byłyby w największej czci i poszanowaniu, gdyby istotnie zostały po Chrystusie (*Contra Faustum*) Mann. XXVIII. Dekretały Gelazyjańskie: *De recip. et non recip. libris*, mówią wyraźnie: *Epistola Jesu ad Abgarum, regem apocrypha, Epist. Abgari ad Jesum apocrypha*<sup>2</sup>.

Należałoby również ten ustęp, że Jezus Chrystus jest historyczną osobą, nieco lepiej rozwinąć.

Na str. 42 przy Aleksandrze Sewerze, cesarzu rzymskim, wypadaloby dotknąć, dlaczego nie jest uzasadnionem twierdzenie, jakoby ten cesarz był chrześcijaninem.

Na str. 46 czytamy, że za Waleryana w Utice 153 chrześcijan spalono w wapnie i stąd nazwano ich *massa candida*. To opowiadanie jednak nie zgadza się z prawdą historyczną. Św. Augustyn, który

<sup>1</sup> Por. „Encykl. Kościelna“ ks. Nowodworskiego t. 9, str. 156.

<sup>2</sup> Cfr. *Patrologie* von Otto Bardenhewer. Freiburg im Breisgan. 1901. str. 96–98.

w tym samym czasie żył, co i Prudencjusz poeta, twórca tego opowiadania, a pochodził z Afryki, nic o tem nie wie. Powaga zaś tego Doktora Kościoła jest większa od powagi Prudencjusza; a on w jednej *homilii* do wiernych mówi, że 153 męczenników zostało ściętych i dodaje, że nazwano ich *massa* dla wielkiej liczby; zaś wyraz *candida* oznacza chwałę i blask ich cnót. Ponieważ wyraz *candidus* znaczy także tyle, co palący się, dało to powód Prudencjuszowi do opowiadania o spaleniu we wapnie niegaszonym<sup>1</sup>. Wcale tu jednak nie przezczy my, że czasami palono chrześcijan za wiarę w niegaszonym wapnie.

Na str. 49 pisze autor, że za Dyoklecjana całe państwo rzymskie podzielono na prefektury, dyecezye i prowincye. Otóż wyraźny ten podział nastąpił dopiero za Konstantyna W., jak sam autor pisze na str. 192. Za Dyoklecjana wprowadzono tylko nazwę prowincyi i dyecezyi<sup>2</sup>.

To, co się znajduje na str. 49 w uwadze o legionie tebańskim, powinno być w tekście, bo to ważny szczegół z dziejów męczeństwa pierwszych chrześcijan.

O widzeniu niebieskiem Konstantyna W. wspomniał autor bardzo krótko i to jeszcze w uwadze *petitem*. Wypadałoby o tem nadmienić obszerniej w samym tekście i udowodnić prawdziwość tego widzenia, że ono nie było zwykłym zjawiskiem świetlanem. Napis koło zjawiska był według Euzebiusza nie *ἐν τοῦτο ὥρα*, lecz *τοῦτο ὥρα* — tym znakiem zwyciężaj.

Na str. 56 znajduje się bardzo krótka uwaga o liczbie męczenników. Trzeba to było znowu nieco obszerniej poruszyć i umieścić w tekście, bo nieprzyjacielem Kościoła dowodzili, że liczba męczenników była bardzo mała i że z niej nie można wnosić o boskości religii Chrystusowej.

Również o Peregrinie Proteusu, z powodu którego Lucyan ze Samosaty czynił zarzuty chrześcijanom, należałoby umieścić wzmiankę nie w uwadze (str. 56), lecz w tekście. To często można zauważyć, że autor ważne rzeczy kładzie na dole *petitem* tak, że je łatwo może czytelnik przeoczyć, sądząc, że to zwykłe zapiski bibliograficzne i cytowanie źródeł.

Autor przyjmuje (str. 84) tylko dwa stopnie katechumenów wbrew dotychczasowemu pracom. Hergenröther (I. B. S. 175) powiada stanowczo, że w 3 wieku były dwa stopnie katechumenów, a w 4 wieku

<sup>1</sup> Cfr. Stolberg: *Geschichte der Religion Jesu Christi*. B. 9. S. 180—181.

<sup>2</sup> Por.: Zakrzewski: „Historja powszechna“ t. I w. 2-e, str. 253 i 256.

przybył trzeci. A więc byli katechumeni: 1) słuchający, 2) klęczący i 3) wybrani.

Kiedy mówi o sporze, czy chrzest, udzielany przez heretyków jest ważny (str. 89 i 90), należałoby uwzględnić, że chociaż św. Cypryan w tej kwestyi opierał się Stolicy Apostolskiej i odmienne od niej miał zdanie, przecież uznawał prymat papieski, że więc niesłusznie nadużywają nieprzyjaciele Kościoła powagi tego Świętego do swoich wrogich występów przeciwko Namiestnikom Chrystusowym.

Na str. 109 znajduje się znowu *petitem* na dole w uwadze bardzo ważna rzecz, mianowicie że racjoniści wyprowadzają życie pustelnicze z buddyzmu, z czci Serapisa, z neoplatonizmu lub essenizmu.

Kiedy jest mowa o cmentarzach chrześcijańskich (str. 113), wypadłoby coś powiedzieć o katakombach, o których autor tyle tylko wspomina, że były kolebką i pierwszą galerią sztuki chrześcijańskiej.

Zanadto obszernie przedstawione są systemy gnostyków (str. 117—140). Nudna to rzecz czytać co chwila te same mniej więcej niedorzeczności owych heretyków — to ani nie kształci umysłu ani możliwe jest do spamiętania. Zupełnieby wystarczyło podać w ogólnych zarysach ich naukę, jak się dzieli gnostycyzm, a wreszcie wyliczyć najważniejszych błędnowierców tego kierunku. Zato można było inne kwestye obszerniej nieco rozwinąć.

Na str. 154 mówi autor o schizmie Hippolita i twierdzi, że tym heretykiem i schizmatykiem, autorem osławionego dzieła *Philosophoumena* i oszczercą dwóch świętych papieży, Kaliksta i Zefiryna, jest św. Hipolit, który przed śmiercią pojednał się z Kościołem i umarł za wiarę jako męczennik w r. 235. Otóż cała ta sprawa nie jest jeszcze wyjaśniona, co nawet sam autor w uwadze 2 na dole przyznaje; więc nie należało o tem mówić w tekście całkiem apodyktycznie.

B. Jungmann w specjalnej na ten temat rozprawie odrzuca to zdanie, mówiąc po dłuższych wywodach: *Omnibus igitur perpensis existimo, opinionem, qua censetur S. Hippolitus auctor Philosophoumenon, coniecturis niti, quae examen non sustinent; eidem vero opinioni argumenta gravissima opponi*<sup>1</sup>.

Tak samo twierdzi Grisar, że daleko silniejsze dowody przemawiają przeciw autorstwu tego dzieła przez św. Hipolita<sup>2</sup>, zaś Franzelin w traktacie *De Deo trino* mówi: *Satis sit hic monuisse, acerrimum istum*

<sup>1</sup> *Dissertationes selectae in historiam eccl. an. 1880. T. I, str. 172—262.*

<sup>2</sup> *Innsbrucker Theol. Zeitschrift. 1878. Str. 505.*

*adversarium SS. Pontificum et principem sectae saltem schismaticae vel etiam haereticae contra Ecclesiam Romanam non posse a nobis admitti S. Hippolitum, virum in traditione eiusdem Rom. Ecclesiae pia veneratione et summis laudibus celebratum.* To samo twierdzi uczony kardynał Newman i archeolog Rossi. Zdanie więc Döllingera, za którym poszedł kard. Hergenröther pod względem zapatrywania na sprawę Hippolita, nie może się utrzymać. Tu nawiasowo dodajemy, że Rossi i Jungmann przypisują autorstwo powyższego dzieła, szkalującego papieża, uczonemu Tertullianowi, kiedy popadł w herezyę montanistów. Kwestya to ważna, bo protestanci i wrogowie dogmatu nieomyślności papieża powoływali się na św. Hipolita, jakoby w *Philosophoumena* zarzucał herezyę św. Kalikstowi papieżowi.

Wypadało także obszerniej pomówić o tak wybitnych apologetach chrześcijańskich, jak n. p. o św. Justynie (str. 169). Jednotomowe nieraz dzieje Kościoła więcej poświęcają miejsca najznakomitszym Ojcom Kościoła, niż to czyni szanowny autor, którego praca, sądząc według I tomu, obejmować będzie 3 duże tomy. Nie należało więc tak skąpo i po macoszemu traktować tych wielkich mężów, którzy tak ważną odgrywali rolę w dziejach Kościoła, tyle dla niego cierpieli prześladowań, którzy są świadkami tradycyi i tłumaczami Pisma św. Wszak przykład ich życia może napęlić otuchą i zagrzać serce uczącego się do walk, prac i cierpień, dla dobra Kościoła. Tem więcej byłoby to pożytecznem, że na patrologię, jako odrębny przedmiot, niema czasu i miejsca w seminariach naszych. Zwracamy dalej uwagę i na to, że Konstantyn W. zatrzymał sobie pogański tytuł *Pontifex Maximus* nie tyle dlatego, że mu ten tytuł dawał wielkie przywileje państwowe w oczach pogaństwa (str. 187), lecz aby ktoś z niewiernych, posiadający tę godność, nie użył jej na szkodę chrześcijaństwa, jak to usiłował n. p. uczynić za czasów św. Ambrożego Symmach, prefekt Rzymu i Summus Pontifex, kiedy ten tytuł złożyli cesarze rzymscy (uczynił to pierwszy Gracyan w r. 375)<sup>1</sup>.

Ponieważ Julian Apostata i pismami zwalczał Kościół katolicki, dlatego należało utwory jego w tekście umieścić (str. 198). Sądzymy również, że na większą uwagę zasługiwała także kwestya, w jaki sposób udaremniła Opatrzność Boża usiłowania Juliana Odstępcy, podjęte celem odbudowania świątyni jerozolimskiej (Por. str. 200 nr. 7 na dole).

<sup>1</sup> Por. Palma: *Praelectiones historiae eccl.* T. I, str. 140—141, wyd. v. r. 1875.



Przy wznowieniu cesarstwa rzymskiego zachodniego pominął i nie uwzględnił autor zarzutu przeciwko Stolicy Apostolskiej, że papież przez akt koronacji Karola W. na cesarza zachodniego pokrzywdził cesarzy wschodnich (str. 272).

Skąd się wzięły dzwony, należałoby w tekście umieścić (str. 308).

Na str. 328 zamiast „dni krzyżowe“ powinno być „suche dni“, bo w nich pierwotnie udzielano święceń w Kościele.

Obrona papieża Wigiliusza przed zarzutem chwiejności i upadku we wierze powinna być w tekście samym, a nie *petitem* na dole, bo to kwestya bardzo ważna (str. 385).

Herezyi arianizmu za dużo poświęcono miejsca, bo od strony 360—390. Szkoda, że autor przy ważniejszych herezyach nie przytoczył króciutko dowodów, którymi Ojcowie Kościoła zwalczali powstające błędnowierstwo, jak to czyni n. p. Hergenröther. To bowiem ożywia naukę i na tle historycznem ułatwia spamiętanie dogmatów katolickich. Zato można było śmiało opuścić wiele drobiazgowych kłótni heretyckich, które są nudne swą rozwlekłością. Błędnie i niewłaściwie przedstawia autor stosunek św. Hieronima do Origenesa, bo na str. 404 mówi, że ten wielki Doktor Kościoła był przedewszystkiem głównym origenistą, a więc poplecznikiem błędów tego pisarza kościelnego, bo o nich tu mowa. Należało zaznaczyć, że św. Hieronim błędów Origenesa nigdy nie podzielał, okazywał tylko cześć temu sławnemu Aleksandryjczykowi dla jego olbrzymiego talentu i niezmordowanej pracy. W liście np. 84,2 powiada o sobie św. Hieronim: *Laudavi interpretem, non dogmatisten, ingenium — non fidem, philosophum — non apostolum*. A w r. III mówi: *Si mihi creditis, Origenistes nunquam fui, si non creditis, nunc esse cessavi*.

Trzeba było niemniej przy tych sporach (str. 404—409) koniecznie powiedzieć, w czym błędził Origenes i co z jego nauki zwalczano, by czytający wiedział, że się tu rozchodziło o błędy dogmatyczne. Wprawdzie wylicza je autor, ale nie we właściwym miejscu, bo o przeszło 200 stronic wcześniej i to jedynie drobnym drukiem w uwadze (str. 176), co czytelnik łatwo mógł przeoczyć.

Możnaby znacznie skrócić rozdział o herezyi monofizytów (str. 422—441). Przy herezyi monoteletów na str. 455 i 456 czytamy, że św. Sofroniusz, patriarcha jerozolimski, na zwołanym przez siebie synodzie prowincjonalnym w Jerozolimie r. 634 potępił naukę o dwóch wolach w Chrystusie. Otóż Sofroniusz potępił na tym synodzie naukę o jednym działaniu i jednej woli w Chrystusie.

Przy muhamedanizmie powiada autor (str. 491), że trudno powiedzieć, jakie posłannictwo opatrnościowe ma do spełnienia muhamedanizm. Szkoda, że autor nie korzystał tu z Hergenröthera, który (t. I, 519) w pięciu punktach i to nader trafnie, mówi o stanowisku islamu do planów Bożych w dziejach świata. Mówi o tem również Döllinger<sup>1</sup>, Schlegel<sup>2</sup> i Möhler<sup>3</sup>.

Wogóle zauważyliśmy w książce, której recenzję podajemy, brak poglądów na pojedyncze peryody, które inni historycy podają albo na czele rozpoczynającego się peryodu albo przy jego końcu. Poglądy takie mają wielką doniosłość, rozwijają umysł, są niejako kwintessencją dotyczącego przedmiotu i uwzględnieniem pragmatyzmu filozoficznego i teologicznego czyli Bożego w dziejach ludzkości. Nasz autor dopiero na samym końcu książki (str. 539—541) podaje krótki pogląd na pierwsze ośm wieków Kościoła. Hergenröther czyni to aż 4 razy w tym czasie, rzucając częstokroć wzniosłe myśli i słowa, napełniające serce czytelnika miłością i wdzięcznością ku Bogu i budzące przywiązanie do św. Matki Kościoła. Mistrzem pod tym względem jest także Jan Adam Möhler, już przez nas wspomniany, którego wykłady historyi kościelnej wydał w 3 tomach Gams O. S. B.

Zauważyliśmy także nisktóre usterki stylistyczne. Autor n. p. używa czasem wyrazu *przedłużacz* zamiast powszechnie przyjętego u nas słowa łacińskiego kontynuator (str. XXV). Zamiast *pogano-chrześcijananie* lub *żydo-chrześcijananie* (np. str. 9) lepiej pisać: chrześcijanie, nawróceni z pogan, z żydów. Na str. 12 zamiast *dawionych* ma być *dławionych*, bo tak czytamy i w Biblii Wujka.

Str. 39: Antonin Kommodus *przeciwstawnia* swego ojca — lepiej: *przeciwieństwo*.

Korrektą nie wszędzie jest staranna, zwłaszcza uwagi dolne pitem są więcej pod tym względem zaniedbane. W paragrafie o pustelnikach i mnichach przychodzi nazwa Sarabanici zamiast Sarabaici. Również nie mówi się koszty lecz kosztą (str. 365). Na str. 399 opuszczone jest słówko *nie*, co zupełnie zmienia znaczenie. Autor pisze czasem komentarz *na* Proroków (str. 517), *na* Psalmi (str. 534) zamiast do Proroków, do Psalmów. Niektórym Ojcom Kościoła dodaje

<sup>1</sup> *Muhameds Religion nach ihrer Entwicklung und ihrem Einflusse auf das Leben der Völker.* Münch 1838.

<sup>2</sup> *Philosophie der Geschichte.* II B. S. 60—91.

<sup>3</sup> *Über das Verhältniss des Islam zum Evangelium. Gesammelte Schriften* I, 348—402.

św. a innym nie, choć im się słusznie ten tytuł należy, jak n. p. widzimy przy Epifaniu Sofroniuszu (patrz str. 514 i dd). Dla jedno-stajności należało każdemu ze świętych dodawać przed imieniem św.

Te usterki zauważyliśmy w I tomie „Historii kościelnej“ ks. Szczecińskiego, które bynajmniej książce jego nie odbierają wartości i nie pozabawiają jej zalet, o których wspomnieliśmy na wstępie.

Ks. Dr. J. Górka.

**Pierwiastek ludowy w poezji polskiej XIX wieku.** Studya porównawczo-literackie. *Stanisław Zdziarski*. Warszawa. 1901.

Temat bardzo ważny i ciekawy. Znaczenie pierwiastka ludowego w naszej poezji XIX wieku było — według zgodnych dotychczasowych mniemań — wielkie, stał się on jednym z czynników, które jej nadały postać i treść. Nie był zaś dotąd należycie zbadany; mieliśmy odosobnione prace w tym kierunku (Biegeleisen, Bugiel, Kallenbach, Zdziarski), ale na całość nie porwał się dotąd nikt, nie mieliśmy dzieła, któreby sobie postawiło za zadanie zbadać istotę tego pierwiastka ludowego, jego koleje, jego wpływ i znaczenie dla poezji sztucznej. W takich warunkach zjawiająca się książka p. Zdziarskiego podwójnie na uwagę zasługuje, ale też tem dokładniej przypatrzeć się jej należy.

Rozpoczyna ją rozdział, zatytułowany „Z początkiem stulecia“. Jest to po części jakby wizerunek całej pracy. Występują w nim jaszkrawo niedostatki, które autor w toku dzieła będzie się usilnie starał utrzymać i rozwinać, widzimy też z niego, co nam autor daje i co dać może.

Spotykamy w nim naprzód parę sprzeczności. Autor powiada (str. 3), że było to „jedną z najglówniejszych zasług, a zarazem znamiennym bardzo ważnym romantyzmu, iż jego zwolennicy postawili sobie za zasadę z poezji ludowej zaczerpnąć ducha dla poezji artystycznej“. Wskutek tego rzucono się z zapalem do poezji ludowej, a ruch ten u narodów słowiańskich zjawiał się o wiele wcześniej, niż sam romantyzm (str. 3) Więc jakże? romantyzm wywołał zwrot ku poezji ludowej, czy nie? A jeżeli badanie ludu było u Słowian wcześniejsze, niż romantyzm, to jakim prawem zwrot ten mamy kłaść na karb zasług romantyzmu? Sądzę, że autor tutaj wpadł na myśl trafną i wskazał słusznie, że już przed romantyzmem wogóle uznano u nas ważność pieśni ludowych, ale nie umiał się otrząść z przewagi utartego zdania, jakoby romantycy byli Kolumbami, odkrywającymi nieznany świat twórczości ludu. Romantyzm szukał w poezji ludowej całkiem czego

innego, szukał tylko ornamentów, dekoracyi, szukał wreszcie nowej treści, podczas gdy ów kierunek pierwszy chciał całą poezję artystyczną przekształcić, urobić na modłę ludowej. Stądto pochodzi, że „Wiesław“ Brodzińskiego lub Kamińskiego „Krakowiacy i górale“ zupełnie do poezyi romantycznej nie należą i należeć nie mogą, choć się w sferze ludowej obracają; jest też ich charakter zupełnie inny od utworów poetów romantycznych, a nietylko z tego względu, że obaj ci pisarze zostawali jeszcze pod przemożnym wpływem dotychczasowego sposobu pisania. Na to autor nie zwrócił uwagi, przez co popełnił jeszcze jeden błąd. Powiedzieć sobie: będę pisał o pierwiastku ludowym w w. XIX i zacząć ściśle od początków tego stulecia, a nie popatrzyć nieco wstecz, nie przypatrzeć się, czy też początków tego ruchu nie znajdziemy wcześniej — to nie jest sposób uzasadniony. W kalendarzach mamy stulecia, w prądach umysłowych nie. Nie wystarczy rzucić anatemę na czułość i cikliwość Karpińskiego, tylko trzeba rzeczy zbadać i wyjaśnić.

W drugą sprzeczność autor wpada, mówiąc o Brodzińskim i Lachu Szyrmie (str. 5—6 i 8—11) i zastanawiając się nad tem, komu by przyznać pierwszeństwo w zainicyowaniu ruchu ludowego, który z nich większy wpływ wywarł w tym względzie. Dotąd wskazywano na Brodzińskiego, jako na apostoła nowego kierunku; autor — słusznie — odmawia mu prawa do tego tytułu. Ale, mówiąc o „Wiesławie“, zaznacza, że żaden z poprzedników Brodzińskiego tak dotąd ludu nie przedstawił (str. 13), choć zastrzega się przeciw jego „idyllicznej czułości“. Wysuwa zaś na pierwszy plan Lacha Szyrmę z jego listem do redaktora *Dziennika Wileńskiego*, choć sam powiada, że na poparcie tego twierdzenia nie ma pewnych i jasnych dowodów (str. 10 — całe dowodzenie opiera się raczej na tem, że Brodziński nie torował nowych dróg, aniżeli na tem, że je torował Szyrma) i chociaż sam Szyrma zaznacza, że w swych piosenkach poprawiał dawną prostotę, gdy „ona w nieokrzesałą gminność wpadała i wyższość światła wiekn naszego wymagała koniecznie jakiejś odmiany“ (str. 9) — czyli klasyk *par excellence*. Zdaje się, że i Szyrma tym promotorem nowych prądów nie był, a przynajmniej autor tego nie udowodnił; bo to, co mówi na str. 10—11, że list Szyrmy „musiał ku sobie bardziej pociągać młode pokolenie, któremu nie wystarczała taka równowaga między sztuką a naturą, jakiej się radził trzymać Brodziński“, albo, że „młodzież wołała bujać wśród świata nadnaturalnych zjawisk, gdzie wszystko jest otoczone tajemniczością, że wołała stokroć romance hiszpańskie

lub angielskie i niemieckie ballady, aniżeli sentymentalną poezję, która nie miała już więcej sił, by nadal mogła wystarczyć zużyzonym nią umysłom“, nie jest poparte zgoła żadnym dowodem, mamy tu autorowi wierzyć na słowo.

Wogóle autor duzo twierdzeń stawia, a nie wszystkie udowadnia. Jeżeli mamy mówić o wpływie jakiegoś pisma teoretycznego na praktyczną działalność poetów, musimy to koniecznie poprzeć przykładami i dowodami, bo inaczej twierdzenie pozostanie twierdzeniem. Tak napróżno szukamy dowodu na to, że list Szyrmy wywołał takie, jakie autor zaznacza, skutki. Zaraz na początku pracy dowiadujemy się, że zwrot ku poezyi ludowej wywołały dzieła Herdera (str. 3). Niewątpliwie wpływ Herdera był; ale gdzie, jak, w jakiej mierze, u kogo, to autor pomija najspokojniej, jak gdybyśmy o Herderze i jego wpływie na poezję polską mieli całą literaturę, jak gdyby to była rzecz znana i uznana. Nawet w tym ostatnim wypadku autor powinien był sprawę przedstawić, bo przecież dzieło jego, okazałe rozmiarami (stron 590!), jest poświęcone pierwiastkowi ludowemu w poezyi polskiej XIX wieku — badając i opisując szeroko rzekę, nie można zbyć źródła krótką wzmianką.

Po rozdziale wstępnym idzie szereg monografii, poświęconych poetom, u których autor znajdował elementy ludowe. Te monografie połączone są wprawdzie wspólnym celem, wspólnym tytułem, ale głębszej, istotnej łączności niema. Każda z nich stanowi całość odrębną, każda mogłaby z dzieła być wyjętą bez szkody dla siebie i dla książki. Każda z nich jest monografią o pierwiastku ludowym w dziełach pewnego poety, ale razem całości nie dają. Nie jest to wcale historia tego kierunku literackiego. Autor też nie pokazuje nam, co się z tym pierwiastkiem ludowym działo w ciągu stulecia. Wszakże ludowość Mickiewicza jest czemś zgoła różnem od ludowości Lenartowicza; ta znowu zgoła nie jest podobna do ludowości na przykład Orkana lub Kasprowicza. Autor najwidoczniej czuł potrzebę pokazania nam tej ewolucyi, ale tego nie dokonał; tych kilkadziesiąt wierszy, które umieszcza n. p. u wstępu do rozdziału „Na przełomie dwu epok“ (str. 475) lub „Młoda Polska“ (str. 519), to nic nie objaśnia, nie tłumaczy. Nie dość jest zaznaczyć zmianę, należy ją naprzód dobrze pokazać, następnie wytłumaczyć.

To jest jeden z zasadniczych błędów dzieła i ten się bardzo daje w niem uczuć. Przedewszystkiem tem, że spowodował zupełny brak perspektywy. Wszystko znajduje się tu na jednym, wszystko na pierw-

szym planie; różnicy w oddziaływaniu pierwiastków ludowych na rozmaitych pisarzy nie uwydatniono; nie zaznaczono, u kogo ten pierwiastek wywarł wpływ dodatni, u kogo ujemny (bo tak istotnie było). Nie znajdujemy też przedstawienia, jak się te pierwiastki ludowe z indywidualnością autorów stapiały i jak powstawała z tego syntetyczna całość. W książce p. Zdziarskiego znajdujemy głównie tylko zbiór materyałów, wykonany bardzo starannie, niezwykle pracowicie, ale z tem wszystkiem zawsze zbiorem materyałów zostający. Dzieło omawiane nie jest systematycznym studyum literackiem, nie jest pracą, któraby nam jeden z elementów składowych naszego piśmiennictwa wyjaśniła; jest to praca, o której z wielką słusząnością moglibyśmy powiedzieć, że należy raczej do etnografii, aniżeli do historii literatury. Nie jest też jasnym tytuł: studya porównawczo-literackie. Co autor rozumiał, kładąc to słowo „porównawczo“? co i z czem jest tu porównane? Z takimi słowami należy obchodzić się ostrożnie, bo się łatwo tłuką i dochodzimy w końcu do przekonania, że autor to słowo bierze zanadto w takim znaczeniu, w jakim występuje ono u poetów, n. p. porównanie młodości z porankiem, i t. p. Jest to może poetyczne, ale nie jest naukowe.

Dzieło p. Zdziarskiego nastrocza nieustannie sposobności do kontrowersyi, tak w ogólnem ujęciu rzeczy, jak w szczegółach. Ale trzeba się streszczać i patrzeć jedynie na to, co najważniejsze.

Sprzeczaćby się można z autorem o to, jaką wagę miało wprowadzenie do literatury pierwiastków ludowych. Z jego przedstawienia rzeczy wynika, że bardzo wielką, że ich wpływ był bardzo głęboki, a ich działalność niezwykle dodatnia. Czy tak było rzeczywiście? czy naprawdę ten kierunek wydał choć jedną rzecz znakomitą, wielką? czy nie jest on raczej w rozwoju naszej poezyi jednym z licznych czynników mniejszej miary? Chcąc na te pytania odpowiedzieć, trzeba by pisać całą rozprawę. Mam zamiar i nadzieję zrobić to w osobnej pracy; na razie zwrócę uwagę na kilka szczegółów. Naprzód jest to wyłącznie zdanie etnografów, wpatrzonych w swój przedmiot i w nim zakochanych, jakoby „w tajemniczym łonie ludu“ znajdowały się „ukryte skarby“ (str. 3). Czy nasza poezya ludowa (polska) ma choćby jedną rzecz naprawdę piękną? czy ma choćby coś w tym rodzaju, jak dumy ruskie, byliny rosyjskie, rapsody serbskie? Mogę zaręczyć autorowi, że rozcztywałem się w całej polskiej poezyi ludowej i we wszystkich niemal baśniach i opowieściach, ale nic wielkiego nie znalazłem; i chyba

tylko kolosalna przesada lub niewybredność literacka coś podobnego znaleźćby w nich mogła.

Co znaczy n. p. takie zdanie i czy jest słuszne: „Mickiewicz, przekonawszy się na „Liliach“, jak takie elementa dadzą się doskonale do artystycznej zastosować poezji, kształcił nieustannie swoją wyobraźnię i udoskonalał pióro. O tem możemy się przekonać choćby z samej tylko „Świtezi“, w której postęp poety jest od razu widoczny, postęp mianowicie w tym kierunku, że poeta umie już zgromadzić większą liczbę luźnych elementów, nawet bardzo od siebie dalekich“ (str. 50). Postęp od „Lilii“ do „Świtezi“ wydaje się czemś problematycznym — ale to może rzecz gustu (choć autor na str. 59 sam mówi, że Mickiewicz w „Świtezi“ nie stworzył jednolitej całości). Ale żeby Mickiewicz „kształcił wyobraźnię i udoskonalał pióro“ skutkiem tego, że się przekonał na „Liliach“, „jak takie elementa dadzą się doskonale do artystycznej zastosować poezji“ (takie przynajmniej wrażenie odnosi się z niejasnego wyrażenia), to już trochę dziwne. Trochę zaś komicznie brzmi taki wyrok: „Około tych dwóch elementów (— w „Rybce“ —) ugrupował poeta cały szereg szczegółów, zgodnych zupełnie z wiarą ludu, całą masą pomniejszych ornamentów, które nie tylko ze sobą się razem zgadzały, lecz wogóle mogły dać o poecie bardzo chlubne świadectwo (!), że się kształcił w łączeniu poszczególnych motywów (!), w zmienianiu ich i zastosowywaniu w utworze w miarę tego, jak wymagała sytuacja“ (str. 68).

Mickiewicz — zdaniem autora — „udowodnił swojemi balladami, że w poezji ludu leży moc i siła potężna, zdolna rozwalić gmach starej poezji w gruzy, zdolna dźwignąć pieśń z upadku, bo w niej „zapala tworzy cud<sup>1</sup>, nowości potrząsa kwiatem i obleka nadzieję w złote malowidła“ (str. 142); nieco niżej: „że w poezji ludu była moc wielka, zdolna dokonać cudów, dowodem tego długi szereg poetów, jacy wnet po Mickiewiczu wystąpili na arenę literacką do walki o miejsce na Parnasie polskim. Że zaś mogli do walki tej wystąpić, że mogli w niej odnieść świetne lub tylko chwalebne zwycięstwo, to zawdzięczali nie czemu innemu, jak tylko nowym wzorom, nowemu kierunkowi, jaki Mickiewicz wytknął w pierwszych latach swojej poetyckiej działalności“ (str. 142—143). Czy tak było? A dlaczego Mickiewicz tak niestosunkowo wcześniej zwrócił się w inną stronę? dlaczego jego późniejsze

<sup>1</sup> Uwaga nawiasowa: po co przekręcać myśli cudze i zastosowywać je zupełnie do czego innego, niż do czego je przykładał ich twórca?

ballady (z jednym wyjątkiem) są zupełnie inne od pierwszych? Dlaczego w dalszych pismach motywy ludowe służą mu bardzo rzadko i to za ornament tylko, za przyczepkę? Bo poprostu Mickiewicz sam czuł instynktownie, choć sobie może rozumowo sprawy z tego nie zdawał, że tymi „skarbami“ nie można żyć dłużej. Cały nasz romantyzm, o ile tkwi w tych pojęciach, jaki jest słaby, jaki marny! Jeżeli poeci po Mickiewiczu odnosili świetne zwycięstwa, to z pewnością czem innym! z pewnością nie w tych ramach jest „Irydyon“ ani „Beniowski“ ani „Anhelli“ ani „Skargi Jeremiego“ ani nawet „Balladyna“!

Już przy traktowaniu Mickiewicza raziło to, że autor zupełnie na jednym planie stawia motywy polskie z litewskimi i ruskimi. Ten błąd, dość dziwny u etnografa, dziwniejszy u historyka literatury, powtarza się w całej pracy z uporem, godnym lepszej sprawy. Jak różnymi musiały przecież być wpływy litewskie, a n. p. wpływy ukraińsko-ruskie, działające na Zaleskiego, mazowiecko-polskie na Lenartowicza. Ich natura była różna, różne też są utwory tych poetów. Autor wszystko stawia na równi tak, jakby to było zupełnie to samo.

Wielu autorów i wiele dzieł powinno było pozostać pod zasłoną przykryciem zapomnienia, z którego ich autor wydobył ku szkodzi swego dzieła. „Anafielas“ Kraszewskiego mogła być pozostać w cieniu (z wyjątkiem chyba wtrąconych w nią pieśni, osnutych na pieśniach ludowych litewskich), tem bardziej, że oparta na potwornych bajkach o mitologii litewskiej, jakimi nas nasi, bujną fantazją obdarzeni, „uczeni“ w pierwszej połowie XIX. wieku obdarowali. Co zaś w dziele, poświęconem poezji, robi „Baśń nad baśniami“ Dzieduszyckiego lub „Szklanna góra“ Sarneckiego, to już jest dla nas niezbadaną tajemnicą.

Obydwie te rzeczy omawiane są w rozdziale „Na przełomie dwu epok“ (od str. 473). Czem one należą do „przełomu“? Dlaczego w tym rozdziale autor omawia pojedyncze wiersze kilku mniejszych poetów, a całą masę innych pomija? Motywy ludowe znajdujemy wtedy wszędzie nietylko u Mirona lub Glinńskiego. Zato Sewera „Marcin Łuba“ i „Dla świętej ziemi“ należą ideowo (po części i chronologicznie) najzupełniej do rozdziału następnego („Młoda Polska“ od str. 517). Wogóle w rozdział „przełomowy“ autor — zdaje się — powkładał wszystko, co mu się nie stosowało z poprzednim lub następnym.

W „Zakończeniu“ (na str. 577) autor wypowiada ciekawą tezę. Odpowiadając na pytanie: co nam pierwiastek ludowy dał w pierwszej połowie XIX wieku, mówi, że dał nam wiele utworów prawdziwie



dobrych, bo „Ballady i Romance“ Mickiewicza, „pomiędzy którymi znaleźć można parę zupełnie wolnych od zarzutu utworów“ (!), bo „stworzył wraz z uczuciem indywidualnem poety (bagatela!) drugą część „Dziadów“, bo dał indywidualizm Zaleskiego, bo z niego „powstała rzecz bez zarzutu, bez cienia niedoskonałości, Goszczyńskiego „Sobótka“ (!)<sup>1</sup>; gdzie zaś utwory poetów są słabe, to „wina cała leży jedynie i wyłącznie po stronie autorów“. W rzeczywistości jest cokolwiek inaczej: pierwiastek ludowy w naszej poezji XIX wieku był czynnikiem w tak niewielkim stopniu dodatnim i potężnym, że najlepsze dzieło, jakie pod jego auspicjami powstało, to „Ballady i Romance“ Mickiewicza, w twórczości tego poety rzecz jedna z mniej wielkich.

Jednym z najgorszych defektów książki p. Zdziarskiego są jej sądy estetyczne, na co przygodnie powyżej zwracaliśmy uwagę. Wierzyć się nie chce, aby w r. 1901 znalazł się badacz literatury, który się będzie unosił nad zaletami „Zamku Kaniowskiego“, który będzie seryo traktował „Baśń nad baśniami“ i „Szkłanną górę“, który wartość utworów będzie oceniał tem, o ile one się zgadzają z pieśnią lub baśnią ludową, który za Słowackim powtarza tak błędne zdanie, że „Balladyna“ została napisana tak, jak gdyby ją lud prosty układał (str. 247 i 251) i wiele, wiele innych. Wogóle całe dzieło świadczy w niejednem miejscu o niezupełnem wyrobieniu rzetelnych pojęć estetycznych. To się znowu pomściło przy traktowaniu zwłaszcza utworów nowszych (jak je autor nazywa „Młodej Polski“ — biedna ta „Młoda Polska“, co w nią nie pakują!). W utworach tych ludowość inaczej się przedstawia, niż w epoce dawniejszej. Kierunek, który z poezji ludowej brał do artystycznej raczej tylko motywy i dekoracye, ustępuje kierunkowi realistycznemu, który stawia sobie za zadanie przedstawić lud takim, jakim jest rzeczywiście, w sposób zupełnie naturalny, w wyrażeniach i zwrotach do mowy ludowej jak najbardziej zbliżonych. Otóż omawiając te utwory, autor wszystko chwali, wszystko jest dobre, wszystkie postacie są wiernem odbiciem rzeczywistości.

Zdawanie sprawy i pisanie oceny dzieła p. Zdziarskiego jest rzeczą bardzo przykrą. Najpierw ze względu na piszącego. Recenzja niniejsza już i tak przybrała rozmiary zbyt wielkie, a wszystkiego nie pokazała, musiała się zadowalać wyrywkami, co na piszącego ścia-

<sup>1</sup> Por. z temi słowami to, co znajdujemy w rozdziale o Goszczyńskim, str. 180.

gnąć może zarzut powierzchowności. Z drugiej strony przykro jest mówić źle o książce, która mogła być bardzo dobrą, a w którą autor włożył ogromny zapas pracy. Ale trudno: *amicus Plato, sed magis amica veritas*.

Więc niema w niej nic dobrego? Owszem. Jako zbiór materyałów jest to rzecz bardzo wielkiej wagi. Autor nie zaniedbuje najmniejszych śladów pierwiastków ludowych w poezyi artystycznej, rejestruje je bardzo skrętnie, wyszukuje źródła. Więć choć nieraz połączenie ze źródłem ludowym jest zbyt naciągnięte, choć autor tym wpływem ludowym tłumaczy nieraz za wiele rzeczy, rzeczy najprostszych, które mogły i musiały przyjść same przez się, to jednakże samo zebranie materyału tak bogatego jest już dla nauki wielką zasługą. Tylko — tylko trzebaby całą rzecz jeszcze raz przerobić i dopiero wtedy mogłoby z tego być „studium literackie“; tak jak dotąd, jest to raczej studium etnograficzne, jest to dzieło, któremu by należało dać tytuł: *Motywy i tematy ludowe w poezyi polskiej XIX wieku*, albo *Ludowe źródła wielu utworów poezyi polskiej XIX wieku* i t. p. — ale w każdym razie nie odpowiada treści książki tytuł „*Pierwiastek ludowy w poezyi polskiej XIX wieku*”. *Studia porównawczo-literackie*“.

*Dr. Stanisław Dobrzycki.*

**Postannictwo katolickiej niewiasty** od początku chrześcijaństwa po nasze czasy. *Ks. Ventura de Raulica*. Przełożył *Stanisław Koźmian*. Kraków. Spółka Wydawnicza Polska. 1901.

Wielki polski publicysta, pierwszorzędny pisarz polityczny schodzi z areny sporów dziennikarskich, aby się imać pokornej roboty tłumacza dobrej książki, którą przyswoić pragnie polskiej literaturze, a więcej jeszcze polskim domom i duszom. Wstępem słowem tłumaczy pobudki, które go zniewoliły imać się tego zadania:

„Dużo, za wiele, poświęciwszy pracy, czasu i zachodów światu i jego sprawom, pragnę pod koniec zawodu zostawić ślad po sobie w wyższej i lepszej dziedzinie duchowo-religijnej... Niech ten przekład będzie drobnem zadośćuczynieniem za to, co w moim długim zawodzie było bezużytecznem lub szkodliwem“.

Idąc za pobożną a dobrą radą, za wspomnieniem i wrażeniem własnej młodości, tłumacz zwrócił się do spuścizny wielkiego włoskiego zakonnika, którego żarliwą wymową niegdyś rozbrzmiewały paryskie kościoły. W połowie wieku co dopiero pogrzebanego rozgrzmiały tam głosy dziwnie porywające i podniosłe: dość wspomnieć *z* nazwiska Ojca

Lacordaire, Ojca de Ravignan, a *last not least*, O. Ventury. Każdy z nich osobnem się krasomówstwem odznaczał. Ravignan bardziej wewnętrzne uprawiał szlaki, Lacordaire i Ventura schodzili w arenę społecznych sporów, tamten dźwigał, ci walczyli, tamten koił, ci zbroili; Ravignan niósł pociechę umierającym, towarzysze broni zagrzewali w ochocie zapaśników życia. Różni charakterem, wymową, regułą zakonną, schodzili się w gorącym umiłowaniu Boga i bliźniego, w żarliwej posłudze dusz i w poświęceniu bez granic dla Kościoła. O. Ventura, złączony osobną przyjaźnią z Piusem IX, dzielił jego życzliwość dla Polski. A jakby mu nie wystarczał urząd słowa, znajdował jeszcze dość czasu, aby kreślić dzieła wybitne: „o pięknościach wiary“, o „niewieście w Biblii“ i „niewieście w Ewangelii“, nareszcie „o posłannictwie katolickiej niewiasty“. W przekonaniu, iż niewiasta, jak stanowi trzy węzły domu, tak i społeczeństwom dostarcza najpewniejszych podwalin i gruntu, chciał naprawę i odrodzenie ludzkości budować na kobiecie chrześcijańskiej i dlatego nie przestawał wskazywać jej właściwych dróg i działania właściwego przeznaczenia.

Książka, której przekładu podjął się p. Stanisław Koźmian, na trzy rozpada się części: pierwsza wskazuje, co zrobił dla kobiety Kościół katolicki; druga, co zdziałała kobieta dla katolicyzmu i przez katolicyzm; trzecia uzupełnia drugą, ucząc pod jakimi warunkami katolicyzm mógł podnieść i przeistoczyć niewiastę i pod jakimi też warunkami na gruncie wiary kobieta zdziałać może cuda.

Za dni naszych zaostrzyła się kwestya równouprawnienia kobiety, wystąpił dziwaczny feminizm o daleko sięgających i ambitnych postulatach. Zdawałoby się mogło, iż czas postąpił naprzód; iż książka, przed pół wiekiem napisana, gotowa okazać się przedawnioną i zwietrzałą; że autor jej nie mógł znać późniejszych prądów ani wyrozumieć zakusów, trawiących dziś niewieście umysły. Tymczasem O. Ventura, jak gdyby przeczuwał dzisiejsze koryfeuszów feminizmu pretensye, zaraz na wstępie dobitnie wskazuje, iż Kościół to do wyższych rzeczy, do znaczniejszej roli powołuje kobietę, podczas gdy przeciwnie bezbożność i t. zw. wolnomyślny postęp spychać ją zwykł do roli bawidełka, pieścidełka, istoty biernej, niższej i zależnej. Jeden tylko zakon Boży postanowił, iż niewiasta winna być mężowi *socia rei divinae atque humanae*, że mąż w niej ma znaleźć *adiutorium simile sibi*, że, acz odsunięta od orężnych i publicznych zapasów, ona to o losach ludzkości rozstrzyga wychowaniem przyszłych pokoleń, że nie iść jej na lep mrzonek i fałszywych a zwodniczych obietnic, wyprowadzających ją na rynki i ulice,

aby jej odjąć berło domowe i macierzyńską koronę. A więc książka Ventury nie jest przedawnioną, bo odpowiada zagadnieniom chwili i toczącej się dziś walce, bo stawia feminizm chrześcijański naprzeciw wytworowi nowoczesnego, pogańskiego feminizmu. W dalszym toku znajdujemy podobnie gotowe odprawy dla toczących się po sejmach i parlamentach sporów. W chwili, gdy najwyższy głos Namiestnika Chrystusowego upomina się za świętością małżeństwa, za nierozzerwalnością węzła sakramentalnego, stanowiącego podstawę chrześcijańskich społeczności, w książce niniejszej znajdujemy jakoby rozwinięcie słów papieskich, odwieczną nauką Kościoła, upatrującego w rozwodach zamach na rodzinę chrześcijańską i sromotne pogwałcenie Bożego zakonu. Dla nas ten ustęp osobną ma doniosłość, bo słyszeliśmy niedawno, iż wśród spraw rozwodowych, wniesionych przed trybunał rzymski, bywa ich zawsze najwięcej z Polski, jakby utrwaleniem smutnych tradycji z końca XVIII w. i jednego z powodów upadku nieszczęśliwej ojczyzny naszej. Niekarność polska przejawia się i w tym kierunku, w tem zbyt często lekkomyślnem zawieraniu, lekkomyślniejszem zrywaniu dożywniczych węzłów i zobowiązań. Wszakże rozwód nie poprawia losu niedobrych małżonków, a jak słusznie świeżo się wyraził p. E. Faguet w artykule zatytułowanym „Bankructwo rozwodu“: „Żądza rozłączenia się pochodzi stąd, iż jedno z małżonków lub nawet obydwójce razem przypisują swą niedolę obecności tamtego. Błąd to kardynalny i złudzenie. Nieszczęście, skoro między nami zagości, nie bywa dziełem tamtego; nie tamten znienawidzony, lecz my sami, lecz nasz nieszczęśliwy charakter bywa nieszczęścia narzędziem. Cierpimy najczęściej skutkiem własnych niedostatków, własnej ułomności naszej. Zaczem nie z tamtym wypadałoby się rozwieść, lecz z samym sobą“.

Treść rozdziałów książki o niewieście katolickiej już dostatecznie o ich znaczeniu, o aktualności świadczy. Słusznie jeden opiewa, że ustawy sformułowane przez bezbożność uświęcają ucisk i do niego prowadzą, podczas gdy ustawy przez Kościół natchnione i obwarowane strzegą wolności, a cywilizacyę przechowują.

Krótkie to sprawozdanie wystarczy, aby zjednać czytelników zbożnemu dziełu, z taką dobrą i szczerą wolą przyswojonemu mowie naszej. Ongi za dni buntu Lutra i Kalwina, św. Kajetan, założyciel Teatynów, był jednym z pierwszych promotorów i przywódców ruchu kontrreformacyjnego. Dziś, gdy socyalizm, nazwany przez wytrawnych pisarzy katolickich najstraszliwszą herezyą, co kiedykolwiek o Piotrową rozbiła się opokę i w Piotrowe uderzała progi, usiłuje w feminizmie

zdobyć sobie sprzymierzeńca, słuszną jest chrześcijańskie kobiety odciągać od zgubnych sojuszków, stawiając im przed oczyma ideał niewiasty katolickiej, niewiasty wedle serca Bożego. I znów Teatyn, zakonny spadkobierca św. Kajetana, podejmuje dzieło obrony zagrożonych rokoszem posterunków, a zdrowe ziarna jego nauki i wymowy przenosi na polską niwę świetny publicysta, uznający po warze i gwarze dnia walki, że „jednego tylko potrzeba...”

M.

**Uczniowie i towarzysze cechów krakowskich** od drugiej połowy wieku XIV do połowy wieku XVII. Napisał *Zbigniew Pazdro*. Lwów 1900.

Od początku r. 1900 wychodzi pod redakcją zasłużonego badacza Prof. Dra Balzera szereg rozpraw pod zbiorową nazwą: „*Studia nad historią prawa polskiego*”. W tem wydawnictwie wyszła też broszura pod powyższym tytułem. Studium to, jest znacznym przyczynkiem do badań organizacyi cechowej polskiej. Organizacyę cechów zagranicznych, przedewszystkiem niemieckich, badania tamtejszych uczonych wyświełły już znacznie dokładniej, niż nasza nauka organizacyę i historię cechów polskich. Cechy nasze, choć oparte na wzorach zagranicznych, przesiedlone na grunt polski, odrębne mają życie i rozwój, stąd też odrębnych wymagają badań.

Badania te jednak nie posunęły się u nas zbyt daleko. Dopiero od wydania zbiorów dokumentów historycznych, głównie przez Szujskiego i Piekosińskiego, zaczyna się w nauce ruch żywszy. Po pracach Lepszego, Stesłowicza i innych, rozprawa niniejsza jest znacznym krokiem naprzód. Autor, oparłszy się na publikacyi Piekosińskiego: *Kodeks dyplomatyczny miasta Krakowa i Prawa, przywileje i statuta miasta Krakowa*, przynosi nam wiele szczegółów nowych, nieużytkowanych przez poprzedników. Pracę swą ogranicza jedynie do przedstawienia stosunków prawnych uczniów i towarzyszy cechów krakowskich, z góry wykluczając wszelkie kwestye ekonomiczne, choć gdzie-niegdzie i o nie potrąca.

Idźmy tedy z przedstawieniem autora.

Uczeń, to pierwszy uczebel, pierwsza, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, ranga do uzyskania celu nauki, osiągnięcia mistrzostwa i, co z tem połączone, samoistności gospodarczej, możliwości otwarcia własnego warsztatu. By być przyjętym jako uczeń na naukę, trzeba się wykazać, że się jest prawego pochodzenia i dobrych obyczajów. Niektóre statuty wymagają obok tego wyznawania wiary katolickiej. Przyjętego na na-

ukę wpisuje się przy zachowaniu pewnego ceremoniału do ozdobnej księgi cechowej. Uczniowi przysługuje prawo wyboru mistrza, u którego się chce uczyć.

Czas nauki oznaczają oddzielne statuta bardzo ściśle; różnie jednak w różnych cechach wynosił od 1—5 lat. Z biegiem czasu wyrobił się zwyczaj prawny, że czas ten mógł być skrócony przez opłacenie przez ucznia wykupu. Uczeń, przyjęty na naukę, musiał przez cały czas pozostawać u tego samego mistrza, chyba że go tenże przedtem zwolnił. W razie ucieczki czas poprzednio w nauce spędzony zupełnie się uczniowi nie liczył. Innemu mistrzowi nie wolno było zbiegłego ucznia przyjmować, a do innych miast pisano za nim listy gończe. Późniejsze wieki, zaczawszy od wieku XVI, przyniosły pewne złagodzenie tego surowego prawa. Prócz tego wprowadził wiek XVI instytucję odszkodowania ze strony ucznia za zerwanie umowy w rękojemstwie. Za ucznia, wstępującego do nauki, musieli poręczyć dwaj poważni mieszczanie. W razie ucieczki ucznia od mistrza ci rękojemcy byli obowiązani albo do pewnego terminu ucznia napowrót do warsztatu dostawić lub zapłacić cechowi karę, niekiedy i odszkodowanie mistrzowi.

Stosunek służbowy między uczniem i mistrzem przedstawia autor bardzo dokładnie. Uczeń był między innemi obowiązany do pełnienia wszelkich posług, chodzenia po wodę, czyszczenia obuwia, bawienia dzieci i t. p. nie tylko wobec mistrza, ale i starszej czeladzi. Ze swej strony zaś mistrz dawał uczniom całe utrzymanie.

Po upływie przepisanego czasu nauki następowały wyzwoliny. Ceremonia ta odbywała się wobec starszyny cechowej. Starszyna daje uczniowi świadectwo odbytej nauki, poczem towarzysze przyjmują wyzwolonego do swego grona. Przytem nadają mu „przemianek“, t. j. przezwisko. Z tego przemianku, jak wykazuje autor, powstało wiele nazwisk naszych mieszczan.

Wyzwolony nie stawał się od razu towarzyszem o pełni praw. Początkowo przez czas jakiś, dość krótki, w źródłach bliżej nie podany, był robieńcem. Stanowisko robieńca było szczególnie pod względem towarzyskim podrzędniejsze. Po przebyciu tego okresu bez żadnego już aktu urzędowego stawał się robieniec towarzyszem. Towarzysz ma już wolność pracy, wolność zmiany warsztatu, a nawet miejsca pobytu. Tu musimy zaznaczyć wyjątkowe stanowisko, jakie sobie wyrobiły cechy krakowskie wobec cechów innych miast z wyjątkiem Lwowa. Jeżeli towarzysz przybył do którego z tych dwóch miast skądinąd, musiał się poddać ceremonii nadania nowego prze-

mianku, poczem dopiero mógł otrzymać zajęcie. Później inne miasta pruskie zawierały z Krakowem umowy o równouprawnienie towarzyszy podobne, jakie było między Krakowem a Lwowem.

Choć w wyborze miejsca pobytu towarzysz ma zupełną wolność, ograniczony jest w zamian do pracy w tem rzemiośle, w którem się kształcił od początku pracować musi, bezczynnych cech zmusza do pracy. Cech przydziela towarzyszy mistrzom w pewnym oznaczonym porządku.

Znane były świadectwa służbowe czeladzi. Mistrz, przyjmując towarzysza, musiał zasięgnąć informacji u mistrza, u którego poprzednio towarzysz pracował. Przybysze z innych miast musieli się wykazać t. zw. listem zachowania.

Umowę zawierał towarzysz z mistrzem albo na pewien oznaczony czas albo bez oznaczenia czasu trwania za poprzedniem wypowiedzeniem. W pewnych jednak okresach roku, w czasie większego ruchu, nie wolno było towarzyszom wypowiadać pracy. Spory podlegały sądownictwu cechowemu. Jako środek egzekucyjny na czeladników znana i używana była t. z. trybówka, rodzaj banicyi na osądzonego. Taki osądzony, na którego nałożono trybówkę, nie mógł być nigdzie do pracy przyjęty, póki się przed władzą nie ukorzył. Mistrzom zaś mogła zwierzchność cechowa odjąć czeladź. Czyniono to nieraz nie za karę, lecz n. p. w razie choroby mistrza, który nie miał czeladnika, odejmowano innemu i dawano na zastępcę choremu mistrzowi. Porządek odjęcia w takich wypadkach ściśle określają przepisy cechowe.

W dalszym ciągu podaje autor bardzo dokładnie czas pracy w różnych cechach i przedstawia stosunki zarobkowe porównawczo z cenami artykułów codziennych potrzeb. Z licznych tych, bardzo ciekawych szczegółów podamy tu tylko, że czas pracy trwał dziennie mniej więcej 15 godzin z przerwą w południe. Co do płacy, to zwrócić musimy uwagę na następujące momenty: Obok wynagrodzenia dziennego znana była praca od sztuki. Statuty cechowe oznaczają też pewne *maximum* i *minimum* płacy, w granicach którego zostawiają mistrzom swobodę lub tworzą kilka klas płacy. Spotykamy też ślady pewnego udziału w zysku. I tak przy sprzedaży droższych przedmiotów otrzymują towarzysze niekiedy t. zw. datek „na przepicie“ od mistrza. Jako ważny czynnik wykształcenia zawodowego uważano wędrowkę po innych miastach, szczególnie zagranicznych. Rzecz ta ogólnie dość znana; pominąć ją więc możemy, podnosząc tylko jeden szczegół. Towarzysz, przybywający do obcego miasta, po przedstawieniu się i wybadaniu go przez starszyznę cechową, miał prawo żądać zarobku, a na-

wet otrzymywał często, gdy żaden mistrz nie potrzebował czeladnika, z kasy wspólnej pewną zapomogę. Statuty cechowe zajmują się nie tylko unormowaniem strony zawodowej, ale wkraczają w sferę obyczajową swych członków i zajmują się ich pożyciem rodzinnem, stosunkiem prywatnym z mistrzem, ich praktykami religijnymi, a nawet i ubiorem. Towarzysze nie tworzyli początkowo osobnego stanu czeladnego, uważali swe stanowisko jako etap w drodze do uzyskania mistrzostwa. Z czasem, zwłaszcza wobec utrudnienia otrzymania stopnia mistrza, wielu znajdowało się towarzyszy, skazanych na to stanowisko przez całe życie. Wskutek tej zwłaszcza okoliczności rozpadły się cechy na dwie warstwy: mistrzów i towarzyszy.

Ci ostatni wybijają się coraz bardziej z pod supremacji cechów, a więc zwierzchności z mistrzów złożonej i tworzą odrębne związki. Ten fakt przypada na okres upadku cechów i tu widzimy znamienny objaw, że w miarę upadku organizacji cechowej stowarzyszenia czeladzi rosną w siłę. Znają one już strejki. Strejki te, jeżeli zwłaszcza opierają się na legalnej podstawie, za pośrednictwem sądów miejskich osiągały nieraz bardzo pomyślne dla czeladzi rezultaty, często jednak kończyły się ukaraniem opornej czeladzi.

Stowarzyszenia czeladne uzyskają w najwyższym swym rozwoju ważne atrybuty. Sprawują same sądownictwo, a wyższą nad nimi instancję stanowią sądy miejskie z pominięciem cechowych. Sądownictwu stowarzyszeń podlegają sprawy zawodowe. Sądy sprawuje całe stowarzyszenie.

Stowarzyszenia miały swoje kasy, do których każdy członek obowiązany był uiszczać pewną opłatę; prócz tego wpływały tu opłaty za wyzwoliny, grzywny, ortowe, t. j. opłaty od przybyłych z innych miast i t. p. Kasy stowarzyszeń wspierały ubogich członków i to w formie pożyczki zwrotnej.

Stowarzyszenia pełniły wreszcie funkcję zawodowych biur pracy.

Oto krótkie zebranie wyników studyum p. Pazdry. Szczegóły to przeważnie nowe, rzucające wiele światła na tę stronę naszej historii rozwoju prawnego i społecznego. Widzimy u autora umiejętne i gruntowne wyzyskanie źródeł, jasność i przejrzystość opracowania przedmiotu, czynniki, składające się na bardzo dobrą i poprawną całość.

*Adam Bielecki.*

---



## Z piśmiennictw słowiańskich.

### Pogląd na literaturę ukraińską w r. 1901.

Żniwo literackie na Ukrainie<sup>1</sup> przed i za kordonem było w roku ubiegłym może nawet obfitsze, niż w latach poprzednich, ale zawsze jeszcze, zwłaszcza ze względu na ilość, dość skromne.

Trzysta kilkadziesiąt książek i około pięćdziesiąt wydawnictw peryodycznych, to, jak na naród prawie trzydziestomilionowy, trochę za mało.

Powód tej szczupłej produkcyi literackiej tkwi przedewszystkiem w niesłychanie przykrych stosunkach cenzuralnych, którymi rząd rosyjski stara się, jeżeli nie uśmiercić, to przynajmniej powstrzymać rozwój idei ukraińskiej.

Mam na myśli słynny ukaz z r. 1876, który 25 milionom ludu ukraińskiego w Rosyi zabrania rozwijać i używać swojego języka ojczystego. Z początku „sekretny“, później ogłoszony w tak zwanym *указе по дѣламъ печати*, ukaz ten nie tylko zabrania drukować książek ukraińskich w Rosyi, ale wstrzymuje dowóz ich z zagranicy, zwłaszcza z Galicyi.

Była to od czasów zburzenia Siczy najstraszniejsza bomba, jaka z rosyjskiego obozu na ukraińskie pole leciała, gdyż niosła śmierć i zagładę nie ciała lecz duszy narodu.

Niosła — ale nie przyniosła.

Lud ukraiński, przebywszy ciężki chrzest historyczny, z olimpijskim spokojem znosi najokropniejsze ciosy, wierząc, że Bóg chce mieć z niego ostrą siekierę, kiedy go tak mocno hartuje.

Okazuje się, że nawet najokropniejsze ukazy są niczem wobec elementarnej siły narodowego poczucia, która kryje się w piersi uciśnionego ludu. Kto jednak odpowie za powstrzymanie kulturalnego rozwoju, który, jak roślina słońca, potrzebuje narodowej, rodzimej osnowy, potrzebuje ojczystego języka? Kto powetuje straty stąd płynące?...

Są ludzie, którzy nawet taki niebывały gwałt starają się usprawiedliwić. Powiadają oni, że ów ukaz to tylko martwa formuła (podo-

---

<sup>1</sup> Przez Ukrainę rozumiem całą przestrzeń, którą zamieszkuje naród ukraiński czyli małoruski lub, jak dawniej mówiono, rusiński — tak pod panowaniem Rosyi jak i Austrii, w Galicyi, na Węgrzech i na Bukowinie.

bnie jak niektóre nasze przepisy z r. 1852), w nagłych wypadkach tylko powoływana do życia, że więc ukraińska intelligencja zasłania nim swe własne niedołęstwo i opieszałość.

Są to nieczne wykrety, obliczone na efekt u ludzi łatwowiernych, a nieświadomych rzeczy. Prawda, że niekiedy czyni się jakieś ulgi i wyjątki<sup>1</sup>, ale gdzie się ich nie czyni? — to jednak również prawda, że nawet Pisma św. po ukraińsku drukować nie wolno, że nawet tłumaczenia Szekspira, dokonane za kordonem, musi się drukować we Lwowie, że nawet (*risum teneatis!*) zaproszenia na ślub lub karty wizytowe, drukowane po ukraińsku, poczytywane są za zbrodnię i karane surowo. Co się zaś tyczy niedołęstwa i opieszałości intelligencji ukraińskiej, to dość przeglądnąć rejestr książek odrzuconych przez cenzurę<sup>2</sup>, dość rzucić okiem na liczne ofiary za postęp i oświatę, aby zarzut ten z oburzeniem odrzucić.

Również i to jest zmyśleniem, jakoby wspomniany ukaz wydano dlatego, iż propaganda socyalistyczna, mając w Dragomanowie swego przedstawiciela, szerzyła się w języku ukraińskim. Dziś Dragomanow nie żyje, socyalizm szerzy się w języku rosyjskim, a książek ukraińskich jak nie wolno było drukować, tak do dzisiejszego dnia zezwolić nie chcą. Dlaczego np. wszelkie starania, nawet na drodze memoriałów do tronu, o zezwolenie na wydawanie ukraińskiego czasopisma pozostają bez skutku?<sup>3</sup> Dlaczego właśnie w roku ubiegłym odebrano debet dla Rosyi tak poważnemu i nawet nadzwyczaj ogłędnemu wydawnictwu, jakim jest, cytowany przed chwilą, Літературно-науковий Вістникъ?

Odpowiedź prosta. Rząd trwa przy swym dawnym systemie tępienia ukraińskiej idei, a ukaz z roku 1876 posiada do dzisiejszego dnia swą moc i znaczenie. To też ukraińska książka na rosyjskiej

<sup>1</sup> Tak np. rząd, widząc, jakie przerażające skutki (upadek rolnictwa, niedobory podatkowe, emigracya, bunt choleryczny, sekciarstwo i inne), wydał ogłupiający obrusitelny system, zezwolił na popularne broszurki w języku ukraińskim z zakresu higieny i rolnictwa. Broszury te rozchodzą się w olbrzymiej ilości, dając jasną wskazówkę, jak należy podnosić i szerzyć oświatę.

<sup>2</sup> Patrz: Хроніка і бібліографія Літературно-наукового вістника. Львів 1901.

<sup>3</sup> Iwan Łewyckij, który wniósł był prośbę o pozwolenie na redagowanie czasopisma w języku ukraińskim Промінь (Promień), otrzymał we wrześniu roku ubiegłego od ministra spraw wewnętrznych następującą odpowiedź: ходатайство объ изданіи малорусскаго журнала отклонено. (Вістникъ, listopad 1901, str. 16. Bibliografia). Jest to zwykły los podobnych starań.

Ukrainie należy do rzadkości, a cały 25 milionowy naród nie ma ani jednego, powiadam ani jednego czasopisma. Skutki takiego postępowania może sobie każdy sam przedstawić. Wobec tego trudne, choć zaszczytne zadanie, pielęgnowania ojczystego języka i rodzimej literatury przechodzi po raz pierwszy na Ukrainę galicyjską i to w chwili, kiedy ona znajdowała się w stanie pożałowania godnym.

Lichwa, banki, procesy, brak szkół i niski stopień oświaty rujnowały lud prosty, tę główną ośnowę ukraińskiego demokratycznego społeczeństwa. Intelligencji było mało, a ta, która była, nie rozumiała swego posłannictwa. Własnymi rękami grzebała przepaść pomiędzy sobą a ludem prostym, zacieśniając równocześnie widnokreśli narodowe coraz bardziej, nie dalej jak po Zbrucz.

Był to czas prawdziwego chaosu, moment w dziejach ukraińskiej kultury jeden z najkrytyczniejszych. Nic więc dziwnego, że wśród tak opłakanych stosunków, powstała, względnie zorganizowała się partya już nie świętojurska, lecz wyraźnie moskalofilska, stronnictwo negacyi i kwietyzmu.

Dzieje tych smutnych czasów przechodzą ciasne ramy naszego sprawozdania, będą one ciekawem zjawiskiem dla przyszłego historyka nowszej literatury ukraińskiej, my tylko podkreślamy fakt, iż idea niezależnej Ukrainy wyszła z tej walki pojęć i prądów zupełnie zwycięsko, a z chwilą jej tryumfu poczyną się stały, niczem niepowstrzymany rozwój ukraińskiego narodu we wszystkich gałęziach kultury, a na polu nauki i literatury pięknej przedewszystkiem.

Czytelnie, wiece i książki, oraz gazety popularne uświadamiają stan włościański, podnoszą intelektualnie i moralnie, a spółki i towarzystwa kredytowe ratują go od materyjalnej ruiny. Nowe gimnazya ukraińskie przysparzają intelligencji, a ścieranie się nowych prądów zachodnio-europejskich budzi ruch i wypiera dawny indyferentyzm w sprawach społecznych i narodowych. Nie zrobiono wprawdzie wszystkiego, ale zrobiono wiele. Jubileuszowy rok (1898) podnosi i krzepi narodowego ducha, a wielki zjazd w stolicy kraju nie był czezą tylko manifestacyą, lecz przyniósł niektóre ważne a trwałe korzyści,

Jedną z nich było założenie Ukraińskiej wydawniczej spółki, która dotychczas wydała kilkadziesiąt książek<sup>1</sup> oryginalnych i tłumaczonych i obudziła żywe zajęcie się ojczystem piśmiennictwem.

---

<sup>1</sup> Dotychczas wydano 44 tomy beletrystycznej, 9 naukowej, a 22 popularnej biblioteki.

Książki beletrystyczne pojawiają się w najdalszych górskich okolicach, w chatach mieszczańskich i izbach wieśniaczych. Popularna biblioteka i wykłady ludowe<sup>1</sup> szerzą w sposób przystępny zdobycze kulturalne. W końcu podnieść należy, że energiczne towarzystwo naukowe imienia Szewczenki podjęło się redakcyi pierwszego ukraińskiego miesięcznika<sup>2</sup> (Вісник) i wnet zebrało około niego prawie wszystkie znaczniejsze literackie siły. Dzienniki (*Ruslan* i *Dilo*) również gorliwie opiekują się ruchem literackim. Czasy, kiedy nawet najcenniejsze utwory nie mogły doczekać się nakładu, zniknęły raz na zawsze. Dziś każdy rok przynosi większą ilość utworów i pomnaża literackie zastępy.

Jednym z takich pomyślnych lat był również rok ubiegły. Przegląd jego rozpoczniemy od noweli, najbujniejszego kwiatu ukraińskiego piśmiennictwa<sup>3</sup>.

Ma ona za sobą wcale piękną przeszłość.

Ma Kwitkę, który może pierwszy począł uprawiać opowiadanie z życia wiejskiego ludu (1834) przed Auerbachem (1843), Żorż Sandem (1838), Erckmanem Chatrianem, przed Turgniewem i Hryhorowiczem, ma Honola, który był Ukraińcem i którego wiele utworów, pomimo tego iż napisane są po rosyjsku, duchem swym i charakterem należą do literatury ukraińskiej, ma prześliczne opowiadania Marka Wowczka, Fedkowicza i Storożenki, które mogłaby się poszczycić nawet najbogatsza literatura.

Z najnowszych nowelistów Franko, Stefanyk i Kobyłańska zdobyli sobie europejską sławę. Obok nich Czeremszyna, Martowycz, Weltyńa, Czajkowski i wielu innych wzbogacają ukraińską nowelę niepospolitymi utworami, tak, że dzisiaj zwłaszcza w zakresie życia chłopskiego zajmuje ona miejsce pierwszorzędne. Jest tylko za mało znana i wskutek tego za mało ceniona.

<sup>1</sup> W kilku miastach (w Przemyślu, Kołomyi, Czerniowcach i t. d.) zorganizowane są systematyczne odczyty na wzór uniwersytetu ludowego.

<sup>2</sup> Киевская Страница zamieszcza tylko niekiedy obok artykułów rosyjskich także beletrystykę ukraińską.

<sup>3</sup> Rozumie się, że o wszystkich utworach mówić nie mogę. Wybieram tylko te, które mojem zdaniem najbardziej wpływają na fizyognomię całego obrazu. Również nie wdaję się w ocenę ani w krytykę, chodzi mi bowiem głównie o informację. Nie powołuję się na recenzje ani na fachowe rozbiory, tylko podaję swoje własne wrażenia, jakie na mnie utwory przy czytaniu wywarły.

Rok ubiegły przyniósł jej kilkanaście nowych, niekiedy bardzo cennych zbiorów.

Osyp Makowej, autor prześlicznych liryków, wydał tom humorystycznych nowel p. t. *Naszi znakomi* (Nasi znajomi), w którym kreśli całą galerię typów i postaci z ukraińskiego współczesnego życia, odkrywając z lekkim ironicznym uśmiechem ich błędy i ułomności. Niekiedy tryska całą pełnią szczerzego ukraińskiego humoru, zatrzymując wszędzie należyłą artystyczną miarę.

Jest to talent znacznej miary, nadzwyczaj rzutki i posiadający tę dobrą zaletę, że „ze wszystkiego potrafi coś uczynić“. I rzeczywiście wszystkie utwory Makowej są piękne, a co najmniej zajmujące.

Poeta liryczny, szeroko wykształcony, obdarzony humorem i żyłą satyryczną, a do tego równocześnie talent, skłonny do refleksyi i człowiek inicjatywy, ma już teraz tę wielką zasługę, że nauczył szersze warstwy swego społeczeństwa zajmować się tem, co dawniej uważano za nudne, nieprzystępne i zbyt techniczne, np. krytykę literacką i naukową.

W artykułach literackich i feljetonach dziennikarskich, kryjąc się niejednokrotnie pod pseudonimem, porusza podobnie jak Prus rozmaite kwestye bieżące, które budzą czasem protesty, czasem polemikę, a zawsze dyskusję i powszechne zajęcie.

W ostatnich dniach ukazał się tom szkiców Nutula Wachnianyna, rodzajem treści zbliżonych do zbioru Makowej, tylko przedstawiających typy i zdarzenia z czasów nieco dawniejszych. Niektóre do dnia dzisiejszego aktualności swojej nie straciły i zalecają się szczerym humorem, a niekiedy ostrym sarkazmem i satyrą.

Iwan Franko, najwybitniejszy (zwłaszcza ze względu na wszechstronność i obfitość produkcji) ze wszystkich współczesnych ukraińskich literatów, wydał w roku 1901 zbiór szkiców przeważnie liberalnej tendencji, p. t. *Cim kazok* (Siedm kazek = baśni). Niektóre z nich drukowano w licznych przekładach, otóż ze względu na to, jak również na zbyt dobrze znane imię autora, w dzisiejszej mojej informacyjnej rozprawce mówić o nich nie będę.

Również wspomnę tylko o utworach początkujących autorów i autorek, Andykowycza, Mandyczewskiego i Słobodiwniej, zaznaczając ich skłonność do modernizmu.

Przedstawicielem tego kierunku jest Andykowycz, a poniekąd i Jackiw. Andykowycz *Narys odnoji doby* (Szkic jednej doby) świadczy o dużym talencie autora, oraz o jego cywilnej odwadze, jaką okazał, występując z tak drastycznym tematem.

Słobodiwna i Łopatyński czerpią tematy do swoich nowel ze świata teatralnego, który znają z własnego doświadczenia. Słobodiwna zajmuje się duszą kobiecą, w jej stosunku krzywdzącym do mężczyzny i jako pierwsze próby, mają jej nowele wiele świeżości i zapału, a mało artystycznego wyrobienia.

Na tem miejscu wspomnieć mi wypada o nowelach Marty, które, chociaż nie wyszły w osobnem wydaniu, zasługują tak przez treść swoją jak i subtelną formę na to, aby je z zeszytów *Wistnyka* wydobyć.

Podobnie jak jej utalentowana poprzedniczka, Olga Kobylańska, wybiera Marta tematy bardzo subtelne, na które w życiu codziennem nawet nie zwracamy uwagi i umie opracować je również subtelnie w świetlnych i muzycznych półtonach, w słowach i półsłówkach, które niekiedy więcej kazań się domyślać, niż wprost mówią. Jak portrety i studia Olgi Boznańskiej, występują przed nami postacie z utworów obu wspomnianych autorek.

Na rozstaju pomiędzy dawnym realizmem a nowszymi kierunkami, zapatrzonymi z uwielbieniem lub przestachem w niezgłębioną toń duszy ludzkiej, leży „Serce“ Kruszelnyckiego — książka o wiele lepsza od poprzednich utworów tego samego autora. Stary jak świat temat; świętość uczucia w walce z brutalnością świata i życiowych konieczności.

Stróż kamienicy<sup>1</sup> ma żonę, która jest przedmiotem pożądania ich chlebobawcy, pana domu. W noc zimną i burzliwą, kiedy bieda i nędza istnienia w całej nagości stanęła przed oczami małżonków, dzwoni pan, wracający z nocnej zabawy. Paraska otwiera bramę. Pod groźbą utraty służby upada kobieta. Nad ranem z płaczem wraca do swojej wilgotnej izdebki. — „Czego płaczesz?“ — pyta się mąż. — „Już po wszystkim“ — odpowiada z rozpaczą. Mąż odwraca się do ściany, ręką kiwa i rzecze: — „Wiedziałem o tem dawno. Idź, kładź się spać!“

Oto treść tego szarego obrazka. Nie wstrząsa on nami jako przykład wstrętnego wyzysku (przyzwyczaili nas do tego nowsza literatura zbyt dobrze), ale przeraża okropną biernością ofiar, ich rezygnacją i fatalistyczną obojętnością. A może w tem milczeniu jest więcej głosu, niż w najokropniejszym krzyku?...

Jeżeli do wspomnianych autorów i utworów dodamy naiwno-humorystyczne, ale bardzo miłe i artystycznie wykończone nowelki Byrczaka, przeważnie z życia studenckiego, drukowane w feljetonach

<sup>1</sup> Крушельницький, Серце, Чернівці 1901. Nowela p. t. Шлюбна жінка.

*Rusłana*, to będziemy mieli istną mozaikę szkiców, studyów, opowiadań i nowel, odzwierciedlających z rozmaitych punktów widzenia i w rozmaity sposób życie ukraińskiego społeczeństwa.

Brakować jednak będzie temu koncertowi przewodniego tonu, *par excellence* chłopskiego.

Znajdziemy go w niewielkiej książeczce Stefanyka — „Droga“<sup>1</sup> (*Der Weg*) i w jeszcze mniejszej, Czeremszyny — „Karby“<sup>2</sup>.

Wasył Stefanyk, syn ziemi pokuckiej, rodzone dziecko strzechy wieśniaczej, ma lat około trzydziestu. Kończył medycynę w Krakowie, a teraz przebywa na wsi. Na szerszą widownię wystąpił dopiero przed 5 laty i w tak krótkim czasie swoim nadzwyczajnym talentem zdobył sobie szeroką sławę (użyję tu starego frazesu) na obu półkulach. Utwory jego doczekały się licznych przekładów na rozmaite języki. Mojem zdaniem jest to największy nowellista chłopski, nie tylko w ukraińskiej, ale i w powszechnej literaturze. Trzebaby wiele pisać, aby ten sąd usprawiedliwić, ale wystarczy przeczytać jedną tylko nowellę, np. „Krzyż kamienny“, albo „Klonowe listki“, aby tym słowem uwierzyć.

Wiele np. mówi się i pisze o naszym wychodźstwie, podnosi się jego dobre i złe strony, ale nikt dotychczas nie określił tego ruchu z chłopskiego punktu widzenia, tak jak Stefanyk. Nikt z taką nieubłąganą prawdą nie przedstawił tego tragizmu duszy chłopskiej, kiedy ona, koniecznością lub jakimś szalonym pędem parta, odrywa się od ojczystej chaty, od umiłowanej nadewszystko rodzinnej gleby i pędzi na dolę i niedolę w nieznane, zamorskie kraje.

Czyni to w jednej scenie, opisując ucztę pożegnalną w chacie wychodźcy Iwana. Oto wyjątek z tej sceny:

— Ojcze, słuchajcie no ojcze! To już czas do kolei, a wy rozśpiewaliście się jak za dobrych czasów!

Iwan wytrzeszczył oczy, ale tak jakoś dziwnie, że syn zbladł — a potem wstał z za stołu, podszedł do żony i ujął ją za rękę.

— Stara, rusz się stara, *ein, zwei, drei!* Chodź, ubierzemy się po pańsku i pójdziemy panować!

Wyszli oboje.

A kiedy wracali, to cała izba trzęsła się od płaczu.

<sup>1</sup> Василь Стефаник, Дорога, Новелі, накладом Українсько-руської видавничої Спілки, Львів 1901.

<sup>2</sup> Карбі, новелі із гуцульського життя, Чернівці 1901.

Jak gdyby chmura leż, wisząca ponad siołem, przerwała się, jak gdyby ludzki żal tamę Dunaju rozniósł — taki był płacz.

Kobiety załamały ręce i splecione nad starą Iwanychą trzymały, aby co z góry nie spadło i jej nie rozgniotło.

Michało chwycił Iwana za bary i trząśł nim jak szalony, a wrzeszczał jak wściekły: — Moj! Kiedys gazda, to zrzuć te łachy ze siebie, bo cię wypoliczkuje, jak...

Ale Iwan nawet nie patrzył się w tę stronę. Objął żonę za szyję i puścił się w taniec.

— Polki mi graj, po pańsku, pieniądze mam!

Zdrzewiali ludzie, a Iwan żonę trząśł, jakby myśli nie miał puścić jej żywej.

Wbiegli synowie i przemocą wynieśli oboje z chaty.

A oto znowu jak bezdennie smutno, lecz pięknie i prawdziwie maluje nam Stefanyk życie biednej rodziny chłopskiej w swoich „Kłonowych listkach“. I znowu całą historję tej nędzy, całą jej epopeję zawarł w kilku momentach.

Chrzcziny. Zeszli się sąsiedzi, ucztują. Kieliszek wódki i kęs chleba — całe przyjęcie. Cienie gazdów padają na sufit i drętwieją tam. Koło pieca dzieci siedzą z opuszczonemi rękami, jak stado deszczem zbitych przepiórek, każdej chwili gotowych do lotu.

Rozwiązują się języki. Zaczynają się chłopskie skargi. Okropne są te skargi istnienia, dobywające się z szczerzej piersi chłopa w chwili, kiedy Bóg obdarzył go jeszcze jednym dzieckiem.

Drżał cały — powiada autor — czując na sobie ogrom ciężaru słów swoich.

W trzy dni później głową do odrzwi tłukł, a potem kosę wziął i poszedł w pole. Życie nie czeka.

Została chora i drobiazg dzieci.

Najstarszy synek, może pięcioletni, udaje, że się wszystkiem zajmuje. Do matki mówi:

— Ojciec kazali wam zimnej wody podawać i bułkę, abyście jedli. I świecę też zostawili, a nakazywali mi, aby wam w rękę włożyć i zapalić, jak umierać będziecie. Alboż ja wiem, kiedy wam podawać?

Mistrzowska jest przedśmiertna rozmowa matki z dziećmi:

— Semenku — powiada do niego — nie daj macosze bić Katrusię i Maryjkę. Słyszysz? Bo macocha bić was będzie, od miski pędzić, koszuliny nie dawać.



— Ja nie pozwolę i ojcu powiem, aby nie pozwolił — odpowiada chłopczyzna.

— Nic nie pomoże, synku mój najmilejszy, dziecino moja najzłociejsha... A jak mi urośnięcie, to bardzo się kochajcie, bardzo. Pomagaj im i krzywdy czynić nie pozwalaj.

— O, jak ja służyć będę i będę silny, to nie dozwolę. Ja do nich każdej niedzieli przychodził będę.

— Semenku, powiedz ojcu, aby was kochał.

— Jedzcie mamó bułkę.

— Śpiewaj dziecku, niechaj nie płacze.

Semenko dziecko kołysał, ale śpiewać nie umiał. Więc matka dłonią suche usta otarła i zaśpiewała.

W słabym, urywanym głosie, wylewała się jej dusza i cicho — cichuteńko spadała pomiędzy dzieci i całowała ich główki. Cicho i niewyraźnie mówiły słowa pieśni, że klonowe listeczki rozwiały się po pustym polu i że nikt ich pozbierać nie może i nigdy już one zielone nie będą.

Pieśń usiłowała wyjść z chaty i w pole lecieć za listeczkami..

Oto małe wyjątki z tych potężnych utworów. Najdelikatniejsza poezja i najbrutalniejsze uściski życiowych konieczności, upadki i wzloty, niziny i wyżyny duszy chłopskiej, wszystko w śmiałych, wyraźnych, silnych rysach występuje przed nami. To już nie nowellista z intelligencji opisuje chłopów dla intelligencji, ale rzecznik chłopskiego stanu przemawia wobec świata natchnionemi ustami. Okropna nieraz jest ta jego mowa; zgrzytów pełna, przedśmiertne rżenie przypominająca, ale zawsze pełna godności, świadoma swego celu, swego posłannictwa pamiętna. To też najokropniejsze obrazy piekła na ziemi, rysunki nędzy i upadku budzą w sercu naszym tylko szlachetne uczucia żalu i miłosierdzia.

Chłop Stefanyka nie nosi sztucznej aureoli, nie stroi się w szaty błazeńskie ani w strzępy niedorzecznej, Bóg wie skąd wyrwanej filozofii, lecz jest takim, jak w rzeczywistości, raz wzniosłym i szlachetnym, to znowu gwałtownym i straszonym, dla ludzi cywilizowanych może nawet niekiedy niezrozumiałym lub wstrętnym, ale zawsze wielkim. Zarówno w boleści jak w pracy, w radości i w upadku. Zawsze. Jest w nim bowiem jakaś moc przyrodzona, niewyczerpana, elementarna siła. Takięgo chłopą jest Stefanyk znakomitym znawcą i niezrównanym malarzem.

To też tem większe zajęcie obudziły nowelle Czeremszyny, aż do

złudzenia przypominające Stefanyka. Ludzie prawie z tych samych okolic (Stefanyka z Pokucia, Czeremszyny z Huculszczyzny), mówiący gwara prawie tą samą. Podobne silne i wymowne zwroty, także trafne a oryginalne porównania. Tematy tchnące życiem, niekiedy z fotograficzną wiernością oddające rodzajowe sceny.

Tu gazda staruszek, sterawszy życie na pracy, wiesza się, gdyż znieść nie może bezczynności i lekceważenia, które na każdym kroku tak swoi jak i obcy mu okazują. Tam znówu w szkółce, przy oknie stoi młoda nauczycielka, zapalona altruistka i snuje marzenia jakiejś jaśniejszej przyszłości dla swego ciemnego ludu. Nie przeczuwa nawet, że gromadka tego ludu z krzykiem i hałasami dąży do szkoły, aby ją zburzyć, bo nauczycielka wodę ze studzien im zabrała, bo kary na gminę zsyła zato, że dzieci do szkoły nie chodzą regularnie. Za chwilę zamiar ich będzie wykonany — gdy wtem ze szkółki wysypuje się dziatwa zadowolona i uszczęśliwiona nauką i nauczycielką. „Nasza pani taka dobra!” — szczebiocą, tuląc się do ojców i opowiadają o tej wielkiej dobroci. Gazdy słuchają, głowami kiwają i mówią: Ha! To darujmy jej wodę. Potem rozchodzą się, nisko kłaniając się nauczycielce, która, o niczem nie wiedząc, dalej snuje swe różowe marzenia.

A tam znówu w biednej chatynie sekwestrator zabiera jako fant obraz świętego Mikołaja. Nie myśli nawet, że wieczorem, kiedy dzieci do zwykłej swej modlitwy uklękną, na ścianie przed niemi będzie tylko plama jasna, pajęczyną otoczona. A tam staruszka bezsilna do domu wraca, a tam chorego od lekarza wiozą, a tam złodzieja schwytano: chłopaka, głodem znękanego, który ssal krowę bogaczki. Słychać, jak biją go i na całe życie jako zлочyńcę stemplują. Tymczasem na zielonej murawie, pod skałą Dobosza niezwykła uroczystość. Oto stara Semenycha chatę zakłada. Napracowała się niemało, nabiedowała srodze, zanim grosz potrzebny zebrała, ale też będzie teraz gazdynią, swoją własną panią, nie komornicą.

Własnem szczęściem zajęta, nie słyszy, jak od boru wiatr sromotą powiewa, jak uwiedziona z miasta do wsi wraca. Trawa płonie pod jej stopami, góry ziemi nie trzymają się, słońce pada. Wnuka rodzicom przynosi dziecię miasta, zarobek służby. Matka na ten widok siwe włosy garściami wyrывa, a ojciec krzyczy, że wyrodnej córki znać nie chce. To ci raz przywitanie miłe! A potem bić ją będą i po ziemi ciągnąć, a potem ona sobie toni głębokiej poszuka i po wszystkim...

I tak ciągle i ciągle. Radość i smutek, smutek i radość, jak

w życiu codziennem. Corazto nowe obrazy kraju, ludzi, duszy — prawdą i pięknem powołane do życia. A jest w tem rzeźkość jakaś dziwna, świeżość górskiego powietrza, rącość czornohorskich potoków.

W porównaniu ze Stefanykiem jest Czeremszyna więcej lirykiem: jako artysta nie tak pewny siebie. Trzyma się więcej utartej średniej skali, podczas gdy Stefanyk jest mistrzem w nagłych, błyskawicznych skokach, od tonów najwyższych do najniższych tak, że niekiedy wprost oślepia tymi kontrastami.

Zatrzymałem się umyślnie na tych dwóch mistrzach chłopskiej nowelli i żałuję, że krótki ten rys niedość wyrażnie i wiernie uwydatni ich sylwety.

Nowelli zaś wogóle poświęciłem więcej miejsca dlatego, gdyż się jej to tak ze względu na ilość jak i na jakość słusznie należy. Wobec niej powieść przedstawia się skromnie. Ma ona do zanotowania tylko dwa znaczniejsze utwory: Franka „Rozstajne drogi“ i Szpytka „Wyród“.

Franko w swojej powieści kreśli typ dzisiejszego inteligenta ukraińskiego (adwokata w powiatowem, galicyjskiem mieście) w walce o dobro ludu i w rozterce z własnem sercem i z osobistymi stosunkami. Jest to obraz malowany szeroko, epicznie, z mnóstwem figur i rozmaitych akcesoryów, a z kolizjami niełatwemi do rozwiązania. Literatura czeska będzie miała sposobność poznać się z tym utworem bliżej, gdyż wydanie przekładu już zapowiedziano.

„Wyród“ Szpytka przedstawia losy człowieka, który z życiem i światem pogodzić się nie mógł. Rzecz pod względem ideowym ciekawa (jak np. „Głód“ Knuta Hamsuna), lecz w formie za mało wykonczona.

Powieści Janowskiej nie mam pod ręką, z recenzji tylko wnoszę, że są to utwory, niemało obiecujące.

Takimi powieściopisarzami jak Tołstoj lub Sienkiewicz Ukraina nie może się poszczycić, ale spodziewać się należy, iż po rozkwicie nowelli przyjdzie kolej na nową ukraińską powieść. Może być, że który ze współczesnych nowellistów z biegiem lat nabierze tej spokojnej epicznej miary i tego szerszego rozpędu, niezbędnego dla powieściopisarza, może być, że talent taki ukaże się dopiero tak, jak ukazał się Neczuj-Lewyćkyj i Myrnyj po Kwitce i Marku Wowczku.

Obfitszy plon od powieści przyniosła poezya.

Po Szewczence, Fed'kowiczu i Rudańskim, usunięta na dalszy plan, chyliła się ku upadkowi. Poeci aż do znużenia naśladowali Szewczenkę i jego formę prostą i pozornie łatwą, ale zawsze wysoko

artystyczną, sprowadzili do nieudolnego rymotwórstwa. Niekiedy tylko odzywał się stary Kulisz, jak głos z innego świata, czasem dziwaczny i z dążeniami ogółu niezgodny, wskutek tego mijający bez echa. Stan taki trwał prawie lat dwadzieścia. Dopiero Franko sprowadza poezję na nowe tory. Z jednej strony zagłębia się w niewyczerpaną skarbnicę ludowej poezji, z drugiej zbliża się do poetów zachodnio-europejskich i rosyjskich. Wskutek tego wprowadza nowe tematy i daje wzory nowej formy, która przez czas dłuższy obracała się dokoła kołomyjkowego wiersza. Żąda on poprawności metru i czystości języka, który szpecono zbyt niemi licencyami poetyckimi. W tym kierunku idzie Makowej, Szczurat, Samijlenko, Łesia Ukrainka, Ułana Krawczenko i inni. Zwłaszcza liryka, podsycana niezrównanemi pieśniami ludowemi, wydała liczne utwory, pełne prostoty i głębokiego uczucia.

Ale publiczność nie pozbyła się jeszcze dawnego uprzedzenia i poezją interesuje się wogóle mało. Miarą tego jest szczupła liczba wydanych utworów. Rok 1901 należy jeszcze do najpomyślniejszych, bo przyniósł aż kilka książek, jak: Młaki, Szczurata, Krymskiego, Galipa, Paczowskiego i innych.

Młaka, senior ukraińskich literatów, znany kompozytor, wydał zbiór swoich rozmaitych wierszy, rozrzuconych po czasopismach. Szczurat, najlepszy ze współczesnych tłumaczy, znawca rytmiki ukraińskiej i purysta języka, zebrał legendy ludowe, przywiązane do odpustowego miejsca Zarwanycia i opracował je we wierszach, pełnych prostoty i wiary, a doskonałych ze względu na formę.

Galipa, „Dumki i pieśni“ również mają kilka ładnych nastrojowych wierszy.

Oryginalnem zjawiskiem są Krymskiego<sup>1</sup> „Palmowe gałązki, egzotyczne poezye“, jak je sam poeta nazywa.

Krymski, profesor arabskiego języka w oryentalnej akademii w Moskwie, jest jedną z najwybitniejszych literackich postaci. Oryginalny powieściopisarz, zdolny poeta, krytyk i uczony, należy obok Czajczenki i Chotkiewycza do przewódców ukraińskiego piśmiennictwa za kordonem i podobnie jak Franko w Galicyi zapełnia utworami swoimi rozmaite luki. Usposobienie żywe, energiczne, charakter śmiały.

Jego „Palmowe gałązki“, to zbiór wierszy lirycznych, przeważnie erotyków, pisanych pod gorącym niebem Syrii, w górach Kaukazu lub na Krymie. Mają więc dekorację oryentalną, wschodni krajobraz, jego

<sup>1</sup> А. Крымский; Пальмові гілля. Екзотичні поезії. Львів 1901.

klimat, jego roślinność, charakter zaś ukraiński. Szczera ukraińska poezja brzmi pod Libanem, w Bajrucie, w okolicach Jerozolimy, wśród palm, cedrów i cyprysów.

— Ζωή μου, σὲς ἀγαπῶ! — woła poeta, żegnając się z piękną Atenką, ażeby potem wśród niezrównanych piękności przyrody tęsknić i snuć filozoficzne marzenia, kończące się hymnem na cześć matki-przyrody.

Śliczny jest cykl „Nieuczciwej miłości“, na której poeta z lekka i misternie analizuje duszę pewnego, jak powiada, nieszczęśliwego degenerata, który zakochał się — chociaż był już żonaty.

Odbywa się walka instynktów wrodzonych z nabytymi pojęciami moralności i nieszczęśliwy kochanek ucieka przed swoją miłością w góry. Tam, na wierzchołku Libanu, powyżej chmur, leczy się spokojem i przyrodą. Niema tu nic, co by mu nieszczęśliwą miłość przypomnieć mogło. Nawet palmy tu nie rosną, nawet pomarańcze nie dojrzewają, tylko do słońca ścieli się trawa bujna i z pod śniegów białych tryskają szemrzące potoki.

Tu od pasterzy trzód uczy się pieśni, a wieczorami zasiada wraz z nimi w szałasie góralskim i bawi się z dziećmi. Nieraz wśród takich zabaw słyszy naiwne pytanie: czemu pan taki smutny czasem?

Sam autor najlepiej charakteryzuje swoje poezye. Tylko chorzy lub samotni ludzie, powiada we wstępie, którzy przychylną duszę lub przyjazną rodzinę zdolni są pokochać z naiwnym egoizmem, niemniej jak ludzkość całą — tylko tacy znajdują tu dźwięki rodzime. Kto zaś chce walczyć ze społeczną hydrą, niechaj tej książki nie otwiera, a jeżeli ją przypadkiem otworzy, niech co rychlej zamyka i stara się zapomnieć i wiersze i ich autora.

Ten sam Krymski wydał tom V utworów jednego z największych ukraińskich poetów, przedwcześnie zmarłego Stefana Rudańskiego. Jest to trwały nabytek literacki, a tem cenniejszy i droższy, iż nie oczekiwany, gdyż utwory Rudańskiego uważano za stracone. Wszystko to są przeważnie wiersze drobne, co najwyżej w cykle ujęte. Jedyny poemat wielkich rozmiarów, to „Kulisza Marusia Bohusławka<sup>1</sup>“. Treść skombinowana z dumy ludowej i z faktów historycznych, a na tem tle wysnute najdziwaczniejsze poglądy historyzoficzne i teozoficzne.

Pod względem ideowym jest to więc utwór o ile oryginalny i śmiały, o tyle dziwaczny i bałamutny. W ustępach jednak, w któ-

<sup>1</sup> Куліш Маруся Богуславка. Львів 1901.

rych poeta bierze przewagę nad historykiem i reformatorem, utwór podnosi się na wyżyny wielkiej poezji. Zwłaszcza język jest niezrównanej piękności. Giętki i posłuszny myśli, wylewa się kaskadami słów dźwięcznych jak spisz i układa się swobodnie w najtrudniejsze rytmy i w najśpiwniejsze rymy. Nigdzie najmniejszych śladów przeszkód i wysiłków, nigdzie najmniejszych ustępstw, czynionych gwołu rytmu lub rymu.

Jest to język i wogóle wiersz wielkich poetów romantycznego okresu, to też utwór cały pomimo wad swoich owym szerokim rozpędem ducha i owym orlim polotem myśli należy do pereł ukraińskiej muzy i znacznie odbija od dzisiejszej ślicznej, cyzelowanej, ale drobnej poezji.

Dramat od lat kilkunastu rozwija się przedewszystkiem za kordonem.

Teatr jest tam jedynym miejscem, z którego publicznie brzmi słowo ukraińskie. Kilkadziesiąt trup objeżdża większe miasta, a wystawy ukraińskie należą do najbardziej lubianych. W miarę rozwoju teatru rozwija się i dramat; głównie w kierunku realistycznym. Trzej najwybitniejsi pisarze dramatyczni, Karpenko Karyj, Kropiwnyckij i Staryckij są zarazem znakomitymi artystami dramatycznymi. Rok rocznie wzbogacają oni repertuar swoich teatrów nowymi utworami, które zwykle dopiero, kiedy przestaną być nowością sceniczną, pojawiają się w druku. Wtenczas też dostają się zwykle na deski jedynego teatru ukraińskiego w Galicyi. Z tych powodów o najnowszych utworach dramatycznych za kordonem, np. o „Chiaziaiwie“ Karpenki, lub o „Burlacze“ tegoż, mówić nie mogę.

Teatr ukraiński w Galicyi, chociaż jest jedynym, prowadzi ciągłą walkę z brakiem funduszków, a nie mając swego własnego przybytku, w którymby chociaż kilka miesięcy do roku mógł stale pozostać i nad nowym repertuarem popracować, nie rozwija się należycie.

W roku ubiegłym ogłoszony był konkurs Wydziału Krajowego na sztuki dramatyczne w języku rusko-ukraińskim i zebrał całą produkcję dramatyczną. Rezultatu dotychczas nie ogłoszono.

Na zakończenie wspomnieć mi należy o tłumaczeniach. Dział ten przedstawia się bardzo dodatnio. I tak: Franko przetłumaczył wybór utworów „Honoliczka“ Borowskiego, Tymczenko „Kalewałę“ (w całości), Szczurat ody Horacego, a Spółka Wydawnicza opublikowała kilka tomów dramatów szekspirowskich w wybornym przekładzie Kulisza. Prócz tego przetłumaczono Tolstoja „Odrodzenie“, Orkana

„Skapany świat“ i wiele mniejszych utworów z poezyi i prozy. Z ukraińskiego tłumaczono na polskie, czeskie, rosyjskie, serbskie, francuskie, niemieckie i angielskie utwory Franki, Stefanyka, Konyńskiego, Kobylańskiej, Feđkowicza, Kobryńskiej i innych.

Tak więc literatura ukraińska przekracza z wolna progi domowe i z każdym rokiem staje się bardziej w świecie znaną, pomimo ciężkich warunków politycznych i ekonomicznych, pomimo ucisku, jakiego doznaje od cenzury rosyjskiej.

Ogólną jej cechą jest ludowość i ta świeżość, ten — powiedziałbym — urok młodości, który z wielu utworów przebija. Jak przystało na literaturę narodu odradzającego się, jest ona ściśle związana z życiem jego, z jego dolą i niedolą, z jego ideałami i dążnościami. Z duszy narodu bierze swój początek, z jego tęsknej i artystycznej natury swe piękno, i jest jak naród zdrowy i żywotny.

*Bohdan Łepki.*

## Z pism czasowych.

**Slovanský Přehled.** Sborník statí, dipisů a správ ze života slovan-ského. Majitel, vydavatel a redaktor *Adolf Černý*. Ročník III, se 34 vyobrazeními a 2 mapami. Nakladatel F. Simáček v Praze, 1901. (Str. VIII + 511).

Z końcem października 1898 roku, po uroczystościach Palackiego w Pradze i Adama Mickiewicza w Krakowie, na których potrzeba ułatwienia sobie wzajemnego zbliżenia się Słowian wogóle, a Czechów i Polaków w szczególności, jaskrawie się zaakcentowała — powstał w Pradze, pod redakcją zasłużonego na polu wzajemności polsko-czeskiej zastępcy niezapomnianego Edwarda Jelinka, Adolfa Czernego, miesięcznik literacki p. t. *Slovanský Přehled*.

Zadaniem tego wydawnictwa, jak głosił w swoim czasie prospekt, będzie omawianie tego wszystkiego, co tworzy współczesny żywot plemion słowiańskich, a więc śledzenie za rozwojem kulturalnym i dążnościami narodowymi, jak się one objawiają w literaturze, w nauce i polityce, w prądach życia społecznego, jak również i we wzajemnych stosunkach szczepów słowiańskich, nie pomijając rzeczy tak ujemnych, jak i dodatnich, światła i cienia. „Równa miłość ku wszystkim — głosił prospekt — ale i równa sprawiedliwość kierować będzie redakcją przy

rozkładaniu światła i cieni w imię hasła Palackiego: Swój do swego, a zawsze dla prawdy!

Właśnie mamy przed sobą już trzeci rocznik tego wydawnictwa, rozwijającego się świetnie pod względem formy i treści, dzięki niezmordowanej pracy i zabiegom redaktora Adolfa Czernego. Zaglądniemy wewnątrz tego rocznika (za rok r. 1901). aby się przekonać, o ile odpowiada on swą treścią, doborem artykułów zapowieranemu programowi.

Zacznijmy od przeglądu większych prac i przyczynków, poświęconych sprawom kulturalnym i społecznym różnych szczepów słowiańskich. Redaktor Adolf Czerny, znawca Łużyczan, ich dziejów, piśmiennictwa i języka, daje w ośmiu numerach doskonały przegląd poezji łużyckiej za ostatnie stulecie, t. j. od końca w. XVIII do schyłku XIX, Wratysław Czerny daje przegląd piśmiennictwa również za ostatnie stulecie w Czarnogórze, Iwan Franko przyczynek do czesko-rusińskich stosunków, Karol Kalal pisze o „postawieniu języka słowackiego na właściwym gruncie“ (artykuł nieco stroniczy), Stanisław Klima o stosunkach na granicy narodowościowej słowacko madjarskiej i o alkoholizmie na Słowacy, Lubor Niederle o dwu nowych książkach, dotyczących się Macedonii (Cleanthes'a Nicolaides'a i Bazylego Kanczowa), ilustrując tekst mapą, również o projektach reformy studyów slawistycznych w Rosyi, Stefan Radicz o największem niebezpieczeństwie dla nieruskich Słowian, o słowiańskiej politycznej tragedyi (uwagi po śmierci Swietoz. Mileticza i Milana Obrenowicza), o emigracyi z bośniackiej krainy, o książce Andrzeja Chéradame'a *L'Europe et question d'Autriche au seuil du XX-e siècle* (1901); Władysław Szak o powstaniu bułgarskiem w r. 1876 (obszerny artykuł w trzech zeszytach), prof. Maryan Żdziechowski o Włodzimierzu Sołowiewie i Słowianofilstwie (w dwu zeszytach); P. Papacek zamieszcza referat o pamiątkach po Słowianach w Bawaryi. Oprócz tego znajdujemy tu jeszcze artykuły o pierwszej wystawie sztuki w Lublanie (F. Gówekara), o drugiej wystawie sztuki rusińskiej (Cz.), o teatrze małopruskim i szereg obszerniejszych życiorysów, jak np. wojewody Marka Miljanowa pióra W. Czernego, Franciszka Preszerna (1800—1849), owego Mickiewicza słowieńskiego, skreślony przez Jana Hudeca na tle obrazu współczesnej mu epoki (rzecz obszerna w sześciu zeszytach), na koniec życiorys biskupa lawatyńskiego Antoniego M. Słomszeka pióra Fr. Hleszyca.

Oprócz tych większych rozpraw i artykułów każdy zeszyt przynosi dokładny przegląd spraw politycznych, społecznych i kulturalnych



u poszczególnych szczepów słowiańskich za przeciąg jednego miesiąca (*Rozhledy a správy*) i szereg korespondencyi ze wszystkich główniejszych ognisk życia słowiańskiego.

Nietylko jednak referaty, artykuły i korespondencye wypełniają treść *Przeglądu Słowiańskiego*. Znajdujemy w nim również sporo pięknych przekładów utworów poetyckich wielu wybitnych poetów słowiańskich wraz z dodaniem krótkich życiorysów. Mamy więc w trzecim roczniku poezye, tłumaczone z górno-łużyckiego: Jakuba Buka, Jana Ciesli, Andrzeja Duczmana, K. A. Fiedlerza, Herty Wiaczazeca, Jana Wjeli (Radysierba), Wjelemiera (Michała Bjedrieha) i Andrzeja Zejlera, dalej z małopruskiego: Iwana Franki, z rosyjskiego: Mirry A. Lochwickiej, S. I. Nadsona, Włodzimierza Sołowiewa, Aleksego K. Tołstoja, z chorwackiego: Józefa Milakowicza, ze słowieńskiego: Franciszka Preszerna, z bułgarskiego: Petki i Penczy Sławejkowych i Iwana Wazowa. Tłumaczenia te dokonane są wzorowo przez lepszych poetów czeskich, jak np. Adolfa Czernego (z łużyckiego i chorwackiego), R. Jeseńskiej (z małopruskiego), P. Maternowej (z rosyjskiego), J. Boreckiego (ze słowieńskiego), I. Hudeca (też ze słowieńskiego), V. Szaka (z bułgarskiego) i Fr. Taborskiego (z rosyjskiego).

Każdy zeszyt przynosi też szereg recenzji wielu dzieł, pisanych w różnych językach, a dotyczących się różnych stron życia obecnego i przeszłości Słowian.

W osobną rubrykę wydzielamy artykuły, rozprawy i korespondencye, dotyczące się nas bliżej. Znajdujemy więc w trzecim roczniku następujące większe artykuły z tego zakresu: O najmłodszym malarstwie polskim (młodzi Polacy z Petersburskiej Akademii) Stanisława Rom. Lewandowskiego, o czasopiśmiennictwie w Galicyi Władysława Sęka, o dramacie I. A. Kisielewskiego „Karykatury“ Oktawiana Wagnera (obszerny), o Kurpiach G. A. Worobjewa, o nowym teatrze polskim we Lwowie i na koniec obszerny życiorys Bronisława Grabowskiego pióra Adolfa Czernego. Z tłumaczeń poezyi polskich, poprzedzonych życiorysami autorów i ich fotografiami, znajdujemy: poezye Bronisława Grabowskiego, zapomnianego I. S. Chamca i Kazimierza Tetmajera — wszystkie w przekładzie Fr. Kwapila.

Dokładne przeglądy miesięczne zaznają naszą szczególną uwagę pobratymców z życiem społecznym, politycznym i kulturalnym Polaków. Liczne korespondencye z Krakowa (4), Poznania (7) i Warszawy (1) — dopełniają obrazu naszych stosunków.

W dziale recenzji omówiono następujące polskie książki: „No-

welle“ Janiny Baudouin de Courtenay, „Dzieje słowiańszczyzny północno-zachodniej“ t. IV Wilh. Bogusławskiego, „Polska poezya średnio-wieczna“ St. Dobrzyckiego, „O zbadaniu granic i liczby ludności polskiej na kresach obszaru etnograficznego polskiego“ A. Parczewskiego, „Legenda“ Sewera, „Pisma“ Sienkiewicza, „Otcłah“ K. Tetmajera, „Bronisław Grabowski“ Henr. Ułaszyna.

Tekst całego rocznika zdobią liczne ilustracye, fotografie i *facsimile*. Oprócz tego znajdujemy mapę poglądową świata słowiańskiego i mapę etnograficzną Macedonii. Okładki zeszytów ozdobione są znanym rysunkiem Grottgera „Słowiańszczyzna“.

Z powyższego przeglądu treści trzeciego rocznika *Przeglądu Słowiańskiego* widzimy, że jest ona nader bogatą i ciekawą, zaznajamia bowiem rzeczywiście z ruchem umysłowym, artystycznym i społecznym całego świata słowiańskiego. Artykuły, które wymieniliśmy, opracowane są sumiennie, treściwie i źródłowo; nie są to kompilacye z jakichkolwiek, chociażby poważnych czasopism lub wydawnictw, lecz — prace oryginalne, nadsyłane do redakcyi przez autorów, znanych na polu naukowem, w różnych językach słowiańskich i dopiero przez samego redaktora, znawcę słowiańszczyzny, tłumaczone starannie na język czeski. Z każdego artykułu widać, iż redaktor nie szczędzi ani trudów ani kosztów, aby wydawnictwo to stało na wysokości swego zadania i odpowiadało wszelkim wymaganiom nowoczesnego piśmiennictwa peryodycznego tak pod względem wewnętrznym jak i zewnętrznym. Wobec tego nie można nie czuć szczerzej wdzięczności i szacunku dla redaktora *Przeglądu Słowiańskiego*, Adolfa Czernego. Wyrazem najpiękniejszej i najpożądanej dla obu stron wdzięczności będzie, gdy się otrząśniemy z apatyi umysłowej i w naszym społeczeństwie obudzimy ruch w kierunku żywszej wymiany myśli i łączności z poszczególnymi plemionami słowiańskimi. Głównym pionierem tego ruchu niech będzie *Słowiański Przegląd*. Niech on będzie wspólnym organem; niech to dzieło zbliżenia, rozpoczęte tak pięknie i tak dzielnie popierane przez Czechów, znajdzie i u nas jak największe poparcie i niech swem hasłem: „swoj do swego, a zawsze dla prawdy“ — ożywi nasze społeczeństwo i wzajemne stosunki bratnich plemion.

Nie wątpimy już dziś, że *Przegląd Słowiański* cel swój osiągnie. Kilkanaście lat temu wstecz możebyśmy się zawahali stanowczo powiedzieć, czy u nas ruch podobny potrafi się zwiększyć i pogłębić. Oto co pisał w r. 1884 dobrze obznajomiony z literaturą i wzajemnymi stosunkami Polaków i Czechów P. Byczkowski: „Co się tyczy Cze-

chów, nie możemy im zrobić żadnego zarzutu obojętności względem nas. Niema prawie tygodnia, aby w Czechach nie ukazało się jakie dzieło, czyto traktujące o Polakach, czy też będące przekładem z polskiego. Dość rzec, że istnieje już w Czechach około 2000 przekładów (w r. 1884) z polskiego i kilkudziesięciu literatów pracuje na tem polu. Co się zaś nas tyczy, to w Królestwie dwaj tylko literaci pracują dla utrzymania wzajemności czesko-polskiej: pan Grabowski Bronisław... i Miriam, tłumacz Jarosława Vrchlickiego...”

Obecnie jednak i my postąpiliśmy w tym kierunku i możemy żywić niepłonną nadzieję, że rozpoczęta i przez nas chociaż w tak skromnych stosunkowo rozmiarach praca rozrastać się będzie i postępować. Oby tylko wytrwałości nie brakło, a sądzimy, że owoce tej tak wdzięcznej pracy nie dozwolą czekać na siebie zbyt długo.

*Henr. Ułaszyn.*

## ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

**Lehrbuch der Philosophie. Alf. Lehmen**  
S. J. Zweiter Band.

Z końcem zeszłego roku ukazał się drugi tom Filozofii ks. Lehmen'a, obejmujący kosmologię, psychologię i teologię naturalną. Nie możemy dość gorąco polecić tego dzieła tak zakładom naukowym jak myślącym ludziom wogóle, którzy pragną zapoznać się z blizka z filozofią scholastyczną. Niesłychana prawdziwie jasność i przejrzystość w układzie, przystępne wyłożenie najzawilszych nawet kwestyi, język prosty i zrozumiały, a przytem ścisłość w wyrażeniu — oto główne zalety książki ks. Lehmen'a. Treść oczywiście nie może być nowa. Znać na ks. Lehmen'ie wyraźny wpływ, zwłaszcza *philosophiae Lacensis*, jakoteż podręczników szkolnych ks. Tricka, Hahna, Boedera. Samodzielne jednak, a bar-

dzo trafne jest w teologii naturalnej zestawienie i zbicie różnych błędów panteistycznych (str. 668—697), w psychologii cała rozprawa o początku życia na ziemi (str. 256—286). Jedyny zarzut, jaki ks. Lehmen'owi możnaby uczynić, jest ten, że nie rozróżnia rozmaitych stopni pewności tak pojedynczych argumentów (por. str. 622 dowody na nieskończoność Bożą) jak całych tez (por. str. 149 teoryę scholastyczną o naturze ciał). Wogóle jednak filozofia ks. Lehmen'a, uzupełniona etyką, która niebawem ma się ukazać, będzie dla filozofii scholastycznej nabytkiem nader cennym, gdyż każdemu człowiekowi dobrej woli, przy niewielkim nakładzie czasu i pieniędzy, da sposobność zapoznania się z tym systemem tak pięknym i jednolitym i prawdziwym, a tak niesłusznie okrzyczanym. I. R.

*Institutiones metaphysicae specialis*, quas tradebat in collegio maximo Lovaniensi P. Stanislaus de Backer S. I. Tomus secundus. Psychologia. Pars prior: de vita organica. Paris. Delhomme et Briguet. (Str. 266).

Jednym więcej dowodem, że okrzyczana scholastyka nie krępuje bynajmniej postępu naukowego, jest niniejsza książka O. de Backer. W najzupełniejszej zgodzie i harmonii widzimy tu zszeregowane zarówno niespożyte *principia* spekulatywne Doktora Anielskiego, jako też najnowsze wyniki badań empirycznych tak dalece, że poczesna ilość ilustracji i wzorów graficznych, wplecionych pomiędzy abstrakcyjne dowody i *corrolaria*, nadaje dziełu na pierwszy rzut oka pozór fizyologicznego studyum raczej, niż podręcznika filozofii.

G. F.

*Etudes comparées sur la philosophie de Saint Thomas d'Aquin et sur celle de Duns Scot*, par I. M. A. Vacant, maître en théologie, professeur au grand séminaire de Nancy. Tome I. Paris. Delhomme et Briguet. (Str. 207).

Studia porównawcze wielkiego znaczenia zarówno dla samych prawd filozoficznych jak dla historii filozofii — niestety śmierć autora przezwala w samych nieledwie początkach. Wszakże i to, co zawiera tom pierwszy niniejszej pracy, niemało rzuca światła zarówno na ogólny stosunek obu niezrównanych przeciwników, jak na kwestyę ludzkiego poznania, którą każdy z tych dwóch wielkich koryfeuszów nauki inaczej pojmował i tłumaczył. Mijmy nadzieję, że w niedalekiej przyszłości zdolne jakie pióro dokończy pracy nieodżałowanego ks. Vacant.

G. F.

*Apologetik als speculative Grundlegung der Theologie*. Von Dr. Al. v. Schmid. Freib. im Br. Herder. 1900. (Str. VIII, 354).

Nowa apologetyka d-ra Schmid'a jest tylko obszarniejszym wykładem t. zw. teologii fundamentalnej. Objawienie Boże, jego możliwość, potrzeba i kryteria wewnętrzne i zewnętrzne, a więc przedewszystkiem nauka o cudach i prorocत्वach — oto znany dobrze i niejednokrotnie już obrabiany w naszych czasach przedmiot tej pracy, która chyba tylko o tyle na wyszczególnienie zasługuje, o ile zawiera prawdziwie niewyczerpany materiał historyczny i o ile autor ze szczególniejszym naciskiem stara się wykazać potrzebę wyzwolenia apologetyki z zależności od dogmatyki.

G. F.

*Die Lehre von der Gemeinschaft der Heiligen im christlichen Altertum*. Eine dogmengeschichtliche Studie von J. P. Kirsch. Mainz, Kirchheim. 1900. (Str. VI, 230).

Naukę o Obcowaniu Świętych w starożytności chrześcijańskiej niedawno przedstawił nam Atzberger w dziele p. t. *Geschichte der christlichen Eschatologie innerhalb der vorincänischen Zeit* (1896). Kirsch w pracy swej wziął za przedmiot tę samą naukę w następnych dwóch wiekach. Jest to rozprawa monograficzna, w której z wielką pilnością odpowiednio cytaty Ojców Kościoła zebrał i wyjaśnia, dodając źródła pomocnicze. W końcu mówi o przyjęciu słowa *communio Sanctorum* w skład Apostolski i wykazuje, że dodatek ten pochodzi z Kościoła galijskiego, w którym po raz pierwszy pojawia się u Faustusa de Riez w środku V-go wieku i dalej, że są rezultatem

rozwoju nauki o Obcowaniu Świętych, nie zaś definicyą przeciw heretykom. Według terminologii ówczesnej literatury galijskiej znaczy *Communio Sanctorum* to wewnętrzne połączenie religijne wszystkich wiernych, jako członków mistycznego Ciała Chrystusowego z innymi tego Ciała członkami, zwłaszcza z wybrańcami Bożymi, którzy mają już absolutną pewność posiadania Królestwa niebieskiego i przez wstawienie się swoje pomódz mogą wiernym, jeszcze na ziemi pielgrzymującym. — Prasa naukowa w Niemczech przyjęła to dzieło z wielkiem uznaniem.

P. K.

**Der Glaube an den Auferstandenen** gemeinfährlich begründet in fünf apologetischen Briefen an einen Freund v. P. Julius Müllerdorf S. J. Mit Approbation des hochw. bischöfl. Ordinariats Regensburg und Erlaubniss der Ordensobern. Regensburg. 1900. Verlagsanstalt vorm. G. I. Mainz, VI. (S. 152).

Zmartwychwstanie Pańskie jest największym ze wszystkich cudów Chrystusa Pana, podwaliną wiary naszej. Już św. Paweł śmiało na niem opierał swoją naukę, mówiąc: *Si Christus non resurrexit, inanis est praedicatio nostra, inanis est et fides vestra* (1 Conu 15, 14). Apologeta zatem ma je za najgłówniejszy dowód prawdziwości chrystyanizmu. Nic dziwnego więc, że krytyka nowoczesna rozmaite czyni usiłowania, by cud ten pozbawić fundamentu historycznego, podając wykłady czysto naturalne na kształt procesu psychologicznego, albo mając go poprostu za myt lub bajkę. Im więcej się takie wykłady z gruntu fałszywe rozszerzają wśród wiernych, tem potrzebniejszą jest rzecz, jasno i gruntownie podwalinę wiary naszej wy-

kazać i wiernych uczyć o prawdziwości i znaczeniu tego cudu.

Autor w niniejszem dziełku czyni to w sposób jasny, gruntowny, przekonujący. We wstępie porusza najważniejsze kwestye o wierze, objawieniu, inspiracy; potem przechodzi do właściwego przedmiotu swego i podaje w ścisłym, metodycznym następstwie: Dowód zmartwychwstania Pańskiego z faktu opowiadania jego — dalej prawdopodobność Ewangelistów i wierność ich w podaniach swoich o tym cudzie, nareszcie świadectwo św. Pawła. Oczytany w licznych pismach krytycznych, stara się autor przedewszystkiem olśniewające frazesy Renana analizować, by brak treści i prawdy w nich wykazać i przeciwstawia im silne świadectwa Ojców świętych.

P. K.

**Die ausserordentlichen Heilswege** für die gefallene Menschheit. Von Dr. Fr. Schmid, Domkapitular und Prof. der Theologie. Mit Approbation des hochwürdigen f. b. Ordinariats Brixen. Brixen, Verlag der Buchhandlung des kath. politisch. Pressvereins, 1899. IV, str. 299.

Że Bóg chce wszystkich zbawić, to prawda dogmatyczna. Lecz w rzeczywistości większa liczba ludzi idzie na wieczne zatracenie. Ot, dwie prawdy na pozór tylko sobie przeciwne, gdyż sprzeczności prawdziwej między niemi być nie może. Przeto apologetyka z dawna już usiłowała tajemnicę tę wyjaśnić. Za czasów Ojców Kościoła św. chodziło o to pytanie, dlaczego Chrystus Pan tak późno przyszedł na ten świat, iż wskutek tego miliony ludzi, przed przyjściem jego żyjących, poszły na wieczne potępienie. Później zaś, kiedy Ewangelia św. dotarła już do krańców świata, kwestyę tę stosow-

wano do świata pogańskiego. Zawsze w tych rozumowaniach ludzie byli skłonni do uznawania dróg, środków nadzwyczajnych, nadprzyrodzonych, za pomocą których Bóg ludzkość całą niechrześcijańską do zbawienia wiecznego prowadzić może, chociaż w określeniu bliższem tychże okazała się wielka niepewność, gdy z jednej strony wiara w jeden tylko Kościół zbawiający i w jego środki łaski, a z drugiej nauka o wiecznym przeznaczeniu, wielkie przedstawiały trudności.

Wielką należy się wdzięczność autorowi tej rozprawy, że starał się tę tajemnicę, o ile po ludzku można, nam odsłonić. Że w tej kwestyi bardzo zawikłanej nadzwyczajnych dróg Bożych spotykamy rozmaite zapatrywania i opinie, nikogo nie dziwi. Autor je przedstawia, bada je starannie pod względem dowodów i znaczenia dogmatycznego i tym sposobem bardzo ułatwia czytelnikowi sąd o tej trudnej kwestyi. On sam trzyma *communem doctorum recentium sententiam*, t. j. że dla dorosłych koniecznym jest akt formalnej wiary (Hebr II, 6), lecz niekonieczną rzeczą, by ten akt wiary był w Tróję św. i człowieczeństwo Chrystusa Pana. Ślady, wyjaśniające ten akt wiary u wielu pogan i niechrześcijan, autor nie tylko widzi w objawieniu pierwotnem, we wpływie literatury ludu izraelskiego na filozofię grecką, w rozprószeniu Żydów wśród całego świata pogańskiego, lecz także uwagę naszą zwraca na drogą łaski nadprzyrodzonej, która, jako łaska usprawiedliwiająca, każdemu człowiekowi przynajmniej raz w życiu, przede wszystkim w godzinę śmierci jest dana. Dowody z pisma św. i Ojców św. z wielką starannością są zebrane i roztrząsane.

Ciepła zaś obrona tej hipotezy chwytła za serce, gdy wedle niej grono zbawionych obejmuje i miliony poza chrystyanizmem żyjących.

P. K.

**Patrologie.** Dr. Otto Bardenhewer. Zweite grossentheils neu bearbeitete Auflage.

Zmiany, zapowiadane w tem drugim wydaniu „Patrologii“ znakomitego profesora, istotnie są wielkie, a tem cenniejsze, że zamiast powiększyć, zmniejszyły jeszcze rozmiary całego dzieła. Przerobiony jest głównie dział przed-nicejski. Zamiast dawnego podziału na Ojców greckich i łacińskich, dzieli autor ten peryod na 3 grupy, mianowicie na najstarsze pomniki literatury kościelnej, na dzieła ojców apologetów i dzieła ojców, walczących z herezjami. To drugie wydanie niewątpliwie podobnego jak pierwsze doczeka się rozgłosu. Dowiadujemy się z przyjemnością, że ponadto zamierza Dr. Bardenhewer już w bieżącym roku wydać wielkie 6-cio tomowe dzieło patrologiczne, pod tytułem: *Geschichte der altkirchlichen Litteratur*.

J. R.

**Der Traditionsbegriff des Urchristentums bis Tertulian.** Von Dr. Martin Winkler. Monachium. Str. V, 132.

W niniejszej inauguracyjnej rozprawie zyskujemy nowy, nader cenny przyczynek do znanej kwestyi o pojęciu i powadze tradycji kościelnej. Dr. Winkler rozwija w niej wprowadzie tylko zapatrywania trzech pierwszych wieków chrześcijaństwa, a zatem: Didacha, Klemensa rzym., Ignacego ant., Hermasa, Barnaby, Polikarpa i Papiasza (cz. I); sławnych apologetów: Justyna, Tatiana, Teofila ant., Atenagorasa (cz. II); wreszcie

późniejszych pisarzy: Ireneusza, Hipolita, Klemensa alex., Oryginesa i Tertuliana (cz. III) — ale zato nie ogranicza się na proste cytowanie odnośnych wyjątków, lecz krok za krokiem stara się wniknąć w ducha poszczególnych dokumentów, a tak odtworzyć jak najdokładniejszy obraz ówczesnych pojęć, wierzeń i poglądów. Prócz tego uwzględnia należyście najnowsze wątpliwości i zarzuty protestantów, czynione katolickiej nauce o tradycji. Szkoda tylko, że wzorem nauczyciela swego, nieszczerliwiej pamięci Dra H. Szella, zbyt lekceważy sobie dotychczasowe elukubracje katolickich autorów, do innych szkół należących.

G. F.

**Poznaj sam siebie.** Szkice fizyologiczne. *Dr. Jan Stella-Sawicki.* Wydawnictwo popularne. Warszawa. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 1900.

**Czerstwa starość,** czyli Jak zachować zdrowie do późnego wieku. *Tenże.* Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1901.

**Pielegnowanie zdrowia.** *Seweryn Sterling.* Wydawnictwo popularne Warsz. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1896.

W zakres wydawnictwa popularnego księgarni Gebethnera i Wolffa, które puściło już w świat sporą liczbę tanich dziełek o rozmaitej treści, wciągnięto nie bez słuszności i pożytku także fizylogię i medycynę. Z fizylogii podał między innymi dr. J. Stella-Sawicki krótkie szkice, p. t. „Poznaj sam siebie”. Zadanie miało nietatwe. Należało bowiem wybrać z materiału rozległego rzeczy najważniejsze, ująć je w całość i przedstawić w sposób przystępny szerokim warstwom niewiele wykształconych czytelników. Jak się wywiązał autor z tego zadania? — W ośmiu rozdziałach opisał po kolei: trawie-

nie pokarmów, krążenie krwi, oddychanie, naczynia limfatyczne, przyrząd ruchu, odpoczynek i sen, przyrządy głosu i pięciu zmysłów, a całość zamknął obrazem koła życiowego. Te opisy starał się wprowadzić uczynić jasnymi, zrozumiałymi dla wszystkich, ale na przeszkodzie stanął styl. Brak bowiem autorowi tego sposobu przedstawiania rzeczy, który posługuje się obrazami, porównaniami, zaczerpniętymi z codziennego życia, brak mu jasności, prostoty, płynności wysłowienia. Dlatego niektóre opisy, np. procesu oddychania, są tak zawile i ciemne, że kto skądinąd tego procesu nie zna, jasnego pojęcia nie wyniesie z opisu autora. Dalej, podobnie jak w innych naukach, tak i w fizylogii zachodzą zjawiska bardzo dobrze znane i bliżkie nam, a których przecie wytłumaczyć nie umiemy. Co np. bardziej nam znane, jak łkanie, śmiech, głód? Wątpimy jednak, czy kto zgodzi się na to, że łkanie, śmiech, „to tylko wstrząśnienia przepony” (str. 47), a głód, to ściąganie się żołądka (str. 13.).

Przystępujemy wkońcu do najważniejszego zarzutu, który jednak głównie odnosi się do drugiego dziełka autora. W rozdziale V Szkiców fizjol. spotyka się tu i ówdzie myśli, które budzą pewne podejrzenia co do fizyologicznych zapatrzywań autora, ale jaszecze wytłumaczyć się dają. Tymczasem dziełko „Czerstwa starość” owe podejrzenia mocno uzasadnia.

Celem tego drugiego dziełka jest wskazać, jak żyć należy, aby zachować najwięcej sił żywotnych na ten „zachód życia”, przedstawić wszystkim zmiany, „jake zachodzą w ciele i w umysłowych zdolnościach człowieka z biegiem czasu”, pokazać

wreszcie, „jakie cierpienia są właściwe starości i jak się w nich zachować należy“. Założenie, jak widzimy, bardzo obszerne, przeprowadził je zaś autor na podstawie własnych i cudzych spostrzeżeń i studyum Revillé-Parise'a *Traité de la vieillesse*, z którego dużo korzystał. Wykonanie jednak owego założenia wypadło zaledwie miernie. Ograniczając się na kilkadziesiąt kartek małego formatu, należało przedstawić te wskazówki, zmiany i choroby, a nie wdawać się w filozofowania, które miały stosowne miejsce w *Traité de la vieillesse*, a tylko luźnie łączyć się z założeniem autora. Skutkiem tego wybiegania poza ramy kwestyi właściwej, przy rozwlekłym do tego stylu i częstem powtarzaniu się, przynajmniej o połowę urosła objętość książki.

Wspomnieliśmy wyżej o pewnych podejrzanych poglądach autora, które w tem dziełku jaśniej i obszerniej mają być wyłożone. Jakie one są?

Na str. 50. pisze autor o duszy ludzkiej: „Co to jest duch — niewiadomo, ale bezspornie ma on swoje siedzisko w mózgu, ... i prawdopodobnie jest prostym wynikiem niepojętej czynności tej masy mózgowej...“ otóż duch nasz na pewno ma siedzisko w całym ciele ludzkim, mózg jest tylko pierwszorzędnym jego organem, a z całą pewnością duch nie jest wynikiem czynności masy mózgowej, jeno substancją od ciała zupełnie różną i z ciałem połączoną w jedną naturę. W świetle owego określenia ducha zdania takie, jak: „mózg jest źródłem myśli i woli“ („Czerstwa starość“, str. 30 i podobne w „Poznaj siebie samego“ str. 73, 88, 90) ma u autora materialistyczne znaczenie. Na str. 7. znowu dowiadujemy się, że chociaż

od wieków badano, to przecież nie zdołano rozwiązać pytania, jaki jest cel życia. Oczywiście jest rzeczą, że nikt tego nie rozstrzygnie przy pomocy mikroskopu, — rozumowaniem dochodzimy do tego, że życie nasze nie jest gorzkim żartem, że ani głównym ani jedynym jego celem nie jest udzielać życia podobnym sobie, jak to autor sądzi (str. 67, 145), ale zasłużyć sobie na szczęście pozagrobowe. Również fałszywą jest rzeczą, żeby każdy człowiek, nawet „wierzący w nieśmiertelność duszy i życie pozagrobowe“, „ze wstrętem“ (str. 2.) myślał o końcu swego ziemskiego życia, — temu zaprzecza wiele faktów.

To jest główny zarzut, zrobiony przedewszystkiem dziełku „Czerstwa starość“. Podnieść go należało tem bardziej, że tego rodzaju książki, jak niska ceną przystępne są wszystkim, tak trzęsią bardzo ku sobie pociągają.

W porównaniu z dziełkami d-ra Stella-Sawickiego wiele zyskuje broszurka „Pielęgnowanie zdrowia“ dr. S. Sterlinga. Opracował ją autor według książeczki *Gesundheitsbüchlein*, wydanej przez Niemiecki Urząd Zdrowia Państwowego. Nie wdając się w żadne filozoficzne teorie, opisuje jasno i treściwie budowę i przeznaczenie części ciała ludzkiego, a następnie obszerniej potrzeby życiowe jednostki, stosunek człowieka do ogółu (miasto, komunikacja, wychowanie, zawód i zarobkowanie) i wreszcie niebezpieczne dla zdrowia wpływy zewnętrzne. Opisy wyjaśnia na rysunkach, umieszczonych w tekście, na końcu podaje w graficznym zestawieniu wartość pożywną pokarmów powszechnie używanych i spis dzieł o higienie. Ten jeden możnaby zrobić autorowi zarzut, że



przy znacznej jedrności słowa, broszurka jego nie będzie przystępną dla niższych warstw ludności, mimo zamiaru autora zastosowania jej dla wszystkich. W każdym razie wartość ma niemałą i tą wartością zjednała sobie pochwałę higieny ludowej na drugiej wystawie higienicznej w Warszawie.

B. M.

**Wiejskie kasy pożyczkowe systemu Raiffeisena.** *Dr. Wł. Krosiński.* Lwów, Księgarnia Polska. 1902. (Str. 24).

Autor omawia głównie niemieckie kasy pożyczkowe systemu Raiffeisena. Co do kas galicyjskich to ogranicza się na kilku zaledwie uwagach krytycznych, a co do samego rozwoju tych kas w Galicyi odsyła do sprawozdania Wydziału Krajowego z r. 1901. Przedewszystkiem zaznaczyć mi tu jednak wypada, że sprawozdanie Wydziału Kraj. z r. 1901 nie wyczerpuje bynajmniej źródeł historyi kas Raiffeisena w Galicyi, bo bardzo dużo jeszcze stosunkowo materiału zawiera sprawozdanie z r. 1899. Powtóre takie obszerniejsze uwzględnienie specjalnie kas galicyjskich byłoby tem bardziej pożądanem, ponieważ te kasy właśnie nie były u nas dotychczas przedmiotem traktowania naukowego ani jakiegokolwiek łącznego przedstawiania.

Szczegóły, które podaje autor o niemieckich kasach Raiffeisena, nie są nowe. O ile zaś można wnosić z tenoru pracy, autorowi chodziło nie tyle o wyczerpanie przedmiotu, jak raczej o zachęcenie warstw wykształconych do tworzenia tych kas i zarządzania nimi (str. 14). Ale tem bardziej należało się tu wystrzegać postulatów zbyt daleko idących. Tak trudno się zgodzić z autorem, gdy żąda, by w dalszym rozwoju kas pożyczkowych wiejskich powstawały

instytucye, ułatwiające zakupno znaczniejszych obszarów ziemi, wydzielanie jej z rąk żywołów tej ziemi i nam obcych a wrogich — obrabianie jej na wspólny rachunek członków. Takie gminy socjalistyczne powstawały niejednokrotnie, ale, jak to wykazał przed kilku laty Paweł Leroy-Beaulieu, na podstawie doświadczeń uczynionych w ostatnim czasie w Australii, nigdzie nie były one „znakomitą dźwignią podniesienia dobrobytu ekonomicznego zamieszkujących ją ludów“ (str. 11).

Nie jest koniecznem, jak sądzi autor, by kasy Raiffeisena ograniczały się na jedną gminę, wystarczy bowiem, jeśli wogóle okręg ich terytoryalny jest ograniczony.

Autor sądzi, że tylko tam należy zawiązywać kasy Rzaiffeisena, gdzie zachodzą specyalne ku temu przyczyny, jak niedostatek, spowodowany klęskami elementarnymi, konieczność podniesienia sposobu uprawy roli, ulepszenia gruntów, umożliwienia zamiany nieużytków na ziemię produkcyjną. A gdzież jedna z tych przyczyn nie zachodzi? Ograniczenie powinno by raczej iść w tym kierunku, że należy zakładać kasy tylko tam, gdzie się znajdzie odpowiedni materiał w ludziach ukwalifikowanych do objęcia zarządu kasy. Żeby system protekcyjny był tu wprost wykluczonym, jest to optymizm, cokolwiek za daleko idący, choć nie ulega wątpliwości, że system protekcyjny jest tu bardzo utrudniony.

Nie wiem, dlaczego autor nie sięga w datach, które podaje poza rok 1889. Wszak właśnie w ostatnim dziesięcioleciu rozwój tych kas odbywa się w tempie o wiele szybszem, więc i te nowsze daty przedstawiają bardzo wielki interes.

Z. G.

**Trente ans de critique.** *Gustave Frederix.*  
Avec une préface de M. Emile Deschanel. Paris. Hetzel et Comp.  
1901. 2 tomy.

Wydawanie w książkach zbiorów recenzji literackich i teatralnych stało się we Francyi i w Niemczech formalną plagą. Efemerydy bez wartości ukazują się razem zebrane, w myśli, że tym sposobem uratuje się je od zapomnienia. Recenzje Frederixa niczem nie zasługują na książkowe wydanie. Są to tak zwane „porządne“ roboty bez oryginalnych myśli i szerszych horyzontów. Dumas syn i Augier zabierają najwięcej miejsca, prócz tego przesuwają się Sardou, Feuillet, Paileron, Ohnet, słowem cała twórczość dramatyczna Francyi z ostatnich 30 lat. Z obcych autorów jest Szekspir („Juliusz Cezar“ i „Kupiec wenecki“), Schiller („Marya Stuart“) i Sofokles („Edyp“). Wogóle niema ani jednej recenzji, któraby się wznosiła ponad przeciętność.

A.

**Rybka.** *Alfred Szczepański.* Kraków. 1900.

Małutka ta broszurka, obejmująca zaledwie 23 str. druku, wysmiewa i wyszydza w najnielitościwszy sposób nowe prądy, panujące w dziedzinie sztuki. Autor objaśnia nas na wstępie, iż ma zamiar krytycznie rozebrać i estetycznie ocenić wierszyk, p. t. „Rybka“ (odznaczający się tem, że składa się z kilku zdań rymowanych, połączonych ze sobą bez najmniejszego sensu). Wyjaśniwszy to, przystępuje do rozbioru pierwszego zdania.

Dowcipnie i złośliwie naśladuje najnowsze prądy w krytyce, która pod ich wpływem widzi często to, czego niema, upatrując w każdym słowie jakąś ukrytą myśl. Autor

„Rybki“ idzie dalej, domysławiając się w wierszu: „Górą złotej wody, mokra (sic!) rybka mknie“ nie tylko symbolu życia ludzkiego, ale nawet „czerwonej nici jakiejś idei“. Potem, broniąc poety z powodu wyrażenia: „Dołem szczupak młody, piersi matki ssie“, udowadnia, że geniusz jest wyższy ponad historię naturalną i rozciąga przed nami obraz, jaki, według jego zdania, zamierzał utworzyć poeta, obraz zamknięty wspianymi symbolami w ciasnych ramach małego wierszyka. Kończy wreszcie uwagą, że społeczeństwo składa się z „filistrów na miarę krawca“, niedorosłych do tak wspaniałej poezyi, którym radzi, żeby zadowalniaли się Mickiewiczem i Krasińskim, a nie sięgali świętokradzką ręką po wytwory ducha arcymistrzów.

Prócz streszczonego tutaj pokrótce rozbioru, zawiera jeszcze ocenę obrazu Klimmta „Filozofia“, przy sposobności której autor wysnuwa całą teorię nowoczesnego malarstwa, zapewniając czytelnika, że sztuka dopiero wtedy stanie u szczytu, kiedy artyści nie tworzyć, ale przeczuwać będą swe dzieła.

W. R.

**Z upłynulých dob.** Moje vzpomínky. Vypravuje *Fr. Ad. Šubert.* V Praze. Tiskem a nákladem česke grafické společnosti „Unie“ v Praze. 1902.

Serya sylwetek i wspomnień z życia sympatycznego przyjaciela Polaków, byłego dyrektora czeskiego *divadla* w Pradze. Jedno z pierwszych miejsc zajmuje nadzwyczaj ciepły i serdeczny krótki szkic o naszej największej artystce dramatycznej, p. Helenie Modrzejewskiej, napisany pod wrażeniem wspomnień z pobytu i występów gościnnych w Pradze. Znawca wytrawny i wybredny twier-

dzi, iż w życiu nie spotkał większego kobiecego talentu scenicznego, któryby miał tyle wewnętrznej treści i tyle umiejętności działania zewnętrzными środkami artystycznymi. W entuzjastycznych słowach ocenia p. Szubert artyzm p. Modrzejewskiej, zachwycając się przedewszystkiem tą olbrzymią zdolnością ożywiania każdej postaci, nadania każdej właściwych rysów indywidualności, przemawiania się na wskrós duszą i charakterem każdej. Oprócz wybornej sylwetki p. Modrzejewskiej, znajdujemy w książce p. Szuberta ciekawe wspomnienia osobiste o Coquelinie starszym, o Verdim, o księżnej Paulinie Metternich, o Czajkowskim (kompozytorze „Eugeniusza Oniegina“, „Damy pikowej“ i w. i.), o Goldmarcku i t. d. Książka p. Szuberta, ozdobiona mnóstwem fotografii i autografów, jest bardzo ciekawa i zajmująca.

A.

**Czarodziejskie opowieści Andersena.**  
Spolszczyła *Marya Głotz*. Warszawa, 1900. Nakładem *Niwy Polskiej*.

Dzieła nieśmiertelnego duńskiego pisarza doczekały się przekładów na wszystkie prawie języki Europy. Najchętniej tłumaczono zawsze „Czarodziejskie opowieści“, słusznie twierdząc, że w nich właśnie olbrzymia siła twórcza, fantazja i plastyka Andersena, połączona z dziecięcą prawie naiwnością, najsilniej występuje, by czytelnika nie tylko zjednać, ale porwać i zachwycić swym urokiem. Na język polski przełożono również te cudowne bajki, tłumaczono je jednak w urywkach, nie podając ich nigdy publiczności w komplecie. Stąd prawdziwa wdzięczność należy się tak tłumaczce jak i redakcyi *Niwy Polskiej* za śliczny przekład, jakim pomnożyli naszą literaturę. Tłuma-

czenie bowiem jest czyste, poprawne i doskonale zgadza się z bardzo staranną, zewnętrzną stroną dzieła, ozdobioną licznymi ilustracyami.

W. R.

**Janusz Korczak. Dramat w 3 aktach.**  
*J. Żuszczewski*. Kraków. Nakładem D. E. Friedleina. 1901.

Nie wiadomo, czy to ma się czytać od pierwszej strony do ostatniej, czy od ostatniej do pierwszej. I tak i owak wrażenie to samo. Chaos zupełny, brak zupełny jakiejkolwiek treści i myśli. Podobnego dziwoląga literatura polska nie wydała dotąd nigdy. Mniejsza o to, że np. w scenie drugiej tego „dramatu“ dekoracja przedstawiać ma „wnętrze duszy, pełne tajemniczych schodów i zagłębień“. Ale największy wysiłek nie doprowadzi do odnalezienia jakiegokolwiek sensu w tych fragmentach bez związku, w tych spotkanach Mefista z Anhellim, Anhellego z Epi-psychodronem (bo rozumieć trzeba, że te *rendez vous* odbywają się zapewne w owem „wnętrzu duszy“ przy akompaniamencie „fagotu organów“, który autorowi okropnie się podoba i t. d., i t. d.). Co robi i co myśli bohater p. Janusz Korczak? Nie wiadomo i wogóle nie wiedzieć co to wszystko znaczy. A może to ma być mistyfikacja, żart, polegający na doprowadzeniu *ad absurdum* rozmaitych grafomańskich konceptów?

A.

**Les grandes dames pendant la revolution et sous l'empire par le comte Fleury.**  
Paris. Henry Vivien, 1901.

Pięć szkiców, z których pierwszy: *Les dames de France pendant l'emigration* opisuje wyjazd ciotek Ludwika XVI z Francyi, ich wędrówkę *ad limina apostolorum*, pobyt w Rzymie,

przyjęcie tamże ze strony Piusa VI, wyjazd z Rzymu, kłopoty i przejścia wśród najrozmaitszych przygód, zanim dostały się do Tryestu, gdzie jedna ze starszek *Madame Victoire* umarła. W drugim szkicu *Les vierges de Verdun* jest opowieść o procesie, wytoczonym przez osławionego Fouquier-Pinville'a kilkunastu mieszkańcom Verdun zato, że armię koalicyi, ciągnącą przeciw wojskom republiki powitali jak zbawców od strasznych nieszczęść Rewolucyi. Proces zakończył się straceniem 35 osób, w ich rzędzie pięciu dziewcząt w wieku około lat 20. Następuje życiorys pani Custine, znanej z swych późniejszych stosunków z Chateaubriandem; autor najobszerniej opisuje przygody pani Custine podczas terroru, jej usiłowania, by wyratować od śmierci swego teścia i męża, których proces opisany jest szczegółowo; dalsze życie p. Custine po Rewolucyi opisane jest bardzo pobieżnie. *Les effets du divorce sous le directoire*, to szkic, robiący większe wrażenie tytułem, niż treścią. Autor jest stanowczym przeciwnikiem rozwodu. Streszcza usiłowania encyklopedystów XVIII w., a następnie i prawodawców Rewolucyi francuskiej, celem wprowadzenia ustawy o rozwodach. O stanowisku Kościoła w tych czasach wyraża się lekkomyślnie, że było ono przychylne rozwodom i na dowód cytuje stanowisko Kościoła wobec rozwodów w Polsce, a przy tej sposobności zapomina — a może i nie wie o tem, — że ów fatalny stan umysłów w Polsce u schyłku XVIII wieku był rezultatem wpływów fran-

cuskich. Przedstawienie skutków uchwalenia ustępów kodeksu francuskiego o rozwodach jest zbyt pobieżne, tak samo jak i przedstawienie dalszych losów propagandy rozwodowej aż po Naqueta, którego „prawo“ nazywa słusznie *le formidable coup de pied apporté à l'organisation de la famille*. W dalszym ciągu p. Fleury zestawia katalog kobiet-amazonek, które walczyły w szeregach armii republikańskiej, oraz tych, które za czasów wojen napoleońskich dzieliły trudy obozowe swych mężów. Ostatni szkic to opis ucieczki z więzienia hr. de Lavallette, którego restauracya burbońska skazała na śmierć, jako zbrodniarza stanu, ucieczki dokonanej li tylko dzięki poświęceniu jego żony. Ten ostatni szkic jest ze wszystkich najciekawszy. A.

**Zabytki polskie w Rzymie.** Opracował ks. Konstanty Nowak. Poznań. Nakładem *Przewodnika katolickiego*. Czcionkami drukarni i księgarni św. Wojciecha. 1900. (Str. 42).

Pocziwą chęcią przysługi dla pielgrzymujących wiedziony, zebrał autor z dzieł, podanych na wstępie, a trudniejszych i do nabycia i do wozenia, wiadomości o licznych pamiątkach polskich w Rzymie. Uzupełnił to swojemi własnymi poszukiwaniami, i dał zajmującą, a pod żadnym względem nie obciążającą kieszeni, książeczkę, która i dobrym przewodnikiem dla jadących i miłym przypomnieniem dla powracających być może.

K.

# SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

## Sprawy Kościoła.

STOSUNKI POLSKIE  
W STANACH  
ZJEDNOCZONYCH.

W latach ubiegłych *Przegląd Powszechny* poczytywał sobie za obowiązek podawać wybitniejsze szczegóły z rozwoju katolickiej sprawy między Polakami w Stanach Zjednoczonych, zao od nich dostawał nieraz wdzięczne listy albo uprzejme wskazówki co do sądu o wypadkach, nie- dość zrozumiałych w Europie. Ale czasem doznawał niemiłej niespodzianki: czerpał swoje opisy ze źródeł amerykańskich, ze świadectwa o stosunkach tamtejszych, dostarczanego przez miejscowych misjonarzy i uzupełnianego przez zgodne głosy tamtejszych dzienników polskich. Europejczykami jednak byli zwykle ci sprawozdawcy, którzy ostatecznie przygotowywali do druku ustne albo pisemne źródła amerykańskie i umieszczali pod swoją pracą własny podpis. Można te podpisy Europejczyków pod przeglądem spraw amerykańskich zastanowiły niektórych czytelników i sprawiły, że powstała między nimi obawa, czy znajdują sprawę przedstawioną w świetle prawdziwym, a parę razy wywołały nawet zarzut, że z góry można uważać te opisy za niewłaściwe, bo sprawozdawca nie mógł znać stosunków amerykańskich.

Otóż wypadki, opisywane w *Przeglądzie*, znalazły obecnie

uprzejmego sprawozdawcę w osobie pisarza, zawodowo obznajomionego z Polonią amerykańską i jej życiem kościelnem. Z tego powodu wypada tu przytoczyć otrzymaną od niego korespondencyę, z wyjątkiem paru drobnych ustępów.

Chicago, Ill. 19 listopada 1901.

Szanowna Redakcyo!

W listopadowym zeszycie *Przeglądu* znajdujemy korespondencyę jakiegoś pana M. M. z Buffalo. Szarowny korespondent buffalowski nie zna widocznie naszych stosunków, a jeszcze mniej obeznany jest z obecnym ruchem tutejszej Polonii. Ponieważ *Przegląd* po wszystkich częściach Polski się rozchodzi, a artykuł z Buffalo w zupełnie fałszywem świetle całą sprawę ruchu przedstawia, mogliby czytelnicy powziąć o nas przekonanie, że my Polacy, zamieszkali tu w Ameryce, nie jesteśmy zdolni do żadnej produktywnej pracy i tylko klócić się umiemy. Tymczasem ma się rzecz zupełnie inaczej. Był czas, że podzieleni na obozy, toczyliśmy tu zaciętą ze sobą walkę — papierową — i to walkę o poglądy na bieżące sprawy partyjne. Z tej walki powstało kilka większych organizacyi, jak „Związek N. P.“, „Zjednoczenie“, „Unia“ jedna i druga, kilka „Stowarzyszeń Polaków“ i t. p. Pod względem liczebnym i materialnym oraz i strony moralnej „Związek N. P.“ jest w liczbę członków najsilniejszy; jego urzędowym organem jest tygodnik *Zgoda*, po nim największą organizacją jest „Zjednoczenie Pol. Rz. Kat.“, liczące blisko 13 tys. członków i 60 tys. dolarów majątku; jego organem była od 27 lat *Wiara i Ojczyzna*, przed sześciu laty zamieniona na tygodnik *Naród Polski*. Po „Zjednoczeniu“ zaś następuje „Unia Polska“, której organem jest *Słońce* z siedzibą zarządu w Buffalo. Silniejszym od „Unii Polskiej“ jest „Stowarzyszenie Polaków“ z siedzibą zarządu w Milwaukee, bez urzędowego organu. Inne „Unie“ i „Stowarzyszenia“ nie odgrywają tu żadnej roli politycznej i rychlej czy później z braku poparcia zmuszone będą się rozwiązać. Tak przedstawia się w głównych zarysach podział naszej emigracyi na partye i obozy. Mówię partye i obozy, bo każda organizacja broni swych zasad

i własne też ma poglądy tak na sprawy bieżące krajowe jak i na sprawy polskie. Obóz liberalny wyklucza z łona swego religię i propaguje tylko sprawę narodową. Do niego należą Polacy, Litwini, polscy Żydzi, a nawet i Niemcy, jeżeli za Polaków się podają. Wyznaniowość nie wchodzi u nich w rachubę. Wszystko jedno, czy członek Związku wierzy w co lub nie, czy on katolik, kalwin, mason, Żyd, niezależny warchoł, wreszcie socyalista lub anarchista, byle się tylko przyznawał do narodowości polskiej — może być aktualnym członkiem Związku. „Zjednoczenie“ nosi zaś cechy narodowo-religijne i przyjmuje do grona swego tylko Polaków i praktycznych katolików czyli takich, którym obok wiary ojców najdroższą jest ojczyzna. Każdy zjednoczony zniewolony jest ustawami organizacyi spełniać praktyki religijne. Musi być rzymsko-katolikiem, Polakiem; musi być parafianinem i uczęszczać do Sakramentów św. i posyłać dzieci aż do pierwszej Komunii św. do szkoły polskiej — parafialnej. Hasłem partyi liberalnej jest — przez Rapperswyll do Polski, hasłem obozu konserwatywnego — przez Rzym do Polski czyli Bóg i Ojczyzna.

Ta różnica poglądów wytworzyła w dwumilionowej rzeszy Polaków w Ameryce pewien „separatyzm“ i rodzaj zawodnictwa w przyciąganiu do siebie zwolenników. Aż do niedawna odbywał się ten rodzaj zjednywania sobie stronników z taką zaciętością, że walka — nb. na papierze — przechodziła już granice wszelkiej przyzwoitości. Zabiegi rozsądnych jednostek w celu złagodzenia tej gorszącej walki najmniejszego nie odnosiły skutku. Zwaśnione obozy już nie o zasady, nie o partyjne poglądy walkę ze sobą toczyły, ale o to, który komu więcej zrobi „na przekór“. Trwało to tak długo, aż się spostrzeżono, że ta bratobójcza walka rozбивa strony walczące w równej mierze, a daje wrogom naszym najlepszą sposobność do ciągnięcia z tej walki korzyści. Burza poczęła się wtedy uciszać, kiedy do sterów organizacyi dostali się ludzie, pragnący spokoju i lepiej pojmujący sprawy narodowe. Spokój zapanował, kiedy niemieccy biskupi Eiss i Messmer wydali do księży w swych dyecezyach rozporządzenia, nakazujące kazania angielskie dla dzieci polskich.

Zamach na nasz najdroższy skarb przebudził nas. Zaczęto się nad tem zastanawiać, co z tego może na przyszłość wyniknąć. Ciągłe prześladowania Polaków pod Prusakiem i rozporządzenia tutejszych biskupów dały powód do polemiki gazeciarskiej. Prawie cała prasa uderzyła na alarm, że tutejsi biskupi chcą naszym dzieciom wydrzeć język. Jedyny tylko jeden dziennik, którego lepiej nie wymieniać, uporeczywie bronił owych rozporządzeń i zacięcie walczył przeciw tym gazetom, które nie szczędziły dygnitarzom kościelnym słów prawdy. Najostrzejsza walka toczyła się z tej przyczyny pomiędzy owym dziennikiem z jednej a *Gazetą Katolicką*, *Polakiem w Ameryce* i *Narodem Polskim*, *Kuryerem Polskim* (dziennik), *Dziennikiem Milwaukee* i *Wielkopolaninem* z drugiej strony. Rezultat tej walki dał *Polakowi w Ameryce* powód do proponowania zwołania polsko-katolickiego kongresu. Rzucona myśl znalazła w całej Polonii poparcie, tylko nie w rzeczonym dzienniku. Ten i temu był przeciwny i dzięki jedynie tej okoliczności, że pisemko to nie posiada wpływu na szersze masy, kongres przyszedł do skutku. Urzędowo udziału nie wziął w nim co prawda „Związek N. P.“, a to z tej przyczyny, że komitet zwołujący kongres wykluczył od udziału „niezależnych katolików“ apostaty Kozłowskiego, którzy należą do Związku N. P. Kongres się udał. Wzięło w nim udział przeszło 70 księży proboszczów i 160 świeckich reprezentantów z najodleglejszych zakątków Stanów Zjednoczonych. Obradowano na kongresie w Buffalo nad szkołami, większą łącznością z krajem ojczystym, nad nawiązaniem stosunków handlowych z Polakami w ojczyźnie i nad większem uwzględnieniem kleru polskiego w hierarchii Kościoła. Nad kwestyą ostatnią naradzali się WWbni Księża na sesyach osobnych i tyle tylko z tych ostatnich posiedzeń zakomunikowano wiecownikom, że w tej sprawie uda się osobny komitet do Rzymu.

Kto zna bliżej nasze stosunki, ten nie zaprzeczy temu, że my Polacy, reprezentując tak olbrzymią liczbę, nie mamy żadnego polskiego reprezentanta dla spraw kościelnych. Mają ich Ajrysze, Niemcy, Francuzi, ale nie mają ich Polacy. Nie znając naszego ducha ani języka, naszych zwyczajów i obyczajów, nie



mogą nas obcy biskupi zrozumieć. A zachodzą nieraz po parafiach takie sprawy, których załatwienie przez biskupa obcego, zamiast pomódz, szkodzi sprawom Kościoła.

Miejscami odbywają się z powodu przepełnienia na dwóch piętrach kościoła po trzy i cztery nabożeństwa równocześnie. Grają i śpiewają i w dolnym i w górnym kościele równocześnie. Istny jarmark zamiast nabożeństwa. Miejscami zabraniają ajryscy lub niemiecscy biskupi budować Polakom własnych kościołów, choć ci na takowe gotowi złożyć potrzebne fundusze. Niemilosierdzie napędza się Polaków do kościołów ajryskich, pakuje się dzieci polskie do ajryskich szkół i uprawia dzieło amerykanizowania. W wielu wypadkach oddali ajryscy biskupi za polskie pieniądze wybudowane kościoły Ajryszom i poprostu napędzili Polaków, nieraz w znacznej większości będących, z własnych kościołów. Wszelkie zażalenia ze strony gorąco do wiary przywiązanych Polaków, wysyłane do władz wyższych, żadnego nie odnoszą skutku. Nie dziw więc, że tu odpadłemu od wiary kapłanowi z łatwością przychodzi stworzyć Kościół „niezależny“.

Te oplakane stosunki wydały takich Kozłowskich, Hodurów, Kamińskich, Radziszewskich i t. p. warcholów niezależnych. Jeżeli więc prasa nasza w ostatnich czasach głośniejszemu domagała się więcej praw dla polskiego duchowieństwa, to jedynie w tym celu, aby głosy jej odbiły się o mury Watykanu i zniewoliły Propagandę do większego zainteresowania się katolikami Polakami i do uwzględnienia kleru polskiego przy obsadzaniu sufraganii w tych miastach i diecezjach, gdzie kilkadziesiąt tysięcy Polaków mieszka. Jest to nader małe i skromne życzenie Polonii amerykańskiej, a choć „Związek N. P.“ nie wziął urzędowo we wieceu udziału, dziś nie przeszkadza stronnictwu konserwatywnemu w tej zbożnej pracy, ale też nie pomaga czynnie. Jest atoli nadzieja, że przy dobrych chęciach i unikaniu tego wszystkiego, co „drażni“, da się w niedalekiej przyszłości pogodzić wszystkie stronnictwa i podjąć pracę wspólnymi siłami dla dobra Polonii amerykańskiej.

Szczere przywiązanie do wiary ludu naszego, który groszem ofiarnym wznosił przeszło trzysta kościołów i tyleż szkół i utrzy-

muje je, powinno zwrócić uwagę władzy kościelnej na nasze potrzeby i znaleźć uwzględnienie słusznych naszych życzeń. Stara się o to usilnie wybrany na kongresie „Wydział wykonawczy“, ale trudne nader jego starania, bo ruch ten poruszył nieco biskupów ajryskich, którym cała sprawa nie na rękę, więc będą zapewne wszelkie plany „Wydziału“ krzyżować.

Jeden szczegół w tej sprawie mocno nas zastanowił. Otóż wiec czyli kongres odbył się w Buffalo, w parafii ks. Pitassa. Biskup buffaloski, Przewiel. ks. Quigly nie tylko że nie wziął w kongresie udziału, ale odmówił nawet udzielenia błogosławieństwa uczestnikom. Był więc temu całemu ruchowi przeciwny. Niedługo po odbytych wiecu zajeżdża biskup Eiss, znany ze swych językowych rozporządzeń, do Buffalo i nie staje u swego konfratry biskupa, ale udaje się na plebania ks. Pitassa i tam zabawia dni kilka. Po wyjeździe jego odbywa się synod dyecezyalny (Buffalo) i na nim nominowano ks. Pitassa proboszczem „nienaruszalnym“ i kilku innych polskich księży konsultorami, rewizorami szkół i egzaminatorami przy seminarium duchownem. Wszystko to załatwił biskup Quigly w sposób taki, jakby mu się rozchodziło o pozyskanie kleru polskiego i pokazania Polakom, że czyni dla nich, co może, byle tylko dano spokój polskim biskupom.

My atoli na tem nie zamyślamy poprzestać. Będziemy pukali bez ustanku, choć wiemy, że nam tak prędko nie otworzą. Żle ku nam usposobione osobistości, a mające wpływ w kołach watykańskich, fałszywie albo wcale sprawy naszej nie przedstawiają, gdzie należy. Uchodzi to obecnie, ale nie da się tej sprawy dłużej zwlekać, bo na tem może ucierpieć najwięcej Kościół sam. Jeżeli dotąd blisko 50 tys. Polaków odpadło od Kościoła, a nie więcej, to tylko tej okoliczności należy zawdzięczać, że tak księża jak prasa katolicka stara się ten lud utrzymać w równowadze.

Rozbudzony duch narodowy w masach ludu naszego, germanizatorskie zapędy księży niemieckich w Prusiech, o których lud dobrze jest poinformowany, mogą w razie nieuwzględnienia

słusznych naszych życzeń, tam gdzie należy, sprowadzić i tu zamęt. Daj Boże, aby nas wysłuchano!

Staralem się sprawę postawić w prawdziwym świetle i ręczę za podane wyżej fakta. Dziwi nas mocno, dlaczego ów korespondent nie wspomniał słówkiem o „Narodzie Polskim“, który jest urzędowym organem „Zjednoczenia“, a jako taki sprawy obecnego ruchu w prawdziwym przedstawia świetle. Wysyłamy go też regularnie *Przeglądowi*.

W końcu zaznaczam, że „Zjednoczenie P. R. K.“ ruch ten popiera, bo widzi w nim cel szlachetny. Kler polski temu się nie sprzeciwia, lecz ze względu na swoje stanowisko nie bierze w nim czynnego udziału. Niechętnem okiem patrzą na to księża pewnej kategorii i nie tylko że do tej sprawy się nie mieszają, ale, gdzie mogą, szkodzą. Nie wiadomo, co ich do tej opozycyi skłania — może to, że im z Ajryszami lepiej; a bo my wiemy!?

Z listu z 29 stycznia b. r.

To, o czem teraz zrobię wzmiankę, nie odnosi się do *Przeglądu*, ale do całej prasy polskiej tak w Galicyi jak i Księstwie, i proszę słowa niniejsze przyjąć jako wyraz największej boleści, którą odczuwamy.

My, dobrowolni i przymusowi wygnańcy, w lot pochwytujemy każdą, choćby najdrobniejszą rzecz o braciach naszych w ojczyźnie, zapełniamy szpalty pism naszych o każdym ruchu życia narodowego, niesiemy pomoc nieszczęśliwym, jak to miało miejsce z Wrześnią, zbierając na nieszczęśliwe ofiary przeszło 20000 marek, a za to nasze współczucie, za to wyciąganie rąk do braci naszych, prasa w kraju ani nie raczy o nas wspomnieć, a przecież wie, że jest tu nas blisko 2 miliony. To nas boli, bo pisze o nas prasa angielska, niemiecka, francuska — a nasza nie, albo to, co nam zaszczytu nie przynosi. Prawda, że dawniej nie było o nas co pisać, lecz dziś, kiedy stosunki nasze się zmieniły na korzyść, możnaby nam z drugiej strony czasem przysłać kilka słów zachęty, a ludek nasz, który miliony dolarów składa na szkoły i kościoły, na szpitale i inne cele dobroczynne, ścieśniałby łączność duchową i nabrał więcej wiary w lepszą przyszłość ziemi ojczystej, z której go bieda, knut

lub żelazna pięść junkrów wygnała. Możeby w tej sprawie zechciała Szanowna Redakcyja coś dla nas uczynić. Materyjalnego poparcia nie potrzebujemy, ale moralnego.

O pracach Komitetu Wykonawczego Kongresowego napiszę wkrótce obszerniejszą korespondencyę.

Ign. Kowalski,  
redaktor „Narodu Polskiego“.

---

### Nowe wydawnictwa i ruch naukowy w dziedzinie historji kościelnej.

Odkąd Pap. Leon XIII kazał otworzyć archiwum watykańskie dla badaczy historii, wydając brewe *Saepe numero considerantes* 18 sierpnia 1883, rozpoczął się tak olbrzymi ruch naukowy na polu dziejopisarstwa, że obecnie nikt już nawet marzyć nie może o tem, żeby to wszystko przeczytać, co się drukuje. Bez przesady można zastosować łacińskie przysłowie: *nulla dies sine linea ducta supersit* do rozlicznych wydawnictw, które wychodzą bezustannie i przybierają nieprzewidywane rozmiary. Prawdziwa gonitwa rozpoczęła się pomiędzy narodami, ale Horacy nie mógłby o niej z lekceważeniem powiedzieć: *sunt, quos curriculo pulver olympicum collegisse iuvat*, bo koszta,łożone na te historyczne wydawnictwa przez rządy i prywatne stowarzyszenia, przynoszą trwałą pożytek, przyczyniając się do wyjaśnienia prawdy dziejowej. Słusznie zaś powiedziano, że prawda trwa, żywie i zwycięża na wieki, bo nawet uprzedzeni, którzy rozpoczęli badania i wydawnictwa z rzymskich archiwów w tem przekonaniu, że znajdą broń przeciwko Rzymowi, znaleźli coś wręcz przeciwnego. Mimo to jednak rozpoczętych badań zaniechać nie myślą. W tym też celu utrzymują rządy europejskie swoim kosztem w Rzymie t. zw. instytuty historyczne i nie szczędzą nakładów na wydawnictwa, przez te instytuty publikowane. Do jakich zaś rozmiarów dochodzą te wydawnictwa, dosyć będzie wskazać na instytut pruski, który istnieje w Rzymie dopiero lat 10, a już wydał 12 tomów relacyi nuncyuszów. Sześć tomów wydał dotychczasowy kierownik tegoż instytutu, Prof. W. Friedernburg, które obejmują relacye nuncyuszów od r. 1533—1539, a nadto wydał dwa tomy, obejmujące r. 1545—1547. Tom dwunasty, wydany przez G.

Kupke w przeszłym roku (Berlin Bath. 1901. LXXVIII, 403 pp.), zawiera relacye nuncyuszów Piotra Bertano i Piotra Camaiani (za pap. Juliusza III) od r. 1550—1552. Doprowadzone więc są do tej krytycznej chwili (połowa maja 1552), kiedy wskutek zdrady Maurycego Saskiego musiał Karol V uciekać do Villach, a Sobór Trydencki doznał przerwy.

Te publikacye relacji nuncyuszów z Niemiec nie są jednak *in continuo* wydawane i mają pewne chronologiczne luki dlatego, że dwa inne instytuty niemieckie w Rzymie równocześnie z XVI wieku publikują relacye nuncyatury, jak to niżej powiemy. Ale też pruski instytut nie ogranicza się na samych relacyach nuncyuszów, lecz równocześnie wydaje: *Repertorium germanicum*. Wydawnictwo to zostało rozpoczęte r. 1897 tomem, który obejmuje dwa lata XV wieku 1431—1432 (str. 677), a więc czasy Soboru Bazylejskiego. Wydany został pod kierunkiem archiwariusza Dr. A. Arnolda przy współpracownictwie J. Hallera, J. Kaufmanna, J. Lulvès'a. To *Repertorium germanicum* ma objąć cały wiek XV, jest to jednak przedsięwzięcie tak wielkie, że chyba do 100 tomów by urosło, jeśliby w ten sposób miało być do końca doprowadzone. Wszelako nie poprzestając jeszcze na tem, wydaje pruski instytut *Quellen und Forschungen aus Italienischen Archiven und Bibliotheken*. Tego wydawnictwa tom I wyszedł w Rzymie r. 1892, tom II r. 1899, tom III (Zeszyt I i II) 1900. Tomu IV zeszyt I wyszedł r. 1901 (w Rzymie). Tom II zawiera bardzo ciekawy przyczynek do stacyi misyjnej Jezuitów w Tylży, która tyle krwi napsuła elektorowi Fryderykowi III, poczynawszy od r. 1690 (zob. Chotkowski: „Rozszerzanie protestantyzmu w ziemiach polskich pod rządem pruskim w XVII i XVIII wieku“. Poznań 1881, str. 27 i nast).

Z tego, cośmy powiedzieli, trzeba przyznać, że instytut pruski nie jadł chleba za darmo, skoro tylu wydawnictw dokonał. Mimo to rozpoczęła się w przeszłym roku agitacya za tem, żeby go zamienić na instytut cesarsko-niemiecki (*Reichsinstitut*). Rzecz inscenowana została artykułem w monachijskiej *Allgemeine Zeitung* (w dodatku z 11 stycznia 1901). Za tą myślą oświadczył się Msgr. Dr. Paweł Baumgarten z Monachium w kolońskiej *Volks-Zeitung* (22 stycznia), a po 2 miesiącach już otrzymał kanclerz niemiecki hr. Bülow petycję, podpisaną przez 600 niemieckich uczonych o zamienienie instytutu pruskiego na niemiecki. Dotąd jednak petycyja ta nie odniosła skutku, chyba ten jeden, że kierownikiem król. instytutu pruskiego mianowany został profesor we Wrocławiu, Dr. Alojzy Schulte, jak donosi redakcyja

monachijskiego *Historisches Jahrbuch* w ostatnim zeszycie. Prof. Schulte należy do współpracowników tegoż czasopisma, którego stanowisko katolickie wynika już z tej okoliczności, że wydawane jest przez Towarzystwo Görresa.

Wspomniany wyżej współpracownik pruskiego wydawnictwa *Repertorium germanicum*, J. Haller, rozpoczął na własną rękę wielkie wydawnictwo, odnoszące się do Soboru Bazylejskiego, którego trzy tomy już wyszły, a czwarty w tym roku powinien się ukazać. Wszelako na to dzieło niełoży nie pruski rząd, tylko stowarzyszenie naukowe i gmina miasta Bazylei. Jego tytuł ogólny brzmi: *Concilium Basileense, Studien und Quellen zur Geschichte des Concils von Basel*. Tom I (wydany r. 1896) zawiera *Studien und Dokumente 1431—1437*, tom II (wydany 1898) zawiera protokoły Soboru od r. 1431—1433, wreszcie tom III (wydany 1900) zawiera protokoły od r. 1434—1435. Prawda, że akta synodu Bazylejskiego były już kilkakrotnie drukowane, mianowicie w *Collectio Conciliorum amplissima* Martène et Durand'a obejmują cały 8 tom, z którego Mansi, *Collectio Conciliorum maxima* przedrukował i zapełnił całe 2 tomy (29 i 30), niemniej przeto Haller podaje rzeczy zupełnie nowe, bo zebrał nieznane dokumenty. Tom I zawiera sprawozdania Ulricha von Tegernsee, wszelako główną wartość całego wydawnictwa stanowią protokoły notaryusza soboru, Piotra Bruneti, kanonika kapituły w Arras we Francyi.

Żeby ocenić wartość tych protokółów, trzeba sobie uprzytomnić, jakie znaczenie mieli notaryusze w średnich wiekach. Już Sobór Laterański IV (1215) przepisał (can. 38. Mansi, Conc. Coll. max. XXII, 1023), żeby wszystkie akta procesów kościelnych były notaryalnie spisywane. Ten przepis wydany został przez pap. Innocentego III, za którego tak dalece wydoskonalone zostało całe postępowanie procesu kościelnego, że służyło za wzór świeckiemu sądownictwu. Od tego też czasu nabrał urząd notaryusza takiego znaczenia, że żadna czynność urzędowa bez niego obywać się nie mogła, bo bez jego urzędowego świadectwa uważana była za niebyłą i nieważną. Wystarczy tu przytoczyć na przykład, iż kiedy Scrbona uchwaliła uznanie antypapy Amadeusza (Feliкса V), wybranego przez Sobór Bazylejski, a rząd francuski nie pozwolił zaprotokołować tej uchwały, wtedy przez to samo straciła wszelkie znaczenie. Nie dziw, że i Sobór Bazylejski musiał się postarać o notaryalne protokoły. Było też notaryuszów w Bazylei najpierw dwóch, później trzech. Obowiązkiem ich było kontrolować to, co pisarze na luźnych kartkach (*in schedulis*) spisywali, a co następnie

miało być przepisane w księgi (*manuale, prothocollum*). Łatwo więc zrozumieć, że protokoły te są dla historii synodów niezmiernie ważne, bo w nich odbija się jak w zwierciadle z dnia na dzień pulsujące życie tych zgromadzeń. Mimo to nie zwracali historycy dotąd uwagi na te protokoły. Pierwszy uczynił to Finke, wówczas profesor w Monasterze, który r. 1889 rozpoczął podobne wydawnictwo, odnoszące się do Soboru Konstancyjskiego (*Forschungen und Quellen*), a w 7 lat potem wydał I tom *Acta Concilii Constanciensis* (Münster 1896), lecz już ośm lat każe czekać na drugi tom. Haller publikuje protokoły Soboru Bazylejskiego, spisywane urzędowo przez wspomnianego już notariusza Piotra Bruneti, kanonika z Arras we Francyi. Przybywszy 2 lutego 1432 r. do Bazylei, zaczął Bruneti już od 7 lutego funkcjonować jako urzędowy notaryusz przy plenarnych sesjach i jako członek najliczniejszej deputacji *pro communibus negotiis*. Urząd swój sprawował do roku 1438, bo wtedy już Filip Burgundzki nie byłby mu pozwolił dłużej przebywać w Bazylei, skoro legalny sobór został we Ferrarze otworzony. Wyjeżdżając z Bazylei, zabrał Bruneti ze sobą rękopis, który złożył w archiwum kapituły w Arras, ale już kard. Richelieu, oceniając jego wartość, zabrał go z Arras i oddał do przechowania Sorbonie, skąd przeniesiony został do *Bibliothèque Nationale* w Paryżu. Stanowią go dwa tomy, w pergamin oprawne. Do kontroli tego, co Bruneti pisał, służy drugi rękopis, zawierający protokoły Soboru Bazylejskiego, a znajdujący się w bibliotece watykańskiej t. zw. *Codex Reginae* (nr. 1017). Dokładny rejestr, dodany przez Hallera do każdego tomu, ułatwia śledzenie przebiegu każdej sprawy w Bazylei i udziału pojedynczych osób. Dlatego też i udział Polaków w Bazylei będzie można teraz z chronologiczną ścisłością oznaczyć.

Mówiliśmy dotychczas o działalności jednego tylko w Rzymie instytutu historycznego, t. j. pruskiego; ale są tam jeszcze dwa inne niemieckie instytuty, o których działalności wspomnieć należy.

Austryacki instytut znajdował się do przeszłego roku pod kierownictwem prof. Th. v. Sickel i to przez lat 19. Zaraz w pierwszym roku po otwarciu archiwum fotografował ten uczony, którego twórcą nowoczesnej dyplomatyki nazywają, dokument Ottona I z r. 962, potwierdzający darowiznę Pepina. Na podstawie ścisłego badania mógł Sickel skonstatować autentyczność tego dokumentu, którą ogólnie podawano w wątpliwość. Dokument sam, znajdujący się w archiwum watykańskim, jest kopią społeczną na purpurowym pergaminie, złotym atramentem pisaną (zob. *Das Privilegium Ottos I für die römische*

*Kirche v. 962. Innsbruck 1883*). Wydany przez Sickla *Liber Diurnus* (1889) omawiałem czasu swego w *Przeglądzie* (r. 1890, tom XXV, str. 280 i nast.). Działalność swoją w Rzymie zaznaczał Sickle przez *Römische Berichte*, ogłaszane w Sprawozdaniach Akademii Umiejętności w Wiedniu. Ostatnie z tych sprawozdań omawia tom 108 *Nunziature diverse*, znajdujący się w archiw. watykańskim. W tomie tym mieszczą się głównie listy św. Karola Boromeusza do legatów pap. na Soborze Trydenckim. Dokładny spis, podany przez Sickla, jest bardzo przydatny do oryentowania się w tych niezwykle obfitych zbiorach (zob. *Sitzungsberichte der kais. Akad. der Wissensch. Wien. Philosoph.-hist. Kl. Band 143. S. 40 ff.*).

Od przeszłego roku objął po Sicklu zarząd tegoż instytutu austriackiego profesor w Innsbrucku dr. Ludwik Pastor, wsławiony swoją historią papieży od końca średnich wieków, której trzy tomy dotąd już w kilku wydaniach wyszły. Pastor nie cieszy się popularnością w kołach protestanckich i liberalnych uczonych i tej też okoliczności można zapewne przypisać ten fakt, że długoletnie starania i protekcyje, nawet bardzo wysokie stanowiska zajmujących osób, nie zdołały Pastorowi otworzyć przystępu do katedry historii powszechnej w Wiedniu. Nie dziw, że i ta nominacja wywołała głośnie protesty, jakoby instytut austriacki w Rzymie miał uleść klerykalnym prądom. Znana skądinąd hakatystyczna gazeta w Berlinie (*Tageblatt* 24 marca r. p. *Beiblatt* II) zamieściła artykuł, tchnący semicką zaciekłością, ale za całą odpowiedź wystarczy przypomnieć polskie przysłowie: jakiej kto smaki, myśli, że każdy taki. Pastor bowiem jest w swoich badaniach tak dalece bezstronny, że to co napisał n. p. w tomie III swojej historii papieży o papieżu Aleksandrze VI na podstawie dokumentów, odnalezionych w tajnym archiwum papieskim, jest ostatniem słowem potępienia i czyni dalszą obronę prywatnego życia tegoż papieża niemożliwą, chociaż z drugiej strony zamyka usta wszelkim fantastycznym bajkom (zob. moją recenzję *Przegląd Powszechny* 1896, str. 290 i nast.). Stanowisko naukowe Pastora jest najlepszą gwarancją, przeciwko wszelakiej stronniczości, natomiast mogłaby mniej korzystną być jego osobista drażliwość, której świeży dowód mamy w jego wystąpieniu ze składu redakcyi *Historische Jahrbücher*. Rzecz poszła o to, że w zeszytce 2 i 3 tegoż czasopisma r. 1901, str. 352—374 zamieszczono recenzję d-ra Kempfa o 2 tomach O. Michaela T. J. *Geschichte des deutschen Volkes vom XIII Jahrhundert bis zum Ausgang des Mittelalters* (r. 1897 i 1899). Pastor był przeciwny zamieszczeniu tej recenzji dlatego, że



uważał ją za niesprawiedliwą i naukowo nieuzasadnioną i żądał ogłoszenia dosłownego swojego zastrzeżenia. Redakcja wydrukowała wprawdzie zastrzeżenie, ale niedosłownie, dodając zarazem, że chętnie zamieści odpowiedź O. Michael'a. Na to przesłał Pastor żądanie, żeby redakcja wydrukowała dosłownie jego zastrzeżenie, a zarazem oświadczył, że z redakcyi występuje (*Histor. Jahrb. München* 1901, XXII Band, 2 u. 3 Heft, S. 607). Świadczyłoby to o pewnej drażliwości, na którą też w Innsbrucku żale się podnosiły. A właśnie instytuty historyczne w Rzymie mogą tylko wtedy rozwinąć działalność, jeśli ich kierownicy potrafią naśladować msgr. Duchesne, dyrektora francuskiego instytutu w Rzymie, który z wielką cierpliwością kieruje pracami młodych badaczy, wytknąwszy każdemu osobne pole do pracy. Skutkiem tego właśnie utworzył tak znakomitą *Bibliothèque des écoles françaises de Rome et d'Athènes*. Dziwna rzecz, że rząd francuski daje ogromne sumy na te wydawnictwa i nie waha się na czele instytutu tego trzymać katolickiego księdza, podczas gdy pruskie pisma tak bardzo klerykalizmu się boją i nawet w Rzymie, pod boki papieża, protestancką arogancję zaznaczaćby chciały. Zresztą pomiędzy trzema niemieckimi instytutami w Rzymie, t. j. pruskim, austryackim i Görresowym musi koniecznie panować porozumienie choćby dlatego tylko, że wszystkie trzy zajmują się wydawaniem relacji nuncjuszków z XVI wieku. Mówiliśmy już, że instytut pruski musiał zrobić w swoich wydawnictwach chronologiczną przerwę dlatego, że austriacki instytut powierzył S. Steinherz'owi wydanie relacji nuncjuszków kard. Hozyusza i biskupa Delfino z lat 1560—1561. Dalszy ciąg (1572—1585) objęły trzy tomy, wydane przez pruski instytut, opracowane przez d-ra J. Hansena w Kolonii i d-ra K. Schellhassa w Rzymie. Ponieważ zaś instytut Towarzystwa Görresowego objął lata 1585—1605, przeto pruski instytut zajął się znowu wydawnictwem relacji z XVII wieku i dr. H. Kiewning wydał dwa tomy (r. 1875 i 1897), obejmujące lata 1628 i 1629.

Ta okoliczność, że austriacki instytut zajął się wydawnictwem relacji kard. Hozyusza, zniewoliła naszą Akademię Umiejętności w Krakowie do rozpoczęcia publikacji skarbów, nagromadzonych przez kilkuletnie badania w archiwach rzymskich. Uchwalono to na posiedzeniu komisji historycznej dnia 18 grudnia p. r., na którym przewodniczącym tejże komisji wybrany został JE. dr. Michał Bobrzyński. Polska nie ma wprawdzie w Rzymie swojego instytutu, a środki Akademii Umiej. w Krakowie nie mogą iść w porównanie z tem, co ofiarują rządy europejskie na wydawnictwa swoich instytutów rzymskich, ale

niemniej przeto długoletnie badania, prowadzone pod kierunkiem Smolki, następnie Abrahama, przyniosły tak obfite żniwo, nagromadzone w t. zw. „Tekach rzymskich“, że wydanie tego materiału choćby tylko częściowe przyniosłoby chlubę naszemu imieniu w uczonym świecie.

Co może zdziałać prywatna ofiarność, świadczy najlepiej wspomniane już wyżej katolickie Towarzystwo Görresowe, które utrzymuje swój instytut historyczny w Rzymie pod dyrekcją Msgr dr. Stefana Ehses. Wspomnieliśmy już wyżej, że instytut ten zajmuje się także wydawnictwem relacji nuncyuszów z XVI wieku. Ogłasza je w periodycznem wydawnictwie p. t. *Quellen und Forschungen aus dem Gebiete der Geschichte*. W tomie 4. (r. 1895) i tomie 7 (1899) wydane zostały przez Msgr. dr. Ehses przy współudziale Prof. dr. A. Meister relacje nuncyatury w Kolonii z lat 1585—1590. W tomie 5 (Paderborn 1898) wydał W. E. Schwarz z Berlina korespondencję Kaspra Groppera. Od r. 1900 rozpoczęło Towarzystwo Görresowe nowe wydawnictwo p. t. *Studien und Darstellungen aus dem Gebiete der Geschichte im Auftrage der Görres-Gesellschaft*, na którego czele stoi Herman Grauert, prof. w Monachium, naczelny redaktor monachijskiego *Historisches Jahrbuch*. Rozpoczęto je wydaniem Zbioru listów ks. Eugeniusza Sabaudzkiego (*Eine Fälschung des XIX Jahrhunderts*. Freiburg i. B. 1900).

Bez porównania donioślejsze znaczenie ma jednak wydawnictwo Tow. Görresowego, założone na wielką skalę, a odnoszące się do Soboru Trydenckiego, którego pierwszy tom wyszedł r. 1901 we Fryburgu u Herdera. Cały tytuł brzmi: *Concilium Tridentinum*. Diariorum, Actorum, Epistularum, Tractatum, nova collectio, edidit Societas Goerresiana promovendis inter Germanos catholicos litterarum studiis. Tomus I Diariorum pars I Herculis Severoli commentarius. Angeli Masarelli, Diaria I—IV, collegit, edidit, illustravit Sebastianus Merkle. In 4-o CXXXII et 932 pp. Tom, zawierający 1064 stron, a kosztujący 60 marek — nie jest z natury rzeczy przeznaczony dla szerszych kół czytającej publiczności, ale i dla tych, którzy się historią kościelną zajmują, stawia wielkie zadanie, jeśli się rozważy, że takich tomów będzie jeszcze przynajmniej dziesięć. Wystarczy bowiem wspomnieć, że w watykańskim archiwum obejmują akta, odnoszące się do Soboru Trydenckiego, 151 tomów, w co nie wchodzi jeszcze dokumenta, znajdujące się w bibliotece watykańskiej i w nowo przez Stolicę ap. zakupionej bibliotece książąt Borghese.

Wydawnictwem tego pierwszego tomu zajął się dr. Sebastyan

Merkle, mianowany przeszłego roku profesorem historii kościelnej w Würzburgu. Kosztem Towarzystwa Görresowego pracował Merkle przez kilka lat w Rzymie, odbywał podróże do bibliotek: w Hiszpanii, Francyi, Austrii i na Węgrzech. Kiedy zaś wspaniały ten tom był już gotów, przedłożono go papieżowi i dlatego list Leona XIII z pochwałą, zachętą i błogosławieństwem, adresowany do barona Hertlinga, prezesa Tow. Görresowego i Msgr. Ehse, dyrektora instytutu rzymskiego, jest umieszczony na czele. Rzeczywiście jest czego powinszować Towarzystwu, że się na tak olbrzymie koszta odważyło, a wydawcom, że tyle żmudnej pracy już od r. 1894, a więc od 8 lat, nie żałują. Całe to wydawnictwo podzielono na trzy działy, z których każdy zajmie po kilka tomów. Pierwszy dział stanowią dyaryusze, które pomieszczone zostaną w trzech tomach. To wydawnictwo prowadzi Merkle i zapowiada, że już drugi tom przygotował do druku. Dział drugi obejmuje akta Soboru w ściślejszem znaczeniu i te wydawać będzie w 6 tomach (od IV—IX) Msgr. Stef. Ehse. Tego działu tom pierwszy (IV) już jest do druku oddany. Trzeci dział obejmie korespondencje, które wydawać będzie Godfryd Buschbell, profesor przy gimnazjum w Krefeld, jako tom X i następne. Wreszcie czwarty dział osobny stanowią będą akta Soboru z czasu jego przeniesienia do Bononii, które wyda także Merkle. Wydawnictwo uregulowano w ten sposób, że co rok wychodzić będzie jeden tom tak, że za lat 10 może dopiero wyjdzie ostatni tom.

Doniosłość i znaczenie tego wydawnictwa najlepiej charakteryzuje to, że wydawca niniejszego tomu poświęcił go pamięci Hefelego, z rąk którego, jako kapłan dyecezyi rotenburskiej, przyjął święcenia. Hefelego znany jest jako autor najznakomitszej historii soborów (*Conciliengeschichte*), którą w siedmiu tomach doprowadził do końca Soboru Bazylejskiego (1449) (tom VII, wyd. Freiburg i. Br. 1874) i wtedy oświadczył, że składa pióro, a to nie tyle dla podeszłego wieku lub dlatego, że już był wówczas biskupem rotenburskim, lecz głównie z tego powodu, że dyaryusz sekretarza Soboru Trydenckiego Massarelli'ego był wówczas jeszcze nieprzystępny. Hergenröther kontynuował wprawdzie w dwóch dalszych tomach Hefelego historię soborów, ale do właściwej historii Soboru Trydenckiego jeszcze nie doszedł (tom VIII, 1887, tom IX, 1890), gdy śmierć przedwczesna położyła dalszej jego pracy koniec. Posiadaliśmy więc dotąd tylko dwie historie Soboru Trydenckiego: Serwity Pawła Sarpi i Jezuity Sforza Pallavicini, które wobec

dzisiejszego rozwoju badań historycznych zupełnie są niewystarczające dlatego, że jeden i drugi pisał z pewną wyraźną tendencją, a materiały archiwalne mieli obaj tylko częściowy do dyspozycji. Wprawdzie wydał A. Theiner (*Acta Genuina*, Agram 1874) część dyaryusza Severoli'ego, ale wydał go z kopii i niedokładnie, a co więcej potajemnie dlatego, że papież Pius IX wprost zakazał wydania tychże aktów. Döllinger wydał małą część dyaryusza Massarelli'ego, którą znalazł w bibliotece miejskiej Trydentu (*Sammlung von Urkunden zur Geschichte des Concils von Trient I. Nördlingen 1876*), natomiast Merkle znalazł siedm dyaryuszy Massarelli'ego, które obejmują wszystkie trzy okresy Soboru Trydenckiego.

Z tej okoliczności, że akta tego właśnie Soboru nie były dotąd przez Stolicę apostolską ogłoszone, korzystali protestanci i dowodzili, że Rzym ma słuszną przyczynę do ich ukrywania. Tymczasem rzecz się ma przeciwnie. Akta Soboru, znajdujące się w archiwum watykańskiem, noszą napis *imprimenda* (tom 43, tomy 124—130), z czego wynika, że pierwotnie były do druku przeznaczone, o czym wyraźnie świadczą listy sekretarza Soboru kard. Cervini, późniejszego papieża Marcelego II, do sekretarza Massarelli'ego. Tylko przedwczesna śmierć tegoż sekretarza, a następnie pisma protestantów, tchnące nienawiścią do Kościoła, mianowicie historia kościelna magdeburskich Centuryatorów, sprawiły, że Rzym powstrzymał ogłoszenie aktów Soboru, których pojedyncze szczegóły mogły być posłużyć do jednostronnego i nienawistnego przedstawienia rzeczy. Dzisiaj zmieniły się czasy; dojrzała krytyka historyczna tak, że nawet Ranke, chociaż protestant (*Die römische Päpste*, Leipzig 1874, VI Aufl., tom III, p. 271 sq.) i Döllinger, chociaż już starokatolik (*Sammlung* l. c. p. VI—VIII), zapatrywali się na sprawy Soboru inaczej, niż Paweł Sarpi, chociaż katolik i zakonnik. Wiadoma rzecz, że jeszcze za czasów józefińskich uchodziło nawet w oczach katolickich pisarzy historii kościelnej za szczyt uczonej krytyki miotanie obelg i podejrzeń na papieży, a wiemy z „Pamiętników Siemaszki“, w jakim duchu wykładano historię kościelną w Wilnie. Dzisiaj chyba już tylko protestancy pisarze *minorum gentium* trzymają się tej przestarzałej praktyki, bo prawda historyczna wzięła już górę i coraz większe święci tryumfy. Teraz więc ogłoszenie dyaryuszów, aktów i korespondencji Soboru przychodzi w sam czas. Dlatego też mógł papież Leon XIII w liście, umieszczonym na czele pierwszego tomu tej wspaniałej publikacji, śmiało powiedzieć, że wobec postępu

nauki nie potrzeba się lękać, aby rzetelne badanie prawdy <sup>1</sup> miało jakąkolwiek przynieść szkodę objawionej nauce chrześcijańskiej<sup>1</sup>.

Należy się też spodziewać, że udział Polski w Soborze Trydenckim nabierze przez to wydawnictwo nowego oświecenia historycznego i że to, co dotąd w tej kwestyi pisano (B. Dembiński: *Die Beschickung des Tridentinum*. Breslau 1883), będzie można uważać tylko za próbę na tem polu. Niestety pierwszy tom zawiódł pod tym względem nadzieje, bo dowiadujemy się z niego niewiele. Chyba to, że już 12 lipca 1545 r. doszła do Trydentu wiadomość o śmierci Elżbiety, żony królewicza Zygmunta Augusta, że 5 sierpnia odprawiono tam wspanią za nią, egzekwie w katedrze trydenckiej. Massarelli opisał je szczegółowo (w I Dyaryuszu) i wyjaśnia zarazem, że kardynał Trydentu (Krzysztof Madruzzi) poczuwał się do ich odprawienia dlatego, że jako biskup Trydentu, był księciem cesarstwa, a więc podwładnym cesarza (Tom I, str. 217, 223 i 230).

Sobór został już 13 grudnia 1545 r. otwarty, a z Polski nie było w Trydencie jeszcze żadnej wiadomości. Radzą przeto Ojcowie przez cały miesiąc styczeń, że trzebaby do króla polskiego napisać, aż wreszcie biskup św. Marka (w Sycylii), któremu ułożenie listu polecono, odczytuje go na sesyi 29 stycznia (I, str. 376, 384 i 398). Wszelako z dyaryusza sekretarza Severoli'ego dowiadujemy się (I, 25), że kardynałowi Trydentu wydawał się ten list zbyt suchy i krótki, tak samo jak projekt listu do cesarza. Wielu też innych Ojców podzielało to zdanie, że należałoby w listach obydwóch uczynić wzmiankę o chwalebnych czynach, dokonanych mianowicie na wojnach z Turkami (*egregia facinora adversus Turchas*), a dopiero następnie prosić, żeby król polski przysłał posłów i oratorów.

Pierwszy znak życia wobec Soboru daje dopiero po dwóch latach arcyb. Dzierzgowski, kiedy r. 1547, po przeniesieniu Soboru do Bononii, upomina papieża Pawła III, żeby Sobór przeniósł z powrotem do Trydentu, co już wiemy z Raynalda (a. a. 1547, nr. 86). Ale cóż potem, skoro wtedy, gdy papież Juliusz III na nowo sobór w Trydencie otworzył (29 kwietnia 1555), Dzierzgowski dopiero we wrześniu uniewinnia się, że przybyć nie może. O tem piśmie arcybiskupa gnieźnieńskiego

<sup>1</sup> „Neque enim pertimescendum fore, ut ex sincera veri investigatione disciplinarumque progressibus christianae revelataeque doctrinae detrimentum contingat; quasi fieri possit, ut veritas veritati usquam adversetur, aut emolumenti aliquid ex errore vel veritatis ignorance expectari liceat“.

dowiadujemy się z indeksu bull i różnych korespondencyi, które sporządził sekretarz Soboru Massarelli, a który Merkle zamieścił w Prolegomenach do niniejszego tomu I (CXIX) *Excusatio archiepiscopi gnesnensis, sine die, quamquam est originalis* (16 septembr. 1551 Concil. 132, 58). Tekst tego pisma będzie dopiero wtedy znany, kiedy Buschbell wyda korespondencye Soboru. Wtedy też ogłoszone zostaną dwa listy króla Zygmunta Augusta z r. 1563, które również Massarelli zanotował w indeksie swoim, chociaż przez nieuwagę nazwał króla Sebastyanem (Prolegomena CXVII, nr. 30 i 31).

Sto lat przedtem głośno było w Europie o Polsce na soborach. W Konstancyi prym dzierżył powagę swoją arcybiskup Mikołaj, a traktaty krakowskiego profesora Pawła wywołały przełom w pojęciach międzynarodowego prawa i zadawały Zakonowi niemieckiemu cios śmiertelny. W Bazylei podziwiano zbiorowy traktat krakowskich profesorów, przesłany przez Strzemińskiego — a teraz: o Polsce w Trydencie całkiem głucho i jeden tylko Hozysz sławę naszą uratował. Przyczyn składało się na to wiele, ale sam fakt niedobrze świadczy o stosunkach w Kościele i krakowskiej szkole. Za trzysta lat na watykański sobór już nie wszystkim biskupom polskim będzie wolno iść, choćby chcieli.

Wróćmy jednak do publikacyi Tow. Görresowego, które właśnie przeszłego roku obchodziło 25-letni jubileusz swego istnienia i to w Kolencyi, gdzie w r. 1876 zostało założone. Dyrektor instytutu rzymskiego tegoż Towarzystwa Msgr. dr. Ehses zapowiada w ostatniem sprawozdaniu swoim (*Historisches Jahrbuch* XXII. 588—591) cały szereg nowych publikacyi, wszelako zaczekamy, aż się ukazą, żeby naszego sprawozdania zbyt nie przedłużać. Wspomnimy tylko mimochodem, że Król. Towarz. Nauk w Getyndze, które także w przeszłym roku (1901) obchodziło 150-letni jubileusz swojego istnienia, postanowiło na uczczenie tej rocznicy podjąć wydawnictwo średniowiecznych dokumentów papieskich (*Päpstliches Urkundenwesen des Mittelalters*), sięgające aż do papieża Innocentego III. Na tem właśnie polega ważność zadania tego, że ma objąć czasy przed końcem XII wieku. Dotychczasowe bowiem wydawnictwa niemieckie Böhmera i Fickera oraz Potthasta i Winkelmanna zaczynają się właśnie od pontyfikatu Innocentego III i obejmują wiek XIII. Myśl to więc piękna, ale i śmiała, bo towarzystwo getyngskie jest prywatne i rozporządza małymi tylko funduszami. Udawało się o pomoc do ministerstwa w Berlinie, ale uzyskało obietnicę skromnej tylko subwencyi. Wszelako prawdę powiedział nasz poeta

Wacław z Potoka Potocki, że „za śmiałymi swe koła zwykle<sup>3</sup> szczęście toczyć“, bo wielka myśl zrodziła wielką ofiarność prywatnych osób tak, że już od r. 1896 mogło rozpocząć kilku uczonych równocześnie przygotowania do tegoż wydawnictwa przez studia po archiwach. Między innymi zajęci są przy tem: Pflugk-Harttung, Kaltenbrunner, Winkelmann, Delaville le Roulx, Breslau, ale duszą całego przedsięwzięcia jest prof. dr. Paweł Kehr, jeden z najwybitniejszych teraźniejszych dyplomatów. On też nagromadzony przez innych materiał bada krytycznie i porządkuje. O postępach tych prac można mieć wyobrażenie ze sprawozdań, umieszczanych corocznie przez Kehra w *Nachrichten der k. Gesellschaft der Wissenschaften in Goettingen. Phil.-hist. Klasse*, które regularnie od r. 1896 się pojawiają, przyczem ogłaszane są *in extenso* lub w skróceniu zupełnie nieznane dokumenty, tak że ich w ten sposób przeszło 700 się pojawiło. Sprawozdania te dotyczą najrozmaitszych archiwów. W ostatnich dwóch latach zawierają dokładne wiadomości o wynikach badań w archiwach rzymskich, t. j. archiwum na Zamku św. Anioła, archiwów przy kościołach: śś. Piotra, Pawła, Piotra w Okowach, M. B. Śnieżnej, M. B. za Tybrem, S. Maria Nuova, Collegium Germanicum i Collegium Graecum. Dalej archiwum watykańskie, mianowicie *armaria* 1—15 i *miscellanea* w armaryach 29—64; następnie archiwa: Roty, Lateraneńskie, S. Maria in Via lata (Corso), SS. Domenico e Sisto. Sprawozdania o tych archiwach pomieszczone są w roczniku 1900, w zeszytach 2 i 3, przyczem dodano 29 dokumentów z XII wieku (1100—1196), zupełnie dotąd nieznanymi (P. Kehr: *Papsturkunden in Rom. I Bericht. Nachrichten der K. Gesellschaft der Wissenschaften in Goettingen. Phil.-hist. Klasse* 1900. Heft 2, p. 111—197. Heft 3, p. 358—436). W przeszłorocznym sprawozdaniu (1901) rozwodzi się Kehr nad zbiorami dokumentów w archiwum watykańskim, założonych przez kilku uczonych, jak Panvini, Massarelli, którzyto najstarsi dyplomaty papiescy zamierzili sobie napisanie życiorysów (*vitae*) papieżów i kardynałów. Pierwszy tom tego wydawnictwa wydanie jednak zapewne dopiero za parę lat.

Charakterystyczny to niewątpliwie zwrot w dziejopisarstwie, że tyle wyszydzane przez protestantów legendy świętych doznają obecnie innego ocenienia. Dlatego w *Monumenta Germaniae historica*, w oddziale *Scriptores* dano w III tomie źródeł historii Merowingów żywoty Świętych, a w IV tomie ma wyjść dalszy ich ciąg. Tak samo w V tomie, którego wydanie powierzono dr. W. Levisonowi, będą pomieszczone

żywoty Świętych i wydawca podjął podróż naukową do Londynu, aby tamtejsze rękopisy żywotów Świętych kolacyonować.

Pomijając różne jeszcze publikacje: francuskie, włoskie, węgierskie, wydawane z archiwum watykańskiego, wspomnimy jeszcze tylko mimochodem pracę Minoryty Konrada Eubel: *Hierarchia catholica medii aevi sive summorum pontificum S. R. E. cardinalium, ecclesiarum antistitum series ab anno 1431 usque ad annum 1503 perducta e documentis tabularii presertim Vaticani collecta, digesta, edita per Conradum Eubel Ord. min. conv. s. theol. doct. apostolicum apud s. Petrum de urbe poenitentiarum Superiorum permissu Monasterii 1901. Vol. II 4-o VII. 328. (Mark 20)*. Tom ten jest właściwie niespodzianką, bo autor, wydając pierwszy r. 1898, nie wspomniał o tem, że dalszy ciąg swej pracy wydać zamierza. Tem mniej można się było dalszego ciągu spodziewać, że autor ten zajęty jest wydawnictwem bullariów franciszkańskich i świeżo wydał (1900) bulle i brewia, odnoszące się do Awiniońskiej obserwancyi Mendykantów, jako VIII tom wydawanych przez Towarzystwo Görresowe *Quellen und Forschungen* (choć oznaczony jest jako druga połowa pierwszego tomu). Pierwszy tom „Hierarchii“ Eubela obejmował szereg kardynałów i biskupów od r. 1198—1431, t. j. od początku pontyfikatu pap. Inocentego III do śmierci Marcina V. Ale autor sam tłumaczy w przedmowie do II tomu, że krytyka ogólnie wyraziła żądanie, aby dalej pracę kontynuował, nie uznając tego argumentu za wystarczający, że po śmierci Marcina V już katalogi biskupów są ustalone. Jako główne źródło swoje przytacza Eubel księgi „konsystoryalne“ w archiwum watykańskiem, w których starannie zapisywano w t. zw. „obligacyach“ każdą promocyę, a w t. zw. *solutiones* zapisywano to, co zapłacili. Tam jednak, gdzie byli biskupi, obrani przez kapituły, a nie przez prowizyę apostolską, obligacye milczą, a Eubel przyznaje, że uciekał się do starego pracowitego Benedyktyna i profesora Piusa Bonifacego Gamsa († 1892), którego *Series Episcoporum ecclesiae catholicae quotquot innotuerunt a Beato Petro Apostolo. Ratisbonae 1873. (Supplementum 1886)*, jest prawdziwie benedyktyńską pracą i zawsze jeszcze pozostaje niezbędnym i na każdym kroku potrzebnym podręcznikiem dla każdego, kto się historią wogóle, a szczególnie kościelną zajmuje. Wszelako Gams wcale nie podaje katalogu kardynałów, a to właśnie czyni Eubel. Pożyteczność tego dzieła nie da się w kilku słowach określić, dlatego np. przytoczymy tylko jedno. W szeregu kardynałów, mianowanych przez pap. Eugeniusza IV w trzeciej promocyi, 18 grudnia 1439, zajmuje Zbigniew Oleśnicki trzynaste



miejsce, pomiędzy mianowanymi przez Feliksa V antipapę 20 stycznia 1440 z pierwszej promocyi, zajmuje piątę, przyczem zapisano, że chociaż był mianowany przez Eugeniusza, jednak i za kardynała mianowanego przez Feliksa się uważał (*qui licet ab. Eug. IV fuisset creatus card. pro cardinali a Fel. V. creato aliquamdiu se gerebat*). Tylko tytułu Feliks nie nadał żadnego, podczas gdy Eugeniusz nadał Zbigniewowi tytuł św. Pryski już 8 stycznia 1440. Wiadomość o śmierci Zbigniewa († 1 kwietnia 1455) doszła do Rzymu 1 czerwca i zaraz nazajutrz odprawione zostały egzekwie (*Appendix* nr. 138 a a. 1455 *Armar. XXXI* 52 f. 25, str. 33). Natomiast arcybiskupa Wincentego Kota znajdujemy tutaj pomiędzy pseudo-kardynałami Feliksa V czwartej kreacyi z dnia 6 kwietnia 1444, jako 22 z rzędu, wszelako przy nazwisku arcybiskupa *Vincentius Kot Dembicy* znajdujemy tutaj znak zapytania i nic więcej (str. 10). Dowodzi to, że arcybiskup na tę nominacyę nie reagował wcale, a wynika z tego, że podpis jego pod datą 17 lutego 1444 *in s. Romanae eccl. presbyterum cardinalem assumptus* (*Cod. epistolaris* t. II nr. 297, str. 447) ma — co najmniej — datę fałszywą. Izydor, metropolita kijowski, mianowany był tego samego dnia kardynałem co i Zbigniew Oleśnicki, a wymieniony jest przed nim, jako z rzędu dziesiąty. Adnotacyi dotyczących jego osoby znajdujemy tutaj czternaście, a wedle nich można pojedyncze daty z życia Izydora ściśle oznaczyć. Poprzestajemy też na tem, bo z tego, cośmy przytoczyli, łatwo się przekonać, jakiej wagi dla specjalnych studyów jest praca Eubela.

Ten olbrzymi ruch naukowy, wywołany przez to, że pap. Leon XIII otworzył watykańskie archiwum, jest niemalym papiestwa tryumfem, a skarby watykańskie wykazują jego wielkie znaczenie w świecie, jakiego nie miała żadna inna potęga europejska. Badania naukowe nawet wbrew woli i chęci u niektórych przyczyniają papieżom chwały, a w miarę jak postępują, okazuje się historia jako prawdziwa *vindex veritatis*. Pokazało się to świeżo na osobie pap. Bonifacego VIII.

Na żadnym papieżu nie dokazało fałszerstwo dziejów tyle bezprawia co na Bonifacym VIII, którego współcześni, Petrarca i Dante sławili (*Purgatorio* CXX, 86 sq.), a natomiast potomni nawet samobójcą ogłosili. Haniebne to oszczerstwo utarło się w świecie tak dalece, że nawet Długosz (ed. Cracoviae 1876, t. III, str. 14) powtórzył o nim sąd niesprawiedliwy: *in magnam arrogantiam erectus, ut se ipsum in spiritualibus et temporalibus dominum totius orbis assereret; de quo scriptum est: intravit ut vulpis, regnavit ut leo, moritur ut canis*. O tem, że sobie

Bonifacy VIII w bulli *Unam sanctam* (1302) nie przyznawał nic więcej nad to, co poprzedni papieże posiadali, dawno świat wiedział, skoro Leon X w bulli *Pastor aeternus* (1518) dosłownie powtórzył rzeczoną bullę Bonifacego VIII; o tem, że się nie pokaleczył, wiedzano od r. 1605, kiedy otworzono grób tego papieża i nie znaleziono na jego ciele żadnego śladu rany; wszelako jego nagłej śmierci nie umiano wytłumaczyć. Ale i to nastąpiło, chociaż późno, bo na przyszły rok minie już 600 lat od jego śmierci.

Na trzy lata przed śmiercią papieża napisał Arnold z Villanova głośną swego czasu książkę o higienie (*De regimine sanitatis*, 1300), nie wiedzano tylko tego, że dzieło było napisane specjalnie dla Bonifacego VIII, dlatego, że chorował na kamień. Wiadomość o tem podaje prof. H. Finke w rozprawie o Arnoldzie de Villanova, zamieszczonej w kwartalniku Akademii Umiejętności w Barcelonie (*R. Academia de buenas letras*). Akademia ta rozpoczęła w marcu 1901 r. wydawnictwo kwartalnych biuletynów i właśnie w pierwszym (str. 24 sq.) podaje Finke ustęp z relacyi król. prokuratora, znalezionej w archiwum aragońskiem (*Archivo de la Corona de Aragón*). Z tej relacyi dowiadujemy się pierwszy raz o ciężkiej chorobie Bonifacego VIII, która nagłą jego śmierć łatwo mogła spowodować.

Ks. Wł. Chotkowski.



## Nadestano do Redakcyi „Przegladu Powszechnego“

następujące książki:

**Sswjeczi tsjo kralojo.** Duchowna hra sa hodowny časaz. Po němskim podložku sbassnił *M. Domaschka*. Sa čzischež pschihotował a sserbskim towarstwam posswjecziwshi wudał *dr. Ernst Muka*. W Budyschinje. S nakładom wudawarja. 1895. (Str. 33).

**Boži narod.** Hodowna hra we třóh džélinach. *Handrij Dučman-Wólsinski*. Budyšin. 1901. Čišćal E. M. Monse w Budyšinje. Nakład spisačelowy. Wobstaraf: X. Pflugmacher, knihikupe w Lipsku. (Str. 39).

**Krěw a kraj.** Ballady *Jakuba Čišinskeho*. 6 zběrka. Z nakładom banikowym. Budyšin. 1900. Čišć Smolerjec knihičišćernje. (Str. 92).

**Prěnja čitanka za serske šule.** Wudata wot „Swob. zjedn. kath. wučerjow serbskeje Łužicy“. Wobdžělał *Jan Symank*. — Fibel für wendische Schulen. Herausgegeben von der „Freien Vereinigung kath. Lehrer der wend. Lausitz“. Bearbeitet von *Joh. Simank*. Z nakładom schol. J. Skale a direktora J. Nowaka. W Budyšinje. 1900. Čišćal Marko Smoleř. (Str. 121).

**Prěnja čitanka sa sserbske schule.** Spissal *Jan Bartko*. Erstes Lesebuch. 1 Teil. Unterlagen für den elementaren Lese-, Anschauungs- und Sprach-Unterricht in wendisch-deutschen Schulen von *J. Bartko*. Fünfte Auflage. Budyschin-Bautzen. Verlag der Mačica Serbska. 1896. (Str. 87).

**Časopis Mačicy Serbskeje.** Redaktor: *prof. dr. Ernst Muka*, komtur rjada sw. Sawy atd. Budyšin. Z nakładom Mačicy Serbskeje. 1901. Lětnik LIV.

**Łužica.** Měsačnik za zabawu a powučenje. Zhromadny časopis hornjo- a delnjołužiskich Serbow. Redigujetaj: *Mikławš Andricki* a *dr. phil. Ernst Muka*. Zamolwity wudawař: dr. phil. Ernst Muka w Freibergu. Z nakładom a pod administraciju kanonika Jakuba Herrmanna, fararja we Wotrowje pola Pančic 1901. Lětnik 20.

**Katholski Posoł.** Ludowy časopis. Wudawany wot towarstwa ss. Cyrilla a Methodija w Budyschinje. Redaktor: *Jakub Skala*. 1901. Lětnik 39.

**Serbski Hospodař.** Časopis za serbskich ratarjow. Samostatna přiložka „*Katholskomu Posłej*“. Wukhadža w Budyšinje přěnju sobotu každeho měsaca. Wudawař: Towarstwo Serbskich Burow. Čišć a nakład Smolerjec knihičišćernje w Mačičnym domje w Budyšinje 1901. Lětnik 21.

**Serbske Nowiny.** Zamolwity redaktor a wudawar *Marko Smoler*. Čišć Smolerjec knihičišćernje w Mačičnym domje w Budyšinje 1901. Lětnik 60.

**Pomhaj Bóh!** Sserbske njedželske łopjenka. Wudawaju sso každu ssobotu w Ssmolerjec knihičizischežerńi w Budyschinje a szu tam dostać sa schtwórlečnu pschedplatu 40 np. 1901. Lětnik 11.

**Krajan.** Katholska protyka za Hornju Łužicu na lěto 1902. Pjecz a tsicety lětnik. F. R. W Budyšinje. Z nakładom towarstwa ss. Cyrila a Metodija. W komisiji M. Smolerja. Čzischež Smolerjec knihičizischežerńe w Maczičnym domje w Budyschinje.

## Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

**Handweiser für den katholischen Pfarrbezirk Leipzig** (Stadt und Land) mit Karte 1902. Im Auftrage des katholischen Pfarramtes. *Andreas Deutschman*, Titular-Pfarrer. Leipzig 1902. In Kommission bei F. X. Pflugmacher. (Str. 127).

**Skarbnica odpustów modlitewnych i uczynkowych.** W tłumaczeniu, aprobowanem przez Stolicę świętą, wydał *ks. Augustyn Arndt T. J.* Nakładem drukarni św. Jacka w Królewskiej Hucie, 1901. (Str. 231. VIII).

**Извѣстія отдѣленія русскаго языка и словесности Императорской Академіи Наукъ** 1901. Тома IV-го книжка 3-я. Санкт-петербургъ 1901. (Str. 361).

**Kazania i szkice Księży Towarzystwa Jezusowego.** Tom V. Zeszyt 3. Kraków. Druk W. L. Anczyca i Spółki. 1901. (Str. 322—498).

**Czytaj i rozważaj!** Czyli wybór najważniejszych zdań z św. Ewangeli i z Listów apostoelskich na każdy dzień roku z krótkiem zastosowaniem przez *ks. Feliksa Cozla T. J.* Kraków. Nakładem ks. P. Kutuby T. J. W drukarni A. Koziańskiego. 1902. (Str. 127).

**Gebete für die Zöglinge der Gesellschaft der Töchter der göttlichen Liebe.** Troppau. 1901. Druck von Friedrich Gegenbauer in Wil, Schweiz. Selbstverlag der Gesellschaft. (Str. 23).

**Miedziany jeździec Puszkina.** Studium polemiczne. Napisał *Józef Treliak*. W Krakowie. Nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. 1900. (Str. 80).

**Biblioteka dzieł chrześcijańskich.** Redaktor i wydawca *ks. Zygmunt Chęmiński*. Warszawa. Redakcyja: Podwale 27. Administracya w księgarni Gebethnera i Wolffa.

**Historya powszechna Kościoła katolickiego.** *Józef kard. Hergenröther*. I (str. 223), II (str. 237), III (str. 231), IV (str. 220), V (str. 170, IV).

**Jedno stulecie.** Ruch wszechświatowy w ciągu XIX-go wieku. Serya I (str. 284). Serya II (str. 269).

**Studia estetyczne.** *Ks. Karol Niedziałkowski*, biskup łucko-żytomierski. I (str. 205).

**Mowy pogrzebowe i przygodne.** *Ks. Fabian Birkowski*. I (str. 268), II (str. 260).

**Żywot św. Jacka i jego towarzyszków.** XIII wiek. Przez *habinę de Flavigny*. Tłumaczono z francuskiego za pozwoleniem autorki. Gniezno. Czcionkami J. B. Langiego. 1901. (Str. 170).

**Życie i prace księdza Józefa Rogalińskiego.** Część pierwsza z 5 rycinami. Napisał *Franciszek Chłapowski*. Poznań. Czcionkami drukarni „Dziennika Poznańskiego”. 1902. (Str. 70).

**O pojedynkach.** *Kazimierz Chłapowski*. Poznań. Nakładem autora. Czcionkami drukarni i księgarni św. Wojciecha. 1902. (Str. 30).

**St. Stanisław, biskup krakowski.** W świetle historyografii nowożytnej. Napisał *dr. Kazimierz Szkaradek Krotoski*. Odbitka z Roczników Towarzystwa Naukowego w Toruniu. Toruń. Nakładem autora. Druk S. Buszczyńskiego. 1902. (Str. 102).

**Editionum Collegii Historici  
Academiae Litterarum Cracoviensis Nr. 60.**

Scriptores rerum polonicarum. Tomus XVIII continet: Diaria comitiorum Poloniae. Anni 1585. Cracoviae. Sumptibus Academiae Litterarum. Apud bibliopolam Societatis Librariae Polonicae. 1901.

**Wydawnictwa Komisji Hist.  
Akademii Umiejętności w Krakowie Nr. 60.**

Dyaryusze sejmowe. R. 1585 w dodatkach: Ułamki dyaryusza sejmowego roku 1582, akta sejmikowe i inne akta, odnoszące się do sejmu 1585 roku. Wydał dr. Aleksander Czuczyski. W Krakowie. Nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. 1901. (Str. 475).

**Słowacki i nowa sztuka (Modernizm).** Twórczość Słowackiego w świetle poglądów estetyki nowoczesnej. Studium krytyczno-porównawcze. *Ignacy Matuszewski.* Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Kraków. — G. Gebethner i Spółka. 1902. (Str. 400).

**Śladem tęsknoty.** Powieść. *Tadeusz Konczyński.* Warszawa. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków. — G. Gebethner i Spółka. 1902. (Str. 180).

**W szponach.** Powieść. *Wanda Grot-Bęczkowska (Władysława Korożyńska).* Warszawa. Gebethner i Wolff, Kraków. — G. Gebethner i Spółka. 1902. (Str. 198).

**Młodzień.** Dzieło uwieńczone przez Akademię Francuską. Przekład z dwudziestego drugiego wydania. *C. Wagner.* Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków. — G. Gebethner i Spółka. 1902. (Str. 330).

**Poezye w nowym układzie.** *Marya Konopnicka.* Warszawa. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków. — G. Gebethner i Spółka. 1902. I Fragmenty (str. 187). II Helenica (str. 232).

**Wrażenia.** *Kazimierz Przerwa-Tetmajer.* Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków. — G. Gebethner i Spółka. 1902. (Str. 208).

**Jak Niemcy ogłupiają i zatrują duszę polską.** Lwów. Nakładem Gremium Księgarzy lwowskich. 1901. (Str. 34).

**Ile kłamstw?** znajduje się w broszurce, wydanej nakładem Gremium księgarzy lwowskich, pod tytułem: „Jak Niemcy ogłupiają i zatrują duszę polską”. Winterberg. Nakładem i drukiem J. Steinbrenera, właściciela zakładu kat. wydawnictw i c. k. nadwornego drukarza. 1902. (Str. 53).

**Kritik und Antikritik in Sachen meiner Geschichte des deutschen Volkes.** Von *Emil Michael S. J.* Zweites Heft. Der Rezensent im Historischen Jahrbuch der Görres-Gesellschaft. Freiburg im Breisgau. Herdersche Verlagshandlung. 1901. (Str. 54).

**Ideen zur Philosophie der Geschichte der Philosophie.** Ein Vortrag gehalten in der Monatsversammlung der Philosophischen Gesellschaft an der Universität zu Wien am 7 Mai 1900 von *Dr. Moritz v. Straszewski*, O. Ö. Professor der Philosophie an der Jagellonischen Universität in Krakau. Wien u. Leipzig. Wilhelm Braumüller k. u. k. Hof- und Universitäts-Buchhändler. 1900. (Str. 50).

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

**Lettre ouverte à monsieur le comte Pierre Golénistchev-Koutousow** au sujet de la liberté de conscience en Russie. Cracovie, imprimerie de l'Université Jagellonne. 1902. (Str. 26).

**Uczucia ludzkości względem Chrystusa.** Dowód bóstwa Chrystusowego i prawdziwości Kościoła katolickiego napisał *ks. dr. Jan Żukowski*, Prof. Uniw. Lwów. Skład w księgarni Gubrynowicza i Schmidta. Z drukarni Katolickiej Józefa Chęcińskiego. 1901. (Str. 47).

**Stanisław Wyspiański.** Studium literackie. Napisał *Antoni Potocki*. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego we Lwowie. W drukarni W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie. 1902. (Str. 150).

**Krótki zyciorys O. Pawła Segneri'ego**, sławnego kaznodziei włoskiego. Skreślił *ks. dr. Jakób Górka*. Odbitka z pierwszego tomu kazań O. Segneri'ego. Tarnów. Nakładem tłumacza. Drukiem J. Pizsa w Tarnowie. 1902. (Str. XXI).

**Bohdan Zaleski.** Studium biograficzno-literackie. *Stanisław Zdziarski*. Lwów. Towarzystwo Wydawnicze. 1902. (Str. 420).

**Św. Franciszek Seraficki i naśladowcy Jego.** Przez *Br. Honorata Kap.* Warszawa. Druk P. Laskauera i W. Babickiego. 1901. Tom I zeszyt 5. (Str. 421—518, VIII).

**Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych.** Wydane przez Krajowe Biuro Statystyczne pod redakcją Prof. D-ra Tadeusza Piłata. Tom XIX, zeszyt I. Lwów. Z I Związkowej drukarni we Lwowie, ul. Lindego L. 4. 1901. (Str. 22).

**Messyanizm polski a prawda dziejów.** *Wojciech Dzieduszycki*. W Krakowie. Czcionkami drukarni „Czasu“. 1902. (Str. 145).

**Gruzja i Gruzini.** *Henryk Ułaszyn*. W Krakowie. Czcionkami drukarni „Czasu“ 1901. (Str. 22).

**Na Babią górę.** *Henryk Ułaszyn*. Odbitka z *Przeglądu Polskiego*. z m. października 1901. (Str. 20).

**Dr. Władysław Wisłocki.** Notatka biograficzno-bibliograficzna (z portretem Wł. Wisłockiego). Napisał *Henryk Ułaszyn*. Kraków. Nakładem G. Gebethnera i Spółki. Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego. 1901. (Str. 23).

**Roczniki Towarzystwa Naukowego w Toruniu.** Rocznik ósmy. Toruń. Nakładem Towarzystwa Naukowego. Druk S. Buszczyńskiego. 1901. (Str. 222).

**Towarzystwo Naukowe w Toruniu.** Societas Literaria Torunensis. Fontes. V 1901. Toruń. Typis. S. Buszczyński. 1901. Taryfy podatkowe ziem pruskich z r. 1682. Wydał *Stanisław Kętrzyński*, dr. fil. — Trzy wilkierze wiejskie. Wydał *ks. Stanisław Kujot*, pleban w Grzybnie. Toruń. Drukiem S. Buszczyńskiego. 1901. (Str. 244).

**Arcydzieła polskich i obcych pisarzy.** Tomik I „Marya“ *Antoni Malczewski*. Opracował dla użytku szkolnego *Władysław Dropiowski*, c. k. Nauczyciel Gimn. Brody. 1902. Nakładem i drukiem Feliksa Westa. (Str. 76).

## SPIS RZECZY.

### Artykuły naukowe i literackie.

|                                                                                                                   | Strona     |
|-------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|------------|
| SPRAWA WRZESIŃSKA. Przez ks. Henryka Jackowskiego <i>T. J.</i> . . . . .                                          | 1          |
| Z PAPIERÓW POŚMIERTNYCH KS. MORAWSKIEGO: Pojęcia o czyszczeniu poza Chrystyanizmem . . . . .                      | 7          |
| OSTATNI UTWÓR HUYSMANS'A. Przez <i>T. Wodzicką</i> . . . . .                                                      | 23         |
| NENCKI, VIRCHOW, VOIT. Studium porównawcze. Przez <i>d-ra J. Zanietowskiego</i> . . . . .                         | 42 352     |
| VOTA I SOBIESKI. Przez ks. <i>St. Załęskiego T. J.</i> (Dok.) . . . . .                                           | 52 206 342 |
| W DOLINIE WIELKIEJ NĘDZY. Przez <i>Józefa Rystana</i> . . . . .                                                   | 65         |
| MISTYCZNE CIAŁO CHRYSYDUSA A CHARAKTERY SAKRAMENTALNE. Przez ks. <i>Włodzimierza Piątkiewicza T. J.</i> . . . . . | 157        |
| NA WZBRONIONYCH SZLAKACH. Podróż i przygody w Tybecie Henryka S. Landora. Przez <i>Teresę Wodzicką</i> . . . . .  | 175 355    |
| ŚWIĘTY STANISŁAW BISKUP w świetle źródeł późniejszych. (C. d.) Przez <i>prof. K. Krotoskiego</i> . . . . .        | 192        |
| „WESELE“ WYSPIAŃSKIEGO. (Dok.) Przez ks. <i>J. Pawelskiego T. J.</i> . . . . .                                    | 221        |
| O LIRYCE RELIGIJNEJ MICKIEWICZA. Przez <i>Walerego Gołstomskiego</i> . . . . .                                    | 321        |
| DZIEŁO WOJCIECHOWSKIEGO O KATEDRZE NA WAWELU. Przez <i>Leonarda Lepszego</i> . . . . .                            | 378        |
| Z POWODU „LEGEND“. Przez ks. <i>J. Pawelskiego T. J.</i> . . . . .                                                | 397        |

## Przegląd piśmiennictwa.

## Z piśmiennictwa polskiego.

|                                                                                                                                                             |     |
|-------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| JĘZYK I LITERATURA. Sprawozdanie z dorobku za ubiegłe dwulecie. ( <i>Prof. dr. A. Brückner</i> ) . . . . .                                                  | 84  |
| HENRYK SIENKIEWICZ W OŚWIECENIU KRYTYCZYM Piotra Chmielowskiego. ( <i>Adolf Strzelecki</i> ) . . . . .                                                      | 237 |
| WIERZĘ I PROZA. Kazimierz Morawski. ( <i>Adolf Strzelecki</i> ) . . . . .                                                                                   | 243 |
| MATERYAŁY I PRACE KOMISYI JĘZYKOWEJ AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE. Tom I. Zeszyt I. ( <i>Prof. dr. Stanisław Dobrzycki</i> ) . . . . .                   | 246 |
| TANIEC RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ. Szkic historyczny. Dr. Aleksander Brückner. ( <i>Prof. dr. Stanisław Dobrzycki</i> ) . . . . .                            | 249 |
| REFORMA USTAWY WYBORCZEJ W AUSTRYI. Alfred Szczepański. ( <i>A. B.</i> ) . . . . .                                                                          | 251 |
| AUSTRYACKI PODATEK OSOBISTO-DOCHODOWY W PRAKTYCE. Dr. Stanisław Głabiński. ( <i>Z. Gargas</i> ) . . . . .                                                   | 258 |
| WYODRĘBNIE NIE GALICYI. Napisał Władysław Studnicki. ( <i>Z. Gargas</i> ) . . . . .                                                                         | 255 |
| KAZANIA PRZYGDONE Ks. Tomasz Dąbrowski. — KAZANIA O MECE PAŃSKIEJ NA TRZY POSTY. Tenże. ( <i>Ks. Jarosław Rejowicz T. J.</i> ) . . . . .                    | 255 |
| DZIEJE KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO W ZARYSIE. Ks. Władysław Maksymilian Szcześniak. Tom I. ( <i>Ks. dr. J. Górka</i> ) . . . . .                                  | 405 |
| PIERWIASTEK LUDOWY W POEZYI POLSKIEJ XIX WIEKU. Studya porównawczo-literackie. Stanisław Zdziański. ( <i>Prof. dr. Stanisław Dobrzycki</i> ) . . . . .      | 413 |
| POSŁANNICTWO KATOLICKIEJ NIEWIASTY od początku chrześcijaństwa po nasze czasy. Ks. Ventura de Raulica. Przełożył Stanisław Koźmian. ( <i>M.</i> ) . . . . . | 420 |
| UCZNIOWIE I TOWARZYSZE CECHÓW KRAKOWSKICH od drugiej połowy wieku XIV do połowy wieku XVII. Napisał Zbigniew Pazdro. ( <i>Adam Bielecki</i> ) . . . . .     | 423 |

## Z piśmiennictw słowiańskich.

|                                                                                                                                                                                                                                                                                      |     |
|--------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| Věstník slovanské filologie a starožitnosti s podporou carské Akademie věd v Petrohradě, Akademie české pro vědy a umění, c. k. Ministerstva kultu a vyučované ve Vídni vydávají L. Niederle, F. Pastruch, J. Palivka, J. Zubaty. Ročník I. ( <i>Stanisław Zdziański</i> ) . . . . . | 134 |
| Зерна Горюничны изъ сѣмента Камянина. ( <i>Ks. K. Czaykowski T. J.</i> ) . . . . .                                                                                                                                                                                                   | 275 |
| Что сдѣлала Россія въ теченіи столѣтія (1801—1901) для грузинской церкви и общества въ духовно-религіозномъ отношеніи? (Z powodu obchodu stuletniej rocznicy przyłączenia Gruzji do Rosji). ( <i>Henryk Ułaszyn</i> ) . . . . .                                                      | 278 |
| POGLĄD NA LITERATURĘ UKRAIŃSKĄ W R. 1901. ( <i>Bohdan Łepki</i> ) . . . . .                                                                                                                                                                                                          | 427 |

## Z piśmiennictw obcych.

|                                                                                                                                                                                                                     |     |
|---------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| WESEN UND BEDEUTUNG DES MODERNEN REALISMUS. Dr. Bernhard Maydorn. ( <i>Ks. M. Kohlsdorfer T. J.</i> ) . . . . .                                                                                                     | 126 |
| ERKENNTNISSTHEORETISCHE GRUNDZÜGE DER NATURWISSENSCHAFTEN und ihre Beziehungen zum Geistesleben der Gegenwart. Allgemein wissenschaftliche Vorträge. Dr. P. Volkmann. ( <i>Prof. dr. M. Straszewski</i> ) . . . . . | 130 |
| LA FRANCE AU DEHORS. Les missions catholiques françaises au XIX                                                                                                                                                     |     |



|                                                                                                                                                                       |     |
|-----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| siècle publiées sous la direction du Père J. B. Piollet S. J. avec la collaboration de toutes les Sociétés des Missions. Tome I: Missions d'Orient. (T. W.) . . . . . | 260 |
| GOETHE'S ÄSTHETIK. Von Dr. Wilhelm Bode. (Józef Flach) . . . . .                                                                                                      | 271 |

## Z pism czasowych.

|                                                                                                                                                            |     |
|------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| DOM IN SVET. Rocznik XIV, 1901. (Jan Fr. Magiera). . . . .                                                                                                 | 136 |
| VLAST' časopis pro poučení a zábavu. Rocznik XVII. (Jan Fr. Magiera)                                                                                       | 280 |
| Slovanský Přehled. Sborník statí, dopisův a zpráv ze života slovanského. Majitel, vydavatel a redaktor Adolf Černý. Ročník III. (Henryk Ułaszyn) . . . . . | 441 |

## Zapiski bibliograficzne.

|                                                                                                                                    |     |
|------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| O NAJWAŻNIEJSZYCH POSTULATACH HISTORII LITERATURY POLSKIEJ. Dr. Aleksander Brückner. (St. Z.) . . . . .                            | 283 |
| STUDYA NAD ŚREDNIOWIECZNYM PIŚMIENNICTWEM. Stanisław Dobrzycki. (St. Z.) . . . . .                                                 | 284 |
| KAZIMIERZA BRODZIŃSKIEGO „WSPOMNIENIA MOJEJ MŁODOŚCI“ i inne urywki autobiograficzne. Prof. Józef Tretiak. (St. Z.) . . . . .      | 284 |
| STUDYA I SZKICE HISTORYCZNE. Fr. Rawita Gawroński. (J. R.) . . . . .                                                               | 285 |
| DZIESIĘĆ DNI DYKTATURY. Aleksander Zdanowicz. (W. R.) . . . . .                                                                    | 286 |
| KSIĄŻĘ ADAM CZARTORYSKI W CZASIE POWSTANIA LISTOPADOWEGO. Ludomir Gadon. (W. R.) . . . . .                                         | 286 |
| HENRYK DĄBROWSKI, TWÓRCA LEGIONÓW. Kl. Kołaczkowski. (W. R.) . . . . .                                                             | 286 |
| WSPOMNIENIA JENERAŁA KLEMENSA KOŁACZKOWSKIEGO. Ks. IV. (W. R.) . . . . .                                                           | 286 |
| ROZBIÓR IRYDYONA. Prof. Jan Wilkosz. (W. R.) . . . . .                                                                             | 287 |
| DEFENSOR FIDEI. Jan Aleksander Urbański. (W. R.) . . . . .                                                                         | 287 |
| MYŚLI RYMOWANE. I. K. (W. R.) . . . . .                                                                                            | 287 |
| LEHRBUCH DER PHILOSOPHIE. Alf. Lehmen S. I. (I. R.) . . . . .                                                                      | 445 |
| INSTITUTIONES METAPHISICAE SPECIALIS. P. Stanislaus de Backer S. I. (G. F.) . . . . .                                              | 446 |
| ETUDES COMPARÉES SUR LA PHILOSOPHIE DE SAINT THOMAS D'AQUIN ET SUR CELLE DE DUNS SCOT. I. M. A. Vacant. (G. F.) . . . . .          | 446 |
| APOLOGETIK als speculative Grundlegung der Theologie. Dr. Al. v. Schmid. (G. F.) . . . . .                                         | 446 |
| DIE LEHRE VON DER GEMEINSCHAFT DER HEILIGEN. J. P. Kirsch. (G. F.) . . . . .                                                       | 446 |
| DER GLAUBE AN DEN AUFERSTANDENEN. P. Julius Müllerdorf S. J. (P. K.) . . . . .                                                     | 447 |
| DIE AUSSERORDENTLICHEN HEILSWEGE. Dr. Fr. Schmid. (P. K.) . . . . .                                                                | 447 |
| PATROLOGIE. Dr. Otto Bardenhewer. (J. R.) . . . . .                                                                                | 448 |
| DER TRADITIONSBEGRIFF DES URCHRISTENTHUMS BIS TERTULIAN. Dr. Martin Winkler. (G. F.) . . . . .                                     | 448 |
| POZNAJ SAM SIEBIE. Dr. Jan Stella-Sawicki. — CZERSTWA STAROŚĆ. Tenże. — PIELĘGNOWANIE ZDROWIA. Seweryn Sterling. (B. M.) . . . . . | 449 |
| WIEJSKIE KASY POŻYCZKOWE SYSTEMU RAIFFEISENA. Dr. Wł. Krosiński. (Z. G.) . . . . .                                                 | 451 |
| TRENTE ANS DE CRITIQUE. Gustave Fréderix. (A.) . . . . .                                                                           | 452 |
| RYBKA. Alfred Szczepański. (W. R.) . . . . .                                                                                       | 452 |
| Z upłynulých dob. Fr. Ad. Subert. (A.) . . . . .                                                                                   | 452 |
| CZARODZIEJSKIE OPowieści ANDERSENA. Spolszczyła Marya Glotz. (W. R.) . . . . .                                                     | 453 |
| JANUSZ KORCZAK. J. Łuszczewski. (A.) . . . . .                                                                                     | 453 |
| LES GRANDES DAMES PENDANT LA REVOLUTION ET SOUS L'EMPIRE. Le comte Fleury. (A.) . . . . .                                          | 453 |
| ZABYTKI POLSKIE W RZYMIE. Ks. Konstanty Nowak. (K.) . . . . .                                                                      | 454 |

## Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

### STYCZEŃ.

|                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                 |     |
|-------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| KOŚCIÓŁ W IRLANDYI: Odrodzenie narodowe pod przewodem duchowieństwa w Irlandyi. — Irlandzkie zakłady i związki dobroczynne. — Zabiegi o wszechnicę katolicką dla Irlandczyków. — Posłuszeństwo względem władzy prześladowczej i jego skutek. — Wiece irlandzkie przeciw bluźnierczej przysiędze królewskiej. — Odnowiona praca zakonna na polu przemysłu i oświaty narodowej. — Ucisk katolików w sądownictwie. — Powaga biskupów w Irlandyi. — Pogłoski o powstaniu Irlandyi przeciw Anglii. Przez <i>ks. K. Czaykowskiego T. J.</i> . . . . . | 139 |
| ZE SŁOWACCZYNY. Przez <i>ks. K. Czaykowskiego T. J.</i> . . . . .                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                               | 149 |
| TEOLOGICZNE PISMO POLSKIE . . . . .                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                             | 154 |
| DO PANA B. B. WE LWOWIE. Odpowiedź Redakcyi z powodu przebranej w Jockey-Clubie . . . . .                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                       | 156 |

### LUTY.

|                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                              |     |
|------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| SPRAWY KOŚCIOŁA: Teraźniejsze zamiary wolnomularzy we Francyi. — Nowe zamysły przeciw duchowieństwu we Francyi. — Pogląd na nieomylność papieża w duchowieństwie francuskim. — Wolnomularskie duchowieństwo w Hiszpanii. — Zapowiedź nowych walk przeciw katolickiemu rządowi w Belgii. — Ówierćwiekowy jubileusz biskupstwa starokatolickiego w Szwajcaryi. — Protestanckie sądy o nauce i wpływie katolików w Niemczech. Przez <i>ks. K. Czaykowskiego T. J.</i> . . . . . | 289 |
| Z RUCHU PRZEMYSŁU ARTYSTYCZNEGO. Przez <i>ks. Leonarda Lipkego T. J.</i> . . . . .                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                           | 310 |

### MARZEC.

|                                                                                                                                   |     |
|-----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| SPRAWY KOŚCIOŁA: Stosunki polskie w Stanach Zjednoczonych. Przez <i>Ign. Kowalskiego</i> , redaktora „Narodu Polskiego“ . . . . . | 455 |
| NOWE WYDAWNICTWA I RUCH NAUKOWY W DZIEDZINIE HISTORII KOŚCIELNEJ. Przez <i>ks. prof. Wł. Chotkowskiego</i> . . . . .              | 462 |